



TOMASZ PACYŃSKI



WROTA
ŚWIATÓW
Zła piosenka

Pacyński Tomasz

Wrota światów

Zła piosenka

Runa

Wydanie I

Warszawa 2004

Copyright © by Tomasz Pacyński, Warszawa 2004

Copyright © for the cover illustration by Stephanie Pui-Mun Law

Copyright © 2004 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2004

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: Tomek Laisar Fruń Redakcja: Lucyna Łuczyńska

Korekta: Jadwiga Piller, Anna Kaniewska

Skład: Tomek Laisar Fruń

Druk: RS Print, Wrocław

Wydanie I.

Warszawa 2004

ISBN: 83-89595-06-0

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

ul. Grzybowska 77 lok. 408

00-844 Warszawa

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową: www.runa.pl

Konwersja: NetPress Digital sp. z o.o.

His hode hanged in his iyn two;
He rode in symple aray,
A soriar man than he was one
Rode never in somer day.

A Gest of Robyn Hode

- I -

Prawda to, iż duo corpore niemogą się pomieścić penetrative in eodem loco. A trup ieszcze niemający dotem subtilitatis, której on może y nigdy nie mieć, bo może być z liczby potępionych, iakże on z grobu kamieniem zawalonego, wynieść nie może. Wszak w tym nie masz dubium, iż krwie y pewnych przymówek zażywszy wstępuje wiedźma w niewinne ciało per unionem accidentalem, a w nim i z nim zaraża z Bożego dopustu.

Żywot Bł. Piotra z Blyton, biskupa Lincoln

W szafasie panował półmrok nawet teraz, upalnym popołudniem. Zapach suchych, nagrzaných słońcem liści okrywających dach wiercił w nosie. Fabienne nie mogła już powstrzymać łez.

Widziała zatroskaną i zrezygnowaną twarz swojej przybranej matki, która bezradnie gniotła lnianą szmatkę, jakby nie wiedziała, czym zająć ręce. Żabcia nie mogła nic poradzić i zdawała sobie z tego sprawę. Nie była jedną z tych mądrych kobiet, które z pokolenia na pokolenie poznawały sztukę zamawiania choroby, oddalania cierpień. Jej talent jarmarcznej wieszczki nie pomagał, przeciwnie. Czuła zbyt wiele, umierała wraz z tą kobietą na posłaniu, o wiele za długo i o wiele za późno. I nic nie mogła poradzić.

Rozszerzone oczy Bethie błyszcząły w półmroku. Fabienne wzdrygnęła się, gdy dojrzała w nich dziecinną ciekawość, ten brak współczucia właściwy dzieciom, niewinny i wywodzący się z nieświadomości. Jasnowłosa dziewczynka już nieraz widziała śmierć. Ale nie znała jeszcze umierania.

Suche liście pachniały odurzająco, ich woń mieszała się z zapachem polnych kwiatków. To Bethie ich nazrywała, była przekonana, iż konająca je lubi; zdawało się, że szalone jak u schwytanego w pułapkę zwierzęcia spojrzenie na ich widok zmienia się, łagodnieje i uspokaja.

Pewnie rzeczywiście tak było.

Palce białej dłoni poruszyły się, drgnęły wargi. Fabienne pochyliła się nad leżącą, ale nie usłyszała ni szeptu.

Uratowana spod szubienicy kobieta po prostu gasła. Nie walczyła już, od dawna nie przerywała nocnej ciszy skowytami, którego nie mógł znieść nawet Claymore, najtwardszy i najbardziej cyniczny z nich wszystkich; wstawał z posłania i szedł prosto w las, byle tylko nie słyszeć.

Nie miotła się już, nie zasłaniała jak przed spadającymi na nią ciosami, nie odpychała czegoś, co widziała tylko ona. Przestała walczyć, nie miała sił.

– Ona umiera? – Głosik Bethie dał się słyszeć między jednym a drugim płytkim, nierównym oddechem. Fabienne pogładziła dziewczynkę po włosach.

– Tak, umiera – odparła łagodnie.

Bethie zerknęła z ciekawością.

– Bo tak chce?

Fabienne uniosła głowę, spojrzała nieprzytomnie. Nie wiedziała, o co też chodzi małej. W ciszy, która nagle zapadła, słychać było tylko oddech umierającej. Coraz płytszy i wolniejszy.

Milczenie się przedłużało. Bethie niecierpliwie potrząsnęła głową, chwyciła Fabienne za rękę.

– Powiedz, bo tak chce? – dopytywała się natarczywie.

Po chwili Fabienne zrozumiała: małej nieobcy był widok ludzi, których zabijano. Nie pojmowała, że można umrzeć spokojnie, odejść cicho, bez widocznej przyczyny.

Uśmiechnęła się smutno.

– Tak, Bethie, bo tak chce.

Buzia dziewczynki rozjaśniła się.

– To dobrze – stwierdziła po namyśle. – Wiem, że ona chce. Popatrz.

Fabienne spojrzała na wychudłą twarz więdniętej, której rysy wyostriły się zbliżającą się śmiercią. Oczy umierającej poruszały się pod sinawymi powiekami, jakby kobieta śniła swój ostatni sen. Dziewczyna

drgnęła, kiedy poczuła, że zimne palce chwytają jej dłoń, zaciskają się na niej z nieoczekiwaną siłą. Pochyliła się, zanim jeszcze wargi zdążyły się poruszyć.

– *Jo vos aim mult, m'soeur* – wionął cichy szept, tak cichy, że wydawał się złudzeniem, igraszką słuchu. Tylko lekki powiew tchnienia na policzku powiedział Fabienne, że to dzieje się naprawdę.

Też cię kocham, nieznana siostrzyczko, pomyślała, ujmując zimną dłoń, która oddała uścisk.

– *Jo n'ai nient de mal.*

To dobrze. I już nikt więcej cię nie zrani, już nigdy. Obiecuję.

Pogładziła policzek, który wydawał się przejrzysty jak karta pergaminu.

Umierająca otworzyła oczy. Przytomne i przenikliwe.

– *M'entendez, cher'amie* – powiedziała głośno, wpatrując się w twarz dziewczyny.

Fabienne czuła uścisk zimnych palców, silny i zniewalający. Wszystko wokół nagle jakby zniknęło, pozostały tylko oczy z rozszerzonymi prawie na całą tęczęwkę źrenicami. Poczowała, że tonie w tych oczach niczym w leśnym stawie wśród torfowisk, którego głębia sięga chyba do samego piekła skrytego pod ciemną, brunatną wodą. Mogła tylko słuchać, choć wcale tego nie chciała.

– *N'ai cure de parler* – westchnęła wiedźma cicho.

Nic już nie zostało do powiedzenia. I spod tafli brunatnej wody wyrzało współczucie. Fabienne poczuła, jak lodowate palce gładzą jej dłoń. Nie cofnęła ręki. Dopuszczała współczucie, ale nie litość.

Litości nie było. Nie może jej być dla kogoś, kto pomoże zabić tego, kogo kocha najbardziej. Już, kurwa, nikogo nie mogę pokochać, pomyślała. I miała rozpaczliwą świadomość, że i tak pewnie jest za późno.

Uścisk zelżał, powieki znów przysłoniły oczy. Tylko dłoń umierającej pełzała po przykryciu jak ślepe zwierzątko. Bethie przypadła do posłania, ujęła ją w swoje małe, brudne łapki. Po twarzy wiedźmy przebiegł ledwie dostrzegalny skurcz.

Fabienne wstała z klęczek, odeszła dalej. Słyszała jedynie urywany,

cichnący oddech.

Coraz dłuższe były przerwy między kolejnymi próbami zaczerpywania powietrza.

W końcu z ostatnim, głębokim westchnieniem oddech ucichł.

Cisza. Szelest liści, brzęczenie owadów gdzieś na zewnątrz, na łące. Odległy ptasi trel.

– *Sempres est morte* – powiedziała Bethie. – *Une mal chançon n'en deit estre cantee.*

Ona umarła, powtórzyła w myśli Fabienne. Jest wolna. Ciekawe, jak długo ja będę umierać? Nikt już nie zaśpiewa złej piosenki. Właśnie została odśpiewana.

Odwróciła się powoli i zajrzała w twarz dziewczynki. W przepastną głębię ciemnych oczu o rozszerzonych źrenicach, niczym leśny staw wśród torfowisk.

Wtedy zaczęła krzyczeć.

Rankiem przeszła ulewa. Strugi deszczu siekły drzewa i zarośla, zbierały się na wąskich, piaszczystych ścieżkach w mętne potoki, które osadzały na wystających korzeniach niesione ze sobą igliwie, liście i całe gałązki, nie wiadomo, zerwane przez wiatr czy przez ciężkie krople. Cały świat poszarzał i ściemniał, mrok rozpraszały tylko sine błyski piorunów, przebijające się przez kurtynę spadającej z niskich chmur wody. Wyszuszone przez letnie upały ściółka chłoneła wilgoć, wypełniały się kotlinki o roztratowanych brzegach, służące zwierzynie za wodopoje. Po kamieniach strumieni, płytkich i ledwie ciekących jeszcze wczoraj środkiem łożysk, pędziła spieniona fala jak podczas wiosennego przyboru.

Letnia nawałnica nie trwała długo. Choć z daleka dochodziły jeszcze głucho stłumione pomruki, na polanie od dawna świeciło już słońce. Zaledwie zbliżało się południe, a trawa zdążyła już wyschnąć, kałuże wsiąkły w piasek, zostały po nich tylko ślady, zabarwione po brzegach żółtawym osadem pyłków. Tam, gdzie korony drzew dawały osłonę

przed słońcem, ściółka dymiła mgłą, unoszącą się nisko, gorącą i wilgotną.

Claymore Ramirez otarł czoło, rozmazując na nim smugi brudu. Choć obnażony do pasa, był spocony jak mysz. Wolał już suchy upał, jaki panował przez ostatni miesiąc, niż to parne, duszne przedpołudnie. Od dawna tęsknił za chłodem ciemnego wnętrza karczmy czy choćby zamkowych murów, za smakiem piwa wydobytego prosto z głębokiego loszku. Dziś wyjątkowo mu tego brakowało. To nie był dzień na kopanie dołów.

Z wykopu dobiegło przekleństwo. Claymore westchnął, jeszcze raz otarł czoło wiedząc, że i tak nic to nie da, najwyżej umaże się jeszcze bardziej. Podszedł do krawędzi, popatrzył na lśniące od potu, zgięte plecy Snake'a, który mocował się z jakimś opornym korzeniem. Obsceniczne tatuaże pokrywał przylepiony do skóry kurz.

– Może teraz ja? – zaproponował Ramirez z niechęcią. Zaklął w duchu, gdy ten wyprostował się od razu.

– Mógłbyś – mruknął.

Oparł się na krawędzi wykopu, odrzucił złamany rydel, jedyne narzędzie, które mieli, nie licząc stępionego korda. Wyglądało na to, że bartnicy z leśnej osady nigdy nic nie kopią, nawet w warzywnikach. Była to prawda, nie mieli warzywników.

Ze stęknięciem Snake wydzwignął się z dołu, usiadł na trawie i rozejrzał się w poszukiwaniu cienia. Daremnie, bo zaczęli kopać z dala od jedynego dębu, licząc na to, że nie będą im przeszkadzać korzenie. W ten sposób zyskali tyle, iż musieli pracować w pełnym słońcu, a korzeni i tak było pod dostatkiem.

Ramirez zsunął się do dołu. Nie było to trudne, od rana, gdy tylko minęła nawałnica, zdążyli wryć się na półtorej stopy, może dwie. Wciąż za mało, jak na przyzwoity grób.

Poranna ulewa, mimo iż obfita i gwałtowna, zdołała zwilżyć glebę zaledwie na dwa cale. Głębiej, pod darnią, grunt rozsypywał się niczym popiół lub przypominał zbity piaskowiec. Claymore szarpnął gruby jak męskie przedramię korzeń, zaklął, gdy wzbity pył dostał się do oczu. Mrugał przez chwilę, w końcu stęknął z rezygnacją, ujął rękojeść tępego korda i zaczął rąbać. Odwracał przy tym głowę i zaciskał powieki, by

choć trochę uchronić się przed deszczem piasku.

Uderzał coraz mocniej, bez rezultatów, korzeń był twardy i powęźlony, może ostra siekiera dałaby mu radę. Ale siekiery nie mieli.

Snake przyglądał się z niepokojem, Ramirez bowiem zadawał ciosy na oślep, jakby walczył z zajadłym wrogiem. Ostrze korda trafiało tuż obok drugiej dłoni, która odciągała korzeń od ściany wykopu. Kuglarz nie wytrzymał.

– Uważaj na paluchy – ostrzegł.

Niewiele brakowało, aby on pierwszy stał się ofiarą. Przy kolejnym, zadany z wściekłością uderzeniu, ostrze korda zwinęło się, ledwie omijając umazany ziemią kciuk. Claymore wyprostował się gwałtownie, cisnął kord, który wbił się w darń tuż obok stopy Snake'a.

Kuglarz popatrzył z urazą, jak chwieje się drewniana rękojeść, pociemniała od potu. Po czym roześmiał się niespodziewanie.

– Mówiłem, żebyś uważał na paluchy – powiedział wesoło. – Zapomniałem dodać, że na moje.

Poruszył bosą stopą. Ciężkie buty ściągnął już dawno, co, jak widać, nie było najrozsądniejszym posunięciem.

Złość na twarzy Ramireza ustąpiła miejsca rezygnacji.

– Tym kordem nawet glizdy byś nie przeciął. – Pokręcił głową. – W życiu nie wyciągniemy tego pierdolonego korzenia...

– To co zrobić? Przenieść ten dół kawałek dalej?

Claymore splunął śliną zmieszaną z piaskiem. Przyszedł mu do głowy taki pomysł.

– Zaczniemy gdzie indziej. W końcu jej wszystko jedno, gdzie będzie leżeć.

Kuglarz popatrzył na dół, którego wykopanie zajęło cały ranek. To jednak nie była rozsądna propozycja.

Odsunął zdecydowanie Ramireza, stojącego w płytkim, po kolana, wykopie. Uchwycił korzeń, złośliwie przebiegający akurat tędy, i pociągnął z całej siły. Claymore widział, jak na barkach występują mu węzły mięśni, jak zamazuje się rysunek tatuaży.

– Może byś pomógł! – wysapał kuglarz, nie odwracając się. Ramirez

wzruszył ramionami, nie wierzył w powodzenie, próbowali już przecież. Mimo to posłusznie stanął za kuglarzem, złapał za koniec korzenia, nikiący w przeciwną stronę wykopu.

– Raz, dwa... – stęknął Snake. – I trzy!

Pociągnęli jednocześnie. Z początku korzeń ani drgnął, tylko sucha ziemia osypywała się z szelestem. To na nic, pomyślał Claymore; z wysiłku czerwona mgiełka przysłoniła mu oczy. Ale natężył wszystkie siły.

I nagle trach! – rozległo się głucho chrupnięcie. Rąbanie tęym kordem nie poszło całkiem na marne, korzeń pękł akurat w tym miejscu. Claymore runął na tyłek, wzbijając wysoko kurz, jęknął z bólu, gdy Snake wylądował mu na kolanach.

Ciężki oddech kuglarza mieszał się z cichymi przekleństwami Ramireza.

– Może byś zabrał ze mnie swoją kościstą dupę?! – Claymore nie wytrzymał w końcu.

Siedzieli na krawędzi wykopu. Później poszło łatwiej, gdy przebili się już przez pierwszą, najbardziej zbitą warstwę ziemi. Głębiej można było wygarniać rękoma, poszło szybciej niż złamanym rydlem bez trzonka, nie mówiąc o kordzie.

Wciąż było parno i duszno. Ucichły już odgłosy dalekiej burzy, ale znad poszycia nadal unosiła się mgiełka. Claymore przyglądał się swoim dłoniom, brudnym, z piaskiem powbijanym pod połamane paznokcie.

Snake drapał się po wytatuowanej piersi. Od pyłu swędziało go całe ciało. Jemu kopanie szło sprawniej, wielkie jak łopaty dłonie zagarniały ziemię lepiej od rydla, czemu Ramirez przyglądał się z niekłamanym podziwem, mimo niepokojących skojarzeń z paskudnymi potworami, rozkopującymi świeże groby. Gdzieś w zakamarkach pamięci utkwiły głęboko opowieści matki. Ghola, tak chyba brzmiało to słowo, przypomniał sobie. Rozkopuje mogiły i pożera zwłoki. Wzdrygnął się, splunął do dołu.

- Uważaj, gdzie plujesz - mruknął Snake, bez złości, raczej z przyganą.

Claymore chciał się odciąć, jednak po chwili zeskoczył do wykopu, roztarł plwocinę butem.

- Przepraszam - powiedział cicho, nie patrząc na kuglarza. Ten skrzywił usta w uśmiechu.

- Przesadzam pewnie - odparł. - Osobiście byłoby mi wszystko jedno, nawet gdybyś tam naszczał. Ale to nie ja będę tu leżał.

Ramirez mimo woli popatrzył dalej, gdzie pod dębem spoczywały zwłoki owinięte w derkę zamiast całunu. Nawet nie wiemy, jak miała na imię, przebiegło mu przez głowę. I zaraz nadeszła druga myśl, którą wbrew sobie wypowiedział na głos.

- To wszystko było niepotrzebne.

Początkowo nie zrozumiał gestu kuglarza, gdy ten wyciągnął do niego wielkie, brudne łapsko. Po chwili wahania podał mu rękę, a Snake jednym pociągnięciem pomógł mu wydzwignąć się z dołu.

- Nie przyzwyczajaj się tak, to nie da ciębie - zakpił.

Ramirez spojrział z ukosa.

- No co? - zirytował się kuglarz. - Pożartować nie można? Zaszko dzi jej to?

Nie, pomyślał Claymore, nie zaszko dzi. Ona zostanie tutaj, grób zarośnie trawą, za rok nikt nawet nie pozna. A my podarowaliśmy jej tylko długie dni cierpienia. Nic więcej.

- Ona też kiedyś lubiła się śmiać - zaczął Snake cicho. - Lubiła się cieszyć. Nie martw się, zrozumiałaby. Każdy by zrozumiał.

Ramirez spojrział uważniej. Nie podejrzewał dotąd tego brutalnego, wytatuowanego mężczyzny o takie refleksje.

- To nie było niepotrzebne - ciągnął Snake coraz ciszej, jakby sam wstydził się wypowiedzanych słów. - Umarła z godnością, to jej podarowałeś. Niby nic, a bardzo dużo.

Wstał, przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu w stawach. Po raz kolejny otarł pot z twarzy.

- Ech, co ja pieprzę - mruknął. - Wiesz co? Ale dobrze, że ubiłeś tego

skurwysyna, kata. Za to, co jej zrobili.

Claymore bezmyślnie przesypywał z ręki do ręki garść piasku. Drobne ziarenka przelatowały między palcami.

– To nie ja – odparł wreszcie. – To Fabienne. A poza tym rękę karaj, nie ślepy miecz...

Spostrzegł, że na dźwięk imienia dziewczyny po twarzy kuglarza przebiegł ledwie dostrzegalny grymas, szczęki zacisnęły się na chwilę. Nie był zaskoczony, Snake już od dawna źle reagował, gdy tylko słyszał, że Claymore wymienia jej imię. Było to dość dziwne, Fabienne demonstracyjnie nie dostrzegała Ramireza, odzywała się tylko oficjalnie lub, znacznie częściej, złośliwie. Nawet wtedy, gdy po raz pierwszy chciał jej podziękować za pomoc, kazała mu po prostu spadać. Spróbował jeszcze raz, spotkał się z taką samą reakcją, potem dał sobie spokój. Przyglądał się tylko ukradkiem, dziewczyna w jakiś sposób przyciągała jego wzrok. I to nic między nimi nie zmieniło.

Tak, pomyślał Ramirez, przez ponad trzy miesiące. Długie dni spędzone w lesie, w paskudnej osadzie bartników, którzy przypominali bardziej złośliwe leśne stwory niż ludzkie istoty. Nawet ich kobiety sprawiały takie wrażenie, nie mówiąc już o licznych dzieciach, przywodzących na myśl złośliwy pomiot gnomów. O ile gnomy bywają równie brudne i wrzaskliwe.

Trzy miesiące oczekiwania na śmierć. Już dawno stało się jasne, że uratowana spod szubienicy wiedźma nie przeżyje. Po prostu nie chciała przeżyć, nie walczyła. Czasem Ramirez miał poczucie straszliwego marnotrawstwa, jakiejś osobistej wręcz krzywdy. Tyle to kosztowało, a ona zwyczajnie sobie umiera. I zwykle zaraz przychodziła refleksja – nie o nią przecież chodziło. Po prostu przypadek.

– Długo to trwało.

Ramirez drgnął, kuglarz trafił dokładnie w tok jego myśli. Spojrzał z ukosa na Snake'a, który wydawał się pochłonięty otrzepywaniem piasku z ramion. O co ci tak naprawdę chodzi, pomyślał. Wolałbyś pewnie, żeby mnie tu dawno nie było, żebyś nie włąził w drogę twojej ukochanej, przybranej córeczce. Mógłbym sprowadzić dziewczynę na złą drogę. Nie martw się, jej to wisi, mniej się liczę niż mój wałach chociażby. Co mnie to wszystko obchodzi...

Chciał coś powiedzieć, zmienić temat, nie było sensu drażnić starego. Jednak poczuł irracjonalną złość, choć nie chciał przyznać się samemu sobie, że chodzi o to, iż czuje się zlekceważony, a nawet upokorzony postępowaniem Fabienne.

– Za długo – rzekł, zanim pomyślał, co mówi. – W sam raz, by mieć siebie dosyć nawzajem.

Snake popatrzył na niego uważnie.

– Cóż – odparł wreszcie. – Nic cię już tutaj nie trzyma. Ona już nic nie powie, nie możesz udawać, że na to właśnie czekasz.

Claymore nie wiedział, co odpowiedzieć. Snake trafił celnie.

– Chcesz powiedzieć, że... – gdy wreszcie zaczął, zabrakło mu słów. Co się ze mną dzieje, pomyślał tylko.

– Chcę powiedzieć, że nie wiesz, co robić. – Kuglarz skrzywił się w złośliwym uśmiechu. – Od samego początku nie wiedziałeś, i nic się nie zmieniło.

Ramirez zacisnęła dłonie, aż zaboląły go paznokcie połamane przy kopaniu. Przez chwilę wyglądał tak, jakby chciał rzucić się na Snake'a z pięściami, co zapewne miałyby zgubne skutki. Nawet zmęczony robotą kuglarz mógłby go wrzucić do dołu jednym celnym ciosem, potem wystarczyłoby tylko zasypać.

Ma rację, pomyślał Claymore, nie wiem. I chyba od początku nie wiedziałem. Nie chciał się przyznać sam przed sobą, że liczył na coś, co zawsze wyśmiewał, w co nigdy nie wierzył. W konsekwencję przeznaczenia, w logikę wydarzeń. Gdzieś głęboko był przekonany, że istnieje jakiś sens, że uratowanie nieszczęsnej kobiety miało swój cel. Że ma ona do odegrania jakąś rolę, skoro los postanowił skrzyżować ich drogi.

Że to ona, prawdziwa wiedźma w końcu, wskaże dalszy cel.

Nie wskazała. Zgasła tak cicho. I zostawiła pustkę.

– Umarła wolna. – Cichy głos Snake'a wdarł się w tok myśli Claymore'a. – Nie przed wrzeszczącą gawiedzią, bez strachu i ponizienia.

Kuglarz mówił cicho, pochyliwszy głowę, Ramirez nie widział wyrazu jego twarzy.

– To jest ważne. Coś jednak uratowaliśmy. Możesz mieć to za nic,

twoja sprawa. Ale lepiej dla ciebie, żebyś nie miał.

Snake wstał, przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy.

– Zresztą, myśl sobie, co chcesz. Tylko może ci nic nie zostać.

Upał nie zelżał po południu. Nawet gdy cień rozłożystego dębu wydłużył się i sięgnął wzgórnka suchej ziemi obok gotowego już na przyjęcie ciała dołu, wciąż było gorąco. Może tylko mniej parno.

Nie rozmawiali wcale, siedzieli w milczeniu na krawędzi wykopu, zajęci swoimi myślami. Żaden z nich nie mógł się zdobyć na to, by uznać, że już pora, że nadszedł czas, by owinięte derką zwłoki złożyć na dnie i zasypywać grób.

Ramirez gryzł bezmyślnie słomkę, żdźbło trawy zeschniętej i zbrązowiełej, jakby nadeszła już jesień. Zastanawiał się intensywnie, co dalej.

Nie było to proste. Wiosna i prawie całe lato na dobrowolnym wygnaniu odcięły go od informacji, docierały tylko jakieś strzępy wiadomości, głównie za pośrednictwem mrukliwych bartników, obok osady których rozłożyli się obozem. Nie mogły być zbyt wiarygodne, leśni osadnicy rzadko kiedy wychylali się z puszczy.

Raz czy dwa Fabienne i żabcia wypuściły się do najbliższej wsi, położonej tuż na skraju puszczy i jakimś cudem dotąd nie spalonej czy splądrowanej. Ale było to dawno, Snake wysłuchawszy nowin, stanowczo zakazał ryzyka.

A nowiny były złe. Nie dotyczyły ich wprawdzie bezpośrednio, jak dotąd nikt nie ścigał sprawców czy też współsprawców rzezi w Nottingham. Nie bardzo było komu ścigać, Czarny Baron nie żył, jego kompani, ci, którzy mieli szczęście, powrócili do rodowych siedzib, by czekać na lepszą okazję do szybkiego wzbogacenia. Zbrojni w większości poszli w rozsypkę, gdy okazało się, że nie ma kto im płacić.

Ale Claymore zdawał sobie sprawę, że nieszczęsny szeryf był jedynie figurantem. To nie on kierował rozgrywką, stał się narzędziem w rękach znacznie potężniejszych sił, które wolały jednak trzymać się w cieniu. A

teraz zniknęły. I to musiało niepokoić.

Nie potrafił uznać, jak kuglarz, że wszystko skończone. Nawet wbrew temu, co widział na własne oczy, nie wierzył w śmierć Matcha. Jak się okazało, był w tym przekonaniu osamotniony. Zagadnięty parę razy Snake pukał się tylko wymownie w czoło i pytał, ilu Claymore widział ozdrowieńców po trafieniu bełtem w serce...

Niestety żadnego. Ale miał przecucie, i to właśnie go niepokoiło. Nigdy dotąd nie miał przecuć.

Zaczynał się niecierpliwić. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak długa agonia uratowanej wpłynęła na to, że nie pozwalał sobie dotąd na głębsze refleksje. Teraz wszystko się skończyło.

Na dodatek nadchodziły jeszcze inne wieści.

Były niepewne i fragmentaryczne, zrozumiałe na tyle, na ile bartnicy potrafili powtórzyć, co zasłyszeli od zapuszczających się w głąb puszczy kłusowników. Łatwo je było wytłumaczyć, w końcu hrabstwo ogarnął chaos, nawet nie po śmierci nowego szeryfa, lecz dużo wcześniej. Ale Ramirez znów dręczyły przecucia.

Wypluł zżute źdźbło. Nie było sensu dłużej rozmyślać, do niczego to nie prowadziło. Czuł, że teraz przyszedł czas na działanie.

Uśmiechnął się krzywo. Żeby tylko wiedział, na jakie.

– Czego się tak cieszysz? – spytał Snake niechętnie.

Claymore wstał, klepnął kuglarza po nagich plecach.

– Chodź, nie będziemy tak siedzieć. Pora to skończyć.

Nie tylko to, pomyślał Snake. Ale wstał bez słowa, otrzepał skórzane portki z kurzu. Ruszył za Ramirezem w kierunku szałasów na odległym krańcu polany.

To Claymore złożył ją do grobu. Odsunął kuglarza, sam uniósł owinięte w derkę ciało, dziwiąc się jego lekkości. Nie przyjął pomocy, nawet kiedy musiał zsunąć się ze swym brzemieniem do wykopu; delikatnie ułożył zmarłą w mogile, jakby bał się sprawić jej ból. Istotnie,

przemknęło mu przez myśl, bólu doznała aż nadto.

Stał jeszcze pod samą ścianą dołu, kiedy poczuł, jak ktoś trąca go w ramię. Nie spojrział w górę, nie oderwał wzroku od owiniętej grubą tkaniną głowy, wciąż pamiętał rysy twarzy, wygładzone przez spokój śmierci, pozbawione już maski szaleństwa i cierpienia. Wyciągnął tylko rękę, ktoś szarpnął mocno, pomagając mu się wydostać z wykopu. Grudki ziemi osypały się, gdy stanął na krawędzi.

Był pewien, że to Snake. Zaniemówił, ujrzawszy przed sobą Fabienne. Zaskoczony nie puścił jej dłoni.

Miała podkrążone oczy, bardzo bladą twarz. Nic dziwnego, pomyślał, ostatnio mało spała. Zaczerwienione powieki jednak nie były tylko rezultatem braku snu.

– Dziękuję – powiedział wreszcie. Skinęła milcząco głową. Wciąż nie puszczał jej dłoni; uświadomił sobie, że pierwszy raz zdarzyło się, iż pozwoliła się dotknąć. I zaraz uświadomił sobie jeszcze coś, z jeszcze większym zdziwieniem – że dotąd nie próbował.

Usłyszał chrząknięcie, zaraz po nim wymamrotane przekleństwo. Fabienne drgnęła, z ociąganiem wyswobodziła rękę, choć próbował przytrzymać, przez chwilę chciał poczuć jej ciepło. Zdołał tylko przesunąć opuszką palca po wnętrzu dłoni dziewczyny. Uciekła spojrzeniem.

Kolejne przekleństwo Snake'a zabrzmiało wyraźniej. Claymore odwrócił się.

Kuglarz był wściekły, zaciskał bezwiednie pięści. Otwierał już usta, by coś powiedzieć, kiedy jarmarczna wieszczka, jego żona, przerwała mu zdecydowanie.

– Zamknij swój plugawy pysk – powiedziała cicho, lecz stanowczo. – To pochówek.

Snake sapnął ze złością, ale plugawy pysk zamknął. Claymore złowił jednak jego spojrzenie.

To nie koniec, Ramirez, zdawało się mówić. Jeszcze do tego wrócimy.

Bethie uklękła nad otwartą mogiłą, sypnęła pierwszą garść ziemi.

Kuglarz przydźwigał kamień, wielki złom wapienia pokryty z jednej strony zielonym mchem. Głaz wyglądał jak ociosany przez kamieniarza i przygotowany do wmurowania w fundamenty budowli; musiał spoczywać w lesie od niepamiętnych czasów, wrósł prawie cały w ziemię i poszycie. Teraz miał spocząć na niewysokim wzgórku szarawej, piaszczystej ziemi.

Mięśnie Snake'a napięły się i nabrzmiały, gdy składał ciężar na świeżym grobie. Claymore przyglądał się z mimowolnym podziwem, sam pewnie nie ruszyłby tego kamienia z miejsca, nie mówiąc już o przydźwiganiu.

Snake odstąpił dwa kroki, przetarł czoło, rozmazując na nim brud. Włosy zlepił mu pot.

– Przynajmniej lisy jej nie wygrzebią – mruknął całkiem niepotrzebnie.

Można jeszcze wyryć epitafium, pomyślał Claymore. Gdybyś umiał składać litery, kuglarzu. I gdybyśmy znali jej imię.

Nic to nie pomoże, nawet kamień. Nikt nie będzie pamiętał bezimiennej wiedźmy, pojmanej nie wiadomo gdzie – przez pomyłkę. Zakładniczki i przynęty – za inną. Uratowanej spod szubienicy kosztem życia wielu ludzi, nie gorszych i nie lepszych pewnie od niej. Tylko po to, by umarła później na polanie zagubionej w puszczy, z dala od bliskich, z dala od kogoś, kto ją kochał. Jeśli ktoś taki był.

Ramirez wstrząsnął się, popołudnie było upalne, ale poczuł nagły chłód. Zawsze ktoś taki jest.

Wapienny złom wrośnie w trawę, pokryją go porosty. Już za rok na polanie nie pozostanie nic, tylko mały wzgórek nieopodal dębu, może jeszcze ledwie widoczne ślady ognisk. Może ludzie z bartniczej osady będą pamiętać, że ktoś tu spoczywa. Ale pewnie nie będą.

– Nawet nie wiemy, jak miała na imię – sam był zaskoczony, kiedy usłyszał swój głos. Aż syknął z bólu, gdy Fabienne wpiła mu w dłoń paznokcie.

Dziewczyna zachwiała się, jakby miała upaść. Podtrzymał ją w ostatniej chwili.

– Jacqueline – powiedziała głucho. – Nazywała się Jacqueline.

Popatrzyła na Claymore'a, aż przebiegł go dreszcz, po czym, wstrząsana łkaniem, oparła mu głowę na piersi.

Snake zrobił niezdecydowany ruch, jakby chciał podejść, twarz wykrzywił mu skurcz złości. Już ruszał, kiedy mała Bethie pociągnęła go za uwalane ziemią portki.

Fabienne uniosła głowę.

– Zabierz mnie stąd, Claymore – odezwała się ochryłym głosem. – Zaraz.

Objął ją niezdarnie w pól, poprowadził w stronę szałas. Kuglarz spoglądał ponuro, jak idą przez polanę, on wyprostowany sztywno, ona wsparta na jego ramieniu, potykając się co krok.

– Kurwa – rzucił Snake po chwili i zaraz zamilkł pod ostrym spojrzeniem pulchnej żony.

– Zamknij swój plugawy pysk – powtórzyła żabcia swoje, bez złości, raczej ze znużeniem. – Gównu wiesz.

To nie było przyjacielskie klepięcie po plecach. Claymore, który sam nie wiedząc po co sterczał wciąż przed wejściem do szałas, do którego zaprowadził Fabienne, aż się zatoczył.

– Czego? – warknął tylko, odwróciwszy się błyskawicznie. Był zły, że kuglarz tak zaszedł go od tyłu, kiedy był zajęty własnymi myślami.

Snake też był wściekły, jednak hamował się nieco. Miał świadomość, że żabcia spogląda z oddali, znad świeżej mogiły, przy której widać było wciąż małą sylwetkę Bethie, która gładziła wapienny głaz. Kiedy kuglarz odchodził, nuciła coś cicho.

– Chodź, zejdźmy im z oczu – powiedział Snake, ujmując Ramireza pod ramię. Dość mocno, tak że prawie popchnął go przed sobą. Claymore wyrwał się.

– A dokąd to? – spytał zaczepnie. – Nigdzie się nie wybieram.

– A tak, przejść się kawałek. – Kuglarz uśmiechnął się, ale jego oczy

błysnęły twardo. – I tak tu nic nie wystoisz, ona nie wyjdzie, znam ją na tyle.

Claymore zmierzył starego wzrokiem. Nie zamierzał wdawać się w sprzeczki, lecz ostatnie zdanie mocno go ubodło. Sam nie wiedział dlaczego.

– A jeśli nie?

– Co – jeśli nie? Nie wyjdzie, bądź pewien, próżne nadzieje. – Twarz kuglarza skrzywiła się w złośliwym uśmiechu. Ramirez patrzył mu prosto w oczy.

– Jeśli nie pójdę. Bo nie mam na przykład ochoty – wyjaśnił dobitnie.

Uśmiech spełził z twarzy Snake'a.

– Pójdiesz – odrzekł oschle. – Rozsądny jesteś.

Claymore wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru wszczynać awantury, widział, że między nim a kuglarzem prędzej czy później dojdzie do spięcia. I wolałby, żeby jednak było to później.

Szli powoli skrajem polany. Snake milczał wciąż, Ramirez, rzuciwszy nań spojrzenie z ukosa, dostrzegł, że przygryza nerwowo wąsa, jakby zbierał się do powiedzenia czegoś, co nijak nie chce przejść mu przez gardło. I dobrze, uznał, nie będę mu przecież pomagał.

Domyślał się, o co chodzi, każdy by się domyślił. Mam to gdzieś, powiedział sobie w duchu. I tak niedługo się rozstaniemy.

Poczuł ulotny żal – od dawna czegoś takiego nie doświadczył. Powróciło wspomnienie uścisku dłoni. Ciepła przytulonej doń dziewczyny, kiedy prowadził ją do szałas.

Zaklął pod nosem.

– Co mówiłeś? – spytał Snake podejrzliwie.

Ramirez drgnął.

– Nic – odparł szybko. – Zupełnie nic.

– A, to dobrze – odmruknął Snake i nagle się zirytował. – No to siadajmy, nogi mi w dupę włożą. Co za pieprzony dzień...

Claymore zgodził się łatwo, siadając na mchu, twardym i niskim, poprzerastanym trawą na samym skraju polany. Dzień był niewątpliwie fatalny, bolało go wszystko, nie nawykł do kopania dołów. Czuł, że cały

się lepi od potu i zaschniętego pyłu, plecy swędziały nieznośnie. Marzył o chwili, kiedy będzie mógł wejść do strumienia, wyciągnąć się na twardym, żwirowatym dnie, najlepiej na zakręcie, gdzie prąd pod brzegiem wymywa głębsze dołki. Leżeć tak i czekać, aż lodowata woda, biorąca swój początek na mokradłach, wymyje zmęczenie i złagodzi ból naciągniętych mięśni.

Wyglądało na to, że jeszcze będzie musiał poczekać. Tymczasem cieszył się względnym chłodem cienia na skraju lasu, lekkim powiewem nieniosącym już takiej duchoty jak jeszcze niedawno.

Przy mogile została już tylko Bethie, żabcia odeszła. Dziewczynka klęczała nieruchomo, Claymore'owi wydawało się, że spogląda właśnie na niego. Mógł się mylić, odeszli dość daleko od rozłożystego dębu i małego wzgórzka suchej ziemi, z której wiatr wzbijał szary pył.

Stary mruczał coś pod nosem, co brzmiało jak przekleństwa, widać niesporo było mu zacząć.

– Snake, litości – burknął w końcu Ramirez zniecierpliwiony. – Masz coś do mnie? To mów. A jak nie chcesz, to się odczep. Niebawem i tak się rozstaniemy, po co ozory nadaremnie strzępić.

Kiedyś sądził, że kuglarz i jego rodzina podporządkują mu się bez oporów. Sam nie wiedział, na jakiej podstawie tak przypuszczał, miał dla Snake'a niechętny szacunek, dla jego odwagi i siły, ale uważał go za nieokrzesanego włóczęgę. Starał się nie okazywać wyższości, nigdy zresztą nie okazywał, poza wypadkami, gdy należało zbluzgać opieszałego sługę albo po prostu kogoś zastraszyć. Zachowywał się wtedy wyniośle lub wręcz ordynarnie, a zawsze wiedział, co wróży lepsze skutki.

Tu od początku było inaczej. Claymore zdawał sobie sprawę, komu zawdzięcza życie. Tylko dzięki pomocy kuglarza i dziewczyny wyszedł cało z przedsięwzięcia skazanego od początku na niepowodzenie, wariackiego, w rzeczy samej wręcz samobójczego, co musiał w końcu przyznać. Miał powód do niepokoju – nigdy przedtem nie pakował się w takie sytuacje.

Snake o nic nie pytał. To też było irytujące, wydawało się, że kuglarz daje do zrozumienia, iż wie swoje. Także ironiczny uśmiezek, który błąkał się czasem po jego wargach, dawał wiele do myślenia. Ot, pańska

fanaberia, zdawał się mówić, te zobowiązania, kontrakty i przeznaczenie. Nie dla nas to, prostych ludzi.

Z początku Ramirez chciał przejąć przywództwo. Sam nie wiedział właściwie po co, bo Snake trafnie ocenił sytuację – nie miał pojęcia, co robić. Wszystko trwało w zawieszeniu. Codziennie tłumaczyli sobie, że nie sposób podejmować żadnych decyzji, póki żyje uratowana spod szafotu wiedźma. Jej życie, kruche i wiszące wciąż na włosku, wypełnione tylko cierpieniem, pozostało ostatnią nitką, która trzymała ich razem. Storturowana kobieta była jedynym dowodem na to, że ich poczynania miały sens. Potrzebowali takiego dowodu, bo zdawali sobie sprawę, że i tak wszystko poszło na marne.

Cienka nitka w końcu się urwała. Zniknęło coś, co trzymało razem tę dziwną gromadkę, najemnego zabójcę, kuglarza i jarmarczną wieszczkę. I niepokojącą dziewczynę imieniem Fabienne.

– Powiadasz, nie ma co strzępić? – Głos Snake'a wdarł się w tok myśli Claymore'a. – No, nie ma. Powiem wprost, trzymaj się od niej z daleka. A jeśli mamy się rozstać, to im szybciej, tym lepiej.

Ramirez w pierwszej chwili chciał się z nim zgodzić. I kiedyś zapewne by tak uczynił, kuglarz był nieważny. Nie było jak go wykorzystać, nie dawał sobą powodować, nigdy by nie dał. Co do tego Claymore był pewny swojej oceny. Niezbyt bystry, ale niezależny. Bez ambicji i pragnień, wystarczało mu to, co miał, trudno go czymkolwiek skusić. I jeśli zdecydował się na szaleństwo, na samobójczą wręcz próbę pomocy komuś, kogo znał przed laty, to tylko przez głupią lojalność i sentyment.

Dawny Claymore zostawiłby kuglarza, żałosnego i śmiesznego razem z jego wytatuowanym węzem i zasadami. Był całkowicie nieprzydatny, przydał się, ale już nie przyda.

Jednak teraz poniosła go złość. Może dlatego, iż chciał wyładować na kimś swój gniew. Miał poczucie straconego czasu, żal do samego siebie, że uwierzył w bzdury, które zawsze wyśmiewał. W przeznaczenie i legendę. W wieszczby i powinności.

Zmierzył kuglarza zimnym spojrzeniem.

– Co ty pieprzysz? – spytał powoli. – Człowieku...

Ostatnie słowo zawisło w powietrzu, była w nim cała pogarda i wyższość. Oczy Snake'a zwęziły się.

– Dobrze, panie Ramirez – wycedził po chwili. – Powiadacie zatem, że się rozstaniemy. To o wybaczenie proszę, nie było sprawy. Pójdziecie w swoją stronę, a my w przeciwną...

Claymore skinął chłodno głową. Już lepiej, pomyślał. Panie Ramirez, nie Claymore. Znaj swoje miejsce, człowieku.

– Posłuchaj – zaczął wyniośle. – Nic ci do tego. Nie twoja to sprawa. Ja wypełniam swoje zobowiązania, nie pojmiesz ich nawet. I wypełnię je, jak zawsze dotąd...

Nie podobał mu się kpiący uśmieszek, który znowu błąkał się po twarzy kuglarza. Ale ciągnął dalej.

– Nie zrozumiesz tego. Ale choć prostym człekiem jesteś, odwagę docenić potrafię. I wiem, że nagroda powinna cię spotkać...

Snake roześmiał się głośno. Odchylił się do tyłu, mało nie przewrócił na plecy. Siną farbą wykłuty wąż na błyszczącym od potu, muskularnym brzuchu poruszał się jak żywy, gdy kuglarza dławiły spazmy śmiechu.

– Oj, nie mogę... – wyjąkał wreszcie. I nagle spoważniał, śmiech ucichł jak nożem uciął.

– Waszą nagrodę to możecie sobie wetknąć w dupę, panie Ramirez – powiedział zimno. – Niewielka ona pewnie, w sam raz za nasze zasługi dla was. I dobrze, będzie was mniej bolało, kiedy będziecie wtykać.

Jego głos stwardniał, kiedy położył ciężką rękę na ramieniu Claymore'a.

– Powiadacie, rozstać nam się przyjdzie. I dobrze, panie Ramirez, bo ciężko to przyznać, ale na waszą gębę już patrzeć mi się sprzykrzyło. Jeszcze mnie co paskudnego spotka, jak waszych kamratów, coście im złote góry obiecali, a potem na śmierć poprowadzili, żeby wasze dupsko ochraniali. Prostack ze mnie, ale dziękuję, wolę uważać. Więc nie ma sprawy. Jeno powiadam wam, ot tak, na wszelki wypadek, nie obraźcie się, panie...

Przybliżył twarz do twarzy Claymore'a.

– Trzymajcie łapy z dala od mojej córeczki – syknął. – Nie dla was ona, gdzież jej, dziewczce prostej, do takiego pana. Przeto z dala, panie Ramirez, bo jeszcze i was co paskudnego spotka...

Claymore zachnął się. Już chciał powiedzieć, że on tej córeczki nawet

długim kijem... Ale przeczuwał, że nie byłoby to rozsądne.

Strącił dłoń kuglarza z ramienia. Wstał, popatrzył na polanę. Mała dziewczynka wciąż klęczała nad mogiłą. I znów przez chwilę miał wrażenie, że patrzy mu prosto w oczy. Potrząsnął głową.

– Jutro się rozstaniemy. – Popatrzył z góry na kuglarza. – Nie w głowie mi dziewczki bałamucić.

Snake zachnął się.

– Gówno o niej wiecie, panie Ramirez. I niech tak pozostanie – burknął.

Też podniósł się, stęknął tylko, kiedy chrupnęło mu w stawach.

– Dogadaliśmy się zatem – kiwnął głową. – Jutro chyba nie ruszycie – dodał. – Nic mi do tego, prostak jestem, ale trzeba się u bartników wywiedzieć. Gadają, że źle na traktach.

Stanął obok Ramireza, popatrzył na polanę, rozległą i pustą. Słońce rzucało już długie cienie, wapienny blok na mogile poszarzał i ściemniał. Znad szałasów w oddali unosiła się smużka dymu.

– Nie, żeby się wtrącał, panie Ramirez – ciągnął Snake. – Ale wiecie, jak to bywa, złapią, nad ogniskiem przypieką. W końcu narozrabialiście, oj, narozrabialiście. A wy wtedy wyśpiewacie szybko, kto was z miasta wywiódł. Na nic się wasza misja i zobowiązania nie zdadzą, wasze zasady; nad ogniem każdy śpiewa.

Splunął pogardliwie.

– O nasze to dupska chodzi – dokończył.

Claymore poczuł gniew, zmieszany z nagłą ulgą. Co on mi tu będzie rozkazywał, błysnęła myśl. I zaraz przyszła druga, której sam się nie spodziewał. Jeszcze nie nazajutrz.

Fabienne drgnęła, gdy małe, ciepłe łapki zakryły jej zniecierpliwione oczy.

– To ja – poinformowała Bethie.

Dziewczyna złapała małą za nadgarstki, odwróciła się powoli. Bethie uśmiechnęła się do niej, przytuliła.

– Gdzie byłaś? – spytała Fabienne, głaszcząc jasne, splątane wiatrem włosy. Wtuliła w nie twarz. Pachniały łąką.

– Śpiewałam jej piosenkę – powiedziała Bethie. – Ona lubi piosenki, wiesz?

Dziewczyna zeszywniała, odsunęła małą, która spojrzała na nią z wyrzutem jasnymi, szeroko otwartymi, niebieskimi oczami.

Fabienne poczuła, jak rozchodzi się po jej ciele fala przyjemnej ulgi. To mi się tylko wydawało, pomyślała, to nie było tak. Przywidzenie. Bardzo chciała w to uwierzyć.

– Wiem – powiedziała miękko. – Wiem...

Znów pogładziła lniane włosy dziewczynki. To tylko dziecko, uświadomiła sobie, żyje w wymyślonym świecie, takim, jaki chce, żeby był. Sama też tak go odbierałam, po swojemu. Ale krótko. Potem wszystko się zmienia.

Zacisnęła usta, coś zapiekło pod powiekami. Bethie wykrzywiła wargi w podkówkę.

– Gniewasz się na mnie.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, Bethie. Po prostu mi smutno. Bywa.

Mała zarzuciła jej ręce na szyję.

– Nie martw się, jej jest dobrze. Śpiewałam jej piosenkę – powtórzyła.

– Umarli nie potrzebują piosenek, Bethie – szepnęła, zanim sobie uprzytomniła, co mówi. – Umarli nie słyszą.

Przymknęła oczy. Ona musi mieć spokój, pomyślała. Zasłużyła sobie nań. Poczuła jak rączki dziewczynki ześlizgują się z jej karku, jak mała się odsuwa.

– Niemiła jesteś – usłyszała głosik, w którym drgała nutka płaczu. – Wstrętna. Śpiewałam dobrą piosenkę, nie złą.

Zrobiło jej się gorąco, poczuła nagły skurcz w dołku. Chciała otworzyć oczy, nie mogła. To nie jest prawda, myślała rozpaczliwie, proszę, to nie jest prawda. To mi się tylko zdawało.

Proszę.

Słowa smagnęły jak biczem.

– *Une mal chançon n'en deit estre cantee!*

Nadzieja zniknęła.

Fabienne wolno uniosła powieki. Już się nie bała, już nie było ważne. Czuła tylko chłód i pustkę.

Bethie roześmiała się.

– Nie gniewasz się – stwierdziła radośnie.

– Nie – odparła dziewczyna martwym głosem. Dlaczego mam zawsze takie pierdolone szczęście? – pomyślała. Dlaczego zawsze ja?

– To dobrze – Bethie zakręciła się w miejscu, jakby zrywając do płąsu w rytm tamburyna – tak tańczyła zazwyczaj na jarmarkach. Zanim jeszcze wmieszała się w tłum, by obcinać sakiewki gapiom, przypomniała sobie Fabienne. Była taka sama jak my. Kim jest teraz?

– Bo jakbyś się gniewała, to nie powiedziałabym ci – Bethie pogroziła jej palcem.

Zakręciła się raz i drugi, zaśmiała. Jej lniane włosy uniosły się, zawirowały razem z nią.

– A może nie powiem – przekomarzała się kapryśnie.

A może ja nie chcę słuchać, pomyślała Fabienne. Usłyszałam już zbyt wiele.

– Powiem – zdecydowała w końcu.

Uklękła obok dziewczyny siedzącej na posłaniu.

– On chce odjechać. Snake na niego nakrzyczał.

Nigdy nie nazywała kuglarza ojcem.

– Już jutro.

Jutro. To pierwsze dotarło do Fabienne. A potem żal. I ulga.

– Skąd wiesz? – rzuciła obojętnie.

– Ona powie... – dziewczynka urwała, zerknęła trwożliwie. – Podśluchałam – dokończyła niepewnie.

Fabienne nie zwróciła uwagi, zajęta własnymi myślami. Dziewczynka zrobiła minkę, jakby chciała się rozpłakać. Pogładziła policzek dziewczyny, zajrzała jej ciekawie w twarz.

– Pojedziesz z nim? – spytała cicho.

Chwilę trwało milczenie. Potem Fabienne odsunęła ją chłodno i wstała z posłania.

– Oszalałaś, smarkulo – fuknęła.

Promień zachodzącego słońca wpadł do wnętrza szałas, kiedy gwałtownie odsunęła wiszącą w wejściu derkę. Wyszła, nie oglądając się nawet.

Bethie została sama. Przez niedokładnie zasłonięte wejście wciąż sączyła się strużka światła, tańczyły w niej drobniutkie, jasne pyłki. Odbiła się błyskiem w oczach dziecka, w ogromnych, rozszerzonych źrenicach.

– To niedobrze – szepnęła Bethie cichutko. – Będzie bolało.

- II -

Domostwa przypominały bardziej bobrowe żeremia niż ludzkie sadyby. Mimo iż mieszkało tu co najmniej kilka rodzin, jak można było wnosić z liczby bab, podobnych zresztą do siebie, tak samo rozkudłanych i spoglądających nieufnie spode łba, wszyscy spali w jednym szałasie, czy też chacie, zbudowanym z grubej drągownicy, krytej darnią. Chata przywodziła na myśl trawiasty pagórek, zbrązowiały teraz i zeschnięty od suszy. Jedyne, prócz dymników, otwór przysłonięty był skórą, chyba niedźwiedzią, teraz doszczętnie wyleniała.

Drugi szałas, nieco mniejszy, krył w sobie niewątpliwie baryłki miodu oraz bryły wosku. I to było wszystko, cała osada, jeśli nie liczyć pnia z wbitym toporem, trawy wydeptanej do gołej ziemi oraz nieokreślonej liczby dzieci, od takich ledwie raczkujących do posępnych wyrostków, którym wąs sypał się już pod nosem.

Claymore, idąc wraz ze Snakiem za milczącym bartnikiem, zapewne starszym osady, zastanawiał się, czyje są te dzieci. Nie mógł oprzeć się podejrzeniom, że wspólne.

Przewodnik różnił się od pozostałych mieszkańców lasu. Wyglądał bardziej na królewskiego borowego – wysoki, barczysty, o stanowczej, niestarej jeszcze twarzy. Jedyne barani półkożuszek, wdziany włosiem na zewnątrz i noszony w największe upały, upodabniał go do pobratymców. Nawet można było się z nim dogadać, w odróżnieniu od reszty, która, jak się zdawało, dawno zapomniała ludzkiej mowy.

Zatrzymali się przed wejściem do większej chaty, tej mieszkalnej. Bartnik odsunął skórę, zasłaniającą wejście. Z ciemnej czeluści wionęło dymem i czymś jeszcze. Snake, który schylił się już, by wejść, zawahał się.

– A może porozmawiamy tutaj? – spytał, prostując się. Ramirez spostrzegł, że twarz starszego osady drgnęła.

– Jak chcecie, panie – odparł zimno. – Poczekajcie tedy. Ot tam, wedle pniaka.

Wskazał pień z wbitym toporem. Sam zniknął w chacie, nie oglądając się nawet.

Ramirez odwrócił się bez słowa, podszedł do pnia, spróbował wyrwać wbite głęboko ostrze. Nie udało się, stylisko ani drgnęło, a kłoda nie poruszyła się, widać solidnie wkopana. Szarpnął jeszcze raz, bez rezultatu. Snake odsunął go na bok, uśmiechając się pod nosem.

Mięśnie kuglarza nabrzmiały pod skórą nagich ramion. Snake nie szarpał, stanął tylko w rozkroku, pociągnął. Przez chwilę nic się nie działo i Claymore miał już na końcu języka ironiczną uwagę, kiedy nagle skrzypnęło i ostrze ciężkiego topora wysunęło się z pnia, poznaczonego licznymi cięciami.

Kuglarz przyjrzał się toporowi z uznaniem, po czym cisnął go na wysuszoną, pokrytą drzazgami z rąbanych polan ziemię, wzbijając tuman kurzu.

– Możecie siadać – mruknął. – Ja postoję.

Claymore chciał z początku zaprotestować, zły, że Snake jak zwykle nie przepuścił okazji, by okazać wyższość. W końcu wzruszył ramionami i usiadł.

– A uważajcie na drzazgi – dodał kuglarz. Claymore nie zareagował.

Wyglądało na to, że bartnik zniknął w chacie na dobre. Czas zaczynał się dłużyć, tym bardziej że nie mieli ochoty na rozmowę, coraz bardziej narastała niewypowiedziana do końca wrogość.

Na domiar złego zaczęły nadciągać dzieci, zwabione widokiem niezwykłych gości. Zazwyczaj nie opuszczały osady, tylko z początku, powodowane ciekawością, potrafiły zbliżyć się do obozowiska, by z rozdziawionymi buziami przyglądać się całkiem zwyczajnym czynnościom. Ale przepędzone kilka razy zaprzestały podchodów. Teraz zbliżały się ostrożnie, niczym ciekawskie zwierzątka, gotowe do ucieczki przy najmniejszym ruchu.

W końcu dwóch najśmielszych, tak na oko czterolatków, stanęło kilka kroków przed Ramirezem. Chłopcy byli do siebie podobni, tak samo umorusani, prawie nadzy, jeśli nie liczyć lnianych, niegdyś zapewne bielonych w słońcu koszulin. Obaj dłubali zawzięcie w nosach i wpatrywali się w przybyłych.

Mijały chwile. W końcu Snake uśmiechnął się, podciągnął skraj kubraka, pokazując płaski, lśniący od potu brzuch z wytatuowanym ogonem węża, którego dalszy ciąg nikał w spodniach. Napiął mięśnie, skóra zafalowała, wąż poruszył się jak żywy. Malcy roześmiali się, jeden zastygł z wyciągniętym palcem, z którego zwisał właśnie wydobyty z nosa zielonkawy glut. Przysunęli się bliżej, ten z umazanym palcem wyciągnął rączkę, jakby chciał dotknąć wytatuowanej, sinawej gadziny.

Claymore przełknął ślinę, nie wiedząc, co zrobić. Schylił się bezmyślnie, by podnieść odłupaną drzazgę. Gdy się wyprostował, chłopcy już pierzchli. Mieli odruch jak wiejskie kundły, rzucające się do panicznej ucieczki, gdy tylko ktoś schylił się po kamień.

Snake opuścił kubrak.

– Nie lubisz dzieci, Ramirez – powiedział. Nie zabrzmiało to jak pytanie.

Claymore zaprzeczył ruchem głowy.

– Lubię – odparł. – Ale robić.

Kuglarz nie odpowiedział. Odwrócił się tylko. Znów obaj milczeli, a umorusane dzieci obserwowały ich z bezpiecznej odległości.

Nawet Snake zaczynał się już niecierpliwić. Bartnik zniknął w chacie i nic nie wskazywało, by w najbliższym czasie z niej wychynął. Kuglarz przestępował z nogi na nogę, wymrukiwał pod nosem przekleństwa. Patrzył, jak rozczochrana kobieta zagania dzieciaki niczym prosięta do zagrody.

– Zastanawiam się... – zaczął, nie patrząc na Claymore'a.

– Zastanawiasz się, dlaczego nie wyciągnęliśmy go jeszcze z tej jego gawry, żeby obić po ryju? – Ramirez z ironią wpadł mu w słowo. – Chociaż nas tu ściągnął, pieprząc coś o niesłuchanie ważnych wiadomościach?

Snake skrzywił się tylko.

– Powiem ci, dlaczego – ciągnął Claymore. – Nie wyciągniemy go z tej

dziury, bo tam śmierdzi. Proste, nieprawdaż? I nie mamy ochoty do niej włączyć. Obić trzeba było od razu, jak radziłem. Nie posłuchałeś, to teraz czekaj.

Kuglarz stanął nad nim, popatrzył z góry.

– Posuńcie no dupsko, panie Ramirez.

Po krótkim wahaniu Claymore uczynił zadość życzeniu. Pniak był duży, zmieścili się obaj. Siedzieli teraz odwrócenii, wsparci o siebie plecami.

– Wiecie, panie Ramirez – zaczął kuglarz po chwili – dziwny z was człowiek. Cóż, prostak ze mnie, jarmarczny komediant, nie mnie rozumieć, jako to pańskie myśli biegną. Nie mnie rozumieć. Wy, panie Ramirez, uczony człek jesteście, we wszelkich arkanach biegły i kształcony. Może to i sposób, zrazu w ryj dać. Ale nie boli was ręka czasem?

Znad kopulastej, krytej darnią chaty z dymników uniosła się smużka dymu, zgęstniała szybko, przeświecona promieniami słońca. Zasłona w otworze wejściowym poruszyła się, lecz zaraz znieruchomiła. Ramirez zmrużył powieki, patrzył, jak brudna, niekształtna w okrywających ją skórach kobieta niesie równie brudne dziecko.

Nie miał ochoty na dyskusję, ogarniała go coraz większa złość. Kim ty jesteś, pomyślał, co ty tam wiesz. I niby dlaczego miałbym cię słuchać?

– Tak, panie Ramirez – burczał kuglarz. – Bo niby kim ja jestem, żeby wam, panie, mówić, co słuszne? Toć przecież własny rozum macie, większy od mojego niepomierne.

Nie mylisz się istotnie, przemknęła Ramirezowi przez głowę niechętna myśl.

– Jeno zdaje mi się, że nie godzi się tak – ciągnął Snake niezrażony brakiem reakcji. – Tak od razu w ryj dawać, choćby i chamisko to było zwykłe, jak ten ot, bartnik. Toć przy nich od wiosny bez mała żyjem, wstrętów nie doświadczywszy, wręcz przeciwnie. Ale wy, panie, możecie sądzić inaczej. Słusznie zapewne.

Claymore wstał nagle, aż wsparty o jego plecy Snake zachwiał się. Zaraz jednak się wyprostował.

– Przepraszam was, panie, jeśli czymś uraziłem – rzucił przez ramię

drwiące spojrzenie. – Już nie będę, obiecuję.

Ramirez miał dość tego czekania i pogardliwych docinków Snake'a. Zdawał sobie sprawę, że jeszcze moment, a rzuci kuglarzowi w twarz słowa, których potem będzie żałował.

Ale nie powstrzymał się i wstał. Niepotrzebnie. Chciał tylko odepchnąć kuglarza. Nie zdążył wyprostować ręki, gdy coś ścisnęło mu nadgarstek niczym potężne imadło. Przez chwilę stali bez ruchu, tylko głośniejszy stał się oddech Ramireza. Snake rozciągnął wargi w grymasie, który mógł być uśmiechem odsłaniającym wciąż mocne zęby.

Żył na skroniach Ramireza nabrzmiały, poczerwieniał. Kuglarz uśmiechnął się szerzej, aż uniosły się końce siwych wąsów. Nie widać było po nim wysiłku, rozejrzał się obojętnie.

– Chcesz im jasełka prezentować? – spytał cicho, głos jednak lekko mu zadrżał z wytężenia, Ramirez nie był ułomkiem.

Brudna kobieta gapiała się, trzymając dziecko pod pachą jak tobołek. Smarkacz wymachiwał nogami i wrzeszczał.

– Uważaj, zaraz cię puszcze – ostrzegł Snake. – A jak się będziesz ciskał, to zastosuję twój sposób. W ryj. Bo już mam cię dość, Ramirez. Wszyscy mamy.

– Mów za siebie – zdążył jeszcze stęknąć Claymore, zanim Snake zwolnił uścisk. Zachwiał się, rozcierając nadgarstek. Wiedział, że nie sprosta kuglarzowi w bezpośrednim starciu, ten miał siłę niczym jego ulubieniec, śmierdzący niedźwiedź.

Ramirez zdał sobie sprawę z całego idiotyzmu sytuacji. Zastanawiał się, co go opętało, przecież nigdy nie dawał się ponosić emocjom, zawsze kalkulował zimno i spokojnie. Ale tym razem złość nie pozwalała na chłodną analizę.

Dostrzegł, że uśmiech nie schodzi z twarzy Snake'a. Kuglarz wskazał głową gdzieś za plecy Ramireza.

Kobieta puściła umorusane, półnagie dziecko, które, wrzeszcząc głośno, odbiegło w stronę chaty. Skóra zwisająca u wejścia uniosła się, ktoś stanął w ciemnym otworze, przysłaniając oczy przed promieniami słońca.

– Doczekaliśmy się, panie Ramirez. I trzeba było tak się denerwować?

W głosie Snake'a zadrgała drwina. Claymore nie zareagował.

O ile starszy leśnej osady nie wyglądał na bartnika, to jego towarzysz jak najbardziej. Porośnięta siwymi kłakami gęba, przepasana powróstem lniana, zszarzała siermięga, łapcie z łyka pasowały idealnie do nory zwanej chatą, niechlujnych kobiet i gromady dzieciaków, niewątpliwie owocu zimowej nudy i bezczynności, kiedy to pszczoły trwają w odrętwieniu w barciach, a bartnik musi szukać innych rozrywek.

Okazało się, że to na niego właśnie czekali tyle czasu. Na tego kmiota, pomyślał Ramirez ze złością, głupkowatego z samego wyglądu. Popatrzył na starszego osady z nieukrywaną niechęcią.

– Wybaczcie, szlachetni panowie – sumitował się bartnik, spoglądając spode łba. – Szwagier ludzi niezwyčajny, strachał się z obcymi gadać. A to jeszcze ze ślachcicami...

Szwagier, choć pono niezwyčajny, uśmiechał się bezmyślnie, wodząc niebieskimi, zażawionymi oczyma. Ciekawe, przemknęło Claymore'owi przez głowę, czy on tak z natury, czy może od okadzania tych barci. Istotnie, od starego jechało dymem, jakby właśnie przed chwilą przerwał swój pszczelarski proceder. Ale równie dobrze mógł tak cuchnąć od paleniska w chacie, albo nawet z natury.

– Szwagier niezwyčajny, powiadam, zastrachać go łatwo – ciągnął starszy osady. – A jak zastrachać, to nic nie powie, choćbyście go panie, żeleźcem żgali. Choćby i rozpalonym.

Popatrzył na krewniaka z dumą.

– Powiadam, zatnie się i nie powie.

Stary wciąż nie wyglądał jednak na zbyt zastrachanego. Ciągłe się uśmiechał, szeroko, pokazując bezzębne dziąsła.

Claymore chciał już bluznąć przekleństwem, kiedy poczuł, jak dłoń Snake'a zaciska mu się na ramieniu.

– A jaka z nas ślachta? – zaśmiał się kuglarz głośno. – Ot, jako i wy, prości ludzie.

Mów za siebie, burku, pomyślał Ramirez. Nie powiedział jednak tego na głos.

– Ot, szata ludzi myli – ciągnął Snake. – Bogatsza nieco, to już myślą – ślachcic. A my proste ludzie, spokojne, jeno przy kościach poszczęściło, to i w co oblec się mamy.

Oczy starszego osady zwięziły się nagle. Spojrzał w porozumiewawczo zwięzone oczy Snake'a, jego rysy rozluźniły się po chwili. Skinął lekko głową.

– No i widzicie, kumie – kuglarz z rozmachem klepnął starego po plecach. – Zadne ludzie są, nie ma się co bojać.

– A ja się i nie bojam – zamamlał stary, tocząc wokół spojrzeniem załzawionych oczu. – Jeno temu wilkiem z gęby patrzy.

Ledwie dostrzegalnym ruchem głowy wskazał na Ramireza. Po czym istotnie zastrachał się swoją niewczesną śmiałością, bo skurczył się i zapadł w sobie. Przypominał teraz przycupniętego w bruździe zająca.

– Jemu? – roześmiał się kuglarz. – Toć on i muchy by nie ukrzywdził, choćby mu do piwa wpadła. A gęba istowo, paskudna u niego, ale to tak od urodzenia.

Trącił kułakiem w pierś Claymore'a, który odpowiedział uśmiechem, czując mrowienie w ściągniętych policzkach.

– Istowo, od urodzenia. – Przymknął powieki, by nikt nie zauważył złego błysku w oczach. Chętnie chwyciłby starego za chudą szyję i nie puszczał, dopóki nie poczułby pod palcami wyciekającego życia. Nie wiedział w zasadzie, dlaczego akurat jego.

Starszy osady śledził tę wymianę zdań spod zmrużonych powiek. Dobrze wiedział, kim są goście, od wiosny sąsiedzi na polanie. Nie miał złudzeń, nie byli to dobrzy ludzie. Ale żądza zysku jak dotąd przeważała, za spyżę płacili srebrem. I choć wiele razy nachodziła go ochota na całe ich srebro, to wciąż pamiętał o mieczach i kordach, o bojowych koniach, które nie są dla chudopachołków. Pamiętał dziewczkę o gładkiej buzi i zaciętych ustach, która codziennie dziurawiła pnie ostrzami rzucanych noży, ot tak, żeby nie wyjść z wprawy.

Nie był zbyt biegły w rachunkach. Ale wciąż wychodziło mu, że jest ich za mało w osadzie, nawet licząc kobiety i podrostków, by wziąć sobie

to, co w jego mniemaniu od dawna im się należało. Owszem, to puszcza, dziedzina leśnych ludzi, kto tu wchodzi i popasa, sam sobie winien. Ale wciąż obawiał się, że nie da rady, nawet ze szwagrem.

Teraz podjął grę kuglarza, by tylko uspokoić krewniaka. Nawet mimo niepokojących wieści wciąż była nadzieja na zysk. Choćby mniejszy.

Stary spoglądał nieufnie spod siwej, wciąż gęstej czupryny. Nie do końca widać wierzył zapewnieniom Snake'a.

– No, kumie, gadajcie – zniecierpliwiał się wreszcie bartnik. – Nie będziem tak po próznicy do wieczora siedzieć.

O dziwo, pomogło od razu. Szwagier tarł czoło, jakby tym gestem chciał zmusić szare komórki do większego wysiłku.

– Od początku gadać? – upewnił się. Kuglarz i bartnik jednocześnie skinęli głowami.

Stary podciągnął opadające zgrzebne portki. Nawet powróło, którym był przepasany, niewiele pomagało, nie chciały trzymać się na zapadniętym brzuchu.

– Ano, jak od początku, to od początku. Wiecie, panie, tam za młodnikiem...

Patrzył na kuglarza, starannie za to omijał wzrokiem Ramireza.

– Ano nie wiecie... – stropił się. – No bo i skąd macie wiedzieć? Młodnik, panie, to tamój, gdzie grąd się kończy, i zara bagno zaczyna. Zgnilcowe Oparzelisko, panie, a wzięło się to stąd, że...

Ramirez nie wytrzymał.

– Do rzeczy – zgrzytnął zębami.

Znów poczuł uścisk kuglarza na ramieniu, tym razem mocniejszy. Zabolało.

Snake uśmiechnął się.

– Ależ wiemy, wiemy – powiedział. – Wzięło się to stąd, że niejaki Zgnilec się w nim utopił.

Szwagier rozpromienił się, zaraz jednak uśmiech spełzł z jego twarzy, pooranej zmarszczkami jak kora starego drzewa.

– A skąd wiecie? – spytał nieufnie.

– Domyśliliśmy się – uciął Claymore.

– Ano, jeśli tak, to słusznie prawicie, istowo, utopił się tamój, chomąt jeden. A było to wiele roków nazad...

Ramirez wciąż czuł uścisk dłoni Snake'a, zerknął na kuglarza, ale ten udał, że nic nie widzi, kiwał tylko głową, wciąż z uśmiechem spoglądając na starego.

Może ma rację, pomyślał Claymore, niech się kmiot wygada. Śmielszy będzie, chociaż i tak nie wygląda na zbyt zastrachanego. Uścisk palców kuglarza zelżał, widać Snake uznał, że Ramirez nie zrobi już nic, co mogłoby spłoszyć starego.

Claymore rozmasowywał ramię, słuchając mimochodem o marnym końcu Zgnilca, kłusownika, jak mógł wywnioskować z opowieści, która szczęśliwie zmierzała do nieszczęśliwego końca.

– ...i jeno przerębel czerniała na śniegu, a bulgotało w niej! – dokończył wreszcie stary, w samą porę, bo i na twarzy kuglarza dostrzec można było lekkie zniecierpliwienie.

– To już tera wiecie, gdzie młodnik? – upewnił się szwagier, gdy zapadło krępujące milczenie.

Wszyscy, włącznie ze starszym osady, gwałtownie skinęli głowami.

– Tamój, gdzie grąd się kończy, a bagno zaczyna. Wiecie, Zgnilcowe Uroczysko...

Przez jedną straszną chwilę Claymore miał wrażenie, że stary zacznie od początku. Pomyślał mętnie, że dobrze byłoby wiedzieć, jak starego wołają, a także gdzie można znaleźć najbliższe uroczysko. Najlepiej bezdenne, i, jak dotąd, bezimienne.

– Ano, skoroście nieciekawi, to trudno. – Szwagier powiódł wkoło spojrzeniem zażawionych oczu. Wyraz twarzy Snake'a nie spodobał mu się wyraźnie, gdyż znów skulił się i zgarbił.

– No i co w tym młodniku? – spytał kuglarz łagodnie, gdy milczenie się przedłużało.

– Gdzie? – spytał stary, nie podnosząc tym razem wzroku.

– W młodniku! – Snake nie zapanował już nad głosem, stary skulił się jeszcze bardziej.

– Ano, we młodniku to nic – mruknął wreszcie. – A co może być we młodniku?

– Poczekajcie – wtrącił się zdecydowanie starszy osady.

Ujął szwagra pod ramię, odprowadził kawałek. Stary zapierał się, jak baran prowadzony na rzeź. Ramirez i kuglarz wymienili spojrzenia.

– Masz rację – mruknął Snake po chwili. – Tylko już nic nie mów.

Claymore wzruszył ramionami.

– Może załatwimy to jednak po mojemu? – spytał.

Wbrew obawom kuglarza Claymore nie obił nikogo po ryju, choć stary niewątpliwie był bliski przeciągnięcia struny. Takie rozwiązanie, choć niezwykle pociągające, jak sam kuglarz musiał przyznać, mogłoby okazać się ryzykowne. Bartników było sporo, a ich kobiety także wyglądały na zaprawione w bojach, musiały być, aby przeżyć w ostępach Sherwood. A starszy osady sprawiał wrażenie tęgiego zabijaki, który nie tylko z niedźwiedziem łąsą na miód potrafi sobie poradzić.

Coś niepokojącego było w posępnej twarzy tego mężczyzny, w ogóle w jego sposobie bycia. Snake nie mógł sobie wyraźnie uświadomić, co. Po prostu nie pasował tu, do zagubionej w puszczy osady, wysławiał się zbyt gładko, nie było w nim owej przymilności, którą demonstrował wciąż jego stary szwagier. Kuglarz nie lubił Claymore'a, ale w czasie krótkiej bądź co bądź znajomości nauczył się polegać na jego osądzie. Teraz też spostrzegł ledwie widoczne zwężenie oczu, słyszał ostrożność w głosie, kiedy Ramirez rzucał krótkie pytania, niby staremu, ale wciąż nieznacznie śledząc wzrokiem starszego osady.

Okazało się, że dla ośmielenia szwagra wystarczą dwa srebrne pensy. Już nie był zastrachany, wykazał się też niebywałym słuchem. Brzęk monet rozpoznał bezbłędnie z dobrych dwudziestu kroków, gdy tylko Ramirez wyciągnął chudą, coraz chudsza ostatnio sakiewkę, i począł rozplątywać rzemyk.

Napięcie spadło zdecydowanie, gdy tylko stary spróbował nadgryźć monetę, by sprawdzić jakość kruszcu. Tylko spróbował, gdyż brak zębów uniemożliwił jednoznaczne potwierdzenie lub zakwestionowanie rzetelności Ramireza czy też królewskiej mennicy. Zapewne widział

pensa po raz ostatni, kiedy miał jeszcze zęby.

Ale choć stary nie był już zastrachany, nie dowiedzieli się wiele. Snake splunął z irytacją, kiedy uświadomił sobie, iż szwagier powiedział tylko jedno: no, leżą tam na trakcie. Jakież pobite i pokalecone...

Nic więcej rozsądnego nie udało się z niego wydobyć. Powtarzał w kółko to samo, wreszcie spochmurniał i zamilkł. Spoglądał tylko nieufnie, w obawie, czy nie odbiorą mu monet, które zaciskał w garści.

– Chodź na chwilę. – Claymore ujął pod ramię kuglarza, mamroczącego pod nosem jakieś przekleństwa. Odeszli kawałek, nie oglądając się na starszego osady, który półgłosem strofował szwagra.

– Miałeś rację – przyznał Snake niechętnie, kiedy się zatrzymali. – Trzeba było od razu po ryju nakłaść. Strata czasu.

Ramirez zaprzeczył ruchem głowy. Korciło go, by odgryźć się za wszystkie złośliwości, ale tym razem się powstrzymał. Coś zaczynało mu się kojarzyć, i jak zwykle kiedy przychodziło do działania, zaczął myśleć nad wyraz trzeźwo.

– Wręcz przeciwnie – szepnął, jakby obawiając się, że bartnicy go podsłuchają. – To ty miałeś rację.

– Co? – roześmiał się kuglarz z ironią. – Te bajania o uroczystkach? O pobitych na trakcie? A bo to pierwszozna? Myślałem...

– Ciszej! – syknął gniewnie Claymore. – Przestań się wydzierać. I posłuchaj mnie może chociaż raz.

Snake sapnął gniewnie, ale zamilkł. Może istotnie Claymore coś zauważył, pomyślał niechętnie. Ech, zdaje mi się, zamiała mnie jego gładka gadka...

– Posłuchaj! – Ramirez też był zły. Chwycił kuglarza za ramię. – Ten stary jest nieważny, on miał tylko potwierdzić to, co ma do przekazania ten drugi... Kurwa, nie gap się tak!

Snake drgnął i odwrócił wzrok od bartnika, na którego spojrzął odruchowo. Słuchał teraz uważnie. Ramirez powstrzymał się od triumfującego uśmiešku.

– On nas sprawdza. – Mówił wciąż cicho, wiedząc, że kuglarz już mu uwierzył. – Coś się w puszczy dzieje, a on chce wiedzieć, czy mamy z tym coś wspólnego. Lubi ryzyko, ten nasz przyjaciel...

Ledwie dostrzegalnym ruchem głowy wskazał bartnika, który czekał opodal z obojętnym wyrazem twarzy, jakby nie jego dotyczyła rozmowa. Szwagier zniknął już na powrót w chacie, nie był więcej potrzebny.

– Jak? – spytał krótko Snake.

– Nieistotne. – Claymore skrzywił się lekko. – Teraz musimy się związać stąd, i to szybko. Nieważne, co sobie o nas myśli, lecz właśnie daje nam znać, że nie jesteśmy już pożądanymi sąsiadami. Ale musimy mieć trochę czasu.

Kuglarz skinął głową. Też zaczynał rozumieć.

– Co chcesz zrobić?

– Postraszyć go trochę. – Ramirez uśmiechnął się lekko. – Muszę sprawdzić, co się dzieje. Z tego, co opowiadał staruch, trudno cokolwiek wywnioskować. Zastanawiam się, co ich tak przeraziło, w końcu trupy na gościńcu to w puszczy zwyczajna rzecz. Ciekawe, dlaczego właśnie teraz uznali, że powinniśmy o czymś takim wiedzieć.

Może doszli do wniosku, że już nic od nas nie wyciągną, pomyślał Snake. Albo po prostu mają dość podejrzanej kompanii, która rozłożyła się pod bokiem. Niewykluczone, że obawiają się zemsty, karnej ekspedycji, która rychło ruszy do lasu, jeśli napady będą się powtarzać.

Nie powiedział tego na głos. Choć z wysiłkiem odpychał tę myśl, przyszło mu do głowy, że jednak Ramirez może mieć rację. To jeszcze nie koniec.

Chciał splunąć na trawę, ale nagle zaschło mu w ustach.

– Teraz dziękujemy mu ładnie za wieści – Claymore zmrużył oczy, w jego ściszonego głosu zabrzmiał ton rozkazu. – Ty wrócisz do obozu, a ja z nim jeszcze porozmawiam. I to tak, żeby mu nie przyszły do łba żadne głupie pomysły.

Twarz kuglarza ściągnęła się, jednak nie zaprotestował ani słowem. Postanowił posłuchać, po raz ostatni. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, pomyślał tylko.

Niemowlę zakwiliło, ucichło zaraz, gdy kobieta szturchnęła nabrzmałym sutkiem w wykrzywione od płaczu, zaślinione usteczka. Zaczęło ssać, gniotąc usmoloną rączką wezbraną pokarmem pierś. Claymore odwrócił wzrok. Kobieta, choć brudna i rozczochrana, miała w sobie coś ponętne. Za długo siedzę w tym lesie, pomyślał, nie mogąc powstrzymać się od ukradkowego spoglądania. Złowił błysk spojrzenia spod szopy ciemnych, skudlonych włosów, zauważył ledwie widoczny uśmiech.

Wnętrze chaty rozświetlały tylko płomienie umieszczonego na środku paleniska, obramowanego wielkimi polnymi kamieniami. Bartnik dorzucał właśnie chrustu, ogień wspinał się wyżej, pożerając z trzaskiem suche gałązki, lizał okopcone i zasmolone boki zawieszzonego nad paleniskiem kociołka. Dym zbierał się pod dachem, uchodził niechętnie przez dymniki w szczytach chaty, wduszany do środka podmuchami wiatru.

W świetle ognia można było dostrzec szczegóły konstrukcji, drągowinę narzuconą byle jak, opartą o długą belkę kalenicy, niskie ścianki z plecionki obrzuconej gliną. Jak wszystkie leśne chaty, również i ta nie miała okien, jedynym otworem poza dymnikami było wejście, przysłonięte skórą. Całe wnętrze pokrywały warstwy sadzy i kopcia, im wyżej, tym grubsze.

Kociołek bulgotał, roztaczając dokoła woń mięsnej polewki. Kilkoro dzieci siedziało wokół ognia, wpatrzonych w gotującą się strawę niczym głodne psiaki. I podobnie jak psiaki były odganiane przez drugą z kobiet, pomarszczoną wiedźmę bez nijakich śladów niegdysiejszej urody.

Ramirez siedział na narach, ciągnących się przez całą długość chaty. Innych sprzętów nie było, nawet jednego zydla. Obok niego siedzieli dwaj chłopcy, pewnie ci sami, którzy podziwiali wcześniej Snake'a. Byli najśmielsi, jeden właśnie wyciągnął ostrożnie palec, dotknął kubra Claymore'a i zachichotał, jakby było to niezwykle śmieszne. Dalej nary niknęły w ciemności i dymie, ktoś chrapał, jeszcze dalej coś się kotłowało, aż szeleściła wyścielająca nary słoma i skrzypiały żerdzie.

Bartnik dorzucił do ognia większe polano, iskry trysnęły pod dach, a kobieta przy kociołku zaskrzeczała gniewnie. Mężczyzna wzruszył ramionami, nie zwracając na to większej uwagi. Pochylił się i grzebał w czymś, co z dala wydawało się stertą zwalonych na kupę skór.

Claymore znów zerknął na karmiącą kobietę. Wciąż nieznacznie się uśmiechała, w jej oczach odbijała się czerwień ognia. Spojrzenie miało w sobie coś wyzywającego, nie odwrócił jednak wzroku. Mimowolnie też skrzywił wargi w uśmiechu. Nawet ładna, pomyślał, to znaczy byłaby ładna, gdyby ją porządnie umyć. Wbrew wszystkiemu, co nawet go irytowało, budziła w nim pożądanie.

Ktoś trącił go w ramię. Bartnik podał mu niekształtny drewniany kubek, pracowicie wyrzeźbiony z topolowej gałęzi. Podążył za wzrokiem Claymore'a, wyraz jego twarzy nie zmienił się przy tym ani trochę.

– Witamy w naszych skromnych progach, panie – powiedział tonem z wyraźnie wyczuwalną kpiną. Pomarszczona wiedźma przy saganku zawtórowała skrzekliwym śmiechem, ale umilkła zaraz pod krótkim, karcącym spojrzeniem i zaczęła mieszać bulgocącą polewkę.

– A miecz możecie, panie, odłożyć. – Bartnik wymownym ruchem głowy wskazał pochwę okręconą pasem, leżącą w poprzek kolan Ramireza. – Niewygodnie wam przecie. My ludzie spokojni, nie masz u nas zdrady. A gość w dom...

Szerokim gestem zatoczył po zakopconym wnętrzu chaty.

– Pewnieście do czego innego zwyczajni. Ale cóż, wystarczyć musi, skoro już w goście zaszliście.

Odkorkował podróżny, obciążony skórą bukłak, który mógł budzić podejrzenie, że został zrabowany jakiemuś szlachcicowi. Na chwilę mocny zapach miodu wybił się ponad dym i wypełniającą izbę woń polewki. Ramirez bez słowa podstawił kubek, zabulgotał nalewany trunek.

– Pozwolicie, że ja też wypiję, jeno z bukłaczka prosto. – Bartnik zmrużył oczy. – Kubek jeden ino, skromna nasza chata, my gości niezwyčajni, takich znacznych jak wy, panie. A miód przedni.

Claymore pociągnął łyk, mocząc płowe wąsy w gęstym, słodkim napitku. Mlasnął z uznaniem.

– Istotnie, przedni – mruknął. – Wasze zdrowie, Williamie Jacksonie.

Bartnik, który już przechylił bukłak do ust, zakrztusił się nagle, struga miodu spłynęła mu po brodzie.

– Skąd... – kaszlnął, zaskoczony.

Ramirez uśmiechnął się tylko. Trafił.

– Nieważne – odparł cicho, spoglądając w stężałą nagle twarz mężczyzny. – Wasze zdrowie, przedni to miód.

Zasyczał żar, z paleniska buchnęła para. Stara kobieta przestała mieszać polewkę, gotująca się strawa wykopiała na kamienie paleniska. Po chwili rozrzuciła kijem płonące głownie, mrużąc przekleństwa.

Claymore wysączył miód do dna, podsunął kubek bartnikowi. Nie spieszył się z wyjaśnieniami. Z trudem powstrzymywał triumfalny uśmiech.

Wystarczy posłuchać, mój dobry człowieku, pomyślał. Pozbierać do kupy to, co się usłyszy. Ot, choćby to, żeś leniwy jak twój ojciec, Jack. Na drugi raz powiedz tej wiedźmie, niewątpliwie twojej matce, żeby się tak nie wydzieriała. A teraz dowiemy się, kim jesteś naprawdę. Zbiegłym zbrojnym? Może banitą, skazanym za jakieś występki, nieistotne przecież, jakie? Ale nie pasujesz do tej chaty. A ja chciałbym wiedzieć, co sobie zamyślasz. I do czego możesz się przydać.

William ponownie napełnił kubek. Potrafił szybko zapanować nad sobą. Uniósł bukłak, przepił do Claymore'a. Ten podziękował skinieniem głowy.

– Zrobimy tak – zaczął po chwili bartnik z namysłem. – Ty nie powiesz reszcie, kim jestem...

Już nie udawał prostaka. Teraz to Ramirez o mało nie zakrztusił się miodem. Zrozumiał, że nie docenił tego człowieka. I jasne się stało, że William Jackson doskonale wie, kim jest Claymore. Musiał go znać wcześniej, choćby z widzenia. Ramirez powstrzymał ciskające się na usta przekleństwo. Nie musiał się specjalnie domyślać, co zaraz usłyszy. Nie mylił się.

– A ja, kiedy we wiosce będę, to nie powiem, kto tu wedle osady obozem się rozłożył.

Popatrzył znacząco na gościa.

– Bo wiecie, panie, do wioski to i żołnierze zajeżdżają czasem. A nie uwierzycie, jak te kmioty potrafią ozorami chlapać, kiedy co usłyszą...

Pokręcił głową z udawanym zdziwieniem.

Claymore uśmiechnął się zimno.

– A cóż to takiego mogą owe kmioty wychłapać? – zdziwił się obłudnie.

Kobieta karmiąca niemowlę zaśmiała się nerwowo, ale szybko spuściła wzrok pod karcącym spojrzeniem bartnika. Ten burknął coś pod nosem.

– Ano, nosa z puszczy mało wyściubiacie – zaczął po chwili, wpatrując się w ogień na palenisku. – I nie wiecie, że źle się dzieje. Ciężka zima była, głód, potem szeryf nowy nastał, tfu...

Jackson skrzywił się. Claymore widział jego profil w czerwonym świetle ognia.

– Pewnie sami wiecie, jaki on był. I dobrze, że ziemię gryzie, chociaż ten następny pewnikiem też lepszy nie będzie. Zawsze tak jest, nam, biednym, tylko wiatr w oczy.

– Do rzeczy – wtrącił zimno Claymore.

Bartnik spojrział na niego z ukosa.

– Ot, co po próznicy ozór strzępić. Ludzi ktoś w mieście pomordował, całe hrabstwo aż huczy. Wiedźmę od stryczka odciął, przez co kary należnej uniknęła. I tak mi się coś zdaje, że osobliwie przypominacie tych, co to zrobili, wy, panie, i wasza kompania. Nawet i wiedźma by się znalazła, jakby dobrze poszukać.

– Do rzeczy, powiadam – Ramirez nie podniósł głosu. Ale w jego tonie było coś takiego, że Jackson spoważniał.

– Dobrze – kiwnął głową. – Zatem powiem wam wprost, panie. Czasem sąsiedztwo staje się niezdrowe. I kłopotliwe. Bo jeśli was tu ktoś znajdzie, to i nas z dymem puści. Nie zdążymy wytłumaczyć, żeśmy wiedźmy od stryczka nie odcinali ani mieszczan na placu w mieście mieczami nie siekli.

Popatrzył Ramirezowi prosto w oczy. W jego wzroku nie było strachu ani respektu.

– Przeto zastanówcie się, panie, co gadacie. A najlepiej zabierajcie się stąd, bo nic was już tu nie trzyma. Zanim...

Bartnik urwał, a niewypowiedziana groźba zawisła w powietrzu.

Claymore wstał, przeciągnął się leniwie, aż poczuł ból w kościach.

– Dzięki za gościnę, mój dobry człowieku – powiedział dobitnie i pogardliwie. – I za dobre rady.

William Jackson skinął z aprobatą głową.

– Tyle że nie mamy zamiaru stąd ruszać – ciągnął zimno Claymore, spoglądając wyzywająco na bartnika. – Podoba nam się tutaj.

Wiedział, że ryzykuje. Ale po pierwsze nie zamierzał pozwolić, by ten człowiek poczuł się zbyt pewnie. Nie mógł przecież ustąpić.

A po drugie... Zastanawiał się, jaką grę prowadzi bartnik, który bez wątplenia różnił się od zwykłych mieszkańców puszczy. Miał dużo sprytu i twardy charakter.

Było wiele pytań i niewiele wyjaśnień. Istotnie, Jackson mógł się obawiać, że niepożądane sąsiedztwo sprowadzi nieszczęście na osadę. Zwłaszcza teraz, kiedy puszcza okazywała się znów śmiertelną pułapką dla nieostrożnych, którzy wjeżdżali w ostępy. Ale coś tu nie pasowało, przecież już dawno musiał sobie zdawać sprawę, kim są nieproszeni sąsiedzi i jakie niebezpieczeństwo ze sobą niosą.

Możliwe, że się zmieniło, pomyślał Claymore. Spoglądał na Jacksona, starając się wyczytać coś z jego twarzy. Chyba rzeczywiście jest gorzej, skoro w puszczy znów giną ludzie.

Zastanawiał się, dlaczego właściwie Jackson tak zabiegał, żeby dowiedzieli się o napadzie na trakcie. Zależało mu na tym. A przecież jeśli żywił obawy związane z niepożądanym sąsiedztwem, mógł to załatwić inaczej. Choćby ściągnąć krewniaków z innych osad, by wyraźniej dać do zrozumienia. Na przykład podpalając nocą szałas.

Nic się teraz nie dowiem, ocenił sytuację Claymore, widząc nieprzeniknioną twarz rozmówcy. Trzeba go docisnąć jeszcze, zobaczyć, co zrobi.

– Podoba nam się – powtórzył z wyzywającym spojrzeniem. – Dzięki za miód, istotnie był przedni.

Zbyt szybko ruszył do wyjścia. Nie dostrzegł złego błysku w oczach bartnika.

- III -

- A nam pozostała tylko zemsta. Zemsta krwawa i okrutna, o której jeszcze za sto lat krążyć będą opowieści. Opowieści, których ludzie bali się będą słuchać po zapadnięciu zmroku.

Andrzej Sapkowski, *Wieża jaskółki*

Na pierwsze ciało natknęli się tuż za sławetnym młodnikiem.

Wskazówki starego bartnika były mętne. Mila z okładem od strumienia, jedyne blisko punktu orientacyjnego, który stary był w stanie podać, zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Minęli już niejednego młodnik, w tej części puszczy prowadzono kiedyś intensywny wyrąb, wiele polan blisko traktu porastało teraz młodymi brzoźkami i buczyną. Ale wciąż nie natrafili na bagnisko, które miało się rozciągać aż do traktu i byłoby trudno go nie zauważyć, jak twierdził stary. Przewidywał też, co ich może spotkać po drodze: to, że wierzchowce niechybnie zelgną w młakach po brzuchy, było wizją najmniej pesymistyczną. Jak miało dojść do tego, Claymore nie wiedział, nie miał najmniejszego zamiaru zapuszczać się w oparzeliska, nawet tak sławne jak Zgnilcowe. Tym bardziej że wedle słów bartnika do miejsca napadu, odległego o milę z okładem, prowadził wygodny trakt.

Trakt istotnie był wygodny, szeroki, z mało zarośniętymi trawą koleinami. Jeszcze niedawno drogę do miasta skracały sobie tędy kupieckie wozy. Jednak od pewnego czasu mało kto ryzykował podróż przez las, puszcza odzyskiwała swoją złą sławę. Lepiej nadłożyć drogi niż stracić wszystko, wozy, towar, a nawet życie.

Ramirez był zły. Wiedział, że nie pobłądzili, nie mogli zabłądzić na trakcie. Bartnik przysięgał, że droga prosta jak strzeł, wprawdzie koleiny wiły się przez las, omijając pagórki i wąwozy, ale można to było uznać za dopuszczalne odstępstwo. Jednak pojęcie odległości starego

było dość osobliwe, Claymore ponuro się zastanawiał, czy aby puszczańskie mile nie są cieńsze od normalnych, ale za to dużo dłuższe.

Jechali teraz wolniej, teren opadał, miejsce dębów i buków zajęły podmokłe łąki. Wyglądało na to, że wreszcie zbliżają się do oparzeliska. Wierzchowce oganiały się od brzęczących gzów, natarczywych i bezczelnych, tnących boleśnie nie tylko konie. Gdzieś niedaleko musiały być łąki lub polany, niewidoczne z traktu. Claymore rozglądał się uważnie.

Fabienne zaklęła, pląśnięciem dłoni rozduśła gza. Po raz pierwszy od wyruszenia z obozu odezwała się na głos. Claymore wstrzymał konia, zerknął za dziewczynę z ukosa. Zaklęła jeszcze raz, rozmazując krew na czole.

– Czego się gapisz? – spytała wyraźnie rozdrażniona.

Puściła wodze, jej kasztanowata klaczka szła mimo to równo i spokojnie, nie bacząc na kłębiące się owady, jedynie podrzucała łbem, gdy próbowały wlaźć do oczu. Dobry zwierzak, przemknęło Claymore'owi przez myśl. Jego wałach chrapał i wciąż usiłował zerwać się do kłusa.

– Ech, odczep się... – mruknęła dziewczyna, gdy nie odpowiedział. – Szukaj lepiej tej pieprzonej barci.

– A co ja niby robię? – Claymore nie silił się na uprzejmości. – Jeśli chcesz, to możesz wracać. Jesteś dużą dziewczynką, nie zabłądzisz. Droga prosta jak strzeł.

Uśmiechnął się ironicznie. Przeszła mu już złość na dziewczynę. Chciał pojechać sam, sprawdzić, co się dzieje, bez informowania o tym kuglarza, mimo że sprawa dotyczyła ich wszystkich. Ale miał dość spojrzeń spode łba, ciągłych docinków i deklaracji, że Snake'a nic to wszystko w zasadzie nie obchodzi.

Nie był zachwycony, gdy spotkał Fabienne na pierwszym zakręcie. Dziewczyna okazała się sprytna, ruszyła wcześniej, bo wiedziała, iż Ramirez jej nie odpędzi. Zwłaszcza kiedy zagroziła, że wróci po kuglarza i ruszą jego śladem.

– Zamknij się, Ramirez! – Fabienne postanowiła sobie powetować dotychczasowe milczenie. – Nie bądź, psiakrew, jedyny najmądrzejszy! I daj sobie spokój ze swoimi tajemnicami, wszyscy siedzimy w tym gównie

po uszy. Jeśli wydaje ci się inaczej, to się mylisz.

Twarz Claymore'a stężała.

– To ty się mylisz, moja droga – wycedził. – W niczym nie siedzisz, ani ty, ani twój...

Urwał, ze złością uderzył wałacha piętami po bokach, wysforował się do przodu.

– No dokończ! – krzyknęła za nim Fabienne. – Dokończ! Może mój kochaś? Może pieprzę się z nim, kiedy zabcia nie widzi? A ty, taki mądry, przecież wszystko wiesz. Wszystko widzisz i słyszysz, nawet jeśli to nie twój interes. I co, zazdrościsz?

Nie odwrócił się, choć poczuł, jak gorąco uderza mu do twarzy. Idiotka, pomyślał tylko. Nie wiedział, jak nazwać kuglarza, ojczymem? Opiekunem? Wiedział, że skomplikowane są ich stosunki, że czasem Fabienne potrafi się wściekać, gdy Snake nazwie ją córką. Tylko czasem, bo przecież potrafiła też położyć mu głowę na ramieniu, przytulić się.

Niespodziewane stanął mu przed oczyma obraz kuglarza i Fabienne w sytuacji, jaką przed chwilą zasugerowała. Zaklął, tym razem na głos, czując, jak zalewa go złość.

– Co mówisz? – Dziewczyna nie darowała. Wstrzymał wałacha, poczekał, aż jej klacz zrównała się z nim.

– Posłuchaj... – zaczął, starając się mówić spokojnie.

Przerwała mu od razu.

– Nie, to ty posłuchaj, Ramirez. Mam gdzieś, co zamierzasz, co komu obiecałeś. Mam to wszystko w dupie, dla mnie się skończyło, kiedy zasypaliśmy ostatni grób. Możesz sobie gadać o powinnościach, o zobowiązaniach. O twojej reputacji i, kurwa jego mać, honorze.

– Nie gadam – udało mu się wpaść jej w słowo.

– Nie gadasz? – syknęła zjadliwie. – Owszem, może i nie gadasz. Dajesz do zrozumienia, a to jeszcze gorsze. Claymore Ramirez, który zawsze wypełnia kontrakt. Nawet kiedy zleceniodawca jest od dawna trupem. I wiesz, co ci powiem?

Podjechała bliżej, aż jej łydka dotknęła łydki Ramireza.

– Jest trupem, bo dałeś dupy jak świerszczyk, Claymore. Zawiodłeś. I

miotasz się teraz, bo nie chcesz się do tego przyznać. Nie potrafisz. I co ty na to?

Wytrzymał jej spojrzenie.

– Nic – odparł spokojnie. – Zawiodłem, istotnie. Co to zmienia?

Zmarszczyła brwi. Klepnęła klacz po szyi, ruszyła szybciej.

– Zaskakujesz mnie – powiedziała po chwili. – Myślałam, że powiesz – nie twoja sprawa.

– A ty na to czekałaś? – spytał złośliwie.

– Owszem, czekałam – odpaliła. – Bo na razie żresz nasze jagły, śpisz w naszym szałasie. Zmuszasz nas do... Nie wiem...

Potrząsnęła bezradnie głową.

– Do lojalności? Wobec kogo? Wobec dwóch trupów? Szeryfa i Matcha? Czy może wobec ciebie?

Claymore miał już dość.

– Do niczego was nie zmuszam, a zwłaszcza ciebie!

Fabienne przechyliła się, chwyciła wodze wałachą, osadziła go jednym szarpnięciem

– No popatrz, zwłaszcza mnie nie zmuszasz – wycedziła. – Jasne. Nie masz też pewnie żadnych zobowiązań.

Wiedziała, że jest niesprawiedliwa. To, co ona sama zrobiła dla milkliwego człowieka, którego ujrzała po raz pierwszy, gdy wszedł w krąg ich ogniska, nagi i okrwawiony, też było czystym wariactwem. Niewiele się różniło od powinności Claymore'a, od wierności kontraktowi zawartemu ze zmarłym. Ale ona już nie wierzyła, nie widziała żadnego sensu. Nikogo nie uratowali. Nikomu nie pomogli.

– Nie masz zobowiązań – ciągnęła jakby wbrew sobie, z trudem wypowiadając słowa. – Oczywiście, że nie masz. Nieważne...

– Ważne – przerwał jej. – Pamiętam, uratowałaś mi życie, na rusztowaniu. Gdyby nie ty, zostałbym tam z łbem rozwalonym kordem... Nie chcę... Nie chcę ciebie...

Zamilkł, nie potrafił dobrać słów. Uciekł spojrzeniem w bok, co też go rozzłościło. Był pewien, że nie chce jej narażać. Nie wiedział, jak i na co, ale zdawał sobie sprawę, że nie potrafiłby wykorzystać jej jak...

Przymknął oczy, tak zakłuło wspomnienie. Jak Marcela, Jeana-Pierre'a. Brzydkiej, okaleczonej dziewczyny o pięknych oczach. Tego od morgensterna, jak on się nazywał? Wilfried? Kurwa, nawet nie pamiętam, pomyślał. Nie mówiąc już o tamtych, bezimiennych, których nawet Marcel nazywał po prostu osłoną. Przeznaczoną do szybkiego zużycia.

Miał świadomość, że ich wszystkich oszukał. I zrozumiał też, w tej chwili do końca, że nie potrafi oszukać tej dziewczyny.

Wyciągnął dłoń, chcąc ująć ją pod ramię. Po co? Może po to, by wytłumaczyć coś, czego jeszcze sam nie mógł pojąć.

To był błąd.

Wyrwała się. Przez chwilę, widząc wyraz jej twarzy, myślał, że dziewczyna sięgnie do rękojeści swego korda albo przynajmniej da mu po gębie. Ale ona tylko klepnęła klacz po zadzie i ruszyła do przodu.

– Zamknij się już! – krzyknęła zduszonym głosem, nie odwracając się.
– Ani słowa więcej, słyszysz! Pierdolę cię, Ramirez.

Przez chwilę uspokojał spłoszonego wałacha, tańczącego na trakcie. Zabił gza, który boleśnie ukąsił w kark. Patrzył na oddalającą się dziewczynę, jej szczupłe plecy drgały w takt podskoków klaczy albo od tłumionego szlochu.

I nagle roześmiał się.

– Kiedy tylko zechcesz, Fabienne – powiedział cicho.

Starał się trzymać nieco z tyłu, nie wysforowywać przed dziewczynę. Opanowała się już, nie puściła konia kłusem, klacz szła stępa. Szum lasu, tak głośny rankiem, kiedy wjeżdżali na trakt koło strumienia, przy starym, omszałym mostku przeszedł w szmer. Wiatr osłabł, nad cichy szelest listowia wybijało się pochrapywanie koni, głucho uderzenia podków o ziemię, poskrzypywanie uprzęży. Nawet ptaki zamilkły, czasem tylko rozlegał się wrzask spłoszonej sójki.

Jechali teraz grądem, nad drogą zamykały się korony wiązów i grabów. Mimo iż zbliżało się południe, w ciemnym, podmokłym lesie

panował chłód. W dalszej perspektywie, gdzie trakt zakręcał lekko, białały pnie młodych brzózek.

Młodnik, pomyślał Claymore, może wreszcie ten właściwy. Wstrzymał lekko konia i wtedy usłyszał ten odgłos.

– Stój! – zawołał do dziewczyny. Posłuchała od razu, bez zbędnych pytań. Zawróciła klacz, podjechała bliżej.

– Co jest? – spytała szeptem. Ramirez dostrzegł, że oczy ma czerwone i podpuchnięte. Chyba płakała.

– Posłuchaj – powiedział tylko, unikając jej wzroku.

Przez chwilę trwała cisza. Potem dźwięk rozległ się znowu, tępe stuknięcie. I skrzywienie, jakby ocierających się pni.

– Barć. – Dziewczyna skinęła głową.

Uśmiechnął się z uznaniem. On dowiedział się dopiero wczoraj, jak bartnicy zwykli zabezpieczać roje pszczół przed łakomymi niedźwiedziami.

– Nareszcie – mruknął. – Ech, żeby tego starego pokręciło, razem z jego "miłą z okładem".

Zeskoczył z kulbaki, Fabienne poszła za jego przykładem. Poprowadzili konie w kierunku zakrętu.

Stary mówił, że barć miała być zaraz obok traktu, wedle młodnika. I rzeczywiście była: gruby pień uschłej dawno sosny, z wiszącą przed ledwie widocznym z dołu otworem dziupli wielką kłodą. Wiatr poruszył koronami drzew, kłoda zakołysała się na powrozie, uderzyła o pień z głuchym stukotem.

Claymore roześmiał się. Teraz, widząc to nieskomplikowane urządzenie, był pełen uznania dla wynalazcy. Znęcony zapachem miodu miś odsuwał kłodę, a im więcej siły użył, tym mocniej dostawał w łeb, gdy powracała do pierwotnego położenia. W końcu spadał na ziemię niczym dojrzała uleگاłka, jak obrazowo wyraził się bartnik.

Pszczoly brzęczały głośno, kiedy Claymore podszedł do pnia.

– Czego jeszcze szukasz? – spytała Fabienne, trzymając wodze obu wierzchowców. Została z tyłu, bała się pszczół.

– Znaku – odparł Ramirez.

Chciał być pewien, że znaleźli właściwą barć. Wprawdzie wszystko na to wskazywało, był i młodnik, i zakręt, a i oparzelisko pewnie by się znalazło, ale stary, zapytany onegdaj, ile to pni jest w lesie, najpierw długo liczył na brudnych paluchach, a w końcu dał spokój. I poinformował precyzyjnie, że od cholery. Narysował za to znak, którym oznaczał swe barcie.

- To tutaj - powiedziała spokojnie dziewczyna. Claymore nie posłuchał, obszedł sosnę wkoło, wreszcie znalazł. Powiódł palcami po śladach nacięć siekierą, układających się w podwójnie przekreśloną strzałę.

- Marnujesz czas, Claymore - stwierdziła Fabienne z ironią. - To tutaj, nie czujesz?

Dopiero teraz dotarł do niego ciężki, słodki odór rozkładu. Byli na miejscu.

Gdyby nie smród, nie dostrzegliby pierwszego trupa, jeszcze przed zakrętem, niedaleko barci. Zbrojny leżał niewidoczny z traktu, w kępie jałowców, tam gdzie dogoniła go strzała. Lotki sterczały z pleców, grot musiał zdruzgotać kręgosłup, trafiając dokładnie w sam środek, nieco powyżej miednicy. Człowiek usiłował jeszcze pełznąć, ciągnąc za sobą bezwładne nogi niczym przetracony kot. Nie dopełznął daleko, zaplątał się w gęstych, kolczastych jałowcach i tam umarł. Claymore miał nadzieję, że w miarę szybko, a lisy, borsuki czy może kuny ogryzły mu dłonie już po śmierci. Wiele już w życiu zdążył zobaczyć, lecz teraz na widok szponiastych, nagich kości wczepionych w gęstwę jałowca poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. To przez ten smród, pomyślał, leży tu już parę dni. Przełknął ślinę i odwrócił się do dziewczyny.

Fabienne uspokajająco poklepywała wałacha po szyi. Był spłoszony, mdlący zapach powodował, że podrzucał głową, usiłując się wyrwać. Trzeba się pozbyć bydlaka, przemknęło Ramirezowi przez głowę, boi się krwi. Do niczego taki koń.

Muchy nad ciałem brzęczały głośno.

– Zostań – zaproponował Claymore dziewczynie. – A raczej cofnij się kawałek, konie się płoszą. Poczekaj na mnie.

Kiedy podniosła wzrok, Ramirez ze zdziwieniem spostrzegł, że była zupełnie spokojna, spoglądała twardo i z ironią.

– Jeno się nie porzygaj – powiedziała zimno. – Pozieleniałeś na gębie.

Splunął tylko. Nie miał zamiaru się tłumaczyć.

– W porządku, zostań – odparł. Głos go zawiódł, był zdławiony, co dziewczyna skwitowała drwiącym uśmiechem. – Jak sobie chcesz.

– A myślisz, że po co tu z tobą jechałam? Chcę wiedzieć, nie zdawać się na twoje relacje. Widziałam już trupy, nie martw się.

Wzruszył ramionami. Już nie czuł gwałtownych mdłości, odór jakby osłabł, przywykł do niego.

– Jak sobie chcesz – powtórzył.

Rozejrzał się. Zamierzał odprowadzić gdzieś konie, przywiązać w bezpiecznym miejscu, z dala od smrodu krwi i rozkładu. Za zakrętem mógł się spodziewać więcej takich widoków, nie chciał wciąż uspokajać nerwowego wałacha. Potrzebny mi nowy koń, pomyślał raz jeszcze, patrząc z zazdrością na klacz dziewczyny, spokojną i opanowaną.

Fabienne naprawdę jest twarda, przemknęło mu przez głowę. Dużo twardsza, niż mogłoby się wydawać. Jej sposób bycia, strój, nieodłączne noże do miotania, broń u pasa, to wszystko nie było tylko pozą. Widział ją w walce, na placu targowym w Nottingham, kiedy zdawało się, że już wszystko zostało stracone, że pozostaje tylko umrzeć, może niekoniecznie godnie i z honorem, ale przynajmniej z bronią w ręku. Ona nie straciła głowy, nie poddała się tej chwili, w której najważniejsze jest zabrać ze sobą jak najwięcej ludzi na tamtą stronę, nieważne, zbrojnych, kmieci z pałami czy zgoła zwykłych wieśniaczek, trатовanych w panicznej ucieczce.

Ale widział ją też później, w tych beznadziejnych dniach i tygodniach, kiedy ta, która została uratowana przypadkiem i przez pomyłkę, umierała. Kiedy stawało się jasne, że wszystko było bez sensu, wszyscy przegrali. Została tylko cena, którą niektórzy już zapłacili, inni dopiero zaczynali spłatać.

Claymore wyjął wodze z ręki dziewczyny, popatrzył jej prosto w

twarz. Kim ty naprawdę jesteś, pomyślał. To pytanie intrygowało go i irytowało zarazem. Nie lubił nierozwikłanych tajemnic.

Fabienne pozostała tajemnicą. Z pewnością nie była taka, za jaką chciała być uważana. Nie pasowała do trupy wędrownych kuglarzy, nie potrafiła zbyt dobrze skryć się pod maską szorstkiej, nieco nieokrzesanej dziewczuchy, klnącej jak pijany wozak i skorej do odpowiadania na zaloty pięścią, gdy zalotnik jej nie odpowiadał. Nie wyglądała na złodziejkę, choć Claymore dałby głowę, że niejedna odcięta w tłumie na jarmarku sakiewka zmieniała właściciela przy jej pomocy. Nie była też zabójczynią w typie Skowronka, choć zabijała wprawnie i bez lęku.

Spojrzał w piwne oczy, na ciemne brwi, kontrastujące z jasnymi włosami. Znieruchomiał tak na chwilę, w dziwnej pozie, wciąż trzymając wodze w uniesionej dłoni. Nagle zapragnął pogłodzić ją po policzku, powiedzieć coś miłego, coś, czego bardzo dawno nie mówił żadnej kobiecie. Ech, zebrało ci się, skarciła go ta trzeźwiejsza część umysłu, zebrało nad śmierdzącym zewłokiem... Mimo to stał i patrzył.

– Dlaczegoś się tak na gębie zmienił, Claymore? – Fabienne nie wytrzymała. – Czego się tak patrzysz?

Czy ona nic innego nie potrafi powiedzieć, pomyślał z nagłą złością. Cały czas to samo. Patrzę, bo lubię.

– Zemdliło mnie – skłamał, choć nie do końca, jeszcze niedawno czuł żołądek obijający się o zęby. Zaraz uciekł spojrzeniem, tak głupio to zabrzmiało.

– Pewnie na mój widok – Fabienne nie darowała. – Trzeba się było nie gapić jak sroka w gnat.

Wymamrotał coś tylko gniewnie, co dziewczyna skwitowała złośliwym uśmiechem.

Walach wciąż szarpał się, uwiązany do młodej brzózki, aż cienkie drzewko kołysało zieloną koroną. Claymore nieodwołalnie postanowił pozbyć się zwierzęcia, co z tego, że wierzchowiec był wytrzymały i szybki, skoro bał się w zasadzie wszystkiego. A najgorsze, że nie można

było zostawić go samego, od razu zaczynał parskać i rzeć, szarpiąc ramię.

Claymore miał dziwne uczucie, że nic nie dzieje się naprawdę, wyruszył tu po to, by dowiedzieć się prawdy, potwierdzić lub oddalić swoje przypuszczenia. Właściwie, jak przyznawał teraz, po to, by usprawiedliwić własne decyzje. To było ważne, kontrakt i reputacja, jak przez wszystkie poprzednie lata. Może jeszcze usprawiedliwienie, że nie wszystko było na darmo, że dobrzy ludzie nie zginęli bez sensu. Miał mgliste przeczucie, że to nie koniec. Nie mogło się przecież tak skończyć – tak po prostu, bełt w serce i do piachu.

Dobrzy ludzie, pomyślał, nieźle to brzmi. Banda skurwysynów, gotowych poderznąć gardło dla zabawy, jak zresztą nieraz czynili, a czasem dla zarobku, bez baczenia na straty uboczne. Dobrzy ludzie...

Tak, dobrzy. Lojalni wobec przyjaciół, gotowi za nich nadstawić karku i ginąć, jeśli była taka potrzeba, jeśli tak wypadło. Jean-Pierre, osłaniający twój tyłek, Claymore, żebyś mógł wypełnić swoje zobowiązania. Oszukałeś go, zakłuło wspomnienie. Nie oszukałem, pokręcił głową, o mało nie wypowiadając słów na głos. Nie, nie oszukałem, tylko nie powiedziałem... Prawdy? – spytał wewnętrzny głos, którego Ramirez nigdy dotąd nie słyszał, a może nie słyszał tak dawno, że zdążył już zapomnieć. Tak, prawdy; zginął, myśląc, że umiera za coś.

Dziewczyna szła przodem. Widział szczupłą sylwetkę, rozpuszczone dziś włosy, które zwykle wiązała rzemykiem w koński ogon. Lubił ją taką oglądać, kiedy wracała rankiem znad strumienia, zaróżowiona od zimnej wody.

Fala gęstego, trupiego smrodu uderzyła w nich, gdy mijali kępe jałowców.

Fabienne w kubraku bez rękawów. Co się ze mną dzieje, pomyślał Claymore któryś raz z rzędu. Powinienem tu być sam, zawsze jestem sam.

Chcę być sam.

Przyszedłem tu, żeby potwierdzić swoje przypuszczenia. To ja mam rację, nic nie jest skończone. Jeszcze jest cel, jeszcze jest zadanie do wykonania.

Szukasz usprawiedliwienia, Ramirez. Chcesz potwierdzenia, ale tylko

tęgo, że Jean-Pierre nie zginął na darmo. Nie chodzi ci o niego, nie o milkliwego tłuściocha, nie o brzydką najemniczkę. Nie robisz tego nawet dla Marion ani dla niego, nieżyjącego już zleceniodawcy.

Szukasz usprawiedliwienia dla siebie. Chcesz móc sobie powiedzieć, że nie jesteś największym skurwysynem z nich wszystkich. Nie jesteś tym, który ich oszukał.

Potrząsnął głową. Co się ze mną dzieje?

Nagie ramiona Fabienne. Gładkość skóry. Zrobiło mu się gorąco na wspomnienie tej chwili, gdy otarli się o siebie przypadkiem podczas wiązania koni.

Dość!

Przyspieszył kroku. Kępa jałowców została z tyłu, gościniec zakręcał, mdlący odór rozkładu osłabł, by po chwili znowu uderzyć silniej. Już było widać.

Claymore zrównał się z dziewczyną, oboje zwolnili kroku. Rozglądali się uważnie, przepatrywali zdeptaną ziemię, na darmo pewnie, minęło przecież kilka dni. Ramirez zerknął na swoją towarzyszkę z mimowolnym podziwem. Była spokojna, tylko lekko ściągnięte rysy twarzy dawały poznać, że smród dokucza jej równie mocno. Fabienne przykłęka i podniosła ułamaną strzałę, tę część z lotkami. Złamane drzewce było wymazane krwią, lotki z dropiatych, kogucich piór sklezione i zwichrowane.

Skinął głową. Pocisk został wyciągnięty z rany, przeszedł na wylot, tak że można było ułamać grot, a potem wyciągnąć drzewce. Ktoś z napastników został ranny, nikt przecież nie zawracałby sobie głowy opatrywaniem napadniętych.

Claymore powiódł wzrokiem po gościńcu. Wozy objeżdżały tu wykrot, który deszcze wypłukały w ziemi, trakt był przez to niemal dwukrotnie szerszy. Leżało mnóstwo ciał.

Ramirez chciał podejść bliżej, jednak Fabienne chwyciła go za ramię. Pokazywała coś na skraju drogi, starając się oddychać przez usta. Przed chwilą lekki podmuch wiatru przyniósł falę odoru, Claymore znowu czuł skurcze gardła, z trudem opanowywał torsję.

Popatrzył w kierunku wskazanym przez dziewczynę, spodziewając

się zobaczyć kolejnego wzdętego trupa. Nie dostrzegając nic. Fabienne popchnęła go lekko.

– Chodź, zanim się porzygasz – powiedziała zdławionym głosem. – No ruszaj, mnie też niewiele brakuje.

Jej cera, zazwyczaj jasna, przybrała odcień kredy. Pociągnęła Claymore'a za rękę, podbiegli oboje na skraj gościńca, do rudego kopca, piętrzącego się nad mchem. Czerwone leśne mrówki krzątały się jakby nigdy nic.

Fabienne przyklękała, nie bacząc, że rozdrażnione owady włożą jej na nogi. Położyła dłoń na igliwiu, ciemne, ruchliwe punkciki pokryły ją błyskawicznie. Dziewczyna podniosła się, chwilę przyglądała, jak mrówki wbijają żuwaczki w skórę ręki, jak wyginają odwłoki, strzykając kropelkami kwasu. Zacisnęła pięść, otrzepała dłoń. Kilka owadów pozostało, wczepionych w nadgarstki i przedramiona, więc strząsnęła je niecierpliwym ruchem.

Podniosła dłoń do twarzy, wciągnęła gwałtownie powietrze. Raz i drugi, głęboko.

– Rób... – zakaszła. – Rób to co ja, wiem, że pomaga.

Claymore z ociąganiem położył dłoń na kopcu, poczuł łaskotanie drobnych nóżek, potem delikatne poszcypywanie. Zacisnął pięść, czując bardziej niż słysząc, jak trzeszczą gniecione owady. Otrząsnął rękę, przyłożył do twarzy. I zrobił głęboki wdech.

Kwas mrówkowy uderzył w nozdrza. Claymore rozkaszał się, łzy stanęły mu w oczach, nie mógł przez chwilę złapać oddechu.

– Jeszcze raz – usłyszał. – To pomaga, naprawdę.

Nie protestował. Poszło już lepiej, wprawdzie kwaśny smród świdrował w nosie, jednak mógł zaczerpnąć oddechu bez ataku kaszlu. Otarł łzy. Wrócili na gościniec.

Kwas znieczulił zmysł powonienia, ale nie wzroku i słuchu. Duże, błyszczące, zielonkawe muchy brzęczały, podrywały się do lotu, gęste roje krążyły nad zwłokami. Na trakcie, tam gdzie był najbardziej rozjeżdżony, leżały ciała, rozrzucone bezładnie w miejscach, w których dopadła je śmierć. Jedne nagie, odarte z odzienia, inne bez butów. I truchło końskie, dziwnie nie na miejscu, niepasujące do scenerii,

odcinające się jabłkowitą, splamioną poczerniałą krwią sierścią od białych, wzdętych rozkładem ludzkich zwłok.

To była cicha śmierć, zrozumiał Ramirez, oznajmiająca swoje przybycie tylko szmerem brzechw. Ludzi wystrzelano z zasadzki.

Podniósł wzrok, rozejrzał się. Miejsce wybrano znakomicie, teren po prawej wznosił się lekko, za pasmem młodnika widniała ściana wiązków, starych i grubych, o potężnych konarach. Wystarczyło kilku sprawnych łuczników, na pięćdziesiąt kroków trudno chybić.

Fabienne trąciła go w ramię. Wciąż przykładając dłoń do twarzy, wskazała drugą ręką pobocze traktu. Leżała tam kłoda, pień niedawno zrąbanego drzewa, odciągnięta na bok. Jeszcze widać było ślady, które ściągane z drogi drzewo wyryło w piasku, schnące już, zbrązowiałe od upału połamane jałowce, w miejscu, gdzie padła korona.

A więc był i wóz, zrozumiał Ramirez. Musieli się zatrzymać; kiedy wozacy i eskorta zsiadli z koni, by usunąć przeszkodę, spadł grad strzał. A potem napastnicy odciągnęli zaporę, żeby mieć wolną drogę i zabrać łupy. Czysta robota.

Ruszył dalej. Pierwsze zwłoki leżały na wznak, czarny od zakrzepłej krwi kubrak opinał się na wzdętym od gazów brzuchu. Bose stopy, sine i opuchnięte, nie miały już palców, zainteresowały się nimi leśne drapieżniki, tylko drobne kostki sterczały w górę. Claymore spojrzał na twarz zabitego, a raczej w miejsce, gdzie niegdyś była. Poza sterczącą do góry brodą niewiele zostało.

Chciał odwrócić się do Fabienne, i aż się zachłysnął, kiedy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Ale to tylko lekki powiew wiatru poruszał siwymi włosami zabitego.

Claymore splunął na zdeptany, przesiąknięty krwią piasek. Trzeba wziąć się w garść, pomyślał.

Podszedł więc bliżej, kwas mrówkowy działał dobrze, mógł pochylić się, spojrzeć z bliska w twarz leżącego. Popatrzył chwilę, jakby badając własną wytrzymałość. Mdłości odeszły, nie czuł słodkiego, trupiego odoru.

Zbrojny został trafiony w szyję, grot przebił tętnicę. Dłonie, nienaruszone jeszcze przez padlinożerców, obejmowały czarnymi, spuchniętymi palcami złamane drzewce strzały. Widać chciał

wyszarpnąć je z szyi, zanim wykrwawił się do końca.

– Nie chcieli się brudzić... – zauważyła Fabienne.

Nie zrozumiał początkowo. Popatrzył na dziewczynę, na jej ściągniętą, lecz spokojną twarz.

– Zbyt zakrwawione, żeby warto było zabierać – wyjaśniła.

Wskazała na następne zwłoki, nieopodal. Te były całkiem nagie, obrane do cna z wszelkiego dobra. W poszarpanych plecach ziały dziury, na których dnie białą kości łopatek i zebra. Lisy miały używanie.

Claymore rozejrzał się. Pełno nagich ciał na gościńcu.

Pełno? Zaledwie sześć, nie licząc końskiego trupa z rozchlastanym cięciem brzuchem. Niewątpliwie za życia, zwierzę padło, oplątując własne kiszki dokoła tylnych nóg, którymi wierzgało w agonii. Wzdęte w upale wnętrzości przypominały serdelki na kramie masarza, może poza barwą. I pewnie zapachem, pomyślał Claymore mętnie.

Coś go zastanowiło. Wierzchowiec nie zginął od strzały, ktoś rozpruł mu brzuch, zapewne w walce, nie mogąc inaczej dosięgnąć jeźdźca. Czyli nie wszystko odbyło się z daleka, nie wystarczył ostrzał. Ktoś bronił się do końca.

Ściągnięte wargi zwierzęcia odsłaniały rząd wielkich żółtych zębisk. W kąciku zaciągniętego bielmem, otwartego oka muchy zdążyły złożyć już jaja, małą żółtą grudkę. Wkrótce wylęgną się z nich larwy.

Jeźdźca znaleźli nieopodal. Też był nagi, odarto go ze wszystkiego. Noga, złamana zapewne przy upadku, przygnieciona przez rumaka odstawała pod dziwnym kątem jak u popsutej drewnianej kukielki.

Dobito go pchnięciem pod gardło. Padlinożercy oszczędzili jak dotąd głowę, widoczne były rysy twarzy, zniekształcone już trochę rozkładem, spuchnięte i poczerniałe. Dlaczego nie uciekałeś? Miałeś szansę.

Pewnie sam tego nie wiedział, a teraz już nie żył.

Pozostali leżeli tak jak padli, może tylko poruszeni nieco, gdy zdzierano z nich buty i kubraki.

Mało ich, pomyślał Ramirez. Sześciu zaledwie, niewielu jak na eskortę.

Był pewien, że żywa dusza nie uszła z zasadzki. Ostrzał musiał być

gwałtowny, wystarczyło kilka chwil i było po wszystkim. Zbrojni nie wykazali się bystrością, dali się wystrzelać przed zwałoną kłodą, nie pomyślawszy o najgorszym.

Ale coś tu nie pasowało. Któż z tak mizernymi siłami wybiera się do puszczy po krwawej i ciężkiej zimie, wiedząc, że las jest azylem nie tylko dla banitów, ale i zbiegłych z wiosek kmieci? Ci doprowadzeni byli do ostateczności wyniszczającymi daninami na potrzeby bezsensownej wojny.

Nie mógł rozpoznać barw, zabity miał odzienie przesiąknięte krwią i poszarpane. Wyglądało na zwykły żołnierski przyodziewek, w środku lata trudno oczekiwać płaszczy czy grubych wełnianych tunik. Poza tym Claymore przypuszczał, że raczej byli to zbrojni w służbie opactwa niż szeryfa czy hrabiego. Nie wiedział nawet, kto teraz jest hrabią Nottinghamshire.

Ale to było nieistotne. Wiedział już, że to nie żadna karna ekspedycja, nieważne, nowego szeryfa czy opata. Zbrojnych było zbyt mało, stanowili eskortę, zapewne poborcy podatkowego, lekkomyślnego człeka, który, ufny w ich siłę, postanowił skrócić sobie drogę przez las. Sądził pewnie, że nawet zdesperowani, wygłodniali banici i zbiegowie nie zaatakują. I niewątpliwie miał rację.

Claymore rozejrzał się. Atak wyglądał na zaplanowany. Ktoś wiedział, że wóz z eskortą będzie jechał właśnie tędy, był czas na przygotowania. Na podcięcie drzewa, na zajęcie stanowisk... Właśnie.

Popatrzył na wiązy. Idealne miejsce dla wprawnych łuczników. Pomyślał o swoich długich rozmowach z Robertem de Reno, opowieściach o wyprawach do puszczy, kiedy to żołnierzy na traktach rozstrzeliwano z zasadzek. Był pewien, że i tym razem nie chodziło o zwykły rabunek. Załadowany wóz okazał się niespodziewaną premią.

Fabienne odeszła na skraj traktu. Ma dość, pomyślał Ramirez, nic dziwnego.

On sam był już pewien. Nie mylił się, nic się nie skończyło. Właśnie widział nowy początek.

Wiedział już, co będzie musiał zrobić – wypełnić zobowiązania. I sam się zdziwił, kiedy poczuł nagłą ulgę.

Wszystko znów stawało się proste, zniknęła gdzieś niepewność

ostatnich dni i tygodni. Jeśli nie można nic uratować, można się zemścić. Jak ona.

Jak Marion.

Wtedy usłyszał zduszony krzyk.

Stopy Fabienne grzęzły w wysokim mchu i bagiennych trawach. Podszycie ugięło się miękko, kiedy szła przed siebie, nie wiedząc dokąd; machinalnie rozgarniała gałęzie krzewów. Chciała odejść gdzieś niedaleko, odetchnąć, nie myśleć o niczym. Odegnąć choć na chwilę paskudne przeczucia.

Zarośla zamknęły się za nią; gdyby odwróciła głowę, nie zobaczyłaby już gościńca. Ani ciał.

To chyba oparzelisko, pomyślała, o którym mówił Claymore. Nie miała zamiaru zapuszczać się dalej, za gęstą ścianą wierzb i leszczyn widziała wysokie pnie brzoź, wyschniętych i pozbawionych gałęzi. Za nimi było bagno.

Stała wśród wysokiego, sięgającego do połowy łydek sitowia, kiedy drogę zagroziła wielka, omszała kłoda; jakieś drzewo zważyło się dawno, nie oparło wichurze, słabo zakorzenione w podmokłym gruncie. I nagle poczuła ciarki biegnące po plecach.

Za kłodą, w gęstwinie niskich krzaków coś się działo. Nagły powiew wiatru poruszył koronami drzew, odpowiedział mu wrzask ptasich głosów.

Fabienne dobyła korda, wciąż czując zimny dreszcz, ruszyła przed siebie. Wspięła się na zwałoną kłodę, dawno pozbawioną kory, zielonkawą i śliską od porastającego ją mchu. Gdy cięła kordem zagradzające jej drogę gałązki i listowie, ptasi wrzask wzmógł się, zatrzepotały skrzydła. Przedarła się przez niskie, gęste wierzby.

Łopot skrzydeł. Przez chwilę widziała tylko zrywające się czarne, niewyraźne kształty, coś uderzyło ją prosto w pierś. Krzyknęła i, nie wiedząc, co się dzieje, cięła na oślep. Trafiła, ptak spadł w fontannie piór.

Potem zobaczyła więcej. Stała, nie mogąc wydobyć głosu, wreszcie

odwróciła się, na oślep przedarła przez gęste zarośla. Nie utrzymała równowagi na śliskiej, omszałej kłodzie, i upadła, gubiąc kord. Na szczęście podmokłe poszycie było miękkie, zaboląła tylko wykręcona kostka. Nie bacząc na to, Fabienne poderwała się do biegu.

Coś pochwyciło ją, wrzasnęła i usiłowała się wyrwać.

Claymore odrzucił dziewczynę, aż padła na kolana. Zasłonił ją i wodził przed sobą sztychem miecza, wypatrując nieznanego wroga.

Nad zaroślami kołowały spłoszone kruki i wrony.

Nic się nie działo, z zarośli nie wypadł żaden potwór ani, co gorsza, uzbrojony człowiek. Ptaki zataczały ciasne kręgi, krakały głośno. Claymore zaczynał rozumieć.

Nie schował jednak miecza, wyciągnął tylko rękę, nie patrząc, i pomógł dziewczynie wstać. Oparła się o niego, poczuł, jak drży.

– Zostań – polecił.

Skinęła głową bez słowa.

Ruszył w kierunku zarośli, za zwaloną kłodą. Domyślał się już, co zobaczy, nietrudno zresztą było się domyślić. Ptaki nurkowały bezustannie, zanim Claymore przedarł się przez gałęzie, przysiadły na ciałach, dziobały z ochryplym wrzaskiem. Dopiero gdy wyszedł na niewielką, podmokłą polankę, spłoszone nieco podrywały się, niechętnie i ociężale.

Ramirez z pasją kopnął jakąś szczególnie obzartą wronę, która miała trudności ze startem. Wzleciała ze skrzekiem, widać nie uczynił jej wielkiej krzywdy. Przyłączyła się do reszty, kołującej w górze – ptaszyska niecierpliwie wyczekiwały, kiedy intruz pójdzie sobie wreszcie, a one będą mogły powrócić.

Claymore już nie czuł wstrętu, nie był nawet zdziwiony. Rejestrował tylko szczegóły, chłodno i beznamiętnie. Wydawało mu się, że od tego, co wokół, oddziela go gruba, przejrzysta lodowa tafla, jakby oglądał dno strumienia w bezśnieżną zimę.

Ciała zabitych były nagie. Wszystkim odebrano życie wprawnym ciosem miecza pod brodę. Nie mogli się bronić, mieli skrępowane nogi w kostkach i nadgarstki, rzemienie wpijały się w rozdęte opuchlizną ciało. Poczerniałe dłonie i stopy świadczyły o tym, iż czekali długo na śmierć.

Zatrzeszczały gałęzie, zaszeleściły liście.

– Miałaś zostać – rzucił Claymore, nie odwracając się.

Fabienne podeszła do niego, położyła mu dłoń na ramieniu.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Już więcej nie zacznę krzyczeć.

Popatrzył jej w oczy, ujrzał zimny błysk w piwnych tęczęwkach. Była spokojna, tak jak i on. Też przekroczyła ową granicę, za którą nie ma już emocji.

Osiem ciał leżało w wysokim, wydeptanym sitowiu. Ramirez usiłował sobie wyobrazić, jak się wszystko odbyło. Czekali długo, nadzy i skrępowani. Po co ściągać zakrwawione odzienie z trupa, skoro za życia człek może się sam rozebrać? Ktoś ich musiał pilnować, jeden, może dwóch. Przysiedli pewnie tam, na zwalonym brzozowym pniu, śmieli się i żartowali, czekając, aż reszta kompanów odprowadzi wóz, skończy odzierać ciała na gościńcu. Ci związani też czekali.

Pod brzozowym pnem leżał ogryzek jabłka, na kawałku kory zestruganym nożem widniały jakieś kreski. Przyjrząwszy się bliżej, można było rozróżnić kobiecą sylwetkę. Istotne fragmenty były oddane ze szczegółami.

Czekanie trwało długo, doskwierała nuda. A jeden z pilnujących miał niewątpliwie talent, marnował się w lesie.

A potem... Kiedy kompania zrobiła swoje na gościńcu, dwóch podrywało delikwenta z ziemi, rzucało na kolana. Ktoś chwycił za włosy, podrywał w górę głowę, odsłaniając gardło. Ktoś zadawał krótkie pchnięcie, jeszcze żywe ciało waliło się na skotłowane sitowie.

Następny.

Ktoś zadawał pchnięcie. Raczej zadawała, pomyślał Claymore.

Osiem nagich ciał, ośmiu zbrojnych zaszlachtowanych jak bydło. Dziewiąte ciało nie było nagie.

Przybrudzony habit przesiąkł czarną, skrzeplą krwią. Ptaki nie naruszyły twarzy, nawet nie wydziobały oczu, widocznie wśród trupów

znalazły dogodniejszy obiekt zainteresowania. Głowa zwisała zabitemu na piersi, tonsura otoczona wianuszkiem siwych włosów błyszczała w słońcu.

Komornik klasztorny, pomyślał Claymore. William Jackson miał rację, tylko ziemie opactwa i klasztorów wyszły obronną ręką ze strasznej zimy. Tylko z tych wiosek i folwarków ściągano jeszcze dziesięciny, obedienciariusze dbali o to skrupulatnie.

Popatrzył na mnicha, na jego wyciągnięte do góry, związane ręce, zaczezione na sęku uschniętego drzewa tak, że bosa stopy w sandałach ledwo dotykały ziemi. W habicie pozostało małe rozcięcie, gdy ostrze przebiło żołądek. Paskudna śmierć, długa i bolesna. Mnich nie zasłużył widać na miłosierny cios sztychem pod brodę.

Ramirez nie mógł powstrzymać nerwowego śmiechu, gdy przez głowę przemknęła mu wariacka myśl. Komornik, czyli poborca. A dobry poborca to martwy poborca, zatem wszystko w porządku.

Rzucił szybkie spojrzenie na dziewczynę. Fabienne nie zareagowała na jego śmiech, wzrok miała zamysłony, wydawała się nieobecna.

I ja mam cię bronić, Marion, pomyślał Claymore. Znaleźć ci kryjówkę, byś uszła pogoni i zemsty. Ciekawe, komu uda się uciec przed twoją zemstą.

Wszystko zaczynało się składać. I to był dopiero początek.

– To twarda suka, Claymore – usłyszał głos Fabienne, zimny i spokojny. – Wierz mi, twarda jak ja.

Odwrócił się, zaskoczony.

– Skąd...

– Skąd wiem? – Skrzywiła wargi w uśmiechu, lecz jej spojrzenie pozostało zimne i wyzywające. – Umiem słuchać, myśleć też umiem. Poskładałam sobie.

Minęła Ramireza, podeszła do zwisającego z drzewa mnicha. Był wyższy od niej, gdy tak zwisał, mogła bez trudu zajrzeć mu w twarz, choć głowę miał spuszczonej na piersi.

– Jest twarda, Claymore – powtórzyła. – I potrafię ją zrozumieć.

– Wyjaśnij – rzucił Ramirez. – Bo to przecież bez sensu.

Fabienne odwróciła się, podeszła do niego.

– Dlaczego bez sensu? – spytała.

Wskazał nagie ciała w skotłowanym, splamionym krwią sitowiu, zamęczonego mnicha.

– Po co? – spytał krótko. – Dlaczego wszyscy? Jeśli chciała coś pokazać, dać znak, to nie lepiej było ich puścić? Może nie wszystkich, ale choćby tych zbrojnych? Przecież poddali się, rzucili broń. I tak oddaliby wszystko, co mieli. Można było ich puścić nagich, okaleczyć nawet, żeby zanieśli wieść o klęsce. Żeby wznieć strach, nikt przez długi czas nie wjechałby do puszczy ot, tak sobie.

Dziewczyna uśmiechnęła się złośliwie.

– Bez sensu – ciągnął Claymore. Był zły. – Ptaki ich rozdziobią, lisy rozwłócą. Niedługo śladu nie będzie, jeno próchniejące kości, nie pierwsze i nie ostatnie. Ot, zginęli bez śladu. Może zarżnęli mnicha i teraz przepijają pensy z dziesięcin. Nie rozumiem...

– Aleś ty głupi, Claymore. – Fabienne pokręciła głową, uśmiech zniknął z jej twarzy. – Chciała pokazać i pokazała. Wyłącznie sobie.

Cięła rzemienie kordem, odskoczyła, zanim ciało mnicha zważyło się na ziemię. Zacisnęła wargi, gdy kostka, nadwerężona przy upadku z omszałej kłody, zapulsowała bólem.

– Zabierajmy się stąd – powiedziała. – Już wiesz, co chciałeś wiedzieć.

Ruszyła lekko kulejąc, nie oglądała się, czy Claymore podąża za nią. Coś dodała jeszcze, nie odwracając się.

Ramirez nie dosłyszał, ale domyślał się. Zrobiłaby to samo.

Słońce dawno już minęło zenit, kłoniło się ku zachodowi. Długo trwało, nim zdecydowali się zatrzymać, oboje mieli wrażenie, że wciąż ściga ich trupi odór, doganiający ich z każdym powiewem wiatru.

Mech rósł w kształcie wielkich zielonych poduszek, miękkich i puszystych. Zeszli z gościńca, na wszelki wypadek woleli być niewidoczni. Claymore wprawdzie nie spodziewał się, by ktokolwiek wysłał zbrojnych na poszukiwania zaginionego poborcy, jeszcze nie

teraz, ale ostrożności nigdy za wiele.

Trzeba się wynosić z tej osady, pomyślał. Zbyt dużo ludzi wie o nas, sprzedadzą każdego za złamanego pensa. A i tak już czas.

Wyjął z sakwy małą gomółkę twardego sera, pokruszone podpłomyki. Fabienne siedziała na mchu, obejmując ramionami kolana.

– Chcesz? – spytał.

Zaprzeciżyła ruchem głowy.

– Nie uważasz, że samym zapachem można było się najeść?

Wzruszył ramionami, schował ser z powrotem. Też nie miał apetytu. Dostrzegł, że dziewczyna masuje sobie kostkę, utykała już wcześniej, a gdy niedawno prowadzili konie po miękkim mchu, coraz bardziej.

– Pokażesz? – spytał, mimo że spodziewał się, iż ofuknie go niczym rozzłoszczona kotka.

Ku jego zdziwieniu kiwnęła tylko głową, nie upierała się, że nic jej nie jest, czego też się spodziewał. Wyprostowała nogę.

– Pomóż mi ściągnąć but – poprosiła. – Zdaje się, że spuchło.

Trzymał wąską, kształtną stopę dziewczyny, wodził palcami po kostce, naciskając lekko. Istotnie opuchła trochę, ale nie widać było zasinień. Naciągnięty staw, bez pęknięć kości, bez naderwanych ścięgien. Bolesne, powinno przejść szybko, przydałby się jednak zimny okład, a do strumienia jeszcze daleko. Nacisnął mocniej, dziewczyna syknęła.

– Przepraszam. – Poglądził podbicie stopy. Fabienne przymknęła oczy.

– Nie przepraszaj – szepnęła. – To miłe.

Uśmiechnął się, pogłaskał jeszcze raz. Zaczął rozmasowywać spuchniętą kostkę.

Położyła się na wznak, na miękkiej poduszce mchu. Był suchy, poranna rosa dawno wyparowała. Otworzyła oczy, patrzyła na sunące wolno po niebie strzępiaste obłoki, zaróżowione blaskiem chylącego się ku zachodowi słońca.

Zaczynała już czuć zapachy – rozgrzanej żywicy, próchnicznej ściółki i butwiejących liści. Ulotnił się wreszcie trupi odór, nie miała już wrażenia, że jej włosy i odzienie przesiąkły nim do cna, i nigdy się go nie pozbędzie.

Delikatny dotyk Claymore'a przestał być już tylko masażem, stał się pieśczętą.

- Zaczekaj - powiedziała cicho. Znieruchomiał, omal nie roześmiała się na widok zawodu na jego twarzy, którego nie potrafił ukryć. Po raz pierwszy widziała Ramireza niepanującego nad emocjami. Teraz nikogo nie udawał, nic nie starał się udowodnić. Był sobą, kimś, kogo teraz nie przytłaczał ciężar powinności i odpowiedzialności.

- Spokojnie - dodała po chwili. - Nie jestem głodna, ale wiesz, napiłabym się. Zdaje się, że masz w bukłaczku coś lepszego niż wodę.

Spojrzał na nią, uśmiechnął się.

- A potem... - Znów przymknęła oczy. - Wiesz, druga stopa też mnie boli.

Miód był mocny. Nieco za słodki i za gęsty, jak na to upalne popołudnie, ale i tak wyborny. Świat pojaśniał, koszmarne widoki nie pozostawiły przykrego wrażenia, jakby to wszystko oglądali tak dawno, że czas zdołał zatrzeć w pamięci ostrość szczegółów.

Claymore opierał się o drzewo, niezbyt wygodnie, bo była to cienka brzoźka, uginająca się przy każdym poruszeniu. Czuł, jak wrzyna mu się w plecy.

Nawijał na palec pasmo jasnych włosów, układających się za uchem. Lubił Fabienne taką, uświadomił to sobie znów, z rozpuszczonymi, opadającymi na ramiona włosami. Pogładził ją delikatnie po policzku.

Skórzany bukłaczek leżał na mchu, odkorkowany i zapadnięty w sobie, jak skóra świeżo zdarta z upolowanego zwierza. Ramirez pomyślał, że aromat miodu już zawsze będzie mu się kojarzył ze smakiem warg Fabienne. Uśmiechnął się, nieźle. Bardzo dawno nie roztrząsał podobnych problemów.

Potem myślał, że właśnie on coś zniszczył, coś zepsuł nieodwracalnie. To przekonanie towarzyszyło mu przez długi czas. Nie miał racji, zniszczyli coś oboje.

Ale to Fabienne zaczęła.

- Nie masz na nic wpływu, Claymore – oświadczyła w pewnej chwili.
- Nie masz już zobowiązań.

Wiedział doskonale, o czym mówi. Zamierzał powiedzieć coś na ten temat, ale odwlekał jak mógł. Chciał powiedzieć, że wróci, gdy tylko wypełni zobowiązania, że przecież nie może nie wypełnić, bo straci... Sam nie wiedział, co jeszcze może stracić. A raczej obawiał się, co straci w zamian.

- Nic nie jest już ważne – ciągnęła dziewczyna. - Nic nie da się uratować, nawet jej. Och, da sobie radę, nie zginie. Ale nie uratujesz jej przed samą sobą, przed bezsensowną zemstą, która ją w końcu zabije. Ona nie ma dokąd wracać i nie ma dokąd pójść. Przegrała wszystko, a raczej wszyscy przegrali za nią. Ty też. Chciałeś, nie udało się.

- Posłuchaj... - Nie dokończył. Poczł, jak ciało dziewczyny sztywnieje. Wciąż jeszcze leżała z głową na jego udach, ale stała się nagle daleka i obca.

- Nie, ty posłuchaj, choć raz. On nie żyje. Dostał bełt prosto w serce, bo polazł tam jak idiota. Skończyły się mrzonki, skończyły się tajemnice. Szeryfa też już nie ma, już dawno stoczyły go robaki, o ile wiem, jeszcze za życia. Nie żyją oprawcy, Czarnego Barona usiekli, i dobrze, bo straszny był z niego skurwysyn. O co chcesz walczyć, Claymore? Jakich zobowiązań dotrzymywać? Wobec kogo? Powiem ci, tylko wobec siebie samego.

- Match żyje – powiedział, zanim zdążył ugryźć się w język. Twarz Fabienne skurczyła się, dziewczyna wyglądała teraz jak skrzywdzone dziecko. Poczł przyptyw żalu, wiedział już, jak to się skończy. Mimo to brnął dalej.

- Żyje, jestem tego pewien. - Odwrócił wzrok od twarzy Fabienne, nie mógł spojrzeć jej teraz w oczy. - Nie pytaj, skąd wiem. Taka jest prawda. Nic się nie skończyło, dopiero się zaczyna. I właśnie ja muszę to zakończyć.

Jesteś pewien, pomyślała Fabienne. Tak samo jak i ja, niestety. Nie wiem jak, ale przeżył, może zmartwychwstał, jak ten kot o dziewięciu żywotach. Ile żywotów ci zostało, Match? Ile razy będziesz jeszcze wracał i niszczył, w imię zobowiązań, w imię lojalności? W imię twojej zemsty, nie wiadomo na kim, nie wiadomo za co?

Popołudnie było ciepłe, ale nagle ogarnęło ją śmiertelne zimno. Przypomniała sobie chmurnego, siwowłosego człowieka. Nie zdążyła go nawet poznać, pamiętała zaledwie głos, dotyk twardej dłoni na swojej piersi. Pamiętała coś jeszcze, trakt i chwilę, kiedy wydawało się jej, że tym razem przegrała, że zaraz spadnie na nią cięcie sejsmitara. Uratowałeś mnie wtedy, Match, pomyślała. Też zawdzięczam ci życie. Chociaż nic dla ciebie nie znaczyłam, byłam tylko narzędziem, tak jak i ty jesteś, w rękach niewiadomego przeznaczenia. Narzędzie używa narzędzi, i nie przejmuje się, kiedy się zniszczą i zużyją, odrzuca je i szuka nowych. A te ochoczo się znajdują, nie bacząc, że bronią cudzej sprawy. Bo tak, kurwa, trzeba.

Usiadła, objęła ramionami kolana.

– Tak, kurwa, trzeba – powiedziała gorzko. – Wiesz, Claymore, zazdroszczę jej.

Nie musiała mówić, komu. Dobrze wiedział.

– Zazdroszczę, że ktoś potrafił pójść za nią na śmierć, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie ma szans. Zazdroszczę tej czułości, kiedy o niej mówił, tego błysku w oczach. Tego, że chciał się nią opiekować, chronić ją. On nie musiał oddzielać jej od powinności, nie musiał wybierać. Była częścią tego, co uważał za najważniejsze.

Nie potrafił znaleźć słów. Położył dłoń na ramieniu Fabienne. Nie odrzuciła jej, ale poczuł, jak sztywnieje pod tym dotykiem. Potrząsnęła głową.

– Jest twarda. Szuka zemsty, zrozpaczona, osamotniona i zdradzona. Tak przynajmniej uważa. Chce pokazać światu, że i ona potrafi się odegrać za całe zło, które jej wyrządził. Nie pamięta o własnych błędach, wyrzuciła je z pamięci. I będzie twarda, bo przecież ma jedynie wrogów. Żeby było ich mniej, jest tylko jeden sposób, trzeba ich zabić. Zniszczyć i unicestwić. Trzeba być twardą suką.

Opuszczone ramiona dziewczyny zadrżały.

– Tyle że czasem trudno, wiesz? – ciągnęła stłumionym, matowym głosem. – Trudno być twardą, czasem chciałoby się wypłakać, przyznać do słabości, niekoniecznie przed kimś, wystarczy przed sobą. Poprosić o pomoc. Ale nie można, twarde kobiety tak nie robią.

– Wiem... – usiłował wtrącić Ramirez.

Strąciła jego dłoń z ramienia. Poderwała się, syknęła i zachwiała, stąpając ostrożnie.

– Gównu wiesz, Claymore! – krzyknęła. – Gównu wiesz o mnie, i tyle samo o niej!

Oparła się o brzoźkę, uniosła bosą stopę z mchu. Pochyliła się i zaczęła rozcierać opuchliznę.

– Nie wiesz nic – mówiła bardzo cicho. – I nic nie rozumiesz. On wróci, jeśli tylko żyje. A żyje, zaufaj mi. Możesz nazwać to przecuciem. Ona jest jego powinnością, on nie musi wybierać. Ma to szczęście, że nie musi.

Usiadła ostrożnie, przytrzymując się pnia.

I co mam ci jeszcze powiedzieć, Claymore? – pomyślała z rozpaczą. Przecież nie uwierzysz. Pomyślisz, że cię okłamuję, że chcę zmusić do decyzji. A ty już zdecydowałeś, wypełnisz zobowiązania, bo one są przecież ważniejsze. To nic, że tylko dla ciebie. A potem wrócisz.

Tak się nie stanie. Ja wiem. Bo ktoś już widział twoją śmierć. Pokazał mi ją. I jak zwykle to ja mam przerabane.

– Bądź łaskaw podać mi buty, Claymore. – Tylko to przyszło jej do głowy. Nic innego nie potrafiła już powiedzieć.

Przykucnął przed nią, spróbował ująć pod brodę. Zanim odtrąciła jego rękę, zobaczył łzy wypełniające piwne oczy.

– Odczep się, Ramirez – szepnęła. Na nic więcej nie pozwoliło dławienie w gardle. – Rób sobie co chcesz, ale wypierdalaj z mojego życia.

Przytrzymał jej strzemień, chciał podsadzić na kulbakę, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili. Wskoczyła pewnie, wciąż unikając jego wzroku. Patrzyła gdzieś daleko, w perspektywę traktu ginącą w szarości zmierzchu.

Stuknęła klacz piętami po bokach, ruszyła ostro. Claymore spoglądał chwilę za nią, zanim klepnął swego wałacha po zadzie.

Przejdzie jej, pomyślał, zrozumie przecież.
Mylił się. Mylili się oboje.

- IV -

Ma Wiedźma znościomość ziół doskonałą, y innych naturalnych rzeczy, przeto activa passivis aplikując sympatyą y antypatyą cudne rzeczy prorokuie in naturabilis. Aleć częstokroć zły duch ieno prorokuie kłamliwie, tedy iakie to rewelacye zkąd inąd wiadome. Bo choć może Wiedźma przyszłe rzeczy komu prorokować, to niemoże czynić nieomylnego prognostyku; a ieżli się iey weryfikuje, dzieie się to przypadkiem, alboli y z koniektur.

Żywot Bł. Piotra z Blyton, biskupa Lincoln

Ptaki budziły się pierwsze. Zanim krótka, letnia noc przeszła w przedświt, dawały się słyszeć pierwsze nieśmiałe trele, łopoty skrzydeł i szelest liści, odgłosy opuszczania leśnych kryjówek. Las ocknął się z krótkiego snu, pojaśniał już, choć zanim słońce wyjdzie z za drzew, spowijać go będzie szarość.

Wieczorna mgiełka spadła na trawę jako rosa, wróżąc upalny dzień. Na razie jednak było chłodno, jak zwykle pod koniec lata, kiedy dni stają się krótsze i czuje się już nachodzącą jesień. Niektóre liście żółkły, pozwijane szeleściły na szypułkach, kiedy poruszał je lekki wietrzyk. Susza wyprzedziła pory roku, wiązy i jesiony, pozbawione deszczu, daremnie wpijały korzenie w spopieloną ziemię, którą przelotne burze zdołały nasaczyć ledwie na cal lub dwa w głąb, i przybierały barwy przygaszonego złota i szarawego brązu.

Rosa w wysokiej trawie była zimna, prawie lodowata. Srebrzyła żdźbła i rozsnute na polanie pajęczyny, które obciążone kropelkami z daleka wyglądały jak płachty niedbale rozrzucone przez tkaczy, aby słońce je wybieliło. Wysokie pożółkłe żdźbła, na środku polany niewyskubane przez konie, chyliły się pod ciężarem kropli, połyskujących w świetle poranka.

Latem wilki nie zbliżały się do ludzkich sadyb, na to jeszcze przyjdzie czas, gdy zimą, zgłodniałe i groźne, zaczną łączyć się w watahy i bez wahania porywać owce z obejścia, rozszarpawszy wprzód stróżujące psy. Teraz polowały samotnie, tylko wadery prowadziły ze sobą tegoroczny przychówek, który już nie wyglądał tak jak wiosną, niczym małe, rozkoszne psiaki. Ale unikały ludzi, a nikły zapach dymu z palenisk czy nocny odblask ogniska odstraszał je skutecznie.

Konie wystarczyło zatem spętać, puścić wolno na polanę, by zadbały o siebie same. Nikt ich nie wiązał, nawet na noc, nie odchodziły daleko, trzymały się obozowiska. Stały teraz pod samą ścianą lasu, zbite w ciasną gromadkę, ich sierść pociemniała od porannej wilgoci. Stary wałach Snake'a szczypał bez przekonania suchą, poszarzałą trawę. Młoda, kasztanowata klacz trzymała się z boku, choć wciąż spętana, była już okulbaczona. Wyraźnie jej się to nie podobało, przywykła do bezczynności, do całych dni leniwego snucia się po pastwisku. Teraz poparskiwała cicho, opędzała się ogonem. Bez potrzeby zupełnie, o tej porze gzy jeszcze nie dokuczały.

Kropelki ziębiły bosc stopy Fabienne, gdy szła przez polanę, zostawiając za sobą ciemne ślady na wysrebrzonej rosą trawie. Nie starała się nawet iść tą samą drogą, choć widać było, że przemierzyła polanę już kilka razy. Lodowaty chłód pasował do jej nastroju.

Sakwy były lekkie, niewiele miała do zabrania. Jednak klacz szarpnęła się, gdy poczuła worki na grzbiecie, przewieszzone przed siodłem, zatańczyła w miejscu, bijąc kopytami w zdeptaną trawę. Dziewczyna uspokajająco poklepała ją po szyi, rzucając jednocześnie szybkie spojrzenie na szałas po drugiej stronie polany.

– Cicho, Faerye – szepnęła, jakby śpiący w szałasach ludzie mogli ją dosłyszeć. – Cicho...

Klacz nie parsknęła, dotyk chłodnej dłoni i cichy, spokojny głos wystarczyły, by stanęła bez ruchu, tylko nerwowo podrzuciła głowę, spoglądając badawczo swym migdałowym okiem.

– Dobra dziewczynka – powiedziała Fabienne z uśmiechem. – Można na ciebie liczyć, Faerye. Przynajmniej na ciebie.

Uśmiech spętał z jej twarzy, z wysiłkiem odegnała od siebie myśli, z którymi nie mogła sobie poradzić od dawna. Tym bardziej nie poradzę

sobie teraz, przemknęło jej przez głowę. Przesunęła dłonią po gładkiej, lśniącej końskiej szyi, wilgotnej i chłodnej sierści. Faerye, pomyślała tkliwie. Tylko na ciebie mogę liczyć.

Klaczka, którą zdobyła razem z Matchem na trakcie, szybko się do niej przywiązała. Fabienne myślała czasem, że zwierzę jest jej wdzięczne za uwolnienie spod ciężaru cuchnącego zbira, który, pomijając wszystko, był dla niej po prostu za ciężki. Musiał ją zdobyć gdzieś przypadkiem i na pewno zajeździłby szybko, nie przejmując się specjalnie. Świadczyły o tym otarcia, pogubione hufnale w ledwie trzymających się podkowach i lęk w oczach, którego klacz długo nie mogła się pozbyć.

Fabienne powinna już wracać, zabrać to, co jeszcze zostało. Niewiele tego było, kord i zwinięty w tobołek przyodziewek. Nie chciała przebierać się w szałasie, by nie obudzić śpiącej Bethie. A przebieranie się na polanie... Bez trudu wyobraziła sobie scenę, kiedy ściąga przez głowę koszulę, a wtedy z szałasu wyłazi Claymore, by odlać się bladym świtem, przeciera zapuchnięte od snu oczy i widzi ją, gołą i gotową do ucieczki.

Dalej już sobie nie wyobrażała, wiedziała tylko jedno. Musiałaby go zabić.

Powinna wracać, ale nie mogła jakoś odejść od klaczy, spokojnej już i ufnej. Wstrząsnęła się od nagłego chłodu, który przeniknął ją całą, jakby dopiero teraz dotarło do niej lodowate zimno rosy. Objęła się ramionami, które pokryła gęsia skórka, i stała tak bez ruchu, bosa dziewczyna w krótkiej, niezakrywającej ud lnianej koszuli. Ze ściągniętą twarzą, z zimna albo od złych myśli.

Jestem taka jak ona, pomyślała, patrząc w brązowe oko klaczy. Faerye, Fabienne, jeden czort, może tylko taka różnica, że tobie nadałam imię, moje nosiłam od urodzenia. Przelotny uśmiech skrzywił zaciśnięte wargi. Ładne imię, Faerye. Zgrabny kasztanowaty elfik. Przypomniała sobie, że kiedy spytała Claymore'a, jak nazywa się jego wierzchowiec, spojrzał na nią dziwnie i odparł, że koń nazywa się koń. Wałach, uściślił, widząc, że dziewczyna nie rozumie.

Ramirez nie był bezpiecznym tematem do rozmyślań. Fabienne jeszcze raz poklepała Faerye po szyi, zastanawiając się ponuro, czy przypadkiem specjalnie nie odwleka chwili, kiedy wskoczy na kulbakę i odjedzie. Nie potrafiła odpowiedzieć sobie na to pytanie. Ale wiedziała,

że musi odpowiedzieć, zanim dysk słońca wyjrzy zza koron drzew, zalewając polanę żarem upalnego dnia.

Ciekawe, czy kiedyś też mnie zostawisz, pomyślała, czując ukłucie smutku. Lub wyrzutów sumienia. To nie były złe lata, te wszystkie spędzone z mrukliwym kuglarzem i jego pulchną żoną, która nazywała ją córcią. Z małą Bethie, którą pamiętała od dnia urodzin, i ze starzejącym się, ślepowym, śmierdzącym niedźwiedziem, którego śmierć widziała tak niedawno. Nawet nie przypuszczała wcześniej, że z powodu sierściucha uroni choć jedną łzę, poza łzami złości, jak nieraz bywało, kiedy narznął na polepę, a ona musiała po nim sprzątać. Okazało się, że się myliła.

Wspomnienia zapiekły pod powiekami. Też taka byłam, zalękniona, poraniona i po prostu głodna, kiedy na swojej drodze spotkałam parę kuglarzy. A właściwie samego Snake'a, bo żabcia raczej nie odwiedzałaby takiego przybytku, co więcej, niewątpliwie nie pochwałała odwiedzin. Też trochę trwało, zanim zagoiły się skaleczenia, jeszcze dłużej, zanim zniknął lęk. Strach przed dotknięciem czy choćby spojrzeniem.

Teraz uciekam, przyznała, uciekam przed sobą. Przed tym, co we mnie jest, a czego istnienia dotąd nie podejrzewałam. Myślałam, że to dawno umarło, kiedyś, kiedy jeszcze nie mogło się rozwinąć, zabite i odrzucone na zawsze.

Chyba umarło. Tak właśnie myślała, była o tym przekonana. Pewne rzeczy trzeba umieć, trzeba być do nich zdolnym.

– Ja nie jestem, Claymore – powiedziała na głos. – Nie umiem i nigdy nie będę umiała. Nawet nie wiem, czego naprawdę chcesz, nie potrafię odgadnąć. Boję się, że po prostu oszukujesz, mnie, może i siebie. Ale nigdy się nie dowiem.

Klacz parsknęła, rzuciła niespokojnie głową.

– Ja nie umiem, Claymore – dokończyła Fabienne już ciszej. – Po prostu nie rozumiem.

– Dlaczego mu tego nie powiesz? – usłyszała za sobą znajomy głos. Odwróciła się gwałtownie, czując jednocześnie złość i ulgę.

Bethie ziewała rozdzierająco, przecierała jedną ręką zapuchnięte od snu oczy, w drugiej trzymała kord z pochwą owiniętą pasem. Przesząpiła z nogi na nogę, potarła podbiciem bosej stopy o łydkę.

– Zimno – poskarżyła się. – Nie możesz uciekać później?

– Uciekasz – powtórzyła Bethie z uporem. Fabienne szepnęła coś, co zabrzmiało jak przekleństwo.

– Słyszałam – dodała dziewczynka oskarżycielskim tonem.

Siedziały na skraju polany, na kłodzie, którą kiedyś Snake przywlókł z lasu z zamiarem porąbania na szczapy. Na zamiarze się skończyło, zresztą przecież nie planowali tu zimować, zapas opału okazał się niepotrzebny. Bethie otuliła podkurczone nogi koszulą, poranek wciąż był zimny. Jednak Fabienne z niepokojem spoglądała na korony drzew – lada chwila mogło wychynąć zza nich słońce.

– Nie uciekam. – Starła się zachować cierpliwość i spokój, choć wewnętrznie zaczynała się trząść z irytacji. – Odjeżdżam, na trochę. Wrócę niebawem.

Usta Bethie wygięły się w podkówkę.

– Kłamczucha! W dodatku wstrętna!

To na nic, pomyślała Fabienne ze złością. Uparła się i już. Niedługo będzie za późno, wkrótce Snake uniesie płachtę zakrywającą wejście do szałas, zawsze wstawał wcześniej, doglądał koni. Oby właśnie Snake, a nie kto inny. Znów nie mogła się powstrzymać, zaklęła pod nosem.

– Teraz też słyszałam! – Bethie nie darowała. Może powiedziec jej prawdę, przemknęło przez głowę Fabienne. Nie, nie zrozumie. Zresztą... Ja też nie wiem, co jest prawdą.

– Powiedz prawdę, Fabienne. – Głos Bethie był tym razem cichy i proszący, po policzku dziewczynki spłynęła łza. – Proszę, powiedz, dlaczego nas zostawiasz.

– Nie zostawiam – Fabienne spróbowała jeszcze raz, wiedząc, że to i tak na nic. – Odchodzę na chwilę, wrócę. Obiecuję.

Wypowiedziane słowa okazały się błędem. Bethie zerwała się z kłody, stanęła przed nią, wzięwszy się pod boki. Teraz już płakała, nie kryjąc się z tym.

– Nigdy nie obiecuj! – krzyknęła. – Nigdy, jeśli nie chcesz dotrzymać!
– Ciszej! – syknęła Fabienne, zanim zdołała się powstrzymać. To nie był dobry pomysł, dziewczynka rozdarła się jeszcze głośniej.

– Jesteś podła! Uciekasz i kłamiesz!

Fabienne milczała, patrząc, jak szloch wstrząsa plecami Bethie, jak mała rozmazuje piąstkami na policzkach brudne smugi. Płacz stał się cichszy, żalony, niczym płacz skrzywdzonego dziecka, którym Bethie w istocie była.

– Prawda – Fabienne usłyszała swój własny głos, głuchy i martwy, zupełnie obcy. – Jestem podła. Uciekam i zostawiam was, ciebie, Snake'a i mamę.

Bethie odjęła piąstki od twarzy, spojrzała nieoczekiwanie bystro.

– I Claymore'a – powiedziała.

Fabienne nie spuściła oczu.

– Tak, jego też – odparła po chwili. – Przede wszystkim jego. Przepraszam.

Wstyd, którego ukłucia czuła od dawna, teraz palił jak ogień. Masz rację, pomyślała, zostawiam was. Te wszystkie lata stały się nieważne, po prostu dlatego, że nie umiem sobie poradzić. Z nim, ze sobą. Wybaczcie.

Nie powiedziała tego na głos. Wiedziała, że nie będzie przebaczenia. Nie od małej dziewczynki, która uważała ją za siostrę.

Bethie uspokoiła się. Znow przysiadła na kłodzie.

– No to musisz się pospieszyć – powiedziała trzeźwo. – Zaraz wszędzie słońce, wstanie Snake. A on cię zatrzyma.

Ślady łez wysychały jej na policzkach. Potarła zaczerwienione od płaczu i z niewyspania oczy.

– Bethie... – szepnęła Fabienne, zrobiła ruch, jakby chciała pogłaskać dziewczynkę po policzku, zawahała się. Jej wzniesiona dłoń zawisła w powietrzu. Mała uśmiechnęła się, zarzuciła jej rączki na szyję, przyłgnęła jeszcze wilgotnym od łez policzkiem do twarzy dziewczyny. Fabienne zadrżała.

– Wiem, musisz – usłyszała szept dziewczynki. – Ale proszę, nie okłamuj mnie, że wrócisz. Ty nie chcesz wrócić.

Bethie odsunęła się, popatrzyła smutno. Fabienne zaprzeczyła.

– Chciałabym – szepnęła cicho. – Ale nie mogę, naprawdę nie mogę. Nie daję sobie rady.

Mała skinęła poważnie głową.

– Wiem – powiedziała. – Poczekaj, przyniosę twój tobołek, i buty. Nie bój się, nikogo nie obudzę, umiem się skradać. Wiesz, kiedyś pewnie też ucieknę.

Fabienne uśmiechnęła się mimo woli. Może będziesz mądrzejsza, pomyślała.

Trudno było wciągnąć buty na mokre od rosy stopy. Bethie przyglądała się z boku, jak Fabienne przytupuje, a potem podała jej kord. Dziewczyna zapięła pas na biodrach.

– Fajnie wyglądasz – powiedziała Bethie z uznaniem.

Istotnie, widok musi być niezły, pomyślała Fabienne z nagłym rozbawieniem. Krótka koszula, na niej zapięty pas, obciążony kordem. I długie do pół łydki jeździeckie buty, z cholewkami z miętko wyprawionej jeleniej skóry. Prezent od Snake'a, przypłynęło wspomnienie: ludny jarmark, rozbawienie kuglarza na widok błysku w jej oczach, kiedy zobaczyła buty na straganie, takie zgrabne i mięciutkie. I jeszcze coś, dotyk dłoni Ramireza, ciepło wyczuwalne przez skórę cholewki, potem, gdy ściągał but, już na nagiej skórze. Dość tego, zdecydowała, nie ma co przeciągać.

Zmierziła czuprynę dziewczynki pieszczotliwym gestem. Bethie chwyciła ją za przegub, spojrzała w oczy.

– Ty nie możesz – powiedziała. – Nie wrócisz, chcesz, żeby on ciebie znalazł. Żeby szukał, tylko wtedy uwierzysz.

Fabienne popatrzyła zaskoczona. Snake, spłodziłeś potwora, pomyślała najpierw. A potem przypomniała sobie wszystko. Bethie wiedziała, nie była już tylko dzieckiem.

– Masz rację – odparła powoli, nie potrafiła skłamać. – Chcę. Ale wiem

też, że nic z tego nie będzie. Nic nie mów! – zakazała, widząc, że dziewczynka otwiera już usta.

Ujęła wodze, poprowadziła klacz w kierunku jedynej ścieżki wiodącej z polany do traktu. Przeszło jej przez głowę, że i tak nie wie, dokąd ma pojechać, więc ścieżka jest niewątpliwie tak samo dobrym wyborem jak każdy inny. Bethie dreptała koło niej, milczała posłusznie.

Fabienne zatrzymała się.

– Wracaj, siostrzyczko – powiedziała łagodnie, czując, jak łzy dławia ją w gardle. – I jeśli możesz, nie przepraszaaj. Nie przepraszaaj za mnie.

Mała skinęła głową. Oczy znów jej błyszczały.

– Bywaj, siostro – powiedziała. – Nie będę przepraszać, tylko pożegnam od ciebie. Jedź już.

Fabienne ruszyła, wstyd zmienił się w paskudne przeczucie, że więcej nie zobaczy starego kuglarza ani jego pulchnej żony.

Za koron drzew wyszło słońce, rzucając pierwsze promienie na polanę.

Ramirez grzebał drewnianą łyżką w misce z wystygłą kaszą. Jagły pełne były plew, odsuwał je na brzeg pracowicie wydłubanego z topolowego pieńka naczynia. Drewno popękało na brzegach, Claymore wolał się nie zastanawiać, co przez lata wsiąkało w jasne niegdyś słoje, teraz przesycone zjełczałym tłuszczem tak, że stało się prawie czarne.

Nie czuł wcale głodu. Ale udawanie, że się posila, było lepsze od nerwowego przechadzania się po polanie, od ciągłego spoglądania na jej odległy kraniec, skąd mógł się spodziewać, że nadjedzie Snake.

Specjalnie usiadł plecami w tamtą stronę. Nie znosił, gdy emocje brały nad nim górę, nie chciał wciąż powstrzymywać ukradkowych spojrzeń w nadziei, że wreszcie pod odległą ścianą lasu dostrzeże sylwetkę jeźdźca na koniu. Zacisnął palce na łyżce tak mocno, że omal nie pękł cienki drewniany trzonek. No dobrze, przyznał. Dwie sylwetki.

Od rana nie mógł się pozbierać. Snake obudził go dość gwałtownie,

kopniakiem w zebra i wiązanką wyszukanych przekleństw. Szybko wybiło go to ze snu, i szybciej jeszcze zrozumiał, co się stało.

Do tej pory nie mógł odżałować słów, które wtedy powiedział: gównu mnie to obchodzi.

Po raz kolejny, już chyba setny tego ranka, tłumaczył sobie, że nie mógł powiedzieć nic innego. Ale wciąż nie mógł zapomnieć, jak zmienił się wówczas wzrok kuglarza. Wciąż pamiętał też skurcz twarzy żabci, usteczka Bethie wygięte w podkówkę. I wciąż palił go wstyd.

Wtedy udawał, że nic się nie stało, w naiwnej nadziei, że może mu uwierzą. Ot, dziewczynski kaprys, co ja mam z tym wspólnego? Wróci, przed wieczorem. Nawet kiedy złamał się później, gdy kuglarz kulbaczył konia, żeby udać się na poszukiwania, zaproponował swą pomoc obojętnym tonem, jakby chodziło tylko o przyjacielską przysługę. I nawet nie mrugnął powieką, kiedy ten łamiącym się z wściekłości głosem zapowiedział, że lepiej byłoby, gdyby Claymore pozostał tu, gdzie właśnie jest, a najlepiej, by niezwłocznie udał się w stronę wręcz przeciwną. Bo inaczej on, Snake, własnoręcznie go zabije, jeśli tylko Ramirezowi strzeli do głupiego łba jeszcze głupsza myśl, by pojechać w ślad za nim. Choćbym cię miał nawet z kuszy ustrzelić, dodał kuglarz już z wysokości kulbaki.

Było to o tyle śmieszne, że nie miał kuszy. A raczej byłoby, gdyby nie okoliczności.

Claymore zżuł pod nosem jakieś przekleństwa, żeby do końca nie stracić twarzy. Snake popędził w las, niecierpliwie uderzając wierzchowca piętami po bokach. A on został i starał się nie patrzeć w oczy żabci i Bethie.

Nie musiał długo się starać, zniknęły w szalasy i został sam. Wtedy się zaczęło.

Minęła wściekłość, złość na głupią dziewczynę, która zrobiła mu coś takiego, wystawiła na pośmiewisko. Zaczęły się domysły, dlaczego właściwie to zrobiła. Claymore przechadzał się po polanie, i rozmyślając coraz bardziej utwierdzał się w słuszności jednego logicznego, jak mu się wydawało, wniosku.

Miała go dość.

W końcu on też miał dość. Wygrzebał z kociołka zimne jagły, byle

tylko się czymś zająć. I jak dotąd zajęcia wystarczyło, czasu na myślenie również.

Po raz kolejny stoczył krótką walkę, by się nie obejrzeć, nie popatrzeć na odległy skraj polany. Tym razem jeszcze ją wygrał.

Drgnął, kiedy wyczuł czyjąś obecność za plecami. Usłyszał dziecięcy chichot.

– Czego chcesz, Bethie? – spytał niechętnie. Nie miał ochoty na towarzystwo.

Wyszła zza jego pleców, stanęła przed nim. Słońce było już wysoko, z dołu, siedząc na trawie, widział tylko jej sylwetkę.

– Nie czekaj.

Żachnął się. I wyczuł raczej, niż zobaczył, że mała się śmieje.

– Co ty tam wiesz, gówniaro! – krzyknął.

Nie wstając, chwycił ją, zacisnął palce na ramionach, obrócił tak, że mógł zajrzeć prosto w twarz.

– Boli – powiedziała Bethie płacząco.

Zreflektował się i rozluźnił uścisk. Chciał pogłaskać po buzi, coś jednak go powstrzymało.

Dziewczynka nie wrywała się, miała tylko płaczącą minę skrzywdzonego i nieco nadęsanego dziecka.

– Nie czekaj – powtórzyła, z wyczuwalnym tonem przekory. – Ona nie wróci teraz. Nie bądź głupi.

Wydęła wargi, jakby chciała pokazać – taki jesteś mądry, a i tak moje na wierzchu.

Atak gniewu minął Claymore'owi równie szybko, jak się pojawił. Przecież nie będę się sprzeczał z dzieckiem, pomyślał. Puścił małą, a ona po chwili usiadła przed nim na trawie. Bawiła się słomką, nawijała ją na palec.

Ramirez podniósł miskę, którą odstawił przedtem obok. Spróbował znów zająć się jedzeniem, a raczej udawał, że je. Wiedział, że Bethie ma rację. Jednak wciąż z trudem powstrzymywał się od wypatrywania.

Czuł się głupio pod uważnym spojrzeniem dziewczynki, badawczym i zupełnie nie dziecinny. Wyraźnie chciała mu coś powiedzieć, ale

wahała się wciąż. Nie wyglądała na onieśmieloną, wiedział dobrze, że śmiałości tej małej nie brakuje, ma jej czasem aż za dużo. Jednak tym razem nie było w jej spojrzeniu nic z dziecinnej przekory, zniknęła szybko. Było za to coś niepokojąco dorosłego.

Wydaje mi się, pomyślał Claymore. Chciał zbagatelizować to ledwie uchwytnie wrażenie, lecz nie mógł.

– Dlaczego nie wróci? – spytał nagle, zanim zdążył tego pożałować.

Twarzyczka Bethie spoważniała.

– Bo nie chce.

Ramirez poczuł, że się czerwieni pod badawczym wzrokiem dziewczynki. Tyle sam wiedział, ale niekoniecznie chciał usłyszeć od tej smarkatej. Co gorsza, był przekonany, że dziewczynka mogłaby powiedzieć coś więcej, na pewno Fabienne pożegnała się z nią, na pewno rozmawiała. A przecież nie mógł zapytać wprost.

– Co ty tam wiesz – mruknął znowu. I aż drgnął, kiedy wydało mu się, że oczy Bethie nagle zmieniły kolor. Jasnoniebieskie, ufne oczy dziecka były teraz ciemne i przepastne.

Chciał wyciągnąć rękę, obrócić jej buzię do światła. Ale zanim to zrobił, Bethie roześmiała się, wstała raptownie, popatrzyła gdzieś za jego plecy.

– Snake wraca! – pisnęła radośnie i klasnęła w dłonie.

Claymore nawet się nie odwrócił. Patrzył jej w oczy, znów jasnobłękitne, nieco zaczerwienione i podpuchnięte, nie wiedział, czy od długiego snu, czy może od płaczu. Zdawało mi się, pomyślał z nagłą ulgą.

– Wraca, i nie jest zadowolony – dodała Bethie poważnie. Pogroziła Ramirezowi palcem. – Lepiej się schowaj – poradziła.

Kuglarz był wściekły. Zdarł brutalnie swojego wałacha, aż wyczerpane zwierzę zdobyło się na ostatni wysiłek i wspięło na tylne nogi. Bez zwłoki zeskoczył z kulbaki.

Claymore nawet nie drgnął. Siedział, wciąż trzymając na kolanach

miskę z zimną, zbryloną kaszą.

Snake cisnął wodze, klepnął wierzchowca w zad. Mocno, bo zwierzę zadarło tylko ogon i ruszyło galopem, aż spod podków trysnęły wyrwane grudy darni. Szybkim krokiem podszedł do Ramireza.

– Wstawaj! – rzucił krótko i bez żadnych wstępów. Claymore nie zareagował.

Popatrzył na kuglarza, na jego ściągniętą gniewem twarz. Policzek był pokryty zakrzepłą krwią, widać jakaś gałąź rozcięła Snake'owi łuk brwiowy, ciemne skrzepy zwisały na wąsach. Sapał głośno, musiał wracać tu galopem, co nie było rozsądne na wąskich leśnych ścieżkach, pełnych wykrotów i nisko zwieszających się gałęzi.

– Wstawaj! – powtórzył zduszonym głosem i trącił nogą podeszwę buta Claymore'a.

Ten powoli odstawił miskę z wetkniętą w resztki kaszy łyżką, demonstracyjnie skrzyżował ręce na piersi. Dopiero wtedy podniósł głowę. Ani myślał wstawać.

– A dlaczegóż to? – spytał spokojnie, starając się, by w jego głosie nie zabrzmiała kpina. Wiedział, że musi uważać, łatwo może przeciągnąć strunę.

Snake sapnął tylko, jakby zdumiony podobną bezczelnością.

– Bo nie będę, kurwa, bił siedzącego – parsknął po chwili, co zabrzmiało jak splunięcie. – Ale jak nie wstaniesz...

Urwał, dysząc ciężko.

– Jak nie wstaniesz, to duszę z ciebie wykopię... – dokończył powoli.

Claymore pokręcił głową.

– Będziesz musiał – odparł sucho. – Bo nie wstanę.

Kuglarza zatkało na chwilę, szybko jednak odzyskał rezon. Pochylił się nad Ramirezem, wielki i groźny, chwycił za kubrak pod szyją, ścisnął w garści. Słychać było, jak pękają rzemienie.

– Nie wstaniesz? – wysyczał mu Snake prosto w twarz. – Ano, zobaczymy...

Szarpnął i Claymore nagle poczuł, jak unosi się z ziemi. Nawet się nie przestraszył. Zdążył tylko zmrużyć oczy.

– Snake!

Ostry okrzyk zatrzymał kuglarza. Opadła wzniesiona pięść, uchwyt drugiej dłoni rozluźnił się nagle, i Claymore opadł na ziemię z wysokości łokcia, boleśnie tłukąc sobie tyłek.

– Zostaw!

Żabcia trzymała się pod boki. Oczy pulchnej kobieciny rzucały złe błyski. Bethie, która stała za nią, wychyliła jasną główkę.

Snake odwrócił się powoli, wytarł dłoń w spodnie gestem, który mógł sugerować, że dotknął przez przypadek czegoś obrzydliwego. Zgarbił się, jakby zapadł w sobie. Kiedy wreszcie się odezwał, w jego głosie nie było już wściekłości, tylko żal.

– Dlaczego? – spytał głucho. – Przecież to jego wina! To przez niego... Ech, mówiłem...

Znów skrzywił się gniewnie, zrobił ruch, jakby chciał odwrócić się do Claymore'a i go kopnąć, ale na tym się skończyło.

– Dlaczego? – powtórzył. – Wszystko co złe, to przez niego, mówiłem, popędzić, zanim szkód narobi.

Żabcia pokręciła głową.

– Nie pierwszy raz – powiedziała cicho. Ramirez podniósł głowę, nastawił uszu. Kuglarz podszedł do pulchnej kobiety, chciał ją objąć, ale wywinęła się zręcznie.

– Najpierw się umyj – sarknęła. – Śmierdzisz jak twój wałach, nie przymierzając, albo i bardziej.

Bethie parsknęła śmiechem. Snake nachmurzył się tylko. Wiedział, że z babami nie wygra. Ale spróbował.

– Nie pierwszy raz... – Splunął plwociną czarną od kurzu. – Zawsze znajdzie się jakiś skurwysyn, który się przy niej zakręci, i zawsze z tego kłopoty...

Popatrzył z odrazą na Claymore'a.

– Zawsze się znajdzie... A ty nigdy nie pozwalasz takim łba ukręcić, bo przecież jej będzie przykro... Ech...

Przez chwilę wydawało się, że jednak tym razem się nie powstrzyma, twarz nabiegła mu krwią, oczy się zwęziły. Ale żabcia stanowczo

przytrzymała go za ramię.

- Już dobrze, matka – mruknął. – Nic mu nie zrobię, chociaż zasłużył.
- Kobiecina pokręciła głową, lecz nic nie powiedziała.
- Idź już – popchnęła go energicznie. – Nic teraz nie poradzisz.

Bethie zniknęła w szalasię, Snake posłuchał widać żabci, bo udał się w stronę strumienia. Nie powstrzymał się od splunięcia, kiedy przechodził obok Claymore'a, który wciąż siedział na trawie. Trafił.

Ramirez wciąż ocierał opluty but, kiedy padł na niego cień. Nawet nie musiał podnosić głowy, żeby wiedzieć, kto za nim stanął. I nie podniósł, nie tylko z tego powodu.

- Nie dziw mu się – powiedziała cicho żabcia.

Przysiadła obok na piętach. Wydawała się spokojna, choć oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte.

- Nie dziwię się – odpowiedział wreszcie, kiedy milczenie się przedłużało. – Ale ja nic nie zrobiłem.

Kobiecina odgarnęła z twarzy siwiejące włosy. Patrzyła gdzieś w dal, na korony drzew, poruszane lekkim wietrzykiem.

Nie mogła powiedzieć wprost tego, co cisnęło jej się na usta. Claymore był ślepy, jak każdy mężczyzna, w mniejszym lub większym stopniu. I taki już pozostanie.

Wargi żabci mimo woli skrzywiły się w leciutkim, niewesołym uśmiešku. Pogłębiły się zmarszczki w kącikach ust. Ale zaraz twarz wygładziła się, kiedy wróciły na nią smutek i powaga.

To przecież nieważne teraz, pomyślała. I tak będzie, jak ma być. A będzie tak, jak wykrzyczała w gorączce umierająca kobieta, kiedy wpatrywała się w dach szalasu niewidzącymi oczyma, a jej dłonie, białe i aż przezrocyste, błędziły po okryciu w daremnym poszukiwaniu czegoś, czego mogłaby dotknąć, uchwycić się. Będzie tak, jak sama zobaczyłam, bo przecież jestem wieszczką, kiepską wprawdzie, zwykłą komediantką, ale i takim jak my zdarza się widzieć przyszłość.

Będzie jak ma być. Wieszczby się spełniają, choć zwykle są wieloznaczne i mętne. Ale zakreślają granice, pomiędzy którymi można się miotać do woli, łudzić, że ma się wpływ na to, co nieuniknione. A prawda jest inna: do końca prowadzą różne drogi. I można je nazywać przeznaczeniem.

Kobiecina spojrzała na Claymore'a, który pospiesznie odwrócił wzrok, jak przyłapany na gorącym uczynku. Jest ślepy, teraz było to nad wyraz jasne. I wciąż myśli, że uda mu się uniknąć przeznaczenia. Przecież go nie dopadnie, jeśli nie będzie w nie wierzył.

Zamamrotała coś gniewnie pod nosem. Claymore uniósł głowę.

– Mówiłaś coś?

Przez chwilę wydawało się, że i jemu się dostanie, jak wcześniej kuglarzowi. Omal się nie roześmiał, choć wcale do śmiechu mu nie było, tak bardzo kojarzyła się ze srogą matką lub żoną, która zaraz zaprowadzi porządek za pomocą ścierki.

– Nie, nie mówiłam – fuknęła tylko. – A w każdym razie nie do ciebie.

Przez chwilę widział jeszcze gniewne iskierki tłące się w jej oczach. Wkrótce jednak zgasły, jej spojrzenie znów powlekło się mgiełką, kiedy popatrzyła w dal.

Nie mogła mu tego powiedzieć, sama nie wiedziała dlaczego. Może dlatego, że nie pogodziłby się z nieuniknionym, chociaż to najgorsze nie jego przecież dotyczyło?

Nie, wcale nie najgorsze, zrozumiała teraz. Bo nie koniec jest najgorszy, tylko niepewność. Igraszka przeznaczenia, które zostawia wybór. I zmusza do jego dokonania. Pozór wolnej woli.

Dość tego, pomyślała.

– Claymore, musisz wiedzieć... – zaczęła i urwała.

Wciąż nie była pewna, czy jej uwierzy, czy w ogóle będzie chciał wysłuchać. Bo kimże w końcu była? Zaledwie jarmarczną wieszczką, której ktoś pomógł ujrzeć przyszłość.

– Musisz pamiętać – mówiła powoli, z trudem, nie patrząc w jego stronę. – Musisz wiedzieć, że już nie tylko ty sam... Że ona...

Zaplątała się, w jej oczach błysnęły łzy. Claymore nie wytrzymał.

– Co ona? – wybuchnął. – Ty też? A co ja mam do tego?

Zerwał się na równe nogi, kopnął drewnianą miskę, która stała obok niego. Potoczyła się po trawie, sypiąc bryłkami zimnej kaszy.

– Co, może mam jej szukać, jechać za nią? Tego chcesz?

Nie odpowiedziała, pochyliła tylko głowę.

– Nie pojedę. A to dlatego, że widać miała dość, nie wiem, czy nas wszystkich, czy kogoś z osobna. Może mnie.

– Siadaj – przerwała mu zimno, nie podnosząc głowy. Coś było takiego w jej tonie, że posłuchał od razu.

– Nie mówię o niej, durniu – wyjaśniła oschle. Pozbierała się już, chciała jak najszybciej skończyć. – Chodzi o Bethie.

– Co? – Claymore zdobył się tylko na tyle. Był zbyt zaskoczony.

Wtedy powiedziała mu wszystko. Prócz tego, co dotyczyło jej i Snake'a.

Słuchał spokojnie, nawet się nie skrzywił z niedowierzaniem czy lekceważeniem, chociaż wiedziała, że nie wierzy we wróżby. Nie wierzy w przeczucia i przeznaczenie. A przynajmniej tak stara się utrzymać.

Nie mówił nic. Jego twarz pomroczyła tylko, kiedy powtórzyła mu wszystko, co usłyszała od umierającej więdźmy, co tak zgadzało się z jej snami, niezdarnymi wróżbami, zbyt zagmatwanymi, by sama potrafiła je zrozumieć. Ale teraz wszystko było jasne, wyraźna była nić wiążąca los dwojga tak różnych od siebie ludzi. Małej, jasnowłosej dziewczynki i najemnego zabójcy.

Tylko nić, tylko zakreślone granice. Tylko jedno było wyraźne i jasne, że żadne z nich nie przetrwa samo.

Kiedy skończyła, nie zrobił nic z rzeczy, których się obawiała. Nie parsknął urągliwym śmiechem, nie bluznął przekleństwami. Siedział zakłopotany, nie wiedząc, co powiedzieć. Poczula, jak serce ściska jej rozpacz. Obawiała się, że nie uwierzył, że uznał wszystko za chorobliwe majaczenia, za zwidy naiwnej, głupiej kuglarki, której sztuka zabawiania gawiedzi tak pomieszała się z rzeczywistością, że sama w nią uwierzyła. Nie mogła już powstrzymać łez, które pociekły po jej pulchnych policzkach.

Wtedy Claymore uwierzył, choć wciąż bardzo się przed tym bronił.

Powiadają, że los człowieka zapisany jest w gwiazdach. Ich koniunkcje i wzajemne wpływy już w chwili urodzenia przesądzają, kim będziesz, co osiągniesz. Układy mogą być pomyślne bądź niepomyślne, i dlatego mądrzy i przezorni ludzie zawierzają astrologom, by nie być w swych zamierzeniach zdani tylko na ślepy los. Przezorni i bogaci, gdyż nie każdego stać, by zasięgnąć porad mistrza, to przywilej głów koronowanych i znaczniejszych ze szlachty. A pospólstwo niech sobie wróży z owczych wątpi, tańszy to niewątpliwie sposób. I równie pono skuteczny.

Claymore jak dotąd nie wierzył ani w jedno, ani w drugie. Nie było w tym nic dziwnego, do niedawna nie wierzył nawet w przeznaczenie, dopóki nie dotknęło go swoją zimną łapą. A i teraz niechętnie się do tego przyznawał, wolał myśleć trzeźwo, że po prostu wpakował się kłopoty. Owa myśl dawała mu miłe poczucie, że choć trochę kontroluje sytuację. Jednak już niedługo miał zmienić zdanie na temat wpływu gwiazd na ludzkie losy.

Oddech skraplał się w zimnym, przejrzystym powietrzu. Noc była chłodna, nawet jak na koniec lata. Claymore ostrożnie opuścił burkę zasłaniającą wejście do szałas i ruszył w kierunku zarośli. Wzdrygnął się, kiedy po paru krokach poczuł pod bosymi stopami przejmujący chłód rosy.

Całkiem już rozbudzony, klął w myślach nadmiar miodu, który wypędził go w środku nocy spod ciepłego płaszcza. Zadarł głowę i spojrzał na rozgwieżdżone niebo, mrowie punkcików zdających się drgać i migotać w krystalicznym powietrzu. Z położenia konstelacji zorientował się, że istotnie jest już środek nocy.

Stał tak jakiś czas i patrzył na iskrzące się światełka przysłaniane co chwila jasną mgiełką oddechu. Już miał ruszać dalej, kiedy firmament przekreśliła świetlista krecha spadającej gwiazdy.

Przymknął oczy. Zanim zdążył jeszcze pomyśleć, wciąż mając pod powiekami jasny rozbłysk, wypowiedział życzenie, po czym roześmiał się głośno, nie bacząc, że może obudzić śpiących. Nie czuł już zimna, choć

na ramionach wystąpiła mu gęsia skórka. Śmiał się długo i patrzył w obojętnie pomrużujące gwiazdy, chłodne i odległe.

Tak nierealne wydało mu się to, co przed chwilą wypowiedział.

Ruszył ku zaroślom, wciąż krztusząc się od powstrzymanego śmiechu. Oto na co ci przyszło, pomyślał, zgłupiałeś do cna.

Nie było sensu dalej odchodzić. Rzucił na trawę pas z mieczem, przewieszony dotąd przez ramię. Pomyślał przelotnie, że chyba naprawdę zgłupiał, skoro nawet odlać się chodzi z bronią, i wreszcie zajął się tym, po co tu przyszedł.

I wtedy poprzez cichy plusk usłyszał oddech za plecami. Chrapliwy i przyspieszony, jakby ktoś, kto zachodził go właśnie od tyłu, skończył przed chwilą wyczerpujący bieg.

Claymore nie zastanawiał się, czy najpierw schować, czy od razu uskoczyć. Uskoczył, a zaraz potem dwuzębne widły wbiły się w trawę, w samym środku parującej kałuży.

Nie było czasu na szukanie miecza. Cios był paskudny, zadany z całej siły, gdyby trafił, zęby wideł weszłyby w plecy gdzieś na wysokości nerek, kierując się w dół. Napastnik, zaskoczony i chwilowo wytrącony z równowagi, chciał wyrwać swe narzędzie z ziemi, by ponowić cios. Claymore uderzył pięścią tam, gdzie nad jaśniejszą, rozmazaną plamą kosmatego półkożuszka spodziewał się głowy przeciwnika.

Cios trafił z głuchym trzaskiem. Ramirez miał wrażenie, jakby jego pięść trafiła w wór mąki, twardy i nabity, zapiekły otarte kostki. Napastnik ryknął tylko, zawtórowało mu rzenie spłoszonych koni na końcu polany. Nie upadł, nie zachwiał się nawet, puścił jednak drzewce wideł. W mdłym świetle gwiazd Ramirez dostrzegł jego twarz i zły błysk w oczach.

Nie czekał, aż wielkolud zmiażdży go w objęciach, niczym niedźwiedź zaskoczony w mateczniku. Kopnął prosto w krocze.

O dziwo, człowiek ustał, zgiął się tylko nieco, wydając dziwny odgłos na wdechu. Claymore, czując dotkliwy ból w stłuczonych palcach stopy, uderzył w pochylony kark. Napastnik padł na kolana, dając mu czas na wyrwanie wideł z ziemi. Chwycił je, końcem drzewca uderzył od dołu, w twarz, niemal podrywając klęczącego w powietrze.

Człowiek charczał, krztusił się krwią ze zgruchotanego nosa, zanim został przybity do ziemi. Ramirez trafił dobrze, jeden z zębów wideł przebił serce, drgania, które czuł, kiedy napierał na drzewce, nie trwały długo.

Chwilę stał, dyszał ciężko, buchając parą oddechu niczym zgoniony koń.

– Na drugi raz nie podchodź z tyłu, kiedy ktoś leje – powiedział ochryple.

Wyrwał widły, krew skapywała z długich rdzawych zębów. Chciał poszukać swojego miecza, kiedy posłyszał koński kwik i tętent kopyt. Zerwał się do biegu.

– Snake! – wrzasnął, widząc, jak na skraju polany rozbłyskuje ruchomy ognik. – Kurwa, Snake!

Wiedział już, co się stanie. Płonąca strzała zatoczyła wysoki łuk, ciągnąc za sobą ogon iskier, przyćmiła na moment gwiazdy. Wbiła się w pochyły dach szałas, zeschnięte liście i suche świerkowe łapki zajęły się z trzaskiem. Buchnęły płomienie, ale Claymore dostrzegł niewyraźne sylwetki.

Ktoś stanął mu na drodze, ognistym światłem błysnęła klinga. Wyminął bez trudu powolny, sygnalizowany cios, uderzył końcem drzewca. Nie chciał, by widły uwięzły zaklinowane między żebrami, nie miał czasu na wrywanie. Człowiek trafiony w dołek zwinął się z głuchym jękiem.

Claymore przeskoczył nad nim. Płomienie ogarnięty już prawie cały szałas, dym wzbijał się w przestworza, oświetlony od dołu. Gwiazdy zniknęły, niebo gorzało łuną.

Dostrzegli go szybko, dwóch skoczyło z obu stron. Wyszedł pierwszemu naprzeciw, widział go niewyraźnie, tylko jako ciemny kształt na tle coraz większego ognia. Znów posłużył się drzewcem trzymanyh oburącz wideł, zaryzykował zasłonę, licząc na to, że przeciwnik ma najwyżej pałę. Nie pomylił się, drewno zderzyło się z trzaskiem, widły w dłoniach Claymore'a zadygotały, ale nie pękły. Odepchnął z wysiłkiem napastnika, przez zapach dymu poczuł smród niewyprawionych skór i potu. I zaraz pchnął widłami do tyłu, na oślep, powodowany wyłącznie instynktem.

Trafił. Usłyszał stęknienie, poczuł, jak widły wbijają się w coś miękkiego, ustępliwego, na koniec zatrzymują się, trafiwszy na coś twardego. Wyrwał je zaraz, w samą porę, by zablokować cios zadany z ogromną siłą, z przeraźliwym, wściekłym wrzaskiem. Tym razem drzewce trzasnęło mu w rękach. Siła uderzenia odrzuciła go w tył, aż potknął się i przyklęknął, kiedy przeciwnik wzniosł pałę do kolejnego ciosu, którego Claymore nie miał już jak zatrzymać.

Próbował poderwać się jeszcze, choć wiedział, że to na nic. Wyrzucił w górę przedramię, w bezsensownym geście osłaniając głowę. Nawet jeśli się udało, to i tak ze zdruzgotaną ręką mógłby czekać tylko na kolejne uderzenie. To koniec, błysnęła w umyśle niezbyt oryginalna myśl. I zaraz druga. Kurwa, jak głupio.

Cios nie spadał przez przeraźliwie długą chwilę. Wciąż nie czuł bólu pękających kości. Zamiast tego coś ciepłego chlusnęło na pochyloną głowę i wzniesioną rękę.

Zerwał się. Widział wszystko na czerwono, może od ognia, może od krwi zalewającej oczy. Na szczęście nie własnej. Otarł twarz, zdążył jeszcze zobaczyć, jak jego niedoszły zabójca pada z wytrzeszczonymi oczyma, w których odbijały się płomienie, chlustając krwią z ust, aż długa broda zlepiała się w jeden soplel. Z pleców sterczał mu kołek, zwykły drewniany palik.

Nagle znikły majaczące w świetle łuny ruchliwe sylwetki. Napastnicy pierzchali.

W pierwszym odruchu Claymore chciał gonić, chciał dalej zabijać. Poderwał się chwiejnie do biegu i za chwilę znieruchomiał w czymś silnym uchwycie. Szarpnął się, chciał uderzyć na oślep. I dostał w zęby, aż zadzwoniło mu w głowie.

– Spokojnie – warknął Snake. – Już po wszystkim. Nie rzucaj się, bo ci łeb ukręcę.

Odepchnął Claymore'a, który usiadł z rozmachem na trawie, tuż obok ciała. Jeszcze raz przetarł oczy.

Kuglarz oddychał ciężko, buchając kłębami pary, przeświecanej czerwienią płomieni. Ogień przygasał, nie miał wiele do strawienia, jeszcze widać było drążki konstrukcji dachu, które już pochłaniał. Poszycie spłonęło szybko, zdążyło wyschnąć dobrze przez całe upalne

lato, spalone liście i igliwie uleciały w chmarze iskier.

– Gdzie... – Claymore zaczął kaszleć, nie wiedział, z wysiłku czy od dymu.

Snake popatrzył na niego.

– Teraz o nich pomyślałeś? – spytał z wściekłością. – W porządku, jeśli ma cię to uspokoić.

Ramirez popatrzył w kierunku, w którym skinął głową kuglarz. Zobaczył sylwetkę małej Bethie, drepczącej w kółko. Żabci nie mógł nigdzie dostrzec, ale wiedział, że gdzieś tam jest, bezpieczna. Inaczej Snake nie byłby taki spokojny.

Gdybym nie gapił się na te pieprzone gwiazdy, zrozumiał Claymore, gdybym nie zwlekał... Myśleli, że coś przeczuwam, zamiast podejść cichcem, wysłali tego tam... I diabli wzięli zaskoczenie, Snake śpi czujnie, usłyszał.

Roześmiał się chrapliwie, wiał lekki wietrzyk, rozdmuchiwał żar. Z trzaskiem zawaliła się konstrukcja z cienkiej drągownicy, dym ścielił się teraz przy ziemi, dusił i drapał w gardle. Śmiech Ramireza przeszedł w kaszel.

– Kuuurwa – powiedział, krztusząc się. – Nie uwierzysz, gdyby nie gwiazda, pierdolona spadająca gwiazda...

Snake popatrzył na niego uważnie.

– Gdyby nie życzenie... Ech, nie rozumiesz, dzięki mnie...

We wzroku kuglarza coś błysnęło. Nie było to rozbawienie.

– Dzięki tobie – powtórzył przeciągle. – Ano, dzięki tobie. I już, kurwa, ostatni raz, obiecuję.

Claymore uniósł głowę.

– O co ci chodzi? – spytał ostro. Atak kaszlu minął.

Snake nie odpowiedział. Dopiero teraz Claymore zauważył, że przyciska dłoń do boku, oddycha z trudem. Coraz częściej na twarzy kuglarza pojawiał się bolesny skurcz. Z początku Snake panował nad nim, teraz mięśnie twarzy najwyraźniej przestawały go słuchać.

Ramirez dźwignął się na nogi. W głowie mu się kręciło, nie wiedział, czy z niedawnego wysiłku, czy też jest to reakcja na doświadczenie

śmiertelnego strachu. Z niechęcią uświadomił sobie, że kiedyś tak nie reagował. Może już jestem po prostu za stary, przemknęło mu przez głowę.

Podszedł chwiejnie do Snake'a, chciał obejrzeć jego bok. Kuglarz pchnął go otwartą dłonią w pierś.

– Spierdalaj, Ramirez – wycharczał z trudem. – Lepiej, kurwa, posprzątaj po sobie.

Wskazał leżące ciała.

– A ode mnie się odpierdol – dodał. Usiadł ciężko, wciąż trzymając się za bok.

Claymore nie wytrzymał.

– To ty się odpierdol! – wrzasnął. – Czego ode mnie chcesz?!

Przyklęknął przy kuglarzu.

– Co takiego zrobiłem? – syknął mu prosto w twarz. Snake nie odwrócił wzroku, jego rysy ściągnęły się, tym razem nie bólem, tylko złością.

– O tym później – odparł po chwili. – Teraz...

– Teraz trzeba łapać konie – wpadł mu w słowo Ramirez. – Trzeba im dać nauczkę, póki się nie pozbiali, bo wrócą tu rano i załatwią nas, strzelając z zarośli. Siedź tu sobie, jak chcesz, ja idę.

Wstał. Snake roześmiał się, ale zaraz zakaszłał głośno. Twarz ściągnęła mu się bólem.

– No to leć – mruknął, gdy znów zdołał zaczerpnąć oddechu. – Tylko weź może co ze sobą...

Claymore spostrzegł, że w dłoni wciąż ściska ułomek drzewca wideł. Cisnął go ze złością na ziemię.

– Idę, Snake – odparł jednak twardo. Wiedział, że kuglarz ma słuszność, że napastnicy raczej nie wrócą, to zwykła, puszczańska hołota. Wystarczy paru pochlastać, a zostawią swe chaty, oprą się dopiero na drugim krańcu puszczy. Ale nie chciał przyznać racji.

Bo Snake nie tylko w tym się nie mylił. Claymore niepotrzebnie sprowokował Williama, sam teraz to sobie uświadamiał, acz niechętnie. Nic nie osiągnął. Znów ktoś był dla ciebie tylko narzędziem, pomyślał.

Znów wszyscy inni byli nieważni. Bo przecież są nieważni, odezwał się jakiś głos w głębi umysłu, ten sam co zwykle.

Ramirez potrząsnął bezradnie głową. Fabienne też? Nie potrafił sobie odpowiedzieć na to pytanie.

– Idę, Snake – powtórzył z uporem. – Konie się rozbiegną, mogą je uprowadzić. Ty zostań, dam sobie radę.

– Nie – usłyszał za plecami. – Najpierw posprzątasz.

Odwrócił się. Jakoś nie mógł spojrzeć w oczy żabci, która podeszła cicho, jak zwykle. Już wiedział, co powinien zrobić, skinął tylko głową.

W szarych oczach nie było już zalotnego błysku, widocznego kiedyś w spojrzeniach rzucanych spod czarnych, opadających na czoło włosów. Powlekała je mgiełka bólu, lśniły matową poświatą dogasającego już ognia. I cierpieniem.

Była przytomna, przeraźliwie przytomna. Leżała na boku, tak jak padła, kiedy ostre zęby wideł przeszły najpierw zgrzebną koszulę, potem przebiły skórę i otrzewną. Zwinęła się tylko w kłębek, przycisnęła dłonie do podbrzusza, jakby chciała zatrzymać wyciekające z niej życie. Po pobladłych palcach spływały strużki krwi, gęstej i ciemnej.

Nie miała broni, nawet pałki. Claymore wiedział już, że przyszła tu może tylko wiedzona ciekawością, jak też będzie wyglądać przepędzanie kłopotliwych gości z sąsiedztwa. Może znęciła ją nadzieja, że znajdzie coś dla siebie, dla dzieciaków, cokolwiek. Może okopcony kociołek czy starą burkę, może jakieś zapomniane błyskotki. Dla kobiety z puszczy musiały być wielką pokusą, tak wielką, że zaryzykowała, w obawie, by chłopcy znów nie podzielili się między sobą, dla niej zostawiając jedynie parę kuksańców.

I co ja mam, kurwa, zrobić? – pomyślał mętnie Ramirez.

Kobieta zaczęła jęczeć. Już zrozumiała. Jeszcze najwyżej dwa, trzy dni bólu i cierpień, potem wszystko się skończy. Nie można przeżyć z brzuchem przebitym widłami, śmierć jest tylko kwestią czasu.

Usiłowała się czołgać, jej zakrwawione palce wpijały się w trawę.

Nogi miała bezwładne. Claymore pamiętał to chrupnięcie, nie usłyszał go, poczuł raczej na drzewcu wideł. Któryś z zębów musiał trafić między kręgi, pomyślał z chłodną jasnością. Jakaś część jego umysłu oceniała konsekwencje. Nie przeżyje, nie ma szans.

Miał dziwne wrażenie rozdwojenia, zdawało mu się, że ktoś w nim samym patrzy na Claymore'a Ramireza, zimnego i wyra chowanego zabójcę, który odwróciłby się teraz i odszedł, nie zwracając sobie więcej głowy widokiem skazanej już przecież na śmierć kobiety. Dla tamtego Ramireza przeciwnik obezwładniony nie różniłby się niczym od zabitego, i tak został wyeliminowany. A jeśli zginął niepotrzebnie, to też bez różnicy. Straty uboczne.

Tamtego Ramireza nie nawiedzały sny.

Ale teraz już wiedział, że coś się skończyło. I już nigdy nie będzie tak, jak było.

Co mam zrobić? – to pytanie zadał ktoś, kogo Claymore jeszcze nie znał, przynajmniej do dziś. I zaraz sam sobie na nie odpowiedział. Przecież wiesz, musisz po sobie posprzątać.

Chciał przynajmniej odwlec decyzję, choć wiedział, że i tak już zapadła. Prześlizgnął się wzrokiem po twarzy kuglarza, złowił jego ponure spojrzenie spode łba. Popatrzył w oczy pulchnej kobieciny. Nie znalazł w nich pomocy.

– Nie, Claymore – uprzedziła go żabcia, zanim jeszcze zdążył otworzyć usta.

Słowa zabrzmiały niemal groźnie. Siła tej kobiety była porażająca.

– Przecież sam wiesz, Claymore. Będzie umierać długo, ale umrze na pewno. Pomóż. Jesteś jej to winien.

Jestem, przyznał bez słowa. Ale wciąż nie chciał się z tym pogodzić, nie potrafił do końca przyznać się... Do porażki? Do winy? Wciąż nie wiedział.

– Zrób to szybko. – W głosie żabci zabrzmiały twarde nuty. Jeszcze nigdy nie słyszał takiego tonu.

Zaklął bezradnie, potrząsnął głową. Podjął już decyzję, ale wciąż nie mógł się zdobyć na czyn.

– Nie... – zaczął.

Snake podszedł niespiesznie, stanął, spojrzał z góry.

– Posłuchaj, Ramirez – syknął z nienawiścią. – Skończysz, coś zaczął. Bo jak nie, to przetrączę ci kulasy i zostaniesz tutaj. Dopóki nie umrze ona albo ty. Będziesz patrzył, coś, kurwa, narobił. Rozumiesz?

Claymore nie odpowiedział.

– Rozumiesz? – powtórzył kuglarz z naciskiem. Jego wielkie dłonie zacisnęły się w pięści.

– Jak mam to zrobić?

Snake roześmiał się ochryple.

– Gówno mnie to obchodzi, gołymi rękami na przykład. Byle szybko.

Walczyła w ciszy, odpychała jego dłonie, które wkrótce stały się śliskie od krwi. Claymore słyszał tylko swój chrapliwy oddech, łomot tętna w skroniach, starał się nie myśleć, a przynajmniej nie patrzeć, nie widzieć nienawiści, żalu i strachu w zamglonych bólem oczach.

Nie potrafię, nie dam rady, pomyślał z rozpaczą, przechodzącą we wściekłość. Czego wy, kurwa, ode mnie chcecie?

Żebyś zapłacił.

Nie wiedział, czy znowu odezwały się jakieś dawno zapomniane głosy w jego umyśle, czy może żabcia, jarmarczna wieszczka, przypomina mu o konsekwencjach.

Palce rannej, zimne i śliskie, znów wymknęły mu się z dłoni, zacisnęły na nadgarstku, poczuł nagły ból, gdy paznokcie wbiły się w skórę. Złość i rozpacz przyćmiły mu wzrok, przymknął oczy. Nie dam rady.

Wtedy znieruchomiła. Poczuł, jak uścisk słabnie, ciało wiotczeje.

– Cicho – usłyszał dziecięcy głosik. – Cicho...

Mała Bethie ścierała kobiecie delikatnie kropelki potu z czoła, odgarniała przyklepione, czarne kosmyki. Pod dotykiem drobnych, brudnych od sadzy i popiołu paluszków oddech rannej uspokajał się, cichł.

Claymore poczuł, jak dziewczynka wkłada mu coś w dłoń. Zaciśnął palce na drewnianej rękojeści noża.

– Nie będzie bolało – powtarzała Bethie cicho.

Śmiertelnie zraniona kobieta opuściła wreszcie powieki.

– Nie będzie bolało...

Claymore wzniosł oczy w górę, do nieba, które poczynało już szarzeć, a punkciki gwiazd bladły i zanikały. Nie patrząc, wymacał miejsce tuż pod wzgórkiem piersi, obok mostka, przyłożył ostrze. Lepkie od krwi palce ześlizgnęły się po rękojeści, ostry czubek noża musiał przebić odzienie i skórę, Claymore poczuł, jak ciało kobiety zadrżało.

– Nie będzie...

Coraz jaśniejszy nieboskłon przekreśliła smuga spadającej gwiazdy. Claymore Ramirez wyszeptał nie swoje życzenie. I pchnął.

Kłęcząc potem z dłonią wciąż zaciśniętą na zakrwawionym trzonku noża, jakby nieposłuszne palce nie chciały się rozewrzeć. Zrywał się wiatr, rozdmuchiwał pogorzeliśko. Na twarzy kobiety, spokojnej już i wypiękniałej, kiedy śmierć cieniem położyła się pod oczyma, osiadały szare, nieważkie płatki popiołu.

Tak zastał ich świt.

– Uch! – Snake stęknął, kiedy palce żabci nacisnęły jego bok. Próbował odepchnąć kobietę zdrową ręką, ale mu się nie udało. Musiałby wstać z kłody, którą kiedyś przyciągnął z zamiarem porąbania na ogień.

– Jak dziecko – zakpiła żabcia z uśmiechem, lecz jej oczy pozostały poważne. – Byle zadrapanie, i marudzisz, tyle ambarasu. Jakby było o co, nawet żebra ci płuc nie przebiły.

Kuglarz zaniósł się kaszlem, aż twarz mu pociemniała, na skroniach wystąpiły nabrzmiące żyły. Twarz kobieciny ściągnęła się nagle, przestała badać wielki, fioletowiejący już siniec.

– Spluń – poleciała krótko, gdy Snake przestał się w końcu krztusić i zaczerpnął z trudem oddechu.

Splunął posłusznie i zaraz roztarł plwocinę podeszwą buta. Żabcia zmarszczyła brwi.

– Nie udawaj durnia – warknęła. Podstawiła rozwartą dłoń pod brodę Snake'a.

– Tutaj.

Wahał się trochę, oddychając ciężko, z rzęzącym poświstem. W końcu splunął.

Żabcia odetchnęła, kiedy na swej dłoni nie dostrzegła czarnych nitek krwi.

– Mówiłem ci przecież, głupia babo – zeźlił się kuglarz. – Przecież bym wiedział, gdybym mocniej oberwał. A tak może żebro pęknięte, tylko dech z początku zaparło.

– Cztery.

Snake urwał, chwilę trwało, zanim się odezwał. Mówienie widać sprawiało mu trudność.

– Co? – spytał zdławionym głosem. – Co ty gadasz, kobieto? Przestań, przejdzie mi zaraz, rozruszać się tylko muszę.

Żabcia wytarła dłonie w rąbek sukni.

– Cztery żebra pęknięte – powiedziała sucho. – Oby tylko cztery, nie dajesz wymacać, podrygujesz, jako ten zbój na stryczku...

– Tfu! – splunął Snake. – Zamknij się, głupia babo, co byś w złą godzinę nie powiedziała.

Znów się rozkaszał.

– Sam widzisz – zagderała żabcia. – Ciekawam, jak na kulbakę siądziesz. Nie siądziesz, na wozie będziesz jechał, a wszystko na mojej głowie zostanie.

Snake po kilku słowach przestał słuchać. Też ma zmartwienie, pomyślał ponuro, a nie wiadomo jeszcze, czy sam się nie będę musiał do tego wozu zaprzęgnąć. Konie się rozbiegły, może zresztą zdołali je uprowadzić. Chyba nie, pocieszył się, za duży burdel się zrobił, nie dali rady. Nie mogły daleko odbiec, koń sam do lasu nie pójdzie, będzie się polany trzymał.

– ...Wszystko spalone, Snake, wszystko! I nawet nie ma co na ten twój

bok przyłożyć, ani szmaty, żeby przewiązać...

Słuchał monotonnego narzekania, do którego zdążył przyzwyczać się przez lata. Było jak deszcz, powolny, siąpiący kapuśniaczek, sączący się nieprzerwanie i przenikający wszystko.

Jak ten, który właśnie padał. Kuglarz odrzucił z czoła zlepione wilgocią włosy, wstrząsnął się z zimna, aż zakłuły połamane żebra. Po upalnych miesiącach nagle nadeszła zmiana pogody. Tuż po wschodzie słońca niebo powlekły niskie chmury.

Rozejrzał się. Pogorzelsko już nie dymiło, deszcz powoli zmieniał popioły w szarawą maź, z której sterczały niedopalone drągi zwalonej, pochyłej ściany szałas, niczym żebra smoczego szkieletu. Niewiele dało się uratować, choć Żabcia i Bethie wykazały się przytomnością umysłu, udało im się wyciągnąć sakwy i nieco odzienia. Reszta spłonęła, z wyjątkiem tego, czego się ogień nie miał. Ale co komu z okopconego kociołka?

– ...i nawet na grzbiet nie ma czego włożyć. Nie ma, słyszysz, trutniu jeden?

Potaknął machinalnie, czym obruszył na siebie nową lawinę gniewnych słów.

– I czego tak łbem kiwasz? Masz jakiś pomysł? Jesień idzie, a ty w jednych portkach zostałeś! W tych, które przypadkiem masz na dupie! Strach pomyśleć, co byłoby, jakbyś goły spał. Znowu nie słuchasz...

Machnął ręką, znów zapominając o ostrożności. Syknął z bólu, zduślił przekleństwo.

– Zastanawiam się – mruknął po chwili. – Zastanawiam się, co ten ma zamiar zrobić.

Wskazał ruchem głowy. Żabcia, która właśnie otwierała usta do dalszej przemowy, nic więcej nie powiedziała.

Claymore też milczał, przykryty końską derką, którą znalazł, zapomnianą, na wozie. Deszcz zmył już krew z jego rąk

Milczenie przedłużało się, słychać było jedynie ciężki oddech kuglarza i coraz głośniejszy szum padającego deszczu w listowiu pobliskiego lasu. Padało coraz mocniej.

– Pójdę do osady – zaczął wreszcie Claymore.

– Spierdalaj, Ramirez – uciął kuglarz.

Claymore zachnął się. Miał dość, usłyszał już swoje, mało tego, przyznał rację. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że przecież przyznał ją tylko w duchu. Nic nie powiedział. Pora to zmienić.

– Posłuchaj, Snake... – zaczął pojednawczo. Kuglarz wstał.

– Mówiłem, spierdalaj – powtórzył. – Dokąd chcesz i kiedy chcesz. Najlepiej zaraz.

– Przestań – odezwała się cicho kobieta. – Proszę.

Snake skurczył się. Przygarnął zabcie zdrowym ramieniem, pochylił głowę nad jej głową.

– Daj mu powiedziec – szepnęła tak, że Ramirez nie dosłyszał. Oczy kuglarza zabłyśły gniewem.

– Co ma jeszcze powiedziec? – krzyknął. – Co to, kurwa, zmieni? Potraktował nas jak wszystkich, jak swoich własnych druhów! Potrzebni byliśmy po prostu! Popatrz, kobieto, to przez niego!

Szerokim gestem wskazał na zgłiszczona i mizerne resztki uratowanego dobytku. Na ciała, to z kołkiem sterczącym z pleców i leżące dalej, prawie niewidoczne w wysokiej, brunatniejącej u schyłku lata trawie.

– To, kurwa, przez niego! Bo on chciał być mądrzejszy, rozgrywał własną grę. Nie wie, dureń, że wszystko skończone, że ci, którym był potrzebny, nie żyją. A dlaczego? Bo mu uwierzyli.

Żabcia ścisnęła jego przedramię swą małą, lecz silną dłoń.

– Przestań – powtórzyła tylko.

– Dlaczego mam przestać, kobieto? Dla... – zaniósł się nagle kaszlem.

– Bo cię proszę – rzekła cicho. Po policzku spłynęła jej łza. A może tylko kropla deszczu.

Snake przycisnął ją do siebie.

– Tylko ty mi zostałaś – powiedział. – I Bethie. A wszystko przez niego.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Bądź sprawiedliwy. To przez nas. Nie byliśmy mądrzejsi.

Gładził jej mokre siwe włosy. Nie byliśmy mądrzejsi, pomyślał, żabcia

ma rację. Ale cóż to zmienia? To on zrobił teraz błąd, on był nielojalny. Wydawało się, że wystarczająco długo żarł nasze jagły, spał w jednym szałasie. Że kiedyś stawał razem z nami przeciw temu samemu wrogowi. Nie wystarczyło, jak widać. Jest jak wilk, nie da się oswoić. Ma wilczą naturę, jak puchaty szczeniak, zabrany z barłogu i wychowany między ludźmi. Zawsze wyrośnie na wilczura i nie wiadomo kiedy rzuci się do gardła. Tak, przyznał w myśli Snake, nie byliśmy mądrzejsi.

– Skończyłeś? – spytał Claymore. – To się uspokój, będę spierdalał, już niebawem.

Popatrzył na nich oboje, w jego wzroku można było dostrzec żal zmieszany z wyzwaniem.

– I chcę was prosić o wybaczenie. Was wszystkich.

Snake wymruczał coś, co zabrzmiało jak przekleństwo.

– Wiem, mogę sobie swoje prośby wsadzić w dupę. – Uśmiechnął się.
– Nie wierzysz, przyznaj się. To też mam w dupie tak naprawdę.

Otulił się szczerzej derką. Bethie, która właśnie nadeszła od wozu, pod którym kryła się dotąd przed deszczem, przytuliła się do Snake'a, popatrując spod oka na Claymore'a.

– Idę do osady. Oni uciekli w pośpiechu, może znajdę jakieś odzienie, jakieś zapasy. Choćby topór, bo nawet styliska się spaliły.

Kuglarz skinął głową z aprobatą, zanim zdążył jeszcze pomyśleć.

– A ty, Snake, zajmij się końmi. To w twoim interesie, konno będę spierdalał szybciej. I dalej.

Bethie zaśmiała się. Odkąd wstał dzień, była znów zwykłym dzieckiem, zmokniętym i nieszczęśliwym, za chwilę znów radosnym i roześmianym. Nie zostało w niej nic z tajemnicy, nie była już tą, której dotknięcie pomogło przekroczyć próg śmiertelnie rannej kobiecie. Dopiero gdy ich spojrzenia skrzyżowały się, Claymore spostrzegł, że nic już nie jest takie samo. Nawet mała dziewczynka, w której dotąd było tyle dobra co zła, była niewinność i nieświadomość. Dla której jak dotąd najgorszym postępkim było obcięcie sakiewki komuś z tłumu gapiów na ludnym jarmarku. Albo wyrwanie skrzydełek żuczkwowi.

Teraz z dziecięcej twarzy patrzyły na Claymore'a mądre i smutne oczy. Już je kiedyś widział, chciał ze wszystkich sił odepchnąć od siebie

to wspomnienie, ale nie mógł. Znów stał na rusztowaniu na placu targowym w Nottingham, znów spoglądał w oczy wiedźmy.

Teraz w oczach dziecka widział tę samą mądrość, jeszcze bez bólu i szaleństwa.

Walijaska część natury Claymore'a, ta z mrocznych lasów i uroczyisk, już rozumiała. Bethie pojęła coś, czego nie powinna wiedzieć. Nie teraz.

Dziewczynka podeszła do niego, poczuł małą, ciepłą łapkę wsuwającą się w jego dłoń. Żabcia i Snake patrzyli na to przytuleni do siebie, on z mieszaniną gniewu i zaskoczenia, ona ze smutkiem w oczach. Jarmarczna wieszczka też już rozumiała. I miała tylko nadzieję, że Snake nie zrozumie. Że nie będzie miał czasu zrozumieć.

Bethie pociągnęła Claymore'a za rękę. Schylił się, mała szeptała mu coś do ucha. Słuchał, kiwając głową.

Gdy skończyła, przygarnął ją do siebie.

– Pójdę już – oznajmił zupełnie niepotrzebnie. – Poszukam... czegoś...

Ruszył w kierunku osady, ledwie widocznej teraz, przysłoniętej zasłoną deszczu. Bethie spojrzała niepewnie na żabcię i Snake'a, po czym pobiegła za Claymore'em. Dogoniła go szybko, wzięła za rękę.

Snake chciał coś powiedzieć, może pobiec za dziewczynką, ale powstrzymał go uścisk żabci. Patrzył więc tylko na oddalające się sylwetki, wysokiego, przygarbionego na deszczu mężczyznę okrytego końską derką i małą, drepczącą przy nim dziewczynkę.

Patrzył długo, gładząc włosy żabci. Czuł ciepło przytulonego do swego boku ciała i krople spływające po twarzy.

Krople deszczu, bo przecież stary kuglarz nie pamiętał już, kiedy ostatnio zapłakał.

Claymore rzucił spory tobołek na ziemię. Bethie położyła obok drugi, nieco tylko mniejszy, który dzielnie przydźwigała.

– Trochę odzienia, toporek. – Ramirez rozwiązał rzemienie. – Niewiele tego było, tylko śmierdzące skóry.

Sam miał na sobie półkożuszek, włosem na zewnątrz. Ze zwisającymi w strąkach, mokrymi włosami przypominał wyglądem zwykłego mieszkańca leśnej osady. Dziewczynka narzuciła na siebie wilczą skórę, źle wyprawioną i śmierdzącą, jak wszystkie skóry w chacie bartników. Ale podobała jej się, za nic nie dała sobie wyperswadować.

Deszcz przestał już padać, choć niebo nadal zasnuwane było chmurami. Zrobiło się jednak cieplej, spośród drzew wznosiły się mgły, sylwetki drzew wyglądały nierealnie, przesłonięte białawym oparem.

Trzeba odszukać konie, pomyślał Claymore, nie mogły się rozbiec daleko. Popatrzył na kuglarza, chcąc ocenić, czy będzie w stanie się tym zająć. Wyglądało jednak, że nie.

Stary już jest, zrozumiał Claymore, widząc poszarzałą, naznaczoną bólem twarz. Snake wciągnął obcisły kubrak, jakimś cudem uratowany z ognia, nieco pomogło to na połamane żebra. Ale wciąż przy każdym ruchu posykiwał, nie władał też dobrze prawą ręką. Z trudem panował nad skurczami bólu, które raz po raz przebiegały jego oblicze.

Claymore zdjął bukłak przewieszony na rzemieniu przez ramię. Chciał podać naczynie kuglarzowi, ten jednak odtrącił je. Wyciągnięta ręka Claymore'a znieruchomiała w powietrzu.

– Nie wygłupiaj się, Snake – mruknął po chwili. – Chociaż ty. Dobrze ci to zrobi.

Kuglarz zawahał się, w końcu jednak przyjął poczęstunek. Pił łąpczywie, grdyka poruszała mu się na chudej szyi, strużki miodu spływały z kącików ust. Wreszcie odjął bukłak, przetarł otwór dłonią i podsunął bukłak Claymore'owi.

– Zostaw – machnął ten ręką. – Przyda ci się, na drogę.

Snake skwitował to tylko wzruszeniem ramion. Silnym uderzeniem wbił zatyczkę, cisnął drewniane, obciążone skórą naczynie na stertę przyniesionych przez Ramireza skór i części przyodziewku. Grzebała w niej żabcia, wyraz jej twarzy świadczył dobitnie, co sądzi o tych byle jak pozszywanych skórach i nadpleśniałym suknie, śmierdzącym dymem i zjełczalym tłuszczem. Ale nie ma wyboru, pomyślał Claymore, przynajmniej do pierwszego jarmarku, kiedy będą mogli cokolwiek zarobić. Sam był w nie lepszej sytuacji, został mu miecz, pusta prawie sakiewka, na której dnie brzęczało już tylko kilka miedziaków. Szczęście,

że siodła i rzędy końskie przechowywali na wozie, pod płachtą, by nie zniszczyła ich wilgoć. Napastnicy ich nie znaleźli.

Przyszło mu na myśl, że jeśli nie odzuka koni, będzie mógł sobie siodło włożyć jedynie na własny grzbiet.

Młode brzoźki zdążyły się wyciągnąć na łokieć w górę zaledwie przez kilka letnich miesięcy. Przecinka, wyrąbana zimą, żeby łatwiej ściągać powalone pnie, zdążyła zarosnąć, pleniły się na niej wysokie pokrzywy, poszycie z mchów wpełzało na piach. Kiedy przybyli na polanę, wyrąb był szeroki na dwa konie, wóz spokojnie się mieścił. Teraz puszcza zablizniała rany, jeszcze rok, dwa a nikt nie poznałby, którędy wiodła droga.

Ale to wciąż była najbliższa droga do traktu. Tędy dotarli na polanę pod koniec ucieczki z Nottingham i tędy zamierzali odjechać.

Pociągowy wałach kuglarzy odwykł od upręży przez długie miesiące beczynności, kiedy to wałęsał się po polanie, nawet pod koniec niepętany. Teraz pochrapywał niespokojnie, mięśnie pod skórą drgały mu, drażnione rzemieniami. Snake sprawdził dokładnie uprząż, nie chciał, by zwierzę nabawiło się odparzeń. Było jedynym, jakie udało się odzukać Walińczykowi.

Widać bartnicy z leśnej osady mieli więcej przytomności umysłu, niż mogłoby się wydawać. Zabrali tylko konie pod wierzch.

Kuglarza niepokoiły jeszcze osie, wóz stał przez całe lato, wystawiony na deszcze i upał, lite koła rozeschły się, powstały w nich szczeliny. A osi nie było czym posmarować, nie znaleźli w opuszczonej osadzie dziegciu czy choćby sadła. Nawet żadnej skórki od słoniny. Wóz skrzypiał potępieńczo, gdy tylko poruszyli go z miejsca.

Snake przestał opukiwać koło, podniósł się z klęczek ze stęknieniem.

– Ech, co ma być, to będzie – mruknął.

Claymore popatrzył na wóz. Niewiele się na tym znał.

– Do najbliższej wioski dojedziecie – powiedział bez przekonania.

Kuglarz skinął głową.

– A jak się ten pieprzony wóz rozsypie, to dojdziemy – mruknął. – I tak gównowo wart, mała strata. A i dobytku do niesienia jakby mniej.

Popatrzył na Claymore'a.

– Jedź z nami – powiedział po chwili. – Nie zmienię zdania o tobie, i zaraz jak tylko wyjedziemy z lasu, kopnę cię w dupsko, jeśli będziesz zwlekał. Ale nie uchodzi tak człeka w puszczy zostawiać.

Ujął go pod ramię, pociągnął.

– Chodź.

Odeszli kilkanaście kroków. Kuglarz, choć połamane żebra mocno mu dolegały, zachował swoją siłę. Szarpnięciem zatrzymał Claymore'a, okręcił go tak, że stanęli twarzą w twarz.

– Dobrze, że nie powiedziałaś "przepraszam" – zaczął głosem zduszonym z wściekłości. – Wyrwałbym ci łeb razem z płucami, gdybym to usłyszał. Dobrze, że nie wspomniałaś o Fabienne. Zrobiłbym to samo. Skoro jednak nie powiedziałaś, rozejdziemy się w pokoju. Zapomnę, że kiedykolwiek cię spotkałem. Tobie radzę to samo. Mam w dupie, co zrobisz, z jednym wyjątkiem. Rozumiesz?

Claymore kiwnął tylko głową.

– Masz rację, sami się w to wpieprzyliśmy – ciągnął Snake. – Moja wina, moja strata. Teraz mam dość, wszystko się skończyło. Ty rób sobie, co chcesz. Możesz wypełniać swój kontrakt, twoja wola. Możesz pieprzyć wszystko w diabły i zająć się na przykład hodowlą kóz. Twoja wola, jak powiadam. Ale kozy też powinieneś doić z dała ode mnie.

Zaskrzypiały nienasmarowane osie, kiedy koń ruszył parę kroków, z nisko opuszczonym łbem, skubiąc zdeptaną trawę. Zatrzęsa się spłowiała, połatana płachta, naciągnięta na pałaki wozu.

Snake umilkł. Chciał powiedzieć jeszcze wiele, wyrzucić to wszystko, co dławił w sobie od dłuższego czasu. Co nazbierało się w nim od ucieczki Fabienne. Ale nie było sensu. Rozmowa niczego nie zmieni ani nie naprawi. Nie przywróci życia martwym, nie pomoże żywym.

Zdawał sobie sprawę, że gdzieś głęboko, pod całą niechęcią i złością, skrywa coś, co można by nazwać szacunkiem dla Claymore'a Ramireza, bezwzględnego zabójcy, o czym przecież wiedział. Gotowego poświęcić

wszystkich dla... Tego właśnie kuglarz nie potrafił zrozumieć.

Czym innym było dla niego ryzyko, nawet poświęcenie dla kogoś, kogo znał dawno, jak Matcha. Widział po prostu kompana w opałach, zrobił coś, co chciałby, żeby i dla niego zrobiono w razie potrzeby. Nie zastanawiał się nad cudzymi powinnościami i zobowiązaniami, były po prostu cudze. I jeśli ktoś chciał iść na pewną śmierć, nie pytał, dlaczego. Widocznie tak trzeba. Jeżeli mógł pomóc, powodowany zachowaniem nawet dawnej lojalności, nie wahał się przed ryzykiem.

Był prostym człowiekiem o prostych zasadach. Przeszedł przez życie, długie już przecież, starając się ich nie łamać. Miał szczęście, zdawał sobie z tego sprawę. Dotąd miał.

A teraz nie potrafił zrozumieć.

– Powiedz, Ramirez – powiedział już innym tonem. – Po co ci to wszystko? W imię, kurwa, czego?

W imię zasad, mógłbym odpowiedzieć, pomyślał Claymore. Tylko że sam już nie jestem tych zasad pewien. Pomijając nawet fakt, że okrutnie śmiesznie to brzmi.

Zamiast tego postanowił powiedzieć prawdę. Jedyłą, jaka mu pozostała.

– Nie wiem, Snake. Już nie wiem.

Kuglarz zaśmiał się kpiąco.

– Jestem prostym człowiekiem, panie Ramirez – podkreślił zjadliwie słowo "panie". – I chyba tego nie rozumiem.

– Ja też już nie rozumiem, Snake – Claymore odpowiedział szybko. I zaraz tej odpowiedzi pożałował.

Co mam ci powiedzieć, pomyślał. Że nie wiem, a jednak postanowiłem ciągnąć to dalej? Wypełnić zobowiązania? Masz rację, są śmieszne i nieważne, a raczej ważne tylko dla mnie. Nie ma nagrody, nikt mnie nie potrzebuje. Czego zatem chcę?

Żeby nic nie poszło na marne. Żeby zostali ukarani ci, którzy na karę zasługują.

Łzesz, odpowiedział sam sobie. Chcesz się po prostu dowiedzieć, czy też nie jesteś nieświadomym narzędziem.

Kuglarz obserwował go spod oka, ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

– Cóż, głupi jestem, jak wiesz – zaczął ironicznie. – Ot, podkowy mi prostować, węża pokazywać, do tego tylko się nadaję. Łeb komuś rozwalić. Nie to co żabcia, ona mądra kobieta, wieszczka. Co z tego, że jeno jarmarczna. Ech, jak mnie te żebra kłują...

Krzywiąc się, pomacał po boku. Syknął z bólu. Oddychał teraz płycej, ostrożniej. Claymore popatrzył na niego uważnie, miał jednak na tyle rozsądku, by nic nie mówić.

William Jackson niechybnie był człowiekiem bywałym. Pałka, którą wypuścił z ręki, kiedy Snake wbił mu w plecy zaostrzony kołek, wyglądała, jakby pochodziła prosto z lasów Shillelagh. Potężna gałąź z ciężkim węzłem korzeni na końcu, z wyślizganą od częstego używania rękojeścią. Tyle że wycięta z jałowca, nie z tarniny, o którą trudno było w puszczy. Claymore, oglądając chamską, lecz jakże skuteczną broń, nie mógł powstrzymać się od podziwu. Pomylił się w ocenie Williama. To nie tylko zbiegły żołnierz, jak początkowo sądził. Także twardy, puszczański zbój, który odymiał barcie niewątpliwie jedynie w chwilach wolnych od właściwego zajęcia.

Zastanawiał się teraz, ile czasu mu zostało. Nie miał już złudzeń, oni wrócą. Nie wyszło raz, spróbują drugi, teraz już choćby wyłącznie po to, by pomścić krewniaków.

– Jedź z nami – ponowił propozycję kuglarz, kiedy nieco zelżało kłucie w boku. – Ostatni raz ci to proponuję. Pojedziemy do miasta, zarobimy trochę. Niech ci będzie, zniosę jeszcze twoje towarzystwo, potem możesz gonić za swoimi mrzonkami.

Ramirez zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie. Nie po drodze nam razem, sam wiesz. I nie jedź do miasta.

Snake zachnął się.

– Nie będziesz mi tu...

– Posłuchaj – przerwał Claymore. – We wsiach też zarobisz, węża i chłopki chętnie obejrzą. Matka powróży, wyjdziecie na swoje, głodem przymierać nie będziecie. Ale poczekaj, niech się trochę uspokoi.

– Co ty pieprzysz, Ramirez? Co niby ma się uspokoić? Twoje wymysły

nikogo nie obchodzą, już dawno po wszystkim. Sameś mówił, nowe porządki, nowy szeryf. To tylko tobie odbija, chcesz dalej walczyć, tylko nie wiesz z kim ani o co.

Położył Claymore'owi swą ciężką rękę na ramieniu.

– Rób sobie, co chcesz, już mam cię dość. Ale ja pokieruję się swoim rozumem. Nie wierzę w te twoje bzdury i powinności. Wystarczy, że ona uwierzyła.

Głos kuglarza stwardniał, zacisnął palce na ramieniu.

– Ona poszła do miasta. Wiem, jestem tego pewien. Głupia dziewczka, ale nie do końca, wie, że i my tam trafimy. Czego kręcisz łbem?

Claymore nic nie odpowiedział. Nie ma sensu, uznał.

– Znam ją – kuglarz pokiwał głową. – Znam ją, a tobie się tylko wydaje, że ją znasz. Nie ty pierwszy, nie ostatni, widywałem już takich dupków. Oni też gównem o niej wiedzieli, jak ty. Może roisz sobie coś we łbie...

Mówił coraz głośniejsze. Claymore zobaczył, jak podnosi się płachta wozu i wysuwa spod niej jasna główka Bethie.

– To ci powiem, panie Ramirez, i nie będę powtarzał. Ruszysz stąd, ale w drugą stronę. I zapamiętaj sobie...

Przyciągnął Claymore'a do siebie. Teraz już krzyczał mu prosto w twarz.

– Zapamiętaj sobie, spotkasz ją nie wcześniej niż dwie niedziele po moim pogrzebie!

Ramirez poczuł, jak na policzki padają mu kropelki śliny. Oddech kuglarza cuchnął przetrawionym miodem. Uścisk jego dłoni nagle zelżał.

– Dwie niedziele – wysapał Snake, znów oddychał płytko i spazmatycznie. – Dwie niedziele po...

– Snake! – W krzyku pulchnej kobieciny brzmiała rozpacz. Krzyk załamał się, przeszedł w szloch. Kuglarz odwrócił się powoli.

Żabci nie było widać, tylko Bethie wyglądała spod płachty. Spoglądała szeroko otwartymi oczyma. Dreszcz przeszedł kuglarza, wzrok dziewczynki był obcy i nieobecny.

Życzenia się spełniają, zrozumiał Claymore. Ty już to wiesz, mała. A ja

nic na to nie poradzę.

Wyciągnął dłoń do Snake'a. Ten wahał się chwilę, w końcu ją uścisnął.

– Jedziesz? – spytał krótko.

– Nie – odparł równie zwięźle Ramirez.

– To spieprzaj. Nie lubię pożegnań.

Claymore uśmiechnął się.

– Mam jeszcze coś do zrobienia. – Wskazał wbity w ziemię rydel, który przyniósł z osady. – Nie zajmie mi to dużo czasu, mam też wprawę.

Wprawa niewiele pomogła. Już dawno zamilkło oddalające się skrzypienie osi. Słońce wyszło w końcu zza chmur, teraz kłoniło się już nisko. Cień kładł się pomiędzy drzewami, kiedy Claymore sypnął ostatnią garść ziemi.

Wykopał grób większy, niż początkowo zamierzał. Jednak coś powiedziało mu, że ona powinna spoczywać obok Williama Jacksona, zbója i bartnika. Jej męża, a może kochanka czy brata. Nie wiedział tego i nigdy nie miał się dowiedzieć. Ale nie mógł pozwolić, by lisy rozwlekły kości człowieka, który o mało go nie zabił.

Ułożył ich obok siebie. Kobietę ze spokojną twarzą, i mężczyznę, kimkolwiek on dla niej był, z maczugą shillelagh w dłoni. Sam nie wiedział, dlaczego tak zrobił, może odezwały się jakieś reszki walijskiego dziedzictwa, jakieś wspomnienia z mglistych lasów. W każdym razie wsunął wyslizganą, nasączoną tłuszczem rękojeść w martwą dłoń, starannie zamotał rzemyk na nadgarstku. Nie będziesz tam bezbronny, Williamie, pomyślał.

Potem zaczął zasypywać grób.

Gdy skończył, stał przez chwilę oparty na rydlu, niczym zmęczony chłop. Spoglądał na niewielki kopczyk, zwykłe wzniesienie na polanie, które wkrótce porośnie trawą. Nikt nie będzie wiedział, że kogoś tu pochowano.

Nad skrajem polany, tuż przy linii drzew kołowały ptaki. Głośnym

wrzaskiem dawały wyraz zniecierpliwieniu – kiedy wreszcie będą mogli swobodnie ucztować. Na razie co chwila któryś pikował w dół, podrywał się z krakaniem, nie ośmielając się jeszcze usiąść i wbić dzioba w to, co najlepsze – w otwarte, szkliste oczy.

Claymore'a nie poruszył ów widok. Nie miał żadnych zobowiązań wobec kogoś, kto się podkrada, zachodzi z tyłu człowieka, który właśnie się odlewa. Sam sobie winien.

Musicie jeszcze trochę poczekać, pomyślał, widząc coraz bardziej podniecone, złaknione biesiady kruki.

Odrzucił niepotrzebny rydel. W promieniach zachodzącego słońca błysnęło ostrze noża, już czyste, wytarł je bowiem, kiedy wyciągnął z piersi zabitej kobiety. Nóż był niezły, nie widział żadnego powodu, by go zostawić.

Przeciął rzemienie, którymi obwiązany był mały tobołek. Ten, którego wraz z Bethie nie przynieśli do obozowiska, zostawiając w krzakach na skraju polany.

Przykro mi, Snake, pomyślał teraz, mnie to się bardziej przyda. Na ciebie zresztą byłoby za małe. Tak też mówiła Bethie, sprytna mała.

Zrzucił z ulgą cuchnący, pełen robactwa półkożuszek, podrapał się po piersi i ramionach poznaczonych nabrzmiałymi śladami ukąszeń. Rozwinął tobołek.

Koszula była wprawdzie zgrzebna, z niebielonego płótna, ale czysta i niepołatana. Wciągnął ją przez głowę, żałując przez chwilę, że do strumienia daleko, przydałoby się zmyć z siebie pot i pył z ziemi. Ale i tak poczuł się dużo lepiej.

Dobrze poczuł się dopiero wtedy, kiedy nałożył *broigne*, kurtę z grubej skóry, naszywaną żelaznymi pierścieniami. Widać jakiś zbrojny niepotrzebnie zapaścił się w puszcę, i raczej z niej nie wyszedł, sądząc po rozcięciu na plecach, małym i wąskim, jak od pchnięcia samym sztychem. Skóra obok dziurki była pociemniała i sztywna. Claymore'owi to nie przeszkadzało.

Płaszcz nie pasował do *broigne*, stanowił niegdyś własność raczej kupca, nie wojownika. Teraz było ciepło, mógł go zwinąć, a niewątpliwie przyda się w noc, już chłodne, kiedy trzeba będzie spać w lesie.

Zapiął na biodrach swój pas z mieczem. Nóż wsunął do cholewy długiego jeździeckiego buta. Był gotów.

Rozwiązał rzemień świńskiego pęcherza, wypełnionego miodem. Ostrożnie uniósł oburącz pęcherz do ust, by nie uronić zbyt wiele trunku.

– Przykro mi, Snake – powiedział ochryple na głos. – Twoje zdrowie.

Kiedy pił, miód spływał mu po policzkach. Wspomniał kuglarza, którego już nigdy nie zobaczy, tego był pewien. Wspomniał Marcela z Tours i jego cottereaux, porządnych chłopów w rzeczy samej, nieco może tylko gwałtownych i brutalnych.

Teraz w większości martwych.

Cisnął pęcherz. Resztki miodu wylały się na wznórek grobu, wsiąkły w poruszoną, miękką ziemię. Niech ci będzie na zdrowie, Williamie Jacksonie, uśmiechnął się szyderczo.

Umiał odrzucić wszelkie zbędne rozterki. Był przecież zawodowcem. I był gotów.

Wszystkie niepotrzebne myśli. Poza jedną.

Ruszył w stronę przecinki. Snake ma rację, ona jest w mieście, dumął, rozgarniając wysokie pokrzywy i młode brzoźki, które zdążyły już powstać i wyprostować się po przejeździe wozu, tylko tam, gdzie przygniotły je koła, widać było niewyraźne ślady. Nic jej nie będzie, poradzi sobie. Przemyśli parę rzeczy. A potem ją znajdzie.

Jeśli jeszcze będzie mi zależało, przemknęło mu przez głowę. Nie wierzę w przepowiednie.

- V -

Szałas przeciekał. Musiała się pogodzić z przykrą świadomości, że nie potrafiła go zbudować.

Nie umiała polować, nie bardzo miała zresztą czym. Kord nie nadawał się do zabijania królików, jedynej zwierzyny, jaką dotąd zdołała zauważyć. Wiedziała coś o tym, że króliki łapie się w sidła, nie miała jednak pojęcia, jak je zrobić. To Snake przynosił futrzaste ciała do obozu, on je nawet skórował i oprawiał. Fabienne umiała najwyżej przyrządzić polewkę, taką gęstą, z kaszą, warzywami, z rozgotowanym króliczym mięsem. Na samo wspomnienie w oczach dziewczyny stanęły łzy, poczuła skurcz w żołądku, oszukiwanym od paru dni wyłącznie jagodami. Próbowwała też grzybów, ale tylko raz, przeżyła po nich straszną noc. Nad ranem, wymęczona torsjami, blada i osłabiona, przysięgła sobie, że nigdy więcej. Raczej zdechnie z głodu.

I jestem tego bliska, pomyślała z goryczą. Ale przecież, kurwa, nie wrócę. Wolę zdechnąć. Skuliła się pod przemoczoną derką, która choć marnie, chroniła jednak trochę od chłodu. Roześmiała się nagle, śmiech przeszedł w bolesne skurcze żołądka. Przypomniała sobie, jak zaledwie wczoraj cierpiała z powodu upału, komarów unoszących się brzęczącą chmarą, i dymu z ogniska, który miał je odganiać. Nie odganiał, zdawał się wprawiać owady w jeszcze większą wściekłość, wzmacniać ich natarczywość. Za to snuł się nisko, jak zwykle przed deszczem, wpełzał do szałasu, pod niską okrywę zeschniętych już liści. Szczypał w oczy, dławił w gardle.

Teraz ognisko zgasło, zamieniło się w lepkie błoto z rozmiękłego popiołu. Fabienne nawet nie chciała myśleć, jak je ponownie rozpalić.

Otuliła się szczelniej derką. Niewiele pomogło. Grube sploty tkaniny przesiąkły wilgocią, po plecach dziewczyny spływała już zimna strużka. Przed oczyma stanął jej szłas, porządny, solidnie zbudowany. Wspomniała dotyk skór, sprężystą miękkość pośłania z naciętych

świerkowych łapek i mchu. Bardzo chciała znaleźć się tam z powrotem, poczuć ciepło przytulonej we śnie Bethie. Nawet bąki, które zwykł puszczać nocą Snake, wydały jej się czymś niezwykle swojskim.

Jej posiniałe od chłodu wargi wykrzywił uśmiech. Kropla deszczu załaskotała po grzbiecie nosa, zawisała chwilę u jego czubka, zanim oderwała się i spadła na okryte przemoczoną koszulą kolana. Za nią następna, i jeszcze następna. I tak już od rana.

Zdawała sobie sprawę, że nie przetrzyma w lesie, jeśli nadejdzie dłuższy okres słyoty. Nawet w upały sobie nie radziła, choć nie musiała się wtedy troszczyć o ciepło, o suchą odzież. W chłodne już u schyłku lata noce wystarczało niewielkie ognisko. Teraz nie miała już złudzeń, popełniła błąd. A co gorsza, nie miała żadnego pomysłu, jak go naprawić.

– Przecież nie wrócę – wymamrotała ponuro. – Prędzej zdechnę.

Na dźwięk głosu kłacz, która też przemokła i też wyglądała na nieszczęśliwą, podrzuciła głowę, zarżała krótko, a zabrzmiało to, jakby pytała. Fabienne zmarszczyła posępnie brwi.

O tym nie pomyślałam, przyznała. Co ona zrobi beze mnie, kiedy zdechnę? Zginie sama w lesie, przecież nie odejdzie stąd. Może znajdzie ją Claymore.

Nie znajdzie, odpowiedziała sama sobie. Bo nawet nie będzie szukał, po co miałby. Głupia jestem i tyle. Pomyliłam się, nie pierwszy raz.

Deszcz nie przestawał siąpić. Słyszała teraz tylko jego szmer – liście okrywające szalasy i gałązki namokły, tłumiliły odgłos padających kropli.

Nie spała przez pół nocy, odkąd zaczęło padać. Obudziła się nagle, nie wiedziała sama, czy przez wiatr buszujący w koronach drzew, czy może wyrwał ją ze snu głód, który skręcał wnętrzności, nieodłączny towarzysz ostatnich dni. Z początku leżała w ciemności, rozkoszując się ożywym powiewem i, przede wszystkim, brakiem kąsających wściekle komarów. Kiedy deszcz się wzmógł, przez pokrycie szalasu zaczęły przedostawać się pierwsze krople, które w końcu połączyły się w strumyczki.

Była osłabiona, więc wkrótce chwyciły ją dreszcze, zanim wstał szary, posępny świt. Zadawała sobie pytanie, jak długo jeszcze wytrzyma. Kiedyś wytrzymała. Też padał deszcz, też przemokła do cna. I też nie miała nadziei.

Odepchnęła od siebie wspomnienia. Tak wiele trudu ją kosztowało, żeby wyrzucić je z pamięci. Żeby już nigdy nie być bezbronną dziewczynką.

Żeby zapomnieć.

Ale nie udało się. Bo życie przecież toczy się kołem, i znów siedziała w deszczu, zmarznięta głodna i przemoknięta. Bez nadziei. I nie mogła już liczyć, że ktoś się pojawi.

Objęła ramionami kolana, by zachować resztki ciepła. Chociaż już wcale nie wiedziała, po co.

Najpierw był tylko ruch, dostrzeżony kątem oka, potem dopiero klaczka zarżała donośnie. Fabienne się odwróciła. Nie czuła strachu, nie pomyślała o niebezpieczeństwie, chociaż ostatnio las budził w niej lęk, w miarę jak stawała się coraz słabsza i górę brało zmęczenie.

Rzeczywiście, nic jej nie groziło. Po mokrej, lśniącej kroplami trawie szedł czarny kot. Widok był tak nieoczekiwany, że dziewczyna zamarła, zdumiona.

Wiedziała, że jest daleko od ludzkich sadyb, głęboko w puszczy. Zdziczałe koty trzymały się niedaleko wiosek, w lesie ich los był zwykle przesądzony, zbyt wielu drapieżców tutaj żyło, silniejszych od nich i na pewno bardziej bezwzględnych. Ten kot zaś nie wyglądał na dzdiczałego.

Kroczył, śmiesznie podnosząc łapki, przystając co chwila i otrząsając się ze wstrętem. Co dziwniejsze, czarne lśniące futerko wyglądało na suche, jakby przeczekał ulewę w jakimś bezpiecznym miejscu i dopiero teraz wyszedł z ukrycia.

Zwierzak miał w sobie coś miłego i Fabienne wyciągnęła do niego rękę. Uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia.

Kot zatrzymał się, węszył, śmiesznie poruszając białymi, kontrastującymi z czernią futerka wąsami. Stał jakiś czas, po czym zadarł ogon i wielkimi susami popędził do dziewczyny. Po chwili ocierał się o jej łydki, głośno mruczając.

To kotka, spostrzegła Fabienne, smukła i zgrabna. Pewnie zagubiona

tak jak ja.

Wzięła mruczące stworzenie na ręce. Poczuła ciepło, tak potrzebne i tak wyczekiwane. Kotka chyba to rozumiała, bo przyłgnęła do niej całym ciałem. Mruczała jeszcze głośniej, cała wibrowała od niskiego, jednostajnego dźwięku.

Ciepło rozchodziło się po całym ciele dziewczyny, jakby siedziała przy buzującym ogniem kominie, a nie tuliła tylko małego kota. Wraz z ciepłem pojawił się spokój. Lęk i rozpacz odchodziły niepostrzeżenie, znikły gdzieś paskudne wspomnienia i jeszcze paskudniejsze widoki na przyszłość.

Fabienne pogładziła czarny łeppek. Skąd się tu wzięłaś, mała? Nieważne, dobrze, że jesteś. Kotka, jakby potrafiła przenikać myśli, nagle rozwarła szeroko powieki, spojrzała jej prosto w twarz. W wielkich żółtozielonych oczach było coś znajomego.

Wyrwała się, zeskoczyła zwinnie na mokrą trawę, podbiegła parę kroków, śmiesznie unosząc łapki i otrząsając je z obrzydzeniem. Zatrzymała się i obejrzała.

Dziewczyna drgnęła, kiedy usłyszała natarczywe miauknięcie. Zrozumiała je od razu. Zresztą i tak nie miała innego wyjścia, niż posłuchać. Wszystko było lepsze niż oczekiwanie. Bo i czekać nie było na co ani na kogo.

– Mam iść za tobą? – spytała tylko. – Poczekaj, muszę wszystko pozbierać. Niedługo, nie mam wiele do zbierania.

Całkiem zwariowałam, pomyślała potem, kiedy krzątała się, pakując w węzełek mizerny dobytek. Iść gdzieś za kotem... Ale chyba ten zwierzak jest mądrzejszy ode mnie.

Hugo Topornik nie posiadał się ze złości.

Ktoś, kto go nie znał, łatwo mógłby się omylić. Najemnik siedział na pniaku, wsparty o lite, drewniane koło krytego płachtą wozu, łupu z ostatniej wyprawy na trakt. Pozornie znudzony wystawiał twarz na pierwsze promienie słońca, które wyjrzało zza chmur po chwilowym

porannym deszczu. Jego twarz, zaskakująco młoda i gładka jak na człowieka w tym wieku i o tej profesji, nie zdradzała żadnych uczuć, malowały się na niej rozleniwienie i obojętność.

Prawdziwe uczucia Hugona zdradzało tylko lekkie, prawie niezauważalne bębnienie palców po wyślizganym i poczerniałym stylisku topora, które wystawało mu spomiędzy kolan. Najemnik nigdy nie rozstawał się ze swą bronią, złośliwi kamraci mawiali, że zabiera ją ze sobą nawet wtedy, kiedy idzie się wysikać. Była to prawda.

Ci, którzy Hugona znali bliżej, wiedzieli, że kiedy siedzi pozornie odprężony i nieobecny, lepiej omijać go z daleka. Najemnik nieodmiennie wpadał w ten stan pod koniec każdej pijatyki, gdy inni zwalali się już pod stoły albo otwarcie szukali zaczepki i wszczynali burdy. Hugo Topornik nigdy nie zaczynał zwady. Biada jednak temu, kto wziął za dobrą monetę wyraz rozleniwienia na jego twarzy. Wielu było takich, którzy swą pomyłkę zrozumieli w tej krótkiej chwili pomiędzy błyskiem spojrzenia spod nagle uniesionych powiek a świstem topora o długim prawie na dwa łokcie stylisku.

Hugo nigdy nie szukał zwady. Zawsze znajdowała się sama, prędzej czy później.

Prawie zawsze. Teraz nie bardzo mógł na to liczyć. Dlatego rozpierała go wściekłość, której chętnie dałby upust.

Obscenicznym gestem gładził pociemniałe i gładkie drewno toporzyska i spod w półprzymkniętych powiek śledził blade go, krostowatego wyrostka, krzątającego się przy uwiązanych do żerdzi koniach.

Chłopak wycierał wiechciem słomy boki pięknego wierzchowca, prawdziwego bojowego rumaka, który jeszcze niedawno należał do pechowego szlachcica, dufnego w swe siły i rycerskie rzemiosło. Tak dufnego, że spróbował skrócić sobie drogę do miasta przez puszcę, w dodatku samowtór, jedynie z giermkim. Rychło okazało się, iż na nic rzemiosło i odwaga, wystrzelony z trzydziestu kroków bełt znakomicie radzi sobie z jednym i drugim, a także ze stalowym napierśnikiem. Trzeba szlachcicowi oddać sprawiedliwość, wierzchowca miał znakomitego, wartego dobrą wieś. Jego giermek też niezgorszego.

Jednakże wycieranie końskiej sierści nie miało sensu, o czym dobrze

wiedzieli obaj, blady wyrostek i Hugo Topornik. Ale rozkaz jest rozkazem, zwłaszcza poparty kopniakiem.

Chłopak przeżywał łyzy, starał się nie spoglądać zbyt często na Hugona. Robił co mógł, by uniknąć kolejnego bicia, choć wszystko wskazywało, że i tak go nie uniknie.

– Żwawiej, Wypierdku – syknął najemnik, nie unosząc nawet powiek.

Tommy, obecnie zwany Wypierdkiem, skulił się tylko. Nie tak miało być. Łza błysnęła już całkiem jawnie na bladym policzku, spłynęła po wielkim sińcu pod okiem, zmieniając kolor z fioletowego na żółtozielony.

Klął w duchu swoje marzenia o lśniącym mieczu, beztróskim życiu na traktach i w oberżach, tłustych kupcach, którzy, trzęsąc się ze strachu, sami oddają mieszki z gotowizną. Owszem, wszystko to się zdarzało, ale nigdy z udziałem bladego wyrostka, kupieckiego syna z Nottingham. Na razie spotykały go tylko razy i kopniaki, grube klątwy i wyzwiska, w obozie wyznaczali go do najgorszych posług.

Nie tak wyobrażał sobie szczęśliwy los grasanta, kiedy po rzezi w Nottingham, uzbrojony w zdjęty z trupa miecz, przystał do grupki maruderów, rabujących wszystko, co jeszcze pozostało do zrabowania w splądrowanym mieście. Z początku było nieźle, kupiecki synalek, który, znalazłszy swego ojca martwego w spichrzu, poczuł się wreszcie wolny, traktowany był nieźle, na równi ze wszystkimi. Dopiero gdy samozwańczy przywódca bandy, niejaki Kulawy Gerwazy, zbrojny ze straży Czarnego Barona, dał znak do opuszczenia murów, obawiając się zarazy w mieście pełnym niepogrzebanych, wzdętych trupów, wszystko się zmieniło.

Już na pierwszym popasie, na skraju traktu Tommy dostał w zęby. Kompani wśród drwin i poszturchiwań zabrali mu błyszczący miecz. Odtąd był tym od najgorszych posług, wynagradzany zazwyczaj kopniakami i wyzwiskami.

Tylko raz zaświtała nadzieja, kiedy pojawiła się ona. Tommy był o wiele za młody, by pamiętać czasy Robina w Kapturze czy Krwawego Wieprza. Ale kiedy pilnował koni, podczas gdy kamraci dorzynali jakichś przerażonych wieśniaków na wozie pełnym garncy z piwem, od razu domyślił się, kim jest. Legenda była wciąż żywa, syn kupca zbożowego z

Nottingham nie miał wątpliwości, kim może być kobieta o zimnych oczach i rudych, przetykanych siwizną włosach. Zanim jeszcze w wyniku różnicy zdań Kulawy Gerwazy stał się martwym Gerwazym, serce chłopaka przeszła szalona radość. Teraz znajdzie się wreszcie na swoim miejscu, wśród dzielnych banitów z puszczy Sherwood, nie wśród zapijaczonych maruderów.

Radość trwała krótko. Dwaj ocaleli kamraci zostali uznani za równych, towarzysze rudowłosej kobiety traktowali ich jak starych znajomych, którymi zresztą pewnie nawet byli. Nad trupem Gerwazego, dymiącym jeszcze w chłodzie wieczoru świeżą juchą, przepijali do siebie garncami piwa, poklepując się po plecach, pod uważnym spojrzeniem zielonych oczu rudowłosej kobiety i szklistym wzrokiem martwego wieśniaka, przewieszzonego przez deski wozu. Tommy zaś został wkrótce potraktowany jak zdobyczne konie, z tą różnicą, że wierzchowców nikt nie poganiał kopniakami.

Najpierw myślał, że będzie tak samo źle. Mylił się. Wśród jego dawnych kompanów nie było Hugona Topornika.

– Żwawiej, Wypierdku. – Głos Hugona przywrócił chłopaka do rzeczywistości.

Najemnik od początku znajdował przyjemność w zadreczaniu Tommy'ego. Kamraci śmiali się tylko, gdy wtykał stylisko topora między nogi zgiętego pod ciężarem cebrów z wodą wyrostka, wręcz turlali ze śmiechu, kiedy kopniakami zaganiał go z powrotem do strumienia, bo wszak wierzchowce trzeba pilnie napić. Spoglądali z przypochebnym wyrazem w oczach, gdy bił chłopaka za nie dość staranne wytarcie końskiej sierści. Żaden nie zaprotestował nigdy, nie wziął go w obronę. Byli tacy sami jak Hugon, lubili proste, żołnierskie żarty. I wszyscy obawiali się najemnika.

Zła sława Hugona Topornika budziła respekt. Kompani szeptali o jego dokonaniach, krwawych i ponurych. Nikt nie wiedział nic na pewno, lecz te szeptane plotki były niepokojąco bliskie prawdy.

Hugo powiadał się najemnikiem. Istotnie, jeszcze za młodu zdarzyło mu się wziąć udział w jednej czy dwóch wojenkach pomiędzy wadzącymi się baronami. Jednak był na tyle sprytny i bezwzględny, iż dość szybko uznał, że bardziej opłaca się działać na własny rachunek. Zebrał bandę podobnych sobie routiers, okrutnych i bezwzględnych, wyćwiczonych

bardziej w zabijaniu niż walce. Płynęły lata wypełnione rabunkami i gwałtami, zła sława Hugona i jego ludzi obezwładniała wszystkich, nawet wielmoży, którzy nauczeni doświadczeniem własnym i cudzym woleli rokowania i targi od otwartej walki. Aż wreszcie noga mu się powinęła, rozzuchwaleni routiers pozostali zbyt długo w jednym hrabstwie, za bardzo dali się we znaki okolicznym baronom i szlachcie.

Hugon i tak miał szczęście, choć początkowo sądził wręcz przeciwnie. Połowę kamratów powieszono od razu przy trakcie, nie zawracając sobie głowy pędzeniem ich do miasta. Połowę baronowie puścili wolno. Wyłupiwszy im wprzód oczy.

Dla Hugona Topornika przewidziano większe atrakcje. Jednak gdy siedział w lochu i klął swą niewczesną sławę, zjawilo się wybawienie w osobie Czarnego Barona. Rozbójnik nie zastanawiał się długo nad powrotem do profesji uczciwego najemnika. Nie miał wielkiego wyboru, przypuszczał zaś z radością, że jego życie pod nowymi rozkazami nie będzie wiele się różnić od tego, które zdążył już polubić. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na tłustego wielmożę o czerwonej, okrutnej gębie.

Nie pomylił się wiele, choć dokuczala mu dyscyplina. Nie mógł już palić i gwałcić kiedy chciał, a tylko kiedy mu kazano. Nie narzekał zbyt, bo nakazywano znacznie częściej, niż się spodziewał. Jego zwierzchnik zaś, zwany Jasiem Zielone Ucho, oczekiwał od podwładnych inicjatywy.

Mimo to Hugo nie był szczęśliwy. Zbyt cenił sobie swobodę, zbyt długo był panem samego siebie. Dlatego nie posiadał się ze szczęścia, kiedy powróciwszy z podjazdu, ujrzał swego pana rozciągniętego na bruku zamkowego podwórca. Pamiętał, zsiadł wtedy z konia, trącił żeleźcem topora walającą się obok niczym zakrwawiona misa pokrywą czaszki. Zajrzał w białka wywróconych oczu. A radość wzrosła jeszcze, kiedy w następnym trupie rozpoznał Jasia Zielone Ucho.

Nieco zmacona była ta uciecha, nieraz bowiem obiecywał sobie w duchu, że sam zakończy marny żywot zaufanego barona. Nie mógł się przyzwyczaić do słuchania rozkazów. Ale żal trwał krótko i skończył się, gdy Hugon ulżył sobie solidnym kopniakiem w posiniałą już głowę Jasia. Potem najemnik wskoczył z powrotem na kulbakę i odjechał, pogwizdując wesoło, znów wolny.

Twarz Hugona, powleczone maską obojętności, ściągnęła się, zacisnęła

szczęki. Teraz mógł robić to, co zawsze lubił. Uganiać się po traktach, upijać do woli w karczmach. Budzić strach i odrazę.

Trzeba oddać Topornikowi sprawiedliwość. Nie lubił mordować, nie to było jego motywacją. Do zabijania miał taki sam stosunek jak drwał do wyrębu lasu, czyż widział kto drwała, który kocha rąbać drzewa? Ciężka i niebezpieczna praca, będąca tylko środkiem, nie celem samym w sobie. Ale trzeba też przyznać, że wykonywał ją najlepiej jak potrafił, bez ociągania i zbędnych rozterek. Jego bojowy topór o długim prawie na dwa łokcie stylisku nadawał się do tego znakomicie, zarówno do ściągnięcia jeźdźca z wierzchowca, jak i skruszenia tarczy, w końcu do rozłupywania łbów.

To ostatnie czynił zazwyczaj obuchem. Wiedział bowiem, że cios ostrzem może się ześlizgnąć po nieosłoniętej nawet hełmem czaszce, pozbawiając wprawdzie delikwenta ucha lub sporego płąta skóry razem z włosami, ale też często wprawiając go w uzasadnioną wściekłość. A po dobrym uderzeniu obuchem głowa pękała jak orzech.

Najemnik zabębnił z irytacją palcami po drewnie styliska. Miał wszystko, co lubił. Dobrych kamratów, nie gorszych niż jego dawni routiers. Lekkomysłnych kupców na traktach, ale także i zbrojnych, pańskich lub cechowych. Sporo łbów do rozłupania, co tylko dodawało smaku żywotowi.

Prawie wszystko. Bo znów musiał słuchać rozkazów.

Spomiędzy wąskich szparek powiek błysnęło wściekłe spojrzenie. Hugon Topornik zżuł przekleństwo, wypluł je wraz z gorzką śliną, która wezbrała mu w ustach.

Słuchać rozkazów kobiety.

Wstał niespiesznie, odstawił topór, sprawdziwszy starannie, czy rzemyki utrzymujące skórzaną osłonę na wyostrzonym niczym dobry miecz toporze są na swoim miejscu. Powoli wyjął z za pasa długie do łokcia rękawice, począł naciągać je powoli. Na jego twarzy wykwił złośliwy uśmiech, gdy popatrzył na zastygłego nagle, skulonego wyrostka.

Tommy zwany Wypierdkiem znów nie będzie miał dobrego dnia.

Słońce wysuszało nasiąkniętą długim deszczem murawę, odbijało się w kałużach marszczonych delikatnym wietrzykiem. Było duszno, nad poszyciem lasu na obrzeżach polany unosiły się delikatne opary. Ciężki zapach butwiejących liści i próchna przywodził na myśl nadchodzącą jesień.

Dym znad największego szałasu, chatki właściwie, układał się nisko, mieszał z powstającymi mgłami, zaścielał polanę szarością, rozmazywał kształty, odbierał im barwy. Przesłaniał rzędy niższych szałasów, wyciągniętych w linię wzdłuż wydeptanej i rozjeżdżonej podkowami ścieżki, błotnistej i grząskiej po deszczu. W małych zagłębieniach pozostawionych przez kopyta połyskiwały lusterka wody.

Polana wyglądała na wyludnioną. Jedyne ruch można było dostrzec przy zagrodzie dla koni, skleconej byle jak z nieokorowanych żerdzi, obok zdobycznych wozów, których rozpięte na pałkach płachty zwisały ciężko, wciąż nasiąknięte deszczem. Wierzchowce i ciężkie, pociągowe konie z grzywami plecionymi w warkoczyki, przepychając się, pochrapywały i parskały. Piękny, dorodny kasztan, rycerski bojowy rumak, szarpał wodze uwiązane do cienkiego drąga, który wyginał się i poskrzypywał. Raz i drugi ciszę lasu po deszczu, ciężką, wypełnioną tylko szelestem strącanych z liści kropli, bez głosów ptaków i brzęku owadów, przeszło głośnie rżenie.

Zafalowała skóra zawieszona w wejściu do największego szałas. Właściwie była to solidna chatka o ścianach z plecionki obrzuconej gliną, pociemniałą teraz i wilgotną od ulewy, jaśniejszą tylko pod samym okapem, tam gdzie nie dotarły nawet niesione wiatrem krople. Zastona odsunęła się i w ciemnym wejściu stanął mężczyzna. Był wysoki i żyłasty, musiał pochylić się, by przejść pod niskim nadprożem z grubej, ociosanej byle jak belki.

Słońce zrazu poraziło jego wzrok, choć było przymglone i przesłonięte mgiełką, gęstniejącą coraz bardziej. Ogorzała, przypominająca barwą dobrze wygarbowany rzemień twarz skrzywiła się, zanim zdążył przesłonić oczy dłonią. Rozglądał się przez chwilę, drugą ręką dopinał pas na biodrach.

Głośnie rzenie znów przeszło powietrze, odbiło się przytłumionym, rozmytym echem od ściany drzew. Konie w zagrodzie były coraz bardziej niespokojne, nawet stąd mężczyzna mógł dostrzec napierające na siebie grzbiety, kare, kasztanowate i jabłkowite, wzniesione szyje. Słyszał plaskanie, kiedy kopyta grzęzły w rozmiękłym, rozdeptanym błocie.

Mężczyzna zaklął, odejmując dłoń od czoła. Poprawił jeszcze pas, machinalnie sprawdził oszczędnym, precyzyjnym ruchem, czy rękojeść krótkiego, jednoręcznego miecza jest na swoim miejscu. Ten nawyk miał we krwi, jak każdy stary, doświadczony żołnierz.

Chociaż był człowiekiem podeszłym już w latach, wciąż poruszał się sprężysto, jak teraz, kiedy ruszył powoli skrajem błotnistej, wydeptanej ścieżki. Poorana zmarszczkami twarz ściągnęła się złością. Już wiedział, co zastanie przy końskiej zagrodzie.

Jego przypuszczenia potwierdził zduszony krzyk, zagłuszony przez głośniejsze rzenie i tupot koni. Stary zbrojny przyspieszył kroku, błoto rozpryskiwało się pod podszewkami butów, małe grudki osiadały na nogawicach.

Już słyszał odgłos uderzeń, głośne trzaski razów zadawanych skórzaną rękawicą.

Nie widział jeszcze, co się dzieje. Ale wiedział, że to rękawica, długa, z wszytymi na kostkach żelaznymi płytkami. Zmarszczki wokół ust i w kącikach oczu pogłębiły się, kiedy zmrużył powieki. Dość, coś trzeba zrobić z tym skurwysynem, pomyślał. Przecież w końcu zabije gnoja albo gówniarz poderżnie mu w nocy gardło. Tak źle i tak niedobrze.

Minął przechylony wóz, który grzązł w mokrej darni. Zatrzymał się. Było dokładnie tak, jak się spodziewał.

– Hugonie! – Stary zbrojny nie krzyknął. Ale jego nawykły przez lata do komendy głos łatwo przebił się przez końskie rzenie i pochrapywanie, przez mlaskający tupot niespokojnych koni. I przez rozpaczliwy jęk bitego wyrostka.

Wzniesiona do uderzenia rękawica nie opadła tym razem, zwiśla wzdłuż trzymającej ją ręki. Hugo Topornik nie odwracał się przez dłuższą chwilę, puścił jednak koszulę chłopaka, który skorzystał z okazji i odczołgał się na czworakach pomiędzy konie, nie bacząc, że podenerwowane i przestraszone mogą go stratować. Mimo wszystko w

błocie zagrody czuł się bezpieczniej.

Hugon wyprostował się. Wciąż się nie obejrzał, zatknął rękawicę za pas. Podrzucił głowę, ciemne, posrebrzone lekko siwizną włosy opadły mu na kark. W końcu się odwrócił. Do twarzy miał przyklejony uśmiezek, ale zmrużone oczy spoglądały na starego zbrojnego z wyzwaniem. Popatrzył na topór, oparty o koło wozu. I uśmiechnął się szerzej.

– O cóż chodzi, Cedriku? – spytał spokojnie, jakby prowadził przyjacielską pogawędkę. Skrzyżował ręce na piersi, na nabijanym żelaznymi płytkami kubraku.

Stary splunął pogardliwie. Był chyba jedynym z całej kompanii, który nie obawiał się Topornika. Zapewne dlatego, że nie czuł się od niego gorszy. A już na pewno nie lepszy. Może różniło ich tylko to, że sam kochał zabijać, dlatego też był prawdziwym najemnikiem, nie obchodziło go, komu służy, nie dbał o korzyści. I nie obawiał się nikogo. W końcu dożył takiego wieku, że nie musiał nic udowadniać, ani sobie, ani innym. Był po prostu dobry.

– O twoje zabawy – odparł.

Twarz Hugona przybrała wyraz spokoju i rozmarzenia.

– A cóż w nich jest złego? – spytał po chwili leniwie. – Toć to Wypierdek przecie.

– To, że konie się płoszą – uciął Cedric. – Chcesz go łać, to wyprowadź do lasu. Nie moja sprawa, jeśli ci potem w nocy nóż pod żebro wsadzi.

Topornik zmierzył starego sennym spojrzeniem. Potem popatrzył przeciągle na wyrostka, który wciąż kulił się w błocie. Z jego rozciętej wargi płynęła krew, ucho spuchło już do monstualnych rozmiarów.

Hugon pokręcił głową.

– Nie wsadzi – skonstatował z rozbawieniem. – Toć to Wypierdek.

Stary wzruszył tylko ramionami. Narastała w nim złość. Nie należał do najbystrzejszych. Ale zawsze wiedział, kiedy ktoś z niego pokpiwa. I wiedział też, jakie ambicje targają Hugonem Topornikiem. Były aż nadto widoczne.

Podszedł do Hugona. Miał zamiar zakończyć sprawę szybko.

– Masz przestać łać go na oczach wszystkich. Albo zabij od razu.

Zbliżył się tak, że ostatnie słowa wysyczał Topornikowi prosto w twarz.

– Albo zabij – powtórzył. – Bo jeśli ci nawet gardła nie poderżnie, zwieje i kogoś tu sprowadzi. To pierwsze mnie nie interesuje, to drugie owszem.

Hugon, co mu się nigdy nie zdarzyło, zmieszał się pod gniewnym spojrzeniem wyblakłych oczu starego. Z jego twarzy zniknęła wystudiowana obojętność.

– Nie sprowadzi – mruknął bez przekonania. – To...

– Wiem – przerwał mu Cedric. – To Wypierdek. Ale jak dotąd ja tu rozkazuję. Ty słuchasz.

Uśmiechnął się złośliwie skrzywieniem bladych, starczych warg. Pchnął Hugona w pierś otwartą dłonią o obrzmiałych, gruzłowatych stawach.

– Chyba że chcesz to zmienić.

Przez moment wydawało się, że Hugo spróbuje. W jego zmrużonych oczach błysnęła wściekłość. Jednak w porę spostrzegł, że jest bezbronny, ulubiony topór stał spokojnie o parę kroków dalej. Równie dobrze mógł być oddalony o milę, Cedric opierał dłoń na rękojeści miecza.

Topornik wiedział, jak szybki potrafi być stary. Widział go nieraz w akcji, kiedy ten podstarzały człowiek w okamgnieniu zmieniał się w błyskawicznego mordercę, tym groźniejszego, że wielu niefrasobliwie go lekceważyło.

Najemnik rozluźnił się, odrzucił głowę do tyłu, zaniósł się głośnym, nieszczerym śmiechem. Cedric po chwili zawtórował mu cichym, złośliwym chichotem. Kiwnął z uznaniem głową, doceniając spryt podwładnego, który obrócił wszystko w żart.

– No dobrze, Hugonie – mruknął w końcu. – Pożartowaliśmy. I dość. Zostaw gnoja w spokoju.

Topornik przestał się śmiać, rysy mu stwardniały. Skinął sztywno głową.

– Jeśli będzie się opierdalał... – zaczął, próbując ratować twarz. Nie chciał ustąpić do końca.

– To mu wpierdolisz – uciął stary. – Ale nie przy koniach, płoszą się,

powiadam.

– A może Wilczycy się nie podoba? – wypalił najemnik.

Twarz starego skurczyła się, aż górna warga odsłoniła wciąż mocne, acz starte i pożółkłe zęby. Nie był może najbystrzejszy. Ale zawsze lojalny.

– Mnie się nie podoba – wycedził. – Zakarbuju to sobie. Uważaj też, co mówisz...

Odwrócił się i odszedł, pozostawiając Hugona gotującego się z wściekłości.

Tommy nie czekał, aż najemnik przypomni sobie o nim. Zwinnie, mimo bólu, wypętlzył spod końskich brzuchów, ocierając krew z rozciętej wargi. Zerkając lękliwie na Topornika, przemknął obok niego i pogonił za oddalającym się Cedrikiem. Przypadł do dłoni starego, jakby chciał ją ucałować. Ten zachnął się, po czym celnym kopniakiem odrzucił wyrostka o dobrych parę kroków.

Hugon zaklął kunsztowną wiązańką. Był zły, przede wszystkim na siebie. Zdawał sobie sprawę, że nie strzyma staremu. Nawet nie chciał próbować. Nie miał nic przeciwko Cedrikowi, leciwemu zabójcy. Mógł zaakceptować jego przywództwo. Ale w końcu to chłop.

Strzyknął przez zęby gęstą śliną, popatrzył na odległy ształas, zaciskając pięści ze złości. Podeszedł powoli do wozu, uchwycił stylisko topora. Dotyk wyślizganego, gładkiego drewna zawsze go uspokajał.

Nie tym razem.

– Wilczyca – mruknął półgłosem. Zabrzmiało jak splunięcie.

Do czego to, kurwa, przyszło, pomyślał, rozsupłując rzemienie skórzanego pokrowca, skrywającego ostrze. Żeby baba chłopami komenderowała...

Przed oczyma Hugona stanęła odziana po męsku, smukła sylwetka. Przypomniła sobie zgrabny zarys bioder. Stara jest, przemknęło mu przez głowę, ale mimo to poczuł ciepło w lędźwiach. Ech, pokazać jej tak, gdzie baby miejsce. Wyobraził sobie drżące, zakrwawione wargi, kiedy będą wypowiadać daremne prośby, a on...

Chłód żeleźca przywrócił go na chwilę do rzeczywistości. Ostrożnie dotknął kciukiem ostrza, lśniącego niczym balwierski nożyk.

Tak. Rozetnie kubrak, jednym machnięciem, od niechcienia. Wiedział, że potrafi to zrobić. Robił nie raz, umiał rozdziać przeciwnika z kolczugi, nie psując go zbyt. Jeśli ona nawet tylko drgnie, to trudno, oprócz skóry odzienia rozetnie i tę białą, gładką, naznaczy krwawą kresą. Płytką, bo przecież potrafi, czuje topór jak własną rękę. Będzie ciekawiej.

Wyobraził sobie piersi, nie wiedzieć czemu strome jak u tych chłopskich młódek, które tak miło gwałcić pod ponurym spojrzeniem obitych wprzódę mężów i krewnych. Sterczące sutki. Ruda jest, jasna, pewnie są różowe. Ciepło rozlewające się po lędźwiach przeszło w gorąco.

I wtedy ujrzął oczy. Zielone i zimne.

Syknął z nagłego bólu. Na opuszcze palca przeciętej głęboko, prawie do kości, wzbierała kropla krwi. Wetknął palec do ust.

– Pierdolona wiedźma – wymamrotał.

Ale wciąż jeszcze się bał.

Ktoś przegarnął ognisko osmolonym drągiem, iskry wystrzeliły w ciemniejące niebo niczym chmara krwawych świetlików. Dym kłębił się nisko, szczypał w oczy, aż zachodziły łzami. Zduszone przekleństwa i pokasywania mieszały się z trzaskiem płomieni.

Zajęła się nowa porcja chrustu, dorzucona szczodrze, ogień wspiął się jeszcze wyżej. Żar palił twarze, ludzie się odsuwali od kamiennego, osmolonego kręgu. Ściana drzew pogrążała się w mroku, nieprzenikniona i cicha. Wyolbrzymione cienie tańczyły na prześwietlonych płomieniami płachtach wozów. Mgiełka nad mokrą murawą opalizowała różowo, przesłaniała ciemne sylwetki szałasów.

Dufni w swe siły, nie musieli bać się nikogo. Władcy puszczy, twardzi i bezwzględni. Jak wyraził się Cedric, banda największych skurwysynów, jaka kiedykolwiek pojawiła się w tym lesie. Zawierała się w tym duma, skwitowana zresztą entuzjastycznym aplauzem kamratów, pozbieranych z traktów rzezimieszków i bandytów.

Nie bali się nikogo, może tylko siebie nawzajem. Dlatego ognisko

strzelało wysoko w niebo, nikt nie przejmował się, że łuna widoczna jest doskonale z pobliskiego gościńca. Bo i któż mógł zagrozić największym skurwysynom? Tu byli u siebie, mieli świadomość, że do puszczy można wprawdzie wjechać bez ich zezwolenia, ale z wyjazdem bywa trudniej.

Pozostawały jeszcze strażę. Paru kompanów, wściekłych teraz do cna, że omija ich popijawa, a przez to czujnych i gotowych na wszystko. Na przykład do przeszycia bełtem kogokolwiek, kto pojawiłby się na jednej ze ścieżek, zanim jeszcze zdołałby się okrzyknąć. Prawdę mówiąc, coraz mniej trafiało się takich, którzy zapuściliby się lekkomyślnie w pobliże polany, zwłaszcza po zmierzchu. Ostatni był borowy, któremu w pijanym widzie złe siły drogę splątały, że nijak do chaty trafić nie mógł. Już nie trafi.

Strażników, jak zwykle, wyznaczył los. Los ślepy, lecz w osobie Cedrika zazwyczaj sprawiedliwy, zawsze wypadało na tych, którzy podpadli. Na szczęście do posterunków skrytych w jeszcze gęstym listowiu na poboczach ścieżek nie dochodził aromat wina z beczułki, której dno prysło właśnie pod ciosem topora Hugona.

Wino było przednie. Choć reguła św. Benedykta nakazywała wstrzeźliwość, przecież bywały od niej wyjątki. I taki właśnie wyjątek napatoczył się szczęśliwie na gościńcu, w postaci zaprzęzonego w woły wozu, dwóch mizernych braciszków i, co najważniejsze, baryłki wina. Wkrótce mnisi, na przemian złorzecząc i wzywając imienia Pańskiego nadaremno, podążyli zanieść braciom nowinę, iż cnoty zakonne będą mogli praktykować bez narażania się na zbędne pokusy. Podążyli piechotą, zakasawszy habity i gubiąc sandały na piaszczystym gościńcu, a ich klątwy, mocno plugawe jak na zakonne osoby, cichły powoli za zakrętem.

Klęli niepotrzebnie i zgoła niesprawiedliwie, nieświadomi szczęścia, jakie ich spotkało. Powinni wiedzieć przecież, że zmieniły się reguły. Stara zbójcka maksyma "pieniądze albo życie" przestała być aktualna w puszczy Sherwood. Teraz traciło się jedno i drugie, bez wstępnych pytań i negocjacji. Dlatego też los uśmiechnął się do braciszków, kiedy na swej drodze napotkali podjazd prowadzony przez starego Cedrika, który jako człek pobożny zawahał się przed pozbawieniem życia osób duchownych i poprzestał na gruntownym obiciu, zresztą nawet nie czyniąc tego osobiście. Stary najemnik miał tylko nadzieję, że Wilczyca się o tym nie

dowie. Rozkazy były jasne – nikt, kto wjedzie do puszczy, nie może z niej bezkarnie wyjechać. A kara była jedna.

Stary wzdragał się nieco przed nieposłuszeństwem. Pocieszał się, że zawsze może powiedzieć, iż braciszkanie przysnęli w las wcześniej, gdy tylko usłyszeli tętent kopyt. Kamratów zaś był pewien, nie doniosą, tym bardziej że i na nich spadłby gniew okrutnej pani.

Wino służyło po brodach i policzkach, czerpane z baryłki czym kto miał, drewnianymi kubkami, miskami. Ktoś nawet użył płaskiego hełmu, pamiątki po pechowym zbrojnym z eskorty, która znalazła się na jednym ze zdobycznych wozów. Hełm był nieco pogięty, ale pijącemu to nie przeszkadzało, w mroku nie było widać nawet zakrzepłej, czarnej krwi, zaschłej we wnętrzu. Zresztą rychło zniknęła, zmyta trunkiem.

Pili w milczeniu, na umór, mocząc obwisłe wąsiska w naczyniach, bez śmiechów, bez przechwałek. Jak zwykle. Bo i czymże mieli się przechwalać, byli wszak wśród swoich, równych sobie. Dopiero później ktoś ciśnie grubym słowem, ktoś zerwie się do kułacznej bójki wśród podjudzania kompanów, honor bowiem zbója po pijaku wielce jest delikatny. Wtedy słowo kurewstwo maci zadające jest czym innym zgoła niż na co dzień.

Później może ktoś dobędzie noża, by składniej swe racje wyłożyć. I albo pokona oponenta mocą nowych argumentów, albo, co bardziej prawdopodobne, reszta nakopie mu do rzyci i spać ułoży, żeby się człowiek niepotrzebnie nie męczył.

Ale to dopiero później, kiedy już gęsty mrok spadnie na polanę, a buzujące ogniem ognisko zmieni się w kopczyk popiołu, przeświecający żarem. Na razie pili. W milczeniu i na umór.

Beczka była duża, nieznany bliżej dobroczyńca, przeor klasztoru w mieście, okazał się przewidujący. Lecz w miarę jak zbliżali się do dna, nastroje stawały się melancholijne, przekleństwa rozlegały się częściej.

Stary Cedric sączył trunek powoli i rozważnie, jak na człowieka w jego wieku przystało. Starał się nie uronić ni kropli, kto wie, kiedy znów nieostrożni mnisi zapędzą się w puszczańskie ostępy. Jeśli w ogóle się zapędzą, doświadczenie było przykre. A wtedy kompania znów będzie zdana na mętne, jęczmienne piwo, jedyne, które nadawało się do wypicia w pobliskich wioskach. Jak Cedric zaś wiedział, na wypadki do karczmi,

choćby większą gromadą, Wilczyca patrzyła krzywo.

Zbrojny skrzywił się, splunął. Pomyślał, że przynajmniej on powinien pamiętać, by nie wymieniać tego przezwiska, nie myśleć tak nawet. Nie było to bezpieczne, także dla niego, najbardziej zaufanego człowieka w całej kompanii.

Przy beczce wszczął się ruch, niewyraźne w migotliwym blasku sylwetki zakotłowały się, wśród przekleństw można było dosłyszeć odgłos uderzenia. Ale jeszcze nie nadeszła pora na zwady, wkrótce przeciwnicy popijali zgodnie i na przemian z jednej drewnianej miski, której brzeg wciąż oblepiały zaschnięte jagły.

Cedric drgnął, wyczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Nie odstawił kubka, popatrzył tylko spod krzaczastych brwi. Dostrzegł błysk źrenic, krwawy w odblasku ognia.

Hugo Topornik już nie pił. Siedział wygodnie rozparty, z leniwym wyrazem rozmarzenia na twarzy. Spomiędzy kolan wystawało mu stylisko topora, które gładził powolnym ruchem. W półprzymkniętych oczach błyszczało wyzwanie. I nienawiść.

Stary zbrojny nie dał nic po sobie poznać. Pociągnął łyk wina, nie poruszył się nawet. Dureń, pomyślał tylko.

Przeczuwał, co się dalej stanie. Myślał wolno, jedynie gdy walczył, zmieniał się w śmiertelnie niebezpiecznego, choć mocno podstarzałego wilka, którego szybkości lepiej nie sprawdzać. Ale widział już w życiu sporo ludzi nieprzewidujących konsekwencji podjęcia złej decyzji. I znał swoją panią.

Po obliczu Hugona przebiegł skurcz. Obojętność starego dopiekła mu do żywego. I odczytał ją błędnie jako strach.

Powstał wolno, odrzucił z czoła pozlepiane, ciemne kosmyki, w świetle płomieni nie było widać siwizny. Potoczył dokoła wzrokiem.

– Słuchajcie – zaczął chrapliwie.

Nikt nie zwrócił uwagi. Bali się Hugona, ale na trzeźwo. Teraz tylko przeszkadzał, a w beczce skrobali już po dnie, ze świadomością, iż trunek rychło się skończy. Każdy chciał zaczerpnąć choć raz jeszcze. Nie był to najlepszy czas na przemowy.

Dotarło to do Hugona.

– Słuchać, hołota! – ryknął wreszcie wściekle.

Tym razem poskutkowało. Ten i ów zastygł z wzniesionym kubkiem, ktoś zaklął, bo wino wychlusnęło mu na kubrak.

– Słuchać, co wam powiem, kamraty! – Topornik mówił ochryple, lecz język nie plątał mu się wcale. Mógł dużo wypić, zanim dawało się po nim cokolwiek poznać.

Kamraci zaczęli w końcu słuchać, doszedłszy może do słusznego wniosku, że im wcześniej zaczniesz, tym wcześniej i skończy. Najemnik uśmiechnął się wreszcie obleśnie, zadowolony z efektu.

– Jesteście routiers? – zapytał kpiąco. – Wolni najemnicy?

– Hej! – rozległ się czyjś bełkotliwy głos, widać wolny najemnik wziął słowa Hugona za dobrą monetę.

Topornik skrzywił się, zmąciło mu to myśli. Zamilkł na chwilę, tylko wściekłość targała nim coraz bardziej.

– Gównu jesteście, nie routiers! – wrzasnął wreszcie zduszonym przez złość głosem. – A wiecie dlaczego? Bo jaj nie macie.

Zapadła chwilowa cisza, przerywana trzaskiem dopalających się polan. Po czym kompania zaszemrała, oburzona tak niecnym podejrzeniem.

– Nie macie! – Hugo triumfalnie popatrzył na kamratów. – A wiecie dlaczego? Bo baby słuchacie...

Nikt nie odpowiedział, ale ci wszyscy, którzy jeszcze nie padli, wlepili spojrzenia w Topornika. Wciąż milczeli.

Wielu z nich dobrze pamiętało zimne zielone oczy. Puste i bez wyrazu, kiedy rudowłosa kobieta powiedziała coś do mnicha, wiszącego ze skrępowanymi rękami na sęku jak wieprz do sprawienia. Nikt nie usłyszał cichych słów, zanim pchnęła sztychem w brzuch, aż nieszczęsny zakonnik zadrgał i stęknął, nie wydając więcej głosu ni jęku.

Pamiętali, jak Cedric i Hugon podrywali związanych, wybałuszających oczy nagich ludzi, rzucali ich przed nią na kolana, a potem jeden z nich chwycił za włosy i zadzierał głowę, odsłaniając bezbronne gardło.

Szybkie cięcie, słysząc było upiorny ni to skrzek, ni to charkot. Krew chlustała na szczupłe i wąskie dłonie, które ocierała niecierpliwym gestem, żeby rękojeść się nie ślizgała.

Następny.

Pamiętali i nie rozumieli, nawet oni, twardzi cottereaux, którzy sumienie znali jeno ze słyszenia. Nie widzieli celu, nie potrafili pojąć. Tylko ona potrafiła.

Wciąż milczeli.

– Baby słuchacie – szydził Topornik. – Tak, dziewczynki, może i wy zaczniecie dupy dawać?

Pogładził się po kroczu. Splunął, ślina, spadając, zalśniła krwawo w świetle dogasających już płomieni, które pełgały słabo nad przezartymi żarem polanami.

Trafił w czułą strunę. Zamroczeni winem, też mieli poczucie krzywdy. Przecież byli równi, każdy mógł przewodzić. Ot, choćby Hugo, zawsze to chłop.

– Słusznie prawi – burknął któryś pod nosem.

– Słusznie! – poparł go drugi, już śmielej. – Wstyd to dla chłopów, wiedźmie dać się wodzić, choćby i takiej.

– Spierdalaj, Hugonie...

Ten ostatni głos rozsądku utonął w narastającym szemraniu.

Jeszcze się bali. Ale rozwaga przytłumiona winem zamieniała się powoli w złość, bo wszak doznali ujmy na honorze. Bo jakże to tak? Jaj nie mają?

Topornik potoczył dokoła triumfalnym spojrzeniem. Czuł, że zaczyna wygrywać, że tym razem się uda. Napotkał wzrok Cedrika. Stary siedział wciąż nieporuszony, z kubkiem uniesionym do ust. Zmroziło to Hugona na krótko, lecz zaraz odegnał złe myśli. Ze starym sobie poradzi.

– Kto za mną? – spytał wprost.

– Przegnać wiedźmę! – odpowiedział mu przepity głos, jeden z kamratów już się zdecydował.

– Ubić! – dołączył następny.

Najemnik smakował chwilę zwycięstwa. Wypite wino rozgrzewało go, czuł się silny i niepokonany. A oni stanęli za nim, już był pewien.

Obleśny uśmiech rozpełzł mu się szerzej po twarzy, błyszczącej potem.

– Ubić? – spytał przeciągle. – Nie, kamraty, dajcie ją mnie, już ja kurwie pokażę...

Cedric odrzucił kubek, nie bacząc, że sporo jeszcze wina wychlusnęło na wysuszoną ogniem trawę. Wstał powoli.

– Miarkuj się – rzucił tylko. – Lepiej idź do zagrody i znajdź ceber z wodą.

Najemnik stropił się. Oczekiwał raczej, że stary rzuci się na niego. Na to był przygotowany, zaciskał dłoń na stylisku topora, wspartego żeleźcem o ziemię.

– Po co? – spytał głupio, zaskoczony.

Stary roześmiał się, aż poruszyły się jego siwe, zwisające wąsy.

– Wylej go sobie na łeb. Póki jeszcze masz na co wylać.

Śmiech gruchnął dokoła ogniska, kamraci tarzali się, poklepywali po plecach. Cedric przywrócił ich do rzeczywistości.

Najemnik stał przez chwilę, oszołomiony i wściekły. Zrozumiał, że ich traci. Zrobił krok w kierunku starego.

– Zamknij ryj, przydupasie! – ryknął, pryskając śliną. Uniósł topór, aż ostrze błysnęło czerwono. – Zamknij ryj, bo ci łeb rozwalę...

Odwrócił się. Lecz kompania już milczała.

– Śpisz w jej chacie, to jej bronisz! – Hugon spróbował jeszcze raz z determinacją i uporem. – Co takiego robi, że ci jeszcze staje? Dekokty ci wiedźma zadaje? Czy może...

– Zamknij się – przerwał stary ze znużeniem. – Póki jeszcze możesz, bo jak Wilczyca usłyszysz...

– Marion. – Głos dobiegł z ciemności, spoza kręgu światła rzucanego przez dogasające ognisko. – Zwą mnie Marion, nie zapominaj się, Cedriku.

Rozpacz i wściekłość przesłoniły Hugonowi oczy czerwoną mgłą. Porwał się, nie bacząc, że nikt za nim nie stanął. Nie spostrzegł nawet, jak stary wyprostował się służbiście, uśmiechając się drwiąco.

– Stawaj, wiedźmo! – parsknął Hugo i wzniósł topór. – Stawaj, obaczmy, kto lepszy!

– Czyżbyś miał wątpliwości? – Głos był zimny i cichy, ale usłyszeli go wszyscy. – Chcesz walczyć z babą? Z kurwą? Nie, mój drogi, nie stanę ci. To raczej tobie powinien stawać.

Ktoś zaśmiał się przy ognisku, krótkim śmieszkiem, który natychmiast zamarł.

– Stawaj! – powtórzył najemnik. – Mamy cię dość, wiedźmo!

Mrugał oślepiionymi ogniem oczami, poza kręgiem światła widział tylko ciemną, niewyraźną sylwetkę. Przeszedł go dreszcz, gdy przez mgnienie wydało mu się, że złowił błysk zielonych oczu. Ale wszystko przesłoniły latające przed oczyma czerwone plamy.

Nie widział, że kamraci odsuwają się, nikną w mroku, jakby spostrzegli na jego twarzy piętno morowej zarazy.

– Stawaj! – W okrzyku prócz wściekłości brzmiała już rozpacz.

– Nie – usłyszał tylko. – Szkoda, ale muszę cię zabić.

Przez tę chwilę, która mu pozostała, pomyślał jeszcze, co zrobi tej dziwce, kiedy ją dostanie w swoje ręce. Był oślepiiony, nie widział, jak bieleją palce zaciskające się na dźwigni spustowej kuszy.

Wciąż nie wierzył wiedźmie, nawet gdy szcęknęła zwalniana cięciwa.

Palce Hugona zaciśnięte na stylisku drgały jeszcze lekko, kiedy wyszła z mroku. Popatrzyła obojętnie na ciało, potem na starego zbrojnego, który stał nieopodal.

– Bawcie się dalej, chłopcy – rzuciła sucho i odwróciła się.

Zanim zniknęła w mroku, ognisko buchnęło płomieniem, ktoś dorzucił wiązkę chrustu. Panował coraz większy gwar, jakby nic się nie stało.

Dobry był kamrat z tego Hugona. Dzielnie stawał, a i wychłać potrafił. Szkoda, że głupi.

Topornik znieruchomiał już na dobre. Jego martwe oczy zezowały śmiesznie, jakby chciał się przyjrzeć dokładnie brzechwom bełtu sterczącego z czoła.

Blady wyrostek przypadł do zwłok, ostrożnie dotknął palcem lśniącego od potu policzka. Wyciągnął zza pasa zabitego długą rękawicę, zbrojoną metalowymi płytkami, i chlasnął z całej siły, raz i drugi.

Potem, na przemian łkając i śmiejąc się histerycznie, masakrował martwą twarz, aż głowa przetaczała się z lewa na prawo i rozpryskiwały się oderwane strzępy ciała.

Przy ogniu ucichło na chwilę.

– Zuch Wypierdek! – roześmiał się ktoś w końcu ochryple. – Wina mu dać!

Wina już nie było. I nikt nie zauważył zwinnego, czarnego kształtu, naznaczonego białymi plamkami, który przemknął cicho po krawędzi mroku.

Kaganek nie dopalił się jeszcze do końca, kiedy rzuciła kuszę na posłanie. Płomyczek filował już wprawdzie, ale knot wysysał jeszcze resztki oleju z glinianej miseczki. Kąty przestronnego szałas ginęły w mroku, cienie poruszały się na plecionych ściankach.

Marion stała chwilę nieruchomo, przymknąwszy oczy. Potem odetchnęła głęboko, przetarła twarz dłonią. Czas się położyć, pomyślała, dziś już żaden nie spróbuje.

Można się położyć, wtulić w skóry i spać. Z nadzieją, że tym razem nie nadejdą koszmary i zwidy, w których znajome twarze wynurzają się z mroku, skrzywione szyderczo lub ściągnięte bólem, spoglądające z wyrzutem albo z żalem. To twarze tych, których kiedyś kochała i którzy ją zostawili.

Można zwinąć się w kłębek. Objąć posłanie, bo przecież już nic innego nie pozostało do obejmowania. I czekać na koszmary. Były niezawodne, przychodziły zawsze.

Potarła jeszcze raz twarz, czując pod opuszkami palców bruzdy w

kącikach ust. Coraz głębsze.

Wygrała dziś, jeszcze miała siłę wygrywać, jeszcze chciała walczyć. Ale miała też świadomość przegranej.

- Miałeś rację, skurwysynu – szepnęła cicho. – Jestem starą wiedźmą.

Wiedziała, że dziś nikt się nie pojawi, żadnemu z kamratów nie przyjdą do głowy głupie pomysły. Choć pijani i rozochoceni, wspomną kompana, który chciał być sprytniejszy. Poczła lekkie ukłucie żalu. Niezły był Hugon Topornik. Szkoda, że właśnie tacy pierwsi stają okoniem, są zbyt ambitni, by się podporządkować. Trudno.

Odgarnęła z czoła włosy. Oczy ją piekły, jakby ziarenka piasku dostały się pod powieki. Od dymu, pomyślała. Albo od powstrzymywanych łez.

Nie pamiętała już, kiedy płakała ostatni raz. Już nie potrafiła. Łzy wyschły, skończyły się razem ze wszystkim.

Dość. Na koszmary przyjdzie jeszcze czas. Nie ma co ich przywoływać bez potrzeby, wypełzną niewzywane z mrocznych kątów, w ciszy przerywanej tylko oddechem i biciem serca. Nadejdą z chrobotem owadów, skrytych w ściankach szafasu, w poszumie wiatru w wyschniętym listowiu dachu.

Chciała tylko wślizgnąć się na posłanie, choć chwilę nie myśleć, utonąć na krawędzi snu, zanim pojawią się zmy. I znieruchomiała, wpatrzona w żółtozielone oczy, z wielkimi, okrągłymi w półmroku, ciemnymi źrenicami. Nieruchome i okrutne.

Odbicie jej własnych.

Znów trzasnęła sucha gałązka pod czyimś nieostrożnym stąpieniem. Wartownik poruszył się niespokojnie, usiłując przebić wzrokiem mrok. Za pierwszym, jeszcze cichym i odległym traskiem myślał, że mu się tylko zdawało. Przecież wiedział, że stoi tu bez sensu, przez szykany tego starego fiuta, jak go w myślach nazywał. Bo na głos by się nie ośmielił.

Ucichły dawno stłumione odgłosy pijatyki, przygasła łuna ogniska. Pechowy, bo podpadnięty kamrat dawno przestał przełykać ślinę na

samą myśl o obłych bokach baryłki. Już nie było sensu, zaległa cisza, to znaczy, że wychłali. Teraz mógł jedynie czekać, kiedy świt rozjaśni niebo na wschodzie, kiedy zaczną wreszcie coś widzieć poza jaśniejszą plamą nieba nad ścieżką, otoczoną czernią gęstwiny. Ocierał z twarzy opadającą rosę i klął w duchu kamratów moczymordów i starego Cedrika.

Nie mógł się zdecydować, czy owinać się derką i przespać choć trochę w krzakach. Sądził, że stary zbrojny, prawa ręka Wilczycy, też sobie podpił i nie będzie mu się chciało włóczyć po krzakach, gdzie można sobie oko gałęzią wybić albo w najlepszym wypadku nakapie rosy za kołnierz. Jednak bał się ciągle, nigdy nie wiadomo, co strzeli staremu do głowy. Nie miał ochoty na spędzanie kolejnej nocy w tym samym miejscu, zamiast w zacisznym szałasie. Albo kolejnych. Cedric nie grzeszył poczuciem humoru.

Mełł w ustach przekleństwa. To bez sensu, myślał, nikt tu się przecież nie będzie pałętał, teraz, w nocy. Nie pojawią się żołnierze ani rozwścieczeni najazdami i grabieniem wiosek chłopci, zbrojni w widły i cepy, by pomścić wychlane piwo, zarżnięty inwentarz czy w końcu zgwałcone córki i żony. Ot, najwyżej ktoś się zabłąka, jak onegdaj ów borowy.

Wartownik uśmiechnął się na samo wspomnienie. Wówczas też stał na warcie, Cedric coś go nie lubił. Ale nie sam, miał przy sobie kamrata, bardzo niecierpliwego i nieufnego człowieka, który obowiązki strażnika pojmował jak najdokładniej.

Wtedy noc była jasna, świecił księżyc, pomyślał, i przypomniał sobie z rozbawieniem, jak ucieszenie podskakiwał borowy ze strzałą sterczącą spomiędzy półdupków, zanim jeszcze druga, celniej mierzona, powaliła go na ziemię. Ale też nie było przecież żadnego niebezpieczeństwa, pijanego człeka słychać z dala. Szedł, zataczając się, całą szerokością ścieżki. Śpiewał nawet, jeśli te porykiwania można nazwać śpiewem. Jego jedyny błąd polegał na tym, że zaczął uciekać. Widać miał nieczyste sumienie.

Nagle wartownik poczuł, jak pod naciągniętym na oczy kapturem włosy stają mu dęba – usłyszał trzask i jakby zdyszany oddech. Zamiast o skradających się wrogach, pomyślał o tym wszystkim, co ponoć kryje się w ostępach Sherwood. O szkieletach jeźdźców na kościotrupach koni, których nadejście oznajmia z dala klekot suchych, okrytych zetląym

odzieniem żeber. O gryfach, wielkich na półtora chłopca, których nie oznajmia nic, bo potwory to ciche i przebiegłe. O druidach, gusła tajemne czyniących, do których niezbędną jest świeża krew, najlepiej chrześcijańska. O wilkołakach...

O wilkołakach nie zdążył już pomyśleć. Drżącą dłonią napiął łuk, czując pod palcami wilgoć nasiąkniętej rosą cięciwy, co nigdy dobrze nie wpływa na celność strzału. Wymierzył w niewyraźny kształt, który majaczył na tle nieba nad ścieżką, nieco tylko jaśniejszy od otaczającego mroku.

Wydawało mu się, że wymierzył. W ciemności nie widział czubka własnego grotu. W tym momencie znów trzasnęła gałązka. Poczuł, jak ciarki przebiegają mu po grzbiecie, nogi stają się ołowiane. Trzasnęła z tyłu, blisko.

W panice wypuścił strzałę, odwrócił się, by stawić czoło drugiemu wilkołakowi. Ze zduszonym, wysokim okrzykiem przestraszenia zmieszało się przekleństwo.

– Nie strzelaj, durniu – usłyszał kobiecy głos. Wartownik wypuścił łuk, czując ciepło rozlewające się po nogawicach.

W gęstwinie, na ścieżce, od strony obozu pojawił się błysk światła, zdający się płynąć w ciemnościach. Ktoś nadbiegał z pochodnią.

Po chwili Cedric stanął obok Marion, podał jej płonąca smolną gałąź, z której kapąły krople roztopionej żywicy. Dyszał ciężko, kiedy tu biegł, mało brakowało, a byłby rozbił głowę o pień.

Marion uniosła pochodnię, ruszyła ścieżką, niecierpliwym gestem odprawiając zbrojnego, który chciał podążyć za nią z obnażoną bronią. Nie był potrzebny. Nie wiedziała, skąd owo przeświadczenie, ale była pewna.

Krąg światła tańczył na piasku, w rozproszonym przez nie mroku widać było sylwetki jałowców, pnie rzucały długie cienie w głąb lasu. Odchodząc, słyszała, jak z tyłu przyciszonym głosem Cedric łąka wartownika.

Nie musiała iść daleko. Znalazła ją przycupniętą na skraju ścieżki, mrugając oczami, które raził blask pochodni. Wodziła przed sobą sztychem korda, chwiejącego się w uchwycie drżącej dłoni.

Dziewczyna, zrozumiała Marion i uśmiechnęła się, po raz pierwszy od długiego czasu. Bardzo brudna, bardzo podrapana i wystraszona. I bardzo ładna, spostrzegła po chwili. Wyciągnęła dłoń, pomogła jej wstać.

Szybki oddech dziewczyny uspokajał się powoli, zręcznie wsunęła kord do pochwy u pasa. Jej wzrok przyzwyczajał się do światła. Spoglądała na milczącą kobietę.

Gdy ta poruszyła głową, zamigotały srebrne nitki, którymi przetykane były rude włosy. Dziewczyna też się uśmiechnęła.

– Jesteś Marion – powiedziała.

Marion nawet się nie zdziwiła.

- VI -

Po pustaci wrzosowiska hulał wiatr.

Deszcz przyniósł nagły chłód, jakby jesień stała tuż za progiem, gotowa odrzeć drzewa z liści, zniszczyć drobne fioletowe kwiatki wrzosu, które nie zdążyły się jeszcze dobrze rozwinąć. Wiatr przeganiał niskie chmury, ciężkie i strzępiaste, niosące w sobie zapowiedź kolejnej ulewy.

Podmuchy świstały w szczelinach zwietrzałych megalitów, ogromnych bloków z szarawego wapienia, przechylonych, niekiedy wrośniętych głęboko w grunt. Zwieziono je przed stuleciami, nikt już nie pamiętał budowniczych, którzy zamysłili ułożyć głazy w krąg, wieńczący szczyt niewielkiego pagórka niczym szczerbata korona.

Na spękaną i kruchą powierzchnię kamienia wpełzały liszaje porostów, srebrzyste i kruche, wczepione w najmniejszą szczelinę. Z roku na rok pięły się wyżej, pokrywały kruszącą się powierzchnię, którą smagał wiatr i deszcz, a mrozy rozsadzały każdej zimy. Kiedyś wielkie megality rozsypią się w piasek, tylko nieznaczące wzgórki będą znaczyć zarys kręgu, aż w końcu i one znikną bez śladu. Ale na to potrzeba jeszcze lat, jeśli nie wieków.

Poranek wstawał szary i ponury, szarawy kamień lśnił wilgocią niesioną wiatrem, która wdzierała się wszędzie i przenikała aż do kości. Oparty o głaz człowiek otulił się płaszczem, objął ramionami, chcąc utrzymać jak najwięcej ciepła. I jak najdłużej.

Mimo zimna był szczęśliwy. Z każdym podmuchem wiatru czuł zapach rozkwitających wrzosów, woń nasiąkniętego kamienia. Nierówności głazu, o który opierał plecy. Chłód ziemi, na której siedział. To był jego świat. Wrócił do siebie.

Tylko po co, pomyślał Match. O celu przypominała natrętnie rękojeść miecza, obca w kształtach, uczyniona nieludzkimi przecież rękoma.

Położył na niej dłoń i pociągnął lekko. Metaliczny dźwięk był cichy,

lecz dosłyszalny, chociaż wiatr ciągle szumiał i poświstywał w szczelinach głazów. Nad pochwą w szarym świetle poranka błysnęła stal klingi.

Wysunął ostrze tylko na cal, może trochę więcej. Wystarczyło, by mógł ujrzeć wytrawione w jasnym metalu znaki, też obce i niezrozumiałe. Znaki Starszego Ludu, który wykuł tę broń w swoich kuźniach, ozdobił grawerunkiem o pięknych, lecz nieznanym liniach. A także napisem we własnym języku.

Match nie potrafił go odczytać. Nie miał żadnych wspomnień, które w tym by pomogły. Ale w kształtach znaków, układających się w obce sylaby, było coś znajomego.

Nie musiał rozumieć do końca. Znaki mówiły o powinnościach.

Zakrztusił się cichym śmiechem. Obcy nie obcy, pomyślał, ale cóż można wyryć na klindze broni? Tylko coś o honorze, o przeznaczeniu. O zapłacie i śmierci niechybnej, która spadnie na wrogów. W zasadzie przecież obojętne, i tak ważne jest ostrze, nie grawerunek.

To ostrze jest powinnością. I przeznaczeniem.

Rozjaśniało się nieco. Kontury głazów odcinały się ostro na tle mniej już pochmurnego nieba. Powietrze było przejrzyste, wiatr rozegnał resztki oparów unoszących się przed świtaniem z wrzosowiska, które ścieliły się teraz nisko nad ziemią i opalizowały w mroku perłową bielą. Ogromne kamienie otaczały Matcha zewsząd niczym groźne sylwetki, świadkowie zdarzeń odległych i tych przyszłych. Nie robiły na nim wrażenia. To miejsce było pomyłką, pustym znakiem, nieprowadzącym donikąd. Oszustwo pozbawione tajemnicy lub pozostałość szalonych nadziei, jak kto woli. Nie emanowało mocą, równie dobrze budownicowie, których kości już dawno rozsypały się w proch, mogli ustawić głazy o sto kroków dalej. Albo o milę, na jedno wychodziło. Ten kawałek wrzosowiska nie różnił się niczym od innych, równie dobrych, a raczej równie złych. Krąg megalitów nie oznaczał wrót światów. Nie oznaczał nic.

Niegdyś wszakże był ważny, Match wiedział, że jego losy rozstrzygnęły się kiedyś w kręgu tychże właśnie głazów. Właśnie tutaj został zdradzony i sprzedany. I tutaj też zaprzysiął zemstę.

Skrzywił się. I jak ostatni idiota tu właśnie odkryłem wrogom swe

zamiary, pomyślał. Szydziłem z nich, nie wiem, z triumfem czy ze wstydem, zamiast dobić do końca. I wielu ludzi zginęło przez moją pychę i głupotę, przez chęć pokazania, kto jest górą. Wielu jeszcze zginie.

Wiedział, że gdyby świat był sprawiedliwy, musiałby zapłacić za wszystko, za głupotę i pychę. I chęć odegrania się za lata cierpień i poniewierki. Za zawiedzione nadzieje.

I wiedział też, że nikt nie oczekuje zapłaty. Bo świat nie jest sprawiedliwy, o tym zdążył się przekonać.

Wstrząsnął nim dreszcz. Resztki ciepła odchodziły, wysysane podmuchami wiatru. Teraz Match mógł tylko ogrzać się wspomnieniem futrzastego, mruczącego kłębka, który przylegał do piersi, kiedy o zmroku on układał się skulony na rozpostartym płaszczu.

Kłębek zniknął wcześniej w nocy, nie budząc go nawet. I tak nie nadeszły sny, było tylko ciepło i kojące mruczenie. Nie widział burzy czarnych włosów i spojrzenia żółtawych oczu, nie czuł miękkiego dotyku gładkiej skóry. Nie można przecież spodziewać się więcej, kiedy śpi się ze zwykłym kotem.

Rozejrzał się, w nadziei, że może dostrzeże czarne futerko z białymi plamkami.

– Gdzie się włóczysz, zarazo? – rzucił niemal z wyrzutem.

Niecierpliwił się już, chciał wreszcie ruszać. Chociaż zupełnie nie miał pomysłu, dokąd. Cel był jasny – zabić ich wszystkich. Uchronić obcy świat, on nie był dla ludzi. Wypełnić wolę ojca.

– Pierdolić obcy świat – wymruczał, usiłując otulić się dokładniej płaszczem.

Był szczery. Potrafił już przyznać, że pragnie jedynie zemsty. Zrozumiał, że całe życie walczył o mrzonki. Choć nie chciał przecież walczyć, stał się tylko narzędziem, użytym przez własnego ojca do jego celów. Teraz wiedział, że wszystko było ułudą i rojeniami, Carmantheana, jego poprzedników i następców. Nie ma dokąd uciekać, nie ma czego ratować. Tamten świat jest obcy, wszystkie inne też. Nie jest nasz.

Match, druid, uśmiechnął się krzywo. Trzeba odejść, wymrzeć, zostawić miejsce innym. Tu, w naszym świecie, i tam, bo to ich świat. Nie

ma czego ratować. Nie warto.

Trzeba odejść. A niektórym trzeba pomóc odejść. Zabić ich wszystkich.

Pozostawał jeden problem – kim są ci wszyscy.

Wiatr przycichał, gdy niewidoczne, przesłonięte chmurami słońce wzniosło się wyżej. Wrzosowisko zamknięte na horyzoncie siną wstążką lasu nie falowało już. Zrobiło się cieplej.

Za to zaczął siąpić deszcz. Drobnym niczym jesienny kapuśniaczek, niczym mgła niesiona wiatrem, bardziej osiadał na wszystkim, niż tworzył krople. U schyłku lata raczej należałoby spodziewać się ulewy.

Match podniósł się, stęknął, gdy chrupnęło mu w kościach. Stuknął pięścią w śliską od deszczu, zimną powierzchnię głazu.

Niecierpliwił się. Właściwie niecierpliwił się już od dawna, teraz poczuł, że musi dać temu upust. Gdzie ten pieprzony kot? – pomyślał.

Poczuł się nagle zamknięty pomiędzy wyniosłymi głazami jak w klatce. To było przekłete miejsce. Bez mocy, bez magii. Skażone oszustwem czy też szaloną nadzieją, co przecież nie różni się wiele. Bo i nadzieja zwykle okazuje się mrzonką i kłamstwem.

Tu go sprzedano, kiedy przestał być użyteczny. Wiedział o tym, z wizji Jasona, z opowiadań szeryfa. Tu, w tym kręgu doszło do targu, który wszak niczego nie zmienił. Powinności i szalone nadzieje zostały.

Ona przy tym była. Match ogarnął wzrokiem zamykające go w ciasnym kręgu, przesłaniające horyzont megality, stare jak marzenia, które spowodowały to wszystko. Ciekawe, pod którym głazem siedziała, w którego cieniu skryta obserwowała zawarcie umowy.

Poczuł ukłucie bólu, wciąż tak samo silne jak zawsze, kiedy myślał o niej. Teraz wspomniął ją taką, jaka była kiedyś, młoda i piękna, daleka i nieosiągalna.

Nadal jest młoda, przemknęło mu przez głowę, nadal jest piękna.

I wciąż nieosiągalna.

Chciał przywołać w pamięci tę krótką chwilę, kiedy odnaleźli się po latach, złych i pustych. Krótką noc na polanie, gdzie zwieszały się grube, powęźlone gałęzie dębu, szeleściły pozwijanymi, późnojesiennymi liśćmi. Chciał ujrzeć suchą, chrzęszczącą pod stopami trawę, dym tłącego się ogniska, który ścielił się nisko nad ziemią, snuł i wyginał w fantastyczne kształty. Poczuć ciepłą miękkość warg, twardość sutków.

Ujrzał tylko, jak wiatr rozmiatał szary popiół wygasłego ogniska, rozwiewał unoszący się nad nim wąty szary dym. Wspomniał błyszczącą srebrem rosę na szarej, zeschniętej trawie.

Zostawiłem ją wtedy, pomyślał. Nie odnaleźliśmy tych lat, nie skorzystaliśmy z szansy. Nie potrafiliśmy oboje splunąć w ślepią przeznaczeniu.

Niech diabli porwą ten świat, powiedziała wówczas. Ten, i jeszcze inny, dodał teraz, niech go sobie zabiorą.

Oparł czoło o chłodny, wilgotny kamień. Chciał ze wszystkich sił przywołać inne obrazy, krótkie chwile szczęścia, ostatnie, jakie pamiętał. Nie mógł. Widział pobielające kostki palców dłoni, dociągającej cięciwę do twarzy, białe lotki muskające wargi, skrzywione w złym uśmiechu. I spojrzenie zielonych oczu, które odbierało mu całą wolę.

Ty to widziałaś, mała, myślał mozolnie, wspierając czoło o twarde, obojętne wapienie. Ty zesałaś mi tę wizję, mały czarny kocie. Skąd wiedziałaś?

Prawda, zaglądałaś w moje sny. We wszystko, co tylko wyśniłem i co jest prawdą. Tak będzie.

Cętki światła, przefiltrowanego przez liście szałasu, tańczące na nagiej skórze. Drobne białe zęby przygryzają dolną wargę. Pewnie krzyczy, jej palce zaciskają się na ramionach mężczyzny, paznokcie wpijają w skórę. Kasztanowate włosy pachną lasem i przestrzenią.

A tak było. Domysły, które stały się pewnością.

Match odepchnął się od kamienia, wyprostował, wpatrując w popękana i pożyłkowana, lśniąca wilgocią powierzchnię. Na rozpalonej twarzy osiadały drobniutkie kropelki deszczu.

Dość.

Coś otarło się o cholewę buta, przypadło do łydki z cichym,

przepraszającym miauknięciem. Match potrząsnął głową, przywrócony do rzeczywistości.

Schylił się i wziął na ręce małe, zwinne ciało, okryte zmierzwionym teraz i mokrym futerkiem. Pogładził łeppek.

– No i gdzie się włóczyłaś? – odezwał się szorstko, jakby chcąc ukryć radość. – Niepokoiłem się o ciebie.

Zamruczała, poczuł, jak pazury wbijają mu się w ramię przez grubo tkany materiał. Wiedział, że to była pieszczota.

– To nie twój świat, mała – powiedział cicho. – Musisz uważać. Tu są psy, wilki. I ludzie, tak jak i tam.

Wspięła mu się na ramię, otarła policzkiem o jego policzek. Uśmiechnął się, połaskotany wąsami.

– Wiem, kochasz mnie – powiedział, poważniejąc. – Żywy dowód na to, że koty głupieją w tym świecie.

Postawił ją na ziemi, ignorując pełne urazy miauczenie.

Przerzucił przez ramię pas z mieczem, podniósł sakwę z mizernymi zapasami. Był gotów.

Nie wiedział wprawdzie, dokąd iść, ale w końcu każdy kierunek był dobry. Ruszył, nie oglądając się więcej na krąg megalitów, w którym tak wiele się zaczęło. Miał przeczucie, że i wszystko tu się skończy.

Pomyślał przelotnie o Jasonie, pozostawionym w tamtym świecie, o niezdarnym olbrzymie. Był zły na siebie, nie poczuł żalu, pierwsza myśl, która mu się nasunęła, to taka, że Jason by się przydał. Nic więcej.

Kotka stała jeszcze chwilę, koniuszek jej ogona zataczał coraz szerszy łuk. Nie umiała już nic powiedzieć. Ale ze spojrzenia szeroko otwartych oczu, przekreślonych pionowymi źrenicami, Match mógłby wiele wyczytać. Gdyby się obejrzał.

Kocham cię, durniu. A ty masz o co walczyć, jeszcze masz. Lecz jak zwykle idziesz w niewłaściwą stronę.

- VII -

*Witches gather at black masses
Bodies burning in red ashes
On the hill the church in ruin
Is the scene of evil doings
It's a place for all bad sinners
Watch them eating dead rats' innards.
I guess it's the same, where ever you may go
Oh lord yeah
[...]
On the scene a priest appears
Sinners falling at his knees
Satan sends out funeral pyre
Casts the priest into the fire
It's the place for all bad sinners
Watch them eating dead rats' innards
I guess it's the same, where ever you may go
Oh lord yeah*

Black Sabbath, *Walpurgis*

Zniszczycie doszczętnie wszystkie miejsca, gdzie narody, których wy pozbawicie dziedzictwa, służyły swoim bogom: na górach wysokich, na wzgórzach i pod każdym drzewem zielonym. Wywróćcie ołtarze, połamiecie ich stele, aszery ich ogniem spalicie, porąbacie w kawałki posągi ich bogów. Zniweczycie ich imię na tym miejscu.

Jason zaklął tylko pod nosem, kiedy musiał w końcu wstać z miękkiego mchu. Leżało mu się tak dobrze, zwłaszcza kiedy uniósł w górę obolałe stopy. Mógłby tak leżeć bez końca, jednak zdawał sobie sprawę, że najwyższy czas znaleźć jakieś ludzkie osady. Sami w puszczy nie mieli żadnych szans na przetrwanie zimy, ta zaś nadchodziła wielkimi krokami. Dni były coraz krótsze, a rankiem zszarzałe trawy pokrywał szron. Drzewa nie cieszyły już oczu feerią barw od żółci do czerwieni. Liście opadały i coraz grubszą warstwą zaścielały poszycie.

Na szczęście wciąż nie łąpał silniejszy mróz, lecz nie mogli już nocami obywać się bez ognia. Ciemności przeczekiwali zakutani w śmierzące i niewyprawione skóry, które pochodziły z ostatnich polowań. Dzikie skóry były ciężkie i porośnięte twardym włosiem. Ale nie mieli innego okrycia, które mogliby ze sobą zabrać.

Jason w końcu usiadł. Wciąż odwlekał chwilę, kiedy będzie musiał stanąć na obolałych nogach. Wiele jednak wskazywało, że wkrótce długa wędrówka się skończy. Wreszcie nie musieli przedzierać się przez puszcę w kierunku wskazanym z grubsza, na przełaj przez wykroty i bagniska, byle tylko nie zboczyć. Znaleźli ścieżkę, różną od tych, którymi do wodopojów ciągnęła zwierzyna. Była szersza, niewątpliwie wydeptała ją ludzkie stopy. Ktokolwiek nią chodził całkiem niedawno, poprzycinał nawet zwisające gałęzie, by człowiek mógł iść wyprostowany. Ponieważ ślady cięć były dość świeże, Jason przypuszczał, że ze ścieżki korzystali myśliwi jeszcze tego lata. Bardziej obeznany z puszczą Basile potwierdził jego przypuszczenia.

Dziś z rana, po kilkunastu dniach wędrówki, ścieżka doprowadziła ich wreszcie do traktu. Ile dokładnie było tych dni, Jason już nie wiedział. Stracił rachubę, tak były podobne do siebie, wypełnione zmęczeniem, a pod koniec dał im się we znaki głód. Zapasy kończyły się, ileż bowiem można zabrać ze sobą wędzonego mięsa. Chude i twarde jak rzemień skrawki, bardziej ususzone niż uwędzone, były jedynym jadłem, które udało im się zgromadzić. Ale teraz zostało tylko kilka brunatnych

pasków pokrytych białawym nalotem pleśni. Jason obawiał się, że jeśli wędrówka potrwa dłużej, będzie z utęsknieniem wspominał ich smak.

W lesie nie znaleźli niczego, nawet orzechów. Nie polowali, gdyż im dalej odchodzili od chaty i swojego znanego już matecznika, puszcza zdawała się jeszcze bardziej wymarła. Nawet ptaki coraz rzadziej oznajmiały skrzeczeniem swą obecność.

Aż wreszcie napotkali szeroki trakt, ze śladami kolein. Wiódł w jak najbardziej właściwym kierunku, dokładnie tam, gdzie rankiem nad koronami drzew ukazywał się blady dysk jesiennego słońca. Wraz ze znalezieniem gościńca odeszło przynajmniej z wątplenie, które ostatnio coraz częściej towarzyszyło Jasonowi.

Nie ufał kobiecie Starszego Ludu, która wskazała im drogę. Nie mógł ufać, miał bowiem wrażenie, że zabrała mu część pamięci. Pozostały tylko nakazy i polecenia. "Idź do wschodzącego słońca, tam znajdziesz swoich. Spiesz się. Jeśli nie dojdiesz, zginiesz. Zginiecie obaj".

Potań w zamyśleniu brodę. Nie zwracał uwagi na przynaglające spojrzenia Basile'a. Olbrzym był wyraźnie rozdrażniony, co wprowadzało Jasona w kiepski nastrój. Młodszy i silniejszy chłopak o wiele lepiej znosił trudy wędrówki. Ale najbardziej irytujące było, iż nie krępował się okazywać zniecierpliwienia. Basile się zmienił, zrozumiał Jason. Może niekoniecznie na lepsze.

Jason wstał ze stęknieniem. Zignorował wyciągniętą pomocną dłoń. Basile burknął coś pod nosem, po czym bez słowa ruszył pierwszy, nie oglądając się już. Jason powoli poczłapał za nim. Chciał pomyśleć spokojnie, znowu miał wrażenie, że coś istotnego mu umyka. Coś, co było związane z kobietą Starszego Ludu.

Basile wysforował się do przodu, jak zwykle gdy chciał okazać dezaprobatę. Szedł lekko i bez wysiłku, mimo iż niósł większość ich mizernego dobytku, ciężkie skóry i jeszcze na dodatek własny dwuręczny miecz. Jason wiedział, że olbrzym mógłby, nie zatrzymując się, maszerować tak do zmięchu, a potem, zrzuciwszy swe brzemie, nakryć się skórą i przespać kamiennym snem do rana. To Jason opóźniał marsz, musiał zatrzymywać się i odpoczywać, a w nocy źle znosił chłód. Często się budził, by dorzucić do ognia.

Za stary jestem na to wszystko, pomyślał ze złością, przyspieszając

kroku. Trakt zakręcał lekko i Basile zniknął mu już prawie z oczu. Jason nie chciał krzyknąć za nim, by zaczekał, ani narażać się na kolejne gniewne burczenie. W ogóle ten młot staje się bezczelny, przemknęło mu przez głowę. Do czego to dochodzi? Za dobry byłem, rozpuścił się, tak już jest, kiedy potraktuje się takiego na równi ze sobą.

Zaraz zaklął pod nosem. Wspomniał kosze jada, które chłopak przywiózł, gdy pierwszy raz wyruszył ich śladem, w nadziei, że przyjmą go do kompanii. Jason zdziwił się mimochodem, jak odległe wydają się te wspomnienia, jak zbladły już, stały się nieważne. Ale pozostał wstyd, że oto teraz nie wie, czemu czuje się lepszy od chłopaka.

Postanowił jednak zawołać. Trudno, pomyślał, niech Basile znów marudzi pod nosem. Nie chodziło tylko o to, by zwolnić tempo marszu, narzucone przez olbrzyma. Od rana, odkąd znaleźli trakt, Jasona gnębiły jakieś przecucia. Nawet nie przecucia, raczej niejasne wspomnienie. Męczyło go od paru dni i zawsze w końcu umykało, zanim potrafił zrozumieć.

Aż się potknął, kiedy nagle do niego dotarło. To było ostrzeżenie.

Nadal nie pamiętał dziwnej rozmowy z obcą kobietą, zatarła mu się w pamięci jej prawdziwa twarz. Przypominał sobie tylko maskę iluzji, za którą się skryła. Nie miał wątpliwości, że właśnie ona, w imię niepojętych celów, tak postanowiła. Przekazała, co miała do przekazania, i odeszła, zostawiając ich ogłupiałych. Mieli pamiętać tylko to, co nakazała.

Jasonowi przychodziły czasem do głowy ponure myśli, że w ogóle wszystko było iluzją. Może nawet tworem jego własnego umysłu, kolejną wizją, której tym razem nie potrafi odróżnić od jawy. Ale czymkolwiek była, posłuchał jej. Inaczej pozostawałoby tylko beznadziejne oczekiwanie w zrujnowanej chacie, w środku obcej puszczy.

Przyspieszył kroku. Właśnie chciał zawołać, kiedy zauważył, że Basile, który był już daleko za zakrętem, nagle stanął. Chłopak rzucił na ziemię tobołki i uniósł rękę w ostrzegawczym geście.

Jasona dzieliło od niego kilkadziesiąt kroków. Kiedy też się zatrzymał, ustał chrzęst podeszew na żwirze gościńca. Martwą ciszę puszczy zakłócał teraz tylko jego przyspieszony, świszczący oddech.

Basile płynnym ruchem zdjął z ramienia ciężki dwuręczny miecz. Klinga błysnęła w mdłym świetle słońca.

Jason nie czekał na kolejny znak. Puścił się biegiem ku chłopakowi. Był bezbronny, jeśli nie liczyć kija, podróżnego kostura wystruganego z solidnego, młodego dębczaka. Wolał nie zostawać dłużej sam.

Olbrzym nie obejrzał się nawet, gdy Jason stanął za nim, dał tylko znak wolną ręką, by pozostał z tyłu. Ich oddechy w zimnym powietrzu rozwiewały się jasnymi obłoczkami, prześwietlonymi słońcem. Pot parował z nagich ramion Basile'a. Jak zwykle chłopak został w swoim kubraku bez rękawów, kiedy zgrzał się w marszu. Mięśnie przedramienia nabrzmiały mu pod skórą, gdy wodził przed sobą sztychem miecza, który trzymał pozornie bez wysiłku w jednej ręce.

By cokolwiek zobaczyć, Jason, nie bacząc na nic, wysunął się do przodu. Wiedział, że byle głupstwo nie powinno wystraszyć Basile'a. Pomyślał przelotnie, że to nie tyle odwaga, ile po prostu brak wyobraźni.

– Nie leż pod ostrze – ostrzegł chłodno olbrzym.

Wskazał sztychem coś na samym środku traktu. Jason spojrzął i poczuł, jak po krzyżu przebiega mu zimny dreszcz.

Na skotłowanym żwirze spoczywało niewątpliwie ludzkie ciało. Świadczyły o tym resztki odzienia i trzymające się jeszcze na nogach długie buty. Reszta przypominała jako żywo widok, który można zobaczyć wkrótce po świniobiciu. Najbardziej w oczy rzucały się sinawe wnętrzności, wywleczone z rozprutego brzucha.

Basile powoli ruszył. Wciąż rozglądał się uważnie i wodził dokoła sztychem. Jason postępował za nim, krok za krokiem na ugiętych nogach, sprężony do skoku. Odniósł nagle wrażenie, że porusza się w gęstej smole. Czuł, jak włosy jeżą mu się na karku i potylicy.

Chłopak przystanął, kiedy nastąpił na pierwszą krwawą plamę. Zakrzepła już krew wsiąkła w gościniec, zlepiła piasek i żwir w czarne grudy. Ruszyli dalej, aż w końcu stanęli nad ciałem.

Jason nie wiedział, co mogło zabić nieszczęśnika. I nie chciał się nawet domyślać, zobaczywszy, co z niego zostało.

Zrobił krok, gdy coś brzęknęło pod podeszwą. Jason drgnął, trącił noskiem buta krótki kord.

– Miał broń – ochryple.

Basile rozglądał się. Kosmyki włosów lepiły mu się do spotniałego

czoła. Chwilę trwało, zanim odpowiedział.

– I głównie mu to pomogło.

Jason nie mógł odmówić słuszności rozumowaniu Basile'a. Czujnie przepatrywał las, który jak na złość akurat w tym miejscu był niezłe podszyty. Zarastały go gęste jałowce, trudno więc było sięgnąć wzrokiem dalej.

Jason wciąż czuł, jak mrówki spacerują mu wzdłuż krzyża. Tym zwawiej, że właśnie zauważył, iż wywleczone z otwartej jamy brzucha sine jelita są wciąż ciepłe. Parowały w chłodnym powietrzu.

Kiedy poczuł, jak zbiera mu się na mdłości, przełknął z trudem ślinę.

– Zabieramy się stąd – powiedział ochrypłym szeptem, jakby obawiał się, że ktoś lub coś może usłyszeć. – Nic tu po nas.

Przetarł spotniałe czoło.

– Nie wiem, kurwa, co go zabiło, i chyba nie chcę wiedzieć. Ale może tu wrócić.

I właśnie wtedy wróciło.

Jason nie pamiętał później, co usłyszał najpierw – trzask łamanych gałęzi czy ryk. Być może rozległy się jednocześnie.

W pierwszej chwili nie wiedział, skąd dochodzi hałas. Zdrętwiał momentalnie, nie mógł nawet się poruszyć, sparaliżowany strachem. W oczach mu pociemniało, następne co zobaczył, to drobne kamyki i ziarna żwiru tuż przed oczyma. Błysnęła rozpacзлиwa myśl, że już po nim. Czekał na ostateczny ból, kiedy coś rozszarpie mu brzuch, a potem na błogosławioną ciemność. Chwilę trwało, zanim dotarło do niego, że wciąż żyje i nie słyszy już niskiego ryku, tylko wściekłe syczenie.

To Basile, zrozumiał. Odepchnął mnie, żeby mieć czyste pole do cięcia. Ostrożnie podniósł głowę i zaraz ją opuścił. Wystarczyło mu to, co zobaczył.

Potwór przypadł do ziemi na skraju gościńca. Nie skoczył od razu, powstrzymany błyskiem długiej klingi albo po prostu zdziwiony, że ktoś

mu się przeciwstawia, zamiast rzucać się do beznadziejnej ucieczki. Syczał tylko wściekle jak kocur zagnany w kąt.

Jak kocur, ale wielkości cielaka. Nawet podobny nieco do rysia – krępy, masywny, z pędzelkami na końcach uszu, położonych teraz i przylegających do czaszki. Monstrualnych rozmiarów kły zachodzące na dolną wargę sięgały daleko poza brodę monstrum. Były umazane lepką czerwienią, a do jednego przywarł sinawy strzęp.

Jason zauważył wszystko w krótkiej chwili, zanim znów zamknął oczy, walcząc z odruchem osłonięcia głowy ramionami. Poprzez syk potwora usłyszał chrzęst żwiru. To Basile zachodził z boku, starając się wejść między upiorne zwierzę a Jasona, by osłonić współtowarzysza przed atakiem. Miecz trzymał już oburącz, ostrzem skierowany w dół, tak jak go niegdyś nauczono. Zupełnie jakby miał przed sobą nie bestię z innego świata, ale rycerza uzbrojonego jak on sam. Błyszcząca klinga chwyciła promienie słońca. Odbijała je, co wyraźnie denerwowało potwora. Syczał coraz głośniej, jego skóra lekko drgała na bokach.

– Zbieraj się – Basile nie podniósł głosu, ale Jason usłyszał go wyraźnie. – Kiedy skoczy, uciekaj.

Dokąd? – przemknęło Jasonowi przez głowę. I jak daleko, zanim zdąży cię załatwić? Jednak posłusznie skinął głową, choć Basile i tak nie mógł tego zobaczyć, gdyż wzrok wciąż miał utkwiony w przekrwionych ślepiach potwora.

Jason powoli uniósł się na czworaki. Przed sobą widział teraz nogi chłopaka, ugięte i szeroko rozstawione. Syk zwierza przeszedł w niski ryk. Zaraz zaatakuje, nie zdążę, pomyślał Jason z rozpaczą.

Bestia skoczyła. Jason jeszcze nie zerwał się na nogi, kiedy ujrzał, jak płowa masa odrywa się od ziemi. Pozostał na klęczkach, Basile zaś opadł na prawe kolano, jednocześnie podrywając oburącz ostrze we wspaniałym cięciu ukosem od dołu.

Cios trafił. Impet potwora zakręcił chłopakiem. Szczęśliwie, bo mógł on teraz pociągnąć klingę, tnąc brzuch lecącej jeszcze w powietrzu bestii. Na twarz Jasona chlusnęła gęsta posoka. Coś rozpędzonego i cuchnącego zaledwie otarło się o niego, ale tak, że aż odrzuciło go na bok. Na moment przestał widzieć cokolwiek, dobiegł go tylko bolesny charkot i głośny wrzask Basile'a:

– Kurrrwa!

Jason słyszał, jak coś się szamocze, w policzek uderzyły go ostre kamyki. Wreszcie wszystko ucichło.

Po dłuższej chwili dotarło do niego, że i tym razem przeżył. Wielki dwuręczny miecz chwiał się jeszcze, gdy Jason przetarł zalane juchą oczy. Ostrze przeszło kark bestii, przygwoździło ją do twardej ziemi traktu. Po płowej skórze grzbietu przebiegały wciąż skurcze, coraz słabsze, aż w końcu zupełnie ustały. Jason z trudnością wstał i nawet przeszedł parę kroków, zanim nogi odmówiły znów mu posłuszeństwa. Usiadł ciężko na gościńcu.

Basile ocierał zakrwawioną twarz. Oddychał z wysiłkiem, mrużąc coś pod nosem. Jason nie rozumiał.

– Co mówisz? – wychrypiał i odkaslnął.

Chłopak pokręcił głową.

– Taki duży, a taki głupi – powtórzył z niedowierzaniem, już wyraźniej.

Zupełnie jak ty, chciał odpalić Jason, ale w porę ugryzł się w język. To nie była dobra pora na złośliwości. Po raz któryś z rzędu zawdzięczał życie mrukliwemu olbrzymowi. Ale strasznie chciało mu się śmiać, aż był zły na siebie. Nie znosił takich nerwowych reakcji.

– Skoczył prosto na sztych – dziwował się dalej Basile. – Już myślałem, że po nas... Ciężki skurwiel, nie dałbym rady...

Jason rozumiał, że naprawdę sprzyjało im szczęście. Gdy pomyślał, że potwór mógł skoczyć na nich od tyłu, kiedy skradali się do zmasakrowanego ciała, przeszedł go zimny dreszcz. Nie mieliby szans.

Zwierz posilał się, gdy go spłoszyli. Jason przypomniał sobie, że Basile miał denerwujący zwyczaj pogwizdywania jednej i tej samej melodii w czasie marszu. To nas uratowało, uświadomił sobie teraz, w przeciwnym razie wleźlibyśmy na niego za zakrętem, zupełnie niegotowi. Basile nie miały czasu nawet dobyć miecza.

Chwiejnie podszedł na skraj traktu. Zerwał wiecheć suchej trawy i począł ocierać twarz. Miał nadzieję, że znajdą niebawem jakiś strumień, będą mogli się obmyć. Jucha potwora cuchnęła ostro, może to tylko wyobraźnia, ale Jason czuł nieznośny smród piżma.

– Chodźmy stąd – powiedział wreszcie, widząc, jak Basile spogląda na truchło. – Może ich tu więcej...

Chłopak odpowiedział śmiechem i nawet się nie odwrócił. Jason zdał sobie sprawę, że to reakcja po walce. Czuje się teraz najsilniejszy na świecie, nic go nie przestraszy. Pora się zbierać, zanim wpakujemy się w następne kłopoty, pomyślał Jason nie bez obawy.

Basile na szczęście nie posłuchał, kiedy Jason przynagłał go, by jak najszybciej ruszyli w drogę. Oglądał martwe zwierzę, jego długie pazury i monstrualne kły. Zwłaszcza te drugie zaciekały go szczególnie.

Długo kombinował, jak zabrać je ze sobą. Początkowo zamierzał odciąć cały łeb bestii, jednak Jason stanowczo zaprotestował. Rozżalony Basile odparł wtedy ostro, że bez kłów nigdzie się nie ruszy, a Jason może iść sam, gdzie go oczy poniosą.

Jason patrzył zrezygnowany, jak olbrzym, umazany we krwi po łokcie, próbuje dłubać nożem w szczękach potwora. Nie szło. W końcu zniecierpliwiony uderzył kamieniem i kieł pękł niczym szkło zaraz przy nasadzie. Z drugim poszło równie łatwo.

Zęby bestia miała imponujące. Długie prawie na dwie dłonie. Kiedy Basile otarł je z krwi, błysnęły bielą. Były gładkie, a ich wewnętrzna krawędź ostra niczym nóż.

Jason znalazł w swoim tobołku kawałek rzemienia. Związał nim kły, które olbrzym zawiesił sobie dumnie na szyi.

Nazwał Basile'a pogromcą bestii, śmiejąc się pobłaźliwie, a ten nadał się cały z dumy. Znów był dawnym, prostym chłopakiem, niewydarzonym zbójem.

Przestało być śmiesznie, kiedy dotarli do osady.

Okazało się, że jest już niedaleko. Wkrótce za zakrętem, na którym dopadł ich potwór, las zaczął się przerzedzać. Minęli starą porębę, tu sterczące pniaki były spróchniałe i poczerniałe, między nimi panoszyły się młode, kilkuletnie brzoźki. Potem przekroczyli mostek z bali nad strumieniem, w którym Jason obmył twarz i ręce. Pozbył się wreszcie

piżmowego odoru.

Las skończył się może o staję dalej. Wyszli na ugory, porośnięte trawą i chwastami, które falowały w podmuchach wiatru. Pustka ciągnęła się aż po horyzont, gdzie majaczyła ledwie widoczna, samotna sylwetka wieży strażniczej.

Dopiero później Jason zdał sobie sprawę, jak wiele mieli szczęścia, napotykając potwora. Owszem, mogli zginąć, niewiele przecież brakowało. Ale gdyby nie bestia, zginęliby później. Dla ludu zamkniętego w warownej wiosce, otoczonej ugorami zarosłymi chwastami i burzanem, byli obcy.

Obcych się zabija bez zadawania zbędnych pytań. Jason zaczynał już pojmować sens ostrzeżenia, które przekazała kobieta Starszego Ludu. Brzmiało ono: "Idziesz między swoich, dlatego uważaj".

Chrapliwy jęk rogów rozchodził się daleko w mroźnym powietrzu. Słońce już zachodziło. Czerwony dysk znikał za horyzontem, dziwnie spłaszczony, przekreślały go ciemne smugi obłoków. Krwawa poświata zwiastowała nadejście chłodów.

Niewidoczni strażnicy w drewnianej czatowni na wałach byli czujni. Rogi odezwały się, zanim jeszcze Jason mógł rozróżnić szczegóły. Zarys osady był niczym ciemny, górski masyw, zwieńczony koroną wałów i szczytami strzech. W niskiej i chrapliwej melodii rogu brzmiało coś takiego, że Jason zwolnił, czując nagły chłód.

Ostrzegawczy dźwięk rogów zamilkł dopiero wtedy, gdy podeszli na tyle blisko, by ujrzeć zamkniętą na głucho bramę z potężnych bali i najeżony zasiekami wał z rzadkim ostrokołem. Nie mogli dostrzec nikogo. Wieża pod stromym dachem krytym gontem miała tylko wąskie szczeliny strzelnic, ciemne i skrywające wszystko we wnętrzu.

Zatrzymali się przed mostem nad rowem okalającym osadę. Jason nie wiedział, co dalej. Nikt nie pojawił się na wałach, nie wykrzyknął zwyczajowych pytań, kim są i po co przychodzą.

Poczuł niepokój, spoglądając w czarne szczeliny strzelnic. Basile

trącił go w rękę. Kiedy chłopak wskazywał na wały, twarz miał jak zwykle bez wyrazu. Jason dopiero teraz zauważył, co było zatknięte na palach ostrokołu.

Nie usłyszał szczęku zwalnianej cięciwy ani świstu pocisku. Wiedziony instynktem rzucił się w bok, kiedy kątem oka dostrzegł w ciemnej strzelnicy jakiś ruch. Bełt wbił się w ziemię dokładnie w miejscu, gdzie przed chwilą stał.

Jason przeturlał się po ziemi. Zdawał sobie sprawę, że i tak nie ma się gdzie ukryć. Dokoła osady rozciągała się płaska równina, a co wyższe chwasty były starannie powycinane. Mógł próbować ucieczki, zerwać się na nogi i biec jak najdalej, poza zasięg broni, w nadziei, że ktokolwiek strzelał, nie ma pod ręką drugiej, napiętej kuszy.

Nadzieja rozviała się szybko. Tym razem wyraźnie usłyszał szczęknięcie spustu. Skulił się tylko, czekając na uderzenie, które jednak nie nastąpiło. Ten strzał przeznaczony był dla Basile'a. Chybił, bełt świsnął tuż obok głowy chłopaka i wbił się w trakt kilkanaście kroków dalej, wzbijając fontannę żwiru.

Jason mimo całej beznadziejności sytuacji poczuł zalewającą go wściekłość. Strzelali, żeby zabić. Nie czekali, aż się okrzykną. Nie padły nawet zwyczajowe wyzwiska. Tak się nie robi, kołatała mu się w głowie bezsensowna myśl.

Zanim padł następny strzał, Jason doczekał się także i wyzwisk. Basile zareagował irracjonalnie. Zamiast skulić się i paść na ziemię, rzucił po prostu tobołki. Płynnym ruchem zdjął z ramienia swój miecz. Potem zaczął kłąć.

W pierwszej chwili Jason chciał obalić chłopaka na ziemię, by choć trochę utrudnić tamtym celowanie. Ale gdy spojrzął, zamarł na czworakach.

Widok olbrzyma z ogromnym mieczem i zwisającymi na piersi kłami potwora musiał porazić nie tylko Jasona. Plugawe przekleństwa odbijały się gromkim echem od zamkniętej na głucho bramy. Podziw Jasona wziął wkrótce górę nad strachem. Jak dotąd Basile nie powtórzył się ani razu. Lata pracy w karczmie przyniosły efekty.

Z prześwitu strzelnicy nie wyleciał już następny bełt.

Kiedy chłopak przerwał, by zaczerpnąć oddechu, z wieży zaryczał

znowu róg. Jason zrozumiał z ulgą, że na razie pewnie nie zginą. Zebrał się z ziemi i stanął u boku olbrzyma, który opuścił już miecz.

– Zwariowałeś – mruknął.

Zdawał sobie sprawę, jak bardzo jest niesprawiedliwy. Wściekłość i bluzgi uratowały im życie, choć może pomysł był nierozważny.

Basile zerknął z ukosa i poczerwieniał. Znow wyglądał jak niepewny siebie, głupawy zbój.

– Źle zrobiłem? – spytał z wahaniem. – Przepraszam, wkurwiłem się...

Jason parsknął nerwowym śmiechem.

– Nie, w porządku – zaprzeczył szybko, widząc grymas na twarzy chłopaka.

Ostatnio Basile coraz częściej się złościł, gdy ktoś się z niego śmiał.

– Bo jakże to tak? – obruszył się olbrzym, już rozchmurzony. – Tak od razu strzelać, bez dania racji? Przecież mogli nas zabić.

I o to im chodziło, pomyślał Jason. Takie tu obyczaje. Powiódł wzrokiem po wałach. Mógł teraz zobaczyć wyraźnie rząd czaszek, które szczyrzyły zęby z ostrokołu. Niektóre trofea powlekała jeszcze skóra i niedojedzone przez ptaki resztki ciała. Pomyślał, że mało brakowało, aby wraz z Basile'em spoglądali na okoliczne ugory z wysokości wału. Zapewne niedługo, bo ptaki najpierw wybierały co najlepsze, zostawiając puste oczodoły.

– Jakże tak? – marudził wciąż Basile. – Człowiek przychodzi, okrzyknąć się nawet nie dadzą. I jak tu poznać bez okrzyknięcia, porządny on zali, czy zwykły zbój? Ech, nie podobają mi się takie obyczaje.

Chłopak był wyraźnie zgorszony. Mnie też się nie podobają, chciał powiedzieć Jason. Nie zdążył jednak. Skrzydła bramy drgnęły i z przeraźliwym skrzypieniem zawiasów zaczęły się otwierać. Jason zobaczył, jak mięśnie Basile'a napinają się niczym postronki. Skoro powitano ich bełtami, ot tak, bez dania racji i wstępnych rozmów, to teraz z czeluści za wałem może wyskoczyć horda zbirów.

Nie wyskoczyła. Ale Basile nie opuścił miecza na widok samotnego człowieka, idącego ku nim po balach mostu.

Człowiek ów, o ile mogli dostrzec w zapadającym coraz szybciej

zmroku, był bardzo blady. Szedł ostrożnie, coraz wolniej, w miarę jak się zbliżał. Wzrok miał utkwiony w młodym olbrzymie. Niósł nagi miecz. Trzymał go dłonią w długiej, nabijanej ćwiekami rękawicy, w połowie ostrza.

Zatrzymał się parę kroków przed Jasonem i Basile'em. Wyglądał na żołnierza, starego zbrojnego z doświadczeniem wypisanym na poznaczonej bliznami twarzy o ostrych, zdecydowanych rysach. Odziany był w staroświecką *broigne*, nabijaną żelaznymi łuskami, zza jego pasa sterczał nadziak na długim trzonku. Ze sposobu, jakim opierał na nim wolną dłoń, można było sądzić, że broń jest oznaką władzy. Ale na twarzy o wyrazistych, twardych rysach Jason ze zdziwieniem dostrzegł strach i szacunek.

Zanim zdążyli coś powiedzieć, człowiek przyklęknął na jedno kolano. Schylił głowę, aż długie, siwe włosy opadły mu na twarz. Ostrożnie złożył nagi miecz u stóp Basile'a.

Wyprostował się, wciąż nie podnosząc wzroku, odstąpił o krok. Skłonił się. Potem stał w milczeniu, jakby na coś czekał.

Basile szarpnął Jasona za rękaw.

– Te – zająknął się dezorientowany. – I co ja mam zrobić?

A żeby to ja, kurwa, wiedział, pomyślał Jason. Jedno było pewne. Chyba na razie przeżyją.

Ptaki skrzeczały głośno. Walczyły o kawałek kości z resztkami mięsa i ścięgien, zbyt duży, by mogły go unieść i ulecieć w bezpieczne miejsce. Raz po raz któryś podskakiwał i dziobał, usiłując oderwać chociaż kąsek. Gdy się nie udawało, drugi ptak natychmiast atakował, tłukąc dziobem i skrzydłami. Odpędziwszy na chwilę rywala, usiłował coś uszczknąć dla siebie.

Jason przyglądał się tej walce bez zainteresowania. Prócz ptaków nie widział nikogo. Nawet drewniana wieża strażnicza, wysoka budowla z poczerniałych bali, która wznosiła się obok zamkniętej na głucho bramy, wydawała się pusta. Jedynie szare smugi ponad dymnikami niskich,

przysadzistych, krytych trzcina chat świadczyły, że osada nie jest całkiem wymarła.

Wstawał chłodny poranek. Długa jesień już odchodziła i zima czyhała za progiem. Błoto gdzieś się skłóciło się delikatną powłoką lodu, wstęga dymu frunęła do nieba w przejrzystym, nieruchomym powietrzu. Szron osadził się na bezlistnych, powykręcanych gałęziach jedyne drzewa w zasięgu wzroku, które rosło na środku majdanu. Pogrubiał je, pokrył warstwą skrzących się lodowych igiełek. Jason wzdrygnął się z zimna i owinął szczelnie płaszczem z grubej, szorstkiej wełny. Zima nadchodziła szybko i gwałtownie, po ciepłych jesiennych dniach mróz szybko zwarzył nieopadłe jeszcze liście. Tylko patrzeć śniegu i zawiei.

Jason przymierzył się do kopniaka, zastanawiając się, jak ptaka trafić, a samemu się nie za bardzo uświnić. Popatrzył na cel, potem na wystającą z błota kość. I tak zamarł, śmiesznie stojąc na jednej nodze, z drugą już uniesioną. Pomimo przenikliwego zimna poranka zrobiło mu się nagle gorąco. Opuścił nogę, ostrożnie trącił kość czubkiem buta. Poczował, jak zbiera mu się na mdłości. Cofnął się kilka kroków. Czarne, przypominające wrony ptaki skorzystały natychmiast. Wróciły do zdobyczy, znów podjęły pełną wrzasków i skrzeczenia walkę.

Jason odwrócił się i wolno ruszył przed siebie, nie widząc, dokąd idzie. Przed oczyma, zamiast błotnistego majdanu i przysadzistych chat, miał mroczne, nisko sklepione wnętrza krypty, rozświetlonej migotliwym blaskiem łojowych kaganków. Prawie czuł dawno zapomniany, charakterystyczny zapach pleśni i zgnilizny.

Nigdy nie mógł się oprzeć ciekawości. Wtedy też skorzystał z okazji, by zobaczyć coś nowego. Nie pamiętał już nawet, jakie to było miasto, może Kingsbridge, może Winchester. W każdym razie miał wciąż w pamięci stary klasztor, ciemne wejście do krypty, postaci zakonników.

Nie pożałował wtedy srebrnych pensów na ofiarę dla klasztoru, aby być świadkiem otwarcia trumny jakiegoś biskupa zapewne, w każdym razie kogoś, kto cnotliwym życiem lub męczeństwem zasłużył na wyniesienie między błogosławionych. Może raczej był to przeor, tak, chyba przeor, myślał teraz Jason mętnie. Jego szczątki miały czynić cuda, bo też za życia dawał świadectwo cnoty i prawości.

Ze szczątkami był kłopot, w krypcie bowiem chowano wielu mnichów, zapewne od stuleci, a że ubóstwo ślubowali za życia, to i po

śmieci składano ich bez trumien. Świątobliwi braciszkanie wielce nad tym ubolewali, gdyż w plątaniu piszczele i łuków żeber, wśród wyszczerzonych, zmumifikowanych czaszek trudno było znaleźć szczątki właściwe, cuda czyniące. Nie pomógł biskup, który czekał niecierpliwie u wejścia do krypty, osłaniając twarz rąbkiem szaty przed cmentarnym zaduchem wionącym z podziemi. Nie pomógł, a nawet zdarzyło mu się, jak pamiętał Jason, nie raz, nie dwa razy zelżyć grubym słowem zaferowanych i coraz bardziej wystraszonych zakonników.

W końcu braciszkanie znaleźli ciało, nieźle zmumifikowane, do tego z wianuszkami siwych włosów okalających czaszkę, obciążoną brunatną skórą. Jason dopchał się bliżej, co prawda na szarym końcu, tak że pozostał mu jedynie ułomek strzaskanej kości udowej. Otarł go z pleśni i pajęczyn i po wyjściu z krypty usiłował wręczyć biskupowi, który w asyście dwóch księży napełniał cyborium.

Kościelny dostojnik spojrzał na niego z odrazą.

– Coś ty przyniósł? – spytał z nieskrywaną, wyniosłą irytacją. – Weź to wyrzuć z powrotem! Palce, powiadam, palce... No czego tak stoisz?

Jason niezdecydowanie obracał cudowną kość w dłoniach.

– Kiedy nie ma więcej – wymamrotał z zażenowaniem, zły, że braciszkanie go ubiegli. Też chciał mieć jakąś zasługę.

Biskup skrzywił się tylko. Wskazał młodego zakonnika, który właśnie z szacunkiem wręczał jednemu z księży całą garść drobnych kostek. Jason zrozumiał.

Zanim cyborium zostało napełnione, jeszcze dwa razy schodził do krypty. Niewątpliwie błogosławiony przeor mógł czynić cuda za życia. Na przykład liczyć na palcach do trzydziestu.

Teraz jednak Jasonowi nie stał w oczach zdobiony relikwiarz ani delikatne kostki palców. Wciąż widział ułomek kości udowej, z gładką, zaokrągloną główką.

Taki jak ten, który dziobały teraz wrzaskliwe ptaki, walczące o mizerny łup na pokrytym zamarznętym błotem majdanie.

Ocknął się na wale otaczającym osadę. Pochylony ścisnął dwa sąsiednie paliki rzadkiego ostrokołu, wpatrywał się w parującą kałużę pod stopami. Splunął goryczą żółci.

Potrafił patrzeć, układać mozaiki z zaobserwowanych faktów i zasłyszanych półsłówek. Wiedział o okrutnej wojnie, ciągnącej się od pokoleń, odkąd pierwsi ludzie zawitali tu, wypłuci przez czeluście wrót, które łączyły światy. Zdążył poznać nienawiść i strach, wypełzające z każdego kąta i zatruwające każdą rozmowę.

Zobaczył już okrucieństwo i bezwzględność. Nawet przez te kilka dni, odkąd wraz z Basile'em przybyli do warownej osady, pierwszego ludzkiego skupiska w tym świecie, zdążył domyślić się wiele, połączyć oderwane fakty w całość, tworzącą podobny sennym koszmarom obraz.

W żołądku odezwał się ból. Jason oderwał zgrabiałą dłoń od pala pochylonego w kierunku, z którego mógł nadejść wróg. Masował brzuch tuż pod żebrami, gdzie prawie wyczuwał przez grube sukno bliznę po trafieniu – dobrze je pamiętał, cud, że nie poszło go do wieczności.

Wyprostował się, odetchnął głęboko. Ostre, zimne powietrze przywróciło mu zdolność jasnego myślenia. Otarł krople potu, który mimo chłodu wystąpił na czole. Biały obłoczek oddechu rozplątywał się w powietrzu.

Chaty, które przycupnęły w ciasnym kręgu zakreślonym przez wały, były niskie i przysadziste, z małymi, ciemnymi otworami wejściowymi, przesłoniętymi skórą lub grubą, ciężką tkaniną. Nie miały nawet najmniejszych okienek, lud miejscowy wolał gnieździć się w sadybach na podobieństwo niedźwiedziej gawry. Co więcej, jak zdążył już się zorientować Jason, domostwa nie różniły się niczym, bez względu na status mieszkańców. Był już pewien, że starszy osady – jego godność określano tu jakimś dziwnym słowem, którego nie zdołał zapamiętać – zajmował wraz z liczną rodziną całkiem zwyczajną chatę. Równie niską, ciemną i duszną jak ta, którą mieszkańcy oddali do dyspozycji przybyszom z innego świata.

Z dymników w szczytach chat sączyły się dymy, było ich coraz więcej. Osada budziła się do życia. Srebrny szron tajał na strzechach za sprawą białych promieni wspinającego się coraz wyżej słońca.

Jason ostrożnie, by nie poślizgnąć się na zmarzniętej ziemi, schodził z

wału. Chciał zaszyć się w mrocznym wnętrzu chaty, zanim jeszcze mieszkańcy osady wylegną na zewnątrz, by zająć się codzienną krzątaniem. Wolał położyć się w zimnym barłogu, przykryć ciężkimi skórami i spać. Jak najdłużej.

Jedyny większy budynek w osadzie przypominał kamienne chaty, które Jason niegdyś widział na północ od Northumbrii, na zakazanych i dzikich krańcach wyspy. Ciemne wnętrze z ogromnym, wygasłym teraz i wyziębłym paleniskiem pośrodku było oświetlone przez kopące łuczywo, którego migotliwy blask wydobywał z mroku detale więźby dachowej. Pod niskimi ścianami z ciosanego kamienia stały ławy, przyrzucone gdzieś skórami, starymi już i wyłysiałymi. Jak wszystko w warownej osadzie, wnętrze dużego budynku kojarzyło się ze starością i popadaniem w ruinę. Ław musiało być kiedyś więcej, tych zaś, które pozostały, stoczonych przez czerwie i chybotliwych, od dawna nie naprawiano. Widać nikomu nie przeszkadzało skrzypienie ani obawa, że nagle można się znaleźć na brudnej polepie, gdy ława w końcu się załamie.

Łuczywo dymiło, osadzając nowe warstwy kopcia na grubych krokwiach. Płomień migotał, poruszany podmuchem, który wpadał przez dymniki. Wnętrze przestronnej izby zionęło chłodem. Niskiego otworu wejściowego niczym nie zasłonięto, w odróżnieniu od zwyczaju w mieszkalnych chatach. Dostawało się przezeń nieco dziennego światła, ale też i mróz.

I tyle z mojego spania, pomyślał melancholijnie Jason, kiedy już przysiadł ostrożnie na jednej z rozchwierutanych ław. Nie mógł wybrać bardziej wzbudzającej zaufanie, tę wskazał mu gospodarz. Jason nie przypominał sobie, kto zacz ów niski człek, z twarzy przypominający łasicę albo inne złośliwe zwierzątko. W każdym razie wyglądał na kogoś znacznego, od pospólstwa wyróżniało go odzienie. Rozpięty zwykły płaszcz z grubej wełny odsłaniał skórzany, naszywany żelaznymi łuskami kubrak, nieomylny znak przynależności do rządzących. Chyba z miejscowej szlachty, pomyślał Jason.

Pas człowieka o szczupłej, chytrej twarzy obciążał miecz. Nic w tym niezwykłego, inni też nie rozstawali się z bronią. Początkowo Jasona dziwił niepomiarne widok ludzi z gminu, z wyglądu rzemieślników, a nawet zwykłych kmiotów, uzbrojonych już nie w pały czy kordy, ale porządne miecze. Może nie rycerskie, lecz w sam raz takie, w jakie wielmoże wyposażali swych zbrojnych.

Co więcej, wszyscy wyglądali na ludzi, którzy owego oręża potrafią dobyć nieprzyjemnie szybko, a nawet nim władać. Jason przestał się dziwić, gdy zobaczył kobietę, niestarą jeszcze chłopkę, której znad ramienia wystawała rękojeść. Widać miecz u boku przeszkadzałby w gospodarskich zajęciach. Lepszy był pas biegnący ukosem przez pierś.

Wszystko w tej osadzie przypominało o zagrożeniu. Ludzie mieli w oczach nieustanną czujność. I okrucieństwo.

Człowiek pełniący obowiązki gospodarza usiadł na ławie. Nawet wtedy nie odpiął pasa, tylko machinalnie ułożył pochwę obok siebie na ławie, tak by łatwo mógł sięgnąć rękojeści. Jason zauważył, jak bystre spojrzenie małych, chytrych oczek omiata jego postać.

On nie miał broni. Jakoś nie mógł się przyzwyczaić do spacerów po osadzie, w końcu w obrębie wałów, w pełnym uzbrojeniu. We wzroku siedzącego dostrzegł obrzydzenie pomieszane z rozbawieniem. Może jeszcze coś, jakby litość. Dla niego jestem nagi, słaby i bezbronny, pomyślał sobie.

Rzeczywiście, od samego przybycia pozostawał w cieniu Basile'a. Jasona miejscowi ledwie zauważali, z młodym olbrzymem zaś rozmawiali, darząc go podziwem i szacunkiem. Jason pozostawał w cieniu. Może myśleli, iż jest sługą bohatera bądź wręcz niewolnikiem.

Jasonowi taki stan rzeczy odpowiadał. Początkowa złość przeszła szybko w rozbawienie, gdy widział niepewnego Basile'a, który zerkał spłoszony, kiedy ktoś ze znaczniejszych do niego przemawiał. Czasem musiał tłumaczyć miejscowe narzecze, wykoślawioną normańską francuszczyznę, z której Basile, saksoński prostak, niewiele rozumiał. Cóż, w końcu w jego świecie była to mowa wielmożów, trudno się z nią osłuchać, stojąc z pałą przy moście albo wyrzucając z karczmy rozrabiających gości. W tym drugim wypadku zasób słów musiał być mizerny.

Jason żył na tyle długo, by nie mieć złudzeń. W swoim świecie spotkał wystarczająco wielu okrutników, bezwzględnych łotrów. Z niektórymi miał pecha zetknąć się zbyt blisko, bywało, że z fatalnymi dla siebie skutkami. Ale potrafił ich oceniać, wyczuwać intencje, zwłaszcza gdy obudziły się jego zdolności. Tutaj się gubił, wyczuwalne na każdym kroku napięcie, strach i agresja wytwarzały niesprzyjającą mu aurę.

Agresja i strach. Te uczucia emanowały z wszystkich napotkanych ludzi, od usmolonych dzieciaków do najstarszych, siwobrodych i zgarbionych dziadków. Nawet gdyby Jason nie potrafił odbierać emocji, wystarczyłyby błysk w oczach, czujne spojrzenia kontrolujące bezustannie otoczenie, jakby w każdej chwili mógł spaść cios. Ci ludzie byli wciąż gotowi. Wyglądało, że na najgorsze.

Zastanawiał się teraz, czego może chcieć ten człowiek o chytrej, łasiczej twarzy i bystrym spojrzeniu. Widywał go dotąd kilka razy, zawsze w otoczeniu starszych osady, lecz nie zamienił z nim ani słowa.

Tak naprawdę z nikim nie zamieniłem, pomyślał teraz. Tylko tłumaczyłem słowa, nie do mnie skierowane. Nikt mnie nie zauważał.

Tym dziwniejsze było to zaproszenie.

Zresztą trudno nawet je tak nazwać. Jason wciąż walczył z szarpiącymi wnętrzności spazmami, kiedy ktoś zastąpił mu drogę, ujął pod ramię i przyprowadził tutaj. Bez żadnych wstępnych zaproszeń czy choćby słowa wyjaśnienia. Nie opierał się, zwyciężyła ciekawość, choć nie podobał mu się mocny uchwyt. Zastanawiał się tylko, co stałoby się, gdyby oponował lub stawiał opór. Nie spróbował jednak, w postaci nieznanego dostrzegł pewność siebie i coś, co można by nazwać poczuciem wyższości. Niewątpliwie wystarczyłoby, by skinął ręką, a nagle zmaterializowałyby się kilku osiłków, którzy powlekliby Jasona w dowolnym kierunku. Może dawszy uprzednio po łbie.

Les enguardes, przypomniał sobie Jason, tak nazywano tu zbrojnych. Nie żołnierze, ale właśnie strażnicy. Miał niejasne wrażenie, że różnica była znacząca. Choć może się mylił, może wynikała tylko ze znaczeniowych subtelności.

Mimo wzgardliwej pewności siebie nieznanemu okazywał wyniosłą uprzejmość. Wskazał Jasonowi miejsce na ławie, gdy już weszli do wielkiej kamiennej chaty, w której niewątpliwie znaczniejsi tego świata

odbywali biesiady i rady. Jasona rozbawiło, że gospodarz nie skrywał dumy, prezentując zakopconą hallę, jakby oczekiwał wyrazów podziwu. Widać w tym świecie, szarym i skarłałym, była czymś niezwykłym, co powinno budzić szacunek i podziw.

Człowiek o łasiczej twarzy prześcigał się w uprzejmościach: sięgnął pod ścianę, z drewnianego skopka upił kilka łyków, potem podał go Jasonowi. Ten podziękował gestem, po czym przechylił naczynie, starając się nie okazywać zbytniego obrzydzenia. Na szczęście zdążył już przez kilkanaście dni pobytu w osadzie przywyknąć do sfermentowanego kobyłego mleka, które najwidoczniej zastępowało tu na co dzień piwo i inne, szlachetniejsze trunki.

I co dalej? – pomyślał Jason, gdy odstawił wreszcie skopek. Będziemy tak siedzieć i milczeć? Nieznajomy nie kwapił się do nawiązania rozmowy, nawet o nic nie zapytał. Ocierał zwisające wąsy i wciąż mierzył Jasona badawczym spojrzeniem.

Ten z trudem hamował irytację. Brakowało mu Basile'a. W obecności chłopaka coś przynajmniej się działo. Choćby tłumacząc, mógł się czegoś dowiedzieć, nawet z wyrywkowych, miałkich najczęściej informacji próbować złożyć obraz tego świata. A jak dotąd nie był on wcale zachęcający.

Odkąd trzy dni temu Basile wyruszył na wyprawę, wszystko się urwało. Jason został sam i okazało się, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Nikt się nie odzywa, o nic nie pyta. Nawet stara, przypominająca leciwą wiedźmę kobieta, która co rano przynosiła do chaty Jasona wstrętną zresztą strawę, nie reagowała na żadne zaczepki. W każdym razie nie reagowała w sensowny sposób, poza chichotem i szczerzeniem zębów, zadziwiająco białych i zdrowych jak na jej wiek. W końcu zaprzestał nagabywania w obawie, że może zostać opacznie zrozumiany.

Nikt nie ograniczał mu swobody. Problem w tym, że nie miał dokąd pójść, bo prócz chat, stłoczonych przy błotnistych uliczkach, wielkiej halli i wieży strażniczej przy bramie nie było tu nic. Po prostu paskudna, warowna wioska na krańcu świata. W dodatku innego świata.

Jason próbował zachodzić do chat, w których ludzie mieszkali pospołu z inwentarzem. Ale nie chcieli z nim rozmawiać, zbywali, mrużąc coś pod nosem. Nawet dzieci, zwykle ciekawe, były małomówne. Patrzyły tylko z wyrazem niesłabnącej czujności w oczach.

Cień przesłonił wejście. Jason kątem oka dostrzegł sylwetkę strażnika. Nie chciał się odwracać, wolał nie dać po sobie poznać, że cokolwiek zauważył.

Sytuacja była niepewna, więc sprężył się w sobie. Dopiero gdy przybysz począł rozpalać nowe łuczywa i osadzać je w żelaznych kunach przy poczerniałych belkach, Jason poczuł ulgę.

Ale ulga nie stłumiła złości. Basile odjechał niefrasobliwie, rad z hołdów. Nie obchodziło go, że zostawia Jasona samego, ani nie zwrócił uwagi, jak jest on traktowany. Gładko wszedł w rolę miejscowego bohatera.

Wciąż powracało natrętne pytanie, które dręczyło Jasona od trzech dni, odkąd Basile wyruszył z miejscowymi i nie raczył wyjaśnić nawet, w czym rzecz. Co będzie, jeśli chłopak nie wróci? Na samą myśl poczuł nieprzyjemne ściskanie w żołądku. Nie chciał zostać sam w tym ponurym miejscu, wśród okrutnych i nieufnych ludzi. Skrzywił się bezwiednie.

Martwił go Basile. Chłopak łatwo uwierzył, że jest bohaterem. Trudno było się dziwić, po wszystkich hołdach, które zbierał. Wreszcie spotykał go podziw i uwielbienie, już nie był silnym wprawdzie, ale tylko przygłupem.

Obcy bohater, olbrzym, który pokona potwora. Nadejdzie z lasu, kły bestii przyniesie plugawe, własną dłońią z paszczy wybite. I poprowadzi lud...

No właśnie. Nie wiadomo, dokąd poprowadzi, wieszczba była stara i prawie już zapomniana. Zapewne do zwycięstw i świetlanej przyszłości. Wszyscy bohaterowie tam prowadzą.

Jason splunął na polepę. Tylko rzadko któremu się udaje, pomyślał. Za to wcześniej zazwyczaj dzieje się paskudnie. I nie dane jest doczekać zwycięstwa, o świetlanej przyszłości nie wspominając.

Jason go rozumiał. Basile mógł teraz odegrać się za lata poniżeń i krzywd, kiedy oszukiwał i wykorzystywał go każdy, kto chciał.

Tutaj tylko Jason pamiętał go z dawnych czasów, tylko on wiedział, kim był przedtem. A teraz Basile mógł wziąć odwet. Za wszystko i wszystkich.

W halli pojaśniało. Dodatkowe łuczywa kopciły równie mocno, lecz

dawały sporo światła. Człowiek o twarzy łasicy uśmiechnął się, nie spuszczając wzroku z twarzy Jasona.

– *Basile est soürs, les enguardes lerrat derere sei* – powiedział kpiąco. – *S'est ki mei'n creit.*

Jason kiwnął głową. Tyle to sam wiedział. Chłopaka traktowano jak przywódcę, ze śmiesznym wręcz szacunkiem. Dla strażników, którzy z nim wyruszyli, był bohaterem, na pewno zadbają o jego bezpieczeństwo. Ech, pomyślał, sami nie wiecie, jaki to młot...

– *S'est ki mei'n creit* – powtórzył jego rozmówca, uśmiechając się szerzej. – Możesz mi wierzyć.

Wierzę, pomyślał Jason, czemu nie. I drgnął. Z trudem panując nad mięśniami twarzy, ułożył zdrętwiałe wargi w uprzejmy uśmiech.

Może to tylko przypadek, przemknęło mu przez głowę. Ale nadzieja szybko uleciała, bo przecież nieznajomy odpowiedział na niezadane pytanie. W każdym razie niewypowiedziane.

A to wiele tłumaczyło. Jason po chwili poczuł, jak coś przeskakuje w jego umyśle i ogarnia go fala obcych emocji. Aż przymknął oczy, tak były silne i nie pasowały do kpiącego uśmiechu na twarzy rozmówcy. Pomieszane i kontrastowe. Strach i buta, pewność siebie i lęk. Ciekawość i poczucie zagrożenia. On dużo wie, zrozumiał Jason. Domyśla się, że nie jestem tylko sługą, dodatkiem do bohatera, który żywcem zstąpił z mętnych prorocत्व.

Uśmiechnął się teraz zupełnie szczerze, w nadziei, że nie daje poznać po sobie złośliwej radości. Włazłeś na mój teren, przyjacielu, powiedział w duchu.

Szczupła twarz, przywodząca na myśl złośliwe leśne zwierzątko, ściągnęła się. Jason był już pewien. Ale nie zawadzi sprawdzić, przycisnąć trochę. Poszukał w pamięci odpowiednich słów.

– *Se jol pert...* – zaczął twardo i zawiesił głos. Jeśli on zginie, nie przeżyjesz, dopowiedział w myśli. I było to zupełnie szczerze. Nie obawiał się już nieznajomego. Możesz sobie być miejscowym ważniakiem, uśmiechnął się wyzywająco, poradzę sobie z tobą. W taki czy inny sposób.

W oczach miejscowego ważniaka błysnęła tłumiona wściekłość. Nie

zerwał się jednak z ławy. Jasona uderzyła tylko fala z trudem hamowanej złości, pomieszanej z coraz silniejszym strachem. Wstrzymał oddech, robiło się niebezpiecznie. Ale musiał wygrać pojedynek, od którego zależało wiele. Cała przyszłość.

– *Veez-tu m'espee?* – Przeciwnik zacisnął dłoń na rękojeści.

Nad pochwą błysnął może cał klingi. Jason popatrzył prosto w zmrużone, pełne nienawiści oczy.

– *Puis m'en cumbatre a vos.*

Możesz walczyć? – zdziwił się Jason obłudnie. Nie zawołasz po prostu strażników, żeby mnie zarąbali albo powlekli do klatki? Możesz walczyć, chociaż jestem bezbronny?

Wygrał. Zrozumiał, że jest potrzebny człowiekowi o łasiczej twarzy. Jeszcze nie rozumiał do czego, ale wiedział, że ubiją interes. Kim ty jesteś, przyjacielu? – pomyślał.

Z cichym zgrzytem klinga zniknęła znów w pochwie. Nieznajomy odprężył się w końcu. Spojrzenie pozostało czujne, ale twarz wyraźnie złagodniała. Coś było w niej znajomego. Jason nie mógł oprzeć się wrażeniu, że kiedyś widział tę twarz. Nie pamiętał, czy na jawie, czy w wizjach. Może w snach, gdy błąkał się między życiem a śmiercią.

Nie wiedział, czy to była wizja przeszłości, czy tego, co miało dopiero nadejść. Przypominał sobie zaledwie wrażenia, niejasne, oderwane obrazy. Mimo to postanowił zaryzykować. Przymknął oczy, a właściwe słowa znalazły się same, wypłynęły z podświadomości.

– Gdzie twoja laska? – spytał, zanim zdążył jeszcze zrozumieć, co właściwie mówi. – Gdzie twój srebrny sierp...?

Popatrzył na człowieka siedzącego obok na ławie. Nawet w migotliwym blasku łuczyw spostrzegł nagłą bladość, która powlekła szczupłą, chytrą twarz.

– ...druidzie – zdążył jeszcze dodać, zanim twarda dłoń zamknęła mu usta. Zabolało, gdy palce drugiej ręki z całą siłą zacisnęły się na jego ramieniu.

– Zamknij się!

Mimo dojmującego bólu saksońska angielszczyzna zabrzmiała w uszach Jasona niczym najpiękniejsza melodia. Zamamrotał tylko i

pokiwał gwałtownie głową.

Sfermentowane kobyłe mleko nie było takie złe, i rozgrzewało nieco. Choć tęsknił do piwa, przy drugim skopku nie czuł obrzydliwego smaku.

Broń pozostała w owiniętej pasem pochwie na ławie, w zasięgu ręki. Druid spoglądał wciąż czujnie, ale jego emocje, które Jason odbierał, nie były już tak gwałtowne. Po nich przyszła ulga. Pociągnął łyk ze skopka, mocząc w napitku długie, obwisłe wąsy.

– *Dus cenz anz* – mruknął, jakby do siebie.

Jason nie zdziwił się nawet. Dwieście lat, cóż to dla druida. Ale co innego dwustuletni żywot, a czym innym jest przeżycie go tutaj.

Druid uśmiechnął się i odstawił skopek.

– Nie, to nie tak – powiedział, rozglądając się nieufnie, choć byli sami w wielkiej halli. Strażnik wyszedł już dawno, kiedy tylko pozapalał łuczywa. Nikt niepowołany nie mógł usłyszeć nierozważnych słów.

– To nie tak – powtórzył druid. – Jestem tu krócej. Ale i to za długo.

Jason zirytował się nagle.

– Nie możesz poczekać, aż spytam? – burknął. – Zachowujmy się jak ludzie. A w ogóle, to jak mam cię zwać? Imię jakieś masz? Ja jestem...

– ...Jason – wpadł mu w słowo druid. – Nie, nie zgadłem, słyszałem po prostu.

Uprzedził wybuch złości Jasona.

– Tu nazywają mnie Gilles – zmrużył oczy. – Cumpainz Gilles, Assasin de Guivres e Dragun, Grifuns e Leunes. Zabawne, w życiu nie widziałem lwa. Pozostałe plugastwo, i owszem.

Jason łatwo uwierzył. Jeszcze niedawno sypiał z gryfem zwiniętym w kłębek na piersi. Ciekawe, co dzieje się teraz ze zwierzakiem, pomyślał, całkiem był miły. Dobrze, że nie polazł za nimi, mógłby trafić kamrata Gillesa, zabójcę gryfów, wyvernów, a także smoków oraz paskudztwa wszelakiego.

– Dla ciebie jestem cumpainz Gilles – dodał druid z naciskiem. – To

różni nas od pospólstwa i tej wersji będziemy się trzymać. Resztę tytułów możesz sobie darować, zwłaszcza te lwy na końcu.

Uśmiechnął się złośliwie. Nie musiał dodawać, że Jason jest po prostu Jasonem. A i z tego powinien się cieszyć.

Obraz świata, który się wyłaniał, był przygnębiający.

– Dwieście lat. – Gilles wpadł w tok myśli Jasona; przypadkiem, a może odbierając jego uczucia.

Jason był już pewien, że uczucia. W spotkaniu dwóch ludzi, którzy potrafili korzystać z mocy przenikającej ten świat, było coś intrygującego. Obaj byli tu obcy. I oni mogli cokolwiek zrozumieć.

Czego ty chcesz, Gilles, zastanawiał się Jason. Obserwował spod oka rozmówcę, napotykając wciąż ostrożne, taksujące spojrzenie. Ile wiesz?

Sam wiedział wciąż niewiele ponad to, co ujrzał w snach i wizjach. Znow ktoś rozrzucił kamyki mozaiki, znow trzeba je było mozolnie wpasować na swoje miejsce, żeby w końcu ujrzeć cały obraz. Ujrzeć cel. Bo Jason nadal był przekonany, że istnieje jakiś cel, a wszystko, co się dzieje, nie jest tylko igraszką przypadku.

Przynajmniej chciał w to wierzyć.

– Mamy mało czasu, Jason – odezwał się Gilles. – Nie możemy tak siedzieć i rozmawiać do woli, dla twojego dobra zresztą. Nikt na razie się nie domyśla, kim jesteś i kim możesz się okazać.

Jason uśmiechnął się.

– Jestem ci potrzebny – oznajmił, nie bawiąc się we wstępne grzeczności. – Pozwól, że powiem ci, jak ja to widzę.

Druid znany obecnie jako cumpainz Gilles, zabójca plugastwa wszelakiego, skrzywił się lekko. Nie podobało mu się, że Jason przejmuje inicjatywę. Nie miał jednak wyjścia, na kogoś takiego czekał od wielu lat.

– Jesteś kimś znacznym, nieprawdaż? – kontynuował Jason pozornie lekkim, obojętnym tonem. – Stałeś się nim, bo czujesz moc, magię, czy jak to będziemy nazywać. Korzystasz z niej. Jesteś też...

Urwał, kiedy dostrzegł nerwowy skurcz na twarzy Gilles'a. Powstrzymał się od wypowiedzenia niebezpiecznego słowa. Swoją drogą ciekawe, pomyślał, dlaczego nie chce, by ktokolwiek się dowiedział.

– Nieważne... – Jason machną ręką. – W każdym razie potrafisz co nieco, ale jesteś tu sam. I nie bardzo możesz się afiszować z umiejętnościami. Nie myślę się, prawda?

Gilles powoli skinął głową. Nie uśmiechał się już.

– W porządku. Wygląda na to, że jesteśmy na siebie skazani. Więc odpowiesz mi na pytania, szczerze i wyczerpująco. Bo wciąż niewiele wiem.

Zabójca gryfów i wyvernów milczał długą chwilę. Wreszcie wyciągnął dłoń. Jason uściskał ją, krzywiąc się mimo woli. Cumpainz Gilles nie imponował może posturą, ale łapska miał silne.

Przypominająca leciwą wiedźmę kobieta śmiała się jak zwykle. Zanosila się wręcz piskliwym chichotem, kiedy Jason odbierał od niej codzienną porcję jadła. Sam skrzywił się, co miało oznaczać zadowolenie, a nie chciał być nieuprzejmy. Starał się nie patrzeć w jej oczy, ukryte pod zwisającymi na czoło siwymi włosami. Zresztą, jak zdążył już zauważyć, jedno oko powlekało bielmo, co nadawało babie dość diaboliczny wygląd.

Zastanawiał się, czy właśnie jego niski status nie spowodował, że usługiwała mu niewątpliwie najmniej atrakcyjna baba w całej osadzie. Był wszak tylko sługą, przynajmniej za takiego go uważano. Tak wynikało z przepowiedni.

Ciekawe, pomyślał, czy gdyby nie owa wieszczba, przeżylibyśmy choć do wieczora? Raczej nie miał złudzeń, poznał już na tyle miejscowe zwyczaje. Wszystko, co obce, było złe. A złe należy zabić, zanim stanie się jeszcze gorsze.

– *Devers un gualt uns granz leuparz li vint* – powiedział na głos. – *Si se levet la puldre, e granz est li calz...*

Prawie się zgadza, pomyślał, wylazł bydlak z lasu. Lamparta mało przypominał, ale zawsze. Tylko nie było gorąco ani pył się nie wznosił. Cóż, w końcu nie wszystko musi pasować co do słowa, to tylko przepowiednia.

– Li hume estrange se cumbat al leuparz...

Człek obcy pokona potwora. Mieliśmy szczęście, pomyślał Jason, wspominając całą wieszczbę, którą wyrecytował cumpainz Gilles.

Zupełnie zapomniał o obecności starej wiedźmy. Dopiero gdy usłyszał jęśliwe zawodzenie, wrócił do rzeczywistości. Kobieta cofała się, spojrzenie jej jedyne widzące oko było utkwione w twarzy Jasona. Mamrotała coś już ciszej, nie mógł rozpoznać bełkotliwych słów. Jedną ręką wykonywała ruchy, które przywodziły na myśl gesty mające chronić przed urokiem.

Jason nie wiedział, co zrobić. Pluł sobie w brodę, klnąc w duchu własną nieostrożność. W końcu nie zrobił nic. Baba wycofała się rakiem, omal nie przewracając się na progu z wielkiego, ciosanego kamienia. Gdy zniknęła, słyszał jeszcze przez chwilę cichnące zawodzenie. Kiedy umilkło, odetchnął wreszcie.

To tylko głupie babsko, pocieszył się, niewątpliwie jedyna kobieta, którą znaleźli, by mi posługiwała. Ale postanowił bardziej uważać na przyszłość.

W chacie panował dojmujący ziąb. Z codziennej porcji pełnej plew jęczmiennej kaszy, wymieszanej z ugotowanymi kawałkami mięsa, unosiła się para. W izbie nie było takich luksusów, jak stół czy zydle. Jason usiadł na narach, trzymając miskę na kolanach. Musiał spieszyć się z jedzeniem, zanim strawa całkiem wystygnie, gdyż mieszkańcy osady uważali widać opalenie izb gości za przesąd, niegodny prawdziwych twardzieli. Noce mógł przetrwać dzięki skórom, których sterta leżała na posłaniu. Ale poranki bywały przykre, kiedy musiał wyleźć spod okrycia.

W kącie chaty znajdowało się otwarte palenisko, obmurowane wielkimi kamieniami. Jednak jak dotąd Jason nie znalazł w osadzie niczego, co nadawałoby się na opał. A przecież mieszkańcy czymś palili, świadczyły o tym dymy unoszące się ze szczytów chat czy choćby ciepłe jagły.

Obrócił w dłoni dziwny przyrząd, który uparcie przynoszono wraz ze strawą, coś jak maleńkie, dwuzębne widły. Widział już, jak miejscowi tego używają, nadziewając kawałki mięsa i niosąc do ust. Sam wciąż nie mógł się zdecydować z obawy, iż pokłuje sobie język.

Westchnął i palcami pogrzebał w kaszy, która z gorącej zdążyła stać

się letnia. Wyłowił kawałek mięsa. Uznał, że tak jest łatwiej i na pewno bezpieczniej.

Jedzenie było tchłe i pozbawione smaku. Jason jadł bez apetytu, jednak wygrzebał w końcu nawet resztki przypalonej kaszy, która przyłgnęła do dna miski. Nie chciał opaść z sił.

Znów wspomniął przepowiednię. Nie ma co, pomyślał, mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu. Zwłaszcza po przybyciu do osady, ale też i wcześniej, kiedy to wieszczba właśnie się wypełniała. Nic dziwnego, że nie spełniła się wcześniej. Po prostu nie znalazł się dotąd bohater, który mógłby jej sprostać.

Skrzywił się w mimowolnym uśmiechu. Wyglądało na to, że w przepowiedni tkwiło ziarenko prawdy. Basile istotnie był wyjątkowy.

Przy polepie ciągnęło mrozem. Jason wstał i otulił się szczelniej płaszczem. Poprawił zwisającą z ościeżnicy skórę, która zasłaniała wejście do chaty. Uznał, że najlepiej wyciągnąć się na posłaniu, zagrzebać w skórach i przeczekać kolejny dzień. Miał zresztą sporo do przemyślenia.

W izbie zapanował mrok, światło nie docierało przez wąskie, zatłkane szpary dymników. Odpowiadało to Jasonowi. Nic go nie rozpraszało, mógł wpatrywać się w ciemność szeroko otwartymi oczyma. Nawet dźwięki zza ścian, zwykłe odgłosy ludzkiej osady, dochodziły stłumione i dalekie. Słyszał nawoływania straży, przeplatane uderzeniami młota z pobliskiej kuźni. Zakwiczał zaganiany prosiak. Tutejsze świnie przypominały dziki, były czarne i chude, łypały złośliwie i nieufnie małymi oczkami.

Jason leżał pod sztywnymi, ciężkimi futrami. Porcja ohydnej, ale ciepłej stawy rozgrzała go nieco. Chciał jeszcze raz na spokojnie przypomnieć sobie wszystko, co usłyszał od Gilles'a. To było ważne. Ale jego myśli wciąż krążyły wokół wieszczby, która tak nieoczekiwanie spełniła się na trakcie, całkiem już niedaleko od warownej osady.

– *Devers un gualt uns granz leuparz li vint* – powtórzył na głos. – Mieliśmy szczęście.

Niewiele brakowało. Jason zamknął oczy, w ciemności zaczynał gubić się na krawędzi pomiędzy snem a jawą. Wreszcie było mu ciepło. To nie był najgorszy sposób – przespać oczekiwanie. Ale wciąż nie mógł przekroczyć granicy, za którą byłyby tylko sny. Lub wizje.

Odkąd opuścił chatę w puszczy, wizje nie nadchodziły. Właściwie nie tęsknił wcale za nimi. Były paskudne i mroczne, niosły jedynie tajemnice i pytania, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Ale teraz odeszły. Zastanawiał się, czy to nie ona mu je odebrała. Jeśli, naturalnie, istniała naprawdę i sama nie była tylko wizją.

Ona, kobieta Starszego Ludu, prawowita dziedziczka tego świata. Niewątpliwie była jednak rzeczywistością, nie tylko majakiem. Starszy Lud istniał naprawdę.

Biała główka kości udowej wyglądała podobnie jak relikwia świętego przeora-męczennika. Ale unurzane w marznącym błocie szczątki nie były ludzkie.

Należały do obcego. Do plugastwa, jak tu mówiono, tego najgorszego rodzaju obcych, choć obcymi byli przecież wszyscy, także ludzie spoza wioski. Wszystkich obcych się zabija, ale plugastwo można jeszcze spożytkować. Nakarmić nim wieprze.

Jason zakrztusił się nagle i poderwał z posłania. Żołądek znów podskoczył mu do gardła. Ledwie zapanował nad skurczami, by nie bluznąć niedawno zjedzoną kaszą z mięsem. Oddychał chwilę ciężko, myśląc ponuro, że jednak się nieco uodpornił. Ale zdawał sobie sprawę, że trudno mu będzie zdobyć się, by znów zjeść jagły z wieprzowiną.

Miał wszystkiego dość. Widział teraz całą bezsens odwiecznej walki, w którą został wplątany. Absurd dążenia do czegoś, co było tylko okrutną mrzonką. Ten świat nie dawał azylu, nie dawał władzy, nie poddawał się. Ci, którym się udało, zostali tu uwięzieni, przeklinali los i swoje niewczesne plany. Urodzeni tutaj, wśród skarłałego ludu, nie znali już niczego innego. Byli tacy jak ten świat, obcy, okrutny i nieprzeznaczony ludziom. Ale wciąż znajdowali się następni, którzy roili sobie, że za wrotami światów czeka nagroda. Byli gotowi o to walczyć.

Zrozumienie kryło się w spojrzeniu Gilles'a, starannie maskowane i ukrywane. Druid rozpaczliwie szukał dróg ucieczki. Już się przekonał, że

zwycięstwo nie przynosi nagrody, a ten świat jest gorszy niż walka o dostęp do niego. Ale tego mógł dowiedzieć się dopiero tutaj. Zwycięstwo stało się klęską, kiedy nie było już powrotu.

Jason odrzucił skóry. Senność opuściła go na dobre, rozglądał się teraz za kagankiem. Miał już dość siedzenia w ciemności, oczekiwania i rozmyślań.

Zdążył dobrze rozgrzać dłonie pod przykryciem, więc skrzeseanie ognia nie sprawiło mu trudności. Nikłe iskierki rozpraszały mrok, co chwila widać było ściany chaty, nagie i zimne, zbudowane z ciosanych, jakby stale wilgotnych kamieni. Wreszcie na hubce pojawiła się plamka żaru, która rosła, kiedy ostrożnie dmuchał. Zapełgał słaby płomyczek.

Kaganek świecił marnie, olej zgęstniał w glinianej miseczce i dawał więcej kopciu niż blasku. Jason ostrożnie postawił naczynie na narach. W izbie nie było nic, nawet stołu czy zydła.

Przez szum wiatru uderzającego w trzciniową strzechę przebił się dźwięk rogów. Jason pierwszy raz słyszał je przed kilkunastoma dniami.

Pierwszy raz, pomyślał. A mało brakowało, żeby i ostatni.

Rogi brzmiały wciąż przeciągłym jękiem. Jason wychylił się spod okapu strzechy. Zmrużył oczy, przygotował się raczej na uderzenie wichury i siekące w twarz płatki śniegu. Ale wiatr przegnał chmury. Osada wyglądała dziwnie schludnie pokryta cienką warstwą niezadeptanej jeszcze bieli. Pierwszy śnieg skrzył się w blasku księżyca.

Jason ruszył wąską uliczką w kierunku majdanu. Do rogów dołączyły okrzyki i donośne skrzypienie otwieranej bramy. Przyspieszył kroku.

Gdy wychodził spomiędzy chat, na balach drewnianego mostu dudniły już podkowy. Pierwszy jeździec wjechał na majdan, osadził konia. Na jego widok wybuchły okrzyki i wiwaty ludzi, którzy powoli gromadzili się na okrytym śniegiem placu.

Basile nie zeskoczył z siodła. Siedział dumnie wyprostowany, pozdrawiając tłum uniesioną dłonią. Następni jeźdźcy przekraczali bramę, jechali wolniej, niektórzy zeskakiwali z koni. Jason spostrzegł, że

kilka koni, choć okulbaczonych, biegło luzem. Zrozumiał, że nie wszyscy wrócili szczęśliwie.

Gdy Basile dał znak, okrzyki ucichły. Tłum zafalował i ludzie poczęli się przepychać, powstrzymywani z trudem przez strażników, którzy dobiegli tymczasem z czatowni. Jasonowi sprzyjało szczęście, pojawił się jako jeden z pierwszych, teraz przed nim były tylko skrzyżowane glewie, które zagraadzały dostęp.

Śnieg rozbłysnął czerwienią, kiedy les enguardes rozpalili pochodnie. Zapłonęła smoła w beczkach, na majdanie zrobiło się jaśniej. Jason widział twarz Basile'a, pokrytą potem po wyczerpującej jeździe. Przez chwilę skrzyżowały się ich spojrzenia.

I wtedy właśnie Jason dostrzegł w oczach chłopaka coś obcego i odpychającego. A nade wszystko wyzwanie.

Patrz, kim jestem, kim się stałem. A zobaczysz jeszcze więcej.

W nagle zapadłej ciszy słyhać było trzask płonących smolnych pochodni i pochrapywania zdrożonych koni wierzchowców. Basile ponownie podniósł rękę, skinął na kogoś, kto krył się jeszcze w mroku pod bramą.

Jason naparł na strażnika, zagraadzającego mu drogę. Chciał widzieć wszystko jak najdokładniej.

Człowiek, który wychynął z ciemności, nie wyróżniał się wiele spośród innych zbrojnych. Też wyglądał na śmiertelnie wyczerpanego. Na długich, zwisających wąsach zastygł mu szron. Płaszcz miał porwany i zakrwawiony. Strażnik prowadził luzaka, przez którego kulbakę przewieszane były dwa wypchane worki. Grube lniane płótno pokrywały plamy, czarne w mieniącym się blasku pochodni i płonącej smoły.

Z nozdrzy konia buchały obłoki pary, cicho skrzypiał śnieg ubijany kopytami i pod podeszwami wysokich butów strażnika. Kiedy zatrzymali się, Basile chwycił wodze luzaka. Rozejrzał się, zanim dał znak.

Strażnik obnażył miecz, klinga załśniła metalicznym blaskiem. Ciął wypchany worek. Na zdeptany śnieg potoczyły się odcięte głowy.

Tłum zawył.

Zbrojni mieszały się z ludźmi, którzy runęli naprzód. Wyrywali sobie makabryczne trofea, unosili za włosy, podrzucali w górę. Jason stał jak

skamieniały, potrącani przez biegnących ludzi – śmiali się i pohukiwali radośnie, bo też zabawa była nie lada. Wciąż widział szkliste oczy kobiety, w zasadzie młodej dziewczyny, której głowa potoczyła się prawie pod jego nogi. Zabawa wkrótce przeniosła się dalej, na wały. Wśród okrzyków i wiwatów częstokół zyskiwał nowe ozdoby.

Basile został sam, wyprostowany w siodle i wyniosły. Znow patrzył na Jasona, ale nie wyzywająco. Przyszło opamiętanie.

Jason bez słowa przyklęknął. Nabrał garść śniegu, przetarł rozpaloną twarz. Potem spojrział na chłopaka, raczej z żalem niż gniewem. Coś ty, kurwa, narobił? – pomyślał. Kim się stałeś?

Pod tym spojrzeniem Basile zgarbił się, ramiona opadły mu nieznacznie. Już nie był tak pewny swego. Poruszył wargami, ale nic nie powiedział. Szarpnął brutalnie wodze, uderzył konia piętami po bokach.

Jason klęczał samotnie na zdeptanym i skotłowanym śniegu, który brukały krwawe plamy. Wciąż słyszał radosne pohukiwania dobiegające z wałów. Znow odezwały się rogi z czatowni. Tym razem brzmiały triumfalnie, kiedy oznajmiały zwycięstwo młodego bohatera.

W zaciśniętej pięści Jasona tajała garść śniegu.

- VIII -

Gdy ty wejdiesz do kraju, który ci daje Pan, Bóg twój, nie ucz się popełniania tych samych obrzydliwości jak tamte narody. Nie znajdzie się pośród ciebie nikt, kto by przeprowadzał przez ogień swego syna lub córkę, uprawiał wróżby, gusa, przepowiednie i czary; nikt, kto by uprawiał zaklęcia, pytał duchów i widma, zwracał się do umarłych. Obrzydliwy jest bowiem dla Pana każdy, kto to czyni. Z powodu tych obrzydliwości wypędza ich Pan, Bóg twój, sprzed twego oblicza.

Księga Powtórzonego Prawa 18, 9

Cumpainz Gilles siedział obok Jasona. Normalnie byłoby to nie do pomyślenia, należał wszak do starszyny. Ale Jason, choć liczony między pospólstwo, dostąpił tym razem nie lada zaszczytu. Podczas uczyty w wielkiej halli zasiadał po lewicy bohatera, pogromcy potwora. Był wprawdzie tylko sługą, ale za to niezbędnym. Basile nie rozumiał ni w ząb miejscowego języka. Jason zastanawiał się, jak na wyprawie porozumiewał się z kompanami. Widać do ucinania łbów nie jest niezbędne bogate słownictwo.

Bohater był zmęczony. Uczta jeszcze się na dobre nie rozkręciła, a już przemawiał bełkotliwie i niewyraźnie. Nie przejmował się wcale, że nikt poza Jasonem go nie rozumie. I oczywiście poza Gilles'em, który nawet drgnieniem powieki nie dawał tego po sobie poznać.

Jason ostrożnie popijał ze stojącego przed nim kubka. Kiedy pociągnął pierwszy łyk, dość późno, bo posługujący starannie go z początku omijali, zakrztusił się i łzy stanęły mu w oczach. Długo kaszłał przy akompaniamencie rubasznego śmiechu Gilles'a, nie mogąc zaczerpnąć oddechu. Ponieważ nie znali tu, jak widać, piwa ani wina, Jason był przygotowany na sfermentowane mleko o paskudnym smaku. Nie spodziewał się piekielnej istic gorzałki.

Wprawdzie zdarzyło mu się już pić coś podobnego, ale w jego świecie uważano gorzałkę raczej za środek leczniczy. Tu żłopali ją kubkami i garncami, jak tylko służba zdążyła dopełniać je z wytoczonej baryłki.

Basile też się nie oszczędzał. Niezwyczajny do trunków o takiej mocy, szybko poczerwieniał, oczy nabiegły krwią, spojrzenie stało się mętne. Wdał się w długą dyskusję z zasiadającym obok niego starszym osady, człowiekiem wiekowym i otyłym, z którego spoconego oblicza, nawet teraz, biło odpychające okrucieństwo. Wielmoża też był pijany lub przynajmniej takiego udawał. Przekrzykiwali się wzajemnie, nie zwracając wcale uwagi, że się nie rozumieją. Nie przeszkadzało im to być w jak najlepszej komitywie.

Wielką hallę zasnuwał dym z łuczyw i paleniska. Wiatr zamiast wyciągać, wtłaczał go z powrotem przez dymniki przy każdym silniejszym powiewie. W mrocznych kątach leżeli już ci, którzy zbyt entuzjastycznie podeszli do gorzałki, część biesiadników złożyła głowy na własnych ramionach i nieheblowanych deskach długich stołów.

Ale większość zaczynała bawić się w najlepsze. Wydzierali się ochryple, intonując niemelodyjne pieśni, w których trudno było doszukać się zrozumiałych słów. Walili dla akompaniamentu w stoły kubkami i garncami. Czasem naczynia nie wytrzymały takiego traktowania i pękały, co ochlapani gorzałką towarzysze kwitowali kpinami z nieszczęśnika, któremu w mokrej garści pozostały tylko skorupy.

Jason pił mało, jadł jeszcze mniej, świadomy, czym karmiono wieprze. Inni nie mieli takich obiekcji. Na drewnianych tacach pozostały tylko szkielety unurzane w gęstym sosie. Sterczały obrane z mięsa klatki żeber. Co rusz od ściany ze stukotem odbijała się ogryziona kość, ciśnięta za siebie przez któregoś z biesiadników. Czasem wybuchały kłótnie, kiedy zamiast w ścianę gnat trafił kogoś w głowę. Ale jak na razie sprzeczki kończyły się wyzwiskami, bójki gasły w zarodku.

– Spokojna uczta – skwitował cumpainz Gilles, nachyliwszy się do Jasona. – Zmęczenie ich zmogło, zdrożeni są, to i mało rozrabiają.

Jason nic nie powiedział, przyglądał się tylko. Nie był zbyt ciekaw, jak wyglądają te niespokojne.

Dwóch strażników stanęło naprzeciw siebie na środku halli. Odganiaли kręcącą się służbę, której zresztą nie musieli zbyt ponaglać. Pachołkowie szybko zmykali pod ściany, poza jednym, gapiowatym zapewne. Temu trzeba było pomóc kopniakiem, wymierzonym celnie w samą kość ogonową. Wrzask utonął w śmiechu, a na zgiętego w pół, kulejącego nieszczęśnika posypały się ogryzione gnaty. Niecelnie rzucone puste kubki rozpryskiwały się z trzaskiem.

Błysnęły obnażone ostrza. Jason drgnął, lecz poczuł, jak Gilles uspokajająco kładzie mu dłoń na kolanie.

– Spokojna uczta – powtórzył druid. – Pij i nie przejmuj się.

Obaj przeciwnicy nieźle się już spili. Ledwie trzymali się na nogach, ruchy mieli miękkie i niepewne. Jason odetchnął głęboko, pociągnął posłusznie łyk gorzałki, przełknął. Wstrząsnął się, czym zasłużył na kolejny, kpiący uśmiech Gilles'a. Nie chciał pić więcej, na razie czuł jedynie miłe ciepło, kiedy gorzałka spłynęła do żołądka. Ale odczuwał też dziwną lekkość i plątaninę myśli. Skupił wzrok na walczących strażnikach. Nikt z biesiadujących, poza Jasonem chyba, nie zwracał na nich większej uwagi. Nawet słudzy powrócili. Przemykali się ostrożnie, bacząc, by nie wpaść pod czyjś wzniesiony miecz.

Pojedynek, początkowo żartobliwy, nabierał tempa. Walczący zdążyli zapomnieć, że przecież szło tylko o wykazanie się zręcznością. Teraz cięcia, które miały być sygnalizowane, stawały się szybsze, jak tylko pozwalały przytępione gorzałką zmysły walczących. Ostrza zderzały się coraz mocniej, z coraz głośniejszym szcękaniem, choć wciąż uderzenia wyprowadzane były na oręż przeciwnika, nie tak, by osiągnąć wrażliwych punktów.

Basile nadal opowiadał coś rozwlekłe i z przejęciem starszemu osady. Ten nie słuchał już, podparł głowę i wyglądał, jakby miał za chwilę osunąć się pod stół. Jednak Jason złowił błysk jego spojrzenia, wciąż czujnego, mimo iż oczy wielmoży, i tak małe z natury i pływające w tłuszczu nalanej twarzy, zdawały się same zamykać. Nie tylko ja tu oszukuję, pomyślał, widząc, że z kubka stojącego przed starszym nic nie ubywa.

Klinga zgrzytnęła na kamiennej ścianie, skrzesała iskry. Jeden z walczących potknął się, jego cios nie trafił w zastawę, ciężki miecz zatoczył szeroki łuk. Przeciwnik wykorzystał to, z chytrym uśmieszkiem

na spoconej gębie kopnął pechowca pod kolano. Strażnik zawył, głośne śpiewy i rozmowy przypominające bardziej kłótnie i przekrzykiwania zamilkły. W nagłej ciszy było słycać tylko bełkotliwy, tubalny głos Basile'a.

– ... i mówię wam, panie, jakżem go zdzielił...

Olbrzym urwał, uciszony jednym gestem starszego osady, który nie tak dawno jeszcze udawał kompletnie pijanego. Teraz przywódca wstał z ławy, oparł na stole włochate łapska.

Kopnięty podstępnie strażnik zwijał się z bólu na polepie, tuż pod wielkim obramowanym kamieniami paleniskiem. Chwilowy zwycięzca nie wyglądał już na pijanego. Okrążał powalonego przeciwnika z okrutnym uśmiechem, wybierając miejsce do następnego kopnięcia. Celował najwyraźniej w głowę. Jason przełknął ślinę, wyobraziwszy sobie, co się stanie, kiedy ciężki but trafi w wykrzywioną bólem twarz i zdruzgocze kości. Spojrzał na Gilles'a, potem na starszego osady. Obaj obserwowali rozgrywającą się scenę ciężkim, nieruchomym wzrokiem. Widać żaden nie zamierzał się wtrącić.

Jednak gorzałka spowolniła ruchy strażnika. Kopnięcie było na tyle niezdarne, by leżący zdążył je zablokować poderwanym w ostatniej chwili przedramieniem. Podbicie buta uderzyło z głośnym trzaskiem, Jason poczuł nagły skurcz żołądka, gdy pomyślał, że kości nieszczęśnika musiały pęknąć. Ale prawie pokonany już strażnik był twardy. Stęknął tylko i nie bacząc na ból, chwycił drugą ręką za nogę kopiącego, poderwał w górę. Napastnik runął ciężko. Miecz wypadł mu z ręki, kiedy padał plecami prosto w palenisko. Chciał się zerwać, chwilę tarzał się w płonących węglach. Kiedy podparł się rękoma, rozległ się wrzask, głośniejszy niż wszystkie poprzednie. Jason przysiągłby, że usłyszał syk, gdy skóra nagich dłoni zetknęła się z rozpalonymi kamieniami. Poczuł ostry swąd palonego mięsa.

Strażnik ryczał, unosząc w górę dłonie, których skóra została na kamieniach, niczym zdjęte rękawice. Do jego ryku dołączył się urągliwy rechot co przytomniejszych jeszcze biesiadników i niewyraźne, acz plugawe wyzwiska.

Drugi zbierał się powoli, twarz miał wykrzywioną bólem i nienawiścią. Wstał chwiejnie, kulejąc zrobił krok czy dwa. Prawa ręka zwisała mu bezwładnie.

Stanął nad skowyczącym przeciwnikiem, który zdążył się wyczołgać na polepę. Ten ucichł nagle. Wzniósł tylko pozbawione skóry, czarne i krwawiące dłonie, jakby chciał powstrzymać cios. Nie jęczał nawet, sapał głośno i chrapliwie. Z tłącego się odzienia unosiły się smużki dymu.

Cios nie padał. Zwycięski acz poturbowany strażnik odwrócił się od pokonanego, podniósł dumnie głowę. Starął się zapanować nad skurczami bólu, przebiegającymi po twarzy. Znow zapadła cisza, umilkły wyzwiska i śmiechy.

Jason zrozumiał, co za chwilę się stanie. Dumnie wyprostowany zwycięzca spoglądał pytająco na starszego osady. Widać do tłuściocha należała ostateczna decyzja. I okrutny uśmiech na twarzy wielmoży powiedział Jasonowi, jaka to decyzja będzie.

Ale otyły cumpainz klepnął w ramię Basile'a, który toczył dokoła przekrwionym, nic nierozumiejącym spojrzeniem. Basile, nie! – coś wykrzyknęło w głowie Jasona, kiedy już zrozumiał. Jednak nie zdążył poderwać się zza stołu. Na udzie znow zacisnęła mu się ciężka dłoń. Spojrzał w twarz Gilles'a. Siedź, bo zginiesz, wyczytał z jego wzroku.

Basile wstał. Wciąż nie wiedział, czego od niego mogą chcieć. Wreszcie z trudem skupił wzrok na zwycięzcy. Kiedy zrozumiał, na twarz wypełził mu zły uśmiech.

– Wal skurwiela – wybełkotał.

Jeśli strażnik nie rozumiał słów Basile'a, musiał pojąć znaczenie tego uśmiechu. Spojrzał jeszcze na otyłego wielmożę, który skinął głową.

Pokonany wstrzymał oddech, kiedy zwycięzca starannie przymierzał się do kopniaka. Nawet wyprężył się i wyprostował, jakby chciał ułatwić zadanie ostatecznego ciosu. Jason przymknął oczy. Przez długą, bardzo długą chwilę nic nie słyszał. Aż wreszcie, po wysiłonym stęknieniu rozległ się głuchy trzask, kiedy ciężki but zdruzgotał szczękę i kość jarzmową.

Jason nie otwierał jeszcze oczu. Nie było owacji ani oklasków, okrzyków triumfu czy wyzwisk. Jakby nigdy nic zaczął znow narastać gwar, stukot naczyń i przekleństwa, popłynęły kolejne zwrotki plugawych, pijackich przyśpiewek. Jason poczuł, jak ktoś trąca go w ramię.

– Spokojna uczta, powiadam. – Gilles uśmiechał się ni to z kpina, ni to z melancholią wypisaną na łasiczej twarzy. – Dokazują chłopaki, ot co...

Jason pociągnął spory łyk. Gorzałka paliła w gardle, ale przynosiła też otepienie i spokój. Widział, jak kompani otoczyli zwycięzcę. Poklepywali go po ramionach, a on śmiał się mimo bólu, jaki sprawiały mu przyjacielskie kuksańce. W zdrowej ręce trzymał kubek, którym trącał się z przepijającymi do niego. Trunek chlustał z naczyń, spadające krople skrzyły się czerwono w świetle łuczyw.

Dwóch służących odciągało pokonanego. Jego zmasakrowana głowa podskakiwała na nierównościach polepy, zostawiając za sobą błyszczącą smugę. Żył niewątpliwie, bo wciąż skowyczał, mimo gwaru było go wyraźnie słychać.

Spokojna uczta, pomyślał Jason, i pociągnął długi łyk. Gorzałka zaczynała przypadać mu do gustu.

Jason odchylił się w tył, oparł o kamienną ścianę. Czuł się już nieco lepiej. Uczta zmierzała chyba do końca, bardziej lub mniej szczęśliwego. Coraz to nowi biesiadnicy osuwali się pod stoły lub byli bezceremonialnie odciągani na bok, pod ściany przy wejściu. Słudzy poruszali się wolniej, niektórzy zataczali się całkiem jawnie, widać też nie żalowali sobie gorzałki. Tylko staruch, chyba główny podczaszy, był trzeźwy. Skrobał czerpakiem po dnie beczki z wyrazem wściekłości i krzywdy na twarzy. Sam nie pił, nie wiedzieć czemu.

Zabawa dogorywała, w miarę jak dopalały się łuczywa i kończyła gorzałka w baryłce. Jak dotąd nikt więcej nie rozpoczął zwady. Cumpainz Gilles, wciąż trzeźwy, spod półprzymkniętych powiek śledził otoczenie.

Jason miał nadzieję, że już niebawem wszystko się skończy. Ci, co mają zasnąć, zasną, innych wyciągną za nogi lub sami rozejdą się po chałupach. Miał dość tego długiego dnia. Gorzałka stępiła wprawdzie zmysły i doznania, ale wciąż wracały obrazy. Głowy sypiące się z rozprutego worka, wyjący tłum, który nadziewał je na pale ostrokołu. Ogryzione, podziobane przez ptaki szczątki, unurzane w lepkiem błocie. Kość, nienależąca do człowieka, zbyt gruba i masywna, jak te, które

spoczywały żalną kupką na dnie żelaznej klatki obok bramy. Niewątpliwie były pozostawione tam ku przestrodze.

Kość Starszego Ludu. Jak niektóre czaszki na ostrokole, te o dziwnych kształtach potylicy, podobne do ludzkich, lecz obce.

Oni nie mają duszy, Jason. Przypomniał sobie słowa Gilles'a, wypowiedziane z ironicznym zmrużeniem oczu. Są plugastwem. I jeśli sądzisz inaczej, zmień lepiej zdanie. I to szybko.

Zapamiętał dobrze to ostrzeżenie.

Przymknął oczy, lecz otworzył je zaraz, bo świat zakołysał się i zawirował. Z trudem zbierał myśli. Pora kończyć, już wszyscy prawie padli.

Nie docenił Basile'a.

Chłopak uniósł nagle głowę z drewnianego półmiska, w którym jeszcze dopiero co pochrapywał. Po policzku spływał mu gęsty sos, na brodzie przylepione miał włókienka mięsa z pieczeni.

Macał po stole jak ślepiec, aż natrafił na przewrócony kubek. Chwycił go, z trudem skupiając wzrok, zaglądał do środka, jakby spodziewał się znaleźć tam jeszcze choć odrobinę gorzałki. Oczywiście nie znalazł.

Cisnął naczyniem w palenisko, aż rozprysnęło się na kamieniach. Potoczył spojrzeniem dookoła. Przez chwilę wydawało się, że zaraz usiadzie i osunie znowu w pijacki sen. Jednak nie.

– Suuuchajcie – zabełkotał. Machnął szeroko ręką.

Jeden, może dwóch bardziej niedopitych uniosło głowy. Pozostali biesiadnicy nie zwrócili na niego uwagi. Basile wykrzywił się z złości. Złapał stojący przed Jasonem kubek i walnął nim w stół z całej siły.

– Słuchajcie! – wrzasnął na cały głos i wyraźniej. Gwar przycichł. Przytomni jeszcze odwracali głowy, spoglądali mętnym wzrokiem. Tłuścioch, starszy osady, nie zmienił pozycji, wciąż wydawało się, że podrzemuje, odchyłony do tyłu, oparty o ścianę. Jednak w wąskich szparkach pomiędzy powiekami błysnęło uważne spojrzenie.

Basile uchwycił się krawędzi stołu. Stał z wysiłkiem, chwiejąc się lekko.

– Wielem bitew stoczył, wielem potworów pokonał – zaczął donośnie. – Ale powiadam wam, żaden z nich nie był tak wredny, jak ten

to leu... lep...

Język mu się splątał, chłopak rozglądał się bezradnie.

– A, jebał go pies, jak się zwał, tak się zwał. Jeden...

Zachłysnął się nagle, zgiął w pół. Dłonią zakrył usta, powstrzymując wymioty. Chwilowo mu się udało. Gdy zdołał się wyprostować, głośno przełknął ślinę

– Jak się zwał, tak się zwał – zaczął już ciszej. – Ale plugawy był, i mój jeno miecz mógł go pokarać.

Puścił jedną ręką krawędź stołu, zachwiał się i o mało nie klapnął ciężko na okrytą skórą, skrzypiącą ławę. Udało mu się jednak utrzymać równowagę. Podniósł zwisające z szyi na rzemieniu kły potwora.

– O! – wykrzyknął tylko.

To widać wszyscy zrozumieli, bo rozległy się okrzyki i wiwaty. Basile rozpromienił się, stał przez chwilę z głupawym, pijackim uśmiechem rozlewającym się na obliczu. Był wyraźnie szczęśliwy. Jason obserwował go z niepokojem. Może się wygada i wystarczy, pocieszał się. I tak go nie rozumieją.

– I powiadam wam... ep! – Basile czknął i zatoczył się – Powiadam, jako do zwycięstwa was powiodłem dziś, tako i jutro powiodę. Zabijemy wszystkich skurwysynów!

Urwał, potoczył wzrokiem po obecnych. Panowała cisza. Walnął pięścią w stół, aż podskoczyły stojące jeszcze na nim naczynia.

– Zabijemy! – huknął na cały głos.

Cisza przedłużała się, Basile miał minę skrzywdzonego dziecka. Usiadł ciężko na ławie, która zaskrzypiała pod jego ciężarem. Szturchnął Jasona łokciem.

– Oni nie chcą – poskarżył się żałośnie. – Może już mnie nie lubią?

Ależ lubią, chciał powiedzieć Jason, tylko lepiej połóż się spać. A jak się wyśpisz, porozmawiamy. Nie zdążył, spostrzegł, jak na twarz Basile'a wypełza wyraz złośliwej chytryści. Nie zdążył też się odsunąć, zanim chłopak chwycił go za gardło.

– To przez ciebie – syknął mu w twarz, mrużąc przekrwione,

nieprzytomne oczy. – Nie chcą, bo nie rozumią. A ty im nie mówisz, co ja mówię.

Jason chwycił go oburącz za przedramię, chciał oderwać jego rękę od gardła. Nie mógł, choć natężył się z całej siły. Olbrzym lekko zacisnął palce.

– Nie mówisz. Myślisz, Basile głupi. Chcesz mnie oszukać, ja wiem...

Uścisk był coraz mocniejszy, Jason chciał zaczerpnąć oddechu, coś powiedzieć. Nie mógł. Ze zdławionego gardła wydostało się tylko ciche charczenie.

– Będziesz mówił? – zaskomlił nagle chłopak, ni to prosząco, ni to rozkazująco. Jasonowi ciemniało już w oczach.

– Lepiej mów – jak przez mgłę dotarł do niego głos Gilles'a.

Skinął głową, to jedyne, co jeszcze mógł zrobić. Uścisk nagle zelżał.

Jason rozcierał jeszcze obolałe gardło, kiedy Basile z całej siły zdzielił go w plecy.

– Wiedziałem, że mnie lubisz – oznajmił.

Objął Jasona i usiłował pocałować zaślinionymi wargami w policzek. Udało mu się.

Teraz słuchali wszyscy. Jeszcze trzeźwiejsi biesiadnicy budzili kamratów przy akompaniamencie przekleństw i wyzwisk. Wstawali zza stołów, by lepiej widzieć przemawiającego bohatera, który wytrzeźwiał chyba nieco, sam porwany wypowiedzanymi słowami.

Przemowa była nieco poplątana, Basile rozwlekłe opowiadał o swych przewagach, o potworach, które własnoręczne zgładził, o dziewicach, które od bestii uratował. Jason powtarzał wszystko rzetelnie w koślawej francuszczyźnie, starając się zniekształcać ją jak miejscowi. Gdy usiłował mówić głośno, bolało go gardło, nie wiedział, czy przepalone gorzałką, czy raczej po nielitościwym uścisku Basile'a. Tym łatwiej było mu powstrzymać ironiczny uśmiech, kiedy powtarzał co bardziej niedorzeczne fragmenty. Przynajmniej nie musiał przygryzać warg.

Jednak miejscowi przyjmowali wszystko z jednakim aplauzem. Owe bestie zgładzone, dziewice ocalone dobrze przystawały do wizerunku bohatera, pogromcy potworów... Słuchali z podziwem, graniczącym z uwielbieniem. Basile idealnie wypełniał przepowiednię, pasował do niej jak ulał. Był potężny, silny, a przy tym okrutny i gwałtowny jak oni sami. Dowiódł tego przecież, okazał się jednym z nich. A zarazem bohaterem, lepszym od nich i silniejszym. Takim, który może ich poprowadzić.

Basile urwał, może chwilowo skończyły mu się potwory i dziewice. Jason powiódł spojrzeniem po twarzach zgromadzonych. Poczł dreszcz, gdy zobaczył wypisane na nich okrucieństwo i gwałtowność, jakby wzmożone jeszcze blaskiem czerwieni dogasających łuczyw.

Miał złe przeczucia, nie podobał mu się wyraz twarzy tłuściocha, starszego wioski. Ów człowiek, na pozór otyły i nieruchawy, miał w sobie coś z opasłego kocura, czatującego przy mysiej dziurze. Siedział nieruchomo, można by pomyśleć, że jest równie zamroczony jak reszta biesiadników i czeka tylko na dogodny moment, by wyciągnąć się na ławie i zachrapać. Ale Jason widział coś, co zdradzało napięcie – nieznaczne ruchy krótkich, serdelkowatych palców, powstrzymywane postukiwanie w zalany gorzałką i sosem blat.

Ten człowiek słuchał uważnie. I rozumiał niewątpliwie, co mówi Basile, zanim jeszcze Jason zdążył powtórzyć jego słowa w miejscowym narzeczu. Tłuściocha zdradzały odruchy, doskonale maskowane, ale przecież dla wytrawnego gracza doskonale przejrzyste. Jason uśmiechnął się. Przegrałbyś ze mną jak nic, pomyślał, cienki jesteś jeszcze. Ciekawe, czy grywasz w kości, sprawdzimy, co potrafisz.

Zatęsknił nagle za stukotem kości toczących się po blacie. Kiedyś uważał tamto życie za niebezpieczne. Aż się skrzywił, gdy o tym pomyślał. Daleko zaszedłem od czasów, kiedy siadałem do gry z młodym paniczem. Nie mógł sobie przypomnieć, jak go zwali. Godric? Gotfryd? Zabawne, westchnął, o mało mnie nie zabił, a ja nie pamiętam jego imienia. Ciekawe, co się z nim teraz dzieje. Pewnie nadal chla po karczmach, ze swoim giermkim, teraz kulawym. Nie ma kary na takich, mogą robić, co chcą.

Basile wciąż nie mógł zebrać myśli do dalszej przemowy, lecz obecnym to nie przeszkadzało. Wciąż wpatrywali się w niego jak w obrazek, mimo iż tylko potrząsał wielką, zaciśniętą pięścią. Tak też widać

pasował do wizerunku lokalnego bohatera. Jasona znów opadły złe przecucia.

By je odegnąć choć na chwilę, wrócił myślą do panicza, Gilberta, jak sobie właśnie przypomniawszy. Wezbrała w nim irracjonalna złość. W końcu przez tego nieokrzesanego chłystka wpakował się we wszystko. Za jego przyczyną postrzelono go w bebechy, a teraz siedział w innym świecie, którego istnienia nie podejrzewał przedtem w najśmielszych snach, pośród ludu o dzikich obyczajach, w samym środku ciągnącej się od pokoleń wojny, słuchając przechwałek przygłupiego olbrzyma, niegdysiejszego zbója. Co gorsza nie miał żadnego pomysłu, jak z tego świata się wyrwać. I gnębiły go przecucia, że nawet jeśli się wyrwie, to i tak będzie gorzej. Zazwyczaj bowiem tak było, jak uczyło doświadczenie ostatniego roku z okładem.

Czasem miał dość wizji i snów, których nie rozumiał, dość wplątywania w nie swoje przeznaczenie, nie swoją zemstę. Obrywał tylko za nie swoje winy. Z nienawiścią wspomniawszy Gilberta, gdyby nie on... Ech, przemknęło mu przez głowę, takiemu to dobrze. Chciałbym przez chwilę poczuć się jak on...

Ból przeszył Jasona nagle, jakby ktoś pięścią zdzielił go pod żebra, prosto w wątrobę. Promieniował na plecy, pod łopatkę. Jason zwinął się na ławie. Pociemniało mu w oczach. Zanim przestał widzieć cokolwiek, zdawało mu się, że dostrzega las, korony drzew widziane z dziwnej perspektywy. I zielone oczy, puste i okrutne.

Ocknął się z głową opartą na stole, pod policzkiem czuł lepki sos. Cumpainz Gilles szarpał go za ramię.

Jason podniósł głowę, rozejrzał się niezbyt jeszcze przytomnie. Wnętrze halli kołowało mu przed oczyma, czuł ucisk w skroniach jak po wizji. Miał wrażenie, że dowiedział się właśnie czegoś bardzo ważnego.

Zachwiał się. Gilles musiał podtrzymać go pod ramię, by nie spadł z ławy i nie stuknął czaszką o kamienną ścianę.

– Musisz uważać. – Jasonowi zdawało się, że w głosie byłego druida, obecnie zabójcy potworów w tym skarłałym i paskudnym świecie, słyszy kpinę. – Odpowiadasz za swoje myśli, nie tylko za słowa.

To, co było istotne, uleciało bezpowrotnie. Ale Jasonowi wydawało się, że rozumie przestrożę.

– Uważaj i skup się – dodał Gilles. – Twój suzeren znów przemówi.

Jason zachnął się na dźwięk tego słowa. Ale musiał przyznać, że Gilles miał rację. Tak się właśnie ułożyło. Ciekawe, co z tego dalej wyniknie.

Suzeren Jasona rzeczywiście zbierał myśli. Zmarszczył się, natężył, jakby ubranie ich w słowa kosztowało niezmiernie wiele wysiłku, i tak też zapewne było. Wyglądał zaiste imponująco ze zmarszczonym groźnie czołem.

– Słuchajcie! – wrzasnął wreszcie.

Spojrzał groźnie na Jasona i trącił go bezceremonialnie pięścią. Ten wzruszył ramionami.

– *Car m'entendez, m'enguardes* – powtórzył. – *Ço dit li cumpainz...* – dodał od siebie.

Basile łypnął podejrzliwie, coś mu się nie zgadzało, ale tym razem nie stuknął tłumacza pięścią w plecy. Rozpromienił się zaraz na widok reakcji kompanów.

– *Pur vos le dei ben faire!* – wrzasnął jeden z nich, pleczysty drab z brodą upapraną gęstym sosem.

Walił się pięścią w pierś, szeroką i owłosioną pod rozprutym kubrakiem.

– *Vus dites veir!* – Drugi ledwie trzymał się na nogach, wodząc błędnym, szklistym spojrzeniem. W niczym nie przeszkadzało mu to przyznać racji bohaterowi. Zapewne dałby się za nią też posiekać.

Jason ledwie powstrzymał wzruszenie ramion. Byleby tylko szybko skończył, pomyślał, i tak go przecież kochają i pójdą za swym bohaterem w ogień. Jutro z nim pogadam, jak wytrzeźwieje, może coś trafi do tego pustego łba.

Były powody do niepokoju. Jason widział zły, starannie ukrywany błysk w półprzymkniętych oczach starszego osady. Ten człowiek gotował się z bezsilnej złości. Nie mógł przeciwstawić się przepowiedniom, przecież na wierzeniach i wieszczbach opierał swą władzę. Inaczej musiałby wciąż walczyć. Ten świat tak wyglądał. Kto nie był czujny i nieufny, szybko umierał.

Podstarzały tłusciuch nie mógł nic zrobić. Dzisiaj własni ludzie roznieśliliby go na strzępy, gdyby choć krzywo spojrzął na bohatera. Ale

Jason był pewien, że coś wymyśli, i to już niedługo.

Nie mylił się, nie przypuszczał tylko, że nastąpi to tak szybko.

Stary przywódca ciężko podniósł się z ławy i wsparł poufałym gestem dłoni na ramieniu Basile'a. Jason poczuł mimowolny podziw dla człowieka, który w ten prosty sposób potrafił zrównać się z legendą, pokazać, że nie jest gorszy. Co więcej, chciał uspić czujność Basile'a. Zupełnie niepotrzebnie, bo naiwność olbrzyma nie miała granic.

Teraz część uwielbienia i podziwu stała się udziałem tłuszciocha. Jason nie mógł przecenić sprytu tego człowieka. Przewidywał, i prawie był pewien, jak się sprawy dalej potoczą.

I tak też się potoczyły.

Stary przemówił. Poklepywał Basile'a po plecach, poufałym gestem podejmował pod ramię. Jason niechętnie musiał przyznać, że był dobrym mówcą. Pojedyncze okrzyki kamratów prędko przeszły w miarowe skandowanie, którym kwitowali każde zdanie swego przywódcy. Jason zrozumiał, że w tej chwili ów człowiek mógłby poprowadzić ich na śmierć, a oni ruszyliby za nim ochoczo. Nie, nawet nie za nim. Przed nim.

Basile nic nie rozumiał, ale gesty były wystarczająco wymowne. Chłopak nawet na trzeźwo łatwowierny, teraz odurzony był bez reszty, po części gorzałką, po części też podziwem i nawet uwielbieniem. Jason pojął, że za nim ci ludzie też niewątpliwie pójdą. I o to właśnie chodzi przebiegłemu tłuszciochowi.

Pozostawała kwestia ceny, jaką zapłaci Basile. Już nie był sobą, wolno myślącym i ociężałym, ale poczciwym chłopakiem. Jason dostrzegł rys okrucieństwa, który pojawił się na opuchniętej od pijaństwa, zmęczonej twarzy, razem z wyższością i pogardą.

Ile z tych głów ściąłeś sam, Basile? – pomyślał Jason. Ten świat, ta okrutna moc przeniknęła cię już do głębi. Wydobyła słabości, wszelkie skrywane żale, głęboko schowaną złość i nienawiść. Ten świat nie jest nasz, nie należymy do niego. Zmienia nas tak, że sami się wykończymy, usuniemy wzajemnie, aż pozostanie takim, jaki był przedtem. Co wydobędzie ze mnie? Czego jeszcze o sobie nie wiem?

Zapewne snuły dalej te posępne rozważania, ale znów powstała wrzawa. Pijani strażnicy obnażyli miecze. Ostrza błyskały mdło w świetle dogasającego paleniska. Już dawno nikt nie dorzucał polan, ich resztki

dopalały się właśnie i obracały w popiół. Nikłe płomienie pełgały nad czerwonym żarem, ludzkie twarze skrywał mrok. Jaśniały tylko białka wytrzeszczonych oczu.

– *S'aiderez a conduire m'enguardes!* – Stary tłuścioch poklepywał Basile'a po plecach.

Olbrzym uśmiechał się głupkowato i kiwał głową.

Sprytne, pomyślał Jason z niechęcią. Pomóż mi ich poprowadzić. Moich strażników, moich ludzi. Przywódca właśnie pokazał, gdzie jest miejsce bohatera. Bohater stawał się narzędziem.

Tłuścioch panował nad zgromadzonymi. Miał doświadczenie, w końcu byli to jego ludzie. Wiedział, w jakie tony uderzyć, kiedy pokazać siłę, a kiedy pochlebić. Gdy władczy gestem unosił dłoń, gwar cichł.

– *Il ne crent hume vivant, il ne crent leuparz! N'at tel bete suz la ciel...*

Jason przestał słuchać. Wszystko już wiedział, jasne się stało, co umyślił stary spryciarz. Basile rzeczywiście ich poprowadzi, przecież nie zna strachu przed ludźmi ani potworami. Oni wierzą, że nie ma na świecie takiej bestii, która mogłaby go pokonać, i podążą za nim bez wahania. Zwłaszcza tam, gdzie bohatera czeka śmierć.

Basile był naiwny. Jason nie miał żadnych złudzeń, że posłucha człowieka, który teraz wychwala jego cnoty i męstwo. Będzie szczęśliwy, nie zaświta mu nawet myśl o zdradzie. Nie wpadnie na to, że jest najgorszą rzeczą, jaka mogła się przytrafić staremu, tłustemu przywódcy. Jest zbyt prosty i łatwowierny. Ale też wystarczająco ambitny, jak się właśnie okazało.

– *Vos estes bons vassals! Tant cum Basil vivet...*

Gilles też widział, co się dzieje. Już miał coś powiedzieć, ale Jason kiwnął tylko głową. Doskonale rozumiał, na co chce zwrócić uwagę druid.

– *Girart, un malvais hom de put aire...* – syknął Gilles ze złością i zadawniona nienawiść ściągnęła mu twarz.

Jason skrzywił wargi w złym uśmiechu. W rzeczy samej, Girart okazał się skurwysynem. Niestety sprytnym, pomyślał Jason niewesoło.

Przedstawienie zbliżało się do końca. Basile patrzył na Girarta maślanym wzrokiem, wreszcie czuł się doceniony i uznawany. Był wśród

swoich i nie musiał już się wstydzić ani uważać za gorszego.

Girart sięgnął po oparty o kamienną ścianę ciężki, dwuręczny miecz. Nie bez wysiłku uniósł oręż. Zgrzytnęła wysuwana z pochwy klinga. Na wciąż splamione rdzawą czerwienią ostrze padały nikłe refleksy z żarzącego się paleniska. Jason poczuł, jak ogarnia go chłód, kiedy znów pomyślał, ile głów ściał Basile. Ilu musiał zabić, żeby zasłużyć na uznanie. Przecież to nie była jego wojna.

Ostrze drżało. Choć Girart trzymał oburącz, jednak miecz był dla niego zbyt ciężki. Ale jak długo mógł, unosił go w górę. Chciał, by ta scena zapadła w pamięć.

– *Tenez l'espee, meillur n'en at nuls chevaler!* – wykrzyknął w końcu głosem napiętym i zduszonym przez wysiłek. – *L'espee, ki est e bone e lunge!*

Wybuchła wrzawa. Strażnicy skandowali imiona wodzów. Girart i Basile. Basile i Girart.

Młody bohater wyprostował się dumnie. Ujął rękojeść miecza i bez wysiłku dźwignął jedną ręką w górę.

Jason poczuł skurcz w żołądku. Stało się to, czego się obawiał. Już nie słyszał owacji, nie słyszał intonowanych nieskładnie pieśni. Girart postawił na swoim. Obcy bohater, pogromca bestii stał się jego bohaterem. Starszy obrócił wieszczbę, która przynieść mu mogła upadek i utratę władzy, na swoją korzyść. To on, nie kto inny wręczył miecz.

Gilles zaklął pod nosem.

– Sprytny skurwiel – mruknął, nachyliwszy się ku Jasonowi. – *Przegrałeś, m'veill.*

Może jeszcze nie, pomyślał Jason bez specjalnej nadziei.

Jason odetchnął głęboko. Zakręciło mu się w głowie od ostrego i zimnego powietrza.

Zaraz za progiem omal nie przewrócił się o ciało rozciągnięte na zdeptanym śniegu. W pierwszej chwili pomyślał, że może ucztą nie była

jednak taka spokojna, jak zapewniał cumpainz Gilles, skoro trupy leżą tuż pod hallą. Ale donośne chrapanie szybko wyprowadziło go z błędu.

Przekroczył ostrożnie strażnika, starając się na niego nie nadepnąć. Pijany do nieprzytomności człowiek zacharczał, wymamrotał coś, co zabrzmiało jak plugawe przekleństwo, po czym zachrapał jeszcze głośniej. Wkrótce wytrzeźwieje, pomyślał obojętnie Jason, albo zamarnie.

Następny z biesiadników, na którego natknął się parę kroków dalej, rzygał właśnie, wsparty o węgiel chałupy. Jason nie zauważyłby go nawet, gdyby nie odgłosy, na dźwięk których jemu od razu żołądek podszedł do gardła. Człowiek stał w mroku, skryty pod okapem trzcinowej strzechy przed blaskiem księżyca.

Jason chciał jak najszybciej dotrzeć do chaty, wyciągnąć się na narach i wreszcie zapaść w sen. Miał nadzieję, że gdy Basile wytrzeźwieje, da przemówić sobie do rozsądku. A potem trzeba za wszelką cenę szukać wyjścia. Odnaleźć drogę powrotu, jak Match. On przecież odnalazł, Jason ze wszystkich sił chciał w to wierzyć, mimo przerażających wizji, których wciąż nie mógł zapomnieć. Wiedział, że jest przyjacielowi potrzebny, że bez niego...

Zatrzymał się jak wryty, miał ochotę sam palnąć się w czoło. Uświadomił sobie coś niezwykle ważnego.

Cumpainz Gilles nic nie wiedział o Matchu. Nikt nie wiedział. Jason nie miał zaufania do druida. Za mało jeszcze rozumiał, zbyt wiele nie pasowało, obserwacje i domysły nie składały się nadal w spójną całość. Nie odkrył wciąż motywów Gilles'a, ani do czego sam mu jest potrzebny. Mogło chodzić o rzecz najprostszą, czyli o władzę. Ale Jason miał niejasne podejrzenia, że nie tylko o nią.

Niech to szlag, Basile może się wygadać, pomyślał z niepokojem. Jeśli już nie wygadał.

W pierwszej chwili chciał wracać i obudzić chłopaka, który wkrótce po symbolicznym otrzymaniu miecza osunął się na ławę, zmorzony gorzałką i emocjami. Ostatecznie nie codziennie można stać się z przygłupa bohaterem, pomyślał Jason z przekąsem.

Ale nie był to chyba najlepszy pomysł. Uczta wciąż trwała i nie zanosilo się, by jej kres nadszedł wcześniej, nim padnie ostatni z

uczestników. Tym bardziej że skądś wytoczono nową baryłkę, której strzegł wściekły staruch z czerpakiem. Ci zaś, którzy padli wcześniej, po krótkim odpoczynku wypełzali teraz spod ścian i pili od początku. Aż tutaj niosły się śpiewy, głośniejsze nawet niż przedtem.

Jason stał niezdecydowany. Obawiał się pozostawić sprawy własnemu biegowi. Kiedy odchodził, wciąż trzeźwy Gilles ponuro wpatrywał się w swój kubek. Wyglądało, że liczył na coś innego. Może na otwarty konflikt, nawet na śmiertelną walkę, w której zapewne Girart nie miałby szans. Ale to właśnie on okazał się sprytniejszy.

O druidzie Jason myślał z niepokojem. Uważał, że jest on wystarczająco przebiegły i nieufny, by wypytywać Basile'a. W zasadzie Jason był pewien, że tak uczyni, gdy tylko nadarzy się okazja.

Ruszył z powrotem. Nie mógł ryzykować, by Gilles dowiedział się, że coś przed nim ukrywa.

Gdy dochodził do wielkiej, przysadzistej budowli, przy wejściu, oświetlonym od wewnątrz blaskiem paleniska, wszczął się tumult. Ktoś wyleciał ze środka, śmiesznie wymachując rękoma, potoczył się po śniegu. Bluzgał przekleństwami, zanim podniósł się wreszcie i wpadł z powrotem do halli. Jason przystanął i zaraz przezornie cofnął się w cień, pod okap strzechy najbliższej z chat. Zaklął tylko, gdy otarł się o trzcinę i garść śniegu sypnęła mu się za kołnierz. Nie po raz pierwszy tego dnia pożałował, że nie nosi broni.

Jego przezorność została nagrodzona. Cień znów przysłonił jaśniejący w mroku prostokąt. Kilka niewyraźnych sylwetek wytoczyło się na zewnątrz. Jason zobaczył blade plamy twarzy, usłyszał przekleństwa i wyzwiska, potem odgłos uderzenia. Przed wejściem zakotłowało się i ciemne kształty zwarły ze sobą. Ktoś zaskowyczał, krótko i boleśnie.

Jason myślał, że to zwykła pijacka burda. Komuś złamię nos, kogoś popędzą na kopach. Lekkomyślnie wyszedł z ukrycia i wtedy załśniła klinga. Zatrzymał się jak wryty. Od walczących dzieliło go jeszcze kilkanaście kroków.

Cios spadł tak szybko, że nie sposób było go złowić spojrzeniem. Jason dostrzegł tylko rozmazany błysk stali i zaraz dobiegł obrzydliwy odgłos, ni to trzask, ni to młaśnięcie. Ciemny, okrągły przedmiot na moment wzleciał w górę, po czym poturlał się po śniegu, podskakując na

nierównościach i znacząc zdeptaną biel ciemnymi plamami. Tuż pod stopami Jasona zakręcił się jeszcze raz i znieruchomiał.

Blask księżyca odbił się w martwych oczach. Powieki drgały wciąż lekko, by po chwili wreszcie znieruchomieć. Nie mógł oderwać wzroku od odciętej głowy. Poznał tę twarz, choć była wykrzywiona śmiertelnym skurczem, a ściągnięte wargi odsłaniały zęby w koszmarnym uśmiechu. To był zwycięzca okrutnego pojedynku podczas biesiady. Niedługo cieszył się wygraną, pomyślał Jason.

Kiedy śnieg zaskrzypiał pod czyimiś krokami, Jason odwrócił się.

– Spokojna uczta, powiadasz? – spytał, gdy poznał, kto przyszedł.

W jego głosie nie było nawet ironii. Przestał się już dziwić, nie potrafił osądzać.

Cumpainz Gilles przytaknął skinieniem głowy.

– A tak – odparł równie poważnie. – Wyjątkowo spokojna.

To cud, że nie pozabijaliście się jeszcze wszyscy nawzajem, pomyślał Jason.

– A jak wyglądają te niespokojne?

Gilles błysnął zębami w niewesołym uśmiechu, jego szczupła, łasicza twarz skrzywiła się.

– Wierz mi, nie chciałbyś wiedzieć.

Roześmiał się głośno. Odwrócił się i odszedł. Jego śmiech rozlegał się coraz mocniej, odbijał się echem od ścian przysadzistych chałup, wznosił w niebo rozjaśnione martwym, rtęciowym światłem księżyca. Jason został sam, jeśli nie liczyć dwóch czy trzech pochrapujących na śniegu pijaków. I tego, który spoczywał najspokojniej, aczkolwiek w dwóch kawałkach.

– Jason! – Głos był bełkotliwy i prawie niezrozumiały. Jednak ton nie pozostawiał żadnych wątpliwości. To był rozkaz. Tak przywołuje się sługę albo, co gorsza, psa.

Jason zatrzymał się, klnąc pod nosem. Basile ledwie trzymał się na

nogach. Jego dwaj równie pijani kompani podtrzymywali go z obu stron. Wytoczyli się wszyscy na wąską, zasypaną zdeptanym śniegiem uliczkę. Przeklinając głośno, ominęli chrapiących pijaków i bezgłowe ciało zaraz za progiem.

To nie jest najlepsza sposobność do rozmowy, uświadomił sobie Jason. Basile najwyraźniej nadal zamierzał udowodniać sobie i innym, kim jest. Można było się spodziewać, że zahukanemu niegdyś olbrzymowi zaszczyty uderzą do głowy. Jason wciąż jeszcze żywił nadzieję, że chłopak opamięta się, kiedy wytrzeźwieje. Ale ta nadzieja słabła coraz bardziej.

– Jason, khuurwa – wybełkotał Basile, zniecierpliwiony oczekiwaniem. – Cho no tu...

Był zły. Już zdążył się przyzwyczaić, że wszyscy słuchają jego rozkazów bez szemrania. Nawet zbrojni, równi kamraci, skorzy do bójki i pijaństwa. A ten się stawia, nie przybiega natychmiast. Twarz chłopaka wykrzywiła irytacja.

Odrzącił kompanów i kiwnął palcem przynaglająco. Jason zaklął głośniej. Nie warto się kłócić, pomyślał gniewnie. Ale poczekaj, gnoju, jak wytrzeźwiejesz.

Kiedy tylko Jason stanął przed nim, złość zniknęła z twarzy chłopaka, zastąpiona przez pijackie rozczulenie. Basile poklepał go po policzku, dość boleśnie, bo nie miarkował własnej siły. Popatrzył dumnie na kamratów.

– Mój Jason, mój...

Jason zmilczał, choć wewnątrz zagotował się z wściekłości. Policzki paliły. Basile objął go ramieniem, przy wtórze rechotu kamratów.

Jeden z nich, starszy już człowiek w zarzyganym z przodu kubraku i wyłupiastych, rybich oczach, chciał pójść w ślady chłopaka. Wyciągnął rękę do twarzy Jasona.

Ten, niewiele myśląc, trzepnął go po łapie otwartą dłonią. Strażnik wybałuszył oczy, bardziej zaskoczony niż rozeźlony. Był na tyle pijany, że na tym pewnie by się kończyło, gdyby nie gromki śmiech kompanów. Słyszając go, odstąpił o krok i, klnąc, począł macać przy boku w poszukiwaniu rękojeści. Daremnie, gdyż nie miał nawet pasa, spod kubraka wylewało się tylko ogromne brzuszysko. Musiał zapodziać

gdzieś broń podczas pijaństwa.

Kamraci zataczali się z uciechy na widok tych poszukiwań. Strażnik zeźlił się w końcu, wziął szeroki zamach. Rybie oczy ożywiła nienawiść.

Jason uchylił się bez trudu. Pięść nie musnęła nawet jego twarzy, a rybiooki zachwiał się i z trudem utrzymał równowagę. Ale zaraz zamierzył się ponownie, bluzgając przekleństwami.

Basile zmarszczył się gniewnie, jego pięść wystrzeliła i trafiła strażnika dokładnie między oczy. Rybiooki padł na wznak jak rażony, uderzając czaszką o ziemię. Rozległo się głucho chrupnięcie, słyszalne nawet przez rechot kamratów, tarzających się już po śniegu z uciechy. Wyprężone ciało drgnęło raz i drugi, strażnik znieruchomiał z głową odrzuconą pod dziwnym kątem w bok. Miał złamany kark.

– Mój Jason, mój... – Basile z rozczuleniem powrócił do klepania Jasona po policzkach.

Jeden z kamratów trącił czubkiem buta głowę rybiookiego, która przetoczyła się z boku na bok. Reszta skwitowała to rehotliwą salwą śmiechu.

– Cicho! – wrzasnął Basile.

Strażnicy zamilkli jak na komendę. Wybałuszyli oczy. Twarz chłopaka ściągnęła się gniewem. Potoczył ciężkim spojrzeniem po twarzach kamratów.

– Mój Jason! – powtórzył z naciskiem. – I to ja mogę mu wpierdolić!

Kompani nie dyskutowali. Prawo własności było niepodważalne i właśnie zostało potwierdzone.

Jason miał dość. Popchnął Basile'a otwartą dłonią w pierś. Olbrzym zatoczył się, zaskoczony.

– Coś ty, kurwa, zrobił?! – wrzasnął Jason, nie przejmując się już niczym. Zapomniał o ostrożności. – Za co go, kurwa, zabiłeś?!

Basile spojrzał na niego. Wyraz jego twarzy przywodził na myśl skarcone dziecko.

– Za... – zająknął się – zabiłem?

Popatrzył na leżące ciało, potem znów na Jasona, coraz bardziej niepewnie. Skrzywił się płaczkliwie, padł na kolana obok trupa. Ułożył

starannie głowę, by równo leżała.

– Zobacz, Jason – chlipnął. – Nic się nie stało, on wstanie. Zobacz...

Jason przymknął oczy. Pochylił się nad chłopakiem.

– Tak, Basile, on wstanie – powiedział głucho.

Chciał pocieszyć Basile'a. Uspokoić go, żeby już więcej nie narozrabiał, i skłonić, by wreszcie zszedł ludziom z oczu. Ale nie wytrzymał. Sam zbyt wiele przeszedł. Zacisnął dłoń na ramieniu chłopaka.

– Wstanie – warknął. – Jak zagrają trąby na sąd ostateczny.

Basile uniósł głowę. Wyglądało, że się rozpłacze, w tym stadium pijackiego zamroczenia cierpiał nie tylko z powodu marności świata w ogóle, ale i marności własnej osoby. Znów nikt go nie kochał, znów ktoś go strofował. Był nieudacznikiem, niewydarzonym zbójem, którego ktoś z łaski przygarnął.

Przez chwilę Jason myślał, że mimo wszystko mu się udało. Mylił się.

Olbrzym strącił jego dłoń z ramienia, uniósł się z kłeczek. Odepchnął Jasona.

– Zamknij się! – wrzasnął. – Mam dość! Myślisz, że jesteś lepszy ode mnie?!

Złapał go za kubrak pod szyją, przyciągnął do siebie.

– Będziesz mnie słuchał – wydyszał. – Teraz ja rządzę!

– To ci się tylko tak wydaje! – odpalił Jason. – Głupi jesteś, byłeś i będziesz!

Basile uniósł pięść do uderzenia. Jason nie próbował się wyrwać. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie wzniesiona pięść opadła. Złość nagle ustąpiła miejsca rozczuleniu, tym razem nad sobą. Puścił Jasona, klapnął bezwładnie na śnieg, tuż obok człowieka, którego zabił jednym ciosem pięści. W końcu się rozpłakał.

– I za co? – chlipał, ocierając łzy kułakiem. – Toć ja potwora ubiłem... Leu... Lep... A, pies go jebał. Toć zezarłby nas, wąpiał rozwłóczył. A ja jego... – Zamachał ręką, jakby trzymał w niej miecz.

– Zabiłem... – Roześmiał się głupekowato. – A teraz nie zabiję. Bo nie mam miecza... Nie mam...

Szarpnął ubranie zabitego, głowa na przetrąconym karku potoczyła się po śniegu.

– I co tak łbem kręcisz? – zirytował się. – Nie wiesz, gdzie jest mój miecz? To spierdalaj!

Odepchnął zwłoki. Głowa przetoczyła się znów, tym razem w drugą stronę.

– Nie mam miecza... To kim jestem bez miecza? – Łzy znów pociekły mu po policzkach.

Jesteś durniem, pomyślał Jason, czując jednocześnie ściskający żal. Z mieczem czy bez, jesteś głupi. I pozostaniesz taki, jeśli przeżyjesz.

Odwrócił się bez słowa. Nie zwracał uwagi na wyciągniętą rękę chłopaka ani na niemą prośbę w jego oczach.

Chciał odejść. Ale nie wziął pod uwagę nowych kamratów Basile'a. Oni też mieli uczucia.

Na widok skrzywdzonego bohatera w ledwie trzymających się na nogach strażnikach odezwała się lojalność. Dopadli Jasona we trzech, z szybkością, jakiej trudno się było po nich spodziewać. Dwóch chwyciło za ramiona, ostatni podciął nogi. Gdy padł, zaczęli go kopać z dużym entuzjazmem, przy wtórze wyzwisk i przekleństw. Basile siedział na śniegu, nie zwracając na to uwagi. Wciąż płakał i kołysał się jak dziecko.

Na szczęście przeszkadzali sobie nawzajem. Jason przetoczył się raz i drugi. Starał się osłaniać głowę, kopniaki padały bezładnie i żaden z nich nie trafił jak na razie w żadne żywotne miejsce. Ale były bolesne i Jason nie miał złudzeń, że któryś w końcu trafi lepiej.

Stęknął, kiedy ciężki but uderzył w udo. Noga momentalnie zdretniała, nie mógł już tak łatwo unikać kolejnych ciosów. Wił się chwilę bezradnie, zanim następny kopniak w żebra zaparł mu dech.

I nagle grad uderzeń ustał. Jason nie zastanawiał się nawet, co się stało, spróbował odpełznąć, nie podnosząc głowy. Usłyszał, jak skrzekliwy głos coś wykrzykuje, nie potrafił rozróżnić słów.

Spojrzał ostrożnie.

Napastnicy wycofywali się, zakrywając twarze, jakby chcieli uchronić się przed urokiem. Dwóch chwyciło pod ramiona siedzącego wciąż na śniegu Basile'a, który nic nie rozumiał i początkowo opędzał się od nich,

machając na oślep rękoma. W końcu dał się podnieść i powlec. Wkrótce wszyscy zniknęli za pierwszym węglem chaty.

Jason poczuł, jak coś trąca go w ramię. Oblizał krew z rozciętej wargi, uniósł głowę i spojrzał na swego nieoczekiwanego wybawiciela.

Staruch, którego widział przedtem przy baryłce gorzałki, wciąż miał na twarzy wypisaną złość. Ale w jego zmrużonych oczach, otoczonych siecią zmarszczek, czaiło się rozbawienie.

Znów szturchnął Jasona końcem długiej laski. – Wstawaj – zaskrzeczał. – Co tu będziesz tak sam leżał?

Mimo śmiertelnego znużenia Jason rozglądał się ciekawie. Chata była przestronna, jakże inna od tych, które dotąd zdołał poznać. Ogień na palenisku buzował i pożerał wielkie polana. Już samo ciepło wprawiało Jasona w lepszy nastrój. Przemarzył na dworze do szczętu, płaszcz zostawił w halli, obawiając się budzić biesiadnika, który uciął sobie drzemkę akurat na jego okryciu. Gorzałka przestała działać. Wypił zbyt mało, i kiedy staruch przywiódł go do swojej chaty, cały dygotał z zimna.

Siedział na szerokiej skrzyni przy wielkim stole, zastawionym glinianymi flakonami. Starzec krzątał się przy palenisku. Dorzucał coś do kociołka, rozcierał w garści suszone zioła. Mruczał przy tym do siebie pod nosem.

Jason rozgrzał się już, ale wciąż chwytały go dreszcze. Zdawał sobie sprawę, że to bardziej kwestia emocji niż chłodu. Nie spodziewał się mimo wszystko, że Basile tak łatwo przesiąknie miejscowymi obyczajami. Zadawał sobie pytania, czy istotnie był wobec chłopaka sprawiedliwy. Czy nigdy nie traktował go z góry. Musiał przyznać, że zapewne się zdarzało. Poczuł ukłucie żalu. Uświadomił sobie, jak bliski jest mu ten niewydarzony olbrzym.

Odegnał z wysiłkiem niewesołe myśli. Na razie powinien się zastanowić, co dalej. Na obrachunki z sumieniem przyjdzie jeszcze czas.

Domyślał się już, kim jest jego wybawca i gospodarz. Nietrudno zgadnąć, wystarczyło rozejrzeć się po izbie. Ciekawe, czego ode mnie

chce miejscowy kapłan? – pomyślał Jason. Odpowiedź nasuwała się jedna.

Wiedza dawała władzę. A wiedza do tych zamkniętych aż do granic szaleństwa ludzi mogła przyjść tylko z daleka, z zewnątrz. Wiadomo jednak, że ci, którzy nadchodzili z dala, ginęli. Ich głowy spoglądały z częstokołu na następnych, którzy mieli pecha stanąć pod bramą. Jason zrozumiał, jak cenni są obydwaj, on i Basile. I znów pomyślał o płynącym stąd niebezpieczeństwie.

Byli zagrożeniem dla istniejącego układu, każdy z nich na swój sposób. Nie miał złudzeń, że gdy już zostaną wykorzystani, zagrożony zewsząd lud pozbędzie się ich jak najszybciej.

Staruch rozrzucał żelaznym pogrzebaczem węgle, nagarniał wiśniowy żar, aby płomień nie lizały już osmalonego, obłego dna kociołka.

Gdy skończył, przysunął sobie zydela i zasiadł przy stole obok Jasona. Milczał, przyglądając mu się badawczo spod krzaczastych, siwych brwi. Wreszcie zaśmiał się skrzekliwie.

– Jesteś stamtąd. – To nie było pytanie, to było stwierdzenie.

Jason nie miał zamiaru zaprzeczać. Kiwnął tylko ze znużeniem głową.

– Przybyłeś niedawno. – To też nie było pytanie.

Ponownie potaknął. Dość monotonna ta rozmowa, pomyślał.

Nie przewidział reakcji starego. Kapłan zerwał się. Zacierał dłonie, chichocząc cicho. Zaczął przechadzać się po izbie drobnym, nerwowym krokiem, rzucając Jasonowi z ukosa chytre spojrzenia. Nagle znieruchomiał, jednym susem podskoczył do niego i złapał za ramiona. Zajrzał prosto w twarz.

Jason cofnął się instynktownie. Stary zacisnął palce.

– Ty wiesz! – Szept był zduszony. – Wiesz, nie oszukuj!

Co niby wiem, pomyślał Jason w popłochu. Pobrużdżona twarz ściągnęła się znów wściekłością, jak wtedy, gdy kapłan skrobał czerpakiem po dnie beczki z kończącą się gorzałką. Siwe, pozlepiane kudły spadły mu na czoło. Jason chciał się cofnąć, nie mógł. Odwrócił jedynie głowę, gdy owionął go nieświeży oddech.

– Ty wiesz! – wydyszał staruch przeciągle i zachichotał.

Odskoczył znów. Chudy, długonogi i zgarbiony przywodził na myśl pająka. Zatarł dłonie o cienkich palcach i zamamrotał pod nosem.

Jest zupełnie zwariowany, zrozumiał Jason, szalony jak marcowy zając.

Stary rzucił mu chytre spojrzenie, zupełnie jakby wyczuwał jego myśli. Zadreptał w miejscu.

– Oni nie mają duszy – oznajmił, zacierając ręce.

A wy karmicie ich ciałami wieprze, pomyślał Jason. Ludzkie głowy tylko nabijacie na pale, ale wszak są ludzkie. Mają nieśmiertelną duszę. Oni są zwierzętami, może nawet gorzej, nieprzyjaciółmi rodzaju ludzkiego. Ale to wy siedzicie za wałami, nie oni. Wy strzelacie bez ostrzeżenia do każdego, kto się zbliży, zewsząd wyglądacie wrogów.

Kapłan przysiadł na zydlu, zmarszczył krzaczaste brwi.

– Ty wiesz – powtórzył znów swoje. – Ale nie chcesz powiedzieć. Odebrali ci ją.

– Co mi odebrali? – spytał Jason machinalnie, zanim dotarł do niego sens słów kapłana.

Staruch wykrzywił się dziwnie, jakby uśmiechał się połową twarzy, osobliwym skurczem mięśni. Powieki mu zatrzepotały, białka błysnęły, gdy źrenice uciekły na moment w górę.

– Nie kłam – zaskrzeczał i rysy twarzy na powrót mu złagodniały. – Przecież wiesz.

Odebrali mi duszę, zrozumiał Jason. Pojął, że kapłan coś wyczuwa, coś wie. Przymknął oczy.

Wreszcie dotarło do niego nieuchwytnie wrażenie, które dotąd wciąż mu się wymykało. Kobieta Starszego Ludu nie tylko wskazała drogę, ale też go zmieniła. Wtedy zaczęły się sny. Zmieniła nas obu, pomyślał, przystosowała do tego świata. I teraz on nas zmieni albo zabije.

Chichot starca przywrócił Jasona do przytomności. Chudy, kościsty palec celował w jego pierś.

– Odmieniec!

To nie brzmiało jako obelga, raczej jak kpina.

– Straciłeś ją, zabrali ci! Nigdy nie odzyskasz.

Ma rację, zgodził się Jason. Pewnie nigdy więcej nie będę taki jak byłem. A na pewno nie tutaj. Nie w tym świecie.

Stary pchnął go sztywnym palcem w pierś, jakby chciał sprawdzić, czy jeszcze jest człowiekiem. Ale nie okazywał strachu ani zdziwienia. Widać ktoś, kto utracił duszę, nie był tu niczym niezwykłym.

– Nie obawiaj się, nie zabiorę ci twojej – powiedział Jason bezmyślnie, chcąc zyskać na czasie.

Zastanawiał się, w co wierzy ten człowiek, jakich bogów wyznaje. Jak dotąd nie spostrzegł żadnych przedmiotów kultu, żadnych oznak, by czcili Syna Bożego, który dla odkupienia grzechów skonał na krzyżu. Nie usłyszał modlitw, co prawda do miejscowego ludu bardziej pasowały przekleństwa. Może żyli jak owi poganie w zapadłych zakątkach rodzinnej wyspy Jasona, oddawali cześć różnym bogom, odprawiając misteria w świętych gajach. Ale miejscowe gaje nie wyglądały na święte.

– *Graciet en seit Deus* – wymruczał pod nosem kapłan, jakby chciał zadać kłam myślom Jasona.

Może zresztą właśnie chciał.

– Nie zabierzesz mi nic – dodał chytrze po chwili. – Nie możesz zabrać tego, co już zabrano.

W jego zmrużonych oczach błysnęło skrywane szaleństwo.

– Jesteś następny? – rzucił półgłosem, chwytając Jasona za rękę szponiastymi palcami. – Powiedz, jesteś?

Jason ze znużeniem zastanawiał się, o co mu chodzi. Nie potrafił dziś rozwiązywać zagadek, umysł miał zbyt otępiały. Myśli rozbiegały się i uciekały. Spróbował oswobodzić dłoń. Palce starca były lodowato zimne, skóra przypominała w dotyku pergamin. Jason aż drgnął, kiedy zacisnęły się mocniej.

– Jesteś... – W cichym szepcie zabrzmiała pewność.

Oczy kapłana zwężyły się, a pomarszczona twarz stężała, jakby właśnie uświadomił sobie, że potwierdziły się jego najgorsze obawy. Jason wciąż nie rozumiał. Ale miał zrozumieć już wkrótce.

Stary puścił dłoń Jasona i oparł się łokciami o stół. Ukrył twarz w dłoniach, siwe włosy opadły mu na czoło. Trwał tak zgarbiony i skulony na zydlu, wciąż nieodparcie przywodząc na myśl pajaka, tym razem

zaczajonego w środku swej sieci. Chude palce dłoni zasłaniającej twarz rozchyliły się na chwilę, błysnęło spojrzenie, i znów się złączyły.

Jest szalony, pomyślał nie pierwszy raz Jason. A ja oszaleję za chwilę.

Kapłan mamrotał coś monotonicznie. Dłonie zakrywające twarz tłumiły słowa, i tak wypowiedane szybko i niewyraźnie. Szept nie brzmiał jak modlitwa, prędzej jak magiczna inkantacja czy formuła mająca odegnać urok. Jason nie rozumiał słów, lecz w melodii tego mamrotania, coraz bardziej gorączkowej i natarczywej, brzmiała groźba i wyzwanie. Potrząsnął głową, kiedy w uszach zaczęło mu szumieć, a twarz starca rozmyła się. Jeszcze chwilę z tym walczył, bez przekonania, potem się poddał. Wsłuchał się w narastający szept, który coraz bardziej wydawał mu się przekleństwem. Zewsząd napływał mrok, aż jedynym jaśniejszym punktem stała się plama starczych, długopalcych dłoni o obrzmiałych, gruzełkowatych stawach.

Szept wznosił się, pojawiła się w nim nuta triumfu.

Do Jasona docierało powoli, że jego własne ciało go nie słucha. Zatracił je, nie czuł już nic. Nie słyszał szmeru własnego oddechu ani łomotu serca. Potężniał gwałtowny szum. Już nie w skroniach. Nie było ich, nie było głowy ani członków, jedynie napierający zewsząd szum niczym huk wodospadu. I przebijający się przezeń szept, triumfalny, grożący czymś ostatecznym.

Kiedy szept wreszcie ucichnie, Jason wiedział, co będzie – jego jaźń rozplynie się i pozostanie jedynie krystaliczny biały szum. Już nie widział dłoni starca, majaczył tylko jaśniejszy punkt, jak gasnąca gwiazda we wszechobecnej czerni i pustce. Przerazenie, które nie ścisnęło już w żołądka, bo przecież żołądka nie miał, nie ziębiło palców, bo i one szczyły i rozpuściły się w pożerającej wszystko nicości, obezwładniało z jeszcze większą mocą. Był wyłącznie nagi, bezwstydnym w swej samotności, niemy strach.

Szept urwał się, zgasł świetlisty punkcik. Minęła nieskończenie długa chwila, której nie było jak zmierzyć, bo i serce umilkło.

Ciemność.

Pierwszy powracał słuch. Jason już słyszał charkot, coraz głośniejszy. Potem dotyk. Ostatni powrócił wzrok i wtedy Jason rozwarł palce, zaciśnięte na chudej szyi kapłana.

Zorientował się, że klęczy nad na wpół uduszonym starcem, którego twarz pociemniała i nabiegła krwią. Podniósł się powoli, radując się każdym dźwiękiem i odczuciem. Nawet ostry ból stłuczonego kolana poraził go szczęściem. Znów mógł słyszeć, znów widział i czuł.

Oddech rozciągniętego na polepie starca był ciężki i świszczący. Kapłan uniósł głowę i popatrzył na Jasona, pobladłego i dyszącego jak po śmiertelnej walce.

– Jesteś następny – zaskrzeczał, z triumfem i żalem zarazem. Odrzucił głowę w tył, aż czaszka stuknęła o ziemię. I zachichotał.

Już nie przypominał pająka. Stał na środku izby w świetle paleniska, które znów rozgorzało silniejszym płomieniem. Celował kościstym palcem wprost w siedzącego na skrzyni Jasona.

Z twarzy kapłana zniknęła widoczna jeszcze przed chwilą rezygnacja. Oczy płonęły pasją. Już nie mamrotał pod nosem, przemawiał głośno i dobitnie.

– Azaliż powiedziano, wytępisz wszystkie ludy, które ci daje Pan? Nie zlituje się twoje oko nad nimi, abyś nie służył ich mocy plugawej i Panu przeciwnej?

Grzmiący głos starca załamał się, przeszedł w skrzek. Kapłan zachichotał szaleńczo po swoim, pogroził wyciągniętym palcem i kontynuował:

– Tak samo uczyni Pan wszystkiemu co plugawe, czego ty się lękasz. – Chichot drżał wciąż w jego głosie, ale słowa padały równo, skandowane coraz głośniej. – Reszta, która się przed nim ukryje, wyginie. Z wolna i po trosze wypędzi Pan ludy plugawe sprzed twoich oczu. Nie będziesz mógł ich prędko wytępić, ale Pan, Bóg twój, wyda je tobie, przerazi je ogromnym zamieszaniami, aż wyginą do szczętu. Nikt się z nich nie ostoja przed tobą, aż ich wytępisz...

Jason zaczynał z wolna pojmować, choć coś w jego umyśle z całej siły opierało się przed zrozumieniem. Kluczem były strach i pogarda.

Aby przetrwać w tym świecie, obcym i wrogim, potrzebna jest

nienawiść. Lęk i pogarda do wszystkiego, co obce i odmienne. Nieważne, że ten świat ludziom nie przynależy. Ale racja jest po ich stronie, bo przecież sam Bóg tak właśnie chciał.

Kapłan musiał dostrzec zmianę na twarzy Jasona. Skrzywił się i przerwał.

– Oni nie mają duszy – zaskrzeczał strofująco, grożąc palcem przed nosem Jasona. – Pamiętaj o tym.

W głosie starca dawała się wyczuć groźba. Pamiętam, pomyślał niechętnie Jason, ja podobno też nie mam. Jednak powstrzymał się od powtórzenia tego na głos. Chciał wysłuchać wszystkiego do końca, niezależnie od tego, jak będzie ponure i obrzydliwe.

– Nic plugawego nie wprowadzisz do twego domu...

Idźcie, posiadźcie ziemię, którą wam dałem, przypomniał sobie Jason, chyba tak powiedziano. Choć nie jest wasza i nigdy nie była, ale przecież macie za sobą Boga i prawo. Ilu to już bogów prowadziło lud swój do wrót światów, by mógł posiadać nowe ziemie i wyzuć z dziedzictwa tych, którzy się na nich rodzili i umierali?

Aż zakrztusił się śmiechem. Pomyślał, jak straszliwą ironią było, iż ci, którzy teraz chcieli otworzyć wrota, uciekali przed pomstą tegoż samego Pana, którego słowa, wykoślawione i przeinaczone, wykrzykiwał teraz staruch:

– Nauczcie ich wasze dzieci, powtarzając je im, gdy przebywacie w domu, gdy idziecie drogą, gdy kładziecie się i wstajecie...

Jason bezwiednie pokiwał głową. O tak, nauczyliście, widzę na każdym kroku. Pokazaliście, czym jest nienawiść. Od podrostka do starca nie wypuszczacie broni z ręki, a na kogoś bez oręża patrzycie jak na odmieńca. Tylko wtedy można w waszych oczach dostrzec litość. Choć może jest raczej pogardą.

– Jeśli cię będzie pobudzał skrycie twój brat, syn twojej matki, twój syn lub córka albo żona, co na łonie twym spoczywa, albo przyjaciel tak ci miły, jak ty sam, mówiąc: chodźmy, służmy plugastwu i mocom, których nie znałeś ani ty, ani przodkowie twoi, to nie usłuchasz go, nie ulegniesz mu, nie spojrzysz na niego z litością, nie będziesz miał miłosierdzia, nie będziesz taił jego przestępstwa.

W głosie starca czaiła się natchniona histeria. Kapłan już nie celował trzęsącym się palcem w pierś Jasona. Wzniósł obie ręce w górę, aż rękawy luźnej szaty zsunęły się, ukazując przedramiona kościste jak u szkieletu. Z zadartą brodą wpatrywał się w powałę, jakby tam spodziewał się ujrzeć swego Pana, który zstąpi z niebios, by poprowadzić swój lud i pognębić plugastwo.

– Winienesz go zabić, pierwszy podniesiesz rękę, aby go zgładzić, a potem cały lud. Ukamienujesz go na śmierć, ponieważ usiłował cię odwieść od Pana...

Albo zastrzelisz, zanim się zbliży, przeszło Jasonowi przez głowę. Nieufność i ostrożność zdaje się twórczo rozwinęliście, lepiej najpierw strzelać, potem pytać. Bezpieczniej i żadne plugastwo nie ma najmniejszych szans, póki jesteście konsekwentni.

Już nie słuchał. Chyba pojął wszystko o tym świecie, o samotnych osadach, wrogich i nieufnych, które zasiedliły rozmaite fale migracji. Nieważne, skąd przybył lud tej właśnie wioski. Przez jaki krąg menhirów przeszedł, by odnaleźć ten świat, który miał się okazać światem obiecany. Nikt nie zawahał się otworzyć wrót nie dla niego stworzonych. Nieważne czy ze strachu, w ucieczce, czy też mamiony obietnicą.

Jason zrozumiał też, że ten świat sobie poradzi. Warowne osady o wałach najeżonych częstokołami były tylko bliźniami na jego ciele. Okalały je pola, niegdyś wydarte puszczy w pocie czoła, a teraz zarastające burzanem i chwastami. Ludzkie wysepki otoczone morzem nienawiści kurczyły się z roku na rok. Niezależnie od tego, jak będą się bronić i jak wielu jeszcze zginie. A właściwie tym szybciej.

Wszystko było bez sensu. Ta myśl poraziła go, kiedy ujrzął wreszcie nagą prawdę z olśniewającą jasnością. Wszystko, co przeszedł dotąd on sam, Match i wielu innych, nie miało żadnego celu. Nie było o co walczyć ani za co umierać. Jason aż skurczył się na skrzyni. Zwinął się z uczuciem fizycznego prawie bólu, jakby ktoś uderzył go z całej siły w dołek.

Bo wiedział też, że wielu jeszcze zginie. Może nawet giną teraz, za nie swoje sprawy i w imię cudzych ambicji i mrzonek. Dla fałszywych i złudnych dążeń i pragnień. Nie wiedzą jeszcze, że nie ma nagrody. Jest tylko rozczarowanie i upokorzenie.

Wciąż rozbrzmiewał natchniony i histeryczny głos kapłana. Ale to, co mówił, było nieważne. Nigdy nie było ważne ani prawdziwe. Jason przetarł oczy i wstał ociężale.

– Usuniesz zło spośród siebie... – starzec urwał, kiedy Jason pchnął go z całej siły.

Nie obejrzał się nawet, kiedy ten wpadł z trzaskiem na stół zastawiony glinianymi flakonami. Usunę, kurwa, bądź pewien, pomyślał, słysząc, jak starzec gramoli się niezdarnie wśród chrzęstu skorup. Uważaj, żebym nie zaczął od ciebie.

Podszedł powoli do ściany i zatrzymał się przed wiszącą udrapowaną materią, która coś przysłaniała. Kontury przebijające przez tkaninę kazały domyślać się krucyfiksu.

Trochę czasu upłynęło, zanim chwycił za róg zasłony. Szarpnął.

Przybite do krzyża kocie truchło było wyschnięte i skręcone. Jason stał i patrzył. Przez długą chwilę nie mógł uzmysłwić sobie, czy chichot wydobywa się spomiędzy wyszczerzonych w męce ostrych, pożółkłych kiełków, czy dobiega go śmiech szalonego starucha.

Basile chrapał głośno. Przewracał się na pościeli pogrążony w niespokojnym, pijackim śnie. Trafił jakimś cudem do chaty, bo kiedy Jason wrócił, leżał już i roztaczał wokół woń przetrawionej gorzałki, zmieszanej z odorem wymiocin. Skąd ten smród, Jason przekonał się szybko, kiedy w mroku wdepnął w lepka kałużę.

Nie próbował krzesać ognia i zapalać kaganka. Wkrótce i tak miał nadejść poranek, choć noce były już długie. W dzień słońce wznosiło się nisko nad horyzont, o ile było w ogóle widoczne. Coraz częściej przysłaniały je ciężkie, brzemienne śniegiem chmury. Jason miał nadzieję, że nim wstanie świt, zdąży się choć trochę przespać. Wciąż męczyła go myśl, że tak wiele musi nazajutrz zrobić.

Chciał spać. Był pewien, że gdy tylko zlegnie na narach, zapadnie w sen jak w śmierć, bez snów i bez wizji.

Ale gdy się położył, sen jak na złość nie nadchodził. Basile wciąż

kręcił się i chrapał potępieńczo, jakby zaraz miał się udusić. Najgorsze było nie samo chrapanie, ale chwile długiej ciszy, która natychmiast przywracała Jasona do rzeczywistości, w momencie gdy myśli poczynają wreszcie się plątać i prawie już zasypiał.

W końcu leżał tylko z zamkniętymi oczyma, czekając na kolejny, spazmatyczny oddech, po którym Basile znów równo zachrapie. Ale mimo wszystko zmęczenie zwyciężało. Jason zapadał się w miękką otchłań.

Wypełniały ją głosy i szmery. Chrapanie chłopaka dochodziło stłumione jak zza grubej ściany mgły. Deski poskrzypywały cicho, kiedy olbrzym przewracał się z boku na bok w niespokojnym śnie. Wiatr szumiał w zatłoczonych wiechciami słomy dymnikach. Po uliczkach osady wciąż widać krążyli najbardziej wytrwali biesiadnicy, bo co jakiś czas dobiegali z zewnątrz okrzyki i odgłosy zwad.

Myśli Jasona plątały się coraz bardziej. I nagle, kiedy już prawie odpłynął, ocknął się gwałtownie.

Basile zabełkotał coś i przetoczył się z jękiem na narach. Ale Jason czuł, że nie ten odgłos przywrócił mu przytomność. Leżał bez ruchu, nie chcąc nawet poruszeniem zdradzić, że czuwa. Po całym ciele rozlała się fala gorąca, wyczuwał jakieś niebezpieczeństwo.

Cały zamienił się w słuch, by z otaczającej zewsząd ciemności wyłowić obce odgłosy.

Początkowo nie słyszał nic. Kiedy dotarł do niego lekki szmer wstrzymywanego oddechu, było za późno. Zwinął się, chcąc zerwać z posłania, i wtedy zimna dłoń spadła mu na twarz. Jason poczuł, jak coś wbija mu się w pierś, przygniata żebra i wyciska powietrze z płuc.

Z całej siły podciągnął nogi, chcąc zrzucić z siebie napastnika. Nie udało się, ale jedno kolano trafiło. Usłyszał głucho stęknienie i twarz owiał mu gorący, smrodliwy oddech. Skorzystał z okazji, chwycił nadgarstek ręki przyciśniętej do ust, drugą ręką nie mógł ruszyć, gdyż skrytobójca wciąż przyciskał jego biceps do nar.

Pozostało tylko jedno – Jason zwarł zęby na lodowatej dłoni, aż poczuł w ustach słonawy smak krwi. Napastnik wrzasnął i nacisk jego kolan nieco zelżał. Jason uczynił jeszcze jeden wysiłek. Kiedy wyswobodzony spod ciężaru staczał się na polepę, już wiedział, kto

przyszedł go zabić we śnie. Zganił siebie w myślach, że wcześniej nie ruszył głową. Przecież mógł to przewidzieć.

Spadł prosto w kałużę zimnych, lepkich rzygowin. Macał bezradnie dokoła w nieprzeniknionych ciemnościach, choć wiedział dobrze, że w izbie nie znajdzie nic do obrony. Wbijał w mrok szeroko otwarte oczy jak ślepiec, którym był teraz w samej rzeczy.

Basile wiercił się na posłaniu. W trzeszczeniu i szelestach, w donośnym chrapaniu ginął oddech napastnika, szuranie kroków. Jason namacał mały kształt, palce trafiły w gęstą maź. Z rozpaczą cisnął kagankiem w kierunku, skąd, jak mu się wydawało, dochodziło świszczące sapanie. Oczywiście nie trafił, gliniane naczynko roztrzaskało się o ścianę. Zaraz mnie zarżnie, ślepego jak kreta, pomyślał z rozpaczą. Nie wiedzieć czemu był pewien, że napastnik doskonale widzi w mroku.

I zapewne się nie mylił. Bardziej wiedziony instynktem niż ostrzeżony jakimkolwiek dźwiękiem rzucił się w bok. Poczul pęd powietrza i zaraz piekący ból policzka, kiedy ostrze zostawiło na nim długą kresę. Znów machnął ręką na oślep. I znów chybił.

Żeby choć trochę widzieć, pomyślał rozpaczliwie. Choć trochę światła. Ogień.

Z głuchym hukiem buchnęły płomienie. Rozlany z kaganka olej zajął się od razu. Płonęła kałuża na polepie, języki ognia wspinały się na kamienną ścianę. Jason ujrzał nagle starego kapłana, równie zaskoczony, który osłaniał twarz zakrwawioną dłonią. W migotliwym blasku buzującego ognia lśniła klinga sztyletu.

Jason nie miał nawet czasu się zdziwić, jakim cudem spełniły się życzenia i pojawiło się światło. Musiał wykorzystać szansę. Nadal nie miał czym się bronić, a staruch wydawał się zdecydowany na wszystko.

Nie może mnie zostawić w spokoju, pojął Jason. Już wie, kim jestem i kim się mogę stać. Nie ma miejsca dla nas obu, jeden musi zginąć.

Cofał się ostrożnie. Wiedział, że olej wypali się rychło. Niewiele miał czasu. Chciał ściągnąć z posłania jedną ze skór, owinąć na przedramieniu, zawsze to jakaś osłona. Nie zdążył.

Twarz starca wykrzywił dziki grymas. Jason myślał, że kapłan rzuci się na niego, ale zamiast tego poczuł cios w piersi, miękkie i niematerialny, którego siła odrzuciła go na ścianę. Jęknął, gdy uderzył plecami o

nierówne kamienie. Ledwie ustał na nogach. Kiedy staruch skoczył z ostrzem wysuniętym przed siebie, wrzeszcząc coś nieartykułowanie, sparował uderzenie otwartą dłonią. Trafił w nadgarstek ręki trzymającej sztylet. Mięśnie nie słuchały go jeszcze i miał tyle rozsądku, że nie próbował chwycić, był na to zbyt wolny.

Lekkie uderzenie wystarczyło, by nieco zmienić kierunek pchnięcia. Ale tym razem zapiekły zębra, gdy ostrze rozcięło kubrak, zostawiając na ciele długą kresę. Staruch nie czekał, odskoczył niczym wielki czarny pajak. Jego groteskowy cień tańczył na ścianach, potężny i wyolbrzymiony blaskiem ognia.

Skąd w nim tyle siły, pomyślał mętnie Jason. I zaraz jęknął, zwinął się uderzony falą materialnej prawie emocji.

To moc tego świata, pojawił w jednej chwili. Przenikająca go nienawiść ją wyzwala. Wiedział już, że aby ocalić życie, musi nienawidzić mocniej. Musi poczuć się skurwysynem bardziej wrednym od każdego, którego tu spotka.

Nie przypuszczał, że poczuje się nim tak łatwo.

Był przecież silniejszy od kapłana, żałosnego starucha, który walczył o utrzymanie nędznej władzy nad nędznym ludem. Gardził nim jak całym tym skarłałym, mizernym światem, obcym i wrogim. Ale potrafił skorzystać z mocy, obrócić ją na swe potrzeby. Lepiej niż ktokolwiek inny.

Chude ciało starca nie mogło wytrzymać takiego uderzenia. Oczy zapląsały dziko, kiedy głowa głucho stuknęła o ścianę. Błysnęły białka, gdy źrenice uciekły w głąb czaszki. Skumulowana nienawiść Jasona smagneła raz jeszcze, aż starzec złamał się i osunął, znacząc kamienie krwawymi zaciekami.

Kapłan leżał wstrząsany drgawkami niczym przydepnięty długonogi pajak. Jason miał wrażenie, jakby opuścił własne ciało i przyglądał się wszystkiemu z boku. I wiedział, że nie do końca kontroluje potężną moc.

Starzec był już martwy. Nie można żyć z czaszką rozłupaną jak skorupka jajka, z której wypływa białawy, galaretowaty mózg. Ale z szeroko rozdziawionych ust wciąż wydobywał się charkot i ciekła spieniona ślina. Bardzo wolno dłoń zaciśnięta na rękojeści powędrowała w kierunku gardła, jakby pokonywała niewidoczny, lecz potężny opór.

Jason patrzył zafascynowany, jak ostrze dotyka napiętej skóry na chudej szyi, która ugina się, i sztych powoli zatapia się w ciele. Charczenie przeszło w upiorny skrzek. Wreszcie sztylet pogrążył się aż po gardę.

Stary kapłan, a właściwie od pewnego czasu już trup, zwiotczał i znieruchomiał wraz z ostatnim sykiem uchodzącego z płuc powietrza.

Jason opadł na kolana. Olej dogasał, pojedyncze płomienie tańczyły na polepie, lizały osmaloną ścianę. Basile przetoczył się na posłaniu i wybełkotał przez sen jakieś przekleństwo.

Jasonowi pozostało jedynie wywlec ciało za próg, by sztywniało na śniegu, jak wiele innych tej nocy pełnej śmierci. Starzec wpatrywał się w niebo zmętniałymi białkami, w których odbijało się sine światło zachodzącego księżyca.

Jason zważył się na posłanie i zanim zapadł w sen, pomyślał, że chyba już nikt więcej nie przyjdzie go zabić. A jeśli przyjdzie, niech to uczyni szybko i sprawnie. Najlepiej nie budząc.

Na dworze zaczynało szarzeć, kiedy do chrapania Basile'a dołączył równy oddech Jasona. Pierwszy, mętny brzask wydobywał z mroku przysadziste kształty chat, kontur wieży strażniczej u bramy i pale ostrokołu. Czarne ptaki, przebudzone po długiej nocy, zlatywały się na ucztę, łopotały skrzydłami, wrzeszcząc ochryple. Księżyc już zaszedł, wkrótce zza jaśniejącego horyzontu miał wypełznąć wąski sierp drugiego. Tego mniejszego.

Śmierdziało spalenizną, przetrawioną gorzałką i zastygłymi rzygowinami. Posłanie zaskrzypiało, gdy Basile usiadł ciężko i zaraz chwycił się za głowę, jakby w obawie, że rozpadnie się na kawałki.

– Jezu... – wystękał niewyraźnie. – Jak mnie łeb napierdala...

Oczy miał przekrwione, ciągle jeszcze nieprzytomnym spojrzeniem wodził dookoła, daremnie usiłując dojrzeć coś, co nadawałoby się do wypicia. Nie dojrzał.

Jason obserwował go bez współczucia. Siedział obok chłopaka na narach, sam odczuwał dolegliwość, którą Basile określał jako

"napierdalanie łba". Ale przynajmniej nie z przepicia.

Bolało go wszystko. Nie chciał nawet liczyć, ile kopniaków i razów dostał wczoraj, wliczając przyjacielskie, lecz wcale nielekkie poklepywania Basile'a. Przy każdym ruchu rwały mięśnie, tępo odzywały się stawy. Dzień był długi, a noc jeszcze dłuższa.

Ale potrafił już myśleć w miarę sprawnie. I wiedział jedno – trzeba stąd wiać jak najdalej, choćby w puszcze, domenę obcych bez duszy i długozębnych potworów. Wśród ludzi najłatwiej zginąć.

Tylko Basile stanowił problem. Jason zerknął z ukosa na chłopaka, który, kiwając się, ścisnął głowę i nadal wzywał imienia Pańskiego. Ale mało prawdopodobne było, by Zbawiciel wysłuchał jego próśb i skarg.

Jason nie potrafił nawet pomyśleć, że może będzie zmuszony zostawić tu chłopaka. Przemiana, która dokonała się w nim, była potworna, ale to przecież nie Basile był winien. Ten świat go zmienił. Jason nie wiedział, czy zdoła przekonać chłopaka, żeby poszedł z nim, zostawił zaszczyty i uznanie. By znów stał się nikim, jak niegdyś.

Zaklął i wstał ciężko z posłania, czując ból we wszystkich stawach. Nie czuł się teraz na siłach, by przekonywać, a może nawet grozić, albo w końcu zmusić, korzystając z mocy, którą tak niespodziewanie odkrył i z której potrafił korzystać. Zdawał sobie sprawę, że tylko odwleka, co nieuniknione, a może taka okazja się więcej nie powtórzy. Być może już nie spotkają się sam na sam, bez kamratów, pochlebców i sprytnych wielmoży. Znów zmełł pod nosem przekleństwo, tym razem klnąc siebie i swoje niezdecydowanie.

Basile podniósł głowę i utkwiał w twarzy Jasona mętne, nieprzytomne spojrzenie. Musiał coś pamiętać z wczorajszych wydarzeń, bo wyglądał jak zbity pies.

– Jason... – wychrypiał tylko. Na nic więcej się nie zdobył.

Ech, ty durniu, pomyślał Jason niechętnie.

– Zaraz – uciął zimno. – Poszukam czegoś do picia, poczekaj. Ale nigdzie nie wychodź.

Basile skwapliwie kiwnął głową. Ten ruch sprawił, iż skrzywił się boleśnie i znów zaczął kołysać. Jason był zadowolony, chłopak posłuchał, co budziło nadzieję, że nie wszystko jeszcze stracone. Lecz zaraz opadła

go fala zwątpienia. Łeb go napierdala, dlatego taki zgodny, pomyślał.

Odsunął zasłaniającą wejście skórę i przestąpił kamienny próg. Dzień był szary i ciemny, niskie chmury zasnuwały niebo. Ale mętne światło poranka chlasnęło po oczach jak biczem. Gdy tylko Jason wyszedł spod okapu i wyprostował się, musiał zacisnąć powieki. Stał chwilę, zanim zdecydował się popatrzeć znów, obawiając się nawrotu bólu, który odezwał się pod czaszką. W końcu ostrożnie spojrział.

Nad ranem musiał znów prószyć śnieg. Świeża, nieskalana jeszcze biel pokryła wszystko: strzechy i wąskie uliczki, skotłowaną butami breję, krwawe plamy i wymiociny. Osada wyglądała zaskakująco czysto i spokojnie.

Tym bardziej wyzywający w tej bieli był widok chudego, długonogiego i długorękiego trupa, odartego z szat i z godności. Leżał rozkrzyżowany, z rozrzuconymi kończynami. Z jego gardła, pod zadartą w górę spiczastą i pokrytą niechlujnym zarostem brodą, sterczała rękojeść sztyletu.

Za ciałem, zwarci ciasno, półkolem stali oni. Chyba wszyscy, pomyślał Jason, prześlizgując się nic jeszcze nierozumiejącym spojrzeniem po twarzach niedorostków i starców spoglądających spode łba, obliczach kobiet, zadziwionych i zastrachanych, po gębach strażników, zapuchniętych i obrzmiałych, ze śladami nocnych hulanek. Rozpoznał tłustą twarz Girarta i łasiczą Gilles'a.

Stali w milczeniu, w ich spojrzeniach było oczekiwanie.

W głowie Jasona rozbrzmiał szalony chichot starego kapłana. Popatrzył na trupa.

Jesteś następny, zdawało się mówić szkliste spojrzenie martwych oczu.

Jason pojął w nagłym olśnieniu, że teraz sam jest kapłanem.

Tylko on mógł pokonać starca. Postradał duszę, by osiąść w zamian moc. Kiedyś nadejdzie ktoś, kto i jego zastąpi. Tak musiało być od pokoleń.

Był zbyt oszołomiony, aby pomyśleć, jakie konsekwencje może przynieść zaskakujący rozwój wypadków. Gdzieś w głębi umysłu kołatała się nadzieja, że pewnie będzie łatwiej. Odepchnął ją, zdusił w

sobie, na plany przyjdzie jeszcze czas.

Ludzie czekali w milczeniu. A on czuł, że powinien im coś powiedzieć.

Nienawidził świata, w którym się znalazł. Ta ziemia była przesycona złem i obmierzła za sprawą zamieszkujących ją ludzi, oni bowiem przynieśli tu swój strach i nienawiść. Zamknięci w pułapce, skarłali i groźni, dla obcych i dla siebie samych. Chyba nie są do końca winni, uznał, chcąc być dla nich sprawiedliwy. Ich także przywiodła nadzieja.

Teraz nawet oni potrzebują nadziei. Choćby na nią nie zasługiwali.

Cóż mogę im powiedzieć, pomyślał z rozpaczą. Przecież coś muszę. I nagle, ku własnemu zaskoczeniu, pojął, że myśli układają się w słowa. I słowa rozbrzmiewają w zimnym, wilgotnym powietrzu.

- Oure fadir that art in heuenes, halowid be thi name...

Utkwił wzrok w jednym ze strażników, widział, jak rozjaśnia się poznaczona bliznami gęba. Jak drgają policzki człowieka, który jeszcze przed chwilą znał tylko nienawiść.

- Thi kyngdom come to, be thi wille don in erthe est in heuene...

Nie wiedział, czy rozumieją. Nie pojmował, skąd nagle w jego umyśle pojawiły się te słowa, słyszane kiedyś i dawno zapomniane.

- And foryeue to us oure dettis, as we forgeuen to oure dettouris...

Wargi dziewczyny z mieczem przewieszonym przez plecy poruszały się, jakby powtarzała cicho wersy o przebaczeniu. Pewnie pierwszy raz wypowiedziane w świecie, który nie znał Słowa Bożego innego niż wykoślawione szyderczo i skażone strachem.

Dźwięk rogów z czatowni zmieszał się ze słowami Modlitwy Pańskiej, zagłuszył je przeciągłym jękiem, w którym brzmiało ostrzeżenie i groźba. I gdy zamarło ostatnie "amen", wszystko pozostało jak dawniej.

Jason ze wszystkich sił powstrzymywał dreszcze.

Dzień był wietrzny i zimny, lecz nie mroźny. Nieoczekiwana odwilż stopiła śnieg, który wcześniej zalegał dość grubą warstwą wąskie uliczki pomiędzy chatami i wielki majdan. Gęste i maziste błoto nieprzyjemnie

chlupotało pod nogami. Siąpił drobny deszcz.

Przemoczona, długa lniana szata lepiała się niemiło do piersi i pleców Jasona. Nie dość, że nie chroniła przed chłodem i zacinającym deszczem, to jeszcze czuł się w niej idiotycznie. Podobnie jak w nasadzonemu na głowę wieńcu z zeschniętej jemioły, która kruszyła się pod dotknięciem. Na szczęście pozwolono mu zostawić spodnie i buty, widać pasowały do ceremonialnej kapłańskiej szaty.

Jason miał wrażenie, że cała ludność warownej osady wyległa na plac. Zapewne tak było. Les enguardes trzymali się razem, nie zwykli pospolitować się z czernią, lecz za ich gromadą odzianą w nabijane łuskami kubraki tłoczyła się ciżba pospólstwa, sług i rzemieślników, kobiet i dzieci. Te ostatnie były dziwnie spokojne, jakby im też udzielił się uroczysty nastrój oczekiwania. Nie dokazywały, nie przepychały się, by lepiej widzieć. Stały tylko i patrzyły ciężkim, zupełnie niedzielnym wzrokiem.

Oczekiwanie się przedłużało. Jason nie wiedział, kiedy wreszcie zacznie się właściwa ceremonia. Nie powiedzieli mu tego strażnicy, którzy wywiedli go z kapłańskiej chaty, grzecznie, lecz stanowczo nakazując iść ze sobą. Jak wszyscy tutaj nie byli rozmowni, z wyjątkiem tych rzadkich chwil, kiedy gorzałka rozwiązywała języki. Na każde pytanie odpowiadali tak samo – już czas.

Teraz Jason klął ich w duchu, a obawiał się, że niebawem zacznie na głos. Wystarczająco długo sterczał na chłodzie i deszczu, niczym jakieś dziwadło w wieńcu z jemioły, wystawione na pokaz ku uciesze gawiedzi. Dobrze, że choć nie wytykano go palcami ani nie obrzucano gnojem, jak jakiegoś nieszczęśnika pod pręgierzem. Stan ducha takiego nieszczęśnika był mu w tej chwili nad wyraz bliski.

Nagły silniejszy podmuch wiatru przekrzywił jemiołowy wieniec i omal nie zrzucił z głowy. Jason złapał swą ozdobę w ostatniej chwili. Gdy z powrotem nałożył go prosto, wcisnąwszy niemal na uszy, powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Nikt się nawet nie uśmiechnął.

Pomyślał, co by się stało, gdyby teraz odwrócił się i pomaszerował do chaty? Czy strażnicy złapałoby go i za łeb zaciągnęli z powrotem? W końcu jest kapłanem...

Nagłe poruszenie wśród tłumu przerwało owe rozważania. Ciżba

rozstępowała się. Najpierw dostrzegł Basile'a, przerastającego o głowę najwyższych zgromadzonych. Po bokach olbrzyma kroczyli Girart i Gilles.

Chłopak wydawał się zdenerwowany. Gdy już wyszli przed tłum, zerkał co chwila na Jasona, jakby chciał coś powiedzieć. A może nawet przed czymś ostrzec, ale nie mógł się zdecydować. Odwracał głowę za każdym razem, kiedy jego spojrzenie krzyżowało się na moment ze wzrokiem Jasona. Także oblicze Gilles'a zdradzało niepokój.

Girart sapał głośno, jak zwykle, kiedy musiał przejść więcej niż kilka kroków. Najlepsze dni starego przywódcy dawno minęły, teraz był już tylko posuniętym w latach okrutnikiem, który pewnie nie dotrzymałby placu wielu swym podwładnym. Ale jak dotąd nikt nie ośmielił się podważyć jego autorytetu.

Jason nie miał już złudzeń, jak wygląda tutaj podważanie autorytetu. Ci ludzie cenili wyłącznie siłę i okrucieństwo. Zapewne każdy z pospólstwa, najnikczemniejszy sługa czy zasmarkany niedorostek, mógł rzucić wyzwanie wodzowi. I gdyby go pokonał, zająłby jego miejsce. Tak wyglądało prawo, a raczej brak praw. Obowiązywała jedyna zasada – przewodzą silni i okrutni, którzy sami sięgną po władzę.

Bez współczucia, raczej z niechętnym podziwem pomyślał teraz o tłustym staruchu, który nieszczęśliwy, z grymasem bezsilnej wściekłości na twarzy mókł w deszczu. Girart musiał być nie byle kim, skoro dożył swych lat. Jason beznamiętnie spoglądał, jak Girart rozciera machinalnie łokieć. Co, łupie w stawach? – pomyślał. Nic dziwnego, w taki ziąb i słoć. Poczekaj, rychło ktoś zauważy, że się tak masujesz. I zdybie cię w takiej chwili, kiedy nie będziesz zdolny unieść miecza.

Jason bezwiednie skrzywił się kpiąco. Jednak kiedy spojrzał na Gilles'a, nie było mu już do śmiechu.

Łasicza twarz druida zastygła w złości. Gilles zazwyczaj panował nad emocjami. W tej chwili był wyraźnie wściekły. Jason pojął nagle, że chyba zachowuje się jak bydlę wiedzione na rzeź. Nie wiedzieć czemu uznał, iż skoro został kapłanem, jest już bezpieczny, że już nie oręż u pasa, ale godność będzie go chronić. I budzić niezbędny dla przeżycia respekt.

Teraz, patrząc na druida, którego spojrzenie ciskało iskry, Jason zrozumiał, że zbyt wcześnie się cieszył. W tym świecie nigdy nie można być pewnym. Stał się czujny. Coś niewątpliwie się szykowało.

Skinął nieznacznie głową i uniósł brwi w niemym pytaniu. Gilles natychmiast spuścił wzrok, gdy spostrzegł, że ostrzeżenie zostało zrozumiane.

Girart zebrał się w sobie, starł wilgoć, która osiadła na nalanej twarzy. Właśnie miał rozpocząć przemowę, kiedy Gilles trącił go w ramię. Pochylił się nieco i szeptał coś przywódcy, zerkając jednocześnie na Jasona.

Wszystko stało się jasne. Jason pomyślał melancholijnie, iż powinien się tego spodziewać. Girart przygotował niespodziankę. Pozostawało pytanie, czy powziął podejrzenia, czy raczej dotrzymywał normalnego, uświęconego obyczaju.

Na twarzy przywódcy odbiło się zniecierpliwienie, widać natarczywość Gilles'a była czymś niezwykłym. Druid ośmielał się zakłócać ceremonię, nawet ujął tłuszciocha pod ramię. Ten machnął lekceważąco ręką, jednak wciąż musiał słuchać.

Jason natężył słuch. Gilles mówił coraz głośniej, w miarę jak narastała irytacja starego przywódcy. Zapewne powtarzał coś, co dla wszystkich było oczywiste. I wciąż ukradkiem zerkał na Jasona, jakby chciał się upewnić, czy ten słyszy.

Jason słyszał. W potoku wypowiedzianych półgłosem, padających szybko słów wyłowił jedno, które druid podkreślił jeszcze wymownym gestem. *Une arcbaeste.*

Girart też w końcu się zorientował. Zachnął się, rzucił podejrzliwe i wściekłe spojrzenie na Jasona. Ten starał się ze wszystkich sił utrzymać obojętny wyraz twarzy i nie dać poznać po sobie, że cokolwiek podejrzewa. Ale ciarki przebiegały mu po mokrym grzbiecie okrytym długą, powłóczystą szatą. Był celem.

Une arcbaeste. Kusza. Kurwa, pomyślał Jason, nie chcą mnie chyba tak po prostu ustrzelić? Przecież to bez sensu, mogli mnie zarżnąć choćby w chacie, po co tutaj, tak na oczach wszystkich? Poczuł, jak jeżną mu się włosy na karku. Uświadomił sobie, że powinien być się tego spodziewać.

Odetchnął głęboko, zmusił się do spokojnego rozważenia sytuacji. Skoro tak, ma przerażane. Nie ucieknie przed bełtem, jeśli tłuszcioch postanowił bezapelacyjnie go zabić. Inne możliwości, jak rzucenie się

staremu do gardła, uduszenie go gołymi rękoma, też nie wchodziły raczej w grę. Dawały jedynie wybór między rodzajami śmierci.

Ale pozostała jeszcze jedna możliwość. Poddawano go kolejnej próbie. Mógł nadal mieć szansę.

Jason ze złością pomieszaną z rozpaczą stwierdził, że nie potrafi odbierać żadnych emocji. Czuł się jak wyżęta szmata. Zdolności odeszły, były do cna wyczerpane po wczorajszym wysiłku. Nawet myśli snuły się ospale, przytępione i mętne. Nie mogli wybrać gorszego dnia na próbę. Jeśli jest istotnie próbą, a nie tylko igrzyskami.

Girart odepchnął w końcu Gilles'a z nieskrywaną złością. Druid nie przeciągał struny, skłonił się chłodno i odstąpił parę kroków. Skrzyżował ręce na piersi i zastygł nieruchomo. Już nie spoglądał na Jasona, jakby wszystko przestało go interesować. Ten zrozumiał, druid zrobił, co mógł. Teraz stanie się, co ma się stać. Świadomość, że to, w jaki sposób skończy, zależy wyłącznie od niego, nie była przyjemna. Poczuł się przeraźliwie samotny.

Tłusty, podstarzały przywódca sapał gniewnie przez chwilę, nawet nie starając się ukryć, że roznosi go wściekłość. Spojrzenia rzucane Gilles'owi nie pozostawiały wątpliwości, druid podpadł, i to bardzo. A stary nie zwykł niczego zapominać, inaczej nie dożyłby tak sędziwego wieku.

Jason oczekiwał, że teraz wreszcie Girart zacznie mówić. Kochali tu przemowy, niemal tak samo jak okrucieństwo i przemoc. Okazało się jednak, że druid wystarczająco zakłócił przebieg ceremonii.

Tłuścioch zmierzył Jasona ciężkim, nieprzyjaznym spojrzeniem. Już nic nie udawał, widać było, że rozwój sytuacji jest mu nie w smak. Uniósł dłoń i machnął nią rozkazująco.

Z szeregu strażników wystąpił pleczysty drab. Zatrzymał się obok przywódcy w pozie jednocześnie wyzywającej i pełnej szacunku.

Jason popatrzył na niego. Był młody, młodszy chyba od Basile'a, dobrze zbudowany, jak na ludzi z tego świata. Mocno zarysowane mięśnie nabrzmiewały pod skórą nagich, lśniących od potu albo deszczu ramion. Z twarzy poznaczonej szramami i bliznami wyzierała nienawiść skryta pod maską tępoty.

Girart klepnął go po nagim ramieniu.

– *Salvez seiez de Deu* – rzekł uroczyście, z obleśnym uśmiechem na nalanej twarzy.

Ciekawe, który bóg, przemknęło Jasonowi przez głowę.

Osiłek nawet nie kiwnął głową. Zatrzymał się może dwa kroki przed Jasonem, wlepiając w niego bezmyślne spojrzenie.

Jason uśmiechnął się niefrasobliwie. Domyślał się już, co nastąpi, ale wciąż nie wiedział, jak się zacznie. Czy będą zwyczajowe wyzwiska, czy wystarczy niedbałe skinienie dłoni Girarta. Popatrzył w zmrużone oczy osiłka, usiłując coś z nich wyczytać. Musiał w tym celu zadrzeć głowę. No, wyzwiesz mnie w końcu...

Nie dane mu było dokończyć myśli. Popełnił błąd, patrząc w twarz przeciwnika, nie na jego ręce.

Wielka pięść wystrzeliła w górę. Jason nie zdążył nawet drgnąć. Posłyszał tylko trzask, który rozległ się we wnętrzu własnej czaszki, świat się zakołysał i rozpadł na kawałki, wirujące w czerwonej mgłę.

Gdy już zaczął widzieć cokolwiek, poczuł w ustach obrzydliwy smak błota, między zębami zgrzytnęła ziemia. Nie czuł bólu, raczej oszołomienie, w skroniach huczało mu donośnie. Podnosił się powoli, wszystko się kołysało się i miał trudności ze skupieniem wzroku. Potrząsnął głową, zabolalo, ale trochę pomogło.

– Zostałeś wyzwany, jeśli jeszcze masz wątpliwości. – Zrozumiał słowa, chociaż szumiało mu w uszach. – Wstawaj i walcz!

Jason nie mógł poznać, czyj to głos.

Widział już wyraźniej. Osiłek stał nieporuszony, rozcierał wielką, włochatą pięść. Na jego twarzy pojawiły się pierwsze, poza nienawiścią, wyraźniejsze uczucia. Wypełzła na nią pogarda, bo przeciwnik okazał się miękki.

Jason przetarł twarz i popatrzył na własną dłoń. Była umazana błotem i krwią. Dotknął ostrożnie nosa, a raczej miejsca, gdzie kiedyś się znajdował. Teraz pojawiła się tam obca narośl, chrząstki chrupnęły cicho, gdy nacisnął mocniej. Kiedyś coś takiego przeżyłem, pomyślał, czując, jak wzbiera w nim wściekłość, jak bierze górę nad obawami i rozważą. Wystarczająco dużo spotkał w życiu osiłków bez dania racji walących go w pysk.

Resztki rozsądku powstrzymały go przed rzucając się na przeciwnika z gołymi pięściami. Tym bardziej że osiłek dobył broni, krótkiego, jednoręcznego miecza. Począł zachodzić Jasona z boku, unosząc ostrze, z paskudnym uśmiechem kiwał drugą dłonią. No, chodź, zdawał się mówić, zaraz posiekam cię na plasterki.

Jason zacisnął szczęki, czując, jak chwieją się naruszone zęby. Nagle uleciał gdzieś strach, pozostawił złość i determinację.

– To tak? – Splunął krwią z porozcinanych warg. – Na bezbronnego człowieka? Z mieczem?

Zebrał wszystkie siły, jakie jeszcze mu pozostały. Niewiele ich było, moc nie dawała się przywoływać ot tak, na życzenie, zwłaszcza wtedy, kiedy była potrzebna.

Nabrał powietrza w płuca i wrzasnął. Wyrzucił z siebie wiązkę najbardziej plugawych przekleństw, jakie kiedykolwiek w życiu słyszał. Poskutkowało, osiłek zatrzymał się nagle, jakby wpadł na niewidzialną ścianę, skurczył się uderzony falą emocji, które udało się zmobilizować.

Jason zyskał bezcenną chwilę.

Zdarł z grzbietu przemoczoną ceremonialną szatę, brudną teraz, poplamioną błotem i krwią. Wieniec zdobiący głowę potoczył się w błoto, Jason wdusił go w nie, przydepnąwszy pogardliwie. Stał półnagi, czując na torsie i twarzy krople deszczu, które nie ziębiły już dotkliwie ani nie powodowały dreszczy. Przeciwnie, przywracały trzeźwość umysłu. Od razu poczuł się lepiej, wściekłość przerodziła się w zdecydowanie.

Wodził wzrokiem powoli, aż zatrzymał go na postaci Gilles'a. Druid zmrużył oczy, widać było, że jest spięty.

– *Dunez mei l'espee!* – krzyknął Jason. W jego głosie nie było prośby, był rozkaz.

Mięśnie na twarzy Gilles'a zadrgały. Wydawał się zaskoczony okrzykiem, ale dłoń w długiej rękawicy, choć niespiesznie, powędrowała do rękojeści. Jeszcze chwilę się wahał, może rozważał konsekwencje. W końcu obnażył miecz, ujął go w połowie klingi, wyciągnął rękojeść ku Jasonowi.

Ten ujął ją, była szorstka, obciążona jaszczurem. Przyłgnęła do

wilgotnej i splamionej krwią dłoni, jakby dla niej została zrobiona. Jason popatrzył w twarz Gilles'a, ale nie wyczytał z niej nic. Nawet życzeń powodzenia.

Podziękował lekkim skinieniem głowy. Kątem oka zauważył, jak Girart wręcz gotuje się ze złości, a jego nalana twarz przybiera kolor purpury. Może go krew zaleje, pomyślał Jason, odwracając się do swego przeciwnika. Mam nadzieję, Gilles, że wiesz, w co się wpakowałeś, bo jeśli nie zaleje... Zresztą, w końcu niby dlaczego ja mam się tym przejmować?

Wraz z dotknięciem rękojeści spłynął na niego lodowaty spokój. Ustał wreszcie szum w głowie, świat przestał się kołysać. Machnął mieczem, aż ostrze ze świstem przecięło powietrze. Broń była lekka i znakomicie wyważona.

Osilek nie uśmiechał się już, na jego twarzy malowało się zaskoczenie. Zerkał na Girarta zdeorientowany, ze złością i wyrzutem. Pewnie nie tak miało być, uśmiechnął się Jason złośliwie.

Na pewno nie tak. Pleczysty drab spowaźniał, znów stał się czujny i niebezpieczny. Ale to nie wzbudziło w Jasonie lęku, ten odszedł gdzieś daleko.

Wiedział, że umie walczyć, przynajmniej kordem potrafił się niegdyś posługiwać całkiem zręcznie. Ale człowiek, który teraz stał naprzeciwko niego, wyglądał, jakby urodził się z mieczem w garści. Tak niewątpliwie było, musiał być ćwiczony w walce, może nie od urodzenia, ale zapewne zaczął nauki niedługo po tej chwili. I dożył wieku dojrzałego w tym straszliwym świecie, co też o czymś świadczyło.

Mimo wszystko Jason nie bał się, choć jakaś część jego umysłu niepomiernie się temu dziwiła. Łaknął teraz tylko zemsty, choćby za złamany nos. Mógłby zabić tego człowieka bez zmrużenia oka. Co więcej, miał zamiar i ochotę to uczynić.

Kim ty się stałeś, Jason? – błysnęła myśl. Ale zaraz odrzucił ją, zepchnął na dno świadomości. Nieważnie, kim się stałem, odpowiedział sobie, jeśli tego nie zrobię, będę martwy.

Zaatakował pierwszy.

Osilek był zaskoczony, ledwie odbił cięcie, skierowane wprost na szeroką pierś. Miecz Jasona zadrżał w zetknięciu z klingą przeciwnika,

zastawa była spóźniona, lecz i tak Jason miał wrażenie, że uderzył w kamienny mur. Nie potrafił tego wykorzystać, nie odbił się od wielkiego draba. Po prostu odskoczył, mając nadzieję, że ten będzie zbyt wolny.

Był wolny, nie kontratakował od razu, wciąż nie wierząc, iż ten, który wydawał się łatwą ofiarą, ośmielił się rzucić na niego, zamiast bronić rozpaczliwie własnej skóry. Ale konsternacja trwała krótko, w oczach osiłka zapłonęła furia. Ruszył naprzód, zadawał ciężkie, zamachowe ciosy. Liczył widać, że samym impetem zmiażdży Jasona, który będzie mógł jedynie cofać się i osłaniać.

Po zablokowaniu pierwszego uderzenia Jasonowi ręka zadrżała, a nadgarstek zdrętwiał. O mało nie wypuścił miecza. Na szczęście atakujący drab nie grzeszył pomyślunkiem ani sprytem, wybrano go chyba wyłącznie ze względu na siłę. Zadawał kolejne ciosy, dające się przechwytywać, chociaż z najwyższym trudem.

Jason zdawał sobie sprawę, że długo nie wytrzyma. Za każdym uderzeniem, które przyjmował na klingę, jego ramię stawało się coraz bardziej bezwładne. Przeciwnik chyba dostrzegł to wreszcie, ale zadufany w swą siłę nie zmienił taktyki. Wciąż walił jak cepem, na przemian z jednej i drugiej strony, a jego wargi rozciągnęły się, odsłaniając zęby w osobliwym triumfalnym grymasie.

Stal zwarła się ze zgrzytem, kolejny cios odrzucił Jasona o krok w tył. Nauczony kiedyś walki kordem, nie potrafił sprawić, by ostrze przeciwnika ześlizgiwało się wzdłuż jego klingi. Musiał przyjmować cały impet uderzenia, bo instynktownie obawiał się, że straci palce, choć teraz były chronione jelcem. Uświadamiał to sobie, ale nie miał wykształconych odpowiednich odruchów, po prostu nie umiał.

Słyszał swój charczący oddech, przed oczyma zaczynały latać ciemne plamy. Twarz osiłka rozmazywała się. Zebrał wszystkie siły i odepchnął przeciwnika, czując z rozpaczą, że chyba ostatni raz mu się udało. Wtedy dostał pięścią prosto w skroń.

Kiedy na chwilę wszystko zniknęło w czerwonym rozbłysku, Jason dosłyszał jeszcze urągliwy śmiech.

To właśnie zgubiło osiłka. Zamiast ciąć i zakończyć walkę, śmiał się, widząc, jak oszołomiony przeciwnik chwieje się na nogach. Strażnik był głupi, postanowił przedłużyć zabawę. Zamierzył się do następnego

uderzenia pięścią, porwany okrzykami zachęty rozochoczonej gawiedzi.

Jason wykorzystał ten darowany moment wytchnienia. Nie oberwał na tyle mocno, by stracić przytomność. Wzrok przysłoniła mu czerwień, ale tym razem z zalewającej go wściekłości. W błysku nagłego olśnienia zrozumiał, że przecież nie ma żadnych reguł. Wszystko, co słyszał o uczciwej walce, to jedna wielka bzdura.

– O, żeż ty! – charknął i zanurkował pod nadlatującą pięścią.

Pęd powietrza musnął mu policzek i rozpęd poniósł draba dalej. Jason dostrzegł jego szeroko otwarte oczy, w których zastygł wyraz zaskoczenia i niedowierzania. Nieco na oślep, ale wkładając w kopniaka całą siłę, wyrzucił nogę – a buty miał ciężkie. I trafił, dokładnie w zagłębienie z tyłu kolana.

Głuche chrupnięcie zmieszało się z donośnym kwikiem osiłka. Padł bezwładnie, rozpryskując błoto, i omal nie nadział się na własny miecz.

Jason oddychał ciężko. Otarł twarz, rozmazując po niej strugi krwi wciąż płynącej z rozbitego nosa. Włosy lepiły mu się do czoła i policzków. Dotarło do niego, jak wiele miał szczęścia.

Ale to nie był koniec walki. Przeciwnik nie wypuścił jeszcze z garści miecza i usiłował podnieść się z błota. Coś wykrzykiwał, przekleństwa czy wyzwiska. Rozcięte o własną klingę czoło plamiła mu krew. Z wysiłkiem i bólem, który wykrzywiał mu twarz, zdołał podnieść się na klęczki. Nic więcej nie mógł uczynić, złamana noga odmówiła posłuszeństwa. Wywrzaskiwał klątwy, ale w jego głosie Jason usłyszał rozpacz i strach.

I co teraz? – pomyślał. Wygrałem. Powiódł spojrzeniem dookoła, wciąż dysząc z wysiłku.

Na twarzy Basile'a zobaczył ulgę. Olbrzym unikał jego wzroku, był bardzo blady. Jason znów poczuł przyływ gniewu, który rychło zamienił się w smutek. Nic nie powiedziałeś, Basile. Wiedziałeś, a nie ostrzegłeś.

Oblicze Girarta zdobił nieszczery uśmiech. On umiał przegrywać, co więcej, potrafił obrócić porażkę w sukces i nawet wyciągnąć z niej korzyści. Jego małe, tonące w tłuszczu oczka błyszczały teraz całkiem udatnie oddaną życzliwością i podziwem. Jason pomyślał, że gdyby nie znał starucha, mógłby się nabrać.

Szczupła twarz Gilles'a pozostawała nieprzenikniona, jakby to, co się stało, jego nie dotyczyło. Druid skrzyżował ręce na piersi, obserwował wszystko beznamiętnie spod przymkniętych powiek.

Jason słyszał coraz głośniejsze okrzyki stłoczonej ciżby. Wiedział, co oznaczają. Gdyby jeszcze nie rozumiał, wymowne skinienie głowy Girarta powiedziałyby mu wszystko.

Szemranie tłumu stawało się coraz bardziej natarczywe.

Jason uniósł miecz, popatrzył na klęczącego osiłka, który wciąż usiłował stanąć na nogi. Pod jego spojrzeniem pokonany znieruchomiał, dotarło do niego, że nadchodzi koniec. Rozwarł nagle palce, ściskana kurczowo rękojeść wysunęła się z dłoni. Ostrze wbiło się w ziemię, przez chwilę wydawało się, że miecz pozostanie tak, kołysząc się lekko, jednak ciężka głowica przeważała. Lepkie błoto prysnęło wysoko, kiedy broń upadła z chlupotem.

Osiłek wyprężył się, zadarł głowę wysoko. Znał reguły. Kończ wreszcie, zdawało się mówić jego spojrzenie. Jason patrzył prosto w oczy człowiekowi, którego miał za chwilę zabić.

Chciał zrobić to szybko i czysto. Nie miał żadnych powodów, by okazać litość. Coś gdzieś krzyczało w głębi jego świadomości, że przecież nie musi przyjmować zasad rządzących tym światem, może sam zdecydować. Całym wysiłkiem woli stłumił ten krzyk, jakby rozstając się na dobre z kimś, kim był kiedyś.

Rękojeść była wystarczająco długa, by mógł ująć miecz oburącz. Z ostrzem skierowanym w górę zaszedł z boku pokonanego, który, pogodzony najwyraźniej z losem, wyciągał szyję jak mógł najdalej. Wargi osiłka poruszały się, jakby szeptał coś cicho, może przekleństwa, może modlitwę.

Jason wymierzył starannie tam, gdzie na odsłoniętej, spotniałej szyi pulsowała błękitna żyłka. Ciął z całej siły.

I spartaczył niemiłosiernie cięcie, które miało być czystym ciosem łaski. Bezbronny człowiek klęczał nadal, kiedy jego żuchwa wyleciała w powietrze odwalona straszliwym uderzeniem, nie sięgnęło ono bowiem tak daleko, jak powinno. Krew buchnęła z rany – zamieniła się w nią cała dolna część jego twarzy.

Jason poczuł, jak uginają się pod nim nogi, widział klęczącego

człowieka, który mimo potwornego okaleczenia wciąż żył, ciągle czekał na ostateczną łaskę. Odcięta szczęka w błocie szczyrzyła urągliwie zęby.

Zebrał wszystkie siły, patrząc w oczy, w których było już tylko błaganie. Udało mu się unieść ostrze. I wtedy coś pękło w nim samym.

Zamiast uderzyć, odwrócił się, popatrzył wyzywająco w małe ślepka Girarta. I co mi teraz zrobisz? – pomyślał, widząc, jak na tłąstą twarz wypełza wreszcie lęk. Girart bał się wyłącznie siły i okrucieństwa, jedynie przed tym czuł respekt. I jedno, i drugie teraz mógł zobaczyć. Jason uśmiechnął się zimno.

Basile poderwał głowę. W oczach chłopaka Jason zobaczył odbicie swego żalu. Ale od niego samego ów żal odszedł bezpowrotnie. Nic nie pozostało takie jak kiedyś. I nigdy nie będzie. Zdawał sobie z tego sprawę.

Podszedł powoli do Gilles'a, ścigany bulgotliwym skowytom człowieka, który wił się w błocie jak przecięty robak. Chwycił ostrze wpół, nie bacząc, że może skaleczyć dłoń. Podał druidowi.

Ten nawet nie drgnął, stał nieruchomo, milcząc, z rękoma wciąż skrzyżowanymi na piersi.

– Może byś go dobił? – spytał wreszcie.

Jason nie raczył się odwrócić. Bulgoczący skowyt przestał robić na nim wrażenie.

– Po co? – spytał zimno.

Gilles zmrużył oczy. Na szczupłej twarzy osiadały mu drobne krople deszczu.

– Szybko się uczysz.

Ujął rękojeść. Szybkim, wprawnym ruchem, nie patrząc, wsunął broń do pochwy. Po czym roześmiał się głośno, na całe gardło, zagłuszając coraz cichszy jęk rannego.

Śmiał się. Jason stał przed nim, nie wiedząc, czy ma zawtórować, czy wręcz przeciwnie. Po twarzy druida spływały krople, nie wiedzieć, padającego deszczu lub łez rozbawienia.

– Przegrałeś, Jason, choć jeszcze o tym nie wiesz – rzekł druid, gdy atak dzikiej wesołości minął i mógł znów spokojnie mówić. – Przegrałeś, bo nie mogłeś wygrać.

W jego głosie drgały jeszcze echa śmiechu. Ujął Jasona pod ramię.

– Wyjaśnię ci. Gdybyś nie stanął do walki, zostałbyś zastrzelony. Taki tu zwyczaj. Gdybyś użył w walce swej siły, zostałbyś zastrzelony. Też taki zwyczaj. Kapłan musi potwierdzić, że jest godzien swych zaszczytów, a dowieść tego może w tylko w walce. Uczciwej, jakkolwiek śmiesznie zabrzmiałoby to słowo.

Oczy Gilles'a zwęziły się kpiąco.

– Trochę bez sensu, jak się zaraz okaże, ale po kolei. Pomogłem ci, chociaż mnie oszukałeś, ostrzegłem...

Jason zeszywniał, zaskoczony. Druid pokiwał głową.

– No, może istotnie nie oszukałeś, ale nie powiedziałaś wszystkiego. Przecież było was trzech, nieprawdaż? Nie, nie zaprzeczaj, ten dureń zdążył wszystko wypaplać. Nieładnie.

Jason otwierał usta, żeby coś powiedzieć. Napięcie po walce opuściło go, czuł się rozdygotany, nie potrafił składnie myśleć.

– Nie, Jason, daruj sobie, wiem wszystko. Przede wszystkim to, że jest stąd wyjście. A teraz powiem ci, dlaczego cię ostrzegłem, chociaż zawiodłeś mnie srodze. Prosta sprawa, przydasz mi się, zostałeś wszak kapłanem. Ale nie poprowadzisz mnie do wyjścia, muszę je znaleźć sam. Będzie mi łatwiej, skoro już wiem, że istnieje.

Wykrzywił twarz w złośliwym uśmiechu. Spostrzegł, że Jason wciąż do końca nie pojmuje. Obrócił go jak bezwonną kukiełkę, zbliżył twarz do jego twarzy.

– To proste – syknął. – Pierdolony kapłan tej pierdolonej osady jest więźniem. Taki pierdolony zwyczaj. Nigdy więcej nie wyjdiesz za bramę, nie opuścisz obrębu wałów. Jesteś zbyt cenny, posiadasz moc. Wiesz wreszcie, dlaczego się ze swoją kryłem? Dlaczego z niej nie korzystałem? Teraz rozumiesz?

Puścił Jasona, który zatoczył się, o mało nie upadł. W rzeczy samej, zaczął pojmować.

– *Ço n'iert, Jason* – usłyszał jeszcze drwiący głos druida. – Nigdy.

- IX -

...Gdziekolwiek mnie zaskoczy śmierć, powitam ją z radością...

Ernesto Guevara Lynch de la Serna

Ostrze błysnęło w słońcu, gdy nóż zawirował w powietrzu i na chwilę zawisł nieruchomo. Kiedy zaczął spadać, Fabienne chwyciła go pewnie, w środku ostrza, choć nie był przystosowany do rzucania i klingę miała stępioną poza ostrym czubkiem. Zwykłe, toporne narzędzie, niezdarnie wykute przez wioskowego kowala i oprawne w dębowe drewno miało jedną zaletę – spory ciężar. Jednak pomimo złego wyważenia dziewczyna była pewna siebie, nie obawiała się, że paskudnie pokaleczy sobie dłoń.

Przez chwilę balansowała nożem na kancie dłoni, przyglądając się uważnie, jak ciąży w stronę rękojeści. Jeszcze raz podrzuciła w górę, aż dobrze wywecowane krawędzie ostrza błysnęły w słońcu. Po czym, schwytawszy nóż tym razem za trzonek, odwróciła się gwałtownie i cisnęła.

Tommy, zwany Wypierdkiem, tylko przymknął oczy. Niewiele mógł więcej zrobić, więzy trzymały dobrze.

Kiedy usłyszał głośnie stuknięcie, z jakim nóż wciął się w korę, zrozumiał, że wciąż żyje. Głośny śmiech kamratów, gwizdy i okrzyki uznania utwierdziły go w tym przekonaniu.

Uchylił powieki, zezował na nóż, który drgał jeszcze, wbity głęboko w pień tuż obok jego policzka. Podobne jak dobry tuzin innych, które trafiły w pień wcześniej, obrysowując jego sylwetkę, mniej lub bardziej dokładnie. Ale nie dalej niż dwa cale od ciała.

Błady wyrostek, teraz zupełnie biały niczym kreda, zwisał bezwładnie w więzach. Pryszczce odcinały się wyraźniej na jego twarzy. Modlił się tylko bezdźwięcznie, by zabawa wreszcie się skończyła. W spodnie złał

się dużo wcześniej, kiedy kamraci przywiązywali go do pnia, a on zobaczył przed sobą tę dziewczkę z piekła rodem, z nożem w każdej dłoni.

Dziewka z piekła rodem podeszła do rozłożystego dębu i popatrzyła uważnie. Nie jest źle, pomyślała, zaledwie jedna kresa na żebrach, jego wina, poruszył się. Zawsze się poruszają, to nie Snake, który potrafił stać, jakby był z kamienia. W swoim zresztą dobrze pojmowanym interesie.

Wyrwała z wysiłkiem jeden z noży wbitych głęboko w twardą, chropawą korę, chlasnęła ostrzem powrozy. Tommy padł bezwładnie na kolana, długą chwilę nie mógł się poruszyć. Fabienne odeszła, nie poświęcając mu spojrzenia.

Brodaty banita zmarszczył niechętnie brwi, kiedy stanęła przed nim i wyciągnęła bez słowa rękę. Kamraci roześmieli się. Jego twarz poczerwieniała i oczy błysnęły złością, ale ściągnął z małego palca złoty, ciężki pierścień.

Zrobił ruch, jakby zamierzał go podać dziewczynie. I zaśmiał się złośliwie, w ostatniej chwili cofając rękę.

– Dawaj – powiedziała zimno. – Przegrałeś.

– Do dupy takie sztuczki – powiedział pogardliwie brodac. – I co mi teraz zrobisz? Jeśli nie będę chciał ci dać, nawet nie zdążysz się schylić, żeby wyjąć zza cholew te twoje koziki.

Złoto błysnęło oleście w słońcu, kiedy uniósł pierścień wysoko, tak żeby dziewczyna nie mogła go dosięgnąć. Drugą dłoń położył na rękojeści miecza. W jego oczach błysnęło wyzwanie. I co zrobisz? – zdawał się pytać. Kamraci zgromadzeni półkolem zarechotali. Wiedzieli, że Theoluf to twardy chłop. Nie pozwoli dziewczce robić się w wała.

Rysy Fabienne stwardniały. Nie sięgnęła do pierścienia, nie podskoczyła głupio.

– Miałeś dostać całusa, prawda? – spytała zimno. – Jeślibym nie trafiła albo uszkodziła tego gnojka zanadto?

Theoluf przytaknął. Wciąż się śmiał.

– A teraz dostanę, jeśli dam ci ten pierścień?

Fabienne wolno pokręciła głową.

– Nie. Ale dostaniesz coś więcej, jeśli staniesz pod tym pniem. Ja się odwrócę, ktoś klaśnie. Wtedy zobaczymy, czy ty dobędziesz prędzej

swojego różna, czy ja zdążę rzucić tak, żebyś poczuł te noże przy uszach. Tylko się nie pomyśl, o który rozeń ci chodzi, pamiętaj, jeszcze nie wygrałeś – dodała złośliwie.

Theoluf wahał się, był zdezorientowany.

– Ale wątpię, czy masz jaja – dorzuciła z pogardą.

Kamraci gruchnęli ochrypłym śmiechem. Drwina przeważała. Theoluf poczerwieniał i bluznął przekleństwem. Podbiegł do drzewa i stanął u pnia, wykopawszy spod niego Tommy'ego, który odpełził pospiesznie na czworakach.

– Hej, Cedriku, dasz znak! – wrzasnął.

Stary banita skinął głową.

Fabienne wolno podeszła, stanęła odwrócona plecami do drzewa. Theoluf mrugnął do Cedrika, powoli, by nie zdradzić się przedwcześnie żadnym zgrzytem, pociągnął rękojeść. Już dobry cal błyszczącej stali ukazał się nad pochwą. Na twarzy Cedrika rozlał się obleśny uśmiech, stary czekał cierpliwie z wzniesionymi do kłaśnięcia dłońmi.

Ale Fabienne nie czekała. Schyliła się błyskawicznie, zwinęła w półobrocie. Stęknienie Theolufa rozległo się jednocześnie ze stukotem noża wbijającego się w drzewo. Palce banity rozwarły się na rękojeści, kiedy ujrzał trzonek sterczący mu spomiędzy nóg. Nie czuł bólu, ale i tak wydawało mu się, że zaraz upadnie.

– Nie trafiłam? – zdziwiła się obłudnie dziewczyna. – No tak, cel za mały...

Jej druga ręka zwisała luźno. Theoluf widział nóż, trzymany ostrzem do góry tak, że przylegało ono do nadgarstka. Nawet bał się poruszyć, coś gorącego spływało mu w nogawkę. Nie czuł bólu, więc chyba nie była to krew.

– Dawaj ten pierścień. Bo za drugim razem pewnie trafię, choćby ci stanął do środka – zaśmiała się pogardliwie Fabienne. Kamraci zawtórowali.

Theoluf wyciągnął drżącą dłoń. Pierścień poleciał łukiem, potoczył się po trawie. Dziewczyna podniosła go, wciąż uważnie śledząc, czy banita pod dębem nie próbuje się czasem poruszyć. Jej spojrzenie prześlizgnęło się po twarzy Cedrika. Obleśny uśmiech spętał z gęby

starego.

– No dobrze – usłyszała ostry głos. – Koniec zabawy! A ty pozwól, moja panno.

Fabienne odwróciła się.

– Pięknie – dodała Marion. – Mam nadzieję, że go nie uszkodziłaś? Routier bez jaj na wiele nam się nie przyda...

Śmiech kamratów był nieco wymuszony. Nawet Theoluf się roześmiał przez zaciśnięte zęby.

Fabienne poszła posłusznie za Marion. Milczała, czuła się winna i zakłopotana. Chciała przeprosić, ale nie zdążyła.

Kiedy zdobyczne wozy skryły je przed oczyma kamratów, którzy z wolna rozchodzili się spod rozłożystego dębu, Marion zatrzymała się i odwróciła. Jej oczy błysnęły wściekłością, chwyciła dziewczynę za ramię. Fabienne jęknęła z bólu, tak silny był ten uścisk. Zamilkła jednak, gdy Marion z całej siły pchnęła ją za deski wozu.

Przez chwilę patrzyły na siebie, Marion z furią w oczach, Fabienne z coraz większym przestraszaniem.

– O co się założyłaś, idiotko? – syknęła wreszcie Marion. – Nie, nie odpowiadaj, sama zgadnę. O całusa?

Fabienne machinalnie kiwnęła głową. Marion splunęła tylko, niczym jeden z jej kamratów.

– Mogłam się tego spodziewać. A wiesz, co by się stało, gdybyś przegrała?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Zaczynało do niej docierać.

– Theoluf zaciągnąłby cię w krzaki, razem z paroma kamratami. Tam by cię przytrzymali, a on zerznął. A potem pozostali, po kolei.

Marion uśmiechnęła się ponuro.

– Jeślibyś wygrała, byłoby tak samo. Miałaś więcej szczęścia niż rozumu, pokazałaś im, gdzie ich miejsce. Udowodniłaś, że muszą się bać, bo jesteś zdolna gardło poderznąć. Gdyby nie to, właśnie któryś by cię

teraz pieprzył, a reszta czekała swojej kolejki, przebierając nogami, z kutasami w garści. Albo nawet robiliby to po dwóch naraz. Cóż, może lubisz, w takim razie się nie wtrącam.

Fabienne milczała, w jej oczach błysnęły łzy. Spojrzenie Marion zmiękło.

– Nie płacz. Miałaś szczęście. Ale nie prowokuj, bo i tak przez cały czas przemyśliwają, jak cię dopaść. Wał w pysk od razu, kiedy któryś klepnie cię po tyłku albo złapie za cycki. Nie wahaj się pchnąć pod żebra, gdy będzie chciał posunąć się dalej. Trzymaj się mnie, bo inaczej cię nie upilnuję. I, kurwa, nie prowokuj.

Uśmiechnęła się ponuro.

– Spytasz może, jak masz nie prowokować? Racja, to trudne, nawet nie musisz specjalnie tyłkiem kręcić. Oni chętnie przelecą wszystko, co ma dziurę i na drzewo nie ucieknie.

Dziewczyna uśmiechnęła się przez łzy.

– A ty? – spytała hardo, chcąc zachować resztkę godności.

Marion spochmurniała.

– Ja jestem stara, drogie dziecko. – Zaśmiała się ponuro. – Są chłopki we wioskach, dziwki w oberżach. Oni wiedzą już, jak zabijam, i wiedzą, że prędzej im jaja oberżnę, niż dam któremuś. Zresztą nie mają specjalnej ochoty...

Już się nie śmiała.

– Z tobą jest problem, moje dziecko – mruknęła z goryczą. – Nie upilnuję cię i w końcu będziesz musiała kogoś zabić, jeśli ci się uda. Jeśli nie, pozostaje mieć nadzieję, że ci się spodoba, wybór zresztą masz niewielki.

Zakłęła pod nosem, jej oczy znów załśniły gniewem.

– A oni są potrzebni, to dobrzy ludzie. Nie chcę tracić kolejnych, dlatego że mi się któryś postawi albo będzie chciał dobrać ci się do tyłka. Nie stać mnie na to. Tylko kłopot z tobą, dziewczyno.

Fabienne podrzuciła głowę.

– Dam sobie radę! – odpaliła. – Nie musisz mnie pilnować. I postaram się nie zepsuć za bardzo twoich ukochanych chłopaków.

Marion zmrużyła kpiąco oczy. Pokiwała głową, Fabienne nie wiedziała, czy nie z politowaniem.

– Ależ dasz, moja mała, dasz. – Marion wyciągnęła dłoń, chciała otrzeć łzę z policzka dziewczyny. – Niezła jesteś, widziałam. Poradziłaś sobie znakomicie, pierwszy raz miałaś w rękach te noże, a rzucasz pewnie, trafiasz, w co chcesz.

Mimo woli Fabienne uśmiechnęła się. Marion miło połechtala jej ambicję.

– Nic trudnego. – Wzruszyła lekceważąco ramionami. – Mam wprawę.

– Nie wątpię – ucięła Marion. – Masz też coś więcej, masz intuicję. Ale nie chcę cię martwić, Theolufa będziesz musiała zabić, prędzej czy później. On ci nie zapomni, ośmieszylaś go przed kamratami. Dopadnie cię i w końcu zerżnie, a potem zabije.

Uśmiech zniknął z twarzy dziewczyny.

– Mam nadzieję, że będziesz umiała to zrobić przy najbliższej okazji. Bo inaczej nie zostanie ci nic innego, jak polubić Theolufa, co prawda na krótko.

Twarz Marion ściągnęła się gniewem.

– A z Cedrikiem to sama porozmawiam – obiecała twardo. – Powinien stary wiedzieć, z kim ma trzymać.

Fabienne przeciągnęła natłuszczonym kawałem skóry po klindze swego korda. Cienka warstewka łożu chroniła wyostrzoną przed chwilą broń, nie pozwalała, by lśniący metal pokrył się rudawym nalotem rdzy. Uważała, by nie umazać drewnianych okładek rękojeści, by nie ślizgała się ona w dłoni, kiedy przyjdzie co do czego.

Dziewczyna siedziała na uboczu, z dala od krzątania, jaka wszczęła się w obozie, kiedy tylko słońce minęło najwyższy punkt na niebie i opadało powoli. Na wieczór szykowałą się wyprawa. Fabienne myślała o niej z niechęcią, nie miała ochoty łupić nikomu nic niewinnych kupców, którzy wieźli nikomu nieprzydatne worki ziarna. Nie chciała się nawet temu przyglądać. Ale też nie chciała się otwarcie przeciwstawić Marion.

Dziwiła się tylko, jak łatwo kamraci pozwalają sobą powodować i wysyłać na bezsensowne wyprawy.

Widziała już sporo i nawet wiele potrafiła zrozumieć. Marion chodziło o czysty postrach, o udowodnienie, że jest panią Sherwood. Stąd okrucieństwo i mordowanie wszystkich, którzy nie chcieli się podporządkować prawom niepodzielnej władczyni życia i śmierci tych, co w puszczy osiedli lub zdecydowali się przekroczyć jej granice.

Bezwzględność miała jakiś chory, pokrętny sens, rozumiała Fabienne. Nie można się cofnąć ani na chwilę odwrócić się plecami, żeby ktoś w te plecy nie wbił noża. Dziewczyna potrafiła zrozumieć, że Marion mści się teraz za wszystkie lata, za krzywe spojrzenia i za śmierć, która wciąż krążyła dokoła niej.

Potrafiła zrozumieć. Nie umiała jeszcze zaakceptować. I wiedziała też, że z tej drogi nie można zawrócić. Źle to wróżyło. A ona zupełnie nie miała pojęcia, co zrobić.

Ostrożnie wsunęła ostrze do pochwy. Odruchowo dotknęła rękojeści tkwiących za cholewami noży, sprawdzając, czy tkwią na swoim miejscu. Rozejrzała się po obozowisku.

Trwała pozornie bezładna krzątanina. Banici siodłali konie, sztorcowanie Tommy'ego Wypierdka, który zwijał się jak w ukropie, weszło im w nawyk. Chłopak miał wystarczająco przykry dzień, nie chciał zaliczyć dodatkowych kopniaków. I wciąż żywił szaloną nadzieję, że tym razem pozwolą mu pojechać z resztą bandy i będzie mógł wreszcie się wykazać. Może wtedy uznają go za jednego ze swoich. Tym bardziej się uwijał, nie chciał podpaść zbyt szybko.

Fabienne spostrzegła, że kamraci omijają ją starannie, jakby była zapowietrzona. Nauczka nie poszła na darmo, uśmiechnęła się. Marion niepotrzebnie się martwi, poradzę sobie. Ale nie zapomniała spojrzeń, jakie raz i drugi rzucił jej Theoluf. Zaczynała się obawiać, że będzie musiała postąpić tak, jak przewidywała Marion. Czyli zabić banitę, którego ośmieszyła na oczach kamratów. Miała tylko nadzieję, że w razie czego da sobie radę, i solennie przyrzekła sobie nie odwracać się do Theolufa plecami.

Opodal przeszedł Cedric. Stary, wysoki routier wykrzykiwał jakieś rozkazy, podkreślane gestami. I omijał ją wzrokiem, jak zauważyła.

Poczekaj, stary, pomyślała mściwie, ja też cię zapamiętałam.

Drgnęła, kiedy usłyszała za sobą głos Marion.

– Jesteś gotowa? – spytała. – Zaraz ruszamy.

Fabienne wstała powoli, zapięła na biodrach pas. Sprawdziła, czy rękojeść jest w dobrym miejscu, nad lewym biodrem. Odwróciła się.

Marion też była gotowa. Znad ramienia wystawał jej półtoraręczny miecz, zdawałoby się, że zbyt ciężki dla kobiety. Ale dziewczyna wiedziała, że Marion potrafi nim obracać jak mężczyzna. I знаła jej siłę, widziała nabrzmiewające węzły mięśni, kiedy naciągała długi łuk. Potarła bezwiednie miejsce na ramieniu, w którym palce Marion zostawiły ciemne siniaki.

Kasztanowate, siwiejące włosy były ściągnięte rzemieniem. Marion właśnie poprawiała węzeł.

– Zrób coś z kudłami – poradziła dziewczynie. – Będą ci lazły w oczy.

– Zwyczajna jestem – odpaliła Fabienne, odrzucając dmuchnięciem kosmyk, który spadł na czoło. – Zresztą...

Marion spojrzała spod oka.

– Zresztą i tak będziemy stać z boku i patrzeć, jak twoi ludzie dorzynają tych nieszczęsnych kupców czy kmieci, jak zawsze – dodała Fabienne wyzywająco.

Rzemyk trzymał się już właściwie. Marion potrząsnęła głową, by sprawdzić.

– Nasi ludzie – powiedziała zimno po chwili. – Nie zapominaj o tym, skoro już tu jesteś. Nasi, to znaczy również twoi, choćby nawet chcieli dobrać ci się do zgrabnej dupki. Bo może się łatwo zdarzyć, że właśnie oni będą tę zgrabną dupkę chronić, kiedy ktoś wpadnie na pomysł, żeby wetknąć ci w nią widły, zamiast czegoś innego. I, choć może się zdziwisz, liczą na to również z twojej strony.

– Dam sobie radę – odparła Fabienne, równie oschle.

– O, nie wątpię, że dasz – rzekła Marion spokojnie. – Jeśli sobie nie dasz, nie będzie problemu. Z tobą.

– A teraz jest?! – Fabienne prawie krzyknęła, uniesiona złością.

– Jest – przytaknęła Marion bez gniewu, raczej zatroskana. – Dziś nie

jedziemy na trakt, ale do wioski. Mięso się kończy, resztki już się zaśmierdły, a wędzonki mam dość. Zobaczysz sama, chłopcy pazerne z natury, nie skończy się na dorzynaniu.

Fabienne nie rozumiała z początku. Nie mieściło jej się to w głowie.

– Jedziemy wszyscy, żeby kupić bydło?

Marion spojrzała na nią, jakby dziewczyna była niespełna rozumu. Wyglądało na to, że zaraz wybuchnie złością. Ale gniew zgasł tak szybko, jak się pojawił.

– Zabrać – wyjaśniła cierpliwie. – I dać w łeb każdemu, kto się sprzeciwi. Pewnie trzeba będzie ich spalić, jak zwykle, bo zawsze się sprzeciwiają. Nie potrafią się nauczyć, kmioty pazerne.

Zaśmiała się, jej oczy zalśniły złym blaskiem. Ona tego chce, rozumiała Fabienne.

– Będzie walka – Marion potwierdziła jej przypuszczenia. – Będziemy zabijać.

Fabienne pojęła, że stoi przed nią Wilczyca.

– Ale dlaczego? – spróbowała jeszcze.

– Dlaczego?! – Marion wrzasnęła tak, że aż kamracy, którzy właśnie zabrali się do zwyczajowego bicia bladego wyrostka, przerwali na chwilę swe zajęcie i odwrócili głowy. – Dlaczego?! Bo to kmioty!

Chwyciła dziewczynę za ramiona, przyciągnęła do siebie. Jej oczy pałały nienawiścią.

– To robactwo, moja mała – mówiła już ciszej, ale twardo. – Nie zasługują na nic. Byli tacy, którzy chcieli ich bronić. A oni potrafili tylko zdradzać. Tropili nas jak zwierzynę, donosili. Teraz płacą i będą płacić, póki żyję.

Pchnęła Fabienne, aż dziewczyna zatoczyła się i o mało nie upadła.

– Oni wszyscy! Śmierdzące kmioty i zbrojni, którzy ośmielają się wejść do puszczy. Tak samo kupcy, bez mojego pozwolenia. A to mój pierdolony las, i wszyscy się muszą tego nauczyć. Im prędzej, tym lepiej dla nich.

Oszalała, tłukła się w głowie Fabienne jedna myśl. Jest całkiem szalona.

– Tak, jestem szalona – warknęła Marion. – Wiem, że tak myślisz... Głupia jesteś, i tyle!

Parsknęła pogardliwie.

– Myśl sobie co chcesz. Może i jestem, ale już nigdy nie pozwolę, żeby ktoś mnie tropił, żeby decydował za mnie, co mam robić. Już się skończyło. A winni są wszyscy i teraz to poczują. Już czują...

Fabienne nie odzywała się. Tak dużo wiedziała o tej kobiecie, która stała tu teraz z wykrzywioną gniewem twarzą. Nie, nie gniewem, pomyślała dziewczyna. To gorycz i zawód. Wszystkie utracone złudzenia.

Wiedziała tak dużo, znała całą historię. Może prawie całą, tyle, ile opowiedział Claymore, pełną niedomówień. Ale wiedziała też, że właśnie dla Marion bez wahania poszedł na pewną śmierć ten pochmurny człowiek, którego znała tak krótko, a jednak potrafiła zrozumieć. I potrafiła mu zaufać.

Jestem jej potrzebna, zrozumiała w jednej chwili, choć ona sama o tym nie wie i nigdy tego nie przyzna. Tylko ja mogę pomóc coś uratować, zanim zatraci się całkiem w udowadnianiu, że nikogo więcej nie potrzebuje. Ona wyłącznie samej sobie chce coś udowodnić.

– Nie potrzebuję cię – Marion wypluła prawie te słowa. – Przyszłaś nieproszona. I teraz będziesz robić, co ci każę, bo odejść nie możesz.

W złym uśmiechu błysnęły białe zęby.

– Nie bój się, sama cię zabiję. Nie dam kompanom.

Dziewczyna przygryzła wargi. Nie wierzyła w ani jedno słowo, ale przeszedł ją dreszcz. Marion popatrzyła na coś ponad jej ramieniem, zmrużyła oczy.

– A co tam się, kurwa, dzieje? – mruknęła i odepchnęła dziewczynę na bok. Fabienne po krótkim wahaniu ruszyła za nią.

Kamraci, po przelotnej chwili zainteresowania, powrócili do swego zajęcia. Zdążyli poznać wybuchy gniewu Wilczycy i, jeśli nie dotyczyły ich bezpośrednio, całkiem rozsądnie nie zwracali na nie uwagi. Tak było zdrowiej.

Okładali pięściami bladego, pryszczatego wyrostka. Tommy Wypierdek osłaniał się tylko, wił na ziemi pod ich stopami. Kamraci zarykiwali się ze śmiechu. Ileż to uciechy z takiego gówniarza.

Ci, którzy nie mogli się dopchać bliżej, rozstępowali się teraz przed nadchodzącą szybkimi krokami Marion.

– Co się tu dzieje? – wrzasnęła. Kolejna pięść nie spadła, zawisała w powietrzu. Tommy dalej osłaniał głowę rękoma, nie śmiał uciekać. Ani nawet spojrzeć.

– Chłopaki się bawią, pani. – Cedric przepchnął się przez ciżbę, stanął obok Marion.

Spojrzała na niego z ukosa złym wzrokiem.

– Widzę – warknęła. – Z jakiego powodu tym razem?

Zanim Cedric zdążył odpowiedzieć, dotarło do niej to, co usłyszała.

– I mam na imię Marion! – krzyknęła. – Zapamiętaj to sobie raz na zawsze! I tak już dziś podpadłeś.

Stary skłonił głowę.

– Tak, pani – odparł odruchowo.

Zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem, przez chwilę wydawało się, że zdzieli prosto w gębę. Banita zmrużył oczy.

– Ech... – powiedziała w końcu.

Odwróciła się do skulonego na ziemi wyrostka.

– Odstąpić go! – rozkazała.

Podeszła bliżej. Tommy skulił się jeszcze bardziej.

– O co poszło? – spytała, siląc się na łagodność. – Mów! – krzyknęła, gdy nie odpowiedział.

– On nie powie, pani – pospieszył z wyjaśnieniem Cedric. – Nigdy nie mówi, jak go lejemy, eeee... tego... jak go leją. Głupi jaki albo co?

Kamraci zgodnie pokiwali głowami. Marion odwróciła się powoli.

– No to o co poszło? – spytała oschle. – Może wy powiecie.

Stary wyprostował się.

– Bo... tego... jechać chciał, nie posługi odprawiać. Z nami, znaczy się, do wioski. Żeby miecz mu dać, dopiero pokaże, co potrafi...

Pokręcił głową z politowaniem.

– Słyszał kto, takie gównno...

Marion zacięła wargi.

– Nie widzę problemu – stwierdziła po chwili. – Chce, niech jedzie. Dać mu miecz, konia, nie będzie tu bąków zbijał.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– A jeśli go zabiją.... kiedy go zabiją – poprawiła się – ...co przecież pewne, wy sami będziecie konie oporządzać. Nic strasznego, doprawdy. Albo wybieriecie spośród siebie jednego półgłówka, będzie posługiwał wszystkim.

Odepchnęła Cedrika, który wciąż stał sztywno wyprężony.

– Zbierać się – rzuciła. – Rychło słońce zachodzić zacznie.

Wulf syn Thormlunda zdjął płaski hełm. Nienawidził go, natrętnie przywodził mu na myśl blaszaną, balwierską miskę, tak też sprawdzał się w walce. I wciąż zsuwał się na oczy.

Bardzo chciał się podrapać, ale przeszkadzała misiurka. I nie mógł jej zdjąć, w każdym razie nie przy ludziach, a zwłaszcza przy swoich ludziach. Zrudziała już od potu, który spływał po policzkach i czole, szczególnie w taki ciepły, wczesnojesienny dzień jak dzisiaj. Wulf pomyślał niechętnie, że znów trzeba ją będzie wrzucić do worka z trocinami razem z kolczugą i potrząsać, aż odzyska dawny połysk.

Zaklął pod nosem. Do czego to, kurwa, podobne. Ale takie myśli pachniały kwestionowaniem rozkazów zwierzchności, więc Wulf odegnał je czym prędzej. I tak nic nie zmieniały.

W parskanie koni wmieszał się brzęk oporządzenia. Ludzie zeskakiwali z kulbak, podprowadzali wierzchowce do koniowiązu. Wszyscy zdrożeni i spoceni po długim obtłukiwaniu tyłków na piaszczystym leśnym trakcie. Wszyscy w jednakowych lśniących hełmach, misiurkach i kolczugach.

I wszyscy jednakowo zmęczeni i wściekli.

Liście zaczynały już opadać. Smuga dymu płynęła z tłęcej się sterty, zgrabionej przez braciszków w sadzie. Wulf odetchnął głęboko

zapachem jesieni, cierpką wonią dojrzewających jabłek, skopanej, pulchnej ziemi w warzywniku.

Mały leśny klasztor zaczął się przygotowywać do zimy. Ostatnimi laty zbożny trud mnichów powiększył pola, daleko ciągnęły się ścierniska po owsie i jęczmieniu. Lato było upalne, dawno zżęte zboże braciszkwowie zwieźli do spichrzów. Pod szopą, obszerną i przysadziłą, rozciągały się lniane płachty, obsypane wilgotnym ziarnem, kiełkującym na sód.

Wulf przełknął ślinę. Klasztor zasłynał ze słodowego piwa, jakże innego od mętnych pomyj, warzonych ze wszystkiego, co wpadnie pod rękę. Dowódca straży podejrzewał nieraz, że i z trocin oraz brudnych onuc. W każdym razie smak na to wskazywał.

Ruszył do opłotków, w kierunku byle jak skleconej z desek szopki. Ledwie zdążył się oddalić nieco od stłoczonych przy koniach, zmordowanych zbrojnych, dobiegły go stłumione przekleństwa. Przyspieszył kroku, wolał ich nie słyszeć. Sam tylko zaklął, starannie i szpetnie. Ale pod nosem.

Nienawidził nowych porządków. Tych wszystkich błyszczących hełmów, misiurek, jeżdżenia po traktach w pełnym ekwipunku, nawet w największe upały. I jeszcze paru innych rzeczy.

Miał kłopot z nowym szeryfem. Okazał się prawym szlachcicem, jakże innym od starego cynika de Reno czy okrutnego głupca, jakim w istocie był Czarny Baron. Młody William z Salisbury objął hrabstwo spustoszone wieloletnią wojną i osiadł na zamku w splądrowanym mieście. Tylko dlatego zresztą mógł się tu znaleźć. Nottinghamshire, niegdyś bogate, przedstawiało obraz upadku i ruiny. Starego barona, ojca Williama, było teraz stać, aby zapłacić za urząd dla syna. Nawet nie musiał zapożyczać się zbyt u żydowskich lichwiarzy.

Szeryf William rządził nadspodziewanie mądrze i roztropnie, jak na takiego gołowąsa. Osądzał sprawiedliwie, nie karał nadmiernie, co było wielce rozsądne w spustoszonych dziedzinach. Czasem przymykał oko na łamanie przywilejów, wiedząc, że chłop i tak mąkę zemieć musi, choćby na nielegalnych żarnach. Ale wciąż trudno było mu zyskać przychylność cechów, jakoś nikt nie kwapił się do rady miejskiej, którą łaskawie zezwolił przywrócić. Mieszczanie pamiętali dobrze, czyje ciała pierwsze przyozdobiły szubienicę, kiedy nastał Czarny Baron. I nikt nie

chciał być następny.

Wulf wstąpił na służbę do nowego pana, tym bardziej że odzyskał dawne stanowisko. Wszystko zaczynało się nieźle układać. Wreszcie nie brakło spyży dla zbrojnych, a i ekwipunek nowy zaczął się pojawiać. Co najważniejsze, sir William nie przywiódł ze sobą żadnych podejrzanych kompanów, którzy byliby pierwsi do wypitki i jadła.

Ale też rychło wyszły na jaw i wady. Wulf, wprawdzie wzdragając się przed jawnym krytykowaniem, myślał niechętnie, iż nowy pan jest za miękki. Zamiast wziąć się do zbójów i grasantów, którzy na traktach rozplenili się niepomiernie, szubienice na rozstajach wznieść, aby na postrach dyndali, objadani przez ptactwo, zamyślił coś dziwnego. I szybko też tym pomysłem podzielił się z Wulfem, którego wielce sobie upodobał, uznawszy jego wierność i doświadczenie.

Wulf ocknął się ze wspomnień, kiedy stanął przed braciszkiem, który wybałuszał nań wielkie niebieskie oczy. To jeszcze pachole, spostrzegł, nowicjusz zaledwie. Uśmiechnął się pod wąsem. Przeor Piotr znany był z surowości, młodzieniaszkowie przechodzili w klasztorku srogą szkołę. Ten zaś musiał coś niechybnie przeskrobać, bo służba furtiana w zimnej, prześwitującej szparami szopce z dala od innych zabudowań uchodziła za jedną z większych kar.

– Pochwalony... – mruknął Wulf, marząc jednocześnie, żeby podrapać się po krzyżu, po którym pod watowaną kurtką i kolczugą spływały łaskoczące strużki potu.

Dobrze, że chociaż płaszcze mogli zdjąć i zwinąć, kiedy już zniknęły im z oczu miejskie mury. Inaczej, pomyślał Wulf melancholijnie, dawno by się nam w tyłkach zagotowało. Po prawdzie to jednak czuł, że i bez płaszcza jest tego bliski.

Braciszek nie odpowiedział, nie pochwalił imienia Pańskiego. Zupełnie zapomniał języka w gębie.

– Ech... – mruknął zbrojny. – I czego tak wytrzeszczasz gały jak kocur, kiedy sra w sieczkę?

Mniszek odruchowo przeżegnał się i gdy Wulf minął go obojętnie, zaczął rozmyślać o srogiej karze, jaka niechybnie go nie minie. Ale nie ośmielił się pobiec za żołnierzem, który spokojnie ruszył w kierunku kaplicy, jedyne większe, kamiennego budynku na terenie należącym

do leśnego klasztoru.

Wulf w rytm kroków postukiwał ze złością płaskim hełmem, uderzając nim o udo. Te hełmy też były pomysłem sir Williama. Strażnicy mieli być sprawni, wyglądać imponująco. I jednakowo, aby każdy w hrabstwie, nawet zakazany zbój z lasu, od razu wiedział, z kim ma do czynienia.

Działanie odstrasżające, wyjaśnił szeryf, kiedy Wulf ze zdziwienia wytrzeszczył oczy. Straż ma być widoczna i dawać włościanom poczucie bezpieczeństwa.

Stary żołnierz nie dyskutował, choć na usta cisnęły mu się różne wątpliwości, a także rozmaite brzydkie słowa. Przełknął je wszystkie, udało mu się przy tym nie zmienić wyrazu twarzy. Ostatecznie trudno sprzeciwiać się zwierzchności.

Upust wątpliwościom pozwolił sobie dać dopiero później, kiedy ujrzał wóz wyładowany ekwipunkiem; miał zastąpić stary, składający się z rzeczy pozbieranych przez zbrojnych lub złupionych w niezliczonych potyczkach i zwadach. Kolczugi z drobnych i solidnie nitowanych kółek właściwie nie były złe, wszystkie nowiutkie. Niestety szeryf nie wdawał się w szczegóły, wystarczyło, że jego ojciec nie poskapił grosza, by synowskiej drużynie niczego nie zbrakło. Jak się wkrótce okazało, nowe, kupione u płatnerzy z Lincoln kolczugi były w dwóch rozmiarach: za dużym i za małym.

Z tym problemem poradzili sobie łatwo miejscowi partacze, którzy nastali w miejsce miejskich płatnerzy, ten cech bowiem poniósł największe straty w niesławnej masakrze. Wielu krewkich rzemieślników chwyciło wtedy, co miało pod ręką, nie bacząc, czy to gotowy wyrób czy półfabrykat, by odbić sobie wszelkie krzywdy na znienawidzonych kompanach Czarnego Barona. Niestety, szybko wyszło na jaw, że umiejętność wyrobu broni niekoniecznie idzie w parze z biegłością we władaniu nią. Już lepiej radzili sobie przybyli na targ kmiotkowie, którzy sprawność w obracaniu sztchetą czy drągiem mieli, zdawało się, wyssaną wraz z mlekiem matek.

Z kolczugami nie było kłopotu, w końcu zostały dopasowane do postury nawet takich pokurczów jak Sam Wiewiórka, zwany tak od rudego wianuszka wokół łysej czaszki, czy olbrzymów jak Tępy Arnold. Gorzej z hełmami.

Wulf klął w cichości, gdy musiał pozbyć się swojego, poszczerbionego w wielu potyczkach, ale wciąż jeszcze całkiem dobrego. Głośniej kląć zaczął, kiedy płaska misa zaczęła zjeżdżać na oczy. Nowe hełmy prezentowały się jednak znakomicie, łatwo można je było wypolerować, by lśniły w słońcu. Miały też drugą zaletę – przystępną cenę. A nowy szeryf dał się poznać jako człowiek oszczędny.

Strażnicy wyglądali wręcz przeświecnie w błękitnych opończach i z błyszczącym oporządzeniem. Szeryf aż klasnął w dłonie z zachwytu, kiedy po raz pierwszy zobaczył ich na zamkowym dziedzińcu. Spodobał mu się wyraz twarzy starych, starannie dobieranych przez Wulfa wojaków. Marsowe miny też budzą respekt, wyjaśnił, klepiąc z zadowoleniem po ramieniu dowódcę swej drużyny, który ze wstydu nie wiedział, gdzie oczy podziąć.

Wulf nie podzielał poglądów szeryfa. Uważał, że dla grasantów i zbójów najlepsze działanie odstrasżające ma stryczek, w miarę możliwości poprzedzony szarpaniem rozpalonymi kleszczami. Wierzył w zbawienne skutki włóczenia końmi czy łamania kołem, w lżejszych przypadkach uznawał chociażby pręgierz. Do serca banitów niewątpliwie bardziej przemawiał widok objadanego przez wrzeszczące ptaki szkieletu na rozstajach niż nawet najsurowsze miny defilujących po gościńcu wojaków.

Wszystko jednak powoli wracało do normy. Wprawdzie niewiele dawały podjazdy na traktach, ale usmarkane wiejskie dzieciaki w końcu przestały smyrgać w przejeżdżających żołnierzy końskimi jabłkami, zbóje natomiast wychodzili na drogi nie wcześniej niż o zmierzchu. A Wulf pojął szybko, jak wiele on sam ma swobody.

Zrozumiał, że czym innym jest oficjalna polityka, czym innym jego zadania. Wkrótce aby ukarać opieszłych dzierżawców, zbrojni wprawdzie wjeżdżali do wiosek i folwarków, pyszniąc się błękitnymi opończami, ale też zdejmowali je szybko, by nie powalać zbyt krwią. Albo, co gorsza, by jakaś iskra z płonącej strzechy nie wypaliła dziury w grubej, podwójnie tkanej wełnie. Grasantów nie prowadzili już do miasta, przez co gawieź pozbawiona była wielu rozrywek. Schwytanych nikt nie żywił, czasem tylko Wulf pozwalał okazywać miłosierdzie i puszczać ich wolno. Oczywiście po wykapaniu ślepiów smolną pochodnią. Miał własne zdanie na temat odstrasżania.

Należy oddać sprawiedliwość – gapie na nottinghamskim rynku nie zostali całkiem pozbawieni atrakcji. Codziennie mogli porzucać gnojem w delikwenta pod pręgierzem, a lochy pod zamkiem pozostały pełne. Ale nie było już częstych kaźni. William z Salisbury okazał się człowiekiem twardym, lecz nie okrutnym. Wulf, niegłupi w końcu i bywały, w dodatku dopuszczony do bliskiej konfidencji, podejrzewał czasem, że szeryf wierzy w pokutę niosącą poprawę. Ale w umyśle starego żołnierza ani powstała myśl, by wyśmiewać tę przywarę. Ludzie mają prawo mieć dziwactwa, a wielmoże i po kilka naraz.

Nie sarkał też na inne pomysły sir Williama, jak choćby posterunki na traktach, zwłaszcza w dni targowe. Niewiele to dawało, i tak na targ ściągało zewsząd tylu rzezimieszków, co wprzód. Jak zwykle nie można się było doliczyć oberżniętych sakiewek, a burdy w karczmach nie różniły się niczym od tych niegdysiejszych. Żebracy nie stali się ani trochę mniej natarczywi. W dziewczkach wszetecznych zaś każdy mógł przebierać wedle uznania i upodobań.

Ale szeryf cieszył się, że wreszcie do wyniszczzonego niepokojami hrabstwa wraca spokój. Był dobrej myśli, jego zadowolenia nie mąciły nawet incydenty, do jakich na posterunkach coraz częściej dochodziło. A to krewki zbrojny kmiecia z kuszy ustrzelił, bo ten za wolno woły wstrzymywał – sam sobie winien, przecież widział skrzyżowane glewie, widomy znak przejazdu broniący. A to inni kupca zarąbali, bo źle mu z gęby patrzyło – wprawdzie od urodzenia, ale wszak mógł się okazać rzezimieszkciem. Ofiary są nieuniknione, powtarzał sir William, zanim nadejdą czasy, w których dzieciśka będą pyzate, dzierzawcy tłuści niczym inwentarz, a po gościńcach będzie się można spokojnie przechadzać z wypchaną sakiewką u pasa.

Głośnie meczenie kóz wyrwało Wulfa z zamyślenia. Tłoczyły się w solidnej zagrodzie, wszystkie dorodne i zadbane. Nie na darmo leśny klasztorzek słynął w okolicy ze znakomitych serów. Zbrojny skrzywił się, gdy zaleciał go ostry odór capa. Zwierzak spoglądał nań spode łba. Gdyby nie przeszkoda w postaci płotu z solidnych żerdzi, niewątpliwie rzuciłby się do szarży z nastawionymi rogami. Był jedynym capem, a to zobowiązywało.

Wulf przyspieszył. Szczęśliwie minął zagrodę i wyszedł na klasztorny podwórzec.

Niewiele się tu zmieniło, choć klasztorzek stawał się coraz zamożniejszy. Ale bogactwo owo przejawiało się jedynie w nowych, wydzieranych puszczy cierpliwym trudem polach i pastwiskach, w sągach drewna zwożonych przez cały rok, zanim sroga zima uniemożliwił karczunek. Zeszłego roku mnisi usypali nawet groble nad strumieniem, zyskując stawy, by już nigdy nie brakło im ryby w postne dni.

Lecz niska, obszerna chata mieszcząca dormitorium pozostała ta sama. Ta sama była nędzna siedziba przeora. Wśród zabudowań nowym, jasnym drewnem pyszniły się jedynie spichrze i stodoły. Przeor znany był z surowości, mimo, a może właśnie dlatego, iż był człowiekiem młodym, który łatwo znosił niewygody. Niewielu zakonników pozwalało sobie na narzekanie. Nauczył ich przykład tych, co sobie sarkać pozwalali, a teraz przemierzali kraj z jałmużniczymi miskami, by w ten sposób nawet z dala od klasztoru przysparzać mu grosza, kosztem codziennych umartwień i wyrzeczeń.

Tylko kamienna kaplica, ku większej chwale Bożej, miała teraz w wąskich okienkach małe, mętne szybki, wprawione w ołowiane ramki. Bracia chwalili sobie wielce tę innowację, wprowadzoną przecież nie gwoli ich wygodzie, ale by nie niszczały szaty mszalne, wydane na żer wilgoci. Ale też i modły stały się bardziej znośne, zwłaszcza zimą.

Wulf przystanął. Był nieco zadyszany, chciał otrzeć pot z czoła, lecz w porę przypomniał sobie przekłętą misiurkę. Poprzestał na splunięciu, kiedy po raz kolejny nasunęła mu się niewesoła myśl, że jest za stary do wypełniania zachcianek szeryfa.

Przeor pojawił się szybko. Zawsze sam wychodził do przyjezdnych, nie zważając na różnicę stanu. Wulf skłonił się sztywno, z szacunkiem.

Piotr z Blyton jak zwykle odziany był w przybrudzony, połatany habit. Wprawdzie nie musiał już, jak niegdyś, swym przykładem zachęcać braci do roboty, ale też jakikolwiek zbytek nie leżał w jego naturze. Co nie znaczy, że nie miał ambicji, a nawet pewnej pychy. Jednak owe ambicje skupiały się na władzy, nie jej atrybutach. Nie pożywał dóbr doczesnych, nie był podatny na grzeszne pokusy. Chciał służyć Bogu i Kościołowi, nieco nieskromnie myśląc, iż Bóg powinien jednak powołać go na wyższe stanowiska. I wierzył, że kiedyś się tak niechybnie stanie.

Odpowiedział skinieniem głowy na ukłon Wulfa. Lubił niemłodego zbrojnego, choć podejrzewał, że w głębi duszy pozostał on paskudnym

poganinem. Ale był człowiekiem praktycznym. Zawsze uważał, że poganin ukrywający swe upodobania lepszy jest od takiego, którego trzeba do wiary przekonywać ogniem i mieczem.

– Witaj, Wulfie – powiedział przyjaźnie.

Nigdy pierwszy nie chwalił imienia Chrystusowego przy żołnierzu pochodzącym skądś na krańcach świata, gdzie długie noce wsączają jad w serca człowiecze, a dzikie bestie podchodzą z wyciem pod same ludzkie sadyby.

– Na wieki wieków – odpowiedział Wulf syn Thormlunda, jak zwykle zresztą.

Przejścia sprzed roku z okładem odcisnęły trwałe piętno na twarzy młodego przeora. Bruzdy w kącikach ust pogłębiły się, krucze włosy przysypała przedwczesna siwizna. W oczach można było wyczytać gorycz i zmęczenie, nie błyszczały już młodzieńczym entuzjazmem.

Stary zbrojny ukradkiem obserwował zakonniką, mocząc wąsy w garncu słodowego piwa. Piotr z Blyton złagodniał nieco od czasów, kiedy ujrzał go pierwszy raz. Wciąż surowy dla siebie i mnichów, potrafił się zdobyć na wielkoduszność wobec przyjezdnych, nie tylko znamienitych gości, którzy zresztą i tak rzadko zaglądali do zagubionego w puszczy klasztoru. Teraz też kazał wytoczyć beczkę piwa, co zgrzani i spragnieni zbrojni przywitali z prawdziwym entuzjazmem.

Wulf burczał trochę, kiedy ujrzał swoich ludzi, czyniących wreszcie użytek z płaskich hełmów. Szybko przestał, kiedy spostrzegł, że braciszkanie dali tylko jeden czerpak, a hełmy znakomicie sprawdzają się jako naczynia.

Jako kapitan straży szeryfa Wulf dostał się zaszczycu zasięścia wraz z przeorem przy wielkim stole, ustawionym na krzyżakach pod rozłożystą lipą, jedynym drzewem na klasztornej podwórku. Siedząc za tym stołem, Piotr z Blyton zwykł letnią porą przyjmować dzierżawców. Uważał słusznie, że nie warto wpuszczać ich bez potrzeby do przedsionka kaplicy, służącego zazwyczaj za kancelarię. A coraz częściej

miał ku temu okazję, klasztorne dziedziny powiększały się, ostatniej jesieni na skraju puszczy stanęło kilka chat. Rozrastający się klasztor potrzebował rzemieślników, już nie wystarczała rozwalająca się kuźnia i naprawy sprzętu przeprowadzane siłami braciszków. Niebawem pod roztroprnymi rządami przeora Piotra obok klasztoru powinna wyrosnąć ludna wieś.

Piotr nie pił piwa. Postukiwał o nieheblowane, grube deski stołu drewnianym kubkiem wypełnionym wodą. Nie zwykł sobie folgować, jeśli już, zadowalał się zwykłym mętnym napojem, słodowe piwo zostawiając gościom. Nie spieszył się, zbrojny wyglądał na zdrożonego. Ciepły, niemal upalny dzień na trakcie musiał dać mu się mocno we znaki.

Wreszcie Wulf odstawił garniec, otarł wąsy i spojrzał przepaszająco na przeora.

– Wybaczcie, ojciec – mruknął.

Przeor uspokoił go ruchem ręki. Był ciekaw nowin, docierały tu rzadko i zazwyczaj spóźnione.

– Opowiadaj – przeszedł od razu do rzeczy.

Wulf poskrobał się w misiurkę.

– Ano... – pomyślał chwilę. – Dobrze jest.

Zniecierpliwienie odbiło się na twarzy przeora. Zdawał sobie sprawę, że ten służbisty żołnierz nie powie nic złego o swym panu. Jednak dotarły już do niego wieści o metodach nowego szeryfa. W rzeczy samej, podziwiał je. Jego szczerą wiarą nakazywała mu miłosierdzie, przeto był wielce zbudowany tym, że i ktoś z wielmożów zaczął wreszcie je okazywać. Zwłaszcza po klęskach, które dotknęły hrabstwo, kiedy stało się polem walki mrocznych sił i zwykłych, okrutnych ambicji. Klasztorne ziemie wyszły obronną ręką ze strasznej głodowej zimy i jeszcze straszniejszego łupienia wiosek i folwarków. Ale nawet tu docierali uciekinierzy i niedobitki.

Piotr z wiarą i dobrą nadzieją starał się podchodzić do bliźnich, jednak czasem brała górę gorsza część jego natury, zgorzkniała i sceptyczna. Zastanawiał się często, jak pleniących się zbójów i grasantów, odpadki zgromadzonej w Nottingham armii, mają pohamować łagodne, acz chrześcijańskie metody. Sam, mimo całej

dobroci i łagodności, nie widział innej kary dla banitów jak szubienica. Miłosierdzie mógł okazać Bóg, kiedy zapłaca cierpieniem za swe czyny.

Ale przez wieści, które regularnie przywoził Wulf czy też braciszkwowie z miejskiego klasztoru, prześwitywała nadzieja. Piotr z Blyton zaczynał wierzyć, że zło, które zaczęło się, kiedy przyjął pod klasztorny dach przekłętego odmieńca, już nie wróci. Nie żył Robert de Reno, a tego Piotr zawsze podejrzewał o nieczyste gry. Zginął okrutny Czarny Baron. Także Match, Wieprz z Nottingham, zakończył wreszcie swój marny żywot. Tyle było pożytku z masakry w mieście.

– We wioskach spokój? – Przeor postanowił podpytać, widząc, że Wulf, z zasady mało mówny, sam nic nie powie. – Chłopsstwo się nie burzy w hrabiowskich dziedzinach?

– A jakże miałyby się burzyć, ojczy? – obruszył się Wulf. – Toć każdy, kto po łbie weźmie, na drugi raz podatki uczciwie zapłaci...

Urwał, by pokryć zmieszanie, pociągnął z garnca.

A pewnie, pomyślał przeor, zwłaszcza jak mu się żaru z płonącej strzechy za kołnierz nasypie. Uśmiechnął się złośliwie. Domyślał się poczynań zbrojnych. Szeryf William nie zaprzętał sobie tym głowy albo wręcz wolał nie wiedzieć. Grunt, że działało.

Co innego wszakże niepokoiło przeora. Był świadom, że istotnie kmiotkowie przycichli. Wystarczyło im raz i drugi po łbach przejechać, by myśli o włościańskiej rebelii rychło wywietrzały z kudłatych głów. Ziemie opactwa St. Mary's wyszły obronną ręką z klęski głodu, opat potrafił zadbać o swoje dobra. Ale wciąż dochodziły nowiny o bandach czających się w puszczy, co mocno niepokoiło przeora. Tym bardziej że ostatnio było tych wieści jakby więcej.

Całkiem niedawno bez śladu przepadł komornik klasztorny, i to nie sam, lecz z eskortą, którą przydał mu opat. Stary drań chciał się przypodobać, pomyślał Piotr, i aż się skrzywił, że mógł w taki sposób pomyśleć o duchownej osobie. Nie chciał się nawet usprawiedliwić przed sobą, wspominając, jak sam biskup nazwał opata kurwim synem i współnikiem szatana. Rzeczywiście, zgrzybiały opat odegrał nader niejasną rolę, powiadano coraz głośniejsze o jego konszachtach z poganami. Ale miał możnych protektorów.

– Na traktach spokój? – spytał przeor.

Nie zamierzał roztrząsać kościelnych spraw przy tym żołnierzu. Ale pomroczył nieco. Zbyt wiele słyszał o sprawkach opata. Wzdrygnął się, jak od nagłego chłodu. Zadawał sobie czasem pytanie, dlaczego Bóg jego właśnie tak ciężko doświadcza, zsyłając wiedzę, z którą biedny przeor małego klasztoru nie może sobie poradzić.

– Spokój, ojciec – przytaknął Wulf.

Piwo w garnku skończyło się, a nie śmiało prosić o następny.

– Bo wiecie, hultajstwo przycichło, odkąd po traktach jeździm – zaczął rozwlekle, w nadziei, że przeor zorientuje się i da znak, by młody mniszek dopełnił naczynie. – Z puszczy nosa nie wychyla, nawet nie ma kogo przewrócić ani obwiesić. Spokój, ojciec...

Przeor gniewnie uderzył pięścią w stół, aż przewrócił się kubek i woda wylała na drewniany blat. Wulfa szczerze zmartwiła jego złość. Nadzieja na drugi garniec piwa znacznie się oddaliła.

– Spokój, powiadasz... – Piotr z Blyton zapanował nad sobą szybko, ale w głosie wciąż brzmiały ostre nuty. – Zgoda, na traktach. Ale tych poza puszcza.

Machinalnie startł dłonią rozlaną wodę, która wsiąkała już w ciemniejące deski stołu.

– Bo trzeba ci wiedzieć, że tu wcale nie jest spokojnie. Giną ludzie. Ot, ze dwie... Nie, już ze trzy niedziele temu komornik od nas wyruszył, brat dzielny i pokorny. Eskortę miał, którą dobrodziej opat mu przydał, jako że w puszczy niebezpiecznie, a gotowiznę wiozł...

Uwagi Piotra nie uszło, że na wzmiankę o opacie Wulf skrzywił się, jakby nagle rozgryzł coś paskudnego.

– I jak kamień w wodę! – Twarz przeora ściągnęła się gniewem. – Ani jego, ani zbrojnych, żywa noga nie uszła!

Braciszek z konwią usunął się przezornie dalej. Wulf pomyślał melancholijnie, że teraz już nici z dolewki. Ale gniew duchownego minął szybko.

– Powiedz swojemu panu, że nie jest tak pięknie, jak mu się wydaje. – Piotr mówił spokojnie, napięcie zdradzały tylko palce bębniące po blacie stołu i błękitna, nabrzmiała żyłka pulsująca na bladej skroni. – Puszcza znów spływa krwią. Nie sposób wychynąć na trakty, nikt nie jest

bezpieczny, kupcy, zbrojni, nawet mnisi. I nie mów, że zawsze tak było, wiem lepiej. Siedzę tu, nie na zamku, za murami.

Wulf, który właśnie miał zamiar to powiedzieć, zmilczał przezornie. Mnich też zamilkł, spoglądał ponuro na zbrojnych, którzy kończyli baryłkę piwa.

– Pozostały niedobitki, ojciec – zaczął w końcu Wulf niepewnie. – Maruderzy, wielu ich znam, pod Czarnym Baronem służyli. Zimy nie przeżyją, chłopstwo z wiosek puszczańskich ich wygniecie, smolarze i bartnicy wystrzelają. Bo też jako wilcy owi zbóje są, szarpia wszystkich jednak, ani kupców, ani kmiotów nie oszczędzają. Z głodu w zimie szeszczą albo się będą musieli na trakty, bliżej miasta przenieść. A tam my ich dopadniemy.

– Obyś miał rację – skwitował przeor krótko.

Wstał. Wulf też poderwał się spiesznie z ławy.

– Siadaj. – Piotr skinął ręką. – Napij się jeszcze, zanim w drogę wyruszysz. Mnie obowiązki wzywają. I nie zapomnij panu Williamowi powtórzyć, com ci powiedział.

Dał znak mniskowi, który wnet podskoczył z konwią, by dopełnić garniec Wulfa. Sam odszedł w kierunku kaplicy.

W kaplicy panował ziąb i półmrok. Niewiele światła wpadało przez wąskie okna i mętne, małe szybki. Palenie świec w dzień przeor uważał za nadmierną i niczym nieusprawiedliwioną rozrzutność. Grube mury chroniły przed upałem, przechowywały w mrocznym wnętrzu chłód zimnych już nocy.

Piotr ukląkł przed ołtarzem, pochylił głowę. W modlitwie zawsze znajdował pocieszenie i ostoję, zwłaszcza w takiej jak ta, samotnej, nieograniczonej do zwyczajnych nabożeństw przy wtórze śpiewu i mamrotania braci. Zawsze starał się znaleźć krótką chwilę w ciągu dnia, by zejść do pustej kaplicy, w której unosił się jeszcze zapach wosku ze świec.

Ale teraz nie mógł się skupić, coś rozpraszało jego myśli.

Wyszeptywane wersy nie przynosiły ukojenia. W jednej chwili przypomniał sobie, że kiedyś klęczał w tym samym miejscu, modląc się o ocalenie własnej duszy przed zakusami demona, który załagał się w dziwnym przybyszu. Poczuł ukłucie wstydu, jak zawsze, kiedy to wspominał. Nie modlił się wtedy o łaskę dla nieszczęśnika, lecz żeby samemu wyjść cało. Prosił Boga o ratunek dla siebie, czując, że sam niebawem ulegnie zakusom szatańskich mocy, które się przeciw niemu sprzysięgły. Bał się, że go zniszczą i unicestwią.

Ten wstyd rychło przeszedł w lęk, głęboki i tępy, jak ból w trzewiach. Miał złe przeczucia.

Bo też do czego dochodzi, pomyślał, jeśli sługi Pańskie w konszachty z poganami wchodzi? Jakże wiary bronić, Bogu wierności dotrzymywać, kiedy opat z druidami się znosi? Onegdaj miał nadzieję, że tylko złe języki za podszeptem diabła wieści takie roznoszą, by chwały Bożej uszczknąć nieco przez sług Jego poniżenie. Ale nadzieja się rozviała. Przeor pamiętał ściągniętą i zasromaną twarz biskupa, rwącym się głosem mówiącego o podejrzeniach, które rzucą cień na cały Kościół. I gorycz w tym starczym głosie, kiedy słyszał o możnych protektorach, straszliwe te czyny osłaniających. Nadziei już nie było, pozostawała wiara. W boską karę.

Usiłował zebrać się w garść. Łacińskie słowa modlitwy rozbrzmiewały teraz głośnie, odbijały się głuchym pogłosem w pustym kamiennym wnętrzu ubogiej kaplicy, pozbawionej bogatych draperii i ozdób. Ale nie pomagały.

Dobrze choć, pomyślał, że jedno się skończyło. Mroczny odmieniec zakończył plugawy żywot, ugodzony bełtem w serce. Piotr nie potrafił wykrzesać z siebie ani odrobiny współczucia, nawet nie przez ogrom nieszczęść i krzywd, jakich ten człowiek stał się przyczyną. Raczej przez to, że był niepoprawny i drwił z boskiej sprawiedliwości.

Tyle dobrego z knowań opata, przemknęła myśl, której zaraz się zawstydził. Tym głośnie i starannie zaczął recytować modlitwę. Ale wstyd nie znikał. Podobnie jak strach, szarpiący trzewia coraz silniej, aż chuda sylwetka przeora zgarbiła się, jakby ktoś z nagłą uderzył go pod żebra.

Wzniósł oczy w górę, na skryty prawie w mroku krucyfiks. Zwykle jego widok pomagał mu się skupić, obraz cierpienia Zbawiciela

przywracał równowagę.

Coś miękko otarło się o udo Piotra. Usłyszał ciche miauknięcie. Nie patrząc, pogładził gładkie futerko. Znieruchomiał zdziwiony.

Dotknął grzbietu, ten zaś w niczym nie przypominał klasztornego kota, wzoru zakonnej ascezy, którego kręgosłup w dotyku przywodził na myśl różaniec. Popatrzył w dół.

Czarna kotka znów zamiauczała. Jej białe wąsy odcinały się na tle mroku.

Przeor wstał z klęczek, zdziwiony bardziej niż rozgniewany. Kotka zadarła ogon i pognąła między ławkami, prosto do wyjścia. Piotr zdziwił się jeszcze mocniej.

– Jak tu weszłaś? – spytał na głos.

Pamiętał, że zamykał za sobą wejście, a miał dziwną pewność, że nie było jej tu wcześniej. Wstrząsnął się, przypomniawszy sobie opowieści o kotach, które umiały przenikać przez ściany.

Kotka usiadła na kamiennej posadzce, miauknęła głośniej, natarczywiej. Mnich poczuł nagły skurcz serca. Tępy ból w trzewiach ścisnął je jak żelazną garścią.

Piotr zachwiał się, o mało nie upadł.

Mógł już tylko czekać. Nie potrafił oderwać wzroku od okutych żelazem drzwi, które właśnie ze skrzypieniem się rozchyłyły. Pierwsza smuga światła rozjaśniła ciemne wnętrze i Piotr zamrugał oślepiony, kiedy padła mu prosto w twarz. Ale nie zamknął oczu, choć blask sprawiał mu ból. Patrzył z wytężeniem w coraz szerszy, świetlisty otwór. Czerwone kręgi tańczyły mu przed oczami.

Skrzydła wrót uderzyły z hukiem o kamienne ościeżnice. Kotka zerwała się z posadzki, z radosnym miauczeniem popędziła ku niewyraźnej, oświetlonej z tyłu sylwetce, której kontury zacierał blask.

Znajomej sylwetce. Kręgi tańczące w polu widzenia przeora zlały się w jednolitą czerwień, która pociemniała i zgasła. Piotr z Blyton osunął się bezwładnie na zimną kamienną posadzkę.

Zachodzili szerokim kręgiem. Stopy stawiali ostrożnie, by przypadkiem nie potknąć się na nierównościach podwórca. Popatrywali jeden na drugiego. Byli odważni albo po prostu ufni w swoją wiarę, lecz żaden nie chciał pierwszy wyrwać się przed szereg.

Zatrzymali się o kilkanaście kroków zaledwie od ciemnego wejścia kaplicy. Nikt nie przybył z pustymi rękoma. Każdy z nich dzierżył coś, co mogło stać się śmiertelną bronią. I każdy z nich miał nadzieję, że właśnie się stanie.

Nie wiedzieli, czy lepsze okażą się widły, czy może wyrwana z opłotków sztacheta, z tkwiącymi w niej jeszcze zardzewiałymi gwoździskami. Brat Gwidon, były żołnierz, którego groźnego wyglądu nie łagodziła wygolona głowa, dzierżył zakrwawiony tasak, służący mu jeszcze przed chwilą do dzielenia świńskiej półtuszy. Mistrz nowicjuszy spoglądał melancholijnie na ściskaną w dłoni dyscyplinę, ta bowiem nawinęła mu się pod rękę, kiedy na krzyk przeora wybiegał z dormitorium. Zaczynał mieć wątpliwości, czy się nada.

Najrozsądniej zachował się kwestor, porywając z chatki przeora krucyfiks z przybitym doń, wyrzezanym z lipowego drewna Zbawicielem o wyjątkowo frasobliwym wyglądzie. I młody mniszek, nowicjusz, który, strzelając dookoła rozbieganym spojrzeniem, drżącymi dłońmi usiłował odkorkować flaszkę święconej wody.

Bo cóż może być skuteczniejszego przeciw demonowi, jak nie sam widok Męki Pańskiej albo nawet kropla wody święconej, od której ze szczętem powinien zgorzeć?

Demon stał pod murem kaplicy. Był wielki i barczysty, znad ramienia wystawała mu rękojeść miecza. Paskudną gębę, z wypisanym na niej wszeteczeństwem, wykrzywił ponury uśmiech. Drwił widno z Pana i sług Jego.

Jakby tego było mało, u stóp łąziło mu plugastwo. Sługa szatana samego, a ten, jak wiadomo, czarne koty wielce sobie upodobał. Plugastwo nic nie robiło sobie ze zbliżających się zakonników. Z dumnie zadartym ogonem zataczało kręgi i ósemki, ocierało się o łydki demona, mruczając głośno i wyzywająco.

Mnisi zaszemrali. Ci bywali, którzy już widzieli niegdyś potwora,

zduszonym szeptem ostrzegali innych. Nie był to najlepszy pomysł, sądząc po drżących ostrzach wideł czy wręcz dreszczach, jakie chwyciły mistrza nowicjuszy. W szmer głosów recytujących modlitwy i wzywających Pana na pomoc wdarło się głośnie szczęknięcie zębów. Tylko brat Gwidon był spokojny jak stary żołnierz – był nim w istocie – przed bitwą. Jego wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem potwora, z którego gęby spełzył nagle drwiący uśmiech.

Niezwykły to potwór. Jak obyci mnisi wiedzieli, już po dwakroć czeluści go wypluwały, raz, gdy do Kotliny Diabelskiej wstąpił, i teraz, gdy bełtem w samo serce porażon wylizał się niechybnie, na ludzką zgubę i nieszczęście. Kwestor pomyślał przelotnie, że to wina skąpego przeora, który grosza pożałował, bo przecie w kręgu, dokąd bicie kościelnych dzwonów sięga, zło nie ma dostępu. A w klasztorze tylko wątlą dźwięk sygnaturki zwoływał mnichów na modły. Tak mściły się oszczędności. Kwestor zmełł w ustach przekleństwo, zgoła nieprzystojne dla kogoś, kto trzyma w dłoniach krzyż Pański.

Szmer szeptów ucichł. Kwestor dał znak, wzniósł krucyfik. Ktoś zaczął skandować formułę egzorcyzmu. Głos zabrzmiał zrazu donośnie, lecz w miarę jak przebrzmiewały kolejne wersy, cichł, potem począł się załamywać. Demon stał jak stał, nie znać było po nim żadnego działania. Smagany słowem Bożym nie skręcał się z bólu, woń ohydłą wydając. Nawet zaczął się znowu drwiąco uśmiechać. Odporny był.

Konsternacja trwała krótko. Młody mniszek, który poradził sobie wreszcie z opornym korkiem, wyskoczył przed półkrąg współbraci, nie bacząc, że demon może go łatwo dosięgnąć. Zamachnął się fłaszą. Struga święconej wody celnie chlusnęła prosto w gębę demona.

I znów nic. Potwór zamrugał oślepiony, ale nie zgorzał w jednym błysku, nie została po nim kupka dymiącego, śmierdzącego siarką popiołu. Tylko plugastwo, trafione jedną czy dwiema kroplami, odskoczyło, kryjąc się w ciemnym wnętrzu kaplicy. Też nie poniosło szwanku, po prostu nie znosiło wody. Bez różnicy, święconej czy zwykłej.

Wtedy brat Gwidon rzucił się do ataku.

Match mrugał oślepiiony, po twarzy ciekły mu strugi. W ustach czuł obrzydliwy smak stęchłej wody, splunął nią pod nogi. I wtedy kątem oka dostrzegł błysk ostrza.

Zareagował instynktownie. Ręka szarpnęła pas na piersi, rękojeść wskoczyła wprost we wzniesioną dłoń. Zgrzytnęła wyciągana klinga.

Brat Gwidon zaatakował złośliwie, przypadłszy nisko do ziemi. Mierzył w kolana przeciwnika, szerokie ostrze tasaka cięło powietrze. Match z najwyższym trudem zdążył opuścić miecz, ostrza zderzyły się, krzesząc snop iskier.

Zanim Gwidon odzyskał równowagę, Match zdołał odskoczyć. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

Żaden nie lekceważył drugiego. Match pomyślał, że nie zdoła się obronić, nie zabijając mnicha. Był za dobry. Podziwiał go nawet szczerze za to, że nie zawahał się rzucić z tasakiem na kogoś, kogo musiał uważać za wcielenie diabła.

Zaczęli się okrążyć. Match miał nieprzyjemną świadomość, że kiedy zakonnik, który spokojnie i beznamiętnie śledził teraz jego ostrze, zmusi go, by odwrócił się plecami do kręgu mnichów, może być źle. Ktoś wbije mu w plecy widły albo zdzieli przez łeb sztachetą czy nawet krucyfiksem. Nie mógł na to pozwolić. Klął w duchu, że nie wybrał innego sposobu pojawienia się w klasztorze. Ale było za późno.

Stał teraz bokiem do kaplicy, miał już za sobą kilku mnichów. Nie pamiętał, w co są uzbrojeni, ale nie pozwolił sobie na zerknięcie w tył. Zakonnik przed nim był zbyt niebezpieczny.

Match, by zyskać na czasie, zamarkował wypad, ciął krótko, kierując cios na samo ostrze przeciwnika. Chciał go wybić z rytmu, zmusić do zmiany pozycji. Udało się, ale niewiele to zmieniło. Tyle że znów miał za plecami mur. I żadnego pomysłu, co dalej.

Brat Gwidon uśmiechnął się. Uświadomił sobie właśnie, że demona można pokonać. Match, niestety, też to wiedział.

Kiedy pomyślał, że nie pozostanie nic innego, jak tylko zabić odważnego mnicha, usłyszał znajomy głos. Poczul nagłą ulgę.

– Stać, kurwa! – wrzeszczał Wulf, nadbiegając od zabudowań gospodarskich.

Match opuścił ostrze. Po bardzo długiej chwili brat Gwidon zrobił to samo. Uśmiechnął się nieznacznie. Ale w jego oczach błysnęło coś zupełnie nieprzystojnego, jak na pokornego zakonnika. Wyzwanie i chłodna pewność. Posiekałbym cię na kawałki, zdawało się mówić to spojrzenie.

Match odwzajemnił uśmiech. Być może, braciszku, pomyślał, być może. Niezły jesteś.

Pchnięty w plecy kwestor potoczył się po ziemi, trzasnęło suche drewno. Gramolił się, brocząc krwią z rozbitego o krucyfiks nosa, frasobliwy Chrystus też poniósł uszczerbek.

Wulf minął mnicha, ścigany przez bełkotliwe przekleństwa. Nie obejrzał się nawet, nie widział, jak kwestor usiłuje przyłożyć na miejsce odłamane ramię figurki. Kopniakiem zmiotł z drogi nowicjusza trzymającego opróżnioną do połowy flaszkę święconej wody.

Braciszek kwiknął, trafiony w słabiznę, ale wyprostował się zaraz i niewiele myśląc, chlusnął resztką wody na zbrojnego, w nadziei, że to, co nie poskutkowało na demona, okaże się skuteczne teraz.

Nadzieja okazała się próżna, Wulf pogroził tylko młodzieniaszkowi mieczem. Ten skrzywił się płacząco i zemknął.

Mnisi zaczęli się cofać, opadły długie szpice wideł, mistrz nowicjuszy cisnął swoją dyscyplinę. Wkrótce na placu, prócz demona, pozostał jedynie brat Gwidon.

Uśmiechając się, wciąż ważył tasak w dłoni. Zastanawiał się, czy zbrojny przybywa z nieoczekiwaną odsieczą, czy wręcz przeciwnie. Było mu wszystko jedno.

Wulf nagle ochłonął. Zatrzymał się, obnażony miecz miał jednak w gotowości, choć zdawał sobie sprawę, że na nic się on nie zda. Nigdy wprawdzie nie widział upiora, ale święcie wierzył w ich istnienie. Co gorsza, wiedział też, że można je ujrzeć w szczególnych, niezbyt miłych okolicznościach. Na razie jednak nie słyszał szelestu skrzydeł walkirii.

Wojownik, który powrócił z Walhalli, uśmiechnął się, ale wciąż

uważnie śledził poruszenia brata Gwidona.

– Witaj, Wulf – powiedział przyjaźnie. – Schowaj to żelastwo.

Zbrojny wciąż był nieufny, dotyk rękojęści dodawał mu otuchy. Ale w końcu poczuł wstyd, w końcu ten upiór był... przyjacielem? Podszedł bliżej, wsunął miecz do pochwy.

– Witaj, Match – mruknął ostrożnie.

Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć jego piersi.

– Śmiało – zachęcił go Match. – Ej, braciszku, dość tego!

Brat Gwidon opuścił tasak i wzruszył ramionami. Wyglądał na zawiedzionego. Wulf przemógł się wreszcie, nieufnie trącił palcem skórę kubraka Matcha. Popatrzył mu w oczy.

– Żyjesz – zdziwił się.

Był zdenerwowany, w jego głosie zadźwięczał wyraźnie obcy akcent.

Match rozejrzał się. Zakonnicy nie uciekli daleko, zza węgła dormitorium śledziły ich ciekawe spojrzenia.

– Chodźmy stąd – rzucił. – Zejdźmy im z oczu.

Ruszyli przez podwórzec. Kotka wybiegła za nimi, zrównała się z Matchem. Minęli spichlerzyk, jaśniejący świeżym, wciąż nie poczerniałym drewnem. Zasiedli przy stole na krzyżakach.

Wulf wciąż zerkał nieufnie. Match uśmiechnął się znów, skrzywieniem warg, lecz oczy pozostały poważne.

– Wylizałem się, można tak określić – powiedział. – Nie obawiaj się, nie jestem demonem.

– Nie obawiam się – Wulf się obruszył. – Wiem, bogowie pozwolili ci wrócić...

– Skoro tak uważasz – przerwał Match ze znużeniem.

– ...abyś mógł dokonać pomsty – dokończył zbrojny.

Match spojrzał na niego uważnie.

– Masz rację – przytaknął po chwili. – W zupełności masz rację...

Potoczył z roztargnieniem po stole przewrócony garniec.

Nie uważał Wulfa za zbyt bystrego. Zbrojny był odważny i lojalny, kiedyś Match nawet sądził, że jest jego przyjacielem. A przynajmniej

kompanem. Teraz zrozumiał, że w mrocznej duszy wojownika z dalekiej północy kryje się coś więcej. I jedno było pewne – znakomicie się rozumieli.

– Gdzieś tu było piwo – mruknął Match.

Rozejrzał się i zaklął.

Piwo z przewróconej konwi wsiąkło w ziemię. Widać nowicjusz też pobiegł egzorcyzmować demona albo uciekł we wręcz przeciwną stronę. Ociężałe jesienne osy brzęczały nad ciemną, wilgotną plamą na ziemi, siadały na krawędzi drewnianego naczynia.

Match machnął ręką z rezygnacją.

– Trudno.

– Potrzebujesz pomocy? – spytał zbrojny po chwili, bez żadnych wstępów.

Pytanie było naturalne i proste. Nie zastanawiał się już dłużej, jak to się dzieje, że człowiek trafiony w serce bełtem siedzi tu przed nim jakby nigdy nic. A nawet rozgląda się za piwem. Nic dziwnego, po takiej podróży musi być spragniony.

Był czas, że Wulf służył pod jego rozkazami. Potem, gdy Match odszedł po raz pierwszy, służył Robertowi de Reno. Wtedy poznał legendę, całe przekleństwo przeznaczenia. Szeryf nie miał innych zauszników ani przyjaciół, wszyscy zginęli lub odeszli, został tylko kapitan straży, wierny i lojalny, posłuszny nawet po śmierci swego pana.

Wulf też wybrał swoje przeznaczenie. Albo wybrano za niego, nie zdziwił się wcale, nie zastanawiał, dlaczego nikt nie spytał, czy chce. Złożył obietnicę i chciał jej dotrzymać.

Długo myślał, że los go z niej zwolnił. Ci, z którymi przegrał szeryf, sami zostali pokonani przez przeznaczenie. Nigdy nie pojмали lady Marion, Match zaś wymknął im się z rąk. Wulf, jak wielu innych ludzi, sądził z początku, że wymknął się ostatecznie, odszedł tam, gdzie nikt nie zdoła go osiągnąć.

Pokiwał z podziwem głową. Okazało się, że to nie takie proste. Match wrócił z otchłani, teraz czas na zemstę.

Zbrojny niedawno jeszcze sądził, że los sprzyjał lady Marion. Że posłuchała szeryfa i sprytny hiszpańsko-walijski mieszaniec zapewnił jej

bezpieczeństwo, ukrył ją gdzieś za siódmą górą i siódmą rzeką. Myślał o tym z ulgą, miał nadzieję, że jego własne przeznaczenie oszczędzi mu wypełnienia obietnicy i będzie mógł się spokojnie zestarzeć na służbie nowego pana Nottingham. Jakikolwiek by on był.

Teraz poczuł niepokój. Wszystko wyglądało inaczej.

Match dalej bawił się pustym garncem.

– Nie, Wulf – powiedział wreszcie. – Nie potrzebuję pomocy.

Zrzucił na ziemie gliniane naczynie. Upadło, ale nie pękło. Odrzącił je butem.

– Nie zrozum mnie źle – dodał, widząc, że twarz zbrojnego pochmurnieje. – To moja wojna.

Przypomniał sobie, jak kiedyś, w tym samym klasztorze powiedział coś innego, kiedy Robert de Reno prosił go o powrót do miasta. Tak, właśnie prosił, pomyślał Match ze smutkiem, który zaskoczył go samego. Powiedziałem wtedy – moja wojna się skończyła. Nieprawda.

Ta wojna się nie skończy, dopóki żyją oni. Nie można udawać, nie można zrezygnować, ona zawsze wróci, sięgnie po ciebie albo po to, co masz najdroższego. Tylko że nie mam już nic, uświadomił sobie.

Co niewiele zmienia. Wojna trwa, do samego końca. Ich lub twojego.

– To moja wojna, Wulf – powtórzył znużonym tonem. – Nie mogę nikogo w nic wciągać. Ciebie też nie.

– Ale... – zaczął zbrojny.

Chciał powiedzieć o swojej przysiędze. O podejrzaniach, które tkwiły w nim gdzieś głęboko, a teraz zaczynały się niepokojąco klarować.

Dotąd wszystko wydawało się bezsensowne. Ataki na zbrojnych, które nikomu nie przynosiły przecież korzyści, a jak Wulf wiedział doskonale, zawodowi routiers unikali ich jak ognia. Były ryzykowne, nawet kiedy przyświecał im zbożny zamiar utarcia nosa jakiemuś baronowi czy innemu wielmoży, żeby nie czuł się zbyt pewnie na swoich włościach i wiedział, kto naprawdę rządzi. Napady na kupców, wiozących tak cenne towary jak ziarno czy niegarbowane skóry, z których to napadów nikt nie wychodził żywy. Grabienie wiosek było już bardziej zrozumiałe, w końcu i banici muszą z czegoś żyć. Sposób owych grabieży był zastanawiający, biciem krowy nikt jak dotąd nie zwiększył

dziennego udoju.

Ale zostawała jeszcze jedna możliwość. Prosta i zrozumiała.

Zemsta za wszystkie lata poniżeń i poniewierki, kiedy chłopki spluwały i czyniły znaki od uroku.

Wulf popatrzył spod oka na Matcha. Nie ty jeden chcesz się mścić, pomyślał. I poczuł, jak zalewa go nagła radość. Tak będzie sprawiedliwie.

Nieważne przecież, kto zawinił, i tak wszyscy są winni. Tylko pomsta dowiedzie świata, że się nie powiodło, nie uciekła, nie schowała w mysia dziurę, kiedy udało się ujść prześladowcom. Teraz oni zatańczą.

– Mam prośbę. – Match położył dłoń na ramieniu zbrojnego.

– Ale... – zaczął znów Wulf.

Match potrząsnął tylko głową.

– Ani słowa, to moja wojna, mówiłem. Postaraj się tylko, żeby za wcześniej nikt się nie dowiedział, że wróciłem.

Bo nie wiem, co dalej robić, przyznał w duchu i aż się skrzywił. Potrzebuję czasu.

– Wiem. – Uciał gestem ręki, zanim Wulf zdążył coś powiedzieć. – Nie da się utrzymać w tajemnicy, twoi ludzie mnie widzieli, niektórzy znają. Ale niech nie chlapią od razu ozorami na lewo i prawo, masz swoje sposoby, wiem przecież. Na jakiś czas wystarczy. Zanim dojdzie do tego tłustego skurwysyna.

Wulf uśmiechnął się tylko.

– Tłusty skurwysyn gryzie już ziemię.

Match pokiwał głową. Nie poszło po jego myśli, miał nadzieję spotkać się z Czarnym Baronem twarzą w twarz. Ale nie był specjalnie zaskoczony, głupi wielmoża nie wyglądał na takiego, który ma szansę cieszyć się długo tym stanowiskiem.

– Musisz mi wszystko opowiedzieć. – Spoważniał nieco. – Ale potem, najpierw najważniejsze. Aha, powiedz najpierw, jest jakiś nowy, jak mniemam? Ktoś wam przecież płaci?

Zmierzył zbrojnego kpiącym wzrokiem. Ten splunął tylko.

– Możesz się nie przejmować – rzucił.

Match roześmiał się drwiąco.

– I dobrze – odparł. – Ech, żal tłustego skurwysyna...

Z tym Wulf ochoczo się zgodził. Ale chyba nie zdążyłbyś, przemknęło mu przez głowę, ty się włóczyłeś po zaświatach, a ja byłem na miejscu.

– Słuchaj – zaczął wreszcie. – Przysięgałem Robertowi de Reno.

Twarz Matcha ściągnęła się. Mógł się domyślić, dlaczego kapitan straży pozostał w Nottingham, czemu nie uszedł z innymi, wiernymi swojemu szeryfowi. I przeczuwał, kogo przysięga mogła dotyczyć. Ta świadomość zakłuła boleśnie. Chociaż i tak miał już pewność.

Przecież widział. Ale trudno jest odkryć, że komuś innemu mogło też zależeć. I to tak bardzo, że wybrał śmierć.

Match potarł czoło bezradnym gestem. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał głucho i martwo.

– Ani słowa, Wulf – uciął.

– Ale...

Wulf chciał powiedzieć o swoich domysłach, zmieniających się już w pewność. Jednak Match nie pozwolił.

– Ani słowa! – krzyknął i uderzył w blat z grubych desek, aż stół zatrzęsł się i zatrzeszczał.

Przysięga znów zaczyna być ważna, zaczyna obowiązywać, uświadomił sobie Wulf. Miał złe przeczucia.

Gniew Matcha zniknął tak samo nagle, jak się pojawił.

– Zostanę tu jakiś czas – powiedział szorstko, jakby chcąc okazać, że wcale nie musi opowiadać się zbrojnemu. – Rozejrzę się, dowiem wszystkiego. Najpierw od ciebie zresztą.

Wulf skinął głową.

– Mam cel, którego nawet nie pojmiesz. Nie próbuj, dla własnego dobra. – Match starał się, żeby w jego głosie nie zabrzmiało lekceważenie. Szanował starego kamrata. – Dotrzymaj swojej przysięgi, jak chcesz. Nic mi do tego.

Masz rację, stwierdził Wulf. Nie mnie domyślać się zamysłów bogów, które cię tu przywiodły. I każdy z nas musi sam dopełnić swej pomsty.

– Bez urazy, kamracie. – Match nawet się nie uśmiechnął. – Zostanę tu dłużej, pamiętaj, postaraj się utrzymać to w tajemnicy. Może przeor coś

wie...

I po co ja mu to mówię? – przemknęła Matchowi przez głowę gorzka myśl. Czyżby dlatego, że sam nie wiem, od czego zacząć? A wydawało się proste, zabić ich wszystkich.

– Przeor! – Match poderwał się z ławy, stuknął w czoło. – Chodź, Wulf, trzeba go ocucić. Niech to wszyscy diabli, lepiej, żeby mu się nic nie stało, potrzebuję go.

W kaplicy wionęło chłodem. Smuga światła malowała jasne plamy na kamiennej posadzce, kładła się blaskiem na gładkim kocim futerku.

Gdy skrzypnęło skrzydło drzwi, kotka przerwała wylizywanie łapki, spojrzała na wchodzących. Wulf zawahał się. Co innego wrócony z zaświatów wojownik, w końcu rzecz zwykła. Ale czym innym czarny kot, sługa ciemności.

Kotka jakby zrozumiała. Prychnęła cicho i bezdźwięcznie zniknęła w mroku pomiędzy ławkami.

Match wciąż pamiętał głuchy stukot, z jakim czaszka Piotra uderzyła o kamienne flizy. Dlatego odetchnął z ulgą, kiedy nachylił się nad leżącym, nieruchomym zakonikiem.

Oczy przeora były lekko uchylone, w szparkach pomiędzy powiekami błyskały białka. Oddychał ciężko i chrapliwie. Match uniósł jego głowę, pomacał potylicę. Przeor jęknął głośniej.

Palce Matcha były czyste, niezakrwawione. Popatrzył na stojącego nad nim, milczącego Wulfa. Zbrojny rozglądał się nieufnie, usiłował przebić wzrokiem mrok w ciemnych kątach i zakamarkach.

– Ech, zawsze miałem na to ochotę – mruknął Match pod nosem.

Otwartą dłońią uderzył przeora w policzek, aż echo kłaśnięciem odezwało się we wnętrzu kaplicy. Raz i drugi.

Piotr z Blyton szarpnął się, otworzył oczy. Z początku mętne i nieprzytomne, jednak wreszcie udało mu się z wysiłkiem skupić wzrok na twarzy klęczącego nad nim człowieka.

Zaczął cicho jęczeć.

- X -

Karcze nie poddawały się siekierom. Ostrza odskakiwały od grubych, powęzłonych korzeni, które nie sposób było porąbać na szczapy czy polana. Puszczańskie dęby i wiązy trzymały się ziemi mocno, nieraz siłę sprzężaju musieli wspomóc ludzie, ciągnąc za liny, pokrzykując rytmicznie. Ziemia pękała, korzenie wypruwały się z niej jak węże, wznosił się tuman kurzu.

Potem odciągnięte karpy pożerał ogień. Tylko do tego się nadawały, żeby wydarte puszczy pola użyźnić popiołem.

Dym snuł się nad wypaleniskami, ciągnącymi się już daleko. Dwa lata znoej pracy oczyściły spory szmat lasu. Nieopodal przycupniętych przy samym lesie chat szarzały ścierniska, przyprószone wszechobecnym popiołem i pyłem. Nawet sierść kóz tłoczących się w zagrodzie była szara i przybrudzona.

Stary człowiek przytknął płonąca pochodnię do sterty ściągniętych na wysoką stertę karczy. Będą gorzeć całą noc, rzucając wokół czerwone skry, a do rana rozsypią się w proch, gorący, rozdmuchiwany wiatrem. Żar tlić się będzie jeszcze długo, jak ten z poprzednich dni, wciąż skrywany pod popiołem, dopóki nie wypali się do reszty lub nie spłucze go ulewa. Już następnej wiosny, po orce, ziemia niedawno porośnięta lasem, gotowa będzie na przyjęcie ziarna.

Twardy lud pracował na wypaleniskach. Trzeba odwagi, by z babami i drobiazgiem osiąść w puszczy i wydzierać jej każdy spłachetek ziemi. Zanim pola urodzą pierwsze plony, żywić się tym, co wpadnie w sidła lub co da się skłusować w królewskich lasach. W dzień i w nocy lękać się zwierza i złych ludzi, przemierzających leśne trakty.

Wiele rodzin pociągnęło w puszcze, znęconych nadaniami. Wiele było osad, po których zostały tylko ledwie widoczne zręby chat na skrajach polan i przegniłe belki znaczące, gdzie niegdyś były węgły stodół. Zarastała je trawa i mech, zablizniały się rany puszczy, która

odzyskiwała swe dziedziny. A kości osadników rozwłózione przez zwierzęta próchniały w zapomnieniu.

Jesienne dni stawały się coraz krótsze. Uznojeni chłopcy spieszyli się. Osada nie była ludna, a wkrótce nadejdą słyoty, ziemia rozmięknie i woły, największe bogactwo osadników, zaczną grzęznąć w błocie. Potem grunt ścisną mrozy i karczunek zamrze aż do wiosny.

Atak spadł nagle, bez ostrzeżeń. Puszcza znów okazała się zdradziecka, stłumiła tętent kopyt. Zanim jeszcze rozpały się na dobre zwalone na stertę karcze, daleko, po drugiej stronie ugoru jasnym, sypiącym skrami płomieniem zajęły się strzechy chat. W odbłasku pożaru chłopcy ujrzeli ciemne sylwetki uwijających się jeźdźców.

Trzask ognia z rozpalającej się sterty wykarczowanych korzeni zagłuszył krzyki.

Twardy lud mieszkał na wypaleniskach. Osadnicy chwytali rydle i siekiery, biegli do pożaru bezładną gromadą.

Klacz szarpnięta wodzami wspięła się na tylne nogi, zachrapała. Przez chwilę tańczyła w miejscu, dziewczyna ledwo ją opanowała.

– Trzymaj się blisko! – krzyknęła Marion.

Fabienne nie odpowiedziała, walczyła, by utrzymać się w siodle. W ustach poczuła smak krwi z przygryzionej wargi. Gorące płaty sadzy i płonąca słoma ze strzech wirowały w powietrzu. Klacz rzucała łbem, w jej wytrzeszczonych oczach odbijał się blask ognia.

– Zsiadaj! – Marion podjechała bliżej, a jej wielka kobyła naparła na Faerye. – Ten koń się płoszy!

Fabienne posłusznie przerzuciła nogę nad łękiem i zeskoczyła na ziemię. Zaboląła nadwreżona kostka, dziewczyna zachwiała się.

Trzask płonących strzech był coraz głośniejszy. Dojrzała Cedrika, też już spieszony wrzucał właśnie płonąca żagiew w stóg siana, nieopodal majdanu. Widziała jego otwarte szeroko usta, ale w rosnącym zgiełku nie słyszała śmiechu.

Marion zeskoczyła z kulbaki, dobyła miecza.

– Nie gap się tak! – wrzasnęła ile sił, ale jej głos niewiele się wznosił ponad radosne pokrzykiwanie banitów, tętent koni i coraz głośniejsze meczenie kóz, tłoczących się w zagrodzie. I jeszcze coś. Dojmujący skowyt dobywający się z najbliższej płonącej chaty.

Dwóch banitów przegalopowało obok, omal nie obalili Fabienne na ziemię. Marion szarpnęła dziewczynę w ostatniej chwili.

Fabienne powoli, z trudem dobyła korda. Ostrze zabłysło odbiciem płomieni, widać było wyraźnie, jak drży.

Przecież nie tak miało być, tłukło się w głowie dziewczyny. Mieliśmy tylko przyjechać po spyżę. Zgoda, zabrać siłą, po dobroci kmioty nie oddadzą, pazerna ich natura. Ale palić wieś?

Ktoś zbliżył się do nich, z początku nie rozpoznała twarzy, tak była wykrzywiona złością. Wyrwał wodze z ręki Fabienne, stuknął konia piętami. Pogalopował w ciemność, tam gdzie las i droga niknęły w mroku poza łuną pożaru. Ciężka klacz Marion ruszyła za nim.

Dziewczyna uświadomiła sobie, kim był ów chłopak. Poznała bladą twarz z ledwie zagojonymi sińcami. Tommy zwany Wypierdkiem. Powinien się cieszyć, wreszcie kamraci zabrali go na wyprawę. Ale był wściekły, najlepsza część zabawy miała go ominąć.

We wrzawę wdarło się rozpaczliwe meczenie. Pękły z trzaskiem drągi ogrodzenia, kiedy któryś z banitów napał na nie konno i wjechał w stłoczoną ciżbę zwierząt. Fabienne ujrzała, jak Cedric chwytą kozę za rogi, szybkim cięciem podrzyna gardło. Krew chlusnęła tętniącym strumieniem, splamiła dłonie banity, które załśniły w świetle pożaru. Cedric wciąż się śmiał. Odepchnął drgający zewłok, rozejrzał się za następną kozą.

– Ruszaj się! – rozkazała Marion, popchnąwszy dziewczynę, która wciąż stała jak zaklęta.

Skowyt w zamkniętej na głucho, płonącej chacie już ucichł. Ogień przeżarł strzechę, więźba dachu waliła się z trzaskiem, sypiąc iskrami.

Fabienne omal się nie potknęła. Zabolą ją zwichnięta kostka, i to przywróciło dziewczynę do przytomności.

– Co my, kurwa, robimy! – wydarła się, odwracając do Marion. – Po co

to wszystko!

Marion nie odpowiedziała. Spoglądała z kamienną twarzą gdzieś nad głową dziewczyny, prosto w pożogę. W zielonych oczach odbijały się płomienie.

– Po co to? – krzyknęła Fabienne, w jej głosie można było dosłyszeć tłumione łkanie. – Przecież nikt się nie broni, możemy zabrać to ścierwo w cholerę! Nikogo tu, kurwa, nie ma!

Marion powoli opuściła wzrok, mierząc ją posępnym spojrzeniem.

– Ale będą – odparła zimno. – Poczekamy, i to już krótko.

W jej oczach błysnęła złość. Szybkim uderzeniem omal nie wybiła korda z rąk dziewczyny.

– A ty uważaj! – warknęła. – Nie wpychaj mi sztychu w brzuch.

Fabienne poczuła, że zdrętwiały jej palce. Kobieta uderzyła mocno, w nasadę klingi tuż przy rękojeści.

– Po co to, Marion? – spytała cicho, ale wiedziała, że ona usłyszy, nawet w tym hałasie. – Po co to wszystko?

Dosłyszała znakomicie. Roześmiała się na całe gardło.

– Po co? Bo jest zabawa!

Znów popatrzyła za plecy dziewczyny. I uśmiechnęła się szerzej, białe zęby błysnęły krwawym odblaskiem.

– A ty się lepiej odwróć... – powiedziała i uniosła swój miecz.

Fabienne usłuchała.

Ktoś biegł przez majdan. Dlaczego nie słyszę wrzasku? – pomyślała dziewczyna, widząc otwarte usta, wytrzeszczone oczy. Powinien wrzeszczeć.

Nie miała czasu się zastanawiać. Z mroku za plecami biegnącego kmiecia wychynął konno banita. Złowiła błysk ostrza, kiedy idealnie wymierzone w galopie cięcie trafiło w kark. Chłop zrulował jak dzik ugodzony bełtem.

Banita ściągnął wodze, brutalnie zdarł konia. Śmiał się, wznosząc wysoko ostrze, na którym połyskiwała czerwień.

– Bardzo ładnie – powiedziała Marion z uznaniem.

Fabienne zadrzała. Wodziła przed sobą trzęsącym się ostrzem.

– O, następny – usłyszała. – Uważaj.

Tym razem podjechało dwóch. Straszliwe zamachowe cięcie omal nie wyrwało ręki ze stawu Tommy'emu Wypierdkowi, który widać zdążył odprowadzić już konie i opuścił swój posterunek. Też chciał się zabawić.

Ale chybił haniebnie, w dodatku przeszkodził kamratowi. Nienaruszony kmieć pędził dalej z ochrypłym wrzaskiem, a spłoszony wierzchowiec Wypierdka zadarł ogon i poniósł.

Marion odepchnęła dziewczynę, aż ta zatoczyła się i omal nie upadła. Wyskoczyła przed nią, czekała na ugiętych nogach, z wystawionym ostrzem.

Chłop, który właśnie wznosił do straszliwego uderzenia drwalską siekierę, nadziei się aż po rękojęść. Kiedy sztych wychynął mu z pleców, zwałił się na Marion całym ciężarem. Z otwartych ust bluznął mu strumień gęstej juchy.

Marion ustała, odepchnęła go z wysiłkiem, na szczęście chłop był chuderlawy. Jeszcze drgał, kiedy zsuwał się z klingi.

Krew dymiła na ostrzu, już wolnym. Marion cofnęła się o krok, otarła twarz.

– Faj! – powiedziała z niesmakiem, gdy popatrzyła na dłoń.

Z ciemności, dokąd nie sięgała łuna, dobiegł bolesny koński kwik. I głośne ludzkie wycie, które urwało się nagle, jak ucięte. Tommy'ego Wypierdka koń poniósł za daleko.

– Ech, myślałam, że tak będzie – mruknęła Marion. – Może i lepiej, pożytku z niego było tyle, co z psa gnoju...

Fabienne poczuła, jak szarpia ją mdłości. Chciała zebrać się w sobie za wszelką cenę. Zdawała sobie sprawę, że za chwilę ona sama będzie musiała walczyć i zabijać, jeśli chce przeżyć.

– Uważaj teraz! – syknęła Marion. Krwawą maskę, w którą zamieniła się jej twarz, ściągnęło napięcie.

Wydawało się, że nadbiegają zewsząd. Nagle majdan zaroił się od postaci w siermięgach. Błyskały wzniesione siekiery. Banici zeskakiwali z kulbak, klepali wierzchowce po zadach. Zbyt łatwo jest ściągnąć jeźdźca z kulbaki siekierą na długim stylisku, zbyt łatwo podciąć wierzchowcowi

pęciny zwykłym drągiem. To przecież nie uczciwa walka, a przeciwnikiem tylko śmierdzące chłopstwo.

Marion w krótkim wypadzie cięła przebiegającego obok wielkiego draba z widłami. Nawet chyba jej nie dostrzegł. Kiedy padał, zęby wideł wbiły się w ziemię, drzewce pękło z trzaskiem.

Zaraz potem musiała uskoczyć przed nadlatującą siekierą. Tu nie było mowy o fechtunku, o fintach i zwodach. Nie sposób odbić drwalskiego topora. Rozpęd poniósł ją dalej.

Fabienne została sama.

Wtedy zobaczyła przed sobą aż dwóch. Zardzewiałe ostrza wideł mierzyły prosto w jej dołek, nad nimi dojrzała skudloną, niechlujną brodę kmiecia. Jaki stary, spostrzegła, dziwiąc się sama, że jest zdolna do takich obserwacji. Stary, ale krzepki. Drugi trzymał się nieco z tyłu, nie widziała jego twarzy, tylko ciemną sylwetkę na tle pożaru. Nawet nie wiedziała, w co jest uzbrojony.

Zardzewiałe ostrza wideł poruszały się to w lewo, to w prawo. Staruch był sprytny, wiedział, że dziewczyna może jedynie próbować uskoczyć z linii pchnięcia. Na jego twarzy nie było już wściekłości ani rozpacz. Zapomniał, że płonie jego wioska, że dorzyna się właśnie jego krewniaków. Smakował chwilę, kiedy zęby wideł pograżą się w miękkim ciele.

Fabienne widziała resztki zaschniętego gnoju oblepiającego długie szpikulce. Była jak sparaliżowana, spoglądała na widły niczym na kołyszający się łeb żmii.

Broda starego drgnęła. Uśmiechał się złośliwie. To wyrwało dziewczynę z osłupienia. Niedoczekanie, pomyślała z nagłą złością. Sprężyła się, dostrzegając w wyblakłych oczach starca decyzję.

Uratowała ją nadwreżona kostka. Kiedy ugięła nogi, spinając się do uniku, przeszył ją raptowny ból, noga załamała się pod nią. Długie pchnięcie chybiło, chociaż stary dobrze przewidział, w którą stronę dziewczyna zamierza się rzucić. Ale pchnął za szybko.

Opadła na kolana, wypuszczając kord. Przeturlała się po ziemi, podciągnęła nogi i zwinęła się, by oburącz sięgnąć do cholew. Zaśmiała się, czując pod palcami drewniane trzonki noży.

Staruch będzie pierwszy, zdecydowała w mgnieniu oka. Ciśnięty nóż zdążył zrobić w locie pół obrotu, wbił się prosto w oczodół klnącego chłopca, który unosił widły, by przyszpilić dziewczynę do ziemi. Nie czekała, aż upadnie. Odwróciła się szybkim skrętem tułowia, rzuciła tam, gdzie zapamiętała ciemną sylwetkę. Odgłos uderzenia i krótki, zduszony charkot upewnił ją, że trafiła. Ciało z łomotem zważyło się na ziemię.

Wpadła w euforię. Chwyciła kord, poderwała się na nogi, ignorując ból kostki. Chciała biec dalej, poczuć pod ostrzem, jak umierają. Zrobiła dwa szybkie, kulejące kroki.

Ktoś chwycił ją za ramię.

– No, no – usłyszała kpiący śmieszek.

Zatrzymała się niechętnie.

Marion dyszała ciężko. Na jej twarzy, pokrytej zaschniętą krwią, spływający pot złobił jaśniejsze smużki. Wyglądało, jakby płakała krwawymi łzami.

– Puszczaj! – Fabienne szarpnęła się, ale uścisk Marion był mocny.

– Nie szalej, dziewczyno – powiedziała nie bez ironii. – Trzeba spokojnie, na zimno. Tak jest przyjemniej. A ty kulejesz...

Fabienne dopiero teraz uświadomiła sobie, że ledwie stoi.

– Tego drugiego to chyba nie widziałas za dobrze? – spytała Marion.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Przypatrywała się dogasającej walce.

– A co za sztuka trafić w coś, co się widzi? – odpaliła z przekąsem i jej oczy zalśniły kocim blaskiem.

Twardy lud osiadł na wypaleniskach. Ale wściekłość i rozpacz, nawet wsparte siekierami i widłami, nie poradzą wiele przeciwko rzemiosłu i doświadczeniu routiers.

Na majdanie pozostały tylko nieruchome ciała. Banici zbierali się w grupki, poklepywali po plecach. Spoglądali po sobie, sprawdzając, kogo brakuje.

Nie brakowało nikogo, oprócz Tommy'ego Wypierdka. Nikt nie żałował bladego, krostowatego wyrostka. Przeciwnie, kamracy pokazywali w kierunku, skąd dobiegł jego ostatni krzyk, i zarykiwali się ze śmiechu.

Stary Cedric oberwał drągiem, jego prawa ręka zwisała bezwładnie. Nie przeszkadzało mu to zbytnio, mieczem władał równie dobrze lewą. Wciąż zanosił się chichotem, kiedy przyszpilał nieruchome ciała sztychem do ziemi, tak na wszelki wypadek. Za każdym razem, gdy któreś drgnęło i miotnęło się spazmatycznie, banita na chwilę przestawał chichotać, jego twarz ściągała się złością. Nie lubił oszustw.

Marion i Fabienne szły wolno przez pobojuwisko. Dziewczyna kulała wyraźnie, ale nie chciała wesprzeć się na ramieniu. Spoglądała na Marion z ukosa.

– Ależ ty wyglądasz – mruknęła.

Marion przetarła twarz, rozmazała krwawe smugi.

– Popatrz na siebie – odparła spokojnie.

Na spoconej twarzy dziewczyny osiadła gruba warstwa sadzy i popiołów.

Chaty dopalały się już, coraz słabsza była łuna. Zwęglone drągi dachów odcinały się na tle dogasających płomieni, w nozdrzach wiercił słodkawy, mdlący odór spalonego mięsa. Wkrótce wiatr rozwieje popioły, następna leśna osada zarośnie trawą i chwastami. Na nieobsianych ścierniskach puszczą się małe brzoźki i dęby. Las Sherwood odzyska swe dziedziny.

Za dopalającego się szkieletu stodoły wypadł ktoś z wrzaskiem, pognął wprost na rozprawiających wesoło kamratów. To wyrostek, spostrzegła Fabienne, gówniarz, który przesiedział w jakiejś dziurze i był na tyle głupi, że nie wytrzymał. Chciał pomsty.

Skoczyło mu naprzeciw kilku, popychając się, walcząc o pierwszeństwo. Przeszkadzali sobie nawzajem, ale w końcu zarabali szybko i sprawnie. Stary Cedric wyrwał ostrze z zażywnego kmiecia, który przestał właśnie tylko udawać martwego. Splunął. Był zły, że ominęła go zabawa.

– Tak to jest z kozojebami – westchnęła Marion. – Można ich tępić jak

robactwo, a i tak na koniec zawsze jakiś wylezie.

Ruszyła ku Cedrikowi, wydając rozkazy. Pora się zwijać, zrozumiała Fabienne.

Pęd chłostał twarz, wysuszał łyzy i pot na policzkach. Chłodził rozpaloną głowę, w której jednak wciąż nie było miejsca na przytomne myśli.

Opadła euforia walki, zniknął smak zwycięstwa. Nie rozmyślała, że poradziła sobie, że jednak żyje. Ale galopada mrocznym, puszczańskim traktem nie sprzyjała refleksjom. Fabienne płynęła w ciemności, szalony gon porywał ją i unosił.

Słyszała chrapanie Faerye, głuchy łomot podków o trakt, poświst wiatru w uszach. Las był ciemny jak oko wykol, z rzadka jedynie, kiedy nad jej głową otwierało się na chwilę sklepienie gałęzi, w zimnym poblasku księżyca widziała ciemną sylwetkę Marion, przechyloną nad końską szyją.

Nie myślała, że łatwo może roztrzaskać głowę o zwieszającą się nad ścieżką gałąź, a klacz złamać nogę w jakimś wykrocie, którego nie sposób ominąć w ciemnościach. Nawet kiedy po twarzy raz i drugi chlasnęły ją gałązki, cienkie na szczęście, krzyknęła tylko, jakby piekący ból był rozkoszą.

Wypadły z nienacka na wielką polanę, zalaną trupim światłem księżyca. Marion zjechała z traktu, wparła swą wielką kobyłę prosto w mgłę, zalegającą białą warstwą aż po horyzont. Opalizująca srebrzystą szarością kurtyna rozsunała się przed nią, mgły z tyłu jakby wirowały, tworząc fantastyczne, ulotne kształty.

Fabienne bez namysłu podążyła za nią. Nie zwalniając, wjechała we mgłę, słyszała szelest rozgarnianych pęciami klaczy traw, stłumiony przez opary.

Dziewczyna zatraciła się całkiem w jeździe podobnej do lotu nad białą taflą. Przestała sobie zdawać sprawę, kim jest, dokąd jedzie. Tego ostatniego nie wiedziała zresztą od początku.

Polana była rozległa. Ciemną sylwetkę wielkiego dębu dostrzegła niespodziewanie, jakby wyrósł przed nimi w jednej chwili. Opar rozwiewał się, widziała już srebrzące się rosą trawy.

Oprzytomniała.

Ściągnęła wodze, wstrzymała chrapiącą, spienioną klaczkę. Poklepała mokrą od potu i rosy szyję. Powoli podjechała do Marion.

Z nozdrzy potężnej kobyły, której ta dosiadała, buchały kłęby pary, biały obłok jaśniał w księżycowej poświacie.

– Dlaczego za mną jedziesz? – spytała głucho Marion, nie patrząc na dziewczynę. – Nic tu po tobie.

Zsunęła się z kulbaki, klepnęła kobyłę po zadzie. Wierzchowiec odszedł powoli, z nisko spuszczonego łbem. Włókł po trawie luźno rzucone wodze.

Fabienne poszła za przykładem Marion. Zaczynała już myśleć trzeźwiej. Ale nie były to miłe myśli.

Trawa szeleściła pod stopami, kiedy szły powoli w kierunku ciemnej, rozłożystej sylwetki dębu. Marion patrzyła w ziemię, od czasu do czasu rozgarniała trawę noskiem buta.

– Czego szukasz? – przerwała milczenie Fabienne.

Marion nie od razu odpowiedziała. Stała, rozglądała się.

– Ogniska – odparła wreszcie cicho. – Śladów po ognisku.

Ze złością wbiła obcas w ziemię. Odwróciła się do dziewczyny, popatrzyła jej w twarz.

– Nic nie zostało. Nawet popiół. Zarosło wszystko...

Fabienne nie rozumiała. Ale widziała, jak w twarzy pokrytej maską zaschniętej krwi oczy błyszczą szaleństwem. Cofnęła się odruchowo. Nie widziała jej jeszcze takiej.

– Nie bój się – mruknęła Marion.

Wyciągnęła rękę, pogładziła ją po policzku. Fabienne wzdrygnęła się, palce były zimne jak lód.

Marion cofnęła dłoń.

– Może to nie tutaj, może dalej.

Odwróciła się, odeszła schylona, przepatrywała srebrzącą się rosą trawę pod nogami.

– Na pewno dalej...

Fabienne zadrżała, słysząc gorączkowy szept. Objęła nagie ramiona, naraz zaczęła odczuwać chłód. Jej opończa przepadła, pamiętała tylko, że przewiesiła zrolowaną przez kulbakę. Musiała spaść jeszcze w wiosce.

W wiosce... Teraz dopiero zaczęło do niej docierać, jak blisko przeszła śmierć.

– Przestań! – wrzasnęła.

Marion zamarła.

– Po co to wszystko?! – Fabienne nie panowała już nad sobą. – Po co?! Dla trzech kozich ścierv? Można było zabrać, nie wycinać od razu wszystkich w pień!

Marion podeszła, zamierzyła się. Przez chwilę wydawało się, że uderzy. Fabienne nie uchyliła się, uniosła tylko głowę.

– Po co? – powtórzyła gorzko.

– Bo tak trzeba! – syknęła Marion. – Bo tak...

– Bo tak chcesz? – wpadła jej w słowo Fabienne.

Marion opuściła wzniesioną do ciosu dłoń. Nie odwróciła wzroku. W jej oczach nie błyskało już szaleństwo, jak wydawało się wprzód. Spoglądała twardo i spokojnie.

– Owszem, tak chcę – odparła wreszcie, równym głosem. – I to wystarczy.

Ujęła dziewczynę pod ramię, przyciągnęła mocno do siebie, kiedy ta zrobiła ruch, jakby chciała się odsunąć. Wiatr szumiał w liś ciach wielkiego dębu, przeganiał zwiewny opar. Zrobiło się ciemniej, księżyc co chwila przesłaniały strzępiaste, przesuwające się szybko po niebie obłoki. Czarne, przysadziste sylwetki jałowców za powęźlonym pniem dębu zdawały się przysuwać coraz bliżej.

– Tak chcę i tak trzeba. – Marion zacisnęła palce na ramieniu Fabienne, która westchnęła tylko, powstrzymując syk bólu. – Opowiem ci coś. Był kiedyś taki jeden, który chciał tego robactwa bronić. Wydawało mu się, że jest sprawiedliwy, że walczy o nich, biedaków i

pokrzywdzonych. Już go nie ma, od dawna. Był potem drugi, i robił to samo. Tak długo, że w końcu musiał ich zabijać, bo zwrócili się przeciw niemu, jak wszyscy zresztą. I też nic po nim nie zostało, nawet ślad ogniska w trawie.

Fabienne słuchała. I wciąż miała przed oczyma obraz płonących strzech, czuła słodki swąd palonego mięsa. Drżała, nie wiedząc, czy z zimna, czy w nagłym przeczuciu tego, co za chwilę usłyszy.

– Wszyscy są winni. Te kmioty, których tak żałujesz, i zbrojni szeryfa. Jeśli nie ci, to inni, jeśli ich nie zabiję, oni zabiją mnie. Ciebie też, powinnaś o tym wiedzieć, sama dziś widziałaś.

Widziałam, pomyślała Fabienne. Ale to ja przyszłam do ich wioski, to ja podpaliłam im domostwa, wyrznęłam krewnych.

– Tylko tak możesz przetrwać. Tylko zemsta jest ważna.

– A on? – wypaliła Fabienne, zanim jeszcze zdążyła pomyśleć. – Jeśli wróci po ciebie?

Aż się skuliła, kiedy dotarło do niej, co powiedziała.

– On nie żyje – odparła Marion twardo, nadspodziewanie spokojnie. – Nie wróci. I ma szczęście, bo lepiej dla niego, żeby nie wracał. To wszystko przez niego.

Ostatnie słowa wysyczała z wściekłością. Puściła nagle ramię dziewczyny. Fabienne rozcierała chwilę miejsce, na którym palce Marion zostawiły ślady. Będzie miała siniaki, pomyślała mętnie.

Marion gwizdnęła na palcach. Z mroku dobiegło rzenie, potem tętent masywnej kobyły.

– Nic tu po nas – mruknęła Marion. – Nic nie zostało.

Wieża wznosiła się wysoko, szczyt celował w ciemniejące niebo niczym samotny palec. Poza kamienną budowlą nie pozostało nic, belki częstokołu spróchniały już dawno, tylko niski, porośnięty przez chaszczkę nasyp wskazywał, że kiedyś na niskim pagórku wznosił się kasztel.

Droga, niegdyś szeroka, zarosła trawą. Fabienne jechała wolno,

kierując konia tam, gdzie turzyce były niższe i rzadsze. Ukryty pod nimi żwir chrząścił pod podkowami.

Dziewczyna popatrzyła na odcinającą się na tle nieba sylwetkę wieży. Czarne ptaki poderwały się z wierzchołka zwieńczonego blankami, kołowały nad nim z głośnym krakaniem. Zarżał koń uwiązany do belki u stóp budowli.

Zeskoczyła z kulbaki, przerzuciła niedbale wodze przez belkę, resztę dawnego koniowiązu. Klacz Marion zachrapała na jej widok, rzuciła łbem. Fabienne poklepała ją uspokajająco po gładkiej, lśniącej szyi.

Weszła w czarny otwór, pozbawiony ościeżnic, opleciony bluszczem. Przez chwilę nie widziała nic poza smugami światła, prześwitującymi przez popróchniałe stropy. Wieża na dole pozbawiona była okien.

Kiedy jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności, wstąpiła na proste, drewniane schody. Deski skrzypiały pod stopami, gdy się wspinała. Trzask drewna odzywał się niekiedy głośniejszym echem, wtedy zamierała na chwilę, zdawało jej się, że cała ta konstrukcja nie wytrzyma i ona runie w dół. Ale potem wspinała się dalej.

Im wyżej, tym stawało się jaśniej. Wreszcie ujrzała kwadratowy otwór na najwyższej kondygnacji, do którego prowadziła już tylko drabina.

Idąc, wzbiła kurz, który zawirował w smugach światła, zakręcił w nosie. Kichnęła głośno.

Chwyciła szczeble drabiny, z obrzydzeniem spostrzegła, że są całe pokryte ptasimi odchodami. Mimo to pięła się dalej, starając się jak najmniej dotykać uwalanego drewna.

Wreszcie mogła wychylić głowę ponad otwór. Zamrugła oślepienymi oczami, chciała odwrócić głowę, rozejrzeć się. I znieruchomiła, kiedy poczuła zimny dotyk na szyi, tuż pod uchem.

– To ty – rzekła Marion i odjęła klingę. – Na drugi raz krzyknij albo choćby coś powiedz.

Wsunęła miecz do pochwy i odrzuciła ją, oplątaną pasem, na deski. Pochyliła się nad dziewczyną.

– Daj rękę – powiedziała. – Bo się cała uwalasz.

Pociągnęła mocno. Po chwili Fabienne stanęła obok niej, otrzepując

się machinalnie z kurzu. Miała wrażenie, że we włosach ma pełno pajęczyn.

Deski zaskrzypiały. Dziewczyna drgnęła, spojrzała pod stopy.

– Nie bój się, wytrzymają. – Marion zaśmiała się krótko. – O ile nie będziesz podskakiwać.

Oparła się o mur, zwietrzały na zwieńczeniu i słaby. Odłamki kamienia posypały się z krawędzi.

– Czego chcesz? – spytała wreszcie, nie odwracając głowy.

Wiatr rozwiewał jej kasztanowate włosy.

Fabienne wzruszyła ramionami. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, poza tym czuła się wciąż niepewnie, stojąc na skrzypiących, poczerniałych deskach. Paraliżował ją strach, bała się wysokości.

– Chcesz powiedzieć, jaka jestem niedobra? – Słowa Marion padały w przestrzeń, jakby mówiła do kogoś poza blankami. – Morduję biednych kmiotków, którzy na śmierć nie zasłużyli? A może...

Odwróciła się gwałtownie.

– A może chcesz powiedzieć, że przeze mnie musiałaś sama ubrudzić sobie ręczki? Musiałaś zabić...

Parsknęła gniewnie.

– Niewinnego człowieka...

Znów oparła się o mur.

– Chodź tu – rzuciła.

Fabienne podeszła, ostrożnie, czując, jak w miarę zbliżania się do obmurowania sztywniejają jej nogi. Stała obok Marion, zacisnęła palce się na chłodnych kamieniach. Przymknęła oczy. Nie mogła się przemóc, by spojrzeć w dół.

Ptaki z wrzaskiem kołowały nad nimi.

– Nikt cię tu nie prosił, moja mała. – Wiatr za krawędzią muru, wzmożony przez wysokość, porywał słowa, ale Fabienne słyszała wszystko. – Sama jesteś sobie winna, zdecydowałaś. Miałaś wybór, zginać lub zabić. Tak już jest – albo ty ich, albo oni ciebie. I nie ma niewinnych, zapamiętaj sobie.

Fabienne pokiwała głową. Na nic innego nie mogła się zdobyć.

– Tak będzie, moja naiwna mała. Nic innego nie pozostało.

Dziewczyna słuchała równego, martwego głosu. To na nic, myślała. Nie przebiję się przez pancierz, w jakim schroniła się Marion, zbroję okrucieństwa i zemsty.

– Nie mam już nic – powiedziała Marion, jakby zgadując jej myśli. – Tylko to, co robię. Już nie jestem zwierzyną, jestem pierdoloną Wilczycą. I zamierzam nią pozostać. Nic innego nie jest ważne.

– A Match? – spytała, zanim zdążyła się zastanowić.

– Match? – Wiatr porwał gorzki śmiech, poniósł go dalej. – Match jest trupem, mała. Cokolwiek byś mówiła, cokolwiek byś roiała sobie w tej ślicznej, lecz głupiutkiej główce.

Spojrzała z ukosa na Fabienne.

– Przyznaj się, mała – uśmiechnęła się kąpiąco. – Widziałas go raz i wystarczyło, żeby zawrócił ci w głowie. Te jego powinności, tajemnice. Przeznaczenie. Chmurna gęba i gotowość do poświęceń. To działa na takie głupie smarkule, prawda?

Fabienne milczała. Wciąż nie miała odwagi uchylić powiek.

– Odpowiadaj! – wrzasnęła Marion i potrząsnęła ją za ramię.

Splószone ptaki wzbiły się wyżej.

Dziewczyna kiwnęła głową, po policzku spłynęła jej łza.

– Tak myślałam. A ja, kurwa, nie chcę, żeby ktoś się za mnie poświęcał. Nie chcę, żeby za mnie szedł na śmierć. – Marion mówiła już spokojniej, ale w głosie wciąż drgały nutki krzyku. – Nie chcę, żeby ktoś decydował. Za mnie.

Ujęła dziewczynę pod ramię, przyciągnęła do siebie.

– To działa, prawda? Przyznaj się. Poszedł na śmierć za swoją miłość. Zbierał się długo, jak jeź do pierdolenia, nie mógł sam, musiał wciągnąć w to innych. Powtarzał, że on sam, on musi. Nie zaprzeczaj, znam go... A ty podziwiałaś, pomogłaś. Mało tego, poleciałaś za nim jak ćma w ogień. Mimo że na ciebie nawet nie spojrzał łaskawiej. Tylko wiesz, ja nie chcę. Nie potrafię tak dłużej, kiedy ktoś zostawia mnie, bo idzie ratować pierdolony świat. Bo tak mu było przeznaczone, walka za sprawę. Ech, w dupie mam sprawę...

Głos był coraz cichszy, coraz bardziej matowy.

– On mnie zostawił, Fabienne. Ja nie chciałam, żeby ratował świat, wypełniał przeznaczenie. Chciałam, żeby ze mną był, po prostu. Nie chciałam poświęcenia. A on mnie zostawił. Wszyscy mnie, kurwa, zostawili.

Ty też go kiedyś zostawiłaś, pomyślała Fabienne.

– Myślisz, mała, że przychodzę tu rozpamiętywać w samotności? – Głos Marion przeszedł prawie w szept, mieszał się z poszumem wiatru na blankach. – Że myślę o wszystkim, co w życiu straciłam? Że myślę o nim? Mylisz się.

Nagłym ruchem chwyciła dziewczynę za kark, pchnęła na mur. Fabienne krzyknęła, od zwietrzałych blanek oderwał się spory kamień, runął w dół z hurgotem. Po nieskończonej długiej chwili roztrzaskał się u stóp wieży. Dziewczyna zamarła, czuła, jak pod palcami inne kamienie kruszą się i rozsypują. Cały kawał zwietrzałego muru wyraźnie drgnął.

– Tu jest wolność, Fabienne! – wrzasnęła Marion, jej głos wzniósł się ponad wiatr i ptasie wrzaski. – Wolność ostateczna, wystarczy mały krok! Po to tu przychodzę, bo wolność wzywa i kusi! Tylko mały kroczek!

Popchnęła silniej. Fabienne usłyszała, jak pękają spoiny gładów, fragment muru poruszył się mocniej. Chciała krzyknąć, błagać. Nie mogła wydobyć głosu.

– Patrz! Patrz w dół, krótki lot i wolność!

Fabienne rozpaczliwie potrząsnęła głową. Wiatr rozmazywał na policzkach łzy płynące spod zaciśniętych powiek.

– Patrz!

Nie puściła karku dziewczyny, wciąż przyginała ją w dół. Nacisnęła mocniej.

– Patrz, bo pchnę!

Fabienne rozchyliła powieki. Świat zawirował jej w oczach. Marion poczuła, jak dziewczyna wiotczeje, przestaje się opierać i walczyć. Szarpnęła ją w tył, aż potoczyła się po deskach pobielonych przez ptaki.

Fabienne leżała, ciężko dysząc, bała się uchylić znów zaciśnięte powieki. Drżała na całym ciele, nie mogła się podnieść.

Marion pochyliła się nad nią, dotknęła mokrego od łez policzka. Dziewczyna chciała się odsunąć, nie mogła. Marion delikatnie, opuszkami palców otarła łzy.

– To zwykłe oszustwo, kochanie – powiedziała cicho i miękko. – Tak nie można uciec i ja o tym wiem. Nie ucieknę przed sobą.

Przygarnęła bezwolną dziewczynę. Przytuliła twarz do jej policzka. Na wargach poczuła słoną wilgoć.

– Dla mnie się skończyło, ogień się wypalił i została tylko garść popiołu. Nie ogrzeję nad nim ręk. Zostało to, co jest.

A co zostało dla mnie, pomyślała Fabienne bezradnie, kiedy wreszcie zamilknie zła piosenka? Wciąż ją słyszę, wciąż zaglądam w ciemne, bezdenne oczy.

Objęła Marion za szyję i rozpłakała się wreszcie jak mała dziewczynka. Marion spoglądała w dal, nad blankami, gdzie nieodległy las zaczynał ciemnieć i gubić kształty w zapadającym zmierzchu.

Nad wieżą kołowały ptaki.

- XI -

Szybkie, nerwowe kroki stukały po kamiennej posadzce słonecznej komnaty. Nic nie tłumilo uderzeń podeszew. Stukot odzywał się pogłosem w pustym wnętrzu.

Wulf przymknął oczy. Chciał wrócić do czasów, które świetnie pamiętał. Dobre były. Ale nie wróca.

Drobny stukot niczym nie przypominał kroków Roberta de Reno, który też przechadzał się po komnacie, kiedy miał podjąć decyzję, wydać rozkazy czy choćby pomyśleć. W tamtym rytmie nie było pośpiechu. Nie było też nerwowości, co Wulf stwierdził z niesmakiem. Kręci się, jakby kto mu piórko w rzyć wetknął, pomyślał niechętnie.

Otworzył oczy, rozejrzał się po komnacie. Zniknął ze ściany nadjedzony przez mole gobelin, nie można było cieszyć oczu obfitymi kształtami nimfy przy ruczaju. Sir William zaraz pierwszego dnia kazał spalić owo dzieło sztuki, gdy tylko je ujrzał. Krzywił się przy tym z niesmakiem i skromnie spuszczał oczy. Nagiej posadzki nie pokrywały wysuszone, nacięte łodygi tataraku, ciągnęło od niej chłodem. Sir William lubił porządek.

Szeryf zatrzymał się nagle, wycelował palcem w pierś zbrojnego. Wulf wyprostował się odruchowo.

– Dość tego dobrego! – Na jego młodej, szczupłej twarzy malowały się złość i zawód. – Dość, powiadam! – Oczy płonęły jednak wciąż dawnym zapałem. – Tak dalej być nie może...

Ciekawe, pomyślał zbrojny sceptycznie. Co teraz zatem? Więcej posterunków na traktach? Nowe hełmy, jeszcze bardziej błyszczące? A może więcej podjazdów, jakbyśmy i tak mieli dupska za mało poobijane w kulbakach.

Też miał dość. Nie pamiętał już, kiedy udało mu się zasiąść w gospodzie nad kuflem. Co gorsza, ludzie też byli zmęczeni i zniechęceni. Zaczynali sarkać, na co Wulf nie mógł pozwolić. Chociaż sam bardzo miał

ochotę.

Poczynania szeryfa to były czyste jasełka, Wulf zdawał sobie z tego znakomicie sprawę. Wiedział doskonale, że gdyby nie on, hultajstwo podchodziłoby już pod miejskie mury, a na ulicach psi wyliby nad trupami. Jeśli, oczywiście, pozostałoby jacyś psi, bo i głód pustoszący wioski zajrzałby niewątpliwie w oczy mieszczanom.

Wiązał wiele nadziei z nowym szeryfem. Tym boleśniesz było rozczarowanie. Młokosa niewiele tak naprawdę obchodziło poza swoim wizerunkiem – surowego i prawego wielmoży, odprawiającego sprawiedliwe sądy i wydającego mądre rozkazy. Wulf już rozumiał, co było głównym motywem sir Williama. On chciał, żeby go wszyscy kochali i podziwiali.

Tylko nie było za co. William miał pecha. Jego poprzednikiem był Robert de Reno, okrutny i wyrachowany, cyniczny i zgorzkniały. Ale, pomyślał Wulf, on był mężczyzną. W przeciwieństwie do ciebie.

Ta świadomość zakłuła go boleśnie, niezwyčajny był takiego myślenia o swych suzerenach. Jednak musiał spojrzeć prawdzie w oczy, William był młody i głupi. Zadufany w sobie, zachwycony własnymi idiotycznymi pomysłami. I przekonany o swej racji.

Zbrojny popatrzył na szeryfa spod oka. Jest słaby, uświadomił sobie. Ale może być bezmyślnie okrutny, kiedy coś pójdzie nie po jego myśli. Będzie obwiniał wszystkich, poza sobą. Tak jak zapewne teraz.

Nie pomylił się.

– Zbóje grasują na traktach – zaczął szeryf podejrzenie spokojnie. – Smolarze w pień wyrznięci, drwale boją się wejść do lasu. Puszczańskie wioski poszły z dymem. Dlaczego dopiero teraz się dowiaduję?

Bo nie chciałeś wcześniej słuchać, już miał odpowiedzieć Wulf. Nie odpowiedział.

– Za dobry byłem, za dobry – ciągnął sir William. – Dla was wszystkich byłem za dobry...

Urwał, znów począł spacerować drobnym kroczeniem po komnacie, wymrukując coś pod nosem. Można było pomyśleć, że to przekleństwa, ale młodzik o ascetycznej twarzy nigdy nie kłął. Zatrzymał się nagle.

– Oszukiwaliście mnie! – wypalił, celując w twarz zbrojnego

trzęsącym się palcem. – Cały czas oszukujecie! Nie słuchacie, co mówię, nie wypełniacie poleceń.

Ciekawe, myślał leniwie Wulf, syn jarła Thormlunda, wpatrując się w połyskujący rubin, oko pierścienia na palcu sir Williama. Dałoby się ściągnąć, czy trzeba by najpierw uciąć. Z żywego by się dało, gorzej, jak paluchy po śmierci napuchną.

Ogarnął go lodowaty spokój, kiedy już opanował pierwszy odruch wściekłości. Zastanawiał się, dlaczego właściwie pozwala tak się traktować?

To proste, pomyślał. Bo wciąż wiązała go przecież obietnica, dana umierającemu, komuś, kogo kochał i szanował. I jeśli jeszcze był coś komuś winien, to tylko mrocznemu człowiekowi, który rozpamiętywał dawne czasy w leśnym klasztorze i szykował zemstę.

Zemsta. Lube słowo sprawiło, że Wulf się uśmiechnął bezwiednie. Ktoś, kto znałby się lepiej na ludziach, zląkłby się tego uśmiechu, a właściwie skrzywienia obnażających zęby warg.

Młody William z Salisbury nie znał się na ludziach.

– Czego się cieszysz? – parsknął. – Śmiesz cię to?

I owszem, chciał odpowiedzieć Wulf. Śmieszysz mnie, paniczku, ty, i te twoje głupoty. Resztką dyscypliny wzięta jednak górę, tym razem jeszcze zamilczał.

W zasadzie mógłby to pieprzyć już w tej chwili, odejść, by nie służyć pod rozkazami niedowarzonego, fanatycznego młokosa, któremu tatko kupił urząd. Ale wciąż miał swoich ludzi. I nie żywił złudzeń, nie chciał zostawić ich na zmarnowanie.

– Skończyło się, mój drogi – wycedził szeryf, biorąc za dobrą monetę wyraz twarzy zbrojnego.

Był przekonany, że Wulf szanuje i obawia się go. Owszem, popełnił błędy, nie przykładał się do roboty. Nie pojmował szczytnych celów, co zrozumiałe, był zwykłym barbarzyńcą. Zaraz cię wyprostujemy, ty ciemniaku, pomyślał szeryf.

– Cóż, jak to powiadają... – zaczął, zastanawiając się, jak to ująć, żeby dotarło do tego prostaka. – Jako to powiadają...

Zaplątał się, zerknął z ukosa na Wulfa. Jakoś onieśmiał go ten

człowiek, biła z niego taka prostacka, chamska siła. William dawno pozbyłby się Wulfa. Ale, choć nie chciał sam się przyznać, potrzebował go. I nawet nieco obawiał, mimo całej pogardy, jaką dlań żywił. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że pogarda była odwzajemniona.

– Jak powiadają jego wielebność opat... – szeryf postanowił podeprzeć się autorytetem.

Wulf aż drgnął, na dźwięk tego słowa zrobił się czujny.

– Wina wielka, tedy i kara srogą musi być! – wypalił wreszcie sir William. – Nie chce słuchać hultajstwo po dobroci, posłucha miecza a szubienicy! Nie starczy winnych ukarać, wioski całe palić trzeba i z ziemią zrównać! Schwytanych nie żywić i nie kaźnić od razu, jeno powoli, żeby poczuli!

Zbrojny słuchał, nie dając po sobie nic poznać. Jego twarz nadal pozostała obojętna, zniknął z niej nawet kpiący uśmieszek. Przecież to głównie da, pomyślał, byli już tacy, którzy próbowali tak czynić. Sam de Reno się na to złapał. I wkrótce znów głód zajrzy w oczy, teraz prędzej, bo jeszcze nie minęła pamięć strasznej zimy. Zdesperowani ludzie, ci, którzy ocaleją, pójdą do lasu. Wszystko zacznie się od nowa.

Czuł w tym wszystkim rękę opata. Tylko wielebny staruch mógł mieć taki wpływ na młodego, pobożnego panicza. Wywinął się gładko z podejrzeń i oskarżeń, o których głośno było nawet wśród gminu, i wciąż siedział w swym opactwie jak stary pająk, nadal snując swe sieci. On jak dotąd nie zapłacił.

Wulf potrząsnął z irytacją głową. Nie pojmował tego wszystkiego. Nie na mój to rozum, zgrzytnął zębami.

Znał proste powinności. Lojalność i zemstę. Gdy pomyślał o niej, rozchmurzył się nieco. Będzie dużo krwi i zamieszania, łatwiej wtedy o zemstę, kiedy ludzkie namiętności zrywają tamy.

– Zrozumiano? – szeryf podniósł wreszcie głos. Miał wrażenie, że zbrojny nie słucha.

Wulf uśmiechnął się leniwie, zmrużył oczy. Gdyby szeryf lepiej znał się na ludziach, powinien przestraszyć się tego uśmiechu. Albo przynajmniej się nad nim zastanowić.

– Tak jest, panie – wycedził wolno zbrojny. – Będzie jak rozkazałeś.

Szeryf spojrzał na niego bystrym, chytrym wzrokiem.

– To i dobrze – mruknął uspokojony.

Pogroził Wulfowi palcem.

– Tylko pamiętaj! – ostrzegł.

Uciąłbym ci ten paluch, chłystku, najchętniej przy łokciu, myślał Wulf. Coś z tych myśli musiało się odbić w ciężkim spojrzeniu zbrojnego, bo szeryf nagle zamilkł, a z twarzy zniknął mu wyraz triumfu. Odstąpił o krok.

– No, to skorośmy załatwili, jeszcze jedno...

W oczach znów pojawił się zapał. Wulf, który już miał skłonić się, by szeryf mógł go odprawić, słuchał zrezygnowany.

– Onegdaj na placu targowym jeden z twoich ludzi... – William przerwał na chwilę i poprawił się szybko. – Jeden z moich ludzi rugał nieprzystojnymi słowami mieszczkę niewinną.

Już ci donieśli? – zdziwił się Wulf.

– Aż wstyd powtarzać. – Szeryf skromnie spuścił oczy, lecz podniósł je zaraz, gorejące świętym oburzeniem. – Wstyd powtarzać, powiadam! Dość, że niecnotę niewieście zadawał! Mały był, pokurcz taki, rudawy... A, i był bez miszurki!

Ostatnie zdanie niemalże wypluł. Nie znosił nieporządku, a zwłaszcza lekceważenia własnych rozkazów.

Sam Wiewiórka, stwierdził Wulf, on zawsze podpada. Ale co miał, kurwa, powiedzieć? Pamiętał, jak zarykiwali się przy wieczerzy, kiedy Sam z oburzeniem opowiadał, ile zażądała od niego zezowata Emilka. Kamraci nie darowali, dziwki zawsze chciały, żeby Wiewiórka przepłacał. A on nigdy nie potrafił się z tym pogodzić.

Wąsy Wulfa drgnęły, gdy usiłował powstrzymać złośliwy uśmiech. Szeryf to dostrzegł, ale, o dziwo, zmilczał. Nie wściekł się, jak zwykle w takich okolicznościach, kiedy wydawało mu się, że ktoś z niego kpi.

Zamiast tego poufale ujął zbrojnego pod ramię.

– Jako powiadają jego wielebność opat... – zaczął rozwlekle – wielkim grzechem jest grubym słowem urągać. W piekle się za to ów nieszczęsny człek smażyć będzie, a diabli widłami w słabiznę będą go ekscytować...

Wulf przestał słuchać, młody William wsiadł na swojego ulubionego konika. Furda napady na traktach, furda banici po lasach. Stary Wulf to załatwi, nie trza rąk sobie brudzić. Ale ma być porządek i żadnych bluzgów.

– Przemówcie, dobry człecze, ludziom do sumienia. Dla ich dobra, żeby kary wiecznej ponosić nie musieli. Bo jak nie, to z żalem wprowadzie, bom łagodny jest i wyrozumiały, ale do karania się wezmę.

– Tak jest, panie – powiedział Wulf i skłonił się lekko.

Marzył, żeby wreszcie stąd wyjść. Obawiał się, że jeśli zostanie chwilę dłużej, nie wytrzyma i zacznie tarzać się po posadzce. Ze śmiechu.

Chociaż wszystko razem wcale śmieszne nie było.

Zanim dotarł na podwórzec, przemierzając ciemny korytarz, całkiem opuściła go wesołość.

Zszedł po trzeszczących schodkach z drewnianego pomostu łączącego stołp z murem obronnym. Popatrzył po zebranych podwładnych.

Było ich zaledwie kilkunastu, ale sami najważniejsi. Starzy wojacy, którzy służyli jeszcze pod rozkazami de Reno. Zaufani towarzysze. I sprawca całego zamieszania, Sam Wiewiórka. Jego okolona wianuszkami rudawych włosów łysina błyszczała w słońcu.

Wulf chrząknął, niegłośno, lecz wystarczyło, by przestali gadać między sobą i ustawili się w szeregu. Nawet dość równym.

Kapitan straży przeszedł powoli wzdłuż nich. Nic nie mówił jeszcze, co zwykle wprawiało ich w niepokój. Wiedzieli już, że po wizytach u sir Williama zwierzchnik bywa w nie najlepszym humorze. Zastanawiali się więc teraz, na kogo padnie, kto zaliczy dodatkowe obowiązki, na ogół niemiłe, jak sterczenie przy bramie czy prowadzenie podjazdu do jakiejś zakazanej wioski.

To nie było jeszcze najgorsze. Mógł się przecież trafić posterunek na trakcie, o całe mile odległy od najbliższej karczmy czy choćby wioski, przez który to przejeżdżał jeden zakichany kmieć na trzy dni, więc nie

było nawet komu dać w mordę dla rozrywki.

Wulf zatrzymał się nagle, zmierzył ich spojrzeniem. Wydawało się, że zagląda w twarz każdemu z osobna, i pod jego surowym wzrokiem srogie gęby wojaków przybierały skruszony wyraz, tak na wszelki wypadek. Wielki Arnold pociągnął nosem.

Ten bulgotliwy, donośny odgłos wyrwał Wulfa z zamyślenia. Nabrał powietrza w płuca i przemówił:

– Słuchajcie, jebańcy! Nasz szeryf, pan William z pierdolonego Salisbury, nie życzy sobie żadnych pierdolonych bluzgów!

W szeregu powiało grozą. Wojacy spoglądali po sobie niepewnie.

– Od tej, kurwa, pory, macie uważać! – ciągnął Wulf. – Jeśli usłyszę jedno pierdalone przekleństwo, macie przesrane!

Uśmiechnął się złośliwie, powiódł wzrokiem po skamieniałych ze zdumienia twarzach.

– A i to wam powiem – jego pierdolona wielebność opat naucza, że przeklinanie to grzech jak skurwysyn! W piekle zgorzejecie, a diabli jajca wam urwą... Zrozumiano?

Arnold z hałasem wysmarkał się na bruk. Wulf skinął z aprobatą głową. Tylko mały Sam wyrwał się, jak zwykle, nie w porę.

– Ja... – zająknął się, wytrzeszczając z niedowierzaniem oczy. – Jakże tak?

Wulf pokiwał z politowaniem głową.

– A ty, Wiewiórka, znów bez misiurki jesteś... Dwie niedziele przy bramie.

Odwrócił się i odszedł, nie zwracając już uwagi na małego zbrojnego, który z płaczkliwym grymasem na twarzy podrapał się po łysinie.

Szedł szybko wielkimi krokami przez pusty dziś plac targowy, wymijał opustoszałe kramy. Obok niego usiłował nadążyć Sam Wiewiórka, podbiegając co chwila na swoich krótkich, krzywych nogach. Łysina perliła mu się kroplami potu. Oczywiście misiurki nadal nie

włożył.

– Wulf, dajże spokój... – Sam usiłował zajrzeć w oczy dowódcy, co normalnie nie przyszloby mu łatwo, a tym bardziej w biegu. – Dwie niedziele...

Ten oganiał się niecierpliwym gestem ręki. Ani myślał odpuścić.

– Wulf... – Mały zbrojny chwycił go za rękaw. Zatrzymali się obaj.

– Posłuchaj – Sam dyszał ciężko, ledwie mówił. – Przecie ta k...

Zająknął się, chwilę popatrywał na boki rozbieganym wzrokiem.

– Ta kobieta...

– Ta kurwa chciała za dużo – przerwał mu Wulf niecierpliwie. – Jasne. Jednak wiesz, durniu, jaki on jest. Nie uważasz. A on potem mnie opierdala. Ciesz się, że się bardziej nie wkurwiłem.

Zadarta w górę rzadka bródka zadrgała. W kaprawych oczkach Wulf dostrzegł poczucie niezmiernej krzywdy. Nawet mu się zrobiło żal pokurcza, dobry był z niego towarzysz, niezły w walce, odważny. Tylko nieostrożny i głupi jak but.

– Wulf... – W głosie Wiewiórki drgała prośba. Ale i złość.

Dowódca straży odwrócił się bez słowa. Lepiej się naucz, pomyślał. Albo idź po rozum do głowy i spieprzaj stąd jak najdalej. Ech, gdzie tam u ciebie rozum...

Ruszył w kierunku bramy. Mały zbrojny podreptał za nim. Coś mamrotał, niewątpliwie zakazane bluzgi. Wulf uśmiechnął się pod nosem. Zaraz jednak skrzywił się, gdy Sam znów chwycił go za rękaw.

Zmierzył wzrokiem małą figurkę. Zatrzymał się na butach, na marszczących się, opinających pałkowate łydki cholewach, niesamowicie wręcz zabłoconych. Gestem dłoni powstrzymał Wiewiórkę, który właśnie zadzierał głowę i otwierał usta do dalszych, namolnych próśb.

– Wiewiórka! – zaczął ostro, lecz miał dość. – Masz, kurwa, słuchać. Jak ci się nie podoba, to spieprzaj, ale skoro już jesteś, pamiętaj, że ja tu rządę. Zrozumiano?

Mały zbrojny wyglądał, jakby zapomniał języka w gębie. Rządka bródka poruszyła się gwałtownie w dół i w górę, kiedy energicznie

potaknął.

– Ja, kurwa, rozkazuję. I buty, kurwa, mają błyszczyć jak psu jajca. Albo jak moje.

Sam chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie twarz Wulfa zmieniła się nagle. Dowódca patrzył na coś nad głową pokurcza.

– Wulf...

– Zamknij się! – rzucił ostro.

Z cienia bramy na plac wolno wytoczył się chłopski wóz, ciągnięty przez wychudzonego, żylastego wołu. Obok wozu szli ludzie. Coś nie pasowało w tym widoku, nie był to dzień targowy. A i kmiotkowie nie wyglądali jak zwykle.

Zakrzepła, czarna krew plamiła siermięgi, przesiąkała opatrunki ze szmat. Na wozie, pełnym uratowanego dobytku, przycupnęły dzieci, Wulf nie mógł się ich w pierwszej chwili doliczyć, czwórka czy piątka. Widział tylko stłoczone, jasnowłose główki.

Odsunął Wiewiórkę i ruszył ku wozowi.

Im bliżej podchodził, tym bardziej zwalniał kroku. Z podcienia bramy wyjeżdżał właśnie drugi wóz, kiedy woźnica pierwszego wstrzymał wołu. Ludzie obok wozu, wsparci o burty z surowych desek, rozglądali się niepewnie.

Wulf usłyszał, jak drepzczący obok niego Sam Wiewiórka mamrocze plugawe przekleństwa.

Zbrojni zaczęli dostrzegać szczegóły. Przesiąkniętą zakrzepłą krwią szmatę owiazaną wokół głowy woźnicy, starego kmiecia o surowej twarzy, na której zastygł wyraz śmiertelnego zmęczenia. Na umorusanych buziach drobiazgu dawno obeschłe łyzy zostawiły szerokie smugi. Kilka przerażonych kur rzucało się w klatce z byle jak powiązanych żerdeń, pierze wśród rozgłośnego gdakania fruwało w powietrzu.

Chłopak o zmartwiałej twarzy i pustym wzroku siedział na stercie bambetli. Zdrową ręką podtrzymywał kikut drugiej, odciętej tuż pod łokciem. Pod stosem derek na wozie ktoś zaniósł się starczym, suchotniczym kaszlem.

Wulf i Sam Wiewiórka wodzili wzrokiem od jednej twarzy do drugiej.

Nikt z wieśniaków nie odwracał spojrzenia, ale w ich oczach można było wyczytać tylko strach i rozpacz.

Mały zbrojny kłął monotonicznie pod nosem.

Gdy Wulf podszedł bliżej, uświadomił sobie obecność ciężkiego odoru, mieszającego się z zaduchem krwi i strachu. Woń spalenizny i pogorzeliśka.

– Co wy za ludzie? – spytał ostro.

Nietrudno było zgadnąć, co się stało. Spalił zbyt wiele wiosek, by mieć jeszcze jakieś wątpliwości. Jednak tym razem najazd nie był robotą zamkowych, co mu się bardzo nie podobało.

– Odpowiadaj! – krzyknął, do nikogo specjalnie, kiedy nie doczekał się odpowiedzi.

Kaleki chłopak skurczył się, zapadł w sobie.

Wulf popatrzył na kobiecinę z głową okutaną chustą. Wskazał ją palcem.

– Ty! – szczechnął krótko.

Kobieta drgnęła, zdawało się, że za chwilę wybuchnie piskliwym zawodzeniem. Ale zebrała się w sobie.

– My puszczająscy... Znaczą wolni osiedleńcy.

Z osad na porębach i karczowiskach, z nadań królewskich, domyślił się zbrojny. Ni to chłopci, ni kłusownicy, kłopot i utrapienie.

– A żeby ich zaraza sparała! – zawodziła baba niepytana, skoro już raz zaczęła. – Żeby mór na nich spadł, czarna śmierć!

– Cichaj, babo – wtrącił chłop na koźle. Zezował niepewnie na żołnierza, w obawie, czy znów w jakie nieszczęście nie popadną. – Spalili, znaczą w prawie byli. Kiej by nie byli, to by nie palili...

Wulf omal się nie roześmiał, tak słuszny był ten wywód. Jednak uciął, spojrzawszy ostro na chłopca:

– Zamknij dziób! A ty mów.

Babina też się spłoszyła, rzucała niepewne spojrzenia spod wzorzystej chusty. Wreszcie się przemogła.

– A żeby ich zaraza...

Wulf wzruszył ramionami. Zajękliwy skowyt nie wróżył, że dowie się czegoś istotnego. Podszedł do wozu.

Za chłopakiem bez ręki, tuż pod klatką z kurami kuliła się młoda dziewczyna. Kiedy zbliżył się do niej i ujął burtę wozu, zaniósła się chichotem. U piersi trzymała małe zawiniątko. Wulf popatrzył uważniej i odwrócił się bez słowa. Zrozumiał, że nic się od niej nie dowie, niemowlę było martwe.

Podszedł znów do kozła, ścigany chichotem obłąkanej, która uparcie starała się wetknąć mokry od pokarmu sutek w zimne, rozchylone usteczka.

– Złaź – zakomenderował krótko.

Chłop zeskoczył z wozu, zachwiał się i ledwie ustał. Wystające spod wystrzępionej siermięgi nagie kolano było czarne i opuchnięte.

– Gadaj, ino krótko – rzucił Wulf. – Kto i kiedy?

Stary kmieć przytrzymał się wozu.

– Ano... – zaczął. – My z wypalenisk, z za brodu. Poręby karczowalim, dwa roki już będzie. Dwa roki będzie, kiej nas królewscy osadzili...

– Krótko, mówiłem!

Kmieć skurczył się jak uderzony.

– Nie wiemy, panie. Nocą przyszli, kura czerwonego puścili. Kto z chaty wyskoczył, zaraz gardło dawał, bez różnicy, szczun mały czy starzyk. A kto nie wyszedł, to zgorzał, bo kołkami drzwi podpierali...

– A wy? – spytał zimno Wulf.

Kmieć nie zrozumiał. Rozglądał się bezradnie, zgięty pokornie. Na szmacie owijającej głowę wystąpiła plama świeżej czerwieni. Nieźle wziął w łeb, pojął Wulf, teraz rana się otworzyła. Poczował ukłucie litości, odegnał je zaraz.

– A wy dlaczego gardeł nie daliście ani nikt was nie spalił?

Błysk zrozumienia odbił się w mętnych od bólu oczach osadnika.

– Nasza chata z kraja. I darnią kryta, nie strzechą, to i gorzeć nie chciała. Jeno pobili, panie, pokalecyli. Chudobę wyrznęli...

Po ogorzałym policzku chłopca spłynęła mętna łza złości.

– Kto? – ponowił pytanie Wulf, gdy cisza przerywana tylko chichotem

obłąkanej przedłużała się ponad miarę.

– My tu, panie, o łaskę przyszlیم prosić. – Chłop zgiął się jeszcze bardziej, choć widać było, że za chwilę upadnie. – Panu do nóg się pokłonić, coby nas na folwarkach osadził. Bo z głodu sześniem, zima idzie, drobiazgu nie wykarmim. My dobre ludzie, panie, robotne...

Wyciągnął sękate, poznaczone odciskami dłonie.

– Kto? – powtórzył Wulf z naciskiem. – Odpowiadaj, bo jak zdiele...

Chłop spojrział spode łba. Rozpacz na twarzy zastąpił tępy upór. Zaciął się, zrozumiał Wulf, nic nie powie. A nie przestraszę go już bardziej.

– To Wilczyca, panie! – zawyła piskliwie kobiecina. – Bodaj z piekła nie wyjrzała, suka przeklęta!

– Zawrzyj gębę, głupia! – rzucił osadnik z rozpaczą. – Zawrzyj, bo nieszczęście sprowadzisz.

Zbrojny pchnął go otwartą dłonią, nawet lekko. Wystarczyło, by kmieć siadł na bruku.

– Gadaj, kobieto.

– Toć mówię, Wilczyca przeklęta i jej łotry z piekła rodem! – Jazgot kobiety odbił się echem od murów. Już się nie bała, złość wzięła górę nad strachem. – To ona, dziwka i jej kamraci. Ona ludzi różnęła! Żeby jej te zielone ślipia wykłuło!

Wulf drgnął. Chwycił chustę, jednym szarpnięciem zdarł babinie z głowy, wyrrywając przy okazji spory kłęb niechlujnych siwych włosów. Kobieta szarpnęła się, lecz zawodziła dalej:

– A żeby tej rudej kurwie macica w gardle stanęła! Żeby się mliko w cyckach zwarzyło! Żeby mogiła chujami porosła!

Wulf cisnął wzorzystą materię na bruk. To Marion, dotarło do niego wreszcie.

Nie myśląc, co robi, uderzył kobiecinę grzbietem otwartej dłoni w usta. Trzasnęło głośno, poczuł ból w rozciętych kostkach, kiedy pękały jej zęby. Poleciała do tyłu, między śmierdzące spalenizną i kurzym gównem tobołki. Chłopak bez ręki rzucił nienawistne spojrzenie. Zabiłbym cię, mówiło, gdybym tylko miał jak.

Wulf odwrócił się, ruszył przez pusty plac. Z tyłu, śmiesznie drobiąc, pospieszył Sam Wiewiórka. Za nimi babina mamrotała coś okrwawionymi wargami. Nikt nie wiedział, kogo klęła, ich czy Wilczycę.

– Wulf... – wysapał Sam.

– Zamknij się! I włóż wreszcie tę pierdoloną misiurkę.

- XII -

Głód ciężki był w Notyngham tych lat; z racyi ciężkiej y srogiej Zimy, że ludzie z liścia sobie pożywienie robili, trupów iedli, inni szli do Sherewod na pożarcie bestyom. Psi na ludzi porywali się y iedli. Miarę żyta za złoto przedawano, a liście z Drzewa z Korą mieszano, żywiąc się. Ludzie do lasów, a Bestye do wsiów y Miast szli, cadavera ieść ludzkie.

Żywot Bł. Piotra z Blyton, biskupa Lincoln

Uliczka wyglądała na wymarłą. Claymore nie rozglądał się jak z początku, kiedy tylko przekroczył miejską bramę. Pamiętał Nottingham jako ludne, gwarne miasto. Teraz wyglądało jak po długim, wyczerpującym oblężeniu, na dodatek zakończonym klęską.

Kamienie pod stopami nie były śliskie, nie pokrywały ich odpadki i końskie czy bydlęce łajno. Z bruku czystego jak nigdy dotąd wiatry dawno zmiotły popioły, deszcze spłukały resztki, które spłynęły rynsztokami do fosy, a potem do rzeki. Nikt już nie wylewał nieczystości, nie wyrzucał na ulicę odpadków.

Ze stłoczonych po obu stronach domostw pozostało niewiele. Zaledwie murowane sklepy, gdyż wszystko ponad nimi strawił ogień. Poczerniałe, niespalone do końca belki piętrzyły się tak, jak niegdyś zawaliły, sterty zwęglonego drewna zagradzały wąską uliczkę. Nikt nie zadał sobie trudu, by je wywieźć czy choćby odciągnąć na bok.

Bo i nikomu nie zależało. Ci, którzy w sklepionych kamiennych wnętrzach gromadzili dobra i towary, teraz w większości nie żyli. Nic nie pomogły wrota wzmacniane żelaznymi antabami ani kraty w wąskich okienkach. Składy i warsztaty nie oparły się plądrującej tłuszczy. Niedobitki kompanii Czarnego Barona poczynały sobie jak w zdobytym, wydany na łup mieście. I zanim jeszcze na placu targowym zakończyła się rzeź, rozgorzały łuny płonących domów i całych ulic.

Claymore szedł coraz wolniej. Stracił już nadzieję. Nie potrafił sobie przypomnieć, które ze zrujnowanych domostw było tym właściwym. Mijał kolejne, podobne do siebie, czarne i wypalone wnętrza, z których wciąż jeszcze unosił się ciężki zapach pogorzelska. A może tylko wyobraźnia płatała figle, w końcu minęło całe lato. Popioły dawno wystygły.

Rabusie niewiele skorzystali. Kiedy pożoga ogarnęła stłoczoną zabudowę, nie mieli czasu na grabież. Dobytek spłonął bez pożytku, choć nie bronili dostępu do niego zdesperowani właściciele. Ogień, który rozgorzał szybko, przenosił się z jednego dachu na drugi, lizał ściany z belek, z hukiem i trzaskiem trawił szopy i składy.

Uliczka skręcała. Była jedną z tych, których nie zaplanowano, wiła się tak, jak pozwalały miejskie mury, jak wynikało z chaotycznej zabudowy. Ze stłoczonych bud i warsztatów pozostały teraz tylko osmolone, niedopalone słupy ścian i porozwalane paleniska. Na ziemi wałało się zardzewiałe żelastwo, którego nikt nawet nie pozbierał, pogięte obręcze strawionych ogniem beczek, powykręcane w żarze pożaru narzędzia i blachy. Wśród popiołów, na wielkim, ocalałym jakimś cudem pniu sterczało ogromne czarne kowadło.

Niewiele pozostało z ulicy Płatnerskiej.

Dopiero kiedy Claymore minął ostatnią ruinę, z której przetrwała zaledwie murowana krypta strasząca ciemnymi, zakratowanymi oknami, dostrzegł pierwsze oznaki życia. Najpierw zaleciał go zapach dymu, nie ciężki swąd pogorzelska, ale zwykłego dymu, zmieszanego z wonią gotującej się strawy. Choć duszący, był jednak inny, oznajmiał życie, nie śmierć i spustoszenie. Kiedy skończył się bruk i uliczka stała się na powrót błotnistą drogą, Ramirez wszedł między lepianki biedoty, stłoczone pod samymi murami. Sklecone byle jak, niskie i przysadziste.

Oszczędził je pożar. Może z nadmiaru mchów na dachach nie chciały zająć się ogniem, ale raczej oszczędzili je rabusie. Woleli grabić bogatych kupców i mistrzów cechowych niż partaczy gniezdzących się w byle jak sklepionych szopach, razem z gromadą brudnych dzieciaków.

Claymore nawet się nie zezłościł, kiedy wdepnął w całkiem świeżą, parującą jeszcze kupę na środku błotnistej uliczki. Otarł tylko zapaskudzony obcas o kamień. Mimo wszystko wolał choćby takie oznaki życia niż martwość pogorzelska. Umorusany smarkacz w przykrótkiej

koszuli, niewątpliwy sprawca nieszczęścia, przyglądał mu się z bezpiecznej odległości. Dwóch następnych pokazywało Ramireza palcami, chichocząc pod nosem.

Z najbliższej szopy dobiegało dźwięczne postukiwanie młota. Ktoś ocalał z pogromu i teraz mozolnie usiłował wydźwignąć się z upadku, zepchnięty przez los do lepierek pod murem. A może to jeden z tych, którzy ściągnęli tu teraz jak ptaki do padliny, w nadziei na lepszy los, by zastąpić innych, którym się nie powiodło i których zwięglone kości pozostały w ruinach składów i warsztatów, lub wrzucono ich do naprędce wykopanej, zbiorowej mogiły w obawie przed zarazą. Nie pierwszy i nie ostatni raz w dziejach miasta.

Znajomy rytm dochodził bez przeszkód przez cienkie deski szopy. Najpierw delikatne, dźwięczne uderzenie lekkim młotkiem, kiedy mistrz kowalski trafiał w rozpalony kęs, by wskazać miejsce pomocnikowi. Potem potężniejsze, ciężkim narzędziem, które miało uformować bryłę żelaza, nadać jej właściwy kształt, do czego nie potrzeba wprawy, tylko siły.

Ramirez uśmiechnął się mimo woli. Ten rytm przypominał dawne miasto, tętniące życiem, gwarne i bogate. Uświadomił sobie nagle, jak przytłaczająca była martwota ruin, przez które niedawno przeszedł. I nie widok zgliszcz, nie odór pogorzeliśka, prawdziwy czy wyimaginowany, był najgorszy, ale właśnie cisza, wypełniona jedynie poświstem wiatru w szczelinach zwalonych belek i stukotem obcasów na bruku.

Potrząsnął głową. Przez chwilę wydawało mu się, że już coś takiego widział, puste, wyludnione i zrujnowane miasto. Wymarłą ulicę, oświetloną jaskrawoczerwonym światłem, jakby zachodzące słońce rzucało na nią krwawe refleksy. Prawie słyszał rytm kroków, powolny i ostrożny. I poczuł coś jeszcze.

Zimny dreszcz przebiegł mu po krzyżu. Pociemniało w oczach i jakaś część świadomości spostrzegła jeszcze, że kształty szop i warsztatów, i tak zbitych naprędce i krzywych, rozmazują się, tracą kontury, rozplywają.

Pustka. Martwa cisza i strach.

– Panie? Wielmożny panie?

Smarkacz w przykrótkiej koszuli okazał się odważniejszy, niż na to

wyglądał. Wyciągnął nawet palec, i, co niebывałe, szturchnął go w bok.

Claymore poczuł najpierw chłód na pokrytym drobnymi kropelkami potu czole. Dłonie nieprzyjemnie obsunęły się po czymś śliskim i wilgotnym. Pojął, że stoi przy omszałym pału wbitym w ziemię, pozostałości ogrodzenia czy konstrukcji jakiegoś zrujnowanego warsztatu. Opiera głowę o pokryte lepka pleśnią i grzybem drewno.

Z trudem ustał, kiedy oderwał od pala uwalane dłonie. Co się ze mną dzieje, pomyślał mętnie. I poczuł ukłucie strachu, już nie irracjonalnego, ale całkiem realnego. Bał się. Po raz pierwszy zrozumiał, że przestaje kontrolować to, co się z nim dzieje.

– Panie?

Z wysiłkiem skupił wzrok na postaci niedorostka. Chłopak był starszy, niż mogło się w pierwszej chwili wydawać, ale drobny i wychudzony. Odsunął się teraz, widać pojął nagle, jak bardzo się ośmielił. Wyglądało, że waha się, czy uciekać od razu, a może po prostu lęk spętał mu nogi. Ale kiedy wreszcie Claymore mógł myśleć sensowniej i dostrzegać szczegóły, zobaczył w jego oczach szaloną nadzieję na zarobek, i to właśnie powstrzymywało go przed ucieczką. Umorusany smarkacz wyglądał jak bezdomny psiak, który spostrzegł kość, ale wciąż nie wie, czy nie dostanie kopniaka w sterzące na bokach żebra.

Szum w głowie przechodził, do Ramireza znów począł docierać dźwiękliwy rytm młotów. W nosie zakręcił swąd dymu, tym razem nie przesycony ciężkim zapachem strawy, raczej była to ostra woń węgla drzewnego z kowalskiego paleniska. Claymore wyciągnął rękę, chciał wesprzeć się na ramieniu smarkacza. Ze złością spostrzegł, że umazana zielonym mchem i pleśnią dłoń drży.

Nedorostek zrobił ruch, jakby chciał się uchylić, w jego oczach, głodnych dotąd i rozpalonych nadzieją, błysnęło przerażenie. Ale nie odskoczył, stęknął tylko, kiedy Ramirez całym ciężarem oparł się na jego barku.

– Nic to – mruknął Claymore, choć smarkacz nie zadawał żadnych pytań, strzelał tylko dookoła wystraszonym spojrzeniem. – Zdrożony jestem, zmęczony...

Bez sensu, pomyślał, tłumaczyć się dzieciakowi. I tak nie zrozumie. A ja zrozumie? – przyszła refleksja. I aż się skrzywił.

Bo rozumiał.

Pojął w jednym błysku, że przecucie jest prawdziwe. Wspomnieniem z przyszłości, która nieuchronnie nadejdzie, choćby nie wiem jak się starał temu zapobiec. Kiedyś znów będzie szedł po bruku wymarłego miasta, w pustce, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał. Nie wiedział jedynie na spotkanie czego będzie musiał wyjść. Coś mówiło mu, że lepiej się nad tym nie zastanawiać. Ale zrozumiał też, że owa świadomość nie zniknie i będzie musiał z nią żyć. Dopóki nie nadejdzie właściwa chwila.

Nedorostek nie drżał już, ale wręcz trząsał się cały. Dostrzegł we wzroku Ramireza coś, co napełniło go śmiertelnym lękiem. Teraz nie bał się, że pozwolił sobie na zbyt dużą śmiałość wobec szlachcica, który niechybnie da mu zaraz po uszach. Chyba nawet wolałby kopniaka w chudy, sterczący spod koszuliny tyłek.

Słabość mijała. Claymore przestał wspierać się całym ciężarem, ale nie zdjął dłoni z ramienia chłopca. Chwycił w garść zgrzebną, podartą koszulę, żeby smarkacz czasem nie zdobył się na odwagę i nie uciekł. Był potrzebny.

Ramirez otarł z czoła drobne kropelki potu. Zimny powiew chłodził mu skronie, przywracał do rzeczywistości. Za chwilę wszystko będzie jak dawniej, minie przeklęta słabość, odejdzie strach, uczipiony zimnymi palcami gdzieś u nasady kręgosłupa. Strach, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznał.

Nie będzie jak przedtem. Z tego Claymore zdawał sobie sprawę. Rozumiał teraz, iż rację mieli wszyscy, którzy powtarzali, że zobowiązania nie są zwykłym kontraktem, który trzeba wypełnić w imię zasad. Wspomniał dziwnego człeka, historie zasłyszane z trzeciej ręki, strzępy zaledwie. O tym, jak ów człowiek wieszczył przyszłość, co o dziwo się sprawdzało. W wizjach dostrzegał coś, co się wydarzy i co jest nieuchronne. Kiedyś Claymore składał te opowieści na karb zwykłych plotek, ludzkiej skłonności do upiększania rzeczywistości, nadawania jej magicznych cech. Teraz patrzył na nie inaczej.

Odepchnął z trudem te myśli, postanowił je pogrzebać głęboko. Nie potrafił tak działać, nie uznawał przepowiedni i przeczuć. Świat był twardy, konkretny i spoisty, takim powinien pozostać. Ale wiedział też, że nie jest, bo właśnie coś dotknęło go zimną łapą, uświadamiając, że wplątał się w wydarzenia, w których istnienie nie wierzył.

Musiał poradzić sobie z tym do dnia, w którym przyjdzie mu kroczyć po bruku wymarłego miasta. A także z czymś innym, bliższym i nawet bardziej dolegliwym. Bo trzeba znaleźć miejsce na coś, czego do tej pory nie poznał. I w co do końca nie wierzył.

Na uczucie.

Zaklął na głos, ścisnął w garści brudną koszulę chłopaka, który zabełkotał coś z przerażeniem, widząc jego ściągniętą twarz. Claymore popatrzył na smarkacza. Pora ochłonać, pomyślał. Jeszcze tylko brakuje, żebym do cna zgłupiał. Na rozterki będzie czas. Być może.

Rozejrzał się. Zauważył z niejakim zdziwieniem, że wszystko jest jak dawniej. Krzywe szopy i warsztaty dokoła, unoszące się z dymników siwe smugi, błotnista uliczka. Nawet rozdeptana kupa pozostała tam, gdzie była. Reszta była tworem imaginacji. Albo wizją.

Wciąż bardzo chciał nie wierzyć w wizje.

Dźwięczne uderzenia młotów straciły rytm i zwolniły. Jeszcze jedno, dwa szczęknięcia, zapewne mistrz sprawdza, jak poszła praca, zanim ujmie szczypcami kęs żelaza, który zdążył zmienić się w podkowę, może w ostrze albo głowicę siekierki, i zanurzy je w korycie z wodą. Znów powiał wiatr, przyniósł ze sobą woń spalenizny i gotowanej, praśnej strawy.

Claymore puścił niedorostka, który zatoczył się i o mało nie siadł gołym tyłkiem w grząskie błocko. Chłopiec stracił nadzieję na zarobek, nie oczekiwał, że wielmożny pan, którego taka nagła słabość naszła, sięgnie do sakiewki i rzuci miedziaka, w nagrodę za wskazanie drogi lub choćby z pańskiego kaprysu. Dobrze, jeśli nie skończy się na kuksańcach.

Na widok ulgi walczącej w oczach chłopaka z zawodem Ramirez uśmiechnął się mimo woli. Pogrzebał w przewieszanej przez ramię sakwie, pośród okruchów i śmieci na jej dnie wymacał monetę. Był przezorny, wolał nie włączyć się po spustoszone, wygłodniałym mieście z mieszkaniem u pasa. Zbyt łatwo dostać po łbie, zanim człowiek zdąży się obejrzeć.

Podał chłopcu monetę, nie patrząc nawet, czy w szarym świetle pochmurnego dnia błysnie srebrem czy poczerniałą miedzią. Jego dłoń zawisła w powietrzu, smarkacz wybałuszył oczy. Nie śmiał wyciągnąć ręki, czekał, aż wielmożny pan pogardliwie ciśnie monetę w błoto.

– Bierz! – warknął Ramirez niecierpliwie. – I spierdalaj.

Chłopiec przez dłuższą chwilę nie wiedział, co zrobić. W końcu zdecydował się, szybkim, drapieżnym ruchem chwycił srebrnego, błyszczącego pensa, leżącego na otwartej dłoni. Po czym zastosował się do polecenia, tak szybko, że aż błoto pryskało spod jego bosych nóg.

– Bo się rozmyślę... – dodał poniewczasie Claymore, kiedy po smarkaczu zostało nie więcej niż głębokie, wyciśnięte w mazistej ziemi ślady i rozdeptana kupa na środku drogi. Po czym roześmiał się głośno.

Śmiał się jeszcze, kiedy skrzypnęły krzywe, byle jak zbite z desek wrzeczadze kuźni. Człowiek w skórzanym fartuchu wychynął z ciemnego, rozświetlonego jedynie żarem paleniska wnętrza, ocierał spocone czoło. Niewątpliwie wywabił go śmiech, głośny i nerwowy, spóźniona reakcja Claymore'a na niedawne przeżycia.

Siwe wąsy kowala drgnęły, a wargi rozciągnęły się w uśmiechu, choć oczy pozostały czujne. Ramirez urwał, po twarzy przebiegł mu skurcz złości, kiedy za kowalem pojawił się jego pomocnik, wielki, barczysty, świecący nagim, spoconym torsem. Ten śmiał się całkiem otwarcie, jego gęba pokryta sadzą i nieskażona pomyslnkiem wykrzywiała się głupkowato.

Claymore zaklął, gdy poczuł, jak zalewa go złość. Ruszył w stronę kuźni. Kiedy pomocnik dostrzegł wyraz jego twarzy, zbystrzał nagle, zacisnął pięści na trzonku wielkiego młota. Pod skórą ramion, na której w sadzy strużki potu żłobiły jaśniejsze smużki, nabrzmiały potężne mięśnie.

Starszy kowal przestał się uśmiechać. Skłonił się tylko i uczynił krótki, uspokajający gest.

– Umazaliście się, panie – powiedział spokojnie. – Na czole.

Claymore uniósł dłoń, by przetrzeć twarz, i zastygł na jej widok, umazanej szlamem i pleśnią z przegniłego pala. Zrozumiał, jak musi wyglądać.

– Bywa – burknął z niechęcią.

Sięgnął do rąbka płaszcza, starając się jak najmniej pobrudzić grubą, wełnianą materię. Wytarł starannie czoło.

– Już dobrze – kiwnął głową stary człowiek.

Chwilę spoglądali na siebie. Kowal był chudy, żylasty i posunięty w latach. Jego oczy spoglądały spod krzaczastych brwi, głęboko zapadnięte, co podkreślały jeszcze sadze z paleniska, wżarte głęboko w skórę. W tych oczach Claymore dostrzegł głód i rozpacz, jak u innych w podupadłym mieście.

– Odejdziecie dziś z niczym, panie, jeśli przyszlście po ostrza – powiedział po dłuższym milczeniu. – Mogę służyć podkową, rydlem. Widłami, jeśli potrzebujecie...

Spuścił wzrok na chwilę, jego twarz spochmurniała. Ale zaraz popatrzył prosto wprost na Ramireza, z jakimś dziwnym wyzwaniem w oczach.

– Nie poznaliście mnie – stwierdził sucho. – Nie dziwota, sam bym się nie poznał. Jestem Jonathan...

Claymore poderwał głowę jak dźgnięty żelźcem. Co się ze mną dzieje, przebiegła myśl. Teraz dopiero przypomniał sobie starszego człowieka, mistrza płatnerskiego, zażywnego i jowialnego. Był u niego raz czy dwa razy, powinien zapamiętać, poznać przeciw.

– Mistrz Jonathan ze Swanyngton...

Z pamięci wypłynęła sklepiona izba, długi stół zarzucony półfabrykatami. Brzęk potrącanych o siebie ostrzy, kiedy na słuch badał ich jakość. Stukot młotów, zgrzyt koła szliferskiego.

Teraz widział przed sobą starego, przygarbionego człowieka, którego oblicze zapadło się, pokryły je głębokie bruzdy.

– Nie dziwota – mruknął mistrz płatnerski, teraz zwykły kowal z lepianki pod murem. – Poznać trudno.

– Wybaczcie... – Claymore popatrzył pod stopy, na błotnistą, rozdeptaną ziemię.

– A i nie ma co wybaczać, panie. Bywa.

Jeszcze coś nie pozwalało Ramirezowi spojrzeć w twarz Jonathana. Wspomnienie siwej kobiety o dobrej twarzy i młodej dziewczyny. Córki zapewne, ubranej dostatnio, jak na dziecko mistrza cechowego przystało. Kurwa, przecież nie spytam, błysnęła myśl.

– Nie pytacie, panie – powiedział płatnerz cicho, zduszonym głosem. – I dobrze, bo i nie ma o co. Było, minęło. A żyć trza. Nawet jeśli się nie

chce.

– Wybaczcie – powtórzył Claymore bezradnie i bez sensu.

– A i nie ma co. Jeśli wam podkowa potrzebna albo inne żelastwo, zapraszam. Jeśli nie, to wy mi wybaczcie.

Skłonił się, pochylając lekko głowę.

– Mistrzu Jonathanie... – zaczął Claymore.

– Wystarczy Jonathanie. – Stary człowiek uśmiechnął się gorzko. – Jaki tam ze mnie mistrz, kowal prosty. Ta szopa mi jeno została, i ten tu, pomocnik...

Wskazał na olbrzyma, który wciąż ścisnął swój młot. Wyprężył się teraz dumnie, kiedy pojął, że o nim mowa.

– Dobry jest, silny, jeno głupi. Ot, onegdaj kowadło roztrzaskał, siły miarkować nie potrafi. Dobrze, że tu kowadeł jak nasrał, mało który z naszych przeżył, a partacze nie zdążyli rozdrapać. Głupi, powiadam, a po prawdzie całkiem nie tego...

– He, he – zarechotał pomocnik, jakby usłyszał właśnie największą pochwałę. Usmolona gęba rozjaśniła się z radości.

– Zawsze był głupi – ciągnął Jonathan – a odkąd belką w pożarze po łbie wziął, jeszcze mu się pogorszyło. Szczęście, panie, że jeno podkowy kujemy, widły prostujemy i inne proste roboty czynimy. Bo on tylko napierdalać potrafi, im mocniej, tym bardziej się cieszy.

– He, he – potwierdził olbrzym skwapliwie.

Claymore przyjrzał mu się uważniej. Co wcześniej brał za pot na policzku, było zabliznioną oparzeliną, cienką, ściągniętą i błyszczącą skórą. Odwrócił wzrok.

– Ja nie po podkowie, mistrzu – powiedział. – Spytać chciałem.

Umilkł, gdy zrozumiał, jak źle zabrzmiały jego słowa. Wiedział przecież, jak bardzo temu człowiekowi był potrzebny zarobek. I wiedział też, że nie poprosi on o jałmużnę, nie pozwoli mu na to duma. Jedyne, co jeszcze pozostało.

– Pytajcie tedy, panie. Bo nam czas do pracy wracać.

Dobrze, postanowił Claymore. Im szybciej, tym lepiej.

– Angus, syn Eryka – powiedział sucho. – Płatnerz, pamiętacie go

chyba? Jest tutaj? Przeżył?

Oczy kowala zwięziły się. Na twarzy przygłupiego pomocnika pojawił się grymas, tym ohydniejszy, że tylko jeden policzek ściągnął się, drugi pozostał jak błyszcząca, nieruchoma maska. Wargę odsłoniła zęby.

– Ano, pożogę przeżył – odparł powoli Jonathan. – I jest tu, niedaleko całkiem.

Claymore nie powstrzymał westchnienia ulgi. Wciąż obawiał się, że i teraz się spóźni.

Wciąż ktoś był krok przed nim. Wielu informatorów, zaufanych wśród straży, kupców i rzemieślników, nawet wśród pomniejszej szlachty, nie przeżyło rzezi. Inni uciekli, zapakowali dobytek – jeśli takowy pozostał – na wozy i opuścili przekłete miasto. Gorzej było z pozostałymi, i tak już nielicznymi.

Claymore miał wrażenie, że ktoś wciąż go wyprzedza. Dziwne przypadłości prześladowały ludzi, którzy mieli nieszczęście niegdyś się z nim zadawać. Pech sprawił, że jeden utopił się po pijanemu w fosie, drugiego dopadli rabusie, kiedy z karczmy wracał, bez sensu, bo wszak z karczmy wracał bez gotowizny. A trupa nawet nie obdarli, poprzestawszy na skróceniu karku. Ktoś inny obwiesił się na lejcach, co było może i ze wszech miar uzasadnione ogólnymi okolicznościami, ale też dziwnie pasowało do całej serii.

Najzwyklejszy pech. Bo i czegoż można spodziewać się w mieście dotkniętym rzezią, wśród głodnych i zdesperowanych ludzi, z których wielu było gotowych zabić sąsiada dla paru miedziaków? Ale Claymore Ramirez nie wierzył w zbiegi okoliczności. Wierzył natomiast w spiski, w celową eliminację tych, którym mógł zaufać. To było niepokojące. Oznaczało, że ów tajemniczy ktoś wie znacznie więcej, niż powinien.

Ale wyglądało, że wreszcie zdążył.

– Poprowadzicie do niego? – spytał, starając się nie okazywać zbytnej ulgi. – Wynagrodzę, że od roboty odrywam, pilnej zapewne. Ale spieszy mi się, nie chciałbym, żeby gdzieś poszedł, sprawa nie może czekać.

Jonathan uśmiechnął się drwiąco, długo spoglądał zmrużonymi oczyma w twarz Ramireza, aż ten zaczął się wreszcie domyślać i z trudem powstrzymał się od przekleństwa.

– Ano, sami traficie, panie – powiedział wreszcie kowal, czemu wtórował cichy chichot pomocnika. – Niedaleko.

Wskazał chudą, brudną dłońią gdzieś w stronę murów, za gąszcz szop i lepianek.

– A i nie odejdzie nigdzie – zapewnił, a w jego głosie zabrzmiały nutki zduszonego śmiechu. – Poczekaj na was, bądźcie spokojni. Na was, i do dnia sądnego.

Ramirez zaklął paskudnie. Angus Erikson był ostatni. Tylko stracił czas.

– Smętarz łącno znajdziecie, nowy, bo na starym miejsca nie starczyło, żeby wszystkich grześć. A i chudopachołków opat nie pozwalał, szlachty tyle wyginęło, że i dla niej miejsca prawie nie stało. Trza było stare truchła z dołów wyrzucać, kości do krypty znosić, żeby nowym miejsce uczynić...

Stary mówił coś dalej, ale Claymore już nie słuchał. Nie ma co głowy sobie zawracać, myślał z rezygnacją. W ten sposób nic nie zwojuje. Trzeba inaczej.

Ktoś wiedział, jaką rolę odegrał. Nie obawiał się jeszcze, że został rozpoznany, zbyt krótko był w mieście. Wykańczanie wszystkich, w których mógłby mieć oparcie, gdyby się kiedyś odnalazł, wyglądało raczej na robotę ot tak, na wszelki wypadek.

Zniechęcenie i obawy zastępowała już zimna wściekłość. Nie docenił przeciwnika, jego przezorności i zdolności chłodnej kalkulacji. Ale z tym mógł sobie poradzić. Zwyczajna walka, zamiast wizji i przeczuć. Nie żadne pieprzone przeznaczenie.

I nie uczucie, przemknęła myśl.

Ktoś zdradził, pomyślał chłodno. Nieważne, i tak pewnie już po nim, zdrajca nie mógł przecież pozostać przy życiu. Zapewne był pierwszym, który zginął.

Claymore znów był spokojny. Wiedział, co ma robić, a przynajmniej wydawało mu się, że wie. Powinien teraz odwrócić się po prostu i odejść, tak byłoby najlepiej. Nie zawracać sobie dalej głowy zapowietrzonym miastem, na poły zniszczonym rabunkiem i pożogą. Trzeba szukać tam, pomyślał, gdzie się wszystko zaczęło. Odnaleźć kogoś, o kogo toczy się

gra.

Zmełł pod nosem przekleństwo. Powiniennem pomyśleć wcześniej, uświadomił sobie. W ten sposób mam szansę.

Najpierw zamierzał odejść, nie zaszczycając mistrza Jonathana ani jednym spojrzeniem. Ale się nie poważył.

– Powiedzcie, Jonathanie – jego własny głos go zaskoczył, jakby te słowa wypowiadał ktoś zupełnie inny – co się jeszcze stało w mieście? Słyszałeś może, by zajechali tu ostatnio kuglarze? A może...

Co ty, kurwa, robisz? – krzyknęło coś w jego głowie. Zostawiasz tylko ślad, durniu.

– Może dziewczyna? – dokończył wbrew sobie, zanim ugryzł się w język. I zmartwiał, widząc, jak twarz starego mistrza pochmurnieje, jak przygłupi pomocnik odwraca wzrok. Zerwał się, chwycił starego za ramię.

– Mów! – sapnął tylko.

Jonathan wyswobodził się powoli. Spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie, dziewczyna nie... – odrzekł powoli, patrząc, jak nagła ulga spływa na twarz Claymore'a. – Kuglarze, i owszem...

Ramirez odstąpił o krok.

– Mów – powtórzył spokojniej.

Płatnerz zerknął na pomocnika, jakby oczekując od niego rady. Ten kiwnął tylko głową, mocniej ujął młot. Węzły mięśni znów nabrzmiały, a poparzona twarz zmieniła się w beznamiętną maskę. Przestał uśmiechać się głupkowato, oczy spoglądały czujnie i bystro.

– Posłuchajcie, panie, dobrej rady. – Płatnerz zmierzył Claymore'a przeciągłym spojrzeniem. – Nie pytajcie za wiele, nie nas. My nie wiemy. W mieście źle się dzieje, przekleństwo na nie spadło. Nas dosięgło, choć nic nie zawiniliśmy, żyliśmy cicho i spokojnie. Pytajcie zatem gdzie indziej, o kuglarzy także. A nie zdziwcie się za bardzo, kiedy się okaże, że nie to chcieliście usłyszeć...

Dwie niedziele po moim pogrzebie, przemknęło wspomnienie. Życzenia się spełniają, zrozumiał Claymore. Właśnie zaczynają się spełniać.

- Idźcie do miasta, tu, na podgrodziu nic po was. Tu jeno gnój i ubóstwo, i śmierć czasem. Dziwna i niepojęta...

Płatnerz przeżegnał się powoli.

- Bo czyż zwykłą jest rzeczą - ciągnął dalej - żeby tak człeka z poczerniałą gębą, zatchniętego znaleźć, jako nie przymierzając Angusa, syna Eryka? Ano zwykła, jak powiadają, toć i od zarazy pysk czernieje, zanim śmierć nadejdzie. Ale żeby człek własnymi rękami za gardło się uchwycił i zadławił? Coś takiego się właśnie Angusowi przytrafiło.

Wszystko zaczynało się składać.

- Albo żeby człek jęzor sobie odkąsił, tak by cała jucha z niego zeszała? A tak przecie skończył ów rajca, imienia jego nie pomnę, nie warto zresztą, bo złodziej z niego był i skurwysyn, jakich mało. I można by powiedzieć, że kara na niego przyszła sprawiedliwa. Jeno nie mówcie, panie, żeście o tym nie wiedzieli, inaczej nie przychodzilibyście tutaj, nie pytali o Angusa.

Jonathan poruszył ustami, jakby coś przeżuwał. Odkaslnął i splunął gęstą, czarną flegmą, pełną drobin węgla i popiołu.

- Przekłęte miasto - stwierdził po chwili, kiedy już skończył pocharkiwać. - A nam żyć w nim przyszło, bo i dokąd mamy pójść? I po co? Ale powiem wam coś, panie...

Podszedł do Claymore'a, o mało nie oparł się o jego pierś. Pomocnik postąpił krok za nim, wciąż ściskając w gotowości swój wielki młot o rdzawej głowicy.

- Nam nie można nic zabrać - wydyszał mu prosto w twarz. - Już nic. Lecz wam, panie, jeszcze można, jak mniemam.

Roześmiał się urągliwie, spoglądając drwiąco Claymore'owi w oczy. Ten wytrzymał jego spojrzenie. Stary się nie mylił. Teraz miał co stracić.

- Twardzi jesteście - stwierdził stary. - Ano, pytajcie zatem dalej, ale nie tutaj. My nic nie wiemy.

Zrobił ruch, jakby chciał odwrócić się i odejść. Claymore powstrzymał go. Pozostało jeszcze jedno do zrobienia.

Mistrz Jonathan, niegdyś wzięty i ceniony płatnerz, teraz pośledni kowal, odstąpił o krok, patrzył beznamiętnie, jak Claymore grzebie w sakwie. Jak wyciąga mieszek i rozsypuje rzemyki. Poczekał, aż skończy. I

zanim zadźwięczały wysypywane na dłoń monety, pokręcił głową.

– Posłuchajcie, panie, choć to może i nieuprzejme – powiedział głosem nagle starczym i łamiącym się. – Wsadźcie sobie w rzyć wasze grosiwo. Chcecie podkowę, to zapłaćcie. Ale jałmużny nie potrzebujemy.

Z tyłu zawtórował mu głuchy charkot pomyleńca. Claymore dostrzegł, jak w małych oczkach skrytych w poparzonej twarzy błyskają niebezpieczne ogniki. Zamarł bez ruchu i tylko słuchał.

– Wszystko przez was, panie. Poznałem was przecie, wiem, kim jesteście. I powinienem wam młotem łeb rozwalić, zanimeście jeszcze gębę otworzyli. Przez wasze pańskie zabawy nasze nieszczęście. Przez tę wiedźmę, coście ją od stryczka odcięli, zamiast pozwolić na owym stryczku zatańczyć. Przez odmieńców wszelakich, Bogu przeciwnych. Przez dziewczkę z piekła rodem, oby jej...

Claymore poczuł, jak czerwień wściekłości przesłania mu oczy. Nie pamiętał już o rdzawym młocie, nie baczył na charkot, który narastał jak w wilczym gardle. Chwycił starego za skórzany fartuch, sięgający do piersi, chciał potrząsnąć, by zamilkł wreszcie, nim powie za dużo.

Nie mógł. Szponiasta, czarna od wżartego węgla i poznaczona odciskami dłoń starego zacisnęła się na jego nadgarstku. Choć drobny i wychudzony, mistrz Jonathan wciąż miał ogromną siłę, wzmaganą teraz przez rozpacz bijącą z jego słów.

Chwilę mocowali się bez słowa, tylko ich oddechy stały się szybsze i chrapliwe. Wreszcie palce Claymore'a rozwarły się, wysunęła się z nich sztywna skóra fartucha. Nie wiedział do końca, czy sam puścił, czy odepchnął go ten stary, drobny, złamany przez zły los człowiek.

– Tu was boli, panie – usłyszał jeszcze. – Nie bójcie się, nie przeklnę, uroku złego nie rzucę. Nic to nie zmieni, więc po co? Prosty ja człek, nie potrafię nawet.

Warkot pomyleńca z młotem przeszedł w skrzek, potem w cichy, złośliwy chichot. W słowach wyrzucanych teraz z trudem przez płatnerza była gorycz.

I coś, od czego Claymore poczuł, jak na twarz wypełza mu rumieniec wstydu.

Pogarda.

– Nie potrafię, choćbym chciał. To wy sobie rzucajcie klątwy i uroki, od których ludziom czernieją gęby. A teraz wynoście się, panie. Bo ja wciąż pamiętam, kto wiedźmę ratował, złe moce i złych ludzi na gród sprowadził. I choć nie przeklnę, ale zawszeć mogę młotem łeb rozwalić. Nie zależy mi, wierzcie mi, panie.

Claymore uwierzył.

Huknęło głośno.

Ramirez zatrzymał się przed wejściem do niskiego budynku, przypominającego bardziej stajnię niż uczciwy zajazd. Łomot zabrzmiał znajomo, więc odsunął się nieco na bok, by nie stać naprzeciw zamkniętych, solidnych wierzei, wzmocnionych żelaznymi sztabami.

Jego przezorność została wkrótce nagrodzona. Znów coś łupnęło, dźwięk przypominał osobliwie uderzenie pustego kamiennego garnka o grube deski. Wrota rozwarły się gwałtownie, skrzypiąc potępieńczo nienasmarowanymi zawiasami, skrzydła uderzyły z impetem o ościeżnicę. Z ciemnego wnętrza wyleciał wysokim łukiem jakiś człek, śmiesznie przebierając rękoma i nogami. Claymore skrzywił się tylko, pomyślawszy nagle, że lepiej byłoby, gdyby rajcy pozostawili tę uliczkę niewybrukowaną. O wiele bezpieczniej ląduje się w miękkim błocie niż na ciosanych, wapiennych blokach.

Trzask i głucho stęknienie, które zaraz po nim nastąpiło, potwierdziły jego obawy. Wyrzucony z karczmy człowiek wierzgnął raz i drugi, po czym legł nieruchomo, opierając na bruku zdarty do żywego mięsa policzek. Krew z rozbitej głowy spływała powoli, zlepiła spotniałe włosy, plamiła czerwienią jasne kamienie. Nie było to dziwne, zważywszy iż ktoś użył nieszczęsnego klienta do otwarcia ciężkich, okutych drzwi.

Claymore przekroczył nieruchome ciało i skierował się prosto do wejścia. Nie miał obaw, ostatecznie nie przyszedł tu przecież, by wywołać awanturę.

Wewnątrz, w wielkiej, jedynej zresztą izbie, było mroczno, duszno i

gorąco. Nie pomagały okienka, choć pozbawione błon, ale maleńkie. Wpuszczały niewiele światła i świeżego powietrza. Wielkie palenisko na środku buchało żarem, ogień płonął wprost na polepie, obramowany jedynie wielkimi kamieniami. W kociołku coś bulgotało, para unosiła się wielkimi kłębami, rozświetlanymi różowo przez tłące się węgle. Śmierdziało przypaloną polewką, skwaśniałym winem i czymś jeszcze. Niewątpliwie kocurem.

Claymore uśmiechnął się. Gdy tylko wzrok przywykł mu do ciemności panującej w izbie, powiódł spojrzeniem pod dachem, gdzie w mroku kryły się potężne belki więźby dachowej. I wkrótce wypatrzył zielonkawy błysk, odbicie światła w ślepiach sprawcy części panującego w karczmie aromatu. Tłusty kocur leżał na belce i spod ledwo uchylonych powiek beznamiętnie śledził ruch i gwar ma dole.

Mimo wielkiego paleniska i kopcących łuczyw kąty izby tonęły w ciemnościach. To lepiej, pomyślał Claymore, kierując się w stronę długiego stołu i ław, pustawych jeszcze o tak wczesnej porze. Przynajmniej nie widać legowisk ze słomy, zarzuconych derkami i skórami, ulokowanych pod niskimi ścianami z bali. W większości zresztą zajętych, o czym świadczyły pochrapywania, dochodzące z mroku.

Nie było w tym nic dziwnego. Stara karczma z zapadniętym dachem była jedną z nielicznych, które ocalały w mieście. Inne spłonęły, nikt nie lubi tych, którzy każą sobie płacić za piwo. Łupienie miasta jest w końcu zajęciem wyczerpującym i pobudza pragnienie.

Pierwsze zgorzały te lepsze, wabiące dostatkiem, w których prócz darmowego wyszynku tłuszcza mogła się spodziewać i innego łupu. I teraz karczma na podgrodziu, kiedyś uznawana za dobrą jedynie dla koniuchów i innej hołoty, przeżywała okres ponownej świetności.

Karczmarz, młody jeszcze człowiek przy palenisku, rzucił ponure spojrzenie, gdy spostrzegł, jak Claymore siada za stołem. I na tym spojrzeniu na razie poprzestał, nie przerywał mieszania wielką kopyścią polewki wrzącej w osmalonym kotle. Nie spieszył się, nie musiał przejmować się konkurencją. Ani też nielicznymi o tej porze gośćmi.

Claymore miał czas, nie chciał wszczynać awantury z tak błahej przyczyny, jak widoczna opieszałość karczmarza. Rozejrzał się po izbie.

Trzech drabów w drugim końcu stołu kłóciło się cicho, lecz zajadle.

Dzielili miedziaki wysypane na blat z sakiewki, niewątpliwie jeszcze niedawno własności czwartego, który leżał teraz na bruku z rozbitym łbem. Jeden z nich, potężny brodacz, złowił spojrzenie Claymore'a. Wzrok miał ciężki, taksujący, przyglądał się długo, wciąż grzechocząc w garści kośćmi do gry. Wreszcie ocenił, że wciąż jest za wcześnie, nowy gość jest zbyt trzeźwy, by siadać do gry z trzema nieznanymi.

W jego wzroku nie było rozczarowania, kiedy odwracał się do kamratów. Też miał czas, a wkrótce do karczmy zaczną spływać bywalcy i przypadkowi goście. Będzie większy wybór, Ramirez zaś i tak nie wyglądał na bogacza. Ani na kogoś, kto pozwoli wyrzucić się na ulicę, otwierając własnym łbem ciężkie wierzeje.

Zagrzechotały toczące się po deskach kości. Claymore nawet nie spojrzał.

Karczmarz zdecydował się wreszcie. Pojawił się nagle, postawił przed Ramirezem parujący garniec. Claymore znał już zwyczaje panujące w tym zajeździe, wszyscy dostawali to samo. Grzane wino z korzeniami, okrutny, rozwodniony cienkusz, przynajmniej uczciwie gorący. Za to drogi.

Podziękował uprzejmym skinieniem głowy, rzucił na blat monetę, która zniknęła od razu, zgarnięta przez karczmarza chciwym gestem. Ujął gliniany garniec, przez chwilę trzymał go w złączonych dłoniach, ciesząc się ciepłem. Jesień nadchodziła wcześniej, zimne wiatry i słoty nie czekały, aż opadną z drzew wszystkie liście.

Pociągnął łyk, skrzywił się i splunął czymś, co wnioskując z ceny, mogło być suszonym goździkiem, sądząc zaś po smaku – najwyżej rozmiękłym karaluchem. Pił dalej, cedząc starannie przez zęby. Wino było paskudne.

Od wczoraj nie opuszczał go wewnętrzny chłód. Był znajomy, i jak Claymore wiedział z doświadczenia, pożyteczny. Choć nie wynikał ze spokojnej kalkulacji, raczej z postanowienia. Jednak był o wiele lepszy od rozterek, które miały nim ostatnio.

Karczmarz zachowywał czujność. Ledwie pusty garniec stuknął o deski, przed Ramirezem pojawił się drugi. Mniej pełny i mniej gorący. Claymore skrzywił się. To też lokalna specjalność, wiedział, że następne będą jeszcze gorsze, cienkusz coraz bardziej rozwodniony. Cóż, pomyślał

melancholijnie, przy odrobinie wyobraźni nawet czymś takim można się upić.

Ale tym razem karczmarz ryzykował sporo, zbyt wcześnie zaczął swoje manewry. A Claymore był trzeźwy i takim zamierzał pozostać.

Skrzypnęły wierzeje, promień światła na moment wpadł do ciemnej izby, ukazując, jak wiele dymu i pary było w jej wnętrzu. Zniknął wkrótce, przysłonięty sylwetką w wejściu, i zaraz potem drzwi zatrzęsnęły się z hukiem. Ramirez powrócił do swojego wina. To jeszcze nie ten.

Oczekiwał zażywnego, starszawego kupca, który jakimś cudem przetrwał rzeź w mieście i obecnie niewątpliwie powodziło mu się lepiej niż dawniej. Miał szczęście, a może po prostu był wystarczająco tchórzliwy, by nie wychylić nosa na ulice, gdy bruk spływały krwią. Jego dom ominęli rabusie. A teraz mógł korzystać z tych wszystkich zbiegów okoliczności, nosić się dumnie w wygłodzonym i zbiedniałym mieście. Pozbył się konkurentów, od których kiedyś był zapewne gorszy i biedniejszy. Aż wreszcie przyszedł czas, że mógł odbić sobie za wszystko.

Jonathan miał rację. Wiadomości trzeba było szukać właśnie wśród takich ludzi; szumowina uniesiona wydarzeniami wypłynęła na wierzch. Nosiła się dumnie i butnie, błyszcząc tłustymi gębami. Ocaleli, a teraz, korzystając z niebywałej okazji, bogacili się na nieszczęściu innych. Najważniejsi w Nottingham, wiedzący najwięcej.

Zaledwie trzy dni, trzy wieczory, spędzone w zadymionej, ponurej karczmie, która, jak owe szumowiny, awansowała nagle do roli najlepszego zajazdu w mieście. Tylko tyle Claymore potrzebował, by dowiedzieć się wszystkiego, co było istotne.

Wszystkiego, co przeczuwał. Ale czego jednak wolałby nie wiedzieć.

Zacisnął palce na glinianym naczyniu, nie bacząc, że polewana skorupa może nie wytrzymać i pęknąć. Dziwiły go własne odczucia. Nie przypuszczał dotąd, że mógłby tak reagować. Do wczoraj.

Przez dwa pierwsze dni dowiedział się niewiele. Karczmę odwiedzało sporo przyjezdnych, obcych ludzi, od których nie usłyszał nic, czego sam by nie wiedział, poza fantastycznymi, wyolbrzymionymi plotkami. Miejscowi, mniej liczni, byli też mniej skorzy do rozmów. W oczach mieszkańców Nottingham wciąż czał się strach, nawet kiedy

rozwodniony cienkusz rozwiązywał języki.

Dopiero wczoraj trafił się ktoś, na kogo Claymore czekał od samego początku. Tłusty kupiec, kiedy wtoczył się do karczmy, był już wystarczająco pijany. I pierwsze słowa, które wybełkotał, gdy usadowił swój szeroki zad na ławie, wystarczyły, by Ramirez postanowił, że będzie wdzięcznym słuchaczem.

Słuchał z uśmiechem przyklepionym do twarzy, zadawał pytania i czekał w nieskończoność, aż przebiją się do zamroczonego umysłu, aż w załamanych, sprytnych ślepkach kupca pojawi się zrozumienie.

Wysłuchiwał nieskładnej, rwącej się opowieści, kiwając na karczmarza, który zwijał się i przynosił co raz to nowe kubki z coraz bardziej rozwodnionym, podłym wińskim.

Ramirez też pił. Nie pamiętał potem, ile garncy wychylił, nie czując smaku. I wciąż był przeraźliwie trzeźwy. Widać brakowało mu wyobraźni.

Przetrzymał pijackie karesy, całowanie zaślinionymi wargami w policzki, poklepywanie po plecach. Nawet kiedy kupiec, już wpółleżąc na zalanym winem i zaświnonym rzygowinami blacie, zaczął przechwałki, z twarzy Claymore'a nie zszedł uśmiech.

Słuchał o plugawym kuglarzu i jego żonie wiedźmie, których niecne zamiary przejrzał ów zacny człowiek. I jak na zacnego i bogobojnego człeka przystało, doniósł, gdzie trzeba.

Claymore uśmiechał się i czuł, jak gdzieś w środku zaczyna budzić się chłód. Najpierw ukłucie, jakby lodowa iskierka, potem narastająca zimna bryła. Zaciskał palce na kubku grzanego cienkusza w daremnej nadziei, że się rozgrzeją, kiedy chłód ogarnie dłonie.

I ze strzępków pijackiego bełkotu składał całą historię.

Nie takie drzewiej bywały jarmarki, pomyślał Snake, kiedy podkova chrupnęła wreszcie i rozłamała się na dwa kawałki. Rozległy się rzadkie oklaski.

Kuglarz teatralnym gestem otarł pot z czoła. Musiał się specjalnie

natężyć, żeby żyły wystąpiły na skroniach, a twarz pociemniała z wysiłku. Gawiedź to lubiła, gapie uwielbiali patrzeć, jak daje z siebie wszystko, jak grają mięśnie pod lśniącą skórą, jak unoszą się wargi, z gardła zaś dobywa głucho stęknienie.

Odrzucił oba ułamki, paru urwisów zakotłowało się w bójce o cenną pamiątkę. Dyszał ciężko. Wszystko było kwestią umiejętnego wstrzymywania oddechu, wypuszczania powietrza powoli, by krew napłynęła do twarzy, a oczy prawie wyszły z orbit. Bo podkowę, dzieło miejscowego partacza, rozłamałby każdy.

No, może prawie każdy, pomyślał Snake, kiedy uśmiechał się zwycięsko i wodził wzrokiem po twarzach zacnych mieszczan i kmieci, przybyłych w dzień targowy do Nottingham. Profesjonalny uśmiech nie zszedł mu z twarzy, gdy usłyszał brzęk miedziaków sypiących się do miseczki. Równie rzadki jak oklaski.

Skłonił się, w mizernej nadziei, że może skłoni widzów do większego entuzjazmu. Nadzieja rozwiąła się wraz z ostatnim brzękiem wpadającego do miski półgroszaka.

Mały tłumek rozchodził się. Nie zasługiwał chyba nawet na tę nazwę, zaledwie kilkanaście osób. Snake ze złością wspominał czasy, kiedy niedźwiedź przyciągał tłumy, nie wiadomo, uciechnymi sztuczkami czy ohydny smrodem. Ludzie kochali patrzeć na skutą łańcuchem bestię, tańczącą w takt tamburyna. Zwierz dawał ten miły dreszczyk emocji – a co będzie, kiedy się zerwie? Albo zamiast tańczyć, przeczesze głowę jasnowłosej dziewczyny pazurzastą łapą? Tak naprawdę wszyscy na to czekali, przecież nie na kołysanie łbem w rytm bębena.

Teraz byli sami, żabcia i on. Jarmarcznej wieszczce też się nie wiodło, od rana miała zaledwie dwie klientki, grube, rozchichotane młódki. Obu im wywróżyła bogatych mężów, dużo tłustych dzieci i garnki złota, zakopane bezpiecznie pod paleniskiem. Ale do garnków złota było jeszcze daleko, młode mieszczki nie śmierdziały groszem, ich ojcowie, nottinghamscy kupcy, nie byli rozrzutni. Najpierw musieli odbić sobie straty i młódki nie zabawiły długo w namiocie, pobiegły do swych kramów przypilnować czeladników, żeby nadto nie kradli. Specjalnie nie było czego kraść, jarmark okazał się niewiarygodnie marny.

I nie ma się co dziwić, pomyślał Snake, rozglądając się po targowym placu. Rozległa połać między murami była prawie pusta, zaledwie kilka

kramów, może tuzin wozów. Wystarczyło przypomnieć sobie tenże sam plac, spływający krwią, usiany ciałami. Ludziska omijali Nottingham, miasto, nad którym zaciążyła klątwa.

Na niewiele na razie zdały się zabiegi nowego szeryfa. Rzemiosło wciąż było słabe, wielu dobrych ludzi zginęło wtedy w nierównej walce przeciwko zabijakom Czarnego Barona albo po prostu zatratowanych w ciżbie, wysieczonych przez walczących, bo zagradzali im drogę. Potem nastąpiły długie dni, kiedy po śmierci sze ryfa kto chciał plądrował miasto, łupił mieszczan, pozbawionych obrony. Co gorsza, łupili ich zwłaszcza ci, którzy przed grabieżą powinni bronić. Ocaleli strażnicy, zwietrzywszy łatwy łup, pozostali w mieście, aż niepogrzebane trupy i ciała zwalone do zamkowej fosy zatrwały powietrze zgniłym oddechem moru. Wtedy śmierć zebrała kolejne żniwo.

Snake popatrzył na mnicha jałmużnika, chudego niczym bezdomny kocur, w zwisającym jak na szkielecie habicie. Wędrowny zakonnik już dawno zrezygnował, nawet nie wywrzaskiwał błogosławieństw. Bo tak naprawdę nie miał kogo ani za co błogosławić. Na jarmark ściągnęli chłopci równie wychudli jak on sam. Byli tymi, którzy przetrzymali srogą zimę i niemiłosierne zdzieranie danin. Spoglądali tylko głodnymi oczyma, a powróśla, którymi przepasane były ich siermięgi, niemal wrzynały się w kręgosłupy.

Kuglarz zatęsknił nagle za dawnymi czasy, kiedy słyszał obok siebie śmiech Fabienne, porykiwanie cuchnącego niedźwiedzia i stukot noży wcinających się w cel. Zaklął pod nosem.

Liczył, że odnajdzie dziewczynę w Nottingham. Sądził, że na pewno tu podążyła, niepokoił się, nie wiedząc, czy ktoś nie będzie szukał na niej pomsty. Teraz się uspokoił, nikt ich nie zaczepiał, strażnicy przechodzili obojętnie. Nawet gdy zatrzymywali się, by popatrzeć, jak kuglarz rozłamuje kolejną podkowę, żaden nie spytał o nic, nie rzucił podejrzliwego spojrzenia. Byli po prostu tylko gapiami, kiepskimi zresztą, bo Snake nie pamiętał, żeby kiedykolwiek zbrojny rzucił cokolwiek do miski.

Miał nadzieję, że wtedy, w rozgardiaszu, nikt specjalnie ich nie zapamiętał. W pamięć mógł wryć się niedźwiedź czy dziewczyna ciskająca nożami. Ale też ci, którzy mogli pamiętać, pewnie już nie żyli. Niewielu z zastępujących wtedy drogę Snake'owi czy Fabienne mogło o

tym opowiadać.

Dziś był spokojniejszy. Ale jednocześnie rosła złość, uświadomił sobie, że dziewczyna mogła nie zawadzić nawet o Nottingham, ruszyć w dalszą drogę, jak najdalej od człowieka, który zawrócił jej w głowie. A potem zlekceważył.

Snake zacisnął pięści. Po raz któryś obiecał sobie, co zrobi, kiedy jeszcze kiedyś spotka Ramireza. Czynił sobie wyrzuty, że tak łatwo się rozstali, dobrze byłoby wygarbować skórę wyniosłemu dupkowi. Niech na drugi raz trzyma łapy przy sobie.

Nie obawiał się o dziewczynę. Nie bał się, że zginie sama w obcych miastach, pośród obcych ludzi. Była twarda. Ale Snake znał ciężar samotności. I zwyczajnie tęsknił za swą przybraną córką.

Jarmark powoli się kończył. Wprawdzie pogoda sprzyjała, niebo przesłaniały chmury, tak że nie czuć było upału, ale i tak wszyscy widzieli, że dziś nie zrobią tu interesów. Nieliczni kupcy zwijali kramy, po bruku zaturkotał wóz, zadźwięczały podkowy. Mnich jałmużnik zaklął paskudnie, splunął, o włos omijając swoją pustą prawie miskę. Jego zrezygnowany wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem kuglarza. Nic tu dziś nie zarobimy, zdawał się mówić. Nie sposób było się z tym nie zgodzić.

Gdzieś daleko mignęła jasna główka Bethie. Snake zmarszczył brwi. Mała musi uważać, nie ma okazji. Trudno oberznąć sakiewkę, kiedy nie ma tłoku. Miał nadzieję, że dziewczynka będzie rozsądna, nie znęci jej pozornie łatwy zarobek.

Schylił się, podniósł zgiętą podkowę. Ta udała się kowalowi, co prawda zdołał ją wygiąć, ale nie pękła. Nawet partaczowi czasem się udaje.

Kiedy się prostował, zakłuło go w boku, ból był aż obezwładniający. O mało nie usiadł na ziemi. Sińce już zeszyły, ale żebra widać nie zrosły się dobrze po ciosie maczugi Williama Jacksona. Snake stał chwilę, oddychał ciężko, z każdym oddechem kłuło dotkliwie, ale coraz słabiej. Nad skórzanymi spodniami, na lśniącym, wysmarowanym wprzód tłuszczem brzuchu gadzina kłuta siną farbą poruszała się jak żywa.

Kilku gapiów, którzy jeszcze pozostali, zaszemrało z podziwu. Dwóch wyrostków pokazywało sobie brudnymi paluchami ogon węża, który kończył się wysoko, na szerokiej piersi kuglarza.

Snake spostrzegł mieszczkę, zażywną jejmość w średnim wieku, która rozglądając się niepewnie na boki, zerknęła na tatuaż. Od razu zapomniał o dokuczliwym bólu, pomyślał, że być może trafia się okazja do lepszego zarobku. Otaksował szybko mieszczkę, po czym mrugnął porozumiewawczo, podkreślając mrugnięcie szybkim ruchem głowy. Odwrócił się i skierował między namiot a wóz, gdzie było miejsce dobrze osłonięte przed ciekawskimi spojrzeciami. Kto chciał zobaczyć, musiał zapłacić.

Jejmość spłoniła się, strzeliła okiem na lewo i prawo. Wreszcie zdecydowała się, podążyła za kuglarzem, ścigana życzliwym śmiechem i wulgarnymi okrzykami smarkaczy. Uniosła tylko dumnie głowę i zacięła usta, jakby chciała powiedzieć – a nic wam do tego!

Pomiędzy wóz a namiot rzeczywiście nie sposób było zajrzeć. Rumieńce na twarzy zażywnej jejmości przybrały ceglastą barwę, wpełzły wysoko na policzki. Aż klasnęła w pulchne dłonie, kiedy ujrzała wreszcie węża w całej okazałości.

Snake stał, starając się nie okazywać znudzenia. Dopiero gdy uczyniła nieśmiały gest, cofnął się. Węża można było dotykać, nawet pogłaskać, żabcia nie krzywiła się zbytnio. Oczywiście za dodatkową opłatą.

Zażywna jejmość zmarkotniała. Ale zrozumiała od razu, sięgnęła do mieszka przy pasku.

Kuglarz uśmiechnął się. Nie było tak źle, zarobek pewny i lekki. Naraz zmartwiało. Ucichł gwar przed namiotem, nie dochodziły śmiechy, gromkie okrzyki zachęty. W nagłej ciszy Snake usłyszał wyraźnie, jak po bruku turkocze wóz, jak gdzieś daleko kupiec klnie opieszających czeladników.

Wąż zniknął bezpowrotnie. Snake odepchnął nic jeszcze nierozumiejącą jejmość, podciągając spodnie, wyskoczył przed namiot. Ścigały go piskliwe, pełne rozczarowania wyzwiska.

Było ich wielu, w pierwszej chwili nie mógł nawet policzyć, dyszał ciężko, jak po wyczerpującym biegu. Gdy tylko ich ujrzał, uświadomił sobie, że nadszedł koniec, przed którym przestrzegał Claymore Ramirez. Zrozumiał, jaki błąd popełnił, że go nie posłuchał.

Odziani byli w jednakowe stroje, sukienki ni to zakonne, ni świeckie. Wygolone głowy nie pasowały do ciężkich mieczy, obciążających pasy.

Twarze zaś, poznaczone bliznami, przywodziły na myśl rzezimieszków z najbardziej zapadłego traktu.

Kuglarz rozpoznał ich od razu. Byli zresztą znani w Nottinghamshire, i to wcale z nie najlepszej strony. Straż opactwa St. Mary's, budzący postrach okrucieństwem i bezwzględnością klerycy.

Jeszcze miał nadzieję. Może to pomyłka, tłuło mu się w głowie, może tylko zaszli popatrzeć, któż to zawitał do miasta.

– A cóż to, księżykowie? – spytał, usiłując przywołać na twarz uprzejmy uśmiech. – Cóż wam mogę na rozweselenie i ku uciechu pokazać? Może podkowę przełamać, hufnal na palcu owinąć? Bo tuszę, że wężaście nieciekawi...

Na wzmiankę o wężu ledwie dostrzegalnie drgnęły mięśnie na obliczu kleryka, który stał na przedzie. Ale jego młoda jeszcze twarz z przebijającym się przez skórę czarniawym zarostem pozostała niewzruszona i spokojna.

– Nie, kuglarzu – powiedział pogardliwie. – My tu po wróżbę przyszliśmy, do wiedzy.

Snake sprężył się, zerknął w bok, próbując oszacować, jak wiele dzieli go od wozu, gdzie pod słomą spoczywał zardzewiały, gruby łańcuch, ostatnia pamiątka po śmierdzącym niedźwiedziu. Ogarnął go lodowaty spokój, odszedł strach. Ośmiu, pomyślał, jest szansa. Byle tylko zdążyć.

– A jak nie będzie chciała wieszczyć, ją samą weźmiemy – dodał drugi, o dziwnie ściągniętej, błyszczącej skórze na połowie twarzy. Oko miał zasze bielmem, widać nie uważał kiedyś przy pożarze, który niechybnie sam wzniecił. – Wtedy ochoczo nam zaśpiewa.

Dwóch czy trzech zarechotało. Ich przywódca zmarszczył czarne brwi, niecierpliwie machnął ręką. Śmiechy umilkły jak nożem uciął. Miał posłuch, a i ostatecznie nie na krotchwile tu przyszli.

Na kolejny znak zgrzytnęły dobywane ostrza. Trzej klerycy rzucili się w stronę namiotu. Nie było na co czekać.

Snake skoczył z prostych nóg, w przelocie dojrzał przerażoną jejmość, która wyglądała zza wozu. Z jej twarzy spęzły już rumieńce, była biała jak kreda. Uciekaj, kobieto! – chciał krzyknąć Snake, nie zdążył.

Znajomy ból uderzył, jakby znów trafiła go w bok maczuga shillelagh.

Nie upadł, nie zgiął się nawet, lecz jego ruchy nabrały rozpaczliwej powolności. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak jeden z kleryków rozpruwa sztychem płótno namiotu, nie zawracając sobie głowy rozsnurowywaniem wejścia. Poprzez odgłos dartej materii posłyszał za sobą zgrzyt dobywanego miecza, ochryple wrzask komendy. I świat rozpadł się nagle na wirujące, czerwone fragmenty.

Kiedy zaczął znów widzieć, zorientował się, że klęczy, podtrzymywany z dwóch stron pod ramiona. Chciał poderwać się, strącić z siebie trzymające go, twarde dłonie. Nie dał rady. Zwiślał bezwładnie, mógł jedynie podnieść głowę.

Zobaczył, jak za białym płótnem coś się kotłuje. Usłyszał krzyk, szybko stłumiony głośnym uderzeniem. Zebrał się do ostatniego wysiłku, naprężył mięśnie ramion. Wtedy dostał kopniaka w dołek, aż zaparło mu dech. Rzęził jeszcze, kiedy czarniawy kleryk pogroził mu niedbale trzymanym ostrzem.

Gapie znów podchodzili, ostrożnie i powoli. To była lepsza rozrywka niż oglądanie łamania podków czy zgoła węża. Nawet powszechny lęk przed klerykami nie potrafił powstrzymać ich ciekawości.

Dwaj ludzie opata wyprowadzali zabcię. Snake mógł jedynie patrzeć, jak idzie między nimi sztywno wyprostowana. Była blada, tę białość twarzy podkreślała strużka krwi spływająca z kącika ust.

Szarpnął się jeszcze raz, już słabiej. Bez trudu go powstrzymali.

Pulchna kobiecina spojrzała na męża. Zatrzymała się, choć prowadzący ją klerycy trzymali silnie.

– Dziękuję, Snake – powiedziała krwawiącymi, opuchłymi już wargami. – Za wszystko.

Zanim jeszcze jeden z ludzi opata uderzył ją z rozmachem w twarz, Snake pojął, że to pożegnanie. Że widzi swą żonę po raz ostatni.

Nie poczuł nawet spadającego nań gradu ciosów. Od pierwszego z nich, wymierzonego płazem klingi w czoło, krew zalała mu oczy. Bili i kopali wprawnie, nie chcieli od razu zabijać, chcieli, żeby poczuł. Na próżno.

W krwawej mgłę, która go otoczyła, widział wciąż zabcię. Młodą, pulchną dziewczynę. I dojrzałą, mądrą kobietę, matkę małej córeczki.

Ujrzał wszystkie dni i lata, dobre i złe, kiedy była blisko, czuł ciepło jej ciała, słyszał dobrotliwe utyskiwania. Razem w zdrowiu i w chorobie, w szczęściu i w smutku. Całe życie. Dobre życie.

Zanim stracił przytomność, zdążył spojrzeć jeszcze raz. A ona zdążyła się obejrzeć.

Łokieć pijanego do cna człowieka trafił Claymore'a pod żebro. Kupiec wiercił się na ławie, która trzeszczała pod jego ciężarem, sapał głośno.

Przyszedł wcześniej, tak jak Ramirez się spodziewał. O dziwo, trzeźwiejszy niż wczoraj, od razu poznał nowego znajomka. Tłusta, spocona gęba rozjaśniła się uśmiechem, małe oczka błysnęły sprytem i chciwością. Pamiętał dobrze, że jego nowy znajomek lubi stawiać. Czemu nie skorzystać?

Nie zwrócił nawet uwagi, że Claymore dziś się nie uśmiecha, nie podpytuje i nie poklepuje po plecach. Nie miał widać żadnych podejrzeń, zamroczony umysł nie był w stanie dostrzec zmian. Wystarczyło, że trafił się kompan, który zamawia kolejne kubki.

Ramirez nie silił się na udawanie, nie zależało mu. Zastanawiał się, po co w zasadzie to robi.

Wiedział wszystko, co chciał wiedzieć. Pozostały jeszcze inne, istotne sprawy, ale i tak ów człowiek nie mógł mu w niczym pomóc. Był nieprzydatny.

Claymore sączył wino, starając się wypluwać od razu coś, co miało być korzeniami, ale niekoniecznie nimi było. Nie miał wątpliwości, nie wahał się przed zrobieniem tego, co postanowił już wczoraj. Na skrupuły nie pozwalał wewnętrzny chłód, który przepełniał go całego, aż po palce; teraz usiłował je rozgrzać, obejmując gliniany parujący kubek.

Już wczoraj postanowił tu wrócić, aby jeszcze raz spojrzeć na spoconą gębę okoloną rzadkim, rudawym zarostem, zajrzeć w chytre ślepka, tonące w zmarszczkach tłustej twarzy. Wiedział dobrze, że nie znajdzie tam odpowiedzi na żadne z pytań. Ale mimo to chciał zajrzeć.

Przestał już się dziwić samemu sobie. Chronił przed tym chłód. Był

dobry, pozwalał odsunąć inne myśli, te gorsze.

Kupiec siorbał wino, charcząc i spluwając. Po deskach toczyły się z grzechotem kości. Na posłaniach, skrytych w mroku pod ścianami wielkiej izby, ktoś chrapał i rzeził. Szeleściła słoma, jakaś kobieta pojękiwała rytmicznie. Kiedy jęki przeszły w krzyk, pijackie głosy zarechotały z uznaniem.

Śmierdziało dymem, skisłym winem i przypalonym jadem. I kocurem, który może i na myszy nie polował, ale był bardzo sumienny w obsikiwaniu terenu.

Przecież on łże, powtórzył sobie Claymore raz jeszcze. Kłamię z próżności, żeby podnieść swoją wartość i zasłużyć na jeszcze jeden garniec. To bydlę nikogo nie wydało, gapiło się najwyżej z dala, z wielką radością. Zbyt płacze się w opowieści, zaprzecza sam sobie, by mogła być prawdziwa. Nieważne, sama uciecha wystarczy.

Bo przecież koniec był prawdziwy.

– Kurwa, Snake, nawet cię zanadto nie lubiłem – mruknął Claymore i odstawił kubek.

Już czas. Później może być problem, pomyślał, będą mu się plątały nogi, a przecież nie będę włókł takiego ciężaru na plecach. Poklepał kupca po ramieniu.

– Co mówisz? – Ten spojrzał na Claymore'a swoimi sprytnymi oczkami.

Był mocno pijany, ale mówił jeszcze składnie, nie bełkotał. Choć powoli.

– Nieważne, powiem ci później. – Claymore uśmiechnął się zimno, po raz pierwszy tego dnia.

Na widok tego uśmiechu twarz kupca drgnęła, przez chwilę ściągnęła się grymasem.

– Chodź, czekają na nas. – Ramirez ujął go pod ramiona, usiłował dźwignąć opastę cielsko z ławy.

Kupiec nie protestował, nawet próbował pomagać, szurając śmiesznie obcasami po polepie. Zniknęła instynktowna obawa, przeważyła chciwość. Bajeczka Claymore'a o niebywałej okazji, wozie pełnym zrabowanego na trakcie towaru wzięła górę nad podejrzliwością.

Ramirez już pomyślał, że zwlekał zbyt długo i kupiec osiągnął stan, w którym może jedynie zwalić się pod stół, a nie pójść gdziekolwiek o własnych siłach. Ale udało się w końcu, tłuścioch wstał chwiejnie, opierając się na ramieniu podtrzymującego go towarzysza. Grdyka poruszała mu się, gdy chciwie dopijał resztki z kubka, spluwając co rusz rozmiękłymi paprochami.

Wzrok Claymore'a skrzyżował się na krótko ze spojrzeniem brodatego draba u końca stołu. Jego kamraci obłupiali właśnie w kości jakiegoś naiwnego, acz niewątpliwie zamożnego chłopca. Ten trzeci, chwilowo bez zajęcia, patrzył beznamiętnie na rozgrywającą się przed nim scenę. W garści grzechotały mu podrzucane kości.

W oczach brodatego błysnęło profesjonalne uznanie, kiedy zmierzył wzrokiem schlanego kupca, oszacował zasobność mieszka przy jego pasie. Jego wargi rozciągnęły się nieznacznie, a Claymore odwzajemnił ten uśmiech znacznie szerzej, szczerząc zęby spod płowych wąsów. Skurwysyn zawsze pozna skurwysyna, pomyślał.

Nie było już cieplej, mrocznej izby, wielkiego paleniska z żarzącymi się węglami, strużek światła, które sączyły się przez małe, pozbawione błon okienka i ginęły w przesyconym dymem powietrzu. Nie było przytulnego kąta, wina rozlanego na blacie, twardej, ale wygrzanej ławy.

Mur, pokreślony siatką spoin, szczerzył się wielkimi kamiennymi blokami. Błoto chlupotało pod nogami. Drobną falka marszczyła ciemnosiną powierzchnię wody w fosie.

Gdzieś daleko został gwar, nie dochodziły tu odgłosy miasta, pokrzykiwanie ludzi, turkot kół wozów, toczących się po bruku, dźwiękliwe uderzenia podków. Nawoływania strażników na murach dobiegały stłumione i odległe.

Wiał przenikliwy, porywisty wiatr. Niósł ze sobą zapowiedź wczesnej zimy.

Tłusty kupiec już zrozumiał.

Nagle wytrzeźwiał. Przestał chwiać się na nogach, mógł myśleć jasno,

jak nie zdarzyło mu się zapewne od wielu dni czy wręcz miesięcy. W powleczonych przedtem pijacką mgiełką, zażawionych oczach pojawił się strach.

Nie było wozu załadowanego zrabowanym dobrem, nadzwyczajnej okazji do wzbogacenia. Pozostał ślepy, błotnisty zaułek, ograniczony murem z jednej, a ciemną, głęboką wodą z drugiej strony. Kres drogi, do którego właśnie doszedł, bez wyjścia, bez ucieczki.

Zrozumiał, co za chwilę się stanie. Nie mógł mieć wątpliwości, wszystkie rozwiął zimny dotyk ostrza na szyi. Ale wciąż nie pojmował, dlaczego.

Claymore też nie miał wątpliwości. Nie pozwalał na nie lodowaty chłód, który tkwił w nim głęboko. Miał nadzieję, że ten chłód pozostanie. Był pomocny.

Po szyi kupca spłynęła kropelka krwi. Drżał, nie wiadomo, czy pod przejmującymi podmuchami wiatru, czy po prostu ze zwykłego strachu. Choć dłoń Ramireza trzymała ostrze pewnie, bez drgnienia i zbędnego naciskania, przecięło ono skórę.

– Człowieku, dlaczego? – W głosie tłustego, podstarzałego mężczyzny nie brzmiał strach ani rozpacz, tylko zdziwienie. – Nie znam cię przecież, nic ci nie zrobiłem... Nikomu nic nie zrobiłem...

Nie miał już żadnej nadziei. Ale też chciał zrozumieć, a nie umierać jak bydlę wiedzione na rzeź. Szarpnął sakiewkę wiszącą u pasa, rozerwał rzemienie. W błoto potoczyły się monety, w większości miedziaki, z rzadka tylko matową szarością zalśniło srebro. Marny grosz marnego dorobkiewicza.

Za mało, by kupić życie.

– Dlaczego? – Głos w końcu się łamał.

Żebym to ja wiedział dlaczego, pomyślał Claymore obojętnie. Miałeś po prostu pecha. A może tylko ja się boję. Tak, boję się jak nigdy w życiu. Bo kiedyś nie miałem o co ani o kogo.

Nie było sensu tego przedłużać. Po co kłamać człowiekowi, którego się za chwilę zabije? Skoro samemu nie zna się prawdy.

Nagłym kopnięciem podciął nogi stojącemu przed nim, pogodzonemu z losem kupcowi. Ten padł na kolana, rozbryzgując błoto, ciężko niczym

wór mąki zrzucony z wozu. Claymore szarpnął za przerzedzoną czuprynę, zadarł głowę do tyłu. Powoli, starannie ciął.

Człowiek z poderżniętym gardłem nie umiera cicho i spokojnie. Krew z przeciętych tętnic chlusnęła na dłoń trzymającą nóż, rozległ się skrzek, kupiec próbował jeszcze krzyżeć. Ramirez spoglądał przed siebie, na kamienne bloki muru, na srebrzyste i zielonkawe porosty, które wspinały się na kamienie i pleniły się w szczelinach spoin. Na smugi białych ptasich odchodów, plamiących szary wapień. Wciąż zaciskał w garści rudawe, rzadkie włosy, czuł coraz słabsze szamotanie i drgania. Skrzeczenie cichło, przeszło w świst powietrza w przeciętej tchawicy, w bulgotanie krwi zalewającej płuca. W końcu i to zamilkło.

Claymore puścił spotniałe włosy. Ciało zważyło się w błoto ślepego zaułka.

Z dłoni, w której trzymał nóż, skapywała jasna tętnicza krew, dymiła w zimnym powietrzu. Była gorąca, ale niczym garniec grzanego wina rozgrzewała tylko palce. Chłód wewnątrz pozostał.

Wciąż potrafię, pomyślał Claymore.

– Ramirez.

Ani słowa więcej, wystarczyło za całe powitanie. Zbrojny przerzucił nogę nad łąkiem, zsunął się z siodła. Rzucił wodze, luźno, wyszkolony bojowy koń odstąpił parę kroków i zatrzymał się.

– Wulf.

Claymore stał oparty niedbale o zrujnowany, wpółrozwalony murek, który odgradzał pastwisko od traktu. Nawet nie drgnął, kiedy usłyszał zbliżający się tętent, spoglądał tylko spod zmrużonych powiek. Teraz też, kiedy człowiek, którego oczekiwał, stanął przed nim, nie zmienił pozycji.

Żaden z nich nie wyciągnął ręki na powitanie, żaden się nie uśmiechnął. Przyglądali się sobie badawczo, jakby nie byli przekonani, że są wciąż tymi samymi ludźmi co przed zaledwie niewielu miesiącami.

– Szukałeś mnie – powiedział zbrojny bez dalszych wstępów.

Claymore skinął głową. Przynajmniej z nim nie trzeba się bawić w żadne gierki, pomyślał, jest konkretny.

Wulf uśmiechnął się drwiąco.

– Powinieneś wcześniej – stwierdził sucho. – Niepotrzebnie kręciłeś się po mieście, niepotrzebnie węszyłeś. Nic nie znajdziesz, wszyscy, którzy mogli coś wiedzieć, gryzą ziemię. Gówno znalazłeś, a mam tylko nadzieję, że nie narobiłeś szkód.

– Wiedziałeś o tym? – Claymore nie zapanował zupełnie nad wyrazem twarzy, był zaskoczony.

Jego oczy rozszerzyły się, co Wulf natychmiast spostrzegł.

Oparł się obok Ramireza o murek, popatrzył w niebo.

– Wiem, że jestem prostym żołdakiem – zaczął kpiąco. – Jednak tak się składa, że na moim stanowisku sporo można się dowiedzieć. Usłyszeć. A nawet samemu zobaczyć, jeśli oczywiście chce się patrzeć. Bo czasami nie warto.

Wulf nadal był taki, jakim go Claymore zapamiętał, mrukliwym, starzejącym się zbrojnym. Dowódcą straży, który odzywał się rzadko, a już prawie nigdy niepytany, mówił z wyczuwalnym barbarzyńskim akcentem i wyglądał, jakby do trzech nie potrafił zliczyć. Ale to, co mówił, zupełnie nie pasowało do wyobrażeń Claymore'a.

– Kręciłeś się, Ramirez, jak gówno w przerębli – ciągnął, wciąż nie patrząc na rozmówcę. – W dodatku hałaśliwe gówno. Rozpy tywałeś ludzi, zostawiałeś za sobą ślady... – Potrząsnął głową z politowaniem. – Bez sensu.

Claymore milczał chwilę. Miał nieprzyjemną świadomość, że znów się mylił. Kiedy zdecydował spotkać się z Wulfem, sądził, że od powolnego, tępego zapewne kapitana straży wydobędzie niewiele. Ot, garść informacji o nowych rządach w hrabstwie, może o głośniejszych wypadkach, jakie zaszły od wiosny w mieście. Nawet taki buc powinien o nich wiedzieć, zapamiętać. I, być może, sensownie podpytywany, opowiedzieć w miarę składnie.

Tymczasem okazało się, że pod pozorami służbistości i żołnierskiej, zawodowej tępoty kryje się bystrość i spostrzegawczość.

– Masz rację – przyznał Claymore, niespodziewanie dla samego siebie. – Bez sensu. Powiniennem zacząć od ciebie.

Wulf zmierzył go powolnym, drwiącym spojrzeniem. Nietrudno było

zgadnąć, co sobie myśli. Ale Ramirez nie zamierzał przeproszać. Miał też pewność, że ów człowiek nie czeka na przeprosiny.

– Szkoda czasu – mruknął tylko.

Zbrojny odsunął z czoła płaski, błyszczący hełm, jakby chciał się podrapać po głowie. Nie mógł, przeszkadzała misiurka.

– Ano szkoda – potwierdził z irytacją. – Czasu mało, obaj to wiemy, zmitrężyliśmy go sporo. Ty, Ramirez, zdaje się więcej. Do rzeczy, nie mogę tutaj tak sterczeć jak chłopu na weselu, ktoś się może zainteresować. Nasz nowy szeryf może i głupi, ale podejrzliwy, zaciekawi go, po co wyjeżdżam z miasta samopas, z kim knuję.

Claymore nie odpowiadał przez chwilę. Zastanawiał się, jak dalece może zaufać temu człowiekowi. W końcu pozostał w mieście, służył Czarnemu Baronowi, teraz służy nowemu szeryfowi, co prawda ponoć niechętnie. Przed rzezią w mieście Wulf był w niełasce, odebrano mu dowodzenie, musiał słuchać najgorszych ciurów z kompanii nowego pana. Potem nie porzucił Nottingham, nie poszedł szukać nowej służby, jak wielu innych. Został na miejscu. Z początku Claymore przypuszczał, że po prostu z bezmyślności, że istotnie jest tylko służbistą, któremu wszystko jedno, komu służy. Teraz sądził już inaczej, był prawie pewien, że ten milkliwy człowiek ma swój udział w tym wszystkim, co się dzieje. Że kryje w sobie jakąś tajemnicę, ma jakiś cel, jakąś misję do wypełnienia. Jakąś obietnicę.

Jeszcze niedawno Ramirez wolałby się upewnić do końca, sprawdzić dokładnie. Ale teraz nie miał czasu. I niewiele do stracenia.

– Dobrze – zaczął, mając nadzieję, że jednak się nie myli. – Nie pytam, co ukrywasz i co zamierzasz. Masz pewnie swoje powody, nic mi do nich. Ale wiem, że blisko byłeś z szeryfem de Reno. Byłeś jego zaufanym. I wiesz, kim ja jestem, znasz mnie. Więc powiedz mi, co wiesz, pomożesz...

Przerwał nieco zmieszany kpiącym spojrzeniem Wulfa.

– Ejże, panie Ramirez, powoli. – Oczywiście zbrojnego zwięziły się złośliwie. – Powiem ci, co zamierzam i jakie mam powody. Bom głupi żołdak może, ale coś mi się widzi, że i do waszych owe powody są podobne. Bo i wam jestem potrzebny, panie, ale i wy mnie.

Claymore uśmiechnął się chłodno.

– Nie śmiecie się tak, panie. – Wulf spoważniał. – Zdarza się, że i nam, prostakom, zda się, los coś przeznaczy. Los, a może i honor? Wiecie, o czym mówię?

Już nie wyglądał na prostego, starzejącego się żołnierza. Obok Ramireza stał syn jarla.

– I to wy, panie Ramirez, powiecie, o co wam chodzi. – Na twarz zbrojnego powrócił złośliwy uśmiezek. – Bo to wy mnie szukaliście, nie odwrotnie.

Wulf ponownie przesunął na głowie błyszczący hełm. W końcu zdjął go, przyjrzał mu się uważnie i cisnął na brunatniejącą, jesienną trawę. Ściągnął misiurkę i odetchnął z ulgą. Przesunął dłonią po krótko przyciętych włosach.

– Jak ja nie znoszę tego kurewstwa – mruknął.

Tymczasem Claymore wciąż się wahał. Coś podpowiadało mu, że powinien zaufać temu człowiekowi o otwartej i szczerzej twarzy. On nie potrafił ufać, przynajmniej kiedyś, a z doświadczenia wiedział, że nawet najbardziej szczerą gębą jeszcze nic nie gwarantuje, zdarzało mu się przecież zaglądać w zwierciadła.

Nie miał jednak czasu. Słowa Wulfa poruszyły czułą strunę, istotnie, sporo zmitrężył, osiągnął niewiele. Nie zbliżył się do wyjaśnień, wciąż nie wiedział, co dalej. Wręcz przeciwnie, zagadek przybywało.

Przyglądał się, jak Wulf trąca czubkiem buta leżący na trawie hełm, wymrukuje pod nosem kolejne przekleństwa, tym razem brzmiące już zupełnie obco, choć z samego brzmienia dawało się poznać ich ładunek emocjonalny. Sam chętnie by się przyłączył.

Nic jak dotąd się nie układało. Znał już oderwane fakty i mozolnie próbował je połączyć w szereg, z którego cokolwiek by wynikało. Na razie chciał chociaż zrozumieć, później przyjdzie czas na przewidywanie ruchów przeciwnika. Bo tego tylko był pewien, że on wciąż istnieje i pragnie osiągnąć cel. Nie wiedział nadal, jaki. Mógł opierać się wyłącznie na przypuszczeniach. Na przepowiedniach, w które za nic nie chciał uwierzyć, bronił się przed tym ze wszystkich sił. Na nieuchwytnych wrażeniach, których był wprawdzie pewien, ale nie potrafił nijak uzasadnić – jak choćby na tym, że Match żyje. Ale niewiele z tego wynikało.

Wszystkie zdarzenia dotąd, wszystkie tropy prowadziły donikąd. Napotykał jedynie chaotyczne akty bezsensownej przemocy, niesłużące pozornie nikomu ani niczemu. Dotychczasowe działanie przypominało walkę z cieniem, zwiewnym i nieuchwytnym.

Śmierć Snake'a też była dziwna. Dopadła go zemsta, której Claymore się obawiał, ktoś zapamiętał widać rolę, jaką kuglarz odegrał w sławetnej rzezi, zakończonej splądrowaniem i złupieniem miasta. Ale też zemsta dosięgła go z najmniej spodziewanej strony.

A, co mi tam, zdecydował w końcu, spoglądając z ukosa na zbrojnego, który czekał cierpliwie w milczeniu. Domyślał się pewnie, jaką wewnętrzną walkę musi toczyć teraz Claymore, jakie wątpliwości nim targają. To też wprawiało Claymore'a w złość.

– Posłuchajcie, człowieku – zaczął wreszcie, chłodno i wyniośle. – Wiecie, czym jest honor, jak sami zapewniacie.

Spróbował jednak potraktować starego wojaka z góry, jakby to uczynił kiedyś. Zamierzał wyjawić tyle, ile musiał w tej chwili, o swym kontrakcie, wciąż obowiązującym, pomimo iż ten, który go zlecił, już nie żył. Nie więcej. Ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, kiedy znów dostrzegł rozbawienie na twarzy Wulfa, tym razem jednak zmieszane z irytacją.

– Dajcie spokój, panie – uciął zbrojny z lekceważącym machnięciem ręki. – Match żyje, to chcecie mi powiedzieć, prawda? A także i parę innych rzeczy?

Claymore zgrzytnął zębami, choć coś podpowiadało mu, że to i lepiej, iż ów człowiek jest taki domyślny. Ostatecznie nietrudno wywnioskować, że nic się nie skończyło, rzeź w Nottingham nic nie zamknęła. A Wulf przecież tkwił w samym środku, jako zaufany de Reno, oglądał z bliska knowania druidów i konszachty z Czarnym Baronem. I niewątpliwie też wypełniał zobowiązania – Claymore miał już pewność – wobec tego samego, nieżyjącego już człowieka.

Ale był zły. Nie lubił być o krok z tyłu, a ostatnio cały czas mu się to przydarzało.

– Nietrudno się domyślić – mruknął tylko, by nie stracić resztek przewagi w tej rozmowie.

– Widziałem go – przerwał sucho Wulf poirytowany. – Rozmawiałem,

całkiem niedawno.

Claymore cicho zaklął. Powinien był się domyślić.

Dalej poszło łatwiej. Usiedli obaj pod zrujnowanym murkiem z białych kamieni, rozłożywszy na wilgotnej trawie grubo tkany, przydziałowy płaszcz Wulfa. I dopiero kiedy zbrojny zaczął opowiadać, precyzyjnie wyliczać najważniejsze rzeczy, które przytrafiły się ostatnio, Claymore mógł składać rozsypane kamyczki w mozaikę. Wiele jeszcze brakowało, ale przynajmniej zaczynały wyłaniać się zarysy obrazu. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł otuchę. Wreszcie miał coś więcej niż tylko przypuszczenia, mroczne przepowiednie i przeczucia.

Ktoś wciąż podsycił nienawiść, by przypadkiem nie wygasła, nie wypaliła się do cna. I Ramirez upewnił się, że starzy wrogowie nie zrezygnowali, że jego misja ma nadal sens i cel, taki, jaki zlecił Robert de Reno.

– Stary spryciarz – mruknął cicho.

Wulf urwał w pół słowa, popatrzył na niego pytająco. Claymore uśmiechnął się.

– Szeryf – wyjaśnił. – Nie ufał nikomu, nie dowierzał. I tym razem zlecił to samo co najmniej dwóm osobom, tobie i mnie. Dobrze zgaduję, prawda? Dlatego zostałeś, choć pewnie służba pod Czarnym Baronem nie była ci w smak...

Wulf splunął i trafił w leżący na trawie hełm. Zaklął głośno, podniósł go i wycierał rąbkiem płaszcza.

– Miałeś ją chronić, zażądał od ciebie przysięgi. Kiedy się zaczniesz, wywieźć w bezpieczne miejsce. Ale się spóźniłeś, ona była szybsza. Okazała się wystarczająco przezorna.

Ramirez popatrzył na Wulfa, oczekując potwierdzenia. Ale zbrojny wydawał się pochłonięty przecieraniem do połysku okapu płaskiego hełmu.

– Potem więc zostałeś. Tak na wszelki wypadek, bo przecież przysięga wciąż obowiązywała. – Claymore uśmiechnął się. – Nadal obowiązuje. I wiedziałeś, że jeśli coś się stanie, coś jej zagrozi, dojdzie do tego w mieście. Jeśli ją pojماją, będziesz blisko. Może coś uda się zrobić. A jeśli się nie uda, zginiesz. Bo przysięgałeś. De Reno dobrze wybrał

obrońcę dla swojej...

Zbrojny gwałtownie poderwał głowę.

– Zamknij się – syknął. – Nie twoja sprawa.

Zacisnął palce na krawędzi hełmu. Claymore pokiwał głową, doskonale wiedział, o co chodzi.

– Ano, nie moja – przyznał po chwili spokojnie. – Nieważne.

Nieprawda, pomyślał. Ważne, bo cholernie wiele tłumaczy. Ona nie uciekła, nie miała dokąd uciec. Ani nie ma do czego wracać. Poszła do lasu i teraz wrogiem jest każdy. Na wszystkich można się mścić, bez wyboru, bo wszyscy są winni. Boi się tylko jednego – że ktoś wyciągnie rękę, ktoś będzie chciał pomóc. A co najgorsze, to może być on.

Claymore domyślał się, że tak właśnie się stanie. Match wróci do niej nawet z zaświatów. A ona nie będzie mogła spojrzeć mu w twarz.

– Nieważne – powtórzył. – Jak wiesz, też nie dałem rady. Zawiodłem. Dopiero potem...

Spojrzał na Wulfa.

– A tak w ogóle, dlaczego wtedy nic nie zrobiłeś? Nie stanąłeś razem z nami?

Zbrojny popatrzył ze zdziwieniem.

– Przecież ona nie była prawdziwa... Nie o nią chodziło.

Twarz Ramireza drgnęła ledwo dostrzegalnie. Mylisz się, przyjacielu, ona też była prawdziwa. Najbardziej. I na imię miała Jacquine.

– Ano, nie o nią – powiedział powoli, sam dziwiąc się, skąd przychodzą mu do głowy takie myśli. – Ale teraz chodzi jak najbardziej o tę właściwą. Musisz wypełnić przysięgę, Wulf. A to znaczy, że musisz mi pomóc, choćbyś bardzo nie chciał.

Uśmiechnął się złośliwie, widząc, jak twarz siwiejącego zbrojnego ściąga się gniewem. Co, nie lubisz, kiedy przypomnieć ci o powinnościach? – pomyślał. Jesteś zbyt dumny, żeby ci przypominać? Postanowił jeszcze docisnąć, choć tak naprawdę nie miał powodu, niewiele zyskiwał.

– Widzisz, mój dobry człowieku, proste miałeś zadanie. – W głosie można było wyczuć wyższość i pogardę. – Teraz będzie trudniej, jak

pewnie przypuszczasz.

Spoglądał spod oka na Wulfa, chcąc się zorientować, jaki efekt odniesie jego ton. Szybko zorientował się, że zgoła przeciwny, niż oczekiwał.

Gniew zniknął z oblicza zbrojnego jak zdmuchnięty. Zastąpiła go obojętność, nieruchoma maska, jakby to, co usłyszał dotyczyło kogoś zupełnie innego.

– Skończcie swoje sprytne gadki, panie Ramirez – powiedział chłodno Wulf, a o napięciu świadczył tylko wyraźniej słyszalny, obcy akcent. – Wsadźcie sobie w rzyć swoją wyższość, bo teraz na jednym koniu jedziemy, jak to się u was mówi. Potrzebujesz mnie bardziej niż ja ciebie, bo ja mam wybór prosty, mogę tylko zginąć. Już niebawem.

Wstał, kopnął z pogardą błyszczący hełm.

– Będę próbował obietnicy dochować. Przysięgałem. I nie mówcie mi, panie, że wasza przysięga ważniejsza, czy ten, jak to mawiacie, kontrakt.

Był zły, choć tego po sobie nie pokazywał. Była to złość płynąca z poczucia klęski.

Dowódca straży kolejnych szeryfów nie miał złudzeń. Wiedział, że zły los i przeznaczenie wkrótce postawią go naprzeciw tej, którą przysięgł chronić. Wszystko poszło nie tak, jak planował Robert de Reno. Okoliczności przerosły wszystkich, a i wszyscy sprzysięgli się, by jeszcze te okoliczności zagmatwać. Szlachetne porywy, szczytne intencje doprowadziły do tego, że stary żołnierz nie widział wyjścia. Poza jednym.

Musiał przecież dochować zobowiązań. Ale też miał swoich ludzi, których dotąd nie zdradził, choć wielu, w mrocznym czasie po śmierci de Reno, tak właśnie myślało. Sądziło, że ich dowódca, ktoś, komu wierzyli do końca, za którym poszliby nawet na śmierć, wybrał wygodne życie, służbę nowemu panu. I tego Wulf nie potrafił zapomnieć, owej szczególnej rozmowy. Wzroku Seana, chyba najbardziej zaufanego druha, spojrzenia najpierw pełnego niedowierzania, potem pogardy. I jeszcze czegoś – ukrytego pod tą pogardą żalu, szczerego i głębokiego.

– Dochowam przysięgi – dokończył wzgardliwie. – A wy, panie, baccie, byście dopełnili swojej.

Claymore jeszcze nie pojął, coś ostatnio kojarzenie faktów nie

wychodziło mu najlepiej. Był po prostu zaskoczony.

– Jak to... – zaczął głupio.

Wulf zachnął się.

– Ejże, mój panie, nie przesadzajcie – warknął. – Nie wyglądacie mi na całkiem głupiego, chociaż po tym, co ostatnio robicie...

Pokręcił głową, przeżuwając pod nosem jakieś niezrozumiałe przekleństwa. Claymore milczał, czekał, póki nie przejdzie złość. Coś zaniepokoiło go w ostatnich słowach zbrojnego, aż poczuł zimny dreszcz i niepokój ściskający trzewia. Chciał spytać wprost, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Będzie jeszcze na to czas.

Milczenie przedłużało się, w końcu Wulf spojrzał z ukosa.

– No dobrze, może i nie rozumiecie. Wyłożę wam więc, najprościej jak mogę. Spóźniłem się, ze wszystkim. Głupi byłem jako i wy, panie Ramirez. A teraz za późno. Już wiem wszystko, co powinienem, ale niewiele mogę zrobić. Nie dotrę do niej, a nawet gdybym dotarł, ona i tak mnie nie posłucha.

Roześmiał się zgrzytliwie.

– Bo ona się tylko mści. Do końca, nie dba o to, czy przeżyje. Za nic ma nasze przysięgi, za nic szeryfa. Nie posłucha, prędzej obwiesić mnie każe.

A czegoś ty się spodziewał? – pomyślał Claymore. Powinieneś zrozumieć, dzikusie z Północy, u was też zemsta ponad wszystko. A ona...

Z kolei Claymore zaklął. Przypomniawszy sobie, że też nic nie rozumiał, trzeba było mu wytłumaczyć. A i teraz nie pojmował do końca.

– Mówiliście coś, panie? – spytał obojętnie Wulf.

Claymore zaprzeczył niecierpliwym ruchem głowy.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – mruknął ze znużeniem. – Będziesz musiał stanąć przeciw niej, prędzej czy później. Sądząc z tego, co dzieje się w mieście, z nowych porządków, raczej wcześniej niż później. I zamierzasz chwalebnie zginąć.

Skrzywił się kpiąco.

– Tylko na tyle cię stać, prawda? I najlepiej, jakby ona cię zabiła, bo tak wynika z przeznaczenia?

Chciał wyprowadzić zbrojnego z równowagi, nie wiedział wprawdzie

do końca po co. Może dlatego, że sam był w podobnej sytuacji, też nie wiedział, co robić, okoliczności go przerastały. Ale przynajmniej nie zamierzał ginąć.

Znów się pomylił.

– A tak – odparł Wulf spokojnie. – Bo wierzę w przeznaczenie.

Claymore zmełł pod nosem plugawe przekleństwo.

– Posłuchaj, Wulf – zaczął, starając się trzymać nerwy na wodzy. – Nie...

– Nie, panie Ramirez – przerwał zbrojny stanowczo. – Wy mnie szukaliście, więc wy mnie posłuchacie. A jeśli nie chcecie, wolna droga, wynoście się, skądęście przyjechali. Wasza strata...

Claymore postanowił posłuchać. Wulf, widząc, że się nie odzywa, skinął z aprobatą głową.

– Może wam się uda. Więc powiem wam, co powinniście wiedzieć, żeby więcej głupot nie robić.

– Jakich, kurwa, głupot?! – nie wytrzymał Claymore.

Wulf uśmiechnął się z politowaniem.

– Pytaliście o dziewczkę – wyjaśnił, już bez drwiny w głosie, sprawa była poważna. – Rozpytywaliście wszystkich, kto chciał i nie chciał. I gównie się dowiedzieliście. Świetnie.

On ma rację, dotarło do Claymore'a. I znów począł skurcz w żołądku. Chłód i determinacja, które tak pomagały dotychczas, zaczynały się ulatniać. Pozostawał strach, wczepiony głęboko w trzewia.

– Teraz każdy głupek sobie zapamiętał. Każdy ciura, każdy donosiciel. Bo trzeba wam wiedzieć, że rozplenili się nad miarę owi donosiciele. I obecnie nie wam donoszą... I teraz, jeśli ona pojawi się w mieście, to nie na długo. Dzięki wam, panie Ramirez...

– Skończ wreszcie – mruknął Claymore. – Już rozumiem.

Wulf uśmiechnął się, wcale nie złośliwie.

– To teraz mam dla was dwie wiadomości. Dobra jest taka, że ona się nie pojawi. Upiekło się wam. Druga jest zła, bo ja wiem, gdzie ona jest. Też mam donosicieli.

Claymore podniósł powoli głowę. Miał ochotę rozpędzić się i walnąć

nią w murek okalający pastwisko. Do niczego innego się nie nadaje, uświadomił sobie ze złością. Powinienem się domyślić. Znacznie wcześniej.

– Jest z nią – to nie było pytanie.

Wulf przytaknął.

– I teraz już wiecie, panie Ramirez, dlaczego powinniście mnie wysłuchać. Bo coś mi się wydaje, że wam zależy, bardziej niż na wszystkich pierdolonych przysięgach i kontraktach...

Wulf uśmiechnął się ponuro.

– Claymore...

– Co? – zbrojny nie zrozumiał.

– Mów mi Claymore. Kurwa mać, ostatnio jak tylko ktoś chce mnie obrazić, mówi do mnie "panie Ramirez"... I powiem ci, Wulf, zaczyna mnie to wkurwiać...

Nagle poczuł ulgę, wręcz euforię. Stary zbrojny patrzył na niego jak na kogoś niespełna rozumu. Nie powiedział jeszcze przecież najważniejszego, o niebezpieczeństwach i obawach. O tym, że za wszystkim stoi ktoś potężniejszy, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka, że dawni wrogowie triumfują, choć wydawałoby się, że zniknęli z pola widzenia. Nie zdążył powiedzieć o panoszących się w mieście sługach opata, ponurego starucha, jak szeptali odważniejsi, będącego na usługach samego szatana. Tenże staruch nagle stał się kimś najważniejszym, okręcił sobie wokół palca szeryfa. I czynił sprawy, które zgoła nie pasowały do świątobliwego męża. Nie wspomniał też, że William z Salisbury postanowił wytępić banitów ogniem i mieczem. Stawiać szubienice i szykować lochy. A ten tu się cieszy jak głupi.

Ramirez istotnie wyglądał na zadowolonego, a przynajmniej jakby wielki kamień spadł mu z serca. Istotnie tak było. Zrozumiał właśnie, że najgorsza jest niepewność. Wiadomości, choć złe, dawały przynajmniej złudną nadzieję, że można stanąć naprzeciw niebezpieczeństwu, coś zaradzić. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Ale jeszcze nie wszystko było w porządku. Spoważniał i długo milczał.

– Posłuchaj, Wulf – zebrał się w końcu na odwagę. – A dziewczynka?

Mała, jasnowłosa...

Zbrojny pokręcił głową.

– Dzieci u nas dostatek – stwierdził ponuro. – Zostało ich za dużo, kiedy rodziny wyginęły. Masa ich gnieździ się na podgrodziu, w ruinach, nikt się nimi nie przejmuje. Co rusz znajdujemy jakieś, zagłodzone albo i zarżnięte. Już sporo wymarło.

– Ona nie... – Claymore przerwał.

Nie czuł się na siłach, by opowiadać o Bethie. Wiedział, że nie była zwykłą dziewczynką, uwierzył w to bez reszty. Ale wciąż nie mógł się zdobyć, by komukolwiek o tym powiedzieć.

– Nie rób sobie nadziei, Claymore – powiedział ciężko Wulf. Sam jak przez mgłę przypomniał sobie jasnowłose dziecko, kręcące się przy wozie kuglarzy, kiedy przybyli do Nottingham. – Jeśli jest twarda, przeżyje.

Ramirez milczał. Nic nie zostało do powiedzenia. Myślał o przepowiedni żabci, o tym, że oni oboje, on i mała dziewczynka, mogą sobie wzajemnie pomóc. I przyłapał się na tym, że ze wszystkich sił chce w ową przepowiednię uwierzyć. Bo ona dawała nadzieję, że kiedykolwiek ją odnajdzie.

– Nic to... – mruknął po chwili, przerywając ponure milczenie.

Wulf nie odpowiedział.

Muszę spotkać się z Matchem, myślał mozolnie Ramirez, odpychając z wysiłkiem wszystko, co niepotrzebne, na co nie mógł nic poradzić. Trzeba spróbować. Nie miał wielkiej nadziei, coś mówiło mu, że sprawy go przerastają, że widzi zaledwie niewielki wycinek całości. Jeszcze nie miał pełnego obrazu i zaczął wątpić, czy kiedykolwiek go zobaczy.

Nie chciał teraz myśleć o błędach, które popełnił, nieważne, czy mógł ich uniknąć, czy nie. Stało się. Kiedy spoglądał na starego zbrojnego, który sprawiał wrażenie pogodzonego z przeznaczeniem, zaczął mu świtać plan. Ryzykowny, jak sam przyznawał, i bardzo zbliżony do tego, który skończył się rzezią na placu targowym. Miał świadomość, że znów musi kogoś wykorzystać, a teraz będzie to Wulf. Przecież nic nie traci, pomyślał, i tak zamierza zginąć, by dopełnić przysięgi. Jednak wciąż przed oczyma stała mu twarz Jeana-Pierre'a, który nie wiedział nawet, za

co zginął.

Wciąż ją pamiętał, kiedy, nie patrząc na starego zbrojnego, zaczął mówić o swym planie.

- XIII -

*I need someone to show me the things in life that I can't find I can't see
the things that make true happiness, I must be blind Make a joke and I will
sigh and you will laugh and I will cry Happiness I cannot feel and love to
me is so unreal And so as you hear these words telling you now of my state I
tell you to enjoy life I wish I could but it's too late*

Black Sabbath, Paranoid

*A są też dwa duchy w jednym ciele opętanego, dusza y czart; iak forma
w materji a rzecz obca, na obcym mieyscu motor in mobili. Tedy człek
takowy alias Energumenus napędza się na ogień y na wodę, kaliczy się
opętany, a wszystko szarpie na sobie. A Zły przez organa iego ięzykami
przemawia, osobliwie kiedy opanuie pulmonem alias płuca. I siły ma ów
człek nad lata y naturę swoją.*

Żywot Bł. Piotra z Blyton, biskupa Lincoln

Jabłko było duże i rumiane. Claymore poczuł zapach lata, uwięziony pod skórką, jasnożółtą z czerwonymi smugami, jakby ktoś pociągnął ją pędzelkiem umoczoną w karminie. Jeszcze raz podrzucił dorodny owoc w dłoń, po czym już bez ociągania zatopił w nim zęby. Cierpki sok pociekł mu po brodzie.

Brat Gwidon spojrział kpiąco, gdy dostrzegł skrzywienie na twarzy Claymore'a. On wiedział, czego się można spodziewać; jabłka, pomimo wyglądu obiecującego miękkość i słodycz, były twarde i kwaśne. Nadawały się za to do długiego przechowywania, a właściwy smak zyskiwały dopiero wtedy, kiedy skurczyły się i pomarszczyły w dymie paleniska.

Ramirez dzielnie ugryzł jeszcze raz. Brat Gwidon, postawny mężczyzna wciąż w sile wieku, powrócił do przerwanej zajęcia.

W klasztornej kuchni, tej zimowej, panował upał. Skończyły się długie, ciepłe dni, kiedy lepiej gotować na wymurowanych z kamienia paleniskach osłoniętych od deszczu jedynie zadaszeniem. Jesień nadchodziła szybko, nie zwiastowały jej co prawda jak na razie słoty, ale noce bywały chłodne, schnącą i szarzejącą trawę pokrywał rankiem srebrzysty szron.

Claymore z przepaszającym uśmiechem odłożył jabłko. Zakonnik wskazał mu kosz, wypełniony prawie po brzegi innymi, tymi, które nie znalazły uznania głównego kuchmistrza klasztoru. Były poobijane, naddziobały je ptaki albo po prostu mała dziurka świadczyła, że w środku siedzi jeszcze mniejszy robaczek. Po chwili ledwie nadgryziony owoc spoczął na stercie innych. Brat Gwidon kiwnął głową i powrócił do swego zajęcia.

Sortował jabłka, wybierał starannie te, które nadawały się do suszenia, odrzucał inne, które trafią do świńskich koryt lub końskich żłobów. Claymore patrzył, jak starannie przygląda się każdemu owocowi, jak jego przecięta blizną na policzku twarz marszczy się, kiedy musi podjąć decyzję. Wygląd Gwidona dziwnie nie pasował do tego zajęcia, duże przecież i dorodne jabłka ginęły w wielkich, sękatych dłoniach, które niewątpliwie przywykły do czegoś innego niż drewniana kopyść czy nawet tasak.

Brat Gwidon wyglądał jak starzejący się, doświadczony żołnierz, przebrany przez czyjś kaprys w budy benedyktyński habit. Claymore nie miał wątpliwości, kim był kiedyś ten człowiek o krótko przyciętej siwej szczecinie na głowie i czaszce poznaczonej bliznami. Nie miał też wątpliwości, czyj kaprys sprawił, że jest teraz pokornym mnichem. Gwidon wyglądał na kogoś, kto decyzje podejmuje sam.

Z pokorą to chyba lekka przesada, pomyślał Claymore, kiedy mnich wyprostował się na chwilę nad koszem i ostrym głosem strofował któregoś z kuchcików. Zabrzmiało zupełnie jak seria rozkazów.

Dziwnie przypadli sobie do gustu, zakonnik o nietrudnej do odgadnięcia przeszłości i zawodowy zabójca. Znali się zaledwie trzy dni, a już nawiązała się między nimi nić porozumienia. I obaj mieli przeczucie, że mogliby się nawet zaprzyjaźnić.

Naturalnie żaden z nich nie powiedział na ten temat ani słowa.

Już trzy dni, pomyślał Claymore. I skrzywił się, przypomniawszy sobie, że wielkich sukcesów nie odniósł. Gdyby nie Gwidon, w ogóle niewiele by wiedział.

Kiedy przybył do klasztoru, przeor przyjął go chłodno. Widać było, że jest pochłonięty zgoła czymś innym, troską, która zgasiła żywy błysk w jego oczach, nieznacznie przygarbiła młodzieńczą sylwetkę. Wysłuchał z roztargnieniem bajeczki Ramireza o ślubowaniu, o potrzebie skupienia i modlitwy przed ważną wyprawą, do czego ów zagubiony w puszczy klasztor nadaje się idealnie. Jedynie drwiące spojrzenie, rzucone spod współprzymkniętych powiek, nasuwało wątpliwości, czy uwierzył choć w jedno słowo. Jak również w obietnicę hojnego daru, który przybysz złoży na ręce przeora.

W tym wypadku Claymore musiał przyznać rację Piotrowi z Blyton. Nie śmierział groszem, a prawdę mówiąc, od dawna nie zdarzył mu się tak kiepski okres, kiedy na dnie sakiewki podzwaniały ostatnie sztuki srebra. Niewiarę w potrzebę skupienia i modlitwy przyjął dzielnie, ale, jak pomyślał z niechęcią, pokorny mnich nie powinien sądzić ludzi po pozorach.

Co gorsza, miał świadomość, że został przejrany do cna. Przeor wprawdzie nie poszczuł od razu psami, nie kazał się wynosić. Wskazał stodołę, na co Claymore nie protestował, wiedział, że nie sposób zaliczyć go do znacznie lepszych gości, których mnisi przyjmują w lepszych kwaterach. Ale też nie chciał rozmawiać, zbył wszystkie próby z nieoczekiwaną szorstkością, która graniczyła wręcz z grubiaństwem, nijak niepasującym do przełożonego benedyktynów.

To nie wróżyło najlepiej. Według słów Wulfa przeor wiedział sporo, mógł wiele wyjaśnić. Stary zbrojny domyślał się niejednego, jednak sam nie mógł pociągnąć mnicha za język. Niepodobna przecież, by duchowna osoba opowiadała prostakowi sekrety Kościoła. Choćby nawet takie, o których szeptano wiele.

Głośniejszy okrzyk Gwidona wyrwał Claymore'a z zamyślenia. Postawny zakonnik sztorcował właśnie mnicha, który stał z głupią miną nad parującym kociołkiem, ściskając w garści wielką drewnianą kopyść. Ramirez dostrzegł, jak pod spojrzeniem kuchmistrza pechowy braciszek

blednie i zabiera się skwapliwie do zbierania szumowin z powierzchni gotującej się stawy.

Gwidon spokojnie, bez złości trzepnął braciszka w ucho. Uderzenie klasnęło głośno, choć z pozoru było lekkie, pechowy kuchcik zatoczył się z bolesnym kwiknięciem. Gwidon odsunął go bezceremonialnie na bok, chwycił pogrzebacz i począł rozgarniać węgle. Zakipiało, na palenisko z sykiem polał się ukrop. Kuchmistrz zaklął.

Ramirez przyglądał się, dopóki mnich nie skończył i w kotle nie przestało wrzeć gwałtownie, a strawa nie zaczęła znów łagodnie bulgotać. Po chwili braciszek z poczerwieniałym uchem stanął znów obok kociołka, tym razem z pogrzebaczem wetkniętym w garść przez zwierzchnika. Gwidon pogroził mu przed samym nosem kościstym paluchem, po czym, mrużąc coś jeszcze, powrócił do swoich jabłek.

– Rozgotowały do cna – powiedział po chwili.

Claymore skinął głową, choć nie znał się ani trochę na gotowaniu. Smakowity, coraz gęstszy aromat mówił mu, że braciszki za to znają się doskonale. Zapach doprawionej ziołami ryby wiercił mu w nosie, powodował skurcze żołądka. Przełknął ślinę.

Brat Gwidon zauważył to. Jego szczupła twarz skrzywiła się w uśmiechu.

– Dla was będzie coś lepszego, was przecież reguła nie dotyczy.

Zanim ucho kuchcika zdążyło przyzwycie spuchnąć, Gwidon skroił solidne pęto kiełbasy. Teraz rozbijał jaja i wlewał ich zawartość do rynki. Obok obutej w sandały stopy rosła sterta błyszczących od białka skorupki.

– On też nie chce jeść ryby – powiedział Gwidon.

Claymore nie musiał pytać, o kogo chodzi.

Do tej pory udało mu się spotkać Matcha tylko raz. A nawet porozmawiać. O ile wymianę kilku zdań, zakończoną niedwuznaczną propozycją, można nazwać rozmową.

Claymore specjalnie się nie zdziwił. Nie spodziewał się czegokolwiek innego, wystarczająco wiele dowiedział się o Matchu. Był świadom, że jest dla niego obcym, nieznanym człowiekiem, a Match z zasady podejrzewał obcych o nieczne zamiary. Poza tym wszystko chciał robić

sam.

Imię szeryfa niewiele pomogło. Nie pomogło wspomnienie o kuglarzach, o Snake'u, żabci czy też o tej, przy wymawianiu imienia której Claymore starał się zapanować nad twarzą. Także kiedy opowiedział pokrótce, jaki koniec spotkał Snake'a, nie dostrzegł nic w oczach Matcha. Poza obojętnością.

Liczył jeszcze na jego ciekawość, ostatecznie wiedział sporo, myślał, że dla Matcha to będzie cenne. Ale przeliczył się. Albo ten wiedział wszystko, albo, co bardziej prawdopodobne, po prostu nie chciał rozmawiać.

Brat Gwidon rozbił o brzeg rynki ostatnie jajko. Odstawił naczynie na bok.

– Nie lubi? – spytał Claymore. Nie, żeby był ciekaw, tylko gwoli podtrzymania rozmowy.

– Mówi, że są nijakie w smaku i mają za dużo ości – uśmiechnął się zakonnik, blizna ściągnęła mu policzek. – W ogóle nic by nie jadł, gdybym mu nie dawał.

Takiego postępowania można się było po Matchu spodziewać, Ramirez zorientował się, że o ile sam był ledwo tolerowany w klasztorze, o tyle Matcha traktowano z obawą i wręcz nienawiścią. Obawa nie pozwalała go wypędzić, ale nienawiść kazała unikać. Trudno się dziwić, pomyślał Claymore, skoro się wraca z zaświatów, klasztor nie jest najlepszym miejscem do przybycia.

I tak się dziwił. Mnisi wiedzieli wszak, kim jest Match, wszyscy, od przeora do najbardziej zasmarkanego nowicjusza. I co gorsza, wiedzieli, jaki spotkał go koniec, który, o dziwo, końcem się nie okazał. Ramirez zdawał sobie sprawę, że autorytet przeora pozwolił Matchowi na pozostanie tutaj. A przeor bał się Matcha bardziej niż konsekwencji, co było wyraźnie widoczne.

Claymore też nie miał sukcesów. Mnisi omijali go jak zapowietrzonego, widać przeor szepnął swoje. Wprawdzie nie spluwali na jego widok, nie czynili znaków od uroku ani nie żegnali się ukradkiem, jednak niewiele od nich usłyszał. Próbował nagabywać wszystkich, od nowicjuszy do starych, przygłuchych już dziadków, którym musiał wywrzaskiwać pytania prosto do ucha. Usiłował wciągać w rozmowy o

wszystkim i o niczym, by wydobyć cokolwiek, złożyć z tego, co się komu wypsnęło, jakiś obraz. Wiedział, że potrafi to robić, był w tym dobry.

Dawniej byłem dobry, pomyślał teraz z niechęcią. Potrafiłem wzbudzać zaufanie albo choćby strach. Teraz nie wychodzi, przyznawał samokrytycznie. Zbyt się spieszył, za bardzo był świadom traconego bezpowrotnie czasu. I zbyt wiele myślał o konsekwencjach.

Nie przewidział też jednego – powszechnego lęku, jaki padł na klasztor i żyjących w nim mnichów. Dopiero później, gdy spotkał brata Gwidona, zaczął pojmować, w czym rzecz.

Od razu przypadli sobie do gustu. Kiedyś Claymore siedział na pieńku, grzebał smętnie w misce postnej kaszy – bo jakoś nikt nie zaproponował mu wspólnych z mnichami posiłków – i nagle poczuł klepnięcie w plecy. Mocne, takie, że omal nie zakrztusił się wystygłymi jagłami. Poderwał się wtedy wściekły, gotów bluznąć wyzwiskami, bo cały dzień łąził po klasztorze i zaczął mnichów bez rezultatu. Ale zatrzymał się, kiedy poczuł zapach pieczeni na drewnianym talerzu, którą podsuwał mu pod nos siwy, wysoki mnich.

Szybko się porozumieli, nie potrzebowali wielu słów. W bracie Gwidonie, teraz klasztorzym kuchmistrzu, nie było lęku, który Claymore dostrzegał nawet w oczach przeora. Widome było, że dawny żołnierz – co do tego Ramirez nie miał wątpliwości, wystarczyło spojrzeć – nie boi się niezwykłych i zazwyczaj przynoszących kłopoty przybyszy.

On wskazał Ramirezowi miejsce, w które zwykł przychodzić Match, gdy już znudziły mu się samotne wędrówki po okolicznym lesie. I na jego widok Match się uśmiechnął, kiedy podeszli do niego obydwaj.

Claymore pojął wtedy, że między Matchem a mnichem też nawiązała się nić porozumienia. Dopiero później dowiedział się, że Gwidon jako jedyny spośród braci odważył się stanąć naprzeciw przybysza, uważanego przez wszystkich, nie bez pewnej słuszności, za demona. I to takiego, którym zbrzydziły się nawet czeluści piekielne. Zrozumiał, że Match w głębi duszy podziwiał byłego żołnierza, i nie jest do końca pewien, czy dotrzymałby pola swym mieczem przeciwko kuchennemu tasakowi. Widać było po sposobie, w jaki patrzył na brata Gwidona.

Ryby na wieczerzę dogotowywały się już, z kociołków buchała para. Na znak kuchmistrza mnisi zaczęli wyławiać je z pachnącej ostro koprem

wody i układać na wielkich tacach. Zwijali się szybko, kuchnię zbudowano nieco z dala od innych zabudowań w obawie przed pożarem, który w końcu wybuchł w każdej kuchni. Musieli się spieszyć, by ryby dotarły na stół ciepłe.

Gwidon przetarł rękawem habitu spotniałe czoło, w kuchni było teraz bardzo gorąco. Chwilę spoglądał na uwijających się mnichów, zmarszczył brwi na widok tego ze spuchniętym uchem, który wyraźnie odstawał od reszty. Na jego twarzy pojawił się namysł, jakby zastanawiał się, czy nie poprawić dla symetrii z drugiej strony, jednak w końcu machnął ręką. Mrugnął wesoło do Ramireza i rozgarnął pogrzebaczem żar tłący się na palenisku.

Wkrótce w płaskim garnku zaczęła skwierczeć podsmażana kiełbasa. Mnich rozbełtał jajka czymś, co osobliwie przypominało ułamany pugiński, przelał je z rynki. Claymore znów przełknął ślinę.

Kiedy wreszcie zobaczył przed sobą kopiastą porcję, ledwie się powstrzymał, by nie rzucić łapczywie na strawę. Wciąż pamiętał nieśmiertelne jagły w leśnym obozie. Nie przypominał sobie, kiedy ostatnio jadał tak przyzwoicie.

Spojrzał pytająco na mnicha. Ten jednak pokręcił głową. Nałożył sobie kawałek rozgotowanej ryby na wielką kromkę chleba, zaczął w niej dłubać małym nożykiem, starannie wybierać drobne ości.

– A dla niego? – spytał Claymore.

Twarz Gwidona spoważniała.

– Nie przyjdzie, kiedy tu jesteś. Dla niego zrobię później.

Claymore zaklął tylko pod nosem. Wciąż liczył, że Match pójdzie po rozum do głowy. Miał nadzieję, że jeśli nie będzie mu laź w oczy, narzucił się natrętnie, w końcu się spotkają. Dlatego przesiadywał w kuchni, gawędził z bratem Gwidonem, choć trzęsła nim niecierpliwość. Przypuszczał, że tu będzie najłatwiej się spotkać i może tym razem rozmowa potoczy się inaczej. Bo przecież byli sobie nawzajem potrzebni.

Ale słowa mnicha rozwiały nadzieje. Match był konsekwentny, trzymał się tego, co powiedział już wcześniej, przy pierwszym i jedynym spotkaniu.

Chwilę mierzyli się wzrokiem. Claymore widział wychudzoną twarz, szczuplejszą, niż zapamiętał z nottinghamskiego placu targowego. Z wisielczym humorem pomyślał, że nic w tym dziwnego, w końcu śmierć nie jest obojętna dla zdrowia i trudno oczekiwać kwitnącego wyglądu po kimś, kogo po raz ostatni widział z bełtem tkwiącym w sercu.

Uśmiechnął się nawet lekko na tę myśl, zaraz jednak spoważniał. Spojrzenie Matcha nie zmieniło się, pozostało ciężkie i nieufne. Prawda, dotarło do Ramireza, nie zna mnie przecież, nie widział nigdy. De Reno raczej mu o mnie nie powiedział, był zbyt przezorny. Nie lubił, gdy jego zausznicy spoufalali się ze sobą.

Zastanawiał się, jak zacząć. Dużo chciał mu przekazać, od tego, co powie, zależało bardzo wiele. I z niechęcią też przyznawał, że sam czuje się niepewnie. Wiedział wprawdzie, że Match żyje, że spotka go tu, w zapadłym, małym klasztoru. Domyślał się tego od miesiący, przeczuwał. W końcu Wulf powiedział to wprost. Co innego jednak słyszeć, co innego spotkać człowieka, którego zabito.

– Jestem Claymore Ramirez – powiedział w końcu. – Przyszedłem...

– Mam powiedzieć, że mi miło? – przerwał mu Match obojętnie. Wyraz jego twarzy nie zmienił się wcale.

Z tyłu dobiegło ciche chrząknięcie, po chwili żwir zachrząścił pod ciężkimi krokami obutych w sandały stóp. Brat Gwidon postanowił dyskretnie się oddalić. Claymore spostrzegł, że Match odprowadził go wzrokiem.

Kiedy ucichł odgłos kroków, Claymore spróbował ponownie.

– Wielu myśli, że nie żyjesz.

– Pogłoski o mojej śmierci są mocno przesadzone – uciął Match zimno. – Nie martw się, Ramirez, czy jak cię tam zwa, są tacy, którzy w nie wierzą.

Skrzywił się, jakby powiedział za wiele.

Ramirez uświadomił sobie, że chyba po raz pierwszy w życiu spotkał człowieka, który go po prostu onieśmiela. Zbyt wiele o nim słyszał, zbyt wiele wiedział. I zrozumiał teraz, jak go podziwia i szanuje.

Miał sporo do powiedzenia, i zupełnie nie wiedział, od czego zacząć. A ciężkie, nieprzyjazne spojrzenie, jakim mierzył go Match, wcale nie pomagało.

Claymore otarł usta z tłuszczu. Zajęty myślami nie zauważył nawet, kiedy dojadł wszystko. Brat Gwidon też skończył prawie ze swoją rybą, głośno wysysał teraz kręgosłup, na końcu którego została jeszcze rozgotowana płetwa ogonowa.

– *Mae o'n rel coc oen* – mruknął Claymore kąśliwie, przypomniawszy sobie rozmowę.

Mnich parsknął nagle, plując ościami. Nie musiał pytać, kogo Claymore miał na myśli. Match jest w porządku, pomyślał były żołnierz, ale istotnie, zachowuje się nieraz niczym barani fiut.

Otarł usta, strząsnął przeżute resztki z habitu.

– Nie dogadaliście się – stwierdził.

– Ano nie – przyznał Ramirez niechętnie. – Nie chciał mnie słuchać.

Zastanawiał się, ile też wie brat Gwidon, jak wiele się domyśla. I jak wiele dowiedział się od Matcha. Starzejący się mnich umiał słuchać, wzbudzał zaufanie. Claymore przyłapał się już nieraz na tym, że na półsłówka Gwidona odpowiada wyczerpująco, nie zastanawiając się nawet, czy powinien mówić.

Sam kuchmistrz mówił mało. W ogóle starał się wyglądać na takiego, co do trzech nie potrafi zliczyć, a jego ulubionym zajęciem jest walenie kuchcików po uszach i pomstowanie na opieszałość. Ale niezbyt te starania wychodziły. Claymore nie miał wątpliwości, że skromny zakonnik posiada w klasztorze spore poważanie, niepasujące wcale do pełnionej funkcji. Z jego zdaniem liczyli się wszyscy, nawet mistrz nowicjuszy, już na pierwszy rzut oka będący człowiekiem zadufanym w sobie i po prostu głupim. Liczył się nawet przeor. Nie powiedział ani słowa, kiedy spostrzegł, w jakiej komitywie znalazł się Claymore z bratem Gwidonem, choć wyraźnie było mu to nie w smak.

Ramirez przypuszczał, że zakonnik wie o wiele więcej, niż dotąd

powiedział. Nie naciskał go jednak, wiedział, że to nie ten typ człowieka, który ugnie się łatwo, widać miał swoje powody, by milczeć. Można było przypuszczać, jakie życie musiało nauczyć starzejącego się mnicha ostrożności. Claymore zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany, że Gwidon wciąż nie ma o nim wyrobionego zdania. I być może kiedy nabierze zaufania, powie coś więcej.

Wiedział, że w żaden sposób tego nie przyspieszy. Czekał więc, choć od trzech dni skręcała go wręcz niecierpliwość.

Mnich otrzepał wreszcie habit, wytrząsnął okruchy chleba i ryby z krótko przyciętej, siwej brody. Popatrzył na Claymore'a.

– Dogadacie się – mruknął – już wkrótce.

Ramirez szyderczo parsknął.

– Co ty gadasz, ojczaszku – pamiętał, że Gwidon nie znosi tego określenia, użył go celowo – powiedziałem mu wszystko to, co opowiadałem też tobie, chociaż pewnie i tak nie kapujesz, o co chodzi. Zaproponowałem pomoc. I wiesz co?

– Wiem. – Zakonnik uśmiechnął się złośliwie. – Nietrudno się domyślić.

Opowieść była nieskładna, Ramirez wiedział, że musi się spieszyć. W ciężkim wzroku Matcha pojawiła się niecierpliwość, która powoli przechodziła w złość.

Starął się powiedzieć jak najwięcej, zawrzeć wszystko, co widział, czego się domyślał i co przewidywał, w jak najmniejszej liczbie słów. Odwołał się do przeszłości, do osoby szeryfa, co wydawało się najlepszym uwierzytelnieniem. Ale nie dostrzegł żadnej reakcji. Match tylko milczał i słuchał, jeszcze nie przerywał. Opowiedział dzieje kuglarzy, licząc, że może w ten sposób poruszy jakąś czulszą strunę. W końcu stanęli przy boku Matcha w straceńczej misji. Zaryzykowali własne życie, i zapłacili.

Kiedy mówił o tej zapłacie, patrzył uważnie w twarz rozmówcy, chcąc dostrzec jakąkolwiek reakcję. Nie dostrzegł, i wtedy zrozumiał, że

właśnie wali łbem w najgrubszy mur, jaki napotkał w życiu. Z rezygnacją pomyślał, że to na nic. Mógł jeszcze powiedzieć o Marion, ale coś przestrzegło go, by tego nie czynić.

Ale spróbował jeszcze, zupełnie wbrew sobie, choć jemu samemu trudno było mówić. Powiedział o Fabienne, dziwnej dziewczynie, która też nie zawahała się pomóc, ryzykując własne życie.

I też nic.

W końcu zamilkł, wciąż czując na sobie nieruchome, obojętne spojrzenie.

– Chcę pomóc – powiedział wreszcie po prostu, po długim milczeniu.
– Możemy razem, mamy ten sam cel.

Wargi Matcha wreszcie drgnęły, skrzywiły się w uśmiechu. Przez chwilę Claymore miał szaloną nadzieję, że jednak się udało. Tylko przez chwilę.

– Spierdalaj, Ramirez – usłyszał.

– Spierdalaj! – uniósł się Claymore. – Tyle tylko mi powiedział.

Wstał z zydła, kopnął go pod ścianę. Zaczął przechadzać się po kuchni, cichej teraz i spokojnej w porze posiłku, kiedy nikt nie zwijał się przy paleniskach. Wkrótce znów pomieszczenie wypełni się gwarem, mnisi powrócą do pracy, której nigdy nie brakowało jesienią, gdy trzeba było przyszykować zapasy na długą zimę. Ale na razie byli tu sami.

– Tylko tyle! – powtórzył Claymore i ze wzburzeniem huknął pięścią w kociołek, na szczęście pusty i zimny. I zastygł, usłyszawszy chłodny głos:

– Siadaj!

W tonie był rozkaz. Już nie przemawiał brat Gwidon, dobroduszny zakonnik w lepkiem od tłuszczu, połatanym habicie. Nawykłym do komendy głosem przemówił stary żołnierz.

Ramirez posłuchał odruchowo. Podsunął sobie zydela i usiadł. Mnich nie uśmiechał się, był poważny.

– Twardy jesteś sukinsyn, Claymore – mruknął Gwidon. – Więc może byś pomyślał trochę, rozejrzył się. Posłuchał, zamiast miotać się jak panienka, której w ruczaju pijawka się do rzyci przyssała.

Claymore mimo woli się uśmiechnął.

– I głupi też nie jesteś, swoje wiesz. Oczkami łypiesz, ucha nadstawiasz, znam ja takich jak ty. Poskładałeś sobie już sporo, wiesz, co się święci. I wiesz też, że ani ty, ani on nie znajdziecie tu tego, po coście przyszli. Nie znajdziecie pomocy.

Ociężałym gestem mnich przetarł spotniałe czoło. W kuchni wciąż było gorąco, wielkie paleniska nie wygasły jeszcze.

– Przeor Piotr wkrótce stąd odejdzie – mówił Gwidon cicho. – Zasłużył się tutaj, wyższe stanowiska go czekają. Grzech popełnię ciężki, mówiąc tak o zwierzchniku, ale słaby to człek. Wielkiej wiary, ale tchórzliwy. On nie pomoże, nie powie nawet, co wie, a wie sporo. Bo woli możliwym służyć, by przypadkiem się nie narazić, nie zostać tu do końca marnego żywota. We wyższe on stanowiska mierzy, pewnie i biskupem chciałby zostać...

Zakonnik splunął na polepę, roztarł plwocinę sandałem.

– Dlatego o sobie jeno myśli. Za nic mu racja, za nic mu krzywda. Boi się Matcha, pamięta, co kiedyś na klasztor sprowadził. Ale boi się też o swą nominację, bo wie, że opat Nottingham wielki wciąż ma głos.

Claymore skinął głową. Wszystko pasowało do tego, co mówił Wulf, i do tego, co sam widział w mieście. Opat był tylko narzędziem, ale narzędziem wciąż skutecznym. Znów niepokój ścisnął żołądek. Przeciwnik wciąż wyprzedzał go o krok. I coraz bardziej Claymore nabierał przekonania, że chodzi już jedynie o zemstę. Po przeciw nie pozostał żaden inny cel.

– Nie macie czasu. Przeor to słaby człek – powtórzył Gwidon i twarz ściągnęła mu się drapieżnie. – Jeszcze się boi. Ale już niedługo się przełamie i podejmie decyzję, a ona może być tylko jedna.

Spojrzał Claymore'owi w oczy. Ten pokiwał głową. Też zaczynał się domyślać.

– Źle to, by mnich takie zamysły czynił – mruknął brat Gwidon. – Z możliwymi się sprzymierzał, którzy i przez biskupa o odstępstwo od wiary

są pomawiani. Nie mnie go sądzić...

Oczy starego żołnierza błysnęły.

– ...ale jeśli skurwysyn w piekle się będzie smażył, to już nie moja wina.

Znów splunął na polepę. Po chwili ochłonął, przeżegnał się machinalnie.

– Nie wiem, Ramirez, co w tobie siedzi, nie wiem, jaki masz cel – podjął po chwili. – Nie chcę nawet wiedzieć, porzuciłem światowe troski. Ale kiedyś byłem podobny do ciebie, swój pozna swego. Dlatego ci pomogę, tobie i jemu. I niech mnie diabli porwą, jeśli będę żałował.

Wyszczrzył zęby. Było w tym coś takiego, że Claymore istotnie uznał starszego mnicha za swego. Nieraz już widywał taki uśmiech. Nie wiedzieć czemu wspomniał Marcela z Tours i uważniej przyjrzał się bratu Gwidonowi.

– Mogę to powiedzieć tobie – ciągnął były żołnierz, a może były najemnik. – Match nic się nie dowie, on tylko chodzi i myśli. Rozpamiętuje i czeka na chwilę do zemsty. Będzie tak czekał, aż się doczeka zdrady. Bo przeor już długo nie wytrzyma.

– Chciałem powiedzieć o opacie – mruknął Claymore z rezygnacją. – Nawet nie chciał słuchać.

– Nic dziwnego. Uwierzyłby przeorowi. On jest naiwny, mimo wszystko szanuje tego obłudnika. Pamięta, że kiedyś miał u niego gościnę, i nie potrafi dostrzec, jak ten marny człek się zmienił, jakie nim ambicje miotają. No, a oczywiście przeor mu nic nie powie.

– Więc co, ja mam mu powiedzieć? Przecież wiesz, że ze mną nawet nie chce gadać. Przepędził mnie, teraz unika jak trędowatego.

Claymore był już niecierpliwy i zły. Wszystko zaczynało się rozsypywać.

– Może tobie ma uwierzyć? – krzyknął prawie, wylewając całą złość. – Albo mnie?

Gwidon się skrzywił.

– Nie ciskaj się tak – zakpił. – Przeor to przeor. A powinieneś wiedzieć, że nie tylko z władzą warto gadać. Match siedzi tu ze dwie niedziele. Wydaje mu się, że ma czas, więc siedzi i myśli...

A jak nie będzie miał czasu, będzie tylko siedział, pomyślał ponuro Ramirez. Nie powiedział tego na głos, dowcip wydawał mu się zbyt stary.

– Nagabywał przeora, nie dowiedział się niczego, Piotr nic mu nie powiedział istotnego, zbyt cwany na to. I zrezygnował, uwierzył na słowo, chociaż jakby poszukał...

Dłoń spadła na ramię mnicha, palce się zacisnęły.

– Mów! – syknął Claymore. Nie znosił, kiedy ktoś robił z niego durnia, a teraz miał takie wrażenie, że siwy, postawny mnich kpi sobie z niego. Wiedział coś ważnego i nie raczył dotąd powiedzieć.

Uścisk palców musiał być bolesny, bo zakonnik sapnął tylko. Nie czekał jednak, aż Claymore nim potrząśnie, złapał za nadgarstek. Palce Ramireza rozprostowały się nagle, kiedy poczuł, jakby coś chwyciło jego rękę w potężne imadło. Gwidon bez widocznego wysiłku odepchnął go po chwili.

Rozcierając nadgarstek, Claymore mimowolnie wspomniął Snake'a.

– Nie poszukał – ciągnął mnich, jakby nic się nie stało, tylko może oddech nieco mu przyspieszył, a oczy zwężyły się złośliwie, kiedy spoglądał na skrzywionego Ramireza. – A mógłby się nieco dowiedzieć, być może o tym, co dzieje się w mieście, a nawet w opactwie. Być może...

Zakonnik zawiesił głos.

– Bo trzeba ci wiedzieć, że mamy tu takiego, uciekiniera. Kleryka z Nottingham. I to ta dobra wiadomość, którą mogę ci powiedzieć. Zła jest taka, że pewnie niewiele się dowiesz.

Gwidon wstał ociężale, nieczuły na przynaglające spojrzenie. Odciął z pęta wiszącego pod niskim stropem kawał kiełbasy, ugryzł potężny kęs.

– I tak już dziś nagrzeszyłem – mruknął niewyraźnie i przełknął. – Jeden grzech więcej, jeden mniej, i tak wszystko przez was...

– Zlituj się, człowieku, i powiedz wreszcie – mruknął Claymore. Ale nie próbował już potrząsać mnichem.

– Zła jest taka, że chłopci go znaleźli, we wioskach, i do nas przywiedli. Poznali widno, że duchowna osoba, albo i uznali, że i tak nie ma z czego obedrzeć, a truchła do gnojówki wrzucić. Bo zmysły ma całkiem pomieszane. Przeor trzyma go przeto w obórcie na łańcuchu, jak jest we zwyczaju z popaprańcami, co poprawy nie rokują. Dla jego dobra zresztą.

Bo trzeba ci wiedzieć, że co ostrego ów człek znajdzie, tnie się. I nawet to mu nie wychodzi.

Nadzieja poczynała się rozwiewać.

– Przeor coś się od niego dowiedział? – spytał jednak Claymore.

Gwidon zaprzeczył.

– Niewiele – odparł. – Tyle, że to kleryk z opactwa, który przeciwne naturze i straszne rzeczy tam zobaczył, aż mu się rozum od tego pomieszał. Ale ważniejsze jest coś innego.

Popatrzył na Ramireza, który kiwnął głową. Pojął od razu.

– Potwierdzenie, że w opactwie coś się dzieje – powiedział powoli. – I kiedy ów kleryk zmysły odzyska...

– Nie odzyska – przerwał Gwidon. – Przeor i egzorcyzmów nawet próbował, co prawda cienki jest, bo za bardzo złego się boi...

Roześmiał się złośliwie.

– Ale wierz mi – dokończył. – Nikt tu nie pomoże, nawet jego ekscelencja biskup. Ani najlepszy egzorcysta. Jedyne, co temu nieszczęśnikowi może pomóc, to rychła śmierć, która go od cierpień wyzwoli.

Claymore myślał intensywnie. Istotnie, może być trudno, ale warto przecież spróbować.

– Match o nim nie wie?

– Nie. Nawet się nie domyśla, że jest. Nikt z braci pary z gęby nie puści, przeora słuchają, który gadać z nim zabronił, a i sami się boją. A on nie szukał, nie przyszło mu do głowy obórek przepatrywać.

Podrapał się po głowie, rzucił Claymore'owi wyzywające spojrzenie.

– A ja mu nie powiedziałem – dodał, uprzedzając pytanie, które niechybnie by padło. – Bo nic by się nie dowiedział, prędzej by nieszczęśnika łańcuchem udusił, gdyby choć strzępki z tego usłyszał, co on gada. Zresztą sam zobaczysz..

– Zaprowadzisz mnie tam? – spytał zupełnie niepotrzebnie Claymore.

– Przecież, kurwa, przed chwilą powiedziałem – mruknął niechętnie Gwidon, po raz kolejny tego dnia łamiąc regułę. Zaczynało mu być wszystko jedno.

Obórka na uboczu niczym się nie wyróżniała od sąsiednich. Była nowa, wybudowana zapewne tego lata, ściany z balików świeciły bielą świeżego drewna, złota słoma strzechy nie zdążyła jeszcze poszarzeć od słoty. Może tylko drzwi, zawarte solidnym rygłem, mogły zwracać uwagę.

Brat Gwidon rozejrzał się, choć ostrożność była niepotrzebna. Tu, na skraju pod samymi opłotkami mnisi kręcili się rzadko, zwłaszcza teraz. A obory postawiono na wyrost, zapobiegliwy przeor miał nadzieję na zwiększenie liczby inwentarza. Ale nowe budynki gospodarskie wciąż stały puste. Nie unosił się ciężki odór gnoju, zamiast tego pachniało drewnem i słomą.

Skrzypnęły odryglowane drzwi. Zakonnik cofnął się, dał znak, by Claymore wszedł pierwszy.

– Tylko ostrożnie – mruknął.

W niskich drzwiach musieli dobrze się schylić, by nie rozbić głów o nadproże. W nozdrza Ramireza uderzył smród odchodów zmieszany z wonią niemytego ciała i ciężkim zapachem skrzepłej krwi. Było ciemno, małe okienka zostały czymś zatkane, a sam przesłonił wejście, kiedy w nim stanął.

Nie słyszał nic. Ostrożnie postąpił krok do przodu. Oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności, już dostrzegał kształt pomieszczenia, coś jaśniejszego, jakby słomę zrzuconą pod ścianą. Stał bez ruchu, za sobą słyszał posapywanie brata Gwidona.

– Stój, nie idź dalej – doszedł szept zakonnika, cichy, lecz dobitny.

Claymore poczuł, jak jeżą mu się włosy i po karku przebiega zimny dreszcz. Smród go dławił, miał skurcze żołądka, bał się, że za chwilę nie zdoła pohamować mdłości.

Z całej siły nakazał sobie opanowanie. Rozglądał się ostrożnie. Już widział lepiej jakby stertę szmat w samym kącie. Zesztywniał, kiedy zobaczył błysk białek oczu w słabym świetle dochodzącym przez niskie drzwi.

Kiedy nagle brzęknął łańcuch, chciał uskoczyć do tyłu. Oparł się na

szerokiej piersi zakonnika. Gwidon też sapnął głośniejszym, jakby się zachłysnął, mimo iż niewątpliwie był przygotowany.

Łańcuch okazał się krótki, zbyt krótki, by wykrzywione na kształt szponów palce dosięgły przybyłych. Brakowało dobrych dwóch łokci, by połamane i brudne, ale wciąż ostre paznokcie przeorały im twarze.

Obroźa zdławiła charkot, który rozlegał się jeszcze w chwili, gdy coś wyglądające jak sterta szmat pod ścianą rzuciło się Claymore'owi do gardła. Zadźwięczały naprężone ogniwa, dał się słyszeć tylko zduszony jęk, kiedy nieforemna, ledwie widoczna w mroku postać z gorejącymi nienawiścią ślepiami jeszcze raz próbowała uderzyć. Na próżno.

Claymore wiedział, że przecież brat Gwidon nie przyprowadziłby go tutaj, gdyby groziło realne niebezpieczeństwo. Ryzyko nie miałooby sensu. Ale mimo to bezwiednie napierał na stojącego za nim, ciężko sapiącego zakonnika, odruchowo ścisnął rękojeść korda przy boku.

Miał nadzieję, że żelazne kółko mocujące łańcuch do ściany jest solidnie przytwierdzone.

Od postaci uderzała fala smrodu.

Nagle łańcuch znów zabrzączał, postać zgarbiła się, jednym skokiem wróciła na swoje miejsce, pod ścianę, tam gdzie dochodziło najmniej światła. Poczęła się kołysać, pojękując cicho. W tym jęku nie było nic ludzkiego i Claymore poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po kręgosłupie.

Odetchnął głęboko, prawie dławiąc się gęstym, niemalże dotykającym smrodem.

– Co to, kurwa, jest? – spytał bezradnie.

Uświadomił sobie, że mówi szeptem.

– Człowiek – odszepnął mnich. – Taki jak ty czy ja, przynajmniej taki był.

Cofnął się trochę, Ramirez postąpił za nim. Stali teraz w drzwiach, ledwie się w nich mieszcząc, bo obaj byli postawnymi mężczyznami.

– Niektórzy mówią, że jest opętany – ciągnął zakonnik cicho. – Że zły wstąpił w to ciało, męką je doświadcza. Może i prawda.

Pociągnął Claymore'a za rękaw, obaj wyszli z obórki, odetchnęli głęboko.

– Może i zły. – Brat Gwidon odetchnął głęboko. Smród docierał wprawdzie przez drzwi, ale nie był już tak dokuczliwy i intensywny. – Tak mówi Pismo, żywoty świętych. Nadziei nie odbiera, zawsze można ciało umęczyć, by duszę uratować. Na poradę świątobliwych doktorów i egzorcystów liczyć.

Splunął z pogardą. Popatrzył Claymore'owi prosto w twarz.

– Tak przeor, prosty człek, myśli. Dręczy ciało, by zły je opuścił, takie mu dyzgusta czyni. Powiada, jeśli nie wynijdzie po dobroci, ogniem trzeba będzie oczyścić, mistrza sprowadzić, który powinność swą uczyni. I wiesz co, Ramirez?

Claymore spojrzał pytająco.

– Przeor właśnie tego chce. Pokazać sobie, że jest silniejszy od złego. Bo złe go sponiewierało, że ledwo się pozbierał. Więc teraz ma tego nieszczęśnika, na nim się wyżywa. Dla jego dobra naturalnie. I czuje się silny i prawy.

Brat Gwidon zgarbił się, wbił wzrok w ziemię.

– A ja myślę, że tu trzeba litości. Nie zakuwać w obrozę, nie dręczyć, jeno litościwie dobić. I wiesz, nie potrafię...

Ramirez spojrzał w jasne, jakby wypłowiałe oczy starego żołnierza. A więc dlatego mnie tu przyprowadziłeś, bracie, pomyślał. Nie, żebym się czegokolwiek dowiedział, bo przecież nic z niego nie wydobędę.

Nagle napłynęło wspomnienie, jarmark w portowym mieście, gdzieś na południu. Klatka z żelaznych prętów, a w środku na łańcuchu miotało się coś, co kuglarze zachwalali jako prawdziwego psiogłowca, człeka osobliwego z dalekich krain. I chociaż Claymore wiedział, że nie żaden to człek albo inny potwór, tylko zwykła mała z czerwonym zadkiem, wciąż pamiętał spojrzenie załzawionych oczu, z których pod czerwonym nalotem wściekłości można było wyczytać błaganie o wyzwolenie, obojętne jakie.

Nie potrafisz już? – pomyślał teraz Claymore, wciąż widząc te oczy. Nie wiedział tylko, czy te odgrzebane z pamięci, czy te widziane przed chwilą, w ciemnym, śmierdzącym wnętrzu obórki. Nieważne, było w nich takie samo szaleństwo i błaganie.

I podjął decyzję. Nie była zbyt trudna, jak sam skonstatował z

pewnym zdziwieniem. Ja wciąż potrafię, przemknęła tylko myśl. Dziwna myśl, zabijać z litości.

Ostrze błysnęło słabo, odbiło wąski promień światła, wpadający przez niskie drzwi. Claymore stanął bez ruchu. Czekał, aż oczy przywykną do ciemności. Starał się oddychać ustami, ale odór wciąż dochodził z jednakową siłą, słodkawy i obezwładniający.

W każdej chwili spodziewał się ataku, kolejnego rozpaczliwego skoku, który powstrzyma tylko zakuta na szyi obroża. Ale nic takiego nie następowало. Kiedy zaczął już widzieć lepiej, dostrzegł nieforemną, ciemną bryłę pod ścianą, tam gdzie i poprzednim razem. Kontury były nieostre, zlewały się z mrokiem, lecz zauważał jakiś ruch, jakby skulonym nieszczęśnikiem wstrząsały dreszcze. Podzwaniały ogniwa luźno zwisającego łańcucha.

Claymore ochłonął nieco po swej nagłej i niespodziewanej decyzji. Zaczynał nawet żałować.

Zastanawiał się ponuro jak, do diabła, ma to zrobić. W ciemnym wnętrzu, o polepie pokrytej odchodami, na których łatwo się poślizgnąć. Jak zabić coś, co rzuca się z pazurami do twarzy, jest przerażająco szybkie i pełne nienawiści. Jak drapieżne zwierzę, zapędzone w kąt bez wyjścia.

Gorzej niż zwierzę. Bo pod szaleństwem i rozpaczą w błyszczących oczach kryła się inteligencja.

Ale nie mógł się przecież wycofać. Z niepokojem spostrzegł, że zwilgotniały mu dłonie, przełożył rękę do drugiej ręki, otarł skórę o spodnie. Klinga znów złowiła wpadający z zewnątrz promień światła, zabłysła w ciemności nędznej obórki. Nieforemna sterta pod ścianą aż podskoczyła, monotony jęk przeszedł na chwilę w urywany skowyt. Łańcuch zabrzączał głośnie.

Boi się, spłynęło olśnienie. Lęka się ostrza, choć, jak powiadał Gwidon, sam chciałby pociąć się wszystkim, co wpadnie mu pod rękę. Claymore uświadomił sobie, że nie dostrzegł tym razem błysku

wlepionych w siebie ślepiów, które nie były już ludzkimi oczyma. Nie śledził go czujny wzrok, w oczekiwaniu na najlepszy moment do ataku.

Tylko dreszcze wstrząsały nieforemnym, skulonym kształtem. Monotonny jęk przechodził w zaśpiew.

W znajomą melodię.

Claymore zachwiał się, poczuł zawrót głowy. Zniknęła śmierdząca obórka, przekształcona przez fanatycznego przeora w miejsce powolnej kaźni lub zbawienia duszy, jak kto woli. Znów stał na polanie w środku puszczy, obok szałas, wsłuchiwał się w melodię bez słów, którą nuciła za cienką ścianą z żerdzi i gałązek nieprzytomna, umierająca kobieta. Znów ścisnął śliski od krwi trzonek noża i wpatrywał się w ciemne, przepastne oczy, które jeszcze niedawno były oczyma małej, jasnowłosej dziewczynki, a teraz dostrzegał w nich całą mądrość i ból pokoleń.

I zanim powrócił do rzeczywistości, ujrzał jeszcze te inne. Te, w które mógłby patrzeć bez końca, piwne, pod ciemnymi łukami brwi, kontrastującymi z jasnymi włosami.

Dość!

Zaśpiew wznosił się, piosenka bez słów zdawała się wypełniać ciemną, śmierdzącą przestrzeń. Zanim jeszcze pomyślał, słowa same się nasunęły, jedyne właściwe. Wykrzyczał je głośno:

– *Une mal chançon n'en deit estre cantee!*

Podszedł za blisko. Kiedy brzęknął łańcuch, jęknął jak napięta do ostateczności struna, nie zdołał odskoczyć, wszystko działo się zbyt szybko. Ciemny, rozmazany kształt wyprysnął spod ściany. Obroza zdławiła charkot, Claymore, uderzony falą smrodu i dotykanej prawie emocji, zatoczył się, omal nie wypuścił broni. Przymknął oczy, w jednym błysku rozpaczliwej myśli, że to przecież nie pomoże, bo szponiaste palce przebiją się przez powieki.

Ból i szok nie nadszedł. Nie słyszał nienawistnego, wściekłego charkotu. Tylko zwykły, ludzki szloch. Poczuł, że czyjeś ręce obejmują jego buty.

Kierowany impulsem pochylił się, dotknął zmierzwionych, sztywnych od brudu włosów. Coś, co było jeszcze przed chwilą drapieżną małpą zamkniętą w klatce bez wyjścia, załkało głośnie. Zimne palce chwyciły

go za nadgarstek.

– Mów... – powiedział Claymore łagodnie.

Przykucnął obok nieszczęśnika, który na powrót stał się człowiekiem, choć zapewne na krótko.

Niewątpliwie na krótko. Claymore był tego pewien, kiedy już popłynęła nieskładna opowieść.

Mały, kulawy stolik zachwiał się i zaskrzypiał. Młody kleryk w ostatniej chwili schwytał miseczkę z cennym inkaustem, która znalazła się już niebezpiecznie blisko krawędzi. Mimo chłodu panującego w podziemiach oblała go fala gorąca. Postawił ostrożnie gliniane naczynie, przez chwilę rad, że został sam w ciemnym korytarzu.

Wstrząsnął się. Tu, w podziemiach opactwa St. Mary's, zawsze czaił się chłód, nawet w środku upalnego lata. Poczerniałe od kopcia ściany i łukowate sklepienia spływały wilgocią. Drobne kropelki skrzyły się w blasku łuczyw, wionęło zimnem i stęchlizną.

Lochy były stare. Sklepione korytarze z ciosanego wapienia pamiętały jeszcze najazd earla Gloucester, kiedy to cesarzowa Maud wadziła się z królem Stefanem o prawa do tronu. Nottingham spłonęło wtedy, jednak ostał się stary kościół. Ale nie oparł się później, gdy miasto znów padło ofiarą podboju, podczas rebelii przeciw Henrykowi II.

Teraz, na starych fundamentach, ponad mrocznymi kryptami wyrosło nowe opactwo. Lecz w mrocznych korytarzach i ciemnych zakamarkach wciąż panował chłód.

Kleryk zabrał się do ostrzenia piór. Musiał coś zrobić, czuł się bardzo nieswojo w pustym korytarzu, oświetlonym jednym kopcącym łuczywem. Miał wprawdzie świecę w lichtarzu na stole, nie zapalał jej jednak jeszcze. Wiedział, że jego wielebność opat nie lubi rozrzutności.

Kąty nikły w mroku, blask łuczywa nie docierał daleko. W podziemiach było cicho, z loszków za zakrętem nie dochodziły nawet zwykłe złorzeczenia i jęki. Tylko szczury popiskiwały w kątach, mącąc ciszę odmierzaną kapaniem sączących się gdzieś ze sklepienia kropli.

Młodzieniec skupił się na przycinaniu końcówki pióra. Wysunął aż język, starając się ostrym nożem nadać odpowiedni kształt. Kiedy wreszcie nadejdzie skryba, powinien mieć odpowiedni zapas, schludnie ułożony obok pergaminowej karty i glinianej miseczki z inkaustem. Wymagająca uwagi czynność pochłonęła kleryka, tylko od czasu do czasu zezował na okute, zamknięte drzwi. Przez grube deski nie dochodził żaden odgłos. A przecież mistrz zaczął już przygotowania.

Kleryk zadrżał. Nigdy nie dane mu było dotąd zobaczyć izby za drzwiami, choć nasłuchiwał się o niej wiele. Odłożył gotowe pióro i przeżegnał się pospiesznie. Chyba teraz wcale nie miał ochoty oglądać, choć zwykle żarła go okrutna ciekawość. Jak to jest, kiedy szatan bierze dusze niewinne we władanie, jakich sztuczek używa, by śmiertelników zwodzić. Był ciekaw, i ze wszech miar chciał się ze złem zmierzyć, wiary prawdziwej bronić. Nieszczęśników zbłąkanych wybawiać, jak opowiadał nieraz ksiądz z ubogiego drewnianego kościółka na ojcowych włościach. Dlatego też młodzian święcenia przyjął, choć ojciec krzyw był, w swych marzeniach jako giermka go widząc.

Już rok bez mała Bogu i opatowi służył i nieraz niecierpliwość doskwierała. Krzywił się, że jeno do posług jest zdatny, i nawet do izby owej, o której cuda opowiadano, nikt go nie dopuścił, mimo iż zapał i chęci wykazywał. A też wiedzę niemałą posiadał, jako że z pomocnikami mistrza rychło wszedł w konfidencję i wielu tajemnic zawodowych się dowiedział.

Ale na nic, jak na razie, zdawały się chęci i zapał. Mistrz już od dawna nie miał okazji, by dusze opętane przez diabła ratować, a grasantów schwytanych jedynie kaźnił. Nie zdarzały się śledztwa długotrwałe, podczas których do pokajania się szczerego grzeszników należało przywieść. Zbóje i tak byli winni, choć ich winy daleko mniejsze od grzechów tych, co czarami się parali lub bogów dawnych zaprzec się nie chcieli, a w swej pysze Zbawicielowi urągali.

Z początku młody kleryk dziwił się niepomnie, że takowym hultajstwem sam mistrz się zajmuje, uznawał to za czyste marnotrawstwo kunsztu. Ale wnet pomocnicy go z błędu wyprowadzili. Niełatwo człękowi oczy wykapać czy dłonie odjąć, by zgorzel się później nie wdała i miłosierdzie hultajowi okazane na marne nie poszło. Nawet przy sprawianiu byle łotra sztukę można doskonalić.

Jeszcze wczoraj kleryk z wypiekami na twarzy słuchał o pojmanej wiedźmie, którą rychło będzie mistrz pytać i namawiać do zaniechania praktyk Bogu przeciwnych i niemiłych. Nie mógł się wręcz doczekać. Dziś wyglądało to inaczej, kiedy musiał siedzieć samotnie w ciemnym, wilgotnym i zimnym korytarzu, pod drzwiami izby, w której była prawdziwa wiedźma. Pocięczał się cały czas, że przecież nie pozostawiono jej samopas, a modlitwy świątobliwego opata moce jej spętały, by więcej ludziom pobożnym szkodzić nie mogła. W izbie jest z nią sam mistrz i dwóch krzepkich pomocników, którzy czynią przygotowania, aby jego wielebność czasu nie marnował, tylko wyznań szczerych i skruchy wysłuchał, zanim miłosiernie pozwoli, by zła niewiasta pogodzona z Bogiem na szubienicy życie oddała.

Ale wciąż młody kleryk popatrywał na okute, zawarte na głucho drzwi. I dałby wiele, by znaleźć się gdzie indziej.

Zawiasy okutych drzwi skrzypnęły przeraźliwie, młody kleryk podskoczył na swoim twardym, niewygodnym zydlu. Zaklął głośno, kiedy na przeciętej opuszce palca wykwitła kropla krwi. Upuścił nożyk, którym strugał pióro, i spojrzał pełnym przerażenia wzrokiem na otwarte drzwi. Przekleństwo zastygło mu w gardle.

W wejściu stanął sam mistrz. Z izby powiało żarem paleniska i swędem płonących węgli niczym z kuźni.

Kleryk zerwał się, zydel przewrócił się ze stukotem. Mistrz uśmiechnął się z zażenowaniem na widok przestrachu, jaki wzbudził. Zamknął za sobą starannie drzwi z grubych desek, podszedł do małego stolika.

– Siadaj, księżyku – rzekł dobrotliwie. – Nie turbuj się, ja tu jeno na chwilę.

Kleryk po raz pierwszy widział mistrza z bliska. Zapomniał języka w gębie, tak wielki żywił podziw i szacunek dla tego człeka, który nie wahał się ze złem do walki stawać, duszę swą Bogu poleciwszy.

Mistrz Aitard z Wakebrigge po prawdzie nie wyglądał na męża

srogiego, zaprawionego w bojach z szatanem i sługami jego. Nagi do pasa, w skórzanym fartuchu i mokry od potu przypominał raczej strudzonego piekarza. Wrażenie to potęgowała szeroka, rumiana twarz, okolona krótką, siwą bródką. Różowa łysina lśniła w świetle łuczywa. Mistrz przyjaźnie się uśmiechnął do przerażonego młodzieńca, zamrugał niebieskimi niczym chabry oczyma.

– Gdzieś tu powinna być woda... – rozglądał się po kątach.

Kleryk wskazał stojącą w cieniu pod ścianą baryłkę z czerpakiem przewieszonym przez krawędź.

Mistrz Aitard podziękował skinieniem głowy. Zaczepnął z beczki i począł pić chciwie. Kleryk patrzył, jak porusza się grdyka mistrza, a po policzkach spływają strumyki, które skapują na pierś porośniętą siwym włosem.

– Ufff... – powiedział wreszcie mistrz, gdy odłożył już czerpak. – Ależ byłem spragniony...

Zatarł ręce, jego błękitne oczy błysnęły wesoło.

– No, wiedźma już gotowa, żelazka w ogniu dochodzą. Pozwolisz, księżyku, że z tobą tu na jego wielebność poczekam? W izbie duchota straszna.

Skrzywił się niechętnie.

– Wstyd mówić, ale jego wielebność na dobry komin pożałowali, partacz jakiś go uczynił. Gdy palenisko rozpaść dobrze, zaraz swędu i dymu w izbie pełno, wytrzymać nie można. Ech, chciałbym tego mistrza budowniczego w swoje ręce dostać, niechby popatrzył, jak się żelazka grzeją, kleszcze a szpony grzeczne, jako na węglach czerwienieją... Wnet by wiedział, jak komin poprawić, bo ciągu za grosz teraz nie ma.

Rozmarzył się, uśmiechnął. Po chwili spoważniał, machnął lekceważąco ręką.

– A może kawki gniazdo w kominie uwiły... Nic to, księżyku, pozwolisz towarzystwa sobie dotrzymać? Chłód tu miły, a mnie jeszcze praca czeka.

Kleryk zdobył się na kiwnięcie głową.

– Za... – zająknął się – zaszczyt to dla mnie wielki, mistrzu Aitardzie.

Mistrz aż pokraśniał z zadowolenia, jego szeroka, pocziwa twarz

rozjaśniła się.

– No gdzieżby, nie gadaj tak nawet... – powiedział. – Toć ty osoba duchowna, choć młodyś jeszcze, a ja prosty rzemieślnik jeno. Powiedz, księżyku, jak cię zowią?

– Philip... Philip z Norhamptone.

Aitard kiwnął głową.

– To i tak cię będę zwał, Philipie? – spytał. – Skorośmy już w konfidencję weszli.

I nie czekając na odpowiedź, dodał:

– A ty mów mi "mistrzu".

Młody Philip poczerwieniał aż z zadowolenia. Czuł wprost uwielbienie dla tego dzielnego, mądrego człowieka.

– Zaszczyt to dla mnie – powtórzył.

Mistrz machnął lekceważąco ręką.

– Bo i też we dwóch raźniej. Przyznaj się, cniło ci się tutaj samemu, jeno szczerurowie do towarzystwa.

Nie czekał na odpowiedź. Znów nabrał wody, przypiął się do czerpaka.

– Ależ mnie suszy – mruknął tylko, odwieszając naczynie. – Cóż, taka praca...

Philip spoglądał z zażenowaniem. Wyrzucał sobie, że mógł pomyśleć wcześniej, przynieść garniec piwa albo dzban wina nawet. Jakże tak, żeby mistrz wodę pił, jak nie przymierzając żaba w stawie?

– Wybaczcie, mistrzu – bąknął cicho. – Nie pomyślałem, trza było jakiegoś lepszego napitku przygotować. Widno jego wielebność zapomnieli...

Urwał, widząc, jak twardnieje spojrzenie mistrza Aitarda. Zamarł z rozdziawionymi ustami.

– Widać trzeba ci się jeszcze wiele nauczyć, młodzieniaszku – odezwał się karcąco mistrz po dłuższym milczeniu. – Wiedz, że na moje to życzenie woda właśnie tu stoi, czy sądzisz naprawdę, że jego wielebność piwa, a nawet wina mi pożałował? Cóż, nie zgrzeszę chyba pychą, jeśli powiem, że nie...

Popatrzył badawczo na Philipa. Ten skinął machinalnie głową.

– Ano, nie zgrzeszę – ciągnął mistrz. – Ale trza ci, chłopcze wiedzieć, że piwo, a i inne trunki, wapory powodują i umysł mącić potrafią, jeśli w nadmiarze użyte są. A ręce pewne trzeba mieć, i pomyślunek bystry, w izbie instrumenta różne są, które łatwo spsować. Ot, kołowrót choćby...

Nagle wycelował palec prosto w pierś Philipa.

– A wiesz, księżyku, co to kołowrót? – spytał znienacka. – Nie wiesz pewnie, skąd byś miał wiedzieć...

– Wiem! – wyrwał się Philip, zanim zdążył się zastanowić.

Siwiejące brwi Aitarda zmarszczyły się groźnie, serce w kleryku zamarło ze strachu. Zebrał się w sobie, przywołał całą odwagę.

– Eeee, tego, kołowrót... – Czuł pustkę w głowie. Naraz przypomniał sobie, co słyszał od pomocników mistrza. – Już wiem! Taka machina, z łańcuchami i kołem do pokręcania, coby członki ze stawów wyrywać...

Aitard udobruchał się nieco, ale nie do końca.

– Wyrywać, zaraz wyrywać... Wiedz, Philipie, że nie sztuka wyrwać, tego i lada kiep dokonać potrafi, byle silny był. Sztuka nie zepsuć, jeno ból nieznośny sprawić, by zły, umęczeniem mdłego ciała powodowany, wyniść z niego raczył. Ale masz rację, machina zaiste jest przemyślna.

Zadumał się, poskrobał po błyszczącej od potu łysinie.

– Trzeba ci wiedzieć, Philipie, że przemyślna i droga. Nie byle rzemieślnik potrafi ją uczynić i nie każdy potrafi naprawić. Jak się chociażby łańcuch krzywo nawinie i pęknie. I kto ma koszty pokrywać, przecie nie jego wielebność?

Mistrz widno przypomniał sobie coś niemiłego, bo aż się skrzywił.

– Przeto umysł trza mieć jasny i trunkiem niezmacony. Bo i gorąco w izbie człeka rozbierze – rzekł twardo. – Zasady trza znać, wstrzemięźliwości dotrzymywać. Taka praca.

Jednak rozchmurzył się rychło, nie był widać człowiekiem, który na długo wpadał w gniew. Dobrotliwe niebieskie oczy znów załśniły życzliwością.

– Ale, księżyku, byстрым się wydajesz młodzieńcem. – Uśmiechnął się do przestraszonego Philipa. – Sporo wiesz. Przyznaj się, chciałbyś i ty

kunsztów się wyuczyć? Nie wstydz się, powiedz.

– Ano, chciałbym – wypalił Philip, zebrawszy się na odwagę. – Na chwałę Bożą.

Oczy zalśniły mu zapałem, aż mistrz zatarł rękę.

– Wiedźma gotowa, żelazka się grzeją – mruknął. – I tak na jego wielebność trza nam poczekać. Więc i pogwarzyć możemy. Powiem ci, Philipie, że rad jestem poznać młodzieńca tak pokory pełnego, a zarazem zapału. Wiesz, swój swego zawsze pozna, też taki byłem w lecjach młodych...

Aitard rozmarzył się. Wspomnił siebie, kiedy sam miał tyle zapału co ów młodzian. Odległe lata, kiedy tak jak on zachodził pod izbę, czuł swąd palących się węgli. Z podziwem spoglądał na starego mistrza. Tamte czasy już nie wrócą, pomyślał z melancholią.

– Wiesz, Philipie – poklepał kleryka po ramieniu – pokłoń się jego wielebności, a i ja szepnę słówko za tobą. Zaraz, jaki to dzień dziś mamy?

Kleryk podrapał się z namysłem po głowie.

– Wigilię świętego Dionizego męczennika – odparł po chwili.

Mistrz kiwnął głową z zadowoleniem.

– Już niedługo kaźnić będę potwarcę jednego, któremu jego wielebność litość raczył okazać, na wydarcie jęzora plugawego ino skazawszy. Zatem, Philipie, okazja będzie, żebyś mógł się przypatrzeć, eksperjencji nabrać. A i nauczysz się wiele, trudna to bowiem rzecz.

Znów spojrział chytrze na kleryka.

– No powiedz, jak byś się do tego zabrał?

Philip z Norhamptone aż zmarszczył brwi z namysłu.

– No, szczypcami? – zaryzykował.

Aitard z radości znów klepnął go po ramieniu.

– Udałeś mi się, księżyku! Zaiste, szczypcami, ino nie zwykłymi, ale drewnianymi. Bo trza wiedzieć, że ozór ludzki śliski jest ponad miarę. I pamiętać, żeby głowę dobrze w imadle ścisnąć, a i o klinach nie zapomnieć, żeby palców nie odkąsił... Uważać trza...

Aitard rozgadał się, jak zwykle, kiedy miał z kim porozmawiać o tajnikach zawodu. Kleryk słuchał z nabożnym skupieniem. Mistrz

przerwał dopiero, gdy w ciemności korytarza głucho stuknęły wierzeje prowadzące do podziemi.

– Ot, i czas do pracy wracać – mruknął. – Szkoda, miło się gawędziło. Cóż, obowiązki...

Zanim jeszcze podziemia rozświetlił blask niesionych przez przybocznych opata pochodni, mistrz zniknął za ciężkimi, okutymi drzwiami.

Najpierwi nadeszli dwaj klerycy, starsi od Philipa, ci, których opat zwykł przeznaczać do ważniejszych zadań. Pierwszy z nich zatknął pochodnię w żelaznej kunie tkwiącej w wilgotnej ścianie. Drugi spojrzał na Philipa.

– Skryba nie przyjdzie – rzucił szorstko. – Musisz sam sobie poradzić, za ważna to sprawa, by świeckich dopuszczać.

– Jakże to? – spytał Philip niepewnie. Starszy kleryk o poznaczonej bliznami twarzy rzucił mu nieprzyjazne spojrzenie.

– Litery składać umiesz? Zatem kłopotu nie ma – odparł zimno.

Uśmiechnął się złośliwie.

– Bo jeśli nie... jeśli nie, może być kłopot. Twój kłopot.

Nogi ugięły się pod Philipem. Umiał składać litery, ale gdzież mu było do umiejętności skryby. Pozostaje duszę Bogu powierzyć, pomyślał rozpaczliwie, bo jak gniew opata na mą głowę spadnie...

Nie dokończył swych myśli. Zza zakrętu korytarza, podtrzymywany przez dwóch przybocznych, wyszedł jego wielebność opat, Richard de Reno.

Starzec szedł powoli, szurając stopami po kamiennej posadzce. Szczury zaskoczone światłem niesionych pochodni zastygały na chwilę w miejscu, po czym z piskiem smyrgały w mrok, ciągnąc za sobą nagie ogony niczym cienkie węże. Jeden, mniej widać bystry albo oślepiony blaskiem, zwlekał zbyt długo, aż zmiotł go celny kopniak kleryka, którego pas obciążał miecz.

Grzbiet opata przygiął wiek lub choroba. Starzec szedł z opuszczoną głową, jak ślepiec. Utykał wyraźnie, powłóczył nogą, która najwidoczniej nie chciała go słuchać. Młody Philip z Norhamptone stał sztywno wyprostowany za swym koślawym, chybocącym się stolikiem z równo ułożonymi, zastruganymi piórami. Strach go całkiem sparaliżował, myślał, że zaraz upadnie. W niedołężnym starcu było coś, co budziło grozę.

Opat zatrzymał się na chwilę, zajrzał w twarz młodzieńca. Nie uniósł głowy, patrzył dziwnie spod nawisłych brwi. Blade, cienkie wargi poruszyły się.

– No... – zaskrzeczał.

Kleryk miał tyle przytomności umysłu, że skłonił się kornie. Jego wielebność nie poświęcił mu już więcej uwagi.

Jeden z przybocznych pchnął okute żelazem, ciężkie drzwi, które uchylły się z potępieńczym skrzypieniem zawiasów. Z izby znów buchnęło gorącem i swędem tłących się węgla, zapachem rozgrzanego żelaza i ciężkim odorem strachu. Opat, wciąż podtrzymywany przez kleryków, ruszył, szurając, naprzód. Ostatnim widokiem, który zapamiętał Philip, była trzęsąca się dłoń, niczym kości szkieletu obciążona pergaminową skórą, oparta na prostej, wystruganej z leszczynowego pręta lasce.

Philip miał zupełny mętlik w głowie. Podniósł przewrócony zydel, przysunął go machinalnie do stolika. Znów został sam w mrocznym korytarzu, nowe, zatknięte w kunie łuczywo nadal rozświetlało tylko mały załomek korytarzy, które dalej ginęły w mroku. Po chwili ośmielone szczury zaczęły znów popiskiwać, chrobotać pod ścianami.

Młody kleryk pomyślał o Aitardzie. Wyglądało na to, że jego dążenia mogły się spełnić szybciej, niż przypuszczał, że życzliwe słówko szepnięte przez mistrza otworzy mu wreszcie drogę do zadań innych niż uciążliwe posługi. Postanowił, że będzie modlił się żarliwie, aby Pan dał mu siły i zdolności, by mógł mu jak najlepiej służyć.

Ale czuł dziwny niepokój. Ze zdumieniem uświadomił sobie, że nie strach przed gniewem opata powoduje, iż nogi dziwnie miękną, a po plecach poczynają chodzić dreszcze. Starał wziąć się w garść, pomyśleć o rzeczach przyjemnych, o bliskim spełnieniu marzeń, kiedy to będzie mógł stanąć u boku mistrza, służyć wierze ze wszystkich sił, zbawiać dusze zabłąkane pogan i wiedźm, przez szatana opętanych.

Zza niedomkniętych drzwi dobiegał skrzekliwy głos opata. Philip nie mógł rozróżnić słów, ale wsłuchał się w melodię inkantacji. Głos, zrazu cichy, wznosił się coraz bardziej, odbijał echem o sklepienia. Kleryk pojął, że właśnie świątobliwy opat po raz ostatni wzywa złego, by ten opuścił umęczone ciało po dobroci, zanim mistrz jeszcze dyzgusta czynić mu pocznie. Ciarki przebiegły mu po plecach, choć wiedział z opowiadań, że szatan zwykle zatwardziały jest, i wezwań wprzód nie słucha.

Opat recytował modlitwę coraz głośniej. I nagle umilkł.

Cisza.

Nabrzmiała kropla oderwała się od sklepienia. Odgłos, z jakim wpadła do otwartej beczki pod ścianą, spowodował, że Philip aż podskoczył.

Kap.

Spróbował pomyśleć o czymś przyjemnym. Jak to będzie, gdy za pozwoleniem jego wielebności stanie u boku mistrza, kiedy ten kaźnic będzie potwarcę. Ale zaraz przypomniał sobie, co plotły złe języki, też warte wyrwania. O przymierzu z poganami, dziwnych konszachtach opata z tajemniczym mężczyzną. Druidem, o zgrozo. O bratobójstwie. Wiele jeszcze jęzorów plugawych trzeba wyrwać, pomyślał Philip.

Kap.

Plusk następnej kropli przerwał rozważania o podłych, wiarołomnych ludziach, którzy ośmielali się rzucać kalumnie na dostojników Kościoła.

Ciche stęknienie doleciało wyraźnie zza uchylonych drzwi. Zabułgotało, jakby ktoś stągwie przelewał. Kleryk przypomniał sobie, co mówił mistrz Aitard.

Nie sztuka ciało kleszczami rozpalonymi szarpać. Ryzyko jest wielkie, szatan bowiem rychło rozum pomieszać może, ani chybi w obawie, by

wiedźma sekretów nie zdradziła. Łagodniejszych sposobów trzeba się imać. I jako wszyscy wiedzą, człowiekowi woda do życia niezbędna jest. Przeto lejek wiedźmie w gardło dobrze jest wrazić, wodę lać, aż cała spęcznieje. I gdy potem zwróci, zdarza się, że i złego ducha zwomituje, co jej się w żywocie załagł.

– A nie rozpułknie się? – zaniepokoił się wtedy naiwnie Philip. Mistrz uśmiechnął się pobłaźliwie i zapewnił, że jeszcze nigdy się to nie zdarzyło. Miłosiernym zaś trzeba być i z początku łagodnych sposobów próbować.

Za uchylonych drzwi wciąż dobiegał plusk. Czyjeś pokastywanie, widać swąd węgli dusił w gardle.

Kap.

Dźwięk odbił się przeraźliwie głośno od ociekających wilgocią ścian. W mroku zachrobotwały pazurki biegnącego szczura. Philip potrząsnął głową, czuł, jak chłód zaczyna przenikać go całego. Począł machinalnie ostrzyć następne pióro, byle tylko czymś zająć ręce. Pojął, że nie chce nic słyszeć, ale nie mógł się powstrzymać od wyteżania uwagi, od nasłuchiwania.

Znów rozbrzmiał głos opata, zagłuszał wszystko. Młody kleryk przyjął to z nagłą ulgą. Już nie słyszał przelewającej się wody.

Zanim nożyk zaciął pióro w szpic, znów zapadła cisza. Philip pojął, że z natężeniem czeka na kolejną kroplę, która wpadnie do beczki. I to oczekiwanie wydłuża się w nieskończoność.

Kap.

I westchnienie. Ciche, ale przedarło się bez trudu przez niedomknięte drzwi. Spazmatyczne zaczerpnięcie powietrza, które zabrzmiało gdzieś wewnątrz czaszki młodego kleryka. Philip ścisnął skronie, jakby w obawie, że głowa rozpadnie mu się na kawałki.

Uzmysłowił sobie właśnie, że już nie chce. Nie ośmieli się nigdy w obronie wiary stanąć naprzeciw zła. Jest tylko słabym, nędznym robakiem. Mroczne, błyszczące wilgocią ściany i sklepienia zdawały się napierać na niego ze wszystkich stron.

Zaskrzypiał kołowrót, w skrzypienie wmieszało się ciche pobrząkiwanie łańcucha. Krzyk, stłumiony drewnianym kołkiem w

ustach, przykrępowanym rzemieniami do szyi.

I odgłos kropli wpadającej do beczki, głośny jak łoskot toczącego się głazu. Wrzask opata, który już nie recytował, ale groził. W starym skrzeczeniu słyhać było rozpacz i strach.

Nagła cisza.

Skrzypienie kołowrotu. Philip wiedział, że nie może go słyszeć, od izby dzielił go gruby mur, okute żelazem deski wierzei. Ale aż się wzdrygnął, kiedy wprost w jego głowie rozległo się ciche chrupnięcie rozrywanych stawów.

Kap.

Znów tylko kropla. Kleryk wzniosł oczy, już zaciągnięte obłędem, ku sklepieniu. Nabrzmiwała tam następna, krwawo połyskiwała w świetle łuczywa. Zaraz oderwie się, spadnie. Oczekiwanie było najgorsze.

Krzyk, który zaraz zmienił się we łkanie.

Cisza.

Ściany napierały, szczyrzyły szczyrby spoin. Starczy, suchy kaszel przeszedł w rżenie.

I naraz Philip usłyszał śpiew. Tylko melodię, spokojną i powolną. Pojął w ostatnim błysku świadomości, że piosenka jest przekleństwem, że nic już nie będzie jak kiedyś. Pozostanie tylko strach i mrok, ściany, które będą chciały go zmiążdżyć. Przeklęty jest on sam i wszyscy inni, którzy tym razem przegrali ze złem.

Zacisnął palce na kościanej rękojeści małego nożyka. Ciął wzdłuż nadgarstka. Krew rozprysnęła się, splamiła czystą kartę pergaminu, zmieszała z inkaustem w glinianej miseczce.

Philip z Norhamptone spieszył się. Chciał, by jak najszybciej umilkła zła piosenka. Ale nawet to nie okazało się łatwe.

Dzień był chłodny, pochmurny. Odchodziła wczesna jesień, ostrego powietrza nie przepelniały już zapachy dojrzewających owoców, czerwieniejących i żółknących liści. Poranne przymrozki odebrały światu

subtelną woń, pozostawiły tylko rzeškość.

Ramirez odetchnął głęboko, popatrzył w niskie, szare chmury. Wciągnął w płuca przesycone żywicą ze świeżych bali powietrze. Nawet dolatujący z niedaleka odór gnojówki wydawał mu się balsamem.

Brat Gwidon stał przed obórką, zrywający się wiatr szarpał mu habit. Zakonnik ścisnął w dłoni krótką pałkę, zwykły kołek, który był niewątpliwie pozostałością po niedawnej budowie. Był bardzo blady.

- Długo to trwało - powiedział wreszcie.

Nie miał już wątpliwości, wystarczyło popatrzeć na Claymore'a, jego twarz o barwie świeżo wyciśniętego twarogu, na oczy, które zdawały się zapadnięte głęboko w ściągniętej napięciem twarzy. Nie, nie napięciem, poprawił się mnich. To śmiertelne zmęczenie.

Wątpliwości ostatecznie rozwiewał zakrwawiony kord, którego ostrze Claymore właśnie machinalnie ocierał wiechciem suchej trawy.

Gwidon, z widocznym wahaniem, odrzucił po chwili kołek. Podszedł do Ramireza, tknął go ostrożnie palcem. Claymore skrzywił się, zrozumiał od razu.

- To wciąż ja - stwierdził sucho. - Bałeś się, że nie będę sobą, kiedy wyjdę?

Zakonnik przytaknął z ociąganiem.

- Bo co, byli już tacy przede mną? - Claymore nie podniósł głosu, był zbyt zmęczony, by się złościć. Nie warto, pomyślał ze znużeniem. - Trzymacie ich w innych obórkach? Czy może od razu okazaliście litość, jak ty przed chwilą chciałeś, gdybym przypadkiem wyskoczył stamtąd i rzucił ci się od razu do ślepiów?

W jego oczach zabłysnął gniew, który jednak zaraz zgasł. Nie chciało mu się nawet wściekać.

- Ech, pieprz się, braciszku - mruknął tylko. - Chociaż pewnie reguła ci zabrania.

Zakonnik nie odpowiadał długo. Szeleściła sucha trawa, którą Claymore wciąż przecierał ostrze, jakby chciał z niego zetrzeć choćby wspomnienie krwi. Bez specjalnego rezultatu.

- Nie, nie było innych - zaczął wreszcie brat Gwidon, patrząc w ziemię. - Wiem, myślisz, że cię wykorzystałem, podpuściłem do

zrobienia czegoś, czego sam nie potrafiłem, bo byłem zbyt tchórzliwy. Bo nie miałem siły. Bo w końcu obawiałem się przeora, a tak będzie na ciebie, przybędę. Myśl sobie, co chcesz.

Podniósł głowę, spojrzał Claymore'owi prosto w oczy.

– Myśl co chcesz – powtórzył. – Sprawa załatwiona, a co o mnie sądzisz, mam w dupie.

Odwrócił się, chciał odejść. Ramirez chwycił go za rękaw habitu.

– O nie, przyjacielu – wyszczerzył zęby. Ten uśmiech na bladej wciąż twarzy wyglądał niesamowicie, aż mnich stanął jak wryty. – Nic nie jest załatwione. – Uśmiech stał się kpiący. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak pomogłeś. Pewnie przypadkiem. I wiesz, braciszku – ja też mam w dupie, dlaczego nie?

Klepnął zaskoczonego brata Gwidona po ramieniu. Jego śmiech był już jak najbardziej szczery.

– Niezły jesteś – dodał z uznaniem. – Nie mogłeś wiedzieć, kto stamtąd wyjdzie. Ja to zrozumiałem dopiero w środku. A ty sobie stałeś i czekałeś, zamiast spieprzać jak najdalej i tylko nasłuchiwać krzyków, stałeś sobie z kołkiem w garści.

Powoli twarz zakonnika też rozciągnęła się w uśmiechu.

– Nie wiedziałem – przyznał. – Nie wiedziałem, kto stamtąd wyjdzie, czy może co wyjdzie...

Claymore spoważniał.

– Kto – poprawił powoli. – Był człowiekiem, kiedyś. I umarł jak człowiek. Twoja zasługa, jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało.

Gwidon tylko kiwnął głową.

– Dziękuję – dodał Ramirez. – Nie, nie dziw się, naprawdę jest za co. Nawet się nie spodziewałeś, jak pomogłeś. A teraz chyba przyszła pora, by znów spotkać się z wielebnym przeorem...

Piotr z Blyton popatrzył nieufnie na drzwi swej chaty. Skobel nie wyglądał zbyt solidnie, przeor nie pamiętał zresztą, żeby kiedykolwiek

go używał. Nie miał nigdy nic cennego, nic własnego, zgodnie z surową zakonną regułą, która przecież nie dozwalała mnichom na gromadzenie dóbr doczesnych. Każdy z braci mógł wejść o dowolnej porze, w dzień i w środku nocy, bezceremonialnie przerwać swemu przeorowi nocny spoczynek lub dzienną pracę. Oczywiście w uzasadnionych przypadkach, braciszku nauczycieli się dawno, że nie należy tego przywileju nadużywać.

Przeor czuł się zatem paskudnie, kiedy zamykał i ryglował drzwi. Teraz powątpiewał w skuteczność zamknięcia, skobel był zwykłym patykiem, którym przetknął żelazne ucha przy futrynie. Niewątpliwie nie wytrzymałby mocniejszego pchnięcia, nie mówiąc o kopniaku. Przeor nie przypuszczał wprawdzie, żeby ktoś chciał kopać w drzwi i nagle wpaść do izby. Chodziło o coś całkiem innego.

Gryzł go wstyd. Bo też to, co zamierzał zrobić, było niewątpliwie bardziej obrzydliwe niż zamykanie drzwi i krycie się po kątach, jakby robił coś niewłaściwego. Coś, co jawiło się jak grzech, z którym na sumieniu wstyd pokazać się ludziom na oczy.

W ostatniej chwili powstrzymał cisnące się na usta przekleństwo, nieprzystojne duchownej osobie. Pomyślał przelotnie, że jeszcze trochę, a zacznie kląć jak pijany wozak, nie bacząc na swą godność i wiarę.

Decyzja kosztowała go wiele nieprzespanych nocy, podczas których przewracał się w ciemności na swoim szerokim łożu, jedynym luksusowym sprzęcie w całym klasztorze. Nie mógł zasnąć, roztrząsając w swym sumieniu kwestię, które wyjście będzie gorsze. W środku nocy zwlekał się z posłania i klękał na środku wyziębłej izby, mając nadzieję, że modlitwa przyniesie oświecenie, że Bóg wybierze za niego.

Nie wybrał. Przeor nie doznał iluminacji, widać Bóg nie zamierzał niczego ułatwiać i wciąż doświadczał swego sługę. W końcu stało się jasne, że Piotr sam będzie musiał dokonać wyboru. Między jednym złem a drugim.

Myślał zrazu, że przyjdzie mu po prostu zdecydować, które zło jest mniejsze. Ale to wszystko nie było takie proste. Mniejsze okazało się bardziej ohydne.

Piotr zadrżał i powrócił do mozolnego kreślenia liter na karcie pergaminu. Szło mu niesporo, dawno odeszły w niepamięć lata, które

spędził w jasnym skryptorium przy pulpicie i ślęczał nad kopiowaniem świętych ksiąg. Od początku nie cierpiał tej pracy, dla energicznego młodzieńca była nie do zniesienia. Skończyła się zresztą szybko, kiedy stary, półoślepy od tego zajęcia mnich obejrzał rezultaty.

Mozolnie, niewprawną ręką stawiał litery. Nie mógł powierzyć owego zadania żadnemu z braciszków, którzy w klasztorze pełnili funkcje skrybów. Wmawiał sobie, że chce oszczędzić ich sumienia. Ale w swoim musiał przyznać, że to tylko wymówka. Po prostu bał się, iż zbyt wcześnie wygadają.

Na szczęście list był krótki. Nie musiał rozpisywać się, aby zawiadomić szeryfa Williama z Salisbury, iż w klasztorze schronił się banita, kat męża i niewiasty, którego jedyne właściwe miejsce jest w lochu, a następnie na rusztowaniu. Pozostał tylko podpis.

Inkaust wysychał na pergaminie, przeor utkwiał nieobecne spojrzenie w małym okienku, przysłoniętym brudnymi, zakopconymi błonami. Wciąż wzdragał się przed skreśleniem tych ostatnich liter własnego podpisu. Jakby dopiero on pieczętował decyzję, którą podjął już dawno.

Nie miał złudzeń. Wiedział, jak się skończy, kiedy wpadną tu zbrojni i stary służbista Wulf powiedzie Matcha w powrozach do Nottingham. Przypuszczał, że Match nie będzie się bronił, nie wyjmie ostrza przeciw dawnemu towarzyszowi.

Przeor wymamrotał coś cicho, nie wiadomo, przekleństwo czy modlitwę. Miał świadomość, że wygra stary opat i jego sojusznicy. Ich triumf będzie zły i straszny. Ale Piotr z Blyton bał się. Bał się o swą duszę, którą łącznie może postradać zaplątany znów w rozgrywkę, której nie pojmował. I pamiętał ogrom zła i cierpień, które zaczęły się, kiedy do małego, zagubionego w puszczy klasztorze trafił umierający, poraniony człowiek.

Już sam prawie uwierzył, że wybrał dobrze. Powtarzał to sobie, żeby zagłuszyć głos sumienia.

Westchnął głośno. Zanurzył pióro we f laszczecze z inkaustem, przyłożył do pergaminu. Nakreślił pierwszą kreskę swojego imienia.

Niech Bóg mnie osądzi, powtórzył sobie po raz któryś. Łatwe usprawiedliwienie, odezwał się głos sumienia. Ale może odezwał się tylko podszept szatana.

Przeor wysunął język, jak zawsze czynił przy trudnej sztuce stawiania liter. Skupił się na niełatwej czynności, rad, że pomaga ona zagłuszyć wewnętrzne głosy.

Jakiś cień mignął za mętными błonami. Piotr poderwał głowę, popatrzył w okienko, przekreślone krzyżem ramek. Nic. Bijące gwałtownie serce powoli się uspokajało.

Jak nisko upadłeś, odezwało się sumienie. Żeby tak kryć się jak złodziej czy inny złoczyńca... Poczul złość. Mam rację, i tylko Bóg mnie osądzi.

Zacisnął zęby, pochylił się znów nad pergaminem.

Patyk spełniający funkcję skobla pękł z trzaskiem, zanim jeszcze kopnięte drzwi uderzyły z łomotem o ścianę. Pióro drgnęło w dłoni przeora, pierwsza litera jego imienia zamieniła się w okazały kleks. Piotr poderwał się z zydlą, wpatrując szeroko otwartymi oczyma w barczystą sylwetkę, która zasłoniła drzwi.

– Cze... – zaskrzeczał, w gardle zaschło mu nagle. – Czego chcesz?

Zrobił ruch, jakby chciał porwać list leżący przed nim na stole. Nie zdążył. Człowiek, który wszedł, zrobił dwa szybkie kroki, huknął pięścią w stół, w sam środek pergaminowej karty. Buteleczka inkaustu podskoczyła i przewróciła się, czarny gęsty płyn spływał na polepę.

Claymore Ramirez kpiąco popatrzył w rozszerzone, pełne wściekłości i strachu oczy przeora.

– A tak sobie wpadłem, ojczaszku – uśmiechnął się przyjaźnie.

Strach na razie minął. Przeor zmierzył złym wzrokiem przybłądę, który od paru dni kręcił się po klasztorze, wypytywał mnichów. Piotr zaczynał coś kojarzyć, jakieś opowieści o człowieku, który wraz z dziewczką z piekła rodem odciął wiedźmę od stryczka, sprowadziwszy wprzód do miasta swoich cottereaux. Szkoda, pomyślał, że nie wpadłem na to wcześniej, ale zaraz i jego dopiszę.

Spojrzał wyniośle na Claymore'a, spróbował wyrwać kartę spod palców przyciskających ją do stołu. Zauważył z gniewem, że

niezaschnięty inkaust rozmazał się.

Przybłęda uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nic z tego, ojczaszku – powiedział, po czym zacmokał kpiąco. – Pokażesz, co tam bazgrolisz.

Przeor nadał się dumnie.

– A po co ci to, prostaku? I tak nie pojmiesz, co tam stoi. Nie na twój to rozum.

Claymore drugą ręką boleśnie trzepnął przeora po kostkach palców, które wciąż zaciskały się na rogu pergaminu. Piotr syknął i odskoczył krok do tyłu. Zalała go fala przerażenia, zrozumiał nagle, jak straszliwie się myli.

– To kwity dla klasztoru! – powiedział szybko, wysokim, drgającym z napięcia głosem. Nie miał już wielkiej nadziei.

Ramirez uniósł kartę, obrócił do światła. Spoważniał nagle.

– No, no... – powiedział cicho, spoglądając na pobladłego mnicha. – Nieładnie.

Kopniakiem zmiotł stół, który stał mu na drodze. Słabo zbite deski rozpadły się z trzaskiem.

– Nawet bardzo brzydko – dodał Claymore.

Przeor cofał się, aż dotarł do wspaniałego łoża, którego krawędź podcięła mu kolana. Padł na piernat.

– Skąd wiedziałeś? – wyjąkał cicho. Na tyle tylko mógł się zdobyć.

Ramirez zatrzymał się tuż przed nim.

– Nie wiedziałem – odparł spokojnie. – Ale źle ci z gęby patrzy, przeorze. Fałszywie oczkami łypiesz. A ja, wyznam jak na spowiedzi, podejrzliwy jestem i nieufny. Taka moja największa wada, bliźnim nie dowierzam.

Przysunął sobie nogą zydel, usiadł, niczym u wezgłowia chorego. Piotr bał się nawet poruszyć. To kara za moje winy, pomyślał tylko, za pychę.

– Spytałem braciszków – gdzie przeor? – Claymore przybrał ton swobodnej pogawędki, ale Piotr widział, że w jego oczach tli się gniew. – U siebie, powiadają. A jakożem już mówił, podejrzliwy jestem. Drzwi na

głucho zawarte, a ciepło przecież na dworze. I tak sobie pomyślałem – a może nasz ojczulek coś paskudnego robi?

Roześmiał się urągliwie.

– Bo i musi coś takiego robić, z czym przed ludźmi się kryje. I wiesz, ojczulku, niezdrowa ciekawość mnie poniosła, czy aby reguły przestrzegacie? Bo przecie czystość, te rzeczy. Wpadłem więc, ot tak, z ciekawości.

Przeor jęknął tylko, kiedy głos Claymore'a stwardniał.

– Istotnie, robiliście coś paskudnego. I tak mi się widzi, że lepiej dla was byłoby, gdybyście na innych paskudztwach poprzestali...

Piotr poderwał się, przypadł do ręki Ramireza.

– Zaklinam cię... – wychrypiał. – Jeśli jesteś dobrym chrześcijaninem...

Claymore wyszarpnął dłoń. Pchnął przeora z powrotem na łożo.

– Nie jestem – uciął krótko.

I wyszedł.

Claymore znalazł Matcha w zwykłym miejscu, na ławie, przy stole na krzyżakach. Ręce opadają, pomyślał tylko.

– I tak tu sobie siedzisz?! – wybuchnął. – Siedzisz i myślisz?

Match wolno podniósł wzrok, zmierzył natręta nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Odczep się, Ramirez. Nie potrzebuję pomocy, już ci mówiłem.

Ramirez uspokoił się. Przysiadł na chwiejnym stole.

– Wiesz, Match... – zaczął przyjaźnie. – Tak sobie siedzisz, pomocy nie chcesz żadnej. Rozumiem cię znakomicie. Przecież cię wszyscy dokoła kochają, wszyscy wiedzą, żeś człek prawy, że złem chcesz walczyć, kiedy tylko łeb plugawy podniesie. Wszyscy to doceniają, naprawdę...

Match spojrzał nieufnie.

– Tak siedzisz... – powtórzył Claymore. – I myślisz sobie, plany snujesz. Rychło dopadniesz wszystkich. Albo i nie.

Popatrzył kpiąco na Matcha. Ten wstał z ławy. Był zły. Claymore też zsunął się ze stołu.

– Dobra, pożartowaliśmy, a teraz będzie poważnie. Nie chcesz pomocy, to nie, nie będę się narzucał. Ale przyjmij, proszę, chociaż dobrą radę. Nie siedź tu, w tym klasztoru, jak głupi. Już się nic więcej nie dowiesz. I leziesz tylko bez potrzeby ludziom w oczy. A oni się boją, z tego strachu mogą zrobić wiele.

Match spostrzegł wreszcie zmiętą kartę pergaminu, którą przyniósł Ramirez.

– Pokaż! – zażądał krótko.

Claymore zawahał się.

– Umiem czytać – warknął Match. – Mimo że może nie wyglądam.

Ramirez istotnie był zaskoczony.

– Nawet o tym nie myślałem – skłamał.

Match niemal wyrwał mu pergamin z ręki.

Jego wargi poruszały się, kiedy czytał powoli rozmazane litery. Claymore spostrzegł, że twarz mu pobladła.

Zmiał kartę w pięści, cisnął Claymore'owi pod stopy.

– A to skurwysyn... – mruknął tylko.

Stał chwilę, zaciskając dłonie.

– I co, twoje na wierzchu? – parsknął.

Ramirezowi udało się zachować kamienny wyraz twarzy.

– Ano, można tak powiedzieć – zgodził się uprzejmie.

Match odwrócił się, poszedł powoli przez dziedziniec.

– Poczekaj – rzucił na odchodnym.

Claymore uśmiechnął się tylko. Gdy Match zniknął mu z oczu, poszedł za nim. Nie miał zamiaru dopuścić, by Piotr z Blyton zbyt wcześnie powiększył grono męczenników.

– I czego za mną łązisz, Ramirez? – Z głosu Matcha przebijało znużenie, nie złość. – Powiedziałem już, nie potrzebuję pomocy. Nie twój interes.

Nie odwrócił się nawet, rozdmuchiwał podpałkę; mech i kępka suchej trawy tliły się pod starannie ułożonymi suchymi gałązkami, małe płomyczki poczynały już tańczyć. Match zakaszłał, gdy wciągnął w płuca kłęb dymu.

Claymore siedział na brzozowej kłodzie, którą Match z poświęceniem godnym lepszej sprawy przyciągnął na polankę. Widać zamierzał rozpaść niezłe ognisko, na którym upiec by można całego dzika. Zupełnie niepotrzebnie, pomyślał Ramirez, spoglądając na mizerną tuskę chudego królika, oskórowaną i nadzianą na patyk.

Płomienie przegryzły się przez gałązki, strzelały w górę. Match dorzucił na wierzch grube polano, iskry wzniosły się w niebo wraz z kłębem dymu. Claymore przyglądał się tym zabiegom zmrużonymi oczami.

Zdążył już wyrobić sobie zdanie na temat Matcha. Znał go dotąd z opowieści Roberta de Reno, w których postać Matcha urastała wręcz do rangi bohatera. Szeryf mówił niechętnie, dopiero kiedy bliska śmierć położyła się cieniem na jego ostatnie dni, powiedział więcej. I, jak sądził Claymore, znacznie bardziej szczerze.

Bardzo go zaskoczyło, gdy zrozumiał, jak wiele dla starego, cynicznego i zgorzkniałego wielmoży znaczy ten człowiek. Myślał, że nigdy nie zdoła pojąć więzi ich łączącej. I zastanawiał się, do jakiego stopnia owa więź działa w dwie strony. Teraz też nie wiedział wiele więcej. Nie sądził także, że dowie się o tym od Matcha.

Domyślał się wiele, już wtedy. Potem wystarczyło tylko pogrzebać głębiej, popytać. Ludzie widzą dużo, gadają chętnie, jeśli umiejętnie ich do tego skłonić. Nawet milkliwy Wulf, lojalny do końca wobec tych, którym służył, dał się podpuścić. Claymore uśmiechnął się odruchowo na to wspomnienie. Umiał pytać, umiał wyciągać tajemnice, także te wstydlive i okrutne. I był pewien, że zbrojny do dziś uważa, iż nic nie zdradził.

Ramirez pamiętał, że nie był wtedy zaskoczony. Ludzie są skomplikowani i niekonsekwentni. Wiedział, że nic nie stoi na

przeszkodzie, by kogoś kochać szczerze i poważać, a jednocześnie pieprzyć jego kobietę. Tylko dodatkowa komplikacja, pomyślał wtedy cynicznie. Kolejna niewiadoma w i tak już skomplikowanej sprawie. Ale pamiętał, że był wdzięczny Robertowi de Reno, że ten nie próbował się usprawiedliwiać. Nie tłumaczył spraw, do których sam Claymore łatwo doszedł, nie spowiadał się z intencji.

Ramirez nie oceniał, nigdy nie chciał. Oceny nie miały sensu, ludzkie postępowanie było istotne, należało je przewidywać, brać pod uwagę. Ale nic poza tym. Jednak poczuł wtedy szacunek dla umierającego człowieka, który nawet w ten sposób nie chciał zmniejszać swojej odpowiedzialności za cokolwiek, co w życiu uczynił. Nie prosił o wybaczenie ani nawet zrozumienie.

Match musiał się odsunąć, ogień z trzaskiem pożerał grube polana. Claymore odwrócił twarz, gorąco paliło policzki. Niedługo gałęzie zamienią się w węgle, będzie można upiec mizernego króliczka.

Cały Match, pomyślał Ramirez. Mógł pójść do klasztornej kuchni. Brat Gwidon troszczył się o niego, w każdej chwili można było liczyć, że wyłowi z kotła najsmaczniejszy kęs albo wbije w rynkę tuzin jaj, wkroiwszy najpierw słusne pęto kiełbasy.

Ale Match wolał zastawiać sidła, piec łykowate króliki na patykach. Kiedy dowiedział się, że jego chatkę, którą opuścił kiedyś, udając się z Jasonem do Nottingham, braciszkanie zrównali z ziemią, że przepadł jego cały, mizerny dobytek, wzruszył tylko ramionami i poszedł spać na stryszek w stodółce.

Claymore uśmiechnął się pod nosem. Zaczynał w końcu poznawać Matcha. On nie chciał sprawiać nikomu kłopotów. I przez to zazwyczaj sprawiał ogromne.

Match usiadł na trawie, jakby podświadomie starał się nie zbliżyć do Claymore'a. Chce się izolować, podkreśla cały czas, że jest sam, zrozumiał Ramirez. Chce w to wierzyć. Posunął się kawałek na kłodzie. Miejsca było dosyć, a ogień strzelał wysoko w górę, brzozowa kłoda nie była potrzebna.

– Siadaj tutaj, bo wilka złapiesz – mruknął Claymore. – Trawa wilgotna, jesień idzie, a ty młody nie jesteś. – Uśmiechnął się złośliwie.

Match odburknął coś, ale wstał ze stęknieniem. Usiadł obok

Claymore'a.

– Pytałem cię o coś – powiedział po chwili, nie patrząc na niego.

Ramirez widział jego profil, oświetlony ogniem. Match patrzył nieruchomym wzrokiem w ognisko.

– Owszem, pytałeś – odparł kpiąco Claymore. – Czyżbyś oczekiwał racjonalnej odpowiedzi?

Match zachnął się. Ale zachował milczenie. Istotnie, nie oczekiwał. I choć był zły, że ten człowiek wciąż mu się narzuca, gdzieś w głębi ducha był zadowolony. Nie chciał się do tego przyznać, nawet sam przed sobą. Brakowało mu Jasona, jego przenikliwości i trzeźwego spojrzenia, a choćby i docinków i uszczypliwych uwag. Teraz został sam i dręczyły go obawy, czy sobie poradzi. Jak dotąd bowiem zawsze udawało mu się spieprzyć wszystko, do czegokolwiek się brał. Miał niejasne obawy, że i teraz będzie podobnie.

Wkrótce Claymore spostrzegł, że Match nie oczekiwał odpowiedzi, ani racjonalnej, ani żadnej innej. Milczał, zapatrzony w ogień, nie odzywał się ani słowem.

Ramirez pochylił się, sięgnął za kłodę, gdzie uprzednio rzucił sakwę i jeszcze coś. Trącił Matcha w ramię. Ten popatrzył zdziwiony na pękaty, drewniany podróżny bukłak.

Bez słowa wziął naczynie, wyciągnął zatyczkę. Pokosztował.

– Skąd to masz? – zdziwił się.

– Podpieprzyłem przeorowi – wyjaśnił Claymore bez cienia zażenowania. – Ma dużo. Kiedy ty prałeś go po pysku, ja, zanim ci przeszkodziłem, przepatrywałem kąty w tej jego chacie. Widać trzyma dla lepszych gości albo sam pociąga w ukryciu, żeby mniszków nie gorszyć. Więc zabrałem potem, niech ćwiczy benedyktyńską pokorę. No, dawaj!

Match wychyliłby bukłak; Claymore z niepokojem patrzył na szybko poruszającą się grdykę. Wreszcie odebrał naczynie, potrząsnął. Jeszcze zostało.

Pociągnął głęboki łyk. Wino było znakomite, nie takie jak rozwodniony dodatkowo cienkusz podawany w klasztornej jadalni przy wyjątkowych okazjach. Wino nie jest napojem mnichów, powtarzał

często Piotr z Blyton. Claymore chętnie się z tym teraz zgodził.

Bukłak był pękaty, lecz jak na dwóch wcale nie taki pojemny. Ramirez zaklął tylko, kiedy wysączył ostatnie krople.

Przepalone szczapy zapadły się wreszcie. Match przegarnął węgle i wkrótce tłuszczył z opiekającej się króliczej tuszki począł z sykiem skapywać w żar.

Milczeli. Wino rozgrzewało przyjemnie, obaj wiedzieli, że kiedy ogryzą kostki i wytrą w trawę zatłuszczone palce, zaczną mówić. Może bardziej szczerze. Na razie odwlekali ten moment, aż zmierzch spadnie całkiem na polanę, a ognisko pokryje się warstwą szarego popiołu. Czasem łatwiej jest rozmawiać, nie widząc swych twarzy.

Ramirez czuł niepokój. Też miał świadomość, że dany czas się kurczy, rozumiał doskonale Matcha, niecierpliwego i coraz bardziej zdesperowanego. Sam wciąż myślał o swoich zobowiązaniach, miał świadomość, że może nie dać rady, po raz pierwszy, odkąd pamiętał, wypełnić zlecenia. Aż się roześmiał z goryczą. Wciąż myślał o zleceniu, jakby to była normalna rzecz, normalny kontrakt. Tymczasem zdawał sobie sprawę, że wplątał się w coś, czego nawet z początku nie pojmował. W mroczną legendę, w igraszki przeznaczenia i powinności, nad którymi nie panował, które poniosły go ze sobą, aż zaczął robić rzeczy, o których nie pomyślałby wcześniej w najbardziej pijanych snach. Poznał siebie, jakiego się nawet nie spodziewał, a po trosze też obawiał. Wiedział już, że nie zawsze będzie myślał chłodno i racjonalnie, da się unieść impulsom i uczuciom. Bał się tego, a jednocześnie gdzieś głęboko był zadowolony.

I tęsknił.

Nie mógł zapomnieć jasnych włosów i miodowego smaku warg. Ciepłej i gładkiej skóry smukłych stóp. Spojrzeń, których nie potrafił zinterpretować. Nawet kpin i złośliwości.

Tęsknota była czymś nowym. I zupełnie nie potrafił sobie z nią poradzić.

Odegnął teraz z wysiłkiem te myśli. Będzie na nie czas pośród długich, samotnych godzin. I tak ona pojawi się w snach. Teraz powinien pomyśleć o czymś innym.

Obawiał się. Wydarzenia od śmierci Roberta de Reno odebrały mu

pewność siebie. Wiedział już, jak łatwo się omylić i jak łatwo za to zapłacić. Jak dotąd płacili inni. Kiedy wspomniał Marcela i jego kompanię, coś ścisnęło go w dołku. To też było nowe uczucie. Przed oczyma stanęła mu blada twarz umierającej wiedźmy. Ją również wplątano, uświadomił sobie, chociaż tym razem nie ja zawiniłem. Kto jeszcze? – pomyślał. Żabcia i Snake, oni już zapłacili. Drgnął.

– Kurwa, jak ja jej to powiem? – mruknął bezradnie.

Jeśli w ogóle powiesz, przyszła paskudna myśl. Bo ona też może zapłacić.

Potrząsnął głową.

– Mówiłeś coś? – spytał Match.

Claymore milczał. Match chyba nie oczekiwał odpowiedzi, bo znów zapatrzył się w dogasające węgle.

Nieważne, pomyślał Ramirez, co innego jest ważniejsze. Mrok opadł na polanę, skrył twarze. Będzie łatwiej.

– Posłuchaj... – zaczął i urwał. Jednak nie było łatwiej.

Poznał Matcha na tyle, by wiedzieć, jak skończy się rozmowa. Match miał swoją misję, swoje przeznaczenie. I zawsze chciał wszystko zrobić sam. Claymore zdawał sobie sprawę, że jeśli tylko będzie okazja, Match zaproponuje mu bez ogródek, by poszedł z nim na śmierć. Nawet się nie zająknie, powie to z ponurym uśmiechem na mrocznej gębie. I zdawał sobie sprawę, że pewnie pójdzie za nim, jak zrobiło już wielu. Ale wiedział też, że Match nie poprosi o pomoc, jeśli sprawa nie będzie ostateczna. Nie będzie chciał sprawiać kłopotów.

Tym razem też.

– Ani słowa, Ramirez. – W głosie nie było złości, tylko znużenie.

Claymore nie zdziwił się, słyszał to już tyle razy.

– Nie powtarzaj mi o kontrakcie, o zobowiązaniach – ciągnął Match beznamiętnie. – Twoja sprawa, ty obiecałeś. Nawet wzięłeś zaliczkę.

Match uśmiechnął się chyba, choć w mroku nie było tego widać. Ale w głosie pobrzmiwały nutki gorzkiego rozbawienia.

– Przechlapane – rzekł. – Nie masz komu oddać, a przecież jesteś zawodowcem, uczciwym do obrzydliwości. Więc nie będę cię namawiał,

żebyś się nie przejmował i przepił uczciwie całe grosiwo, coś takiego nie byłoby w twoim stylu. Masz zasady, więc się ich trzymaj, co mi tam.

Jego głos stwardniał.

– Tak się tylko składa – ciągnął – że twoje zobowiązania wiążą się jakoś z moimi. Więc uważaj, żeby nie włązić mi w drogę. To moja wojna, moja zemsta.

Aż się skrzywił, uświadomiwszy sobie, jak często ostatnio powtarza to zdanie. Claymore nic nie zauważył w ciemności, zresztą Match swoim zwyczajem odwrócił głowę od niego. Jak zawsze, kiedy mówił o rzeczach ważnych i ostatecznych.

– Przepraszam – mruknął po chwili. – Jesteś porządny chłop, Ramirez. Dziękuję ci za chęć pomocy. Ale niewiele rozumiesz, i lepiej, żebyś nie zrozumiał. Muszę posprzątać, nie tylko po sobie. Nie powinien być pierwszy, chociaż pewnie chcesz szczerze pomścić Roberta de Reno. Przyznaj się, że z powodów osobistych. Polubiłeś starego drania. Szanowałeś go, i nie chcesz darować skurwysynom...

Match umilkł, trzasnął przełamany patyk, który trzymał w dłoniach. Cisnął ułamki w żar ogniska, zajęły się ogniem, oświetlając na chwilę jego twarz.

– Ja też go szanowałem, mimo wszystko – powiedział. – I też chcę za niego zapłacić.

Uśmiechnął się krzywo.

– Jak wiesz, mam większe prawo – rzekł znacząco.

Claymore pokiwał głową.

Co innego zaprzętało jego myśli. Coś, czym martwił się już od wielu dni, od rozmowy z Wulfem, kiedy obaj zdecydowali się na ryzykowny plan. Skomplikowany, a jak Claymore zdążył się ostatnio przekonać, takie plany mogły się łatwo zawalić przez byle drobiazg. Czuł się bezradny, rozkazy zostały wydane, kogo trzeba było przekupić, już przekupiono. Teraz wszystko zależało od Wulfa. Zacisnął pięści. Nie znosił na kimś polegać. Ale nie miał wyjścia.

Zastanawiał się, czy powiedzieć o wszystkim Matchowi. Wciąż nie wiedział, nie potrafił zdecydować. Match nie chciał słuchać o Marion. Nie chciał o niej rozmawiać. Milczenie było jak pancerz, jak grube blachy

zbroi, świadomie przez niego przywdzianej, żeby odgrodzić się od uczuć, w które nie chciał wierzyć.

Claymore próbował go z początku zrozumieć, potem przestał. Miał własne kłopoty i uświadomił sobie ze zdziwieniem, że jednak one są ważniejsze. Uznał prawo Matcha do zemsty, zaakceptował pierwszeństwo. Pozostawała druga część zobowiązań i tę chciał wypełnić. Czy się to komu podoba, czy nie. Poczł współczucie do tego pochmurnego człowieka, który stracił wszelkie złudzenia. Mimo to nie potrafił mu pomóc.

– Dziękuję ci, Ramirez – powtórzył Match cicho, jakby zgadując jego myśli. – Ale poradzę sobie ze wszystkim. Ty pomóż Marion, jeśli zdołasz.

Po raz pierwszy wypowiedział jej imię.

Claymore skinął głową. Zamierzał zrobić, co w jego mocy. Dla siebie także.

Ułamki patyka dopaliły się, mrok znów pochłonał wszystko wokół. Ramirez zaczął mówić, i nagle spostrzegł ze zdumieniem, że właśnie się zwierza. Mówi o rzeczach, o których kiedyś nawet nie myślał, których nie dopuszczał do siebie. A co dopiero, by o nich opowiadać. Mimo to nie przerwał.

– Po raz pierwszy w życiu mi na kimś zależy, Match. I nie potrafię, wiesz? Bo właśnie mi zależy...

Urwał na chwilę, zbierał z mozołem słowa. Match milczał, ale Claymore wiedział, że słucha uważnie.

– I przegrywam, Match. Nie wierzę w to, co być może się dzieje, nie potrafię uwierzyć. Mogę mówić tylko za siebie, bo pewnie sobie wyobrażam coś, co nie istnieje. Widzę coś, co chcę zobaczyć, nic więcej. I chyba dostaję od tego świra.

Rozumiem cię, Claymore, pomyślał Match. Ale dlaczego mówisz to do mnie? Dlaczego nie powiesz jej? Pokręcił tylko głową. Łatwo mówić. Bo nie potrafisz, tak samo jak ja.

Wstał ociężale. Claymore usłyszał, jak podnosi naręcz chrustu, ciska w żarzące się węgle ogniska. Suche gałązki zajęły się z początku powoli, wkrótce zapłonęły blaskiem. Twarze mężczyzn przy ognisku stały się widoczne.

Match popatrzył na Claymore'a. Uśmiechnął się, ale w jego spojrzeniu nie było kpiny.

– Wygląda na to, że też jesteś idiotą, Ramirez – stwierdził sucho.

– Claymore, powiedz mi – zagadnął Match. – Czy mi się zdaje, czy ty chcesz rady?

Siedział na kłodzie z zagadkowym uśmiechem na twarzy, z pozoru drwiącym i szyderczym. Chrust dopalał się, płomienie przygasały. Ale jeszcze było dość światła, przebijającego ciemność, by widząc twarz Matcha, Ramirez zrozumiał, że pytanie nie jest drwiną. Po prostu maska noszona przez lata w końcu przyrosła do oblicza i stała się nim, nierozróżnialna teraz. Za późno, by ją zedrzeć, by pod nią zajrzeć, zostanie na zawsze, szydercza i wykrzywiona. Kiedyś tylko maska, teraz prawdziwa twarz, jakby nigdy innej nie było.

Do Claymore'a dotarło nagle, jak ta twarz, teraz jedyna i prawdziwa, naprawdę wygląda.

Dogasający ogień rozbłysnął, kiedy Match dorzucił pasemko kory. Skreśliło się w żarze, rozbłysło krótkim płomieniem, który zaraz przygasł, i tylko czerwone węgle świeciły przyćmionym blaskiem.

– Pytałem cię o coś, Claymore. – W głosie Matcha zabrzmiało jakby tłumione rozbawienie, przemieszane z nutką goryczy.

Ramirez niewyraźnie widział teraz jego twarz, prawie skryła się w mroku. Wiedział jednak, że nic się nie zmieniło, wciąż jest na niej kpiący grymas, skrzywienie warg z opuszczonym kącikiem ust. Część pancerza, uświadomił sobie, hartowanego przez lata, najbardziej widoczna. A pod nią...

Machinalnie potrząsnął głową, rad, że w mroku Match tego nie widzi. Nie chciał nawet zastanawiać się, co kryje się pod maską. Zrozumiał, że boi się to zobaczyć. Bo może ujrzeć siebie, takim, jakim stanie się kiedyś.

Ale wiedział też, że będzie musiał zajrzeć, już za chwilę.

– Przepraszam – mruknął. – Zamyśliłem się.

Match roześmiał się krótko.

– To nie myśl! – parsknął. – Z tego tylko kłopoty.

Owszem, przyznał w duchu Claymore. Zwłaszcza z myślenia na takie tematy.

Popatrzył w stronę Matcha, ale dojrzał jedynie ciemną sylwetkę, ciemniejszą od gęstniejącego mroku, ledwie widoczne odbicie żaru w oczach. Nieco jaśniejszą plamę twarzy.

Uświadomił sobie nagle, jak zmieniła się ta twarz od czasów, kiedy po raz pierwszy spotkał Matcha. Przybyło bruzd, oczy zapadły się głębiej. To nie było piętno fizycznych przeżyć, choć pewnie gdybym dostał bełtem w serce, też bym słabował, pomyślał Claymore w nagłym przypiływie wisielczego humoru. Ale nie, Match nie utracił swej siły, nawet jakby zyskał jej więcej. Tak mu się przynajmniej wydawało, w końcu nie znał go dobrze. Z Matcha emanowała pewność. Bez wahań i wątpliwości, zresztą chyba nigdy ich nie miał.

– Pytałem o coś – przypomniał Match ponownie, już nie z rozbawieniem, lecz z irytacją.

Wtedy Claymore pojął, o co tak naprawdę chodzi. Match chce się po prostu wygadać, może po raz ostatni. Jeszcze chce spróbować, w szalonej nadziei, że coś sam zrozumie. Bo sam potrzebuje rady, od obcego sobie, lecz też wplątanego w przeznaczenie człowieka. Nie od przyjaciela, bo nie wierzy już, że ma jakichkolwiek. I przede wszystkim nie wierzy przyjacielom, na nich może wyłącznie liczyć.

– Przepraszam – powtórzył Claymore.

Zupełnie nie wiedział, co mógłby powiedzieć innego.

Śmiech Matcha zabrzmiał tym razem głośno i szczerze. Jakby z ulgą.

– Puknij się w głowę, Claymore. Czy ja dobrze pojmuję? Chcesz rady? Ode mnie?

Ramirez kiwnął głową, nie pamiętając, że w ciemności Match nie może tego zobaczyć.

– Z kim ty się na łeb zamieniłeś, człowieku? – Match nie śmiał się już, w jego głosie można było usłyszeć teraz złość i żal. – Czy raczej z czym się zamieniłeś? Rady, ode mnie...

Parsknął gniewnie.

– Match.... – Claymore usiłował coś wtrącić.

– Zamknij się na chwilę! – powróciła nuta rozbawienia. – Claymore, ja jestem ostatnią osobą, która może ci coś poradzić.

Teraz mówił poważniej, z wyczuwalną goryczą. Słowa płynęły powoli, z przerwami, widać trudno było je wypowiadać. Ale też w głosie brzmiała ulga. Coś się przełamało.

Claymore zrozumiał, że Match wreszcie mógł je wypowiedzieć. Bez obawy, że zostanie wyśmiany. Dusił je w sobie długo, obracał na wszystkie strony. Układał je bez końca, nie wierząc, że powie komukolwiek. Nie wierzył już zapewne, że kiedykolwiek je wypowie.

– Ech, Claymore, i po co ja w ogóle z tobą gadam? Nic mądrego ci przecież nie powiem, stary chłop jesteś, niewiele młodszy ode mnie. Widać też porąbany, musiał trafić głupek na głupka. Bo skoro takie głupoty gadasz, mądry być nie możesz. Nie poradzę ci, i dobrze o tym wiesz, prawda?

Nie oczekiwał odpowiedzi, wiedział przecież, że mogłaby być tylko jedna. Ale mimo to urwał, czekał chwilę.

Robiło się chłodno, wprawdzie wypite wino rozgrzewało, ale Claymore poczuł dreszcz. Siedział bez ruchu na zwalonej kłodzie, z dala od Matcha, nie chcąc się poruszyć nawet, by nie przerwać. Chociaż wiedział już, co usłyszy, i bał się tego.

Obawiał się, że w słowach Matcha zobaczy samego siebie, spojrzy jak w zwierciadło. Trochę krzywe, zniekształcające rzeczywistość, ale przecież nadal będzie to on sam. Jego własne odbicie, karykaturalnie skrzywione, lecz wciąż prawdziwe. Może nawet prawdziwsze, niż się spodziewał i był dotąd skłonny sam przed sobą przyznać.

– Wiem, Match – mruknął w końcu cicho, po prostu by przerwać przedłużające się, ciężkie milczenie.

– Do dupy taka rozmowa na trzeźwo, prawda, Claymore? – Po tonie można było sądzić, że się uśmiecha.

Wreszcie nie tym przyklepionym do warg grymasem, tylko prawdziwym uśmiechem, smutnym i pełnym rozgoryczenia. On się pogodził, zrozumiał Ramirez. Nie walczy, bo wie, że przegrał. Dlatego może w końcu powiedzieć, nawet mnie, obcemu człowiekowi, który

całkiem przypadkiem też zaczął głupiec na starość. Zrozumiał, że i pod maską jest nagi.

– Do dupy – zgodził się w końcu Claymore, gdy cisza zaczynała znów ciążyć.

– Urąbalibyśmy się na smutno i opowiadali, jaki to świat jest niedobry. Byłoby miło, bo zgadzalibyśmy się – z samymi sobą i ze sobą nawzajem... Ale nie ma lekko, Claymore. Nie ma się czym uchlać, więc porozmawiamy na trzeźwo. Sam chciałeś.

Na niebie błyszcząły gwiazdy, obojętne, zimne punkciki. Noc była chłodna, wczesnojesienna, Claymore uniósł głowę i spojrzał w górę, obłoczek oddechu rozmył na chwilę małe światełka. Zrywający się właśnie zimny wiatr buszował w koronach drzew okalających polanę. Rozdmuchał tłący się żar, aż z niedopalonych, zwęglonych na poły głowni znów wystrzeliły płomyki, poczęły lizać chropawą, czarną powierzchnię.

Match odwrócił głowę, gdy tylko ogień dał więcej światła.

– Niewiele powiedziałeś – zaczął cicho. – Ale jesteś w jakiś sposób do mnie podobny. Może dlatego nie popędziłem cię od razu, kiedy natrętnie pakowałeś się w moje sprawy.

Claymore już otwierał usta, kiedy Match powstrzymał go stanowczym gestem.

– Wiem, tłumaczyłeś. Masz zobowiązania, masz powinności. Twój problem, nic mi do tego. Nie potrzebuję pomocy, nie proszę o nią...

A on znowu o tym samym, pomyślał Claymore z rezygnacją. Znowu się zacznie. Pomylił się jednak.

– Dobrze, nie będę powtarzał – Match spojrzał z ukosa, Ramirez dostrzegł, że był znów poważny. A poza tym już nie udawał, zniknęła maska, zniknął krzywy uśmiezek. – Powinienem cię kopnąć w rzyć, kiedy zacząłeś o czymś innym. Nie mój interes przecież. Ale powiem ci, skoro sam się prosisz. Nie, nie udzielę rady, powiem, jak wszystko można spierdolić. Ostatecznie dobrze trafiłeś, jestem specjalistą. I tak już nieważne.

Nigdy nie jest do końca nieważne, pomyślał Claymore. Nie oszukuj, bo nawet sam siebie nie oszukasz.

– Przegrywasz, bo nie chcesz wygrać. Nie wierzysz w to. A im więcej

ci zależy, tym bardziej jesteś bezbronny. Bo im bardziej zależy, tym łatwiej wszystko spieprzyć.

Claymore kiwnął głową. Jak dotąd wszystko się zgadza, przyznał z niechęcią pomieszaną ze złością. Na siebie.

– Odbiło ci po prostu. Miotasz się od euforii do rozpacz, bo nie rozumiesz. Nie potrafisz sobie wytłumaczyć słów, zachowań. Albo też tłumaczysz cały czas na opak. Ale nie sprawdzisz, bo się boisz, bo nie wierzysz, nie potrafisz uwierzyć.

Match roześmiał się drwiąco.

– I nie zrozumiesz. To przecież kobieta, obca rasa.

Pochylił się, zaczął grzebać patykami w popielisku. Z dogasających bierwion strzeliły iskry, wzniosły się rojem w szarej smudze dymu, jakby chciały dołączyć do pomrujących gwiazd. Claymore powiódł za nimi wzrokiem, kiedy gasły jedna za drugą. Jak nadzieje, pomyślał.

– Czasem myślałeś, że mogłaby pomóc, jednym słowem, jednym znakiem, który byś zrozumiał – Match ciągnął cicho i spokojnie, ale grzebał w węglach coraz gwałtowniejszym ruchem. – Nie doczekałeś się. Więc pomyślałeś, że to tylko mrzonki, tylko twoje rojenia. Bo kimże w końcu jesteś? Najemnym zabójcą? Starzejącym się w dodatku.

Claymore coś mruknął pod nosem, co zabrzmiało jak stłumione przekleństwo. Match odrzucił patyk, wyprostował się na kłodzie.

– Wiem co nieco o tobie, Ramirez, nie dziw się tak. Usłyszałem sporo, jeszcze od szeryfa. Nie przypuszczałem wtedy, że nasze drogi się skrzyżują ani że kiedyś będziemy tak rozmawiać.

Claymore splunął w żar, ślina zasyczała, kiedy padła na pokryte szarym popiołem węgle. W dym wmieszała się strużka pary.

– Przepraszam – uśmiechnął się Match. – Miało być o mnie, ale widzisz, tak się to dziwnie splata. Nie doczekałeś się pomocy...

Popatrzył Ramirezowi prosto w twarz. Nawet w słabym, czerwonym blasku żarzących się węgli było widać, jak jego rysy ściągnęły się.

– Bo one nie pomagają, Claymore – powiedział twardo. – Nigdy. I nie takim jak my. Wydaje ci się, że widzisz, co chcesz zobaczyć, chcesz uwierzyć, lecz nie umiesz. Bo wyobrażasz sobie coś, co nie istnieje...

– Masz... – Claymore chciał przyznać rację. Ale głos go zwiódł, zaschło mu w gardle.

– Wiem, że mam rację. – Match błysnął zębami w uśmiechu. – Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytania. Nikt nie potrafi, poza nią. A ty nie spytasz. Nie powiesz jej prawdy, nie powiesz, co czujesz. Boisz się śmieszności, tak powiedziałeś?

– Nie doczekał się odpowiedzi.

– Kłamiesz, Claymore. – Pokiwał głową z politowaniem. – Zapomniałeś, co powiedziałem wcześniej, jesteś do mnie podobny. Więc powiem ci, czego się tak naprawdę obawiasz.

Claymore milczał. Bo wiedział, co usłyszysz.

– Boisz się prawdy, boisz się potwierdzenia swoich obaw. Nie chcesz stracić marzenia, tej nadziei, którą wciąż masz, choć się do tego przed samym sobą nie przyznasz. Bo przecież jesteś twardy i trzeźwo oceniasz szanse, nieprawdaż? Nie chcesz stracić tego, co masz. Masz mało, ale przecież więcej niż nic. Jeśli zaryzykujesz, nawet to może nie pozostać.

Match nie oczekiwał potwierdzenia. Mówił rzeczy oczywiste dla nich obu.

– Już niedługo, Claymore. – Teraz w głosie nie było już nic, prócz znużenia. – Zaciśniesz dłoń, a popiół i tak się wysypie, bo tylko to ci zostanie. Garść popiołu, która przeleci między palcami, którą rozwieje wiatr, niezależnie od tego, jak mocno byś zaciskał pięść. Bo też o kant dupy potłuc te twoje starania. A czas się kurczy i będzie tylko gorzej.

Do znużenia dołączyła gorycz. Match mówił już jedynie o sobie. Pomyślał przelotnie, że to chyba znak od przeznaczenia. Wszystko skończy się już niedługo, bo w końcu wszystko zostało powiedziane i zrozumiane. Wcześniej pojął, kim naprawdę jest, poznał tajemnicę, która towarzyszyła mu przez całe świadome życie. I pomyślał też, że aby ją poznać, musiał coś stracić. Stracić kogoś, kogo zaledwie odnalazł i nie zdążył pokochać.

Wiedział na koniec, że nie ma o co walczyć, wszystko było mrzonką. Nie ma o co, bo wygrana nic nie zmieni, można jedynie walczyć za coś, w imię zobowiązań i powinności. Być konsekwentnym do końca, tylko to pozostało, kiedy utracił już wszystko. Nie da się pozbierać skorupki.

– Starasz się, Claymore. Staraleś się od dawna, ale wyłącznie dawałeś do zrozumienia, bo na więcej nie było cię stać. Będziesz za nią walczył, będziesz się troszczył, choćby tego nie chciała, choćby twoja troska była jej potrzebna jak, za przeproszeniem, w dupie zęby...

Wciąż jeszcze się dziwił, że potrafi to wszystko powiedzieć. Nie wiedział tego nawet jedyny ostatnimi czasy przyjaciel, a przynajmniej ktoś, kogo uważał za przyjaciela. Match urwał na chwilę. Czy naprawdę nie wiedział? – pomyślał. Czy tylko milczał, litując się w duchu nad okazem durnia, którego przyszło mu spotkać na swej drodze.

Z Ramirezem było mimo wszystko łatwiej niż z Jasonem. Też był na najlepszej drodze, żeby wyjść na idiotę. A przynajmniej wszystko na to wskazywało.

– Będziesz o niej myślał i poświęcisz coraz więcej – podjął Match po chwili. – Będziesz za nią walczył i nie zawahasz się dla niej zginąć. Ale na jedno nie starczy ci odwagi. Nie będziesz walczył o nią. Bo uważasz, że przegrasz, i boisz się porażki. I w końcu dojdiesz do tego, do czego i ja dawno doszedłem...

Urwał, opuścił głowę. Claymore nie widział już jaśniejszej plamy twarzy, tylko sylwetkę, ciemniejszą od otaczającego ich mroku.

– Wiem – powiedział wreszcie, gdy przez jakiś czas nie słyszał nic poza coraz silniejszym poszumem wiatru. – Zrezygnuję wcześniej. Mając świadomość, że i tak przegram, a tak mniej będzie zabolę. I odtąd będę tak robił zawsze.

Kłoda skrzypnęła, gdy Match wstawał. Przez moment, kiedy wiatr rozdmuchał węgle, Claymore widział jego twarz. I wtedy obiecał sobie solennie, że spróbuje.

Nie potrafił nic powiedzieć. Wstał tylko, powodowany impulsem położył dłoń na ramieniu Matcha. Ten drgnął. Spojrzał na majaczące w mroku palce, zaciśnięte na swoim ramieniu, jakby to jakieś dziwne stworzenie wpiło mu się w kubrak.

– Marzenia mają to do siebie, że się nie spełniają. Jeśli są nasze.

Odwrócił się, strząsając dłoń ze swego ramienia.

– I dość już tego lizania się po fiutach, Ramirez. Zrobisz, jak chcesz.

- XIV -

Grot ze stukotem wciął się w burtę wozu. Drzewce strzały drgało jeszcze, kiedy zaraz obok uderzyła druga.

Woźnica zerknął w dół i puścił lejce, jak by uczynił każdy przyzwoity kupiec zaskoczony bandyckim napadem. Wóz skręcił lekko, niekierowany już. Jechał wolno, więc gdy koła trafiły na miękkie pobocze, wryły się głęboko, koń szarpnął raz czy drugi, po czym zrezygnował. Wulf został na przechylonym koźle, zezując na strzały wbite w deski.

Kąt, pod jakim sterczały, upewnił go, że miał rację. Zostały wystrzelone z bliska. Teraz mógł tylko poczekać i modlić się, że wszystko pójdzie jak zwykle. Kolejna strzała nie zmiecie go z kozła, podejda bliżej, przepytają uprzejmie, co wiezie, żeby oszczędzić sobie trudu. Bo i po co wybebeszać wóz pełen, dajmy na to, worków ziarna? Ani wypić, ani sprzedać, lepiej podpalić od razu. A potem poproszą grzecznie, żeby zsiadł z wozu, i poderzną gardło.

Mógł jedynie czekać i mieć nadzieję, że wszystko potoczy się zgodnie z przewidywaniami. Nie do końca ufał Ramirezowi, ale ostatecznie, jak mawiano w jego stronach – jest ryzyko, jest zabawa.

Jak na razie wszystko wyglądało dobrze. Świst strzały usłyszał dokładnie tam, gdzie się spodziewał. Trakt wił się wśród poprzegradzanych niskimi, ułożonymi z wapienia murkami pastwisk, pomiędzy łagodnymi pagórkami. I tylko w tym miejscu rósł olchowy zagajnik, w zasadzie kilkanaście marnych drzewek. W sam raz na zasadzkę.

Tak naprawdę jedyne miejsce na zasadzkę na całej starannie wybranej trasie.

Wulf rozglądał się uważnie. Nie musiał udawać, dokładnie to samo robiłby kupiec, któremu na gościńcu niedwuznacznie dano do zrozumienia, że pora się zatrzymać i najwyższy już czas, by towar

zmienił właściciela. Zgarbił się nieco, wciągnął głowę w ramiona. Miał nadzieję, że w ten sposób bardziej przypomina lekkomyślnego kupca, który niechybnie narobił już pod siebie ze strachu.

Nic się nie działo dłuższą chwilę. Nie nadleciała następna strzała. W olszynie nie mógł dostrzec najmniejszego poruszenia. Ostrożni są, pomyślał.

Nadal miał nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie. Nie dopuszczał nawet myśli o niepowodzeniu, to nie była odpowiednia pora. Nie przed potyczką.

Zauważył, że w nieodległej olszynie wszczął się jakiś ruch. Zmrużył oczy, po chwili mógł dostrzec, jak z zarośli wyłania się jeździec. Nie, dwóch.

Koń pierwszego wspiął się na niewielką wyniosłość, otaczającą podmokłą olszynę. Wulf bezwiednie zacisnął palce na kawałku drewna, zakończonego zwisającym pod ławkę łańcuchem. Drugi banita dołączył do pierwszego, obaj puścili się stępa ku przechylonemu wozowi.

Trzymali się prosto, coś do siebie pokrzykiwali wesoło, podskakując w kulbakach. Byli pewni siebie i zadowoleni, Wulf poczuł falę ulgi. Nic nie podejrzewają, pomyślał, wygląda, że wydarzenia rozwijają się według planu, dość skomplikowanego i ryzykownego.

Jeźdźcy zbliżali się. Wulf skulił się jeszcze bardziej, w nadziei że zmyli nadjeżdżających. Za nimi z olszynki nie wychynął jak dotąd nikt. Bardzo dobrze.

Banici czekali na znak. Zdarzało się tak, że pod rozpiętą na pałakach płachtą wozu kryli się kusznicy – nawet nie zorganizowana zasadzka, bo cechy coraz częściej przydawały ochronę samotnym kupcom. Nawet raz czy dwa taki fortel się powiódł. Celnie wystrzelone bełty zniechęciły napastników, którzy uszli, unosząc ze sobą zabitych kompanów.

Dlatego zwykle wysyłano zwiad, co było dość ryzykownym zadaniem, dlatego teraz Wulf ucieszył się, gdy dwóch banitów zbliżyło się bez zachowywania jakichkolwiek środków ostrożności, przekrzykując się wesoło. Wszystko wskazywało, że przynęta chwyciła. Wiedzieli, co zastaną, nie obawiali się zasadzki.

Jednak Ramirez wiedział, co mówi, pomyślał Wulf. Nie łągał, kiedy opowiadał o swoich informatorach, którzy teraz zadziałali w drugą

stronę i nadali grasantom znakomitą okazję.

Pierwszy z koni przekroczył płytki rów, wspiął się na trakt. Dosiadający go banita, wielki, starszawy drab odziany w okrutnie pordzewiałą i ponadpruwaną kolczugę, okazał rozwagę. Wstrzymany wierzchowiec parsknął, zatańczył na trakcie. Drab w kolczudze przezornie utrzymywał się z dala od wozu, o dobre trzy końskie długości.

Drugiego Wulf już nie widział. Nie chciał się odwracać, ale wiedział, że tamten podjechał od razu z tyłu, by jak najszybciej zajrzeć pod płachtę. Czuł lodowaty spokój, choć niepokoił go ten pierwszy, ostrożniejszy. Mogą być trudności, pomyślał.

– W porządku! – dobiegł z tyłu ochryply okrzyk. Brzmiała w nim ulga.

Drab w zardzewiałej kolczudze roześmiał się z zadowoleniem. Jego zdrowe oko błysnęło złośliwie. Drugie miał osłonięte czarną przepaską. Coś znajomego było w tej twarzy, ale Wulf nie mógł skojarzyć. Myliła go świeża blizna, ciągnąca się od czoła, poprzez oczodół aż do policzka, gdzie ginęła w plugawej, pozlepianej brodzie. Blizna była jasnoróżowa i źle wygojona. Ściągała rysy banity, nadając im wyraz zwierzęcej złośliwości.

Radość w jego chrapliwym śmiechu oznaczała, że wszystko szło pomyślnie. Przynajmniej banitom tak się wydawało. Na wozie było to, co spodziewali się znaleźć – pękate worki wypełnione ziarnem, wszystko się zgadzało. Trasa, samotny wozak. Poszli na pewniaka.

Jednooki stuknął piętami boki wierzchowca. Zbliżał się, ale wciąż był ostrożny. Jego oko spoglądało podejrzliwie na Wulfa. Niepokoił go kaptur, nasunięty nisko na czoło, ocieniający twarz. Na szczęście dzień był chłodny, wiatr niósł drobne kropelki mżawki.

W końcu banita podjechał bliżej, wstrzymał konia tuż obok wozu. Popatrzył bystro na Wulfa, ale musiał nieco wznieść głowę, koziół był wysoki. Wulfowi, ściskającemu drewnianą rękojeść, bardzo to odpowiadało. Spod kaptura przyglądał się uważnie ruchom przeciwnika.

Ten drugi, sądząc z odgłosów, szperał z tyłu wozu, był niecierpliwy, bo aż tu docierał odgłos prutego płótna i cichy szelest sypiącego się ziarna. Niewątpliwie banita rozdzierał worki, do których mógł dosięgnąć, nie zsiadając z konia.

Banita w kolczudze też to dosłyszał. Oderwał na chwilę spojrzenie

swojego jedyne go oka od twarzy Wulfa.

– Zostaw to! – wrzasnął.

Odgłos dartego płótna ucichł jak nożem uciął, zamiast niego zabrzmiały burkliwe przekleństwa.

Wulf beznamiętnie rejestrował szczegóły. Jednooki był pewny siebie, nawet nie dobył broni, dość paskudnie wyglądającego sejmitara, noszonego w pochwie na plecach. Jego kolczuga wyglądała na zdartą z nieboszczyka, prócz tego, że była zardzewiała, znaczyły ją dwa rozcięcia na piersi, na wysokości serca, niedbale ściągnięte drutem. Sporo ogniwek brakowało.

Budziło to nadzieję, że i sejmitar jest zdobyczny, a jednooki nie umie nim za dobrze władać. Gdyby okazało się inaczej, szerokie cięcie zza pleców zaraz po obnażeniu klingi mogło być bardzo niebezpieczne.

Drab uśmiechnął się połową twarzy. Widać niedawno zagojone cięcie poraziło mu nerwy. Mówił jednak wyraźnie.

– No, dobry człowieku, powiedz nam, co tam wiesz? – zapytał niedbale.

Wulf zmilczał chwilę, jak zrobiłby to przerażony woźnica.

– Owies, panie – burknął w końcu.

Brew jednookiego zmarszczyła się, na połowie twarzy odbiło się zaskoczenie i zdumienie. I Wulf natychmiast przypomniał sobie, skąd zna tego człowieka.

To jeden ze zbrojnych Czarne go Barona. I o ile nie widział twarzy Wulfa, skrytej w cieniu kaptura, o tyle ucho zapewne miał dobre. Bezbłędnie rozpoznał lekką naleciałość obce go akcentu.

Nie było na co czekać. Wulf odrzucił jedną ręką kaptur z czoła, drugą ścisnął drewnianą rękojeść. Naprężył mięśnie, widząc, jak oko draba wprost wychodzi z orbity, pełne niedowierzania i złości.

Potwierdziło się zdobyczne pochodzenie sejmitara. Wulf o mało nie roześmiał się, gdy spostrzegł, jak jednooki przez wpojony przez lata nawyk maca u pasa w daremnym poszukiwaniu rękojeści. To dało dodatkową chwilę, krótką jak uderzenie serca. Ale Wulf i tak jej nie potrzebował.

Już od dawna był gotów do zadania tego jedne go, jedne go ciosu.

Łańcuch świsnął w powietrzu, zardzewiała żelazna kula trafiła w sam środek okrytego misiurką ciemienia. Prysnęły odłamki kości przemieszane z ogniwkami, Wulf dostrzegł, jak wstrząsane drgawkami ciało banity przechyla się na łęk siodła, a jedyne oko wypchnięte potworną siłą uderzenia wyskakuje z oczodołu.

Więcej nie widział, rzucił się w bok. Gdy był jeszcze w powietrzu, zanim zwałił się na pobocze traktu, poczuł potężne szarpnięcie. Żelazna, oblepiona krwią i mózgiem kula zaklinowała się w szparze pomiędzy deskami nadburcia wozu. Palce zaciśnięte na drewnianej, krótkiej rękojeści rozwarły się.

Stracił broń.

Wylądował twardo, na plecach, aż zaparło mu na chwilę oddech i zaćmiło w oczach. Zanim jeszcze odzyskał wzrok, przeturlał się instynktownie, w samą porę, by pchnięcie sztychem trafiło w piasek.

Drugi banita miał szybką orientację. Ale był głupi, przemknęło Wulfowi przez głowę, gdy już mógł zaczerpnąć oddechu, nie jest łatwo przyszpilić mieczem do ziemi leżącego człowieka, gdy samemu siedzi się wysoko w siodle.

Przetoczył się jeszcze raz ze stęknieniem, byle znaleźć się jak najdalej od podków tańczącego w miejscu, brutalnie zadzieranego wozami konia. Jeździec jeszcze nie dawał za wygraną, próbował pchnąć, znów nie trafił, tym razem haniebnie daleko.

Nie tak łatwo, pomyślał Wulf, zwinął się, by łatwiej pozbyć się krępującej mu ruchy opończy. No, jeszcze raz. Trzeba być idiotą, by próbować zadźgać leżącego człowieka z konia. Trzeba położyć się na końskiej szyi albo wychylić.

Banita istotnie był głupi. Nie przeszło mu przez głowę, by zeskoczyć z kulbaki i zarąbać Wulfa szybko i sprawnie. Zaśmiewał się, myśląc, że i tak sobie poradzi, wciąż był przekonany, że ma do czynienia z oszalałym ze strachu woźnicą. Ani mu nie zaświtała myśl o zasadzce, kupcy często uciekali się do różnych forteli. Czasem nawet udawało im się obronić, jeśli napastników było góra dwóch.

Kiedy zapanował nad tańczącym i parskającym koniem, wychylił się jeszcze bardziej, mając nadzieję sięgnąć wreszcie wciąż przetaczającego się mężczyznę.

Na to tylko czekał Wulf. Nagłym wyrzutem ramion dosięgnął ręki dzierżącej miecz, uchwycił nadgarstek i pociągnął z całej siły. Z okrzykiem zaskoczenia banita zwalił się z konia. Strzemię nie wytrzymało i pękło, uwolniony od ciężaru jeźdźca koń wierzgnął i omal nie zakończył walki, albowiem jego tylne kopyto o cal zaledwie minęło spocone czoło Wulfa, aż poczuł twarde uderzenie powietrza.

Banita i zbrojny zakotłowali się na ziemi. Wulf poczuł na twarzy oddech przeciwnika, woń przetrawionego piwa i cebuli. Przeszywając się wzrokiem, dyszeli sobie prosto w twarze, obnażając zęby. Banita uczynił rozpaczliwy wysiłek, by zrzucić przygniatającego go Wulfa, omal mu się udało. Ale zbrojny, nie puszczając przegubów napastnika, trafił go czołem prosto w nos. Trzasnęła łamana kość.

Wulf poderwał się, korzystając z krótkiej chwili, kiedy ten zwiotczał. Przydusił jego bicepsy kolanami do ziemi, uderzył pięścią raz i drugi, aż głowa odskakiwała na boki.

Potem wystarczyło tylko złapać i przekręcić.

Głuche chrupnięcie pękających kręgów oznajmiło koniec walki. Wulf dyszał ciężko. Dopiero na świst nadlatującej strzały zsunął się z przeciwnika, wpełzł pod wóz, zanim jeszcze drugi grot przebił płachtę.

Wychylił się ostrożnie. Z olszynki wysypywali się jeźdźcy. Wulf z radości walnął zakrwawioną pięścią w ziemię. Udało się. Teraz tylko musiał wierzyć, że jego ludzie zdolali się niepostrzeżenie przemknąć wzdłuż niskiego kamiennego murku, od strony znajdującej się w pobliżu zrujnowanej zagrody.

Wulf poczuł mimowolny podziw dla Ramireza. Jego ryzykowny plan najwyraźniej rozwijał się pomyślnie.

Szpiedzy Claymore'a mieli dobre informacje. Marion rzeczywiście była w niebezpieczeństwie, w każdej chwili kompani mogli pozbawić ją przywództwa. W jeden zapewne sposób, tu żaden z nich, ani Ramirez, ani Wulf nie mieli wątpliwości. A sama być może zdawała sobie z tego sprawę, musiała sobie zdawać, lecz owładnięta obsesją zemsty na wszystkich nie chciała przyznać, że przegrała.

Był tylko jeden sposób, ryzykowny, ale jak widać skuteczny. Wybić jej nielojalnych kamratów. Do tego potrzebna była zasadzka.

Wulf nie wiedział, w jaki sposób udało się Ramirezowi przekazać

wiadomość o samotnym wozie tym właściwym banitom. Liczyli na to, że skuszeni grosiwem, ukrytym rzekomo w workach owsa, będą chcieli sami się wzbogacić. Nie było powodów, dla których nie mieliby uwierzyć, już nieraz cechy rozczarowane małą skutecznością eskorty uciekały się do tego sposobu.

Zaraz będzie po wszystkim. Wulf ostrożnie wychylił się zza koła, strzały przestały wreszcie padać. Banici wciąż zapewne nie podejrzewali zasadzki, ciągle myśleli, że zrozpaczony woźnica broni się do upadłego. Sądziło, że będą mogli wykurzyć go spod wozu jak jaźwca z nory, a potem przykładnie usiec, naśmiawszy się z pechowych kamratów.

Wyrżał. I zaklął tylko bezradnie, w poczuciu klęski. W środku szerokiej ławy jeźdźców jechała Marion. Przycisnął czoło do zimnego, mokrego piasku.

Precyzyjny plan Claymore'a Ramireza rozwijał się dalej. Wulf pomyślał mętnie, że powinien pamiętać, iż Ramirez nie miał ostatnio szczęścia do skomplikowanych planów. Nieodmiennie kończyły się jatką.

Był jak sparaliżowany, nie mógł się poruszyć nawet wtedy, gdy za sobą usłyszał szcęknięcia kusz i okrzyki swych zbrojnych, którzy przeskakiwali niski kamienny murek odgradzający pastwisko od gościńca. Mógł jedynie patrzeć.

Kusznicy spudłowali haniebnie, zaledwie jeden z banitów chwycił się za ramię i jeden koń zrulował na łące, kiedy bełt wbił mu się w szeroką pierś aż po brzechwy. Nic dziwnego, nottinghamska straż straciła dobrych kuszników już dawno, kiedy powybił ich niesamowity strzelec ukryty na poddaszu spichrza. Na wyszkolenie nowych nie było sił ani środków.

Banici zeskakiwali z siodeł, formowali pieszy szyk. Wulf mętnie pomyślał, że całkiem rozsądnie, łąka była podmokła, końskie kopyta grzęzły w niej głęboko. A jego ludzie mieli glewie, których haki doskonale ściągały jeźdźców z kulbak.

Marion pozostała jeszcze konno, obnażoną klingą wskazywała coś kamratom, nie bacząc na świstające wciąż bełty. I jeszcze druga kobieta, spostrzegł Wulf, jasnowłosa.

Fabienne, zrozumiał, dziewczyna tego dupka. Zaufany hiszpańskowalijskiego mieszańca zbyt wiele chlapał ozorem, wieść o samotnym

furgonie dotarła do Marion. Ramirez, kurwa, coś ty narobił?

A ty co narobiłeś? – spytał głos w głębi jego umysłu. Teraz wybieraj między przysięgą, złożoną kiedyś człowiekowi już dawno martwemu, a własnymi ludźmi, którzy ci zaufali, nawet kiedy prowadzisz ich na śmierć. A najlepiej wbij ten miecz rękojeścią w ziemię, sztych przystaw pod mostkiem.

Chwilę spoglądał na ostrze. Nie, kurwa, to byłoby zbyt łatwe.

Wygramolił się spod wozu. Jego zbrojni przebiegali obok, już nie w idiotycznych, błyszczących hełmach, sprawa była zbyt poważna. Stary żołnierz niczego nie wyrzuca, mieli swój własny ekwipunek.

– Wulf, co z tobą? – usłyszał znajomy, skrzekliwy głos. – Rannyś?

Popatrzył nieprzytomnie. Sam Wiewiórka dyszał ciężko, ścisnął w dłoniach długą glewię. Jego łysina błyszczała, nie wiedzieć, od potu czy osiadającej na wszystkim, coraz gęstszej mżawki. Jak zwykle był bez misiurki.

Wulf potrząsnął głową.

– No to lecimy! – wrzasnął uradowany pokurcz i pognał w stronę przeciwników.

Dwa szeregi zderzyły się wśród krzyków i szczęku żelaza. Wulf uniósł miecz, pognał za Wiewiórką. Nie wiedział, czy to buty grzęzną w zrytym raciami owiec, miękkim od słoty pastwisku, czy też może nogi nie chcą go nieść ku przeznaczeniu. W głowie miał absolutną pustkę.

Oba szeregi zmieszały się już, potyczka rozpadała się na chaotyczne pojedynki. Wśród szczęku kling i bitewnej wrzawy kończyło życie coraz więcej ludzi.

Wulf nie wiedział, kiedy znalazł się w skłębionej ciżbie. Nagle zadziały odruchy, odbił cios, widząc go jako błysk klingi w czerwonej mgle, którą miał wciąż przed oczami. Skontrował i bardziej poczuł, niż usłyszał, zgrzyt własnego ostrza na żelaznych łuskach *broigne*. Rozpęd poniósł go dalej, prosto przed wysokiego człowieka, usiłującego właśnie wyszarpnąć ostrze uwięzione między żebrami nottinghamskiego zbrojnego.

Aż się roześmiał, zobaczywszy w jego oczach złość, która nie zdążyła zmienić się w przerażenie, kiedy oszczędnym uderzeniem roztrzaskał

mu głowę. Zdobywczy miecz był do niczego, nie przeciął nawet ogniwi misiurki, wgniótł je w czaszkę. I tak wystarczyło.

Nagle wokół Wulfa zrobiło się pusto. Czerwona mgła zniknęła sprzed oczu, mógł wreszcie ogarnąć otoczenie. Wygrywali.

Na zrytym pastwisku spoczywało wiele ciał. Niektórzy byli tylko ranni, przyjdzie jeszcze czas, by ich dobić. Inni drgali wciąż, darli mokrą trawę zakrzywionymi palcami, ale dla nich nic już nie warto było czynić.

Walka przeniosła się dalej, banici spychani pod olszynkę bronili się tylko. Przewaga była zbyt duża, nie mieli szans.

Coś ścisnęło Wulfa w żołądku, kiedy przez dłuższą chwilę nie mógł nigdzie dostrzec Marion. Natrętnie wracała myśl, że jest za późno, że pozostanie jedynie hańba. Aż wreszcie spostrzegł w ciżbie jasną plamę rozwianych włosów tej drugiej dziewczyny, i zaraz obok niej przymglony błysk zgaszonej czerwieni. Przez chwilę widział z daleka jej twarz, do której lepiły się mokre kosmyki kasztanowatych włosów.

Ale została na pastwisku, broniła się jeszcze, powstrzymywała napór. Wulf widział, jak kilku banitów, opędzając się od atakujących ich zbrojnych, cofa się do olszynki. Zanim jeszcze zrozumiał wszystko, poderwał się do biegu. Kamraci Marion postanowili skorzystać z okazji. Zostawić ją, gdy sami wciąż mieli nadzieję na ucieczkę.

Gdy mijał Sama Wiewiórkę, krzyknął. Mały zbrojny wparł w ziemię drzewce glewii, na której końcu miotał się jakiś człowiek niczym nadziany na rohatynę odyniec, spojrzał pytająco na Wulfa, ocierając spoconą łysinę. Wulf machnął krwawym ostrzem, wskazując grupę banitów, którzy cofali się ku zaroślom.

Pokurcz zrozumiał od razu. Dobył własnego miecza, począł wyrzaskiwać rozkazy:

– Do mnie, kurwa! Zanim do koni się przebiją!

Wulf przez chwilę myślał, że nie zdąży. Gdy przepchnął się przez ciżbę własnych ludzi, wałąc jak popadnie rękojeścią i klnąc ochryple, zostało ich troje. Marion, jasnowłosa dziewczyna i wysoki, stary banita o siwych wąsach, który właśnie niedbałym ruchem palców zrzucił z ostrza gęstą juchę. Przed nimi leżały ciała.

Było tylko kwestią czasu, kiedy nottinghamscy zbrojni rzucą się

wszyscy naraz i zgniotą całą trójkę samym impetem. Ale wciąż żaden nie chciał być pierwszy, na razie ci pierwsi umierali.

Wulf posłyszał ochryple wrzaski i skowyt. Sam Wiewiórka i jego kamraci dorzynali niedoszłych uciekinierów.

Widok Wulfa dodał ducha atakującym. Ktoś wyskoczył przed szereg najeżony wyciągniętymi klingami, z bojowym okrzykiem ściął się krótko z Marion, drugi zaatakował starego. Wulf zrozumiał, że nie ma już czasu.

Ruszył do przodu, chlasnął szerokim cięciem w plecy młodzika, który z przerażeniem w oczach odbijał klingę Marion. Miał tyle przytomności, że obrócił miecz płazem.

Młody zbrojny zaskoczony ciosem w plecy zdążył spojrzeć, zanim klinga Marion rozchlastała mu gardło. Wulf nawet nie pamiętał jego imienia.

I wcale nie próbował sobie przypomnieć. Stał naprzeciw Marion, jego ludzie cofnęli się, zaskoczeni. Miał krótką chwilę, zanim ochłonał, zanim zrozumieją, że właśnie dokonał wyboru.

Że ich zdradził.

Potrząsnął głową, obok ktoś zakwilił cicho, zabrzmiało to jak płacziwe kniazienie schwytanego w paść zająca. Ucichło zaraz, przeszło w skrzek, gdy stary cofnął dymiącą krwią klingę. Po policzku jasnowłosej dziewczyny spływała cienka strużka krwi. Ale choć dyszała ciężko, jej oczy spoglądały czujnie i przytomnie.

Wrzaski i charkoty opodał ucichły. Nie pozostał nikt do dobicia.

Krótką chwilą rozejmu przed nieuchronnym zakończeniem.

– Zabijesz mnie teraz? – syknęła Marion. Też oddychała z wysiłkiem, była u kresu sił.

– Nie.

– Będziesz musiał. – Cięła, nie sygnalizując zamiaru nawet błyskiem w oczach.

Z trudem zasłonił się, ostrza zderzyły się ze szczękiem. Nie odepchnął jej, choć łatwo mógł odrzucić.

– Uciekaj! – wychrapał jej prosto w twarz.

Sapnęła tylko, zaprzeczyła ledwie dostrzegalnym ruchem głowy.

Jasnowłosa i siwy banita powstrzymywali wciąż innych. To była ich walka.

– Uciekaj! – W cichym głosie Wulfa zadrgała rozpacz. I kiedy pomyślał, że wszystko stracone, nacisk na jego klingę zelżał. W zielonych oczach dojrzał zrozumienie. I smutek.

Odwrócił się bez słowa. Został sam, do samego końca.

Zmusił się, by popatrzeć swoim ludziom w oczy. Po raz ostatni prześlizgnąć się wzrokiem po znajomych twarzach, zanim ochłona. Zanim rzuca się wszyscy i rozsiekają.

Co do tego nie miał wątpliwości, dobrze ich wyszkolił. Mógł kupić zaledwie trochę czasu, tyle, by cofająca się ocalała trójka dotarła do koni ukrytych w olszynie.

Wiedział, jak go nienawidzą. Nie dlatego, że zdradził. Ale paskudne uśmiešky wypełzały już na twarze zbrojnych, ludzie pamiętali razy i kopniaki, długie noce w słocie przy bramie, bluzgi i wyzwiska. Rzadko żołnierz ma szczęście zabić zwierzchnika.

Ale wciąż jeszcze bardziej się bali.

Zakręcił młyńca kiepskim, zdobycznym mieczem. I o mało się nie roześmiał, przecież nie sprawiało to żadnej różnicy. Nie miał zamiaru zabijać.

– No i co, dziewczynki? – spytał powoli, prześlizgując się spojrzeniem po twarzach. – Która pierwsza?

Wielki Arnold zwijał się na trawie, obejmował krocze. Twarz miał posiniałą z bólu, najpierw oberwał rękojeścią w skroń. Drugi zbrojny klęczał, plując krwią i odłamkami zębów.

Z olszyny dobiegło rzenie. Trzask łamanych krzaków, kiedy konie ruszyły galopem.

Wtedy szczęknęły cięciwy. Wulf poczuł tępe uderzenie w ramię, bełt obrócił nim, cisnął na kolana. Drugi trafił w pierś.

Zachłysnął się, palce zdrętwiały i miecz wypadł z ręki. Kiedy znów

mógł widzieć, ujrzał tylko połamane źdźbła traw, blisko, tuż przed oczyma. Drapał palcami ziemię, dłoń nie mogła dopełznąć do rękodojeści, odległej o dobry łokieć.

Nie panował już nad ciałem, tonął we własnej krwi. Ciekawe, który jebaniec był taki sprytny, żeby złapać kuszę, napłynęła pełna uznania myśl, jakby nie jego to wszystko dotyczyło. Dobre chłopaki.

Już nie widział źdźbeł. Zwidywały mu się ciemne ściany fiordów nad przepastną, granatową wodą, kraina śniegów i lodu, którą opuścił kiedyś, znęcony zielenią pól.

Oczy starego jarla lśnią dumą. Chodź, synu, zdają się mówić.

Wszystko ciemnieje. To cień skrzydeł, rozpostartych i białościórych. Rudowłosa kobieta wyciąga rękę, przyzywa. Jej oczy lśnią zielonym blaskiem, jak oczy Marion.

Stal zgrzytnęła o kręgi.

Fragment powieści, która ukaze się nakładem Agencji Wydawniczej
RUNA w 2004 roku

Wawrzyniec Podrzucki

KOSMICZNE ZIARNA

- Zadziwiająca, nie uważasz?
- Co takiego? - Całą uwagę Hannibale zaprzętał w tej chwili detektor.
- To, jak szybko oswajamy się z nowym - Thomas skrzyżował ręce na piersiach. - Zaledwie trzeci raz oglądam Drzewo z bliska i już wydaje mi się takie... takie zwykłe. Jak myślisz, czy to rodzaj jakiejś tarczy, którą osłaniamy się przed naporem niepojętości świata? Że mózg dobrotliwie okłamuje nas dzień za dniem i podsuwa nam okrojony, zbanalizowany obraz rzeczywistości, by uchronić nas maluczkich od załamania się pod naporem prawdy?
- Dobre pytania dla filozofów albo jakichś behawiorystów, ale nie dla prostego inżyniera.
- Filozofów i ich uczonych wywodów to ja mam ostatnio aż nadto, dziękuję - Farquahart skrzywił się jak ukąszony. - A pożytku żadnego, jedynie nieustający ból głowy. Słowo daję, po jaki rozziw gromadziłeś te wszystkie traktaty, polemiki i diatryby od Greków począwszy? Myślałem, że twoje archiwum miało bardziej konkretny cel, a tymczasem...
- Padłem ofiarą nałogu, cóż mogę na to poradzić - Remmuerish rozłożył ręce. - Niewinne hobby po godzinach przerodziło się w obsesję zbierania informacji - każdej, jaka się napatoczyła - i ukrywanie głęboko w sejfie, jakby to była najgorsza z trucizn. A co, dalej masz te problemy?
- Problemy? - Thomas przełknął głośno ślinę. - Czuję się jak

szczeniak z biegunką, który, przepraszam za porównanie, usilnie stara się nie narobić w portki. Najlepiej skończmy ten temat, jeśli nie chcecie, żebym zaczął wam tu nagle recytować *Iliadę* albo pisma świętego Augustyna.

– *Iliadę?* – Jesusowi zaświeciły się oczy. – Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu.

– Człowieku, błagam! – jęknął Farquahart. – Nie kuś licha, bo i tak ledwie nad tym panuję!

– Trzeba było jednak poczekać na Sasha – westchnął Hannibale. Krótka rozmowa z Livanskym nie rozwiązałaaby całkowicie kłopotów Thomasa, ale przynajmniej doktor by go uspokoił. Poza tym, odkąd opuścili New Cheshire, Remmuerish miał wyrzuty sumienia, że nie pożegnał się z przyjacielem jak należy.

– Pogadam z nim, jak wrócimy – Thomas uciął krótko i zmienił temat: – Daleko jeszcze do źródła tych sygnałów?

– Niecałe dwieście kilometrów w linii prostej, gdzieś tam – Remmuerish wskazał najbliższe branchiostemium, czyli miejsce, gdzie z głównego pnia Drzewa wyrastał konar.

– Wewnątrz?

– Wszystko na to wskazuje.

Thomas zerknął na Jesusa. Gdyby koga była wierzchowcem, rzekłby, iż młodzieniec prowadził ją teraz stępą i to nader ostrożnie. Jego smukłe palce biegały po konsoli niczym po klawiaturze jakiegoś muzycznego instrumentu, szybko i zdecydowanie. Jednak kropelki potu na czole świadczyły o napięciu, z jakim przeprowadza manewry.

– No i przed kim ty się popisujesz, co? – Reyes też to zauważyła i podeszła do niego ze zmarszczonym czołem. – Oddaj lepiej stery *padrito*.

– Dam radę, zostaw – Jesus nawet nie spojrzał na siostrę.

– Mężczyźni – prychnęła wymownie i wróciła na miejsce, zaraz jednak wstała i zaczęła nerwowo kręcić się po pokładzie.

Łatwo było zrozumieć niechęć kupieckich karawan do zapuszczania się w te rejony, a zarazem ponownie wychodziła na jaw cała umowność nazywania Drzewa – drzewem. Jego konar tak miał się do gałęzi pospolitego dębu czy cedru jak okręt, którym teraz lecieli do jaskółki. To

nie była żadna pseudoroślina wyrosła ze sztucznego ziarna, lecz gigantyczny żywy mechanizm, który nie miał odpowiednika w przyrodzie. Wystarczyło tylko spojrzeć na branchiostemium z jego skomplikowanym systemem dźwigni, więzadeł i podpór, żeby się o tym przekonać.

Jesus wykonał kolejną zgrabną ewolucję i w ostatniej chwili uniknął kolizji z ruchomym wężem, których całe pęki zwieszały się niczym mokre festony z niezliczonych odciągów konaru, wijąc się hipnotycznie. Zapewne jakieś czułki albo coś w tym rodzaju, pomyślał Thomas.

– Niżej, zejdź na wysokość podbrzusza – Remmuerish rzekł do Anhelosa.

– Carrades, więc to nie na górnym poziomie? – Jesus wymienił zaniepokojone spojrzenie z siostrą.

– Nigdy tak nie twierdziłem – odparł Hannibale.

– Czyli że trzeba będzie pruć.

– Słucham?

– Od spodu nie ma żadnych kominów ani innych naturalnych wlotów. Jedyna droga w głąb podbrzusza to tylko przez cięcie.

– Skup się na nawigacji, *por favor*, potem będziesz tłumaczył – Reyes ofuknęła brata.

– Dobrze, dobrze – odmruknął Jesus.

Słowo "pruć" kojarzyło się Farquahartowi raczej niemile – z czymś rozplatanym brzuchem albo starymi szmatami, rozdieranymi na strzępy. A jaki konkretnie sens miało w tym przypadku? Pokaz technologicznych możliwości dał już kiedyś Ignacio, kiedy swą tajemniczą bronią rozłupał sklepienie segmentu Azzure jak orzeszek. *Deus*, ten młody Almodovar nie zamierza chyba zrobić powtórki?

Branchiostemium od spodu wyglądało jeszcze dziwniej, niczym szkielet gotyckiego sklepienia, pogniecione organy i abstrakcyjna kompozycja hydraulika-artysty razem wzięte, a wszystko jakby z nadtopionej żarem gutaperki. Pióropusz płaskich, sitowatych żeber przechodził w konar tysiącem rozwidleń, każde zaakcentowane wywiniętym, opalizującym soptem materii bądź czymś, co przypominało odwrócone nasionko dmuchawca. Był również naszyjnik z rur

przeróżnych długości i średnic, przywodzących na myśl wyharatane żyły, a także jakieś bulwiaste narośla, rozrzucone u podstawy konaru. No i oczywiście wszędobyłska sieć elastycznych więzadeł oraz te falujące sennie wąsy, tyle że krótsze tutaj i zakończone półprzezroczystymi zgrubieniami w kolorze miodu.

– Teraz znowu zszedłeś trochę za nisko, chłopcze – Remmuerish dalej wskazywał Jesusowi kierunek. – Wróć bliżej osi konaru.

– Tuż przy płetwie na pewno nie będę się przedzierał – rzekł zdecydowanie Anhelos. – Jeśli w ogóle, to właśnie stąd, z niskiego boku, gdzie są jeszcze w miarę cienkie tkanki. *Madre de Dios*, nigdy wcześniej nie używałem lancy...

– Prawdę rzekłszy, *senhor* Farquahart, mieliśmy cię tylko przewieźć tam i z powrotem – dziewczyna popatrzyła na Thomasa z wyrzutem.

– Przysięgam, panno Reyes, że nie chcę narażać was na niebezpieczeństwo. Czy zastosowanie tej... lancy czymś nam grozi?

– W zasadzie lanca to sprzęt wyłącznie ratunkowy, na wypadek – Jesus przeżegnał się pośpiesznie – utknięcia w Drzewie na dobre.

– A zatem to nie jest broń?

– Mogłaby ostatecznie być, gdyby przyszło do walki burta w burcie – Anhelos skrzywił się niewyraźnie. – Czemu jednak pytasz? Czyżbyście jeszcze na dokładkę spodziewali się jakiejś zaczepki tam w środku? Tylko proszę cię, *senhor*, mów szczerze.

– Najszczęśliwsza odpowiedź brzmi: nie mam pojęcia, czy po drugiej stronie czekają nas jakieś kłopoty. Może tak, a może nie, ale skoro już zdecydowałem się na tę wycieczkę i związane z nią ryzyko, to nie zamierzam teraz rejterować. Was jednak na niebezpieczeństwo narażać nie mogę. Ty jesteś tu kapitanem i ty decydujesz, nie ja.

Jesus zatrzymał na chwilę kogę i spojrzał poważnie na Farquaharta, a potem na siostrę. Wiedziała, co brat za chwilę powie, i nie wyglądała na zadowoloną. Ale, jak Thomas słusznie przypomniał odwieczne prawo, na pokładzie kapitan jest zawsze pierwszy po Bogu i załoga nie kwestionuje jego zdania.

– Rób, jak uważasz – westchnęła w końcu. – Ale chociaż w jednym mnie posłuchaj...

- Chcesz, żeby to *padrito* operował lancą, tak? – przerwał jej Jesus.
- Właśnie.
- Zgoda – Anhelos przystał na ten warunek bez oporu i zwrócił się do konsoli – Słyszałeś, ojczulku?

Thomas już za pierwszym razem zachodził w głowę, kim jest ów tajemniczy *padrito*. Koga była maszyną cudowną i nieporównanie bardziej skomplikowaną od pasikonika, którym swego czasu odbyli podróż z Tikt-al-Harruk do Cytadeli, a przecież nawet tamten prymitywny wehikuł miał coś na kształt własnego rozumu. Skoro zaś miał go pasikonik, to wyrafinowany okręt Anhelosów tym bardziej powinien go posiadać. Mechaniczny, albo i lepiej – czyjś prawdziwy, lecz odcieleśniony umysł zamknięty w trzewiach statku? Tak jak niegdyś Hannibale w mnemonie, tyle że nie pod przymusem, ale całkowicie dobrowolnie. Kto wie, może to nawet jakiś przodek Jesusa?

Kwestia tożsamości "ojczulka" było jednak sprawą drugorzędną wobec maestrii pilotażu, jaką zaprezentował natychmiast po przejęciu sterów od młodzieńca. Jesus pozostał co prawda na stanowisku przy konsoli, lecz teraz już tylko biernie się przyglądał. Niemniej twarz wciąż miał napiętą, podobnie jak jego siostra. Farquahart również zamarł w oczekiwaniu na kolejny pokaz technologicznego zaawansowania Anhelosów.

Koga pomknęła chyżo wśród płataniny kurczliwych lin i zwolniła dopiero na kilkaset metrów przed czarnymi falami. Z bliska konar, którego grubość u nasady niemal dorównywała Pniowi, wydawał się zupełnie płaski jak bezkresne sklepienie albo odwrócony do góry nogami ocean zamarzniętej smoły. Faktura jego dolnych powłok przypominała zastygłe w huraganowej furii grzywacze, tu i ówdzie poprzesywane wiązkami elastycznych spoidałów. "Ojczulek" wybrał sobie jedną z dolin i zaczął podążać wzdłuż niej bardzo wolno, zapewne w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca do wykonania cięcia. Buchnęły potężne luminary i w ich świetle Thomas ujrzał błyskawicznie powiększający się otwór, żadnego jednak materialnego ostrza, którego mimowolnie cały czas się spodziewał.

- Jak właściwie działa ta lanca? – spytał zamyślnego Jesusa.
- Poprzez perswazję.

- Słucham?

- Terawatowa elektrokanonierka przewierci na wylot największą *sierro*, a jednak nie ośmieliłbym się wypróbować jej na Drzewie - młodzieniec zapatrzył się z szacunkiem na mroczne załomy konaru. - Znam wiele rodzajów wysokoenergetycznej broni, która niewątpliwie wypaliłaby dziurę w zewnętrznych tkankach - jedna głęboką na kilka metrów, inna na kilkadziesiąt albo więcej. Tylko że Drzewo to nie martwy kamień i natychmiast odpowiedziałoby na taki gwałt. Ma tysiące sposobów pochłaniania i unieszkodliwiania intruzów, a rany goją się w błyskawicznym tempie.

- Jednak formierze jakoś sobie z Drzewem radzą - wtrącił się Hannibale.

- I to właśnie poniekąd ich wynalazkiem jest lanca macierzowa - podchwycił Jesus. - Działa w ten sposób, że oszukuje drzewne mechanizmy obronne. *Padrito* posyła w tej chwili tkankom strumień odpowiednio spreparowanej informacji plus stymulator elektromagnetyczny. Jakie konkretnie nakazuje im wykonać zadanie, tego nie wiem, ale czasami Drzewo otwiera się samo z siebie, na przykład dla wyrównania ciśnień albo żeby pozbyć się zanieczyszczeń. Ojczulek po prostu przekonał tkanki, że doszło do takiej właśnie sytuacji awaryjnej.

- I to cała sztuczka? - zdziwił się Farquahart.

- Och nie, skądże. Za zestawy instrukcji do lanc kompilatorzy każą sobie słono płacić, a zatem mamy ich tylko kilka do wyboru, i to trochę przestarzałych, podczas gdy Drzewo nieustannie zmienia się i dostosowuje. Jeśli rozbieżność pomiędzy naszym zestawem a funkcjonującym obecnie wariantem kodu okaże się zbyt duża, zostaniemy potraktowani jak ciało obce i utkniemy tu otoczeni ochronną torbielą.

- Jasna macierz, gdybym wiedział, że to aż tak ryzykowne, nigdy bym nie wyraził zgody. Poszukalibyśmy innej drogi!

- No, na odwrót już teraz za późno - westchnął Jesus. - Ale spokojnie, na razie idzie ojczulkowi całkiem nieźle, jak widzę.

- Ja nie widzę zupełnie nic. - W istocie, za burtą zapadła kompletna ciemność, zgasły nawet imponujące luminary kogi. - Deus, a może myśmy już utknęli?

- Nie, *amigo*, pchamy się do przodu wolno, ale bez przerwy.
- To dlaczego jest taka ćma?
- Bo wciąż przeciskamy się przez ścianę.

Thomas niemal przykleił nos do kopuły. Coś ją faktycznie zewsząd opływało niczym wielkie strugi oleistej cieczy albo luźne pasma szarosinych mięśni.

- Biedny *padrito* - Jesus uśmiechnął się znad konsoli. - Pewnie niedobrze mu się robi od tego mięsistego dotyku.

- A daleko jeszcze do końca?

- Mówi, że sam nie wie, bo idzie zupełnie na ślepo. W każdym razie za sobą mamy jakieś dwieście, dwieście dwadzieścia metrów ściany. A przeciętnie jej grubość w tych partiach podbrzusza to pół kilometra. Chociaż tutaj, tak blisko Pnia, może być znacznie więcej.

- Deus... - Farquahart poczuł mimowolny dreszcz i zerknął na pozostałych. Remmuerish czuwał przy swoim detektorze z maską prawdziwego stoika na twarzy, Reyes jednak nie mogła ze zdenerwowania znaleźć sobie miejsca. W ogóle przestała się do kogokolwiek odzywać, dreptała tylko niespokojnie tam i z powrotem.

- Odbierasz sygnały bez zakłóceń? - Farquahart rzucił do Hannibale, by przerwać irytującą ciszę.

- Tak - Remmuerish podniósł się z fotela. - Mam co prawda lekkie echo, ale to nawet dobrze, bo na jego podstawie mogę obliczyć, ile jeszcze tej ściany mamy.

- No i? - zainteresował się Jesus.

- Chwileczkę... Przyjmując średnią gęstość właściwą tkanek 0,15 grama na centymetr sześcienny i założywszy, iż zawartość metalu nie przekracza w nich jednego procenta... Jakies trzysta pięćdziesiąt do czterystu metrów, nie więcej.

- Słyszałeś, *padrito*? - Jesus klepnął konsolę po przyjacielsku. - Słyszał, i prosi, żeby bardzo ci podziękować, *senhor* Bremmer, od razu mu się lżej zrobiło.

- Nie ma za co - Hannibale uklonił się z galanterią i wrócił do pilnowania odbiornika.

Wkrótce charakter materii otaczającej kogę zmienił się diametralnie i szarawe smugi znikły zastąpione najpierw miętko obrzeżonymi przekrojami sześciokątnych komór, następnie jakąś włóknistą masą i wreszcie okręt wyskoczył jak wypluta pestka do wnętrza konaru. Ciemnego i pustego, dopóki ponownie nie rozbłyły dziobowe luminary. Ich silne, nierozproszone przez atmosferę światło wydobyło z mroków trójwymiarową sieć rozpórek i łączących je elastycznych ścięgien. Jak szkielet jakiegoś nieprawdopodobnego sterowca sprzed wieków, pomyślał zafascynowany Thomas.

– Uff, no to wlecieliśmy – Jesus odetchnął pełną piersią. – Pozostaje nam jeszcze tylko później się stąd wydostać, drobnostka. No dobrze, to dokąd teraz, *senhor* Bremmer?

– Wystarczy, jeśli wskażę palcem? – spytał Remmuerish, podchodząc do konsoli.

– W zupełności.

– A zatem tam.

Plamy światła powędrowały ku górze i zatrzymały się hen, na najwyższym punkcie żebrowanego sklepienia. Nie, to nie Zeppelin, skorygował pierwsze wrażenie Farquahart, tylko wypatroszone i wyfiletowane do czysta brzuszysko jakiegoś stwora. Przez całą długość konaru biegł solidny kręgosłup z kolczastymi żebrami wygiętymi w zgrabne łuki. Do nich czepiały się pomniejszych elementy konstrukcji, zaś każdy z wyraźnie zarysowanych "kręgów" zdobiły krótkie ostrogi, które służyły za mocowanie dla podwieszonych wiązek gładkich kabli. Były tam jeszcze jakieś nieregularne zgrubienia przypominające kolanka na źdźble trawy, trójkątne ząbki, nawet jakieś świetliste drobinki poruszające się z prędkością cienia gnomonu. Ale z odległości tylu kilometrów nie sposób było określić bliżej ich natury.

Koga ruszyła w górę i niebawem zawisła nieruchomo tuż pod jednym z węzlastych zgrubień na kablach, czy też raczej rurach wzmocnionych liściastym żyłkowaniem, jak się okazało z bliska.

– Interesujące – Hannibale stanął z zadartą głową obok Thomasa. – W pewnym sensie spoglądamy na Rzekę od spodu.

– Na akwedukt, przyjacielu, na akwedukt – Farquahart poprawił go odruchowo.

– No tak, ale w Cheshire nikt nie nazywa go inaczej, jak Rzeką, przyzwyczaiłem się.

– Zaraz, zaraz, a czy te rury... to przypadkiem nie tracheodukty?

– Między innymi – przytaknął Remmuerish. – Masz przed sobą całą Drzewną infrastrukturę – wentylacja, kanalizacja i tak dalej.

– Coś takiego... Hej, przecież ta bulwa cała się rusza, Deus!

– Nie bulwa, tylko to, co po niej łązi.

Zgrubienie roiło się bowiem od monstrualnych stonóg pełzających leniwie we wszystkich kierunkach. Thomas z miejsca poczuł do nich głębokie obrzydzenie, aczkolwiek stwory zachowały całkowitą obojętność wobec przybyszy. Ale towarzyszące stonogom migotliwe obłoczki zawirowały nagle jak podrażniony rój pszczoł i po chwili kadłub okrętu rozdzwonił się przeraźliwie od tysięcy uderzających weń sześciokątnych ostrzy. Wyglądało, jakby znaleźli się nagle w centrum śnieżnej zamieci, która skończyła się równie gwałtownie, jak się zaczęła. Dziwaczne niby-owady w kształcie stylizowanej koniczyny powróciły do swych krocionogich kompanów, najwidoczniej uznawszy kogę za niegroźną, niejadalną, bądź obie te rzeczy naraz. Niemniej kilkanaście sekund ich wściekłego szturmego wystarczyło, by siostrze Jesusa cała krew odpłynęła z twarzy.

– Proszę się pospieszyć ze swoimi sprawami, *senhor Farquahart* – szepnęła, nie zważając na pełne przygany spojrzenie brata.

– Obawiam się że to, po co przybyliśmy, znajduje się wewnątrz tej bani – odchrząknął zakłopotany Hannibale.

– Co? – Reyes wzniosła oczy na kłębowisko, po czym klapnęła na siedzenie ze stłumionym – Och...

– *Madre de Dios*, mam puścić kogę między te paskudztwa? – Jesus także nie krył odrazy.

– Podciągnij nas trochę wyżej – poprosił Hannibale. – Widzisz? Na górze prawie ich nie ma.

– Bo pewnie jeszcze nie dolazły – mruknął zdeglustowany Anhelos.

Wierzchołek zgrubienia istotnie był prawie wolny od stonóg, które najwyraźniej preferowały jego dolną połowę. Dla przeczności młodzieniec podprowadził okręt do celu w kilku skokach, ale latające

koniczynki raz straciwszy zainteresowanie, nie zaatakowały ich ponownie.

– Uch, *padrito*, no to tnij jeszcze raz – Jesus otarł z czoła kropelki potu. – Grube to chyba nie jest.

Lanca rozdarła powłoki zgrubienia jak pięść wbita w ciasto i koga wpłynęła do środka. Nikt z załogi ani pasażerów nie wiedział, że dotarli do jednej z niezliczonych utylizatorni Drzewa, gdzie ze zużytej macierzy, martwych ciał zwierzęcych i ludzkich oraz wszelkich innych szczątków odzyskiwało ono podstawowe surowce, by na powrót przetworzyć je w materiał budulcowy swego wielkiego organizmu. Niemniej każdy rozpozna szambo, kiedy już doń wpadnie.

– Deus, jesteście w jakimś przez rozziew przekętym śmietniku! – jęknął Farquahart na widok gigantycznej kloaki pod stopami.

Remmuerish zamrugął z niedowierzaniem, bo to rzeczywiście było ostatnie miejsce, w którym spodziewał się znaleźć drogocenne neuromatryce.

– Jestem pewien, że to tu – bąknął, przesuwając detektor na środek pokładu. – Dajcie mi sekundę.

– Ktoś na ochotnika do nurkowania w tym... ehem, czy może będziemy ciągnąć losy? – Thomas nie był w stanie pohamować sarkazmu.

– To nie będzie konieczne – Hannibale wyprostował się i podszedł do burty. – Sygnały nie dochodzą z dołu, lecz stamtąd.

– Skąd?

– Zza tych... Graw!

Farquahart spojrział we wskazanym kierunku i zbaraniał. Kilometrowe wąsy-pułapki, agresywna koniczyna i kilkudziesięciometrowej długości wije robiły dostatecznie duże wrażenie. To jednak, na co teraz patrzył, przechodziło po prostu wszelkie pojęcie.

– Ludzie... Deus, w tym wychodku mieszkają ludzie, czy ktoś w to uwierzy?!

Jesus przejął stery i koga wykonała powolny obrót w miejscu. W świetle dziobowych luminarów ukazało się najdziwniejsze osiedle, jakie

ktokolwiek z nich widział. Kilkadziesiąt sadyb wiszących u ściany niczym jaskółcze gniazda, drabinki, pomosty i liny, a wszystko to tak żałosne i byle jak sklecone, że rozsypałoby się zapewne od dotknięcia palcem. Każde domostwo było inne i z czego innego zbudowane – temu wystawały ze wszystkich stron nadgniłe patyki, tamten znów był mozaiką jakichś błyszczących skrawków i ewidentnie ludzkich kości – niemniej materiały konstrukcyjne niewątpliwie pochodziły z tego samego źródła, czyli z cuchnącego bajora kilka pięter niżej. Nie budowle były jednak najbardziej zdumiewające, lecz fakt, że ktoś w ogóle tu mieszkał, ba, że chciał mieszkać! Jeśli komuś potrzebny był dowód na to, że człowiek przetrwa i zaadaptuje się do każdych warunków, tu go miał jak na dłoni. Jaki jednak mus, zastanawiał się Farquahart, może pchnąć kogokolwiek do osiedlenia się w tak odrażającym miejscu? I cóż to w ogóle za egzystencja? Pal licho grobowe ciemności i fetor, który musiał przechodzić wszelkie wyobrażenia, w końcu tracheodukt Uxów też nie pachniał cukierkami. Ale przecież każdy człowiek, o ile nie jest to Kreuff czy Remmuerish, musi jeść, pić i oddychać, a raczej trudno byłoby nazwać powietrzem mieszaninę siarkowodoru, metanu i innych trujących gazów, jakie ten gnojownik z pewnością wydzielał. Na myśl o ewentualnym źródle pożywienia tubylców żołądek podjechał Thomasowi do gardła. Zaraz po tym przyszła refleksja, że tej koszarnej osady nikt już od dawna nie zamieszkuje albo że patrzą na coś, co w ogóle nie jest dziełem ludzkich rąk, lecz...

– Deus!

Osada zawrzała nagle jak dźgnięte kijem mrowisko i ze wszystkich domków zaczęły wyskakiwać jakieś człekokształtne kreatury. Thomas był przekonany, że chybotliwe rusztowanie lada moment rozleci się pod tą dziką hałastrą i runie do smrodliwego bagna, lecz szalejące po nim małpie stado najwidoczniej ważyło to sobie lekce. Kilku skoczyło z biegu na liny dyndające u sklepienia komory, ktoś inny pchnął wiszących, którzy niczym cyrkowi akrobaci przefrunęli nad otchłanią. W następnej chwili zaszokowany Farquahart miał tuż przed sobą kudłaty, zwierzęcy pysk i rozcapierzone palce.

– Santa Matilda! – Jesus cofnął się instynktownie przed atakującym maskaronem, jakby zapomniał, że chroni go solidna bariera.

Śmieciogrzeb zaś w ogóle się jej nie spodziewał i w innej sytuacji

Thomasa skrzyknęłyby pewnie ze śmiechu na widok gęby kretyńsko rozpląszczonej na przezroczystym kadłubie, z którego zresztą nieszczęśnik natychmiast się zsunął. Pozostali linoskokowcy wykazali się godnym podziwu refleksem i poniechali abordażu, gdy tylko dostrzegli, iż dzieje się coś dziwnego. Pobratymcy odciągnęli ich spieszenie na pomost, po czym zaczęli ciskać w kogę czym popadnie. Kości, oślizgłe patyki, nawet jakieś kawałki metalu i bryły suchego łąjna zabębniły o poszycie statku jak kartacze.

– *Carrades*, dosyć tego! – Zirytowany Jesus sięgnął do konsoli, jednak Hannibale go powstrzymał.

– Co chcesz zrobić?

– Małą demonstrację, bo trochę mnie zdenerwowali.

– Będziesz strzelał?!

– Aż taki głupi to ja nie jestem, *senhor* Bremmer. Podjadę im tylko pod sam nos, to powinno wystarczyć.

Istotnie, ledwie koga ruszyła w stronę małpoludów, wyparował z nich cały animusz do walki i wszystkie pierzchły jak jeden do swych szałasów. Nie wychyliły nawet nosa, by zobaczyć, czy nieznany potwór nie demoluje ich sioła.

– Thomas? – Hannibale podszedł do Farquaharta. – Czy ten twój nowy komplant może również odbierać fale radiowe?

– Ee... Miro twierdził, że to cacuszko potrafi wszystko, więc całkiem możliwe – Thomas poskrobał się po głowie. – Czemu pytasz?

– Bo, szczerze mówiąc, nie chce mi się tam chodzić z detektorem. Zresztą, to już dla niego ciut za małe odległości, a neuromatryce są w którejś z tych dziupli. Twój wszczep jest na pewno bardziej precyzyjny i zaoszczędziłby nam niepotrzebnego łążenia od jednej z tych paskudnych nor do drugiej.

– Poczekaj chwilę, bo nie władam nim jeszcze tak dobrze jak starym. Tak, jest tryb elektromagnetyczny... Aj!

– Co się dzieje?

– Nic, nic – skrzywił się Farquahart. – Ogłuszyło mnie co nieco, to wszystko. No dobrze, powiedz mi, czego mam słuchać.

– Czegoś takiego – Remmuerish kucnął przy detektorze i przełączył

odczyt sygnału z graficznego na dźwiękowy.

– Mam – potwierdził Thomas. – Bardzo wyraźny, tylko z jakimś echem.

– Po prostu odbierasz dwa albo trzy identyczne sygnały. No i skąd dochodzą?

– Chyba... – Farquahart obrócił głowę – z tej kupy śmieci zaraz na lewo.

– No to ruszajmy. Jesus, mógłbyś otworzyć?

– A osmołony?

– Słucham?

– Jesus ma rację, przecież bez jakichś filtrów padlibyśmy trupem na miejscu – przytaknął Thomas. – No, może trochę przesadziłem, ale wycieczka na pewno by nie należała do przyjemnych.

– Ja nie potrz... – Hannibale ugryzł się w język. – Słusznie, nie pomyślałem o tym.

Anhelos wydobył ze schowka cztery ochronne kaptury i wręczył każdemu, po czym rzekł do konsoli:

– Pokaż język, ojczulku.

Z dziobu kogi wysunął się gładko szeroki na pół metra i długi na metr trap, gruchocząc przy tym kawałek poręczy rusztowania małpoludów.

– Pójdziemy tylko ja i Thomas – zakomenderował Remmuerish. – Wy zostańcie tutaj.

– Naturalnie – Ton Reyes dawał do zrozumienia, że innej możliwości nawet nie brała pod uwagę.

– A macie jakąś broń? – zatroskał się Jesus.

– Mamy – odparł Farquahart zwięźle i z duszą na ramieniu zstąpił na pomost z koślawych żerdzi. – Deus, to się pod nami nie utrzyma!

– Spokojnie, widziałeś przecież przed chwilą, jak te stwory po tym goniły.

– Tak, ale... – Thomas posuwał się do przodu kroczeń za kroczeniem, nie bardzo dowierzając zmysłom. Choć wszystko tu napawało go niewymownym wstrętem, chwycił się oślizgłych lin przy ścianie. Strach był silniejszy od obrzydzenia. Jak na razie żaden z tubylców nie próbował

atakować, bali się pewnie jeszcze bardziej niż on, jednak na wszelki wypadek Farquahart trzymał swój minifazotranslator cały czas w pogotowiu.

– To gdzieś w tej budzie – ruchem podbródka wskazał najbliższe z gniazd. – Nie wiem tylko, czy neuromatryce są w środku, czy raczej wykorzystano je jako część budulca.

– Podobno są, albo też były kiedyś takie owady, które...

– Wiem, chruściki. Ich larwy żyły w wodzie i lepiły sobie rurkowate domki z tego, co akurat w danym miejscu było dostępne: z piasku, z muszelek, z kawałeczków zbutwiałego drewna. Rzeczywiście, ci tutaj podobnie, ale z większym indywidualizmem. Ten na przykład ma wybitne upodobanie do złomu. Deus, jak tu w ogóle znalazły się takie rzeczy? Kable, jakieś rurki nie wiadomo od czego, nawet kawałek siedzenia z jakiegoś pojazdu! Słuchaj, a co zrobimy, jeśli te twoje mnemony faktycznie stanowią teraz część tej kupy śmieci? Rozwalimy ją?

– No cóż, gdyby tak się sprawy miały, to moja teoria i tak traci sens, a cała eskapada okazuje się rozziewu warta – Hannibale uśmiechnął się kwaśno. – Żadnego Projektanta, żadnych tajemniczych spiskowców. Nic oprócz starych brudów.

– Skoro jednak już tu jesteśmy...

– To bądźmy konsekwentni do końca – dopowiedział Remmuerish. – Gdzie ten szafas ma wchód? Aha, z boku, zaraz przy ścianie.

– Masz jakiś plan? Trochę mnie niepokoi ten spokój po ich wcześniejszym szale.

– Trudno, trzeba zaryzykować – westchnął Hannibale. – Pójdę pierwszy, bo, nikomu niczego nie wymawiając, mam trochę sprawniejsze zmysły i lepszy refleks.

– Tak czy owak, ostrożnie.

Remmuerish ruszył w górę po prymitywnej drabinie, której zaświnione szczeble wskazywały niedwuznacznie, iż małpoludy załatwiały się na nią wprost z domu. Thomas obserwował go z zapartym tchem... i omal nie fiknął kozła z pomostu, kiedy małpia paszczyka otworzyła się inżynierowi przed nosem. Odpowiedź Hannibale była tak

piorunująco szybka, że Farquahart nie rozróżnił nawet poszczególnych jego ruchów. Zobaczył wyraźnie tylko efekt końcowy – małpolud pofrunął z rozdzierającym kwikiem na spotkanie cuchnącej topieli. Thomas spał się w oczekiwaniu na generalne poruszenie współziomków wyrzuczonego, żaden jednak nie odważył się bodaj na wyściubienie pyska na zewnątrz.

Odczekawszy chwilę, Remmuerish zajrzał do gniazda i natychmiast się cofnął, wzburzony.

- Graw, tu są jacyś ludzie!
- Co?!
- I to w opłakanym stanie!
- Ilu?
- Dwoje. Graw, masz może przy sobie coś do cięcia?
- Związani?
- Gorzej.
- Co to znaczy?
- To znaczy... Och, do licha, wejdź tu, to sam zrozumiesz.

Hannibale zniknął we wnętrzu gniazda, nie dbając o to, że przy okazji niszczy spory jego fragment. Farquahart niezwłocznie podążył za nim w głąb ohydnej nory pozbawionej jakichkolwiek sprzętów poza wyściółką z bliżej nieokreślonej substancji. Jeden z ludzi wyglądał jak ofiara pająka, tyle więzów go krępowało. Brakowało mu także sporej części prawego ramienia, odgryzionego albo odciętego jakimś wyjątkowo tępym narzędziem. Nie wykrwawił się, bo ktoś zrobił mu opaskę uciskową powyżej łokcia, ale i tak wyglądał na bliskiego śmierci.

Drugiemu zaś w ogóle nie widać było rąk, gdyż obydwie tkwiły po łokcie w ścianie komory.

- Deus, co z nim jest?
- Takie niby prymitywy, a wiedzą, jak skutecznie unieruchomić mannekena – Remmuerish pokręcił głową. – Na szczęście zrobili mu to chyba niedawno, ale i tak może być kiepsko, jeśli go natychmiast nie odetniemy.
- Co?!

– I nie zdekontaminujemy odpowiednio – Hannibale nie trać czasu na rozwlekłe tłumaczenia. – Masz coś dostatecznie ostrego?

– Deus, tylko fazotranslator...

– Pokaż. Hm, modelu nie rozpoznaję, ale w końcu wszystkie działają na tej samej zasadzie.

Konsumowany żywcem przez Drzewo osobnik poruszył kilkakrotnie ustami, a potem nagle runął na twarz, machając bezsilnie kikutami ramion.

– Nie patrz takim przerażonym wzrokiem, Thomas. – Remmuerish oddał mu broń. – Przecież on je sobie bez problemu odtworzy. Zajmij się lepiej tym drugim... Albo nie, ja go wezmę, a ty pomóż tamtemu.

Spętany był niewątpliwie normalnym człowiekiem z krwi i kości, do tego niezwykle rośłym i barczystym, jednak tak okrutnie zmaltretowanym i otępiałym, że już mało go obchodziło, kto i co z nim wyczynia. Hannibale jednym ruchem wrzucił go sobie na ramię i skierował się ku wyjściu.

Powieść Wawrzyńca Podrzuckiego "Kosmiczne ziarna" ukaże się nakładem Agencji Wydawniczej RUNA w 2004 roku.

